IGN. CHRZANOWSKI

LITERATURA A NARÓD

ODCZYTY, PRZEMÓWIENIA,
SZKICE LITERACKIE

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1936

LITERATURA A NARÓD

IGN. CHRZANOWSKI

LITERATURA A NARÓD

ODCZYTY, PRZEMÓWIENIA,
SZKICE LITERACKIE



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1936

28/36

38522 II

Zakł. Nar. im. Ossolińskich

Lwów 4. I. 36

Dar

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



10,00

X—112730
38522 II

377/35

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM ADAMA WIERZBICKIEGO

STANISŁAWOWI MICHALSKIEMU

STRAŻNIKOWI POLSKIEJ KULTURY NARODOWEJ

SKŁADA W HOŁDZIE

AUTOR

NASZ HYMN NARODOWY

(PIEŚŃ LEGJONÓW)

Odczyt publiczny, wygłoszony w Krakowie dnia 9 lutego 1922 r.

Powstanie i historja Hymnu. Twórcą naszego hymnu narodowego jest Józef Wybicki, urodzony dnia 29 września 1747 r. w Bendominie na Pomorzu, zmarły dnia 10 marca 1822 r. w Manieczkach, w powiecie śremskim. W różnych dziedzinach pracy patrjotycznej zapisał się trwale i wdzięcznie w pamięci narodu. Jego udział w konfederacji barskiej, w pracy nad *Zbiorem praw* Andrzeja Zamoyskiego, w delegacji miejskiej podczas Sejmu Czteroletniego, w insurekcji kościuszkowskiej, w formowaniu legjonów, w organizowaniu Księstwa Warszawskiego, — daje mu trwałe i piękne imię w historji politycznej. *Listy patrjotyczne* oraz *Rozmowa między szlachcicem polskim, Szwajcarem i żydem w Gdańsku* — zapewniają mu wybitne stanowisko w literaturze politycznej epoki stanisławowskiej. Do historji dramatu polskiego należy Wybicki dzięki swojej tragedji historycznej *Zygmunt August*, komedji *Kulig* [1], tudzież trzem operom: *Samnitka, Polka* i *Kmiotek*. *Moje życie* należy do najpiękniejszych pamiętników w literaturze staropolskiej. *Moje godziny szczęśliwe* będzie musiał uwzględnić przyszły historyk filozofji polskiej, a przyszły historyk polskiej literatury pedagogicznej nie będzie mógł pominąć ani *Rozmów i podróży ojca z dwoma synami*, ani *Pierwiastków wieku dziecinnego*.

Lecz nie to wszystko zapewnia Wybickiemu nieśmiertelną pamięć w Polsce, tylko pieśń, napisana w końcu lipca 1797 r. w Reggio, czy też dopiero w sierpniu tegoż roku w Medjolanie [2], a składająca się z sześciu strof, z których pierwsza wraz z przyśpiewem brzmiała:

---

[1] Przypisywana Wybickiemu komedja *Mędrzec* jest utworem Krasickiego (ob. Hahn, *O komedji przypisywanej J. Wybickiemu p. t. „Mędrzec"*, w tomie I *Księgi Pamiątkowej ku czci Orzechowicza*, Lwów 1916).

[2] Ob. Askenazy, *Napoleon i Polska*, tom II, str. 172—73 i 320—22. — Przypuszczenie A. Hajdeckiego (*Jak i kiedy powstała Pieśń legjonów?* —

Jeszcze Polska nie umarła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca moc wydarła,
Szablą odbijemy!

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Do Polski z ziemi włoskiej,
Za Twoim przewodem
Złączem się z narodem! [1]

Nie spodziewał się z pewnością Wybicki, że ta jego prosta piosenka żołnierska, którą utworzył w jakiejś błogosławionej chwili napływu do serca mocnej wiary w odzyskanie niepodległości i którą przeznaczał jedynie jako pobudkę wojenną dla legjonów Dąbrowskiego, stanie się polskim hymnem narodowym, jak nie spodziewał się Rouget de Lisle, że się francuskim hymnem narodowym stanie owa pieśń, której niezrównane w swej mocy słowa i wspaniałą melodję podyktowała mu w Strassburgu chwila natchnienia, zrodzonego — pewnej nocy kwietniowej roku 1792 — pod piorunującem wrażeniem wiadomości o wypowiedzeniu przez Francję wojny Austrji, i pod wpływem patrjotycznej odezwy do obywateli, wydanej przez mera Strassburga, Dietricha [2].

Obydwie te pieśni, z których jedną utworzył posiwiały już w służbie ojczyzny pięćdziesięcioletni poseł, wojownik i pisarz, a drugą — młody żołnierz, liczący sobie dopiero niespełna dwadzieścia dwa lata, były zrazu tylko okolicznościowemi pobudkami wojennemi i patrjotycznemi — niczem więcej; tylko że *Marsyljanka* stała się pieśnią narodową w ciągu kilku miesięcy [3], kiedy tymczasem *Mazurek Dąbrowskiego* na to, aby się stać hymnem narodowym, czekał kilka, albo i kilkanaście lat.

Wprawdzie z ziemi włoskiej do Polski — na skrzydłach wiary i nadziei — przyleciał szybko: już w roku 1798 śpiewano go w zaborze austrjackim ku oburzeniu, albo raczej może ku radości tajnej policji cesarskiej, która raz wraz składała swej władzy raporty, że zbuntowani Polacy śpiewają rewolucyjną i podejrzaną pieśń — *Dąbrowskischer Marsch* [4].

---

w gwiazdkowym numerze *Czasu* roku 1912), że *Pieśń* powstała dnia 15 kwietnia 1797 r. w Paryżu, jest nieuzasadnione. Niema także żadnej mocnej podstawy do przypuszczenia (wobec własnego świadectwa Wybickiego z dnia 5 marca 1798 r.), że pierwszy jej wiersz brzmiał już w pierwszej redakcji: „Jeszcze Polska nie zginęła".

[1] Ob. Finkel, *O Pieśni legjonów*, Lwów 1894. — Wydanie drugie, Kraków 1904.

[2] Ch. Lenient, *La poésie patriotique en France dans les temps modernes*, tom II, str. 150.

[3] Tamże, str. 152—3.

[4] Askenazy, *O Pieśni legjonów* (*Kurjer Warszawski*, r. 1913, nr. 87).

Kiedy 6 listopada 1806 r. Dąbrowski z Wybickim wjeżdżał do Poznania, „po wszystkich ulicach dała się“ (jak opiewa współczesne świadectwo) „natychmiast słyszeć znana w Polsce piosenka *Marsz, marsz, Dąbrowski!*“ [1].

Za Księstwa Warszawskiego śpiewano ją, rozumie się, już jawnie — na wszystkich obchodach narodowych, jako powszechnie „znajomy marsz generała Dąbrowskiego“, jako „ulubioną piosenkę“, „w czasie upadku piękne wróżącą nadzieje“ [2]. Zmieniono jednak pierwszą strofę:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy [3].

Niedosyć na tem. Już za Księstwa Warszawskiego odpadły z pierwotnego tekstu dwie strofy:

trzecia:

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy, jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza —

i szósta:

Na to wszystkich jedne głosy:
Dosyć tej niewoli,

---

[1] Askenazy, *Napoleon i Polska*, j. w.

[2] Finkel, j. w.; Aleksander Poliński (*Dzieje muzyki polskiej w zarysie*, str. 181), a za nim Askenazy (j. w.), podają w wątpliwość, czy autorem melodji *Mazurka Dąbrowskiego* jest Ogiński, a to na tej podstawie, że słowa Ogińskiego w liście do Dąbrowskiego z dnia 28 kwietnia r. 1798: „Posyłam marsz dla legjonów polskich“, nie mogą jakoby „wcale dotyczyć... pieśni legjonów, która nie jest marszem, lecz mazurkiem“ (Askenazy, j. w.). Przytoczony przez Finkla (j. w.) urywek z *Gazety Korespondenta Warszawskiego* (r. 1809, nr. 104) rozprasza jednak te wątpliwości: mowa tu wyraźnie o „m a z u r k u ze znajomego m a r s z a generała Dąbrowskiego“. Co do melodji Hymnu i jej autorstwa ob. Andrzej Niemojewski, *Mazurek Dąbrowskiego i jego związki rodzinne w świecie pieśni (Tygodnik Illustrowany* 1917, nr. 7); Piotr Moos, *Jeszcze nie zginęła (Kurjer Polski* 1929, nr. 278 i 280); St. Zetowski, *Studja do pieśni powstaniowej (Przegląd Humanistyczny*, 1931, VI, 171—176); Lucjan Kamieński, *Pierwsza wersja dzisiejszej melodji do Pieśni Legjonów* (Sprawozdanie Tow. Nauk. we Lwowie 1930).

[3] Druk gdański z czasów Księstwa Warszawskiego (Finkel, j. w. str. 16—17, 30—31). — To samo brzmienie ma strofa pierwsza w *Piosnce patrjotycznej*, wydrukowanej w *Kalendarzyku kieszonkowym patrjotycznym na rok 1807 z zagadkami* (a więc w końcu r. 1806) w Warszawie, nakładem Jana Ludwika Kocha (Komarnicki, *Historja literatury polskiej wieku XIX*, część I, zeszyt 1, str. 38). Jest to, o ile dotychczas wiadomo, pierwodruk *Pieśni legjonów*.

Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli [1].

Tym sposobem pieśń, która się pierwotnie składała z sześciu strof, zmalała za Księstwa Warszawskiego do czterech.

Że i na Litwie *Mazurek Dąbrowskiego* stał się wcześnie pieśnią popularną, o tem świadczy Mickiewicz: Tadeusz, kiedy w roku 1811 przyjechał na wakacje do Soplicowa i kiedy zobaczył stary zegar kurantowy, to

...z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

A więc i na Litwie uchodziła ta pieśń już w r. 1811 za s t a r ą, to znaczy za dobrze znaną [2].

Lecz epokę w historji *Pieśni legjonów* stanowi dopiero powstanie listopadowe. Wkrótce po jego wybuchu, jeszcze w tym samym roku, wydał K. Wł. Wóycicki „w Warszawie oswobodzonej" *Pieśni ojczyste*, a wśród nich i pieśń Wybickiego, troszeczkę zmienioną i znacznie uzupełnioną (czterema nowemi strofami). Główna zmiana polega na tem, że w pierwszej zwrotce, zamiast „Co nam obca moc wydarła, Szablą odbijemy", wydrukowano: „Co nam obca przemoc wzięła, Mocą odbierzemy". I ta zmiana, jak wiadomo, ostała się, — do dziś dnia tak właśnie pierwszą strofę śpiewamy. Nie ostały się natomiast ani cztery nowe strofy, ani inne późniejsze, któremi wciąż uzupełniano pieśń, drukowaną odtąd już stale w niecenzuralnych zbiorach śpiewów patrjotycznych.

W bitwie pod Grochowem *Mazurek Dąbrowskiego* otrzymał krwawy chrzest: opowiada Barzykowski, że kiedy ranny już Chłopicki, „ręką wskazując, gdzie swe rycerstwo wieść zamierza, potężnym głosem krzyczy: tam, tam! — kolumna na odpowiedź jednym głosem: *Jeszcze Polska nie zginęła* zanuca; głos pieśni rozległ się po błoniach i o niebiosy odbił" [3]. Odtąd dopiero, od wojny roku 1831, *Mazurek Dąbrowskiego* stał się, jak prześlicznie powiedział Witkiewicz, „potężnym hymnem narodowym,

---

[1] Obydwie te strofy są jeszcze w druku warszawskim, odkrytym przez Komarnickiego; w druku gdańskim (rok?) już ich niema (ob. Finkel, j. w.).

[2] Choćby się nawet okazało, że istotnie, jak to mniema Pigoń, akcja *Pana Tadeusza* miała się — w p i e r w o t n e j redakcji poematu — odbywać w latach późniejszych, to w każdym razie ostoi się świadectwo Mickiewicza, że na Litwie *Mazurek Dąbrowskiego* był dobrze znany już przed powstaniem listopadowem.

[3] Cytata — według Lorentowicza, *Polska pieśń niepodległa*, Warszawa 1917, str. 19—20.

który w dniach wielkich brzmi jak potężny huragan dusz, a w dniach powszednich dźwięczy nieustannie w duszy jak słodka, kojąca mękę życia nadzieja“ [1].

Pieśń „Bogurodzica“ poprzedniczką Pieśni Legjonów. I oto mimowolnie przypomina się historja tej pieśni, którą przed wiekami śpiewało rycerstwo polskie na polach Grunwaldu, — pieśni *Bogurodzica*. I ona bowiem nie odrazu stała się hymnem narodowym, *patrium carmen*, jak ją nazywa Długosz.

Pierwotnie, kiedy się składała tylko z dwóch zwrotek, zawierających w sobie modlitwę do Najświętszej Panny, aby się przyczyniła za nami u Syna swego, i do Jezusa Chrystusa, aby dla zasług św. Jana Chrziciela dał nam „na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt“, — pierwotnie była pieśń *Bogurodzica* jedynie pieśnią kościelną, liturgiczną. Później dopiero, jak mniemać wolno, nie tracąc swego pierwotnego charakteru pieśni n a b o ż n e j, to jest śpiewanej podczas nabożeństwa, stawała się, rosnąc w coraz nowe zwrotki, ulubioną pieśnią p o b o ż n ą, śpiewaną już nietylko podczas nabożeństwa w kościele, ale i poza kościołem, np. podczas pielgrzymek, aż nakoniec, może już w XIV, a w każdym razie w XV wieku, wciąż pozostając pieśnią nabożną i pobożną, stała się nadto hymnem narodowym, kantykiem narodowo-religijnym [2], śpiewanym we wszystkich ważnych, nadzwyczajnych chwilach, „gdy wzburzone uczucia pierś rozpierały“ [3]. A do chwil takich należały nietylko bitwy, pod Grunwaldem, pod Nakłem, pod Wiłkomierzem, pod Warną: kiedy w roku 1440 nadeszła do Krakowa wieść o wybraniu Władysława Jagiellończyka królem węgierskim, Zbigniew Oleśnicki po odprawieniu mszy i po *Te Deum* zaintonował pieśń *Bogurodzica*, którą śpiewało nietylko duchowieństwo, ale i całe pospólstwo z niezmierną radością (*cum ingenti jocunditate*)[4].

Niedosyć na tem. Już w wieku XV nietylko śpiewano tę pieśń jako modlitwę, jużto błagalną, jużto dziękczynną, ale także objaśniano ją ludowi w kazaniach, jako źródło wiary i moralności chrześcijańskiej; i jeszcze w końcu XVI wieku Hieronim Powodowski w swoich kazaniach sejmowych, zaklinając szlachtę, aby nie uciskała kmieciów, ze względu, że są oni przecie nie niewolnikami, tylko obywatelami i rolnikami, powołuje się na „dawną *Bogurodzicę*“, która „Jadama, w wiecznem u Bogu odpoczynieniu siedzącego, zowie kmieciem Bożym“.

---

[1] *Jan Matejko*, Kraków, 1903, str. 69.
[2] Fijałek, *Bogurodzica* (*Pamiętnik Literacki*, tom II, str. 9).
[3] Brückner, *Literatura religijna w Polsce średniowiecznej*, tom I, str. 155.
[4] Tamże, *Codex Epistolaris saec. XV*, tom II, str. 415.

Dodajmy jeszcze, że po ucieczce Walezjusza senat krakowski, uchwaliwszy pogotowie wojenne, postanowił jednocześnie dla przyuczenia mieszczan, aby się mieli na baczności, trąbić od czasu do czasu na trwogę „piosnkę starodawną zwykłą, ledwa nie każdemu w Polsce znajomą — *Bogurodzicę*“ [1].

Wytworzyła się nawet już w XV wieku legenda, że, jak się wyraził jeden z kaznodziejów, tę pieśń „dawno ojcowie święci ułożyli“ [2]. A w roku 1506 Jan Łaski, wydając zbiór praw polskich, wydrukował na ich czele pieśń *Bogurodzica*, jako pieśń „ze wszystkich najświętszą“, będącą „jakby wyrocznią Królestwa Polskiego“, a „napisaną rękami i natchnieniem świętego Wojciecha“. Słusznie powiedziano, że ani jednej dawnej pieśni w żadnej literaturze europejskiej nie opromieniła taka aureola, podobnie jak w czasach nowszych — śmiało można powiedzieć — żadnej pieśni narodowej, z jednym jedynym wyjątkiem *Marsyljanki*, nie opromieniła taka aureola, jak ta, która otacza naszą *Pieśń legjonów*.

Lecz przyszedł czas, kiedy aureola *Bogurodzicy* zaczęła blednąć — i to już w tym samym XVI wieku, w którym Jan Łaski, przypisując jej autorstwo świętemu Wojciechowi, usiłował jej nadać przez to jakby sankcję oficjalną świętości. Cóż na to wpłynęło? Czy tylko reformacja religijna, która tak bardzo osłabiła w narodzie dawny kult Matki Boskiej? Nie: kult Najświętszej Panny zakwitł na nowo w wieku XVII, a pomimo to nigdy już — mimo żalów i protestów — nie odzyskała *Bogurodzica* straconej godności hymnu narodowego, dlatego poprostu, że się przeżyła, że już nie odpowiadała duchowi nowych czasów, dla których „na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt“ przestał już być naczelnym ideałem [3]. Nie wskrzesiła pieśni ani pobożna fundacja kanonika gnieźnieńskiego, Franciszka Raczyńskiego, dzięki której u grobu św. Wojciecha śpiewali ją i do dziś dnia śpiewają wikarjusze; nie wskrzesił jej i patrjotyzm Niemcewicza, który, jak niegdyś Łaski na czele statutów, umieścił ją na czele swoich *Śpiewów historycznych*. Inaczej być nie mogło, bo, jak mówi Asnyk,

> ...słusznie rzesza żywych się domaga,
> By dla niej z pieśni nowa jasność biła,
> Świeża chęć życia i świeża odwaga,
> Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

---

[1] *Acta Historica*, tom VIII, str. 303 i nast.

[2] Brückner, j. w., str. 155.

[3] Wprawdzie Wacław Potocki w swej *Wojnie Chocimskiej* każe rycerzom śpiewać *Bogurodzicę* — ale to tylko jego *pium desiderium*.

W przyszłość prowadziła naród polski już nie starodawna pieśń religijna, tylko nowa pieśń świecka — *Jeszcze Polska nie zginęła*, bo z niej biła dla narodu „świeża chęć życia i świeża odwaga", bije do dziś dnia, i z pewnością długo jeszcze bić będzie.

Dlaczego? Dlaczego *Pieśń legjonów*, która zrazu była tylko okolicznościową pobudką wojenną, podobnie jak *Bogurodzica* była zrazu tylko pieśnią kościelną, stała się z biegiem czasu, podobnie jak ona, naszem *patrium carmen*, naszym hymnem narodowym?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, zobaczmy najprzód, czem była w stosunku do dawniejszej — wcale bogatej — poezji patrjotycznej epoki rozbiorów, czy zawierała w sobie co nowego.

Pieśń Legjonów wobec tradycji literackiej. Jako pobudka wojenna, wcale nie była nowością: znała takie pobudki już poezja konfederatów barskich; po pierwszym rozbiorze słychać je coraz częściej, w epoce zaś Sejmu Czteroletniego, a cóż dopiero podczas powstania Kościuszki, wysuwają się one na samo czoło liryki patrjotycznej; niebrak i przekładów z francuskiego — ani *Pieśni Marsylczyków* [1], ani pieśni *Ça ira* [2]. Sam Wybicki, jeszcze za czasów niepodległości, pisywał pobudki wojenne, czyto pośrednie — w operze *Samnitka*, czy też bezpośrednie — w operze *Polka:*

Polacy, męstwo jeśli w nas nie zgasło,
Jeśli nam miła jest Ojczyzna nasza,
Wiara i Wolność, — na tak święte hasło
Siadajmy na koń, dobądźmy pałasza,
Odwagą, męstwem i siłą ramienia
Okażmy dzielność polskiego imienia!

Nawiązywanie do dawnej rycerskiej tradycji, mianowicie do Czarnieckiego, także nie było w naszej liryce patrjotycznej XVIII wieku żadną nowością. Już Karpiński w pieśni *Z okoliczności czasów Czarnieckiego* wołał:

Pozwól, Czarniecki! nim twój popiół zginie,
Niech go rozrzucę po tej czczej krainie:
Może bohatyr, z niego wstając, jaki
Zgodzi z dawnymi dzisiejsze Polaki.

Dmochowski zakończył swoją *Pobudkę do narodu* słowami:

Trzeba koniecznie być nam Czarnieckimi,
Inaczej — pewne pęta w naszej ziemi [3].

---

[1] Rkps. Bibl. Zamoyskich, nr. 839 i 928.
[2] Rkps. Bibl. Akademji, nr. 615.
[3] Tamże.

A i sam Wybicki — w operze *Polka* — nie zapomniał o Czarnieckim.

Także i ojciec, zwiastujący swej „zapłakanej“ Basi wieść radosną, że „nasi biją w tarabany“ [1] nie jest w pieśni Wybickiego pomysłem nowym — o tyle, że w pobudkach wojennych z epoki Sejmu Czteroletniego (zwłaszcza w pieśniach Franciszka Makulskiego) dziewczęta biorą żywy udział w sprawach ogólnonarodowych, płaczą i żegnają się z ukochanymi, idącymi na wojnę, radują się na myśl o ich zwycięskim powrocie.

Lecz nietylko motywy literackie *Pieśni legjonów*, ale także niektóre jej myśli i uczucia nie były wcale nowością w naszej liryce patrjotycznej XVIII wieku. Nadzieję zwycięstwa nad Niemcem i Moskalem uzależnia Wybicki od powszechnej zgody. Otóż nawoływanie do zgody, do jedności, wpajanie w społeczeństwo wiary, że, jak mówi Krasicki w satyrze *Świat zepsuty*,

...okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie,

było zarówno w poezji, jak w publicystyce stanisławowskiej bardzo częste, zwłaszcza w epoce Sejmu Czteroletniego.

Niedosyć na tem. Wiara w przyszłość, bijąca z *Pieśni legjonów*, jest w pewnej mierze owocem tej usilnej i uczciwej pracy, którą podjęły dopiero za Stanisława Augusta najprzedniejsze umysły i najszlachetniejsze serca polskie około odrodzenia zwyrodniałej pod każdym względem Ojczyzny; tą wiarą biło serce Konarskiego, kiedy uczył, że „i grzech jest wielki, i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitej“; ta wiara tliła się nawet w sercu Krasickiego, kiedy wołał: „Rozpacz — podział nikczemnych“; ta wiara ożywiała serca Staszica i Kołłątaja, kiedy nawoływali naród do ratowania ojczyzny.

Tak, na początku panowania Stanisława Augusta, bezpośrednio po okropnej epoce saskiej, nie mogłaby się zrodzić — nawet w tak szlachetnem sercu, jakie biło w piersi Wybickiego, — tak mocna wiara w siły żywotne Polski; na to trzeba było — raz jeszcze — długiej, usilnej i uczciwej pracy całego szeregu przodowników odradzającego się społeczeństwa.

---

[1] Basią w tej strofie jest, jak mniema L. S. Korotyński *(Poeci legjoniści*, Warszawa 1907, str. 11), Barbara Chłapowska, która w roku 1796, kiedy Dąbrowski opuszczał Polskę, była jeszcze dzieckiem, a która w lat jedenaście później oddała mu swą rękę. (W autografie Wybickiego czytamy: „Iuż tam ociec do swey Basi mowi zapłakany“, — zamiast *zapłakanej;* podobnież napisał Wybicki „z ziemi włoski“, zamiast *włoskiej.*

Kwiat nowości w Pieśni Legjonów. Wszystko to prawda, a jednak — mimo wszystko — bije z *Pieśni legjonów* „nowa jasność", „świeża chęć życia i świeża odwaga".

Pamiętajmy przecie, że po upadku powstania kościuszkowskiego wiara w przyszłość uleciała z serc polskich; i kiedy się czyta poezje z tej epoki, to naprawdę przypominają się słowa Krasińskiego:

Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: T u n i e m a n a d z i e i...

Bo czy nie ten właśnie napis wyrasta z *Żalów Sarmaty* Karpińskiego? I w *Bardzie polskim* Czartoryskiego jest raczej pragnienie nadziei, aniżeli nadzieja. Cóż dopiero powiedzieć o wierszu Karpińskiego *Do Repnina:*

Ten język i te wiersze słowami polskiemi
Może za sto lat znane nie będą w tej ziemi.

A Morelowski wróżył:

Nieszczęsne matki polskie, przebóg! nie Polaków,
Lecz wydacie nam Niemców, Moskalów, Prusaków!

Czy to nie straszne? Woronicz nie tracił wprawdzie nadziei, ale pokładał ją już tylko — w miłosierdziu Bożem. A i bezimienny autor *Trenów upadku Polski* [1], chociaż wołał: „Precz z tronów, tyrany!" — wiarę swoją w ich klęskę opierał nietylę na własnych siłach narodu, ile na wytworzonym przez filozofję oświecenia (a podzielanym i przez Woronicza) poglądzie, że nie „traf", tylko niezmienne prawo Boże panuje na świecie i że prędzej czy później zatriumfuje, bo upadek Polski był tylko „trafem".

Wiara w szczęśliwszą przyszłość narodu była w sercach polskich po upadku ojczyzny tem słabsza, że po wieku XVIII odziedziczono pogląd, iż się bez niepodległego państwa naród długo ostać nie może. „Kiedykolwiek jaki naród — pisał Tadeusz Czacki w dziele *O litewskich i polskich prawach* — przestaje być samorządnym, mija kilka ledwie pokoleń, aliści wzgarda dla nieszczęścia i obojętność dla niebędącego kraju oddaje go zapomnieniu". Podobnego rodzaju głosy rozlegały się często na początku XIX wieku.

---

[1] Włoch, *Polska elegja patrjotyczna w epoce rozbiorów*, str. 127—132.

Wybicki, syn wieku oświeconego, podzielał niezawodnie pogląd, że niema narodu bez niepodległego państwa [1]; ale jaki stąd wyprowadził wniosek? Taki, że trzeba niepodległe państwo odzyskać i że je odzyskać — można, a raczej, że je Polska odzyska napewno. Jak nieco później bezimienny autor broszury *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?* wołał: „Polacy!... zachęcam was do pewnych zwycięstw, gdy z odwagą rzucicie się na nieprzyjaciół; macie wszystko do zwycięstw, odważcie się tylko zwyciężyć", — tak Wybicki, on pierwszy z poetów polskich i na długo on jeden jedyny, zawołał:

Co nam obca moc wydarła,
Szablą odbijemy.

I to właśnie jest „kwiat nowości", którym potrząsnął w swej pieśni. Siedem słów tylko, ale ileż w nich treści! co za wspaniała prostota żołnierska! co za siła cudowna! jakie zdrowie moralne! jaka święta prawda! Z ducha, zaklętego w te słowa, urodzi się przykazanie Mickiewicza:

Gwałt niech się gwałtem odciska!

Z tego samego ducha urodzi się przykazanie Słowackiego:

Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie,
A przysiężemy, — to zmartwychwstać musi.

O ileż więcej mądrości narodowej zawierają w sobie te słowa Wybickiego, aniżeli późniejsza nasza filozofja mesjanistyczna!...

Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz tych słów, są w jego pieśni inne:

Jeszcze Polska nie umarła,
Póki my żyjemy.

Cóż z tego, że Polski nie było na mapie: ci, którzy mieli serce i patrzyli w serce, widzieli ją tam na dnie i wierzyli, że prędzej czy później powróci na świat Boży. Otóż tę świętą

[1] Widać to wyraźnie z samego tekstu pieśni, mianowicie ze strofy trzeciej: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziem Polakami". Dlaczego dopiero „będziem"? Dlatego, żeśmy nimi być przestali z chwilą utraty niepodległości i że nie będziemy nimi dopóty, dopóki niepodległości nie odzyskamy. Przypominają się słowa Albertrandego (na pierwszem zgromadzeniu publicznem Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 23 listopada 1800 r.): imię narodu polskiego „w rzędzie narodów przekreślone widzimy"; naród polski jest „w obcą narodów bryłę przelany". Podobnież pisał Dmochowski jeszcze w 1803 r.: „Już naród polski przelany w bryłę obcych narodów; znikną powoli charaktery, które go znamionowały". Zupełnie tak samo interpretował słowa „będziem Polakami" Stanisław Grabski (w odczycie *O drogach historycznych Polski*, wygłoszonym w Krakowie dnia 11 grudnia 1921 r.).

prawdę własnego serca i niewielu innych, wierzących podówczas serc polskich podniósł Wybicki do godności aktu wiary i nadziei narodowej, do wysokości przykazania narodowego [1]. I nie przesadą, tylko prawdą jest to, co o czterech pierwszych słowach *Pieśni legjonów* powiedział Witkiewicz, że „są to największe, najdonioślejsze słowa", jakie po utracie niepodległości „usta polskie wymówiły; jest to treść i istota polskiego sumienia". Tak; podobnie jak treścią i istotą sumienia ludzi średniowiecznych była modlitwa o „zbożny pobyt" na świecie i o „rajski przebyt" za światem, tak treścią i istotą sumienia polskiego w epoce, na której progu Polska zginęła, stała się wiara, że „jeszcze Polska nie zginęła". „Na dymiących się pobojowiskach, wśród pożogi miast zdobywanych, ponad cichemi polami wsi polskiej, przy huku kół i młotów warsztatu, przy pracy badaczy naukowych, w szczęściu i niedoli, z kajdanami na nogach, czy z blaskiem zwycięstwa na czole, wszędzie i zawsze" niósł z sobą Polak w tej okropnej epoce „ducha tych czterech wyrazów". One były dla nas „tak konieczne, tak z nami zrośnięte", że, zdawałoby się, „każdy je sam wiedział, że sam je, zanim żyć począł, wypowiedział, lub że się urodziły gdzieś w niebie nad polską ziemią, że nie było i niema wiadomego człowieka, który je wymówił pierwszy" [2].

A jednak taki człowiek był — i nazywał się Józef Wybicki. On to dopiero, dzięki swemu gorącemu i czystemu sercu, które nieraz widzi głębiej i dalej niż rozum, ujrzał prawdę, której mędrsi od niego nie widzieli; on dopiero uświadomił duszy narodowej jej najdrogocenniejszy i najświętszy skarb.

Oto dlaczego *Pieśń legjonów*, która zrazu była wyznaniem wiary tylko nielicznych serc, obiegła całą Polskę od morza do morza, poleciała i w odwieczne puszcze litewskie, gdzie powtarzały ją „dęby dębom, bukom buki", weszła w duszę i w krew narodu; ona to z Polski zrobiła nazwiska

Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska;

krótko mówiąc, ona to stała się polskim hymnem narodowym.

I z tego stanowiska, które wywalczyła sobie ostatecznie podczas powstania listopadowego, nie zepchnęły jej — i nie

[1] „Wrzekome sieroty, niby pogrobowe już dzieci, którym od kolebki zwiastowano, że ich(!) Matka odumarła,... przy każdym nadziei zaświcie i po każdym jej zachodzie, nucą wiernie, ufnie i miłośnie, bez rozpaczy, choć w żałobie: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy". Taki akt Wiary, Nadziei i Miłości całego narodu, w prostej pieśni zawarty, bodaj czy nie więcej dowodzi nad wszelkie rozumowania". (Cieszkowski, *Ojcze nasz*, tom drugi, rozdział piąty).

[2] Witkiewicz, j. w., str. 69—70.

mogły zepchnąć — dwie inne popularne pieśni narodowe: ani *Z dymem pożarów,* ani *Boże, coś Polskę,* albowiem ani jedna, ani druga nie wyraża tego i tak, co i jak wyraża *Mazurek Dąbrowskiego.* Pieśń *Z dymem pożarów* jest przedewszystkiem pieśnią żałoby patrjotycznej i strasznej skargi, zaniesionej przed tron Boga, i dopiero w ostatniej strofie jest pieśnią wiary, ale nie w odbudowanie Polski, tylko w zemstę nad wrogiem. A pieśń *Boże, coś Polskę,* która była pierwotnie hymnem oficjalnym Królestwa Kongresowego na cześć cesarza i króla Aleksandra, i później dopiero, ulegając wielu zmianom i uzupełnieniom, stała się — już w przeddzień powstania styczniowego — ulubioną pieśnią narodową, — „ta pieśń rozpaczy i niemocy", jak ją słusznie nazwano [1], buduje przyszłość ojczyzny na wierze nie we własne siły narodu, tylko w miłosierdzie Boże. Tutaj, w *Pieśni legjonów,* — inaczej: nie o zemstę nad wrogiem tu chodzi, tylko o wolność ojczyzny, i nie nadzieja wolności, oparta na wierze w miłosierdzie Boże, jest sercem tej pieśni, tylko p e w n o ś ć odzyskania wolności, oparta na wierze we własne siły narodu.

Kwiat młodości w Pieśni Legjonów. Dzisiaj wolność z dziedziny uczuć, marzeń i postanowień przeszła w dziedzinę rzeczywistości. Czy z tego wynika, żeby *Pieśń legjonów* miała utracić swój charakter hymnu narodowego, żeby miała przejść w dziedzinę wspomnień? Podczas wojny rozlegały się tu i owdzie głosy, że, kiedy Polska odzyska niepodległość, to pieśń *Jeszcze Polska nie zginęła* przestanie być aktualną, że nie będzie mogła już być hymnem narodowym, że trzeba będzie ogłosić konkurs na nowy hymn [2]. Wolne żarty! Jak religja powstaje nie z głowy, tylko z serca, tak pieśń narodowa (która, jeśli jest naprawdę wyrazem żywej duszy narodowej, to zawsze ma w sobie coś religijnego) nie powstaje na zamówienie, tylko się rodzi z wielkiej chwili dziejowej, „drgnieniem serca" z niej „dobyta". Tak urodziła się *Marsyljanka,* tak urodziła się i *Pieśń legjonów.* I jak Francuzi za nic w świecie nie wyrzekliby się *Marsyljanki,* jako hymnu narodowego, tak i my poco mamy szukać innego hymnu, mając *Pieśń legjonów*? Bo i co się w niej przestarzało? Może przyśpiew: „Marsz, marsz Dąbrowski"? Albo strofa: „Jak Czarniecki do Poznania"? Albo może strofa kończąca się słowami: „Kościuszkę Bóg pozwoli"? Ależ naród, prawdziwie kulturalny, zachodnio-europejski, żyje i żyć powinien nietylko te-

[1] Lorentowicz, *Polska pieśń niepodległa,* str. 86. — Podczas powstania styczniowego śpiewano tę pieśń po kościołach w diecezji podlaskiej — z rozkazu biskupa O. Benjamina.

[2] Doskonałą odprawę podobnego rodzaju głosom dał Lorentowicz w *Nowej Gazecie* roku 1916 (przedruk w *Czasie,* dnia 14 grudnia tegoż roku, nr. 628).

raźniejszością i przyszłością, ale i przeszłością; a do tego naród, który przeszedł takie koleje, jak my, zawsze powinien nosić w sercu tych swoich wielkich bohaterów, którzy go — jak Czarniecki — bądź z otchłani nieszczęść wyrwali, bądź — jak Kościuszko i Dąbrowski — wyrwać z niej usiłowali, ocalając przez to honor narodowy. Więc niechaj przez długie jeszcze wieki nietylko nauka dziejów ojczystych, ale i nasz hymn narodowy przypomina nam o tych naszych bohaterach! Pamięć o nich

. . . . . jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy...

A jeśli to wszystko prawda, to, pamiętajmy, nie wolno nam i dzisiaj, kiedy śpiewamy hymn narodowy, pomijać w nim ostatniej strofy — o Kościuszce, tem bardziej, że i dzisiaj modlitwa do Boga, żeby nam „pozwolił“ takiego bohatera, jak Kościuszko, nie powinna opuszczać naszych serc.

Lecz może przestała być świeżą inna strofa? — ta, która mówi, że

Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy?[1]

Nie, i ona jest młoda — i będzie młoda, i to nietylko dlatego, że Bonaparte zawsze będzie przykładem dla zwycięskich wodzów, ale nadewszystko dlatego, że ta strofa, mówiąc o Bonapartem, mówi nam o Francji, z którą, jeśli chcemy, żeby Polska nie zginęła, musimy być w sojuszu i przyjaźni. Słowa, które po utworzeniu przez Napoleona Księstwa Warszawskiego wypowiedział Kołłątaj, nie straciły do dziś dnia swej mądrości i — z pewnemi zastrzeżeniami — mogą i powinny być, i dzisiaj i jutro, gwiazdą przewodnią naszej polityki: państwo nasze „musi być złączone z Francją przez aljans konstytucyjny, to jest przez wieczny związek, który wszystkie inne wyłącza“[2]; albowiem, „gdy doświadczenie przeszło dwóch wieków przekonało każdego, iż wpływ sąsiadów na nasze interesa wewnętrzne, pogrążywszy nas w anarchji, przywiódł nareszcie o zgubę imienia polskiego, przeto, wyrzekając się... na zawsze najmniejszego stronnictwa z temi sąsiedzkiemi mocarstwami, powinniśmy zatykać uszy na

[1] W tej strofie słowa „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę“ potrzebują komentarza: według planu Dąbrowskiego, legjony miały iść przez Galicję do Wielkopolski, a więc najprzód przejść Wisłę, a dopiero później Wartę (Finkel, *O Pieśni legjonów*, str. 19).

[2] *Uwagi nad Księstwem Warszawskiem*, str. 139.

wszelkie, choćby najpochlebniejsze ich podszepty;... powstaliśmy przez Francją, winniśmy jej nasz byt teraźniejszy; przez nią mamy być doprowadzeni do tej wielkości, jaka nam w nowej polityce przystoi, a zatem nie powinniśmy być w żadnym innym związku, tylko z Francją, i tę wielką prawdę wpajać z mlekiem... naszym potomkom“ [1]. Zapewne, trzeźwemu politykowi n i c z e g o nie wolno się wyrzekać na zawsze, — niczego, a więc także i „stronnictwa z sąsiedzkiemi mocarstwami“: ale ponieważ, nietylko dzisiaj, ale i bardzo długo jeszcze, jeśli nie zawsze, potęga Polski, co więcej, sama jej niepodległość, będzie niemożliwością polityczną bez aljansu z Francją; ponieważ w sojuszu z nią „mamy być doprowadzeni do tej wielkości, jaka nam w nowej polityce przystoi“, — więc jedynie z temi „sąsiedzkiemi mocarstwami“ wolno nam mieć „stronnictwo“, z któremi ma je Francja. Niechże tę prawdę polityczną i nam, i naszym potomkom przypomina ta strofa *Pieśni legjonów*.

Mówi jeszcze mądrze Kołłątaj, — mądrze już bez wszelkich zastrzeżeń — że „apetyt podziału krajów trwa jeszcze dotąd“ [2]. Czy dzisiaj jest inaczej? Nie łudźmy się ani na chwilę: nasi sąsiedzi nieprędko jeszcze oswoją się z naszą niepodległością, — o tem musimy ciągle pamiętać. A jeżeli tak, to nie mówmy, że się w naszym hymnie narodowym przestarzała strofa:

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy, jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I Ojczyzna nasza.

Nie, i ta strofa kwitnie do dziś dnia młodością i świętością przykazania narodowego — i długo jeszcze kwitnąć będzie. I czy te słowa nie lepiej przystoją ustom naszym, aniżeli te, któreśmy tak często śpiewali, nie zdając sobie sprawy, że one są dla nas nietylko upokarzające, ale wręcz hańbiące:

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!

Aż dziw, aż wstyd, że tego nie czujemy! W *Pieśni legjonów* niema ani jednego słowa, któreby nam przynosiło wstyd, — całą, od początku do końca, mamy prawo śpiewać z podniesionem czołem, bo w tej pieśni jest złożona nietylko nasza gorąca miłość ojczyzny, ale i nasza szlachetna duma narodowa, nasza mocna wiara we własne siły. Nigdy w świecie nie odzyskalibyśmy niepodległości, gdybyśmy po jej utracie nie wierzyli, że ją odzyskamy, to znaczy, gdybyśmy nie wierzyli w tę świętą prawdę, którą nam mówiła pierwsza strofa *Pieśni legjonów*.

[1] Tamże, str. 211—13.
[2] Tamże, str. 12.

I pod tym tylko warunkiem odzyskaną niepodległość zachowamy, że nie stracimy wiary w tę prawdę. Albowiem ten tylko naród ma przyszłość przed sobą, który wierzy przedewszystkiem we własne siły, nie zaś w cudzą pomoc, nie w szczęśliwy zbieg okoliczności — i nawet nie w triumf ideału, ani w pomoc Bożą; bo ideał triumfuje na świecie tylko wtedy, kiedy człowiek sam na jego triumf zapracuje, a Pan Bóg nie pomaga człowiekowi — bez jego własnej woli i pomocy. Jest to prawda wiekuista — i tę właśnie wiekuistą prawdę mówi nam *Pieśń legjonów* — i dzięki tej wiekuistej prawdzie nie zestarzała się i nie zestarzeje nigdy; jest i będzie dla nas nietylko świętą pamiątką historyczną, ale i żywą prawdą narodową.

Nasz Hymn wobec hymnów innych narodów. Czy wiele narodów może się taką pieśnią poszczycić?

Rule Britannia! — śpiewają Anglicy, — panuj, Brytanjo! — „panuj na oceanie, bo Brytańczycy nigdy nie będą niewolnikami! Narody, mniej szczęśliwe od ciebie, jeden po drugim dźwigać będą jarzmo tyranów: ale ty kwitnąć będziesz wielka i wolna, i cała reszta świata zazdrościć ci i bać się ciebie będzie!“ Co za duma szalona bije z tego hymnu narodowego Anglików! Znakomity filozof niemiecki, zmarły podczas wielkiej wojny Wilhelm Wundt, napisał wkrótce po jej wybuchu niezmiernie ciekawą, chociaż nie sprawiającą bynajmniej zaszczytu jego pamięci, książkę: *Narody i ich filozofja* [1]; w ostatnim jej rozdziale, poświęconym „duchowi narodów podczas wojny i pokoju“, mówi słusznie, że, jeśli się w hymnach narodowych odzwierciedla dusza narodowa w swojej najgłębszej istocie, to najgłębszą istotę duszy angielskiej stanowi żądza potęgi i panowania nad całym światem.

W naszym hymnie narodowym niema tej żądzy ani źdźbła.

A o *Marsyljance* co mówi Wundt? Widzi on w niej jeden tylko wiersz:

Le jour de gloire est arrivé —

„już nadszedł dzień sławy“ — i z tego wyprowadza wniosek, że zarówno dla Francuza, jako jednostki, jak dla całej Francji, jako narodu i kraju, największe dobro życia stanowi honor i sława. Trzeba być, naprawdę, zaślepionym, aby tak przekręcać prawdę. Kto ma oczy, komu ich, jak uczonym i filozofom niemieckim, nie odebrała psychoza wojenna 1914 roku, ten w *Marsyljance* zobaczy przedewszystkiem

Amour sacré de la patrie —

[1] *Die Nationen und ihre Philosophie. Ein Kapitel zum Weltkrieg*, Lipsk 1915. Doskonałą ocenę tej książki napisał Józef Ujejski w rozprawie p. t. *Narody i ich filozofja (Rok Polski*, 1916).

„świętą miłość ojczyzny“ i płomienną miłość „ukochanej wolności“,

Liberté, liberté chérie,

a potem — święty zapał do walki z tyranami i najeźdźcami, którzy chcą ojczyznę pozbawić wolności, oraz mocną jak skała wiarę we własne siły: z tych dopiero uczuć płynie szlachetna żądza sławy — sławy ze spełnionego obowiązku „świętej miłości kochanej ojczyzny“.

Pod same niebiosa wynosi — oczywiście — Wundt pieśń narodową Niemców:

Fest steht und treu die Wacht, die Wacht am Rhein.

„S t a ł o ś ć i w i e r n o ś ć — mówi Wundt — oto co Niemiec poczytuje za najwyższe zalety charakteru narodowego, czyli, jednem słowem, o b o w i ą z e k; wierność obowiązkowi — oto co Niemiec przenosi z pracy podczas pokoju na trudy wojny, podczas której staje się ta wierność obowiązkowi najwyższym ze wszystkich obowiązków — obowiązkiem poświęcenia za ojczyznę“.

Zapewne, z pieśni *Die Wacht am Rhein* bije i miłość ojczyzny, i poczucie obowiązku patrjotycznego; tylko dlaczego Niemiec poczytuje za swój obowiązek patrjotyczny straż nad Renem? Czy tylko jako obronę ojczyzny przed najazdem nieprzyjacielskim? Nie, ale nadewszystko jako oparcie do najazdu na cudze kraje. Jest przecie, oprócz pieśni wojennej *Die Wacht am Rhein*, która dopiero podczas wojny 1870 roku stała się niemieckim hymnem narodowym, inny jeszcze hymn, który śpiewa cały naród niemiecki:

Deutschland, Deutschland über alles,
Über alles in der Welt.

Te pierwsze słowa pieśni, to jeszcze nie szowinizm, to tylko miłość ojczyzny, która każdemu narodowi jest droższa ponad wszystko na świecie. Ale jak sobie Niemiec tę swoją ojczyznę wyobraża, jakie jej granice zakreśla?

Von der Maas bis an die Memel,
Von der Etsch bis an den Belt!

„Od Mozy aż do Niemna“: więc okraść Francję i Belgję, a Polsce nie oddać tego, co się dawniej ukradło; „od Adygi aż do Bełtu“: więc zrabować Włochy, a Danji nie oddać tego, co się dawniej zrabowało! Oto „obowiązek“ niemiecki!

W naszym hymnie narodowym nic podobnego niema:

Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy,

ale ani piędzi ziemi więcej — oto p o l s k i obowiązek. Krasiński powiedział prawdę:

Z Polski ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje...
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy,
Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca.

Tak było w przeszłości, tak będzie i w przyszłości. Jak *Marsyljanka,* tak i *Pieśń legjonów* jest pełna wiary we własne siły narodu i miłości ojczyzny, ale nie ma w sobie nic ani szowinizmu narodowego, ani ambicji panowania nad światem, ani żądzy rozboju. To też, jak *Marsyljanka* była, jest i będzie dla Francji cudotwórczą pobudką do miłości i poświęcenia, zapału i męstwa, tak dla nas *Pieśń legjonów,* która

. . . . . do krwi pędziła rycerze
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne,

pieśń, która przez długie lata niewoli stała na straży

Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem,

pieśń, która czasem dzierżyła „i miecz archanioła", — dzierży go i dzisiaj, i długo jeszcze zapewne dzierżyć będzie; żarzące się w niej „iskry młodego zapału" dotąd „tlą w głębi piersi" polskiej i jeszcze

. . . . . nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.

O LITERATURZE POLSKIEJ

Wykład wstępny, wygłoszony w Uniwersytecie Jagiellońskim dnia 30 maja 1910 r.

Ze wszystkich, którzy kiedykolwiek i gdziekolwiek wykładali historję literatury polskiej, potęgą umysłu zarówno, jak ogniem serca, największy — powiedział, że, ponieważ ziarnem i źródłem całego wogóle życia duchowego Polski jest „dogmat patrjotyzmu", więc i „cała literatura polska jest rozwinięciem i zastosowaniem tego dogmatu", że „wzrosła, wybujała i zakwitła pod życiodajnem tchnieniem miłości ojczyzny".

W tych słowach określił i uwydatnił Mickiewicz najistotniejszą cechę literatury naszej.

* * *

Czy jednak jakakolwiek literatura, mająca, jak polska, kilkowiekową historję, może posiadać jakąś cechę istotną, s t a ł ą, przez wieki całe nie ulegającą zmianie? Słusznie, charakteryzując literaturę francuską, pytał o to przed laty blisko dwudziestu Brunetière [1], — i słusznie odpowiedział, że historja literatur zachodnio-europejskich, pomimo różnorodnych prądów i zmian, niekiedy mających charakter antytezy wobec przeszłości, pozwala jednak, a nawet zniewala, dopatrzeć się w każdej z nich pewnej cechy s t a ł e j, znamiennej, jeśli nie dla wszystkich, to dla najwybitniejszych utworów, do tego cechy o d r ę b n e j, wyróżniającej jedną literaturę od innych, a będącej jakby środkiem ciężkości, który, mimo zboczeń i wahań, czasem długie lata trwających, utrzymuje ją w równowadze.

Taką cechą, zdaniem Brunetière'a, jest dla literatury francuskiej jej charakter społeczny i w tej społeczności ogólnoludzki, uniwersalny, to znaczy, że w arcydziełach literatury francuskiej natura zarówno, jak historja, obraca się najczęściej

[1] *Le Caractère essentiel de la littérature française (Études critiques sur l'histoire de la littérature française,* serja piąta); por. także *Le Cosmopolitisme et la Littérature nationale"* (tamże, serja szósta).

około człowieka, człowiek około społeczeństwa, społeczeństwo zaś około całej ludzkości. Za najistotniejszą cechę literatury włoskiej poczytuje Brunetière jej charakter nawskróś i wyłącznie artystyczny, to znaczy, że w pościgu za pięknością formy jest literatura włoska zupełnie obojętna na treść *(l'indifferenza del contenuto)*. Literatura niemiecka, według Brunetière'a, ma charakter filozoficzny: filozofowie niemieccy są poetami, a poeci filozofami; w *Teorji barw* albo w *Metamorfozie roślin* Goethe jest filozofem nie mniej i nie więcej, jak w *Dywanie* albo w *Fauście*, a teologję Schleiermachera albo filozofję nietylko Schellinga, Hegla i Fichtego, ale także Kanta i Schopenhauera, przenika poezja. Literaturą „indywidualistyczną" nazwał uczony francuski literaturę angielską, mówiąc, że, jeśli pominąć generację Pope'a i Addisona (do której zresztą — pamiętajmy o tem — należy i Swift), to Anglicy piszą, zdawałoby się, poto jedynie, aby samym sobie uświadomić swą własną indywidualność; z tego zaś głównego źródła płyną inne cechy znamienne literatury angielskiej: jej humor, jej liryzm, jej ekscentryczność.

Czy ta charakterystyka czterech najbogatszych literatur europejskich jest trafna? Na sąd Brunetière'a o literaturze francuskiej zgodziliby się z pewnością i Petit de Julleville, i Faguet, i Lanson, i Pellissier. Sądowi o literaturze niemieckiej przyklasnęliby zapewne i Wilhelm Scherer, i Erich Schmidt. Ale, co do literatury włoskiej, czy przeciwko rozciąganiu owej *l'indifferenza del contenuto* na c a ł ą literaturę włoską nie zaprotestowałby czasem sam Francesco de Sanctis, który wymyślił wprawdzie tę nazwę, ale zastosował ją jedynie do epoki odrodzenia? [1] A co do literatury angielskiej, to jej ujęcie przez Brunetière'a niekoniecznie się zgadza z poglądem znakomitego krytyka angielskiego, Williama Courthope'a, który za najwybitniejszą cechę poezji angielskiej poczytuje „harmonijne połączenie sprzecznych pierwiastków, tworzących sumę cywilizacji angielskiej", oraz z tego dopiero źródła płynący ów *humour*, jako nietylko stwierdzenie, ale i uczuciowe pogodzenie sprzeczności [2].

Zresztą nie idzie nam tutaj o to, czy zmarły niedawno uczony francuski trafnie, czy nie trafnie, scharakteryzował literatury europejskie, — ale o to, żeby stwierdzić, iż najznakomitsi historycy literatury (bo do najznakomitszych należy zarówno Brunetière, jak Courthope) poczytują zagadnienie ogólnej charakterystyki tej lub owej literatury europejskiej za uprawnione naukowo i do rozwiązania możliwe.

---

[1] *Storia della letteratura italiana*, wyd. 2-gie, I, 368 i nast.

[2] *Life in Poetry: Law in Taste*. Por. tegoż *A History of english Poetry* (sześć tomów).

Otóż, co do literatury polskiej, zagadnienie to pierwszy postawił i zarazem rozwiązał — w przytoczonych słowach — Mickiewicz. Tak! Naogół biorąc, literatura nasza w tem, co ma w sobie najlepszego, „wzrosła, wybujała i zakwitła pod życiodajnem tchnieniem miłości ojczyzny"; jej cechą główną — zarówno znamienną, jak odrębną — jest patrjotyzm, świadoma troska o szczęście ojczyzny; innemi słowy, charakter naszej literatury jest przeważnie — p o l i t y c z n y.

* * *

Czynem patrjotycznym jest pierwszy znakomity utwór naszej literatury, kronika Długosza: „Na co tylko siły moje zdobyć się mogły, to w dziele niniejszem starałem się obrócić ku sławie miłej ojczyzny;... za ostatniego taki ma być uważany, który jej jakimkolwiek upominkiem nie poczci i nie wspomoże". Duch patrjotyczny — miłość ojczyzny szeroka, nie ciasna, jak u dawnych kronikarzów, — to najznamienniejsza cecha kroniki Długosza. Inny znakomity pisarz tego wieku, Ostroróg, także nie co innego miał w swym *Memorjale* na myśli, tylko wspomożenie, wedle sił swoich, „króla i ojczyzny".

W wieku XVI nasz język ojczysty wyzwala się z pęt języka łacińskiego; powstaje literatura, narodowa już nietylko z ducha, ale i z języka. Otóż jej stworzenie było ś w i a d o m y m czynem miłości ojczyzny i szlachetnej dumy narodowej, której najgorętszym rzecznikiem był Rej, — on, co nie mógł ścierpieć, że, kiedy „każdy naród język swój i sprawy swe zdobić się stara,... jedno nam, Polakom, jakoś w tem barzo inochody nie stawało". A w jakim kierunku podążyła ta nowa literatura? Wyrosła z miłości ojczyzny, — ojczyźnie też wiernie służyła: nie zniechęcając się tem, że najczęściej była narodowi „za śpiewanie i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zawiązywało", uczyła go cierpliwie i wytrwale, jak służyć ojczyźnie. Uczyli go tego i Rej, i Marcin Bielski, i Kromer, i Modrzewski, i Orzechowski, i Górnicki, i Skarga, i Kochanowski, który przecie wyśpiewał nietylko *Fraszki, Treny* i *Psałterz,* ale także *Satyra, Odprawę posłów, Wieczną sromotę* i *Poczciwą sławę.* Wogóle literatura polska XVI wieku jest nawskróś p o l i t y c z n a, ożywiona duchem obywatelskim, a drgająca lękiem o przyszłość: „Byś serce moje rozkroił, nie nalazłbyś w niem nic innego, jedno to słowo: zginiemy!" — oto cała literatura nasza XVI wieku!

W stuleciu XVII na tym wysokim poziomie ducha obywatelskiego nie utrzymała się literatura, ale nie znaczy to bynajmniej, iżby patrjotyczną być przestała; właśnie to wszystko, co stanowi jej najpiękniejszą ozdobę: *Kołacze* i *Żeńcy* Szymonowicza, ka-

zania Birkowskiego, satyry Opalińskiego, *Lament* Starowolskiego, *Psalmodja* Kochowskiego, poematy historyczne Twardowskiego i Potockiego, — wszystkie te utwory nie skądinąd wytrysnęły, tylko z miłości ojczyzny.

Wyschło to źródło dopiero za czasów saskich. Ale kiedy Konarski wskrzesił je i ożywił, znowuż bić zaczęło, i z niego to wytrysnęła niemal cała literatura stanisławowska, literatura znów nawskróś polityczna, wszyscy bowiem najwybitniejsi pisarze: Bohomolec i Naruszewicz, Krasicki i Zabłocki, Niemcewicz, Staszic i Kołłątaj, jeden tylko cel mieli na oku, — ratunek państwa i narodu; wszyscy pragnęli wlać w społeczeństwo wiarę, że

okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie.

Okręt zatonął, — nie ocaliło go bohaterstwo Kościuszki; ale pozostali majtkowie, ocalał naród i jego skarby duchowe. „O, miłości ojczyzny! — wołał Kopczyński — o, żądzo narodowej sławy! o, zacności języka polskiego! czyliż razem z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady, Greków i Rzymian, nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia". Wzmocnić i utrwalić w narodzie wiarę w swoje siły, w prawdę pierwszych słów pieśni *Jeszcze Polska nie zginęła,* tych czterech słów, o których słusznie powiedział Stanisław Witkiewicz, że „są to największe, najdonioślejsze słowa, jakie od stu lat usta polskie wymówiły", — oto gwiazda przewodnia, która przyświecała literaturze naszej XIX w., poczynając od Woronicza, Niemcewicza i braci Śniadeckich. Literatura to może w większym jeszcze stopniu p o l i t y c z n a, niż literatura niepodległej Polski.

Nawet pseudoklasycyzm miał u nas barwę polityczną, i to nietylko przez treść swoją, przez to, że świadomie szukał tematów patrjotycznych, krzewiąc zwłaszcza kult przeszłości narodowej, ale — i przez formę: nie samą ciasnotą umysłową i estetyczną Koźmianów i Osińskich, ale także ich chęcią pełnienia służby narodowej tłumaczy się naśladownictwo wzorów francuskich, — przecie oni święcie wierzyli, że przestrzeganie przepisów estetyki francuskiej to jeden z niezbędnych warunków kulturalności, a zatem i siły narodu, którą rzekoma „dzikość i nieokrzesanie" romantyzmu osłabić może. I kiedy się Jan Śniadecki w odpowiedzi na rozprawę Brodzińskiego oburzał, że romantycy „durzą ludzi, pokazują im duby, znoszą prawa nauki i rozsądku", to nie o estetykę i nie o logikę mu chodziło, ale — o Polskę!

Romantyzm zwyciężył i przyniósł z sobą nieznane dawniej hasło s z t u k a d l a s z t u k i; jednocześnie przyszedł bajro-

nizm i przyniósł z sobą nieznaną dawniej egotyczność. I cóż? Hasło sztuka dla sztuki przebrzmiało u nas bez echa, — zagłuszył je, stłumił, zabił inny pogląd, że polska pieśń winna mieć nietylko archanielskie skrzydła i głos, ale i miecz archanioła: „zaimprowizowano — jak mówi Mochnacki — najśliczniejsze poema Narodowego Powstania", „zgiełk oręża i huk dział — ten był odtąd nasz rytm i ta melodya". Romantyzm polski stał się nietylko idealnym strumieniem kultury, ale samem życiem. A bajrońska egotyczność? Przeistoczyła się do niepoznania: zamieniła się na ideę i czyn poświęcenia, na dobrowolną ofiarę jednostki, złożoną na ołtarzu miłości ojczyzny.

Lampą jest narodu — duch ofiarowany...

Taką jest i poezja Mickiewicza, która się, jak ziemia około słońca, obraca około miłości ojczyzny; i poezja Krasińskiego, usiłująca filozoficznie rozwikłać problemat dziejowy upadku Polski i uzasadnić świetlaną jej przyszłość; i poezja Słowackiego, który się pracą ducha wyzbył egotyczności, usłyszał „ojczyzny nieśmiertelnej serce w sobie bijące", uświadomił sobie powołanie poety polskiego:

...ja ojczyzny być muszę
Duchem stróżem i patronem
I wyżej porywać dusze,
A żadnej ziemią nie skalać,
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny!

W tych słowach streszcza się nietylko istota, ale zarazem najwyższa piękność i siła naszej poezji romantycznej. Urzeczywistnili to wielkie powołanie Mickiewicz, Krasiński i Słowacki; pragnęli urzeczywistnić, świadomie czy nieświadomie, i Malczewski, i Goszczyński, i Zaleski, i Pol, i Ujejski, i Syrokomla, i Romanowski. Jednem skrzydłem uderzyła polska poezja romantyczna o przeszłość, ale drugiem o przyszłość; nie pieluchą była, ale ostrogą; była nietylko osłodą i pociechą po utracie wolności, ale także nadzieją i pobudką do jej odzyskania. Nie przywróciła nam wolności? Prawda: ale, gdyby nie ona, bylibyśmy może dzisiaj

Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci...

Ma słuszność Asnyk: ona nie pozwoliła na śmierć ducha, bo ona była najpotężniejszym czynnikiem ocalenia i wzmocnienia naszej świadomości narodowej [1].

[1] Przyznaje to nawet tak trzeźwy myśliciel i tak surowy sędzia romantyzmu polskiego, jakim był Spasowicz: „W chwili obecnej skłonni je-

Powieść pełniła tę samą służbę. Nie o artyzm, nie o subtelną analizę psychologiczną chodziło naszym powieściopisarzom (*Poganka* i *Biała Róża* Żmichowskiej należą do wyjątków), ale nadewszystko o pomnożenie sił żywotnych narodu. Powieść historyczna krzewiła znajomość i budziła miłość przeszłości, powieść obyczajowa była nietylko zwierciadłem życia, ale zarazem pobudką i wskazówką do jego reformy, moralnej zarówno, jak społecznej. Kraszewski wyznał otwarcie, że, wierząc święcie, iż „państwem być przestawszy, — jako naród, pracą bezustanną, spokojną utrzymać w sobie życie możemy i powinniśmy", „w skromnym zakresie starał się przekonanie swoje wpajać"; a „jako jedno z głównych narzędzi — dodaje — służyła mi powieść..., ten proletarjusz literatury, który zagon trzebi, zorywa, ziemię uprawia i częstokroć pierwsze na niej zasiewa ziarna..."

Jak literatura piękna, tak i nauka w znacznej mierze pełniła służbę narodową. Filozofja, przy całej swojej zależności od myśli niemieckiej, sercem była nawskróś polską. Cieszkowski, kiedy za główny warunek przyjścia Królestwa Bożego na ziemię kładł „pojednanie religji i polityki", czy nie miał na myśli tego narodu, któremuby to pojednanie przywróciło wydartą wolność? Rozprawy Libelta *O odwadze cywilnej* i *O miłości ojczyzny* mają niezawodnie większą wartość od *Estetyki* i *Systemu Umnictwa*. A w jakim celu i duchu Trentowski pisał najcelniejsze swoje dzieło, *Chowannę*, poucza jej dedykacja: „Ukochanej Matce Ojczyźnie poświęca dzieło to jeden z wiernych jej synów". Cóż dopiero mówić o historji! Lelewel przeszłość narodu badał z myślą o jego przyszłości; co więcej, jego pogląd na przeszłość jest poczęści... projekcją w wymarzoną przyszłość. A czy trzeba przypominać, jakim duchem tchną pisma Szajnochy?

Rok 1863 nie pozbawił literatury naszej najistotniejszej jej cechy. W narodzie osłabionym, wycieńczonym nawet, ale żywym i pragnącym żyć, literatura musiała stać się czynnikiem odzyskania i pomnożenia sił żywotnych. Jakoż stała się nim rzeczywiście, nauka historji nadewszystko, która teraz dopiero wy-

---

steśmy potępiać romantyzm, składając nań winę wszystkich ostatnich klęsk i niepowodzeń; ale czembyśmy byli bez niego, to i określić się nie da. On nas odrodził; w ogniu tego uczucia nasz patrjotyzm oczyścił się, spotęgował; nasza narodowość doszła do świadomości, zbyła się naśladownictwa, stała się umysłowie samoistną, rozwinęła skrzydła. Bez romantyzmu bylibyśmy może nawet przepadli, wynarodowili się w prędkim czasie; dziś posiadamy czarem pięknej formy uwiecznione uczucia, które na wieki wystarczą i z pokolenia w pokolenie przejdą; na nich opiera się, jak na opoce, pewność naszej przyszłości". (*Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim. Pisma*, II, str. 300—301).

stąpiła zupełnie już świadomie jako mistrzyni życia. Zrozumiano głęboką prawdę wspaniałych słów Szujskiego, że „narodom, które politycznie nie żyją, a nie wyrzekły się Boga, co dźwiga upadłe, i własnej szlachetnej dumy, która wytężeniem wszystkich sił pomóc gotowa, — historja, używana tylko jako pobudka narodowych uczuć, jako plaster, obwijający zaskrzepłe rany, jako łachman chwały dawnej, pozostałej po żywych politycznie, byłaby zabójczą; lekarka ona upadłego na ziemię rycerza, nie piastunka zepsutego dziecka, wieszczka, wołająca do ekspiacji win dawnych, nie rzemieślniczka, malująca domowe i narodowe chwały". I nie jest bynajmniej dziełem przypadku, że osią historjografji naszej po roku 1863 stał się nadewszystko fakt politycznego upadku Polski; usiłowano wyjaśnić jego przyczyny, aby rozpocząć leczenie ran od ich diagnozy: oto główne źródło, z którego wypływały pisma historyczne nietylko Szujskiego, Kalinki, Bobrzyńskiego, ale — w pewnej mierze — także Pawińskiego i Rembowskiego; Korzon i Smoleński ostro występowali przeciwko posługiwaniu się nauką historji jako *magistra vitae* [1], ale faktem jest, że i ich prace obracają się około tej samej osi, — podobnie jak prace Askenazego. Niezmiernie także znamienną dla literatury polskiej jest rzeczą, że najznakomitszy — obok Tadeusza Wojciechowskiego i Stanisława Krzyżanowskiego — badacz naszego średniowiecza, Smolka, zwrócił się niedawno do dziejów porozbiorowych.

I literatura piękna po roku 1863 nie zatraciła swego charakteru patrjotycznego. Poezja Asnyka, prawda, że się najczęściej i najswobodniej obraca w kole uczuć i myśli ogólnoludzkich, ale wyrosła z bólu i smutku po katastrofie narodowej, a jej uczuciową zarówno, jak filozoficzną konkluzją jest wiara, że, chociaż

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły,

ale wstaniesz, —

Musisz być inną, choć będziesz tą samą...

Poezja zaś Konopnickiej tkwi korzeniami swemi w życiu ludu polskiego, a i dzisiaj, rozrósłszy się w drzewo rozłożyste, moc swoją wciąż z tego samego źródła czerpie.

---

[1] Ob. referat Korzona p. t. *Błędy historjografji naszej w budowaniu dziejó Polski* i dyskusję w tym przedmiocie (*Pamiętnik drugiego Zjazdu histo ników polskich we Lwowie*, 1890), tudzież rozprawę Smoleńskiego, *Szkoły historyczne w Polsce* (*Pisma historyczne*, tom III, zwłaszcza str. 329—332). Ogólną charakterystykę historjografji polskiej po roku 1863 ze stanowiska ż y c i o w e g o podał Wacław Sobieski w oryginalnie obmyślanej rozprawie: *Pesymizm i optymizm w historjozofji polskiej* (*Ateneum polskie*, zeszyt majowy, 1908).

Cóż dopiero powieść po roku 1863! I ona, jak historja, poszła w służbę ideałom społecznym i narodowym. Sienkiewicz był i jest wyznawcą tego samego poglądu na powieść, co Kraszewski: „Powieść winna krzepić życie, nie zaś podkopywać, uszlachetniać je, nie zaś plugawić, nieść dobre nowiny, nie zaś złe". I jeszcze inne jego słowa, na ostatniej stronicy *Trylogji*: „Na tem kończy się szereg książek, pisanych w ciągu lat i w niemałym trudzie — dla pokrzepienia serc". A powieści Orzeszkowej, która na życie polskie patrzyła przedewszystkiem przez pryzmat sumienia i obowiązku narodowego, i Prusa, tego żarliwego, ale zarazem pełnego wyrozumiałości szermierza postępu, tego apostoła pracy organicznej zarówno, jak miłości, w którym rozum i serce tak piękną tworzą harmonję,— czy powieści Orzeszkowej i Prusa nie są szkołą uczuć i czynów patrjotycznych?

Dopiero w ostatnich latach XIX wieku nastąpiła reakcja przeciwko społecznemu charakterowi literatury. Bezporównania głośniej, aniżeli w zaraniu romantyzmu, rozległo się hasło sztuka dla sztuki, a wtórowały mu hasła inne, jak oto wyższości sztuki ponad wszystkiem na świecie, jej odosobnienia od życia (które ją rzekomo bruka i kala) i, co za tem idzie, jej wolności od służby życiowej, jej nieodpowiedzialności przed trybunałem ideałów moralnych, społecznych, narodowych. Bałwochwalstwo sztuki oraz wybujała egotyczność — oto dwie wybitne cechy t. zw. modernizmu czyli neoromantyzmu. Lecz ten kierunek twórczości całego odłamu Młodej Polski zachwiał tylko, nie zburzył równowagi literatury naszej.

Po pierwsze bowiem, te hasła modernizmu uznania powszechnego nie miały nigdy.

Dosyć przypomnieć energiczny protest Chmielowskiego przeciwko wybujałemu indywidualizmowi i bałwochwalstwu sztuki [1]; doktrynę Przybyszewskiego, którego zdaniem artysta

[1] Ob. *Najnowsze prądy w poezji naszej* (Lwów 1901), str. 22—23: „Nie chcę przesądzać przyszłości modernistycznego kierunku; ale, jak dotychczas, niepodobna w nim dostrzec takich czynników, któreby się mogły stać pokrzepieniem dla mas, roztoczeniem jaśniejszych widnokręgów wobec dusz ponurych i znużonych... Albo wyziębienie serc, albo bezbrzeżny pesymizm, albo wyuzdana zmysłowość, w dziwny sposób kojarząca się niekiedy z jakimś mistycyzmem, albo okropność obrazów zwyrodnienia natury ludzkiej, albo ohydna szczerość w malowaniu własnego zepsucia, — zbyt często i ze zbyt wielkim naciskiem pojawiają się w utworach, nazywających się modernistycznemi, ażebyśmy je mogli w tym względzie zdaleka nawet zestawić z utworami romantyzmu, gdzie, obok obłąkań fantazji, obok obrazów rozkoszy zmysłowych, było tyle wzniosłych, świetlanych, na wyżyny ideału wynoszących obrazów i wynurzeń". Por. tamże str. 142 (o Przybyszewskim). Podobne stanowisko wobec strony społecznej modernizmu zajął, współcześnie i niezależnie, Antoni Mazanowski w książce: *Młoda Polska w powieści, liryce i dramacie.*

„nie zna żadnych praw, ani moralnych, ani społecznych", dla którego „każdy przejaw duszy jest... czystym, świętym, głębią i tajemnicą, skoro jest potężny" [1], — tę doktrynę słusznie nazwał Chmielowski „rozwydrzeniem artystycznem", „które — są jego słowa — tak samo, jak piekielna polityka Bismarcka postawiła na ołtarzu siłę przed prawem, uświęciło, ukanonizowało wszelką potęgę, bez względu na to, czy jest dobroczynną, czy też trującą" [2]. Oburzenie to tem znamienniejsze, że zasadniczo nie był Chmielowski wrogiem modernizmu, który poczytywał (podobnie jak Matuszewski) za nowe i niezmiernie dla badacza ciekawe zjawisko w rozwoju sztuki.

Nie mniej energiczny protest — przeciwko hasłu odosobnienia sztuki od życia i jej nieodpowiedzialności wobec ideału moralnego — protest gorący i piękny, płynący zarówno z rozumu, jak z uczucia patrjotycznego, założył szlachetny autor *Idei polskiej wobec prądów kosmopolitycznych,* Stanisław Szczepanowski: „Tylko ta literatura, która nie jest jako kwiat egzotyczny, nie związany z treścią życia, ale, przeciwnie, ta, która nas może pokrzepiać i dodawać otuchy w walce samego życia, jest prawdziwie narodową..."; „doniosłość poezji zależy nie od jej piękności estetycznej, ale od jej siły dynamicznej i elektrycznej, od tego, o ile się stała motorem historycznym, narodowym i społecznym, dalszym ciągiem objawienia Ducha Świętego w dziejach ludzkości" [3].

---

[1] Por. pogląd Fr. Hauseggera: „Was in der Seele des Künstlers nach Gestaltung ringt, ist gereinigt und geheiligt" (*Das Jenseits des Künstlers,* Wiedeń 1893, str. 305). Tego samego zdania jest i Oskar Bie, ob. *Freie Bühne* r. 1894, V, 360 i n.

[2] *Jeszcze o celu w sztuce (Pamiętnik Literacki* r. 1904, str. 8).

[3] Na tem samem, ściśle biorąc, stanowisku stoi Stanisław Brzozowski, zwłaszcza w dziele p. t. *Legenda Młodej Polski.* Stanowisko to da się streścić krótko w tych własnych słowach Brzozowskiego: „Tę jedną posiadamy miarę wobec dzieł i myśli, czy są one zdobyczą naszego życia, czy trucizną i przeszkodą". „Życie stawia całe szeregi zagadnień czysto praktycznych, którym człowiek musi uczynić zadość, aby żyć. Czyni im zadość jednak, gnąc się i wynaturzając pod ich ciężarem. Sztuka stwarza typ człowieka, dla którego takie właśnie życie jest radością, człowieka, który jest w stanie dźwignąć cały ciężar życia, jakiem jest ono, i na jego podstawie oprzeć swoją swobodną chęć, by to życie nadal trwało. To jest ideał twórczości w sztuce — tworzenie obrazu człowieka, który wyzwala tych, co go stworzyli, bo samo jego istnienie zmienia ich życie z katorgi w swobodne, choć twarde, zmaganie się... Znaczenie twórczości tej mierzy się zakresem przezwyciężonej przez nią konieczności: szczytem twórczości jest wyzwolenie całkowite, stworzenie typu, obrazu życia, panującego nad wszystkiemi zagadnieniami" (str. 299—300). (Z takiego wychodząc stanowiska, słusznie nazwał Brzozowski to nowe niby-życie, które pragnął stworzyć

Po drugie, najwybitniejsi przedstawiciele „nowej sztuki" nie odosobniali się od życia. Nie mówię tutaj o potężnym talencie Reymonta, którego twórczość tak ścisły ma związek z naszą ziemią i naszem życiem, którego zresztą niepodobna zaliczać do modernistów, — ale o tej trójcy, która niewątpliwie do nich należy, lecz jedynie przez zewnętrzny charakter swej twórczości, nie przez jej ducha. Nie z odosobnienia od życia, ale, przeciwnie, z najgłębszego poczucia łączności z niem, z krwawych łez, z piekącego bólu życia urodziła się twórczość Żeromskiego: miłość ojczyzny, a lęk, że *Rozdziobią nas kruki, wrony;* miłość człowieka, a widok, że tylu jest na świecie *Ludzi bezdomnych;* bezgraniczna cześć dla obowiązku, a przeświadczenie, że dzieje ludzi, to raczej *Dzieje grzechu,* niż obowiązku, — oto główne źródła tego bólu, — bólu tak rozpaczliwego, że, na nieszczęście, chyba tylko silne dusze pobudza do walki o władzę nad życiem, słabe — wtrąca w otchłań beznadziejnego pesymizmu. Z najszlachetniejszych źródeł płynie, na granitowem podłożu patrjotycznem i wogóle społecznem opiera się ból życia w poezji Kasprowicza, w której jednak słychać zarazem potężne dźwięki wiary i świadomej sił swoich twórczej woli! I wreszcie, czem jest cała, od początku do końca, poezja Wyspiańskiego, jeśli nie poezją walki narodu polskiego z losem, a raczej z własną słabością, z biernym kultem przeszłości, z zamykaniem oczu na teraźniejszość? czem jest, jeśli nie poezją czynu patrjotycznego, pobudką do czynnego zdobywania władzy nad życiem, bolesnym protestem przeciwko automatyzmowi życia narodowego?

* * *

I oto przebiegliśmy pięć wieków literatury polskiej, od Długosza aż do chwili dzisiejszej, i widzimy, że się w całej mocy swojej ostaje prawda słów Mickiewicza, że literatura polska

---

usuwający się od realnego życia i z pogardą na nie patrzący modernizm, — *Legendą Młodej Polski;* i z bolesną ironją nazwał je jeszcze Oberammergau, wobec naprawdę krwawej i ofiarnej Golgoty romantyzmu polskiego). — W dzisiejszej estetyce niemieckiej najgorliwszym zwolennikiem takiego poglądu na sztukę jest Konrad Lange, którego zdaniem, sztuka o tyle tylko posiada wartość, o ile jest dodatnim czynnikiem w walce człowieka o byt; każda sztuka, mówi Lange, która przynosi gatunkowi pożytek, jest dobra, każda, która mu przynosi szkodę, jest zła. *(Das Wesen der Kunst,* tom I, str. 14 i n.). Pogląd to stary, znany już estetyce XVIII wieku, ob. np. Home, *Elements of criticism* (o poezji, jako o czynniku dobrobytu społecznego; przekład niemiecki Meinharda, tom I, str. 136). Z myślicieli francuskich — ob. nadewszystko Guyau, *L'art au point de vue sociologique* („Le but le plus haut de l'art est de produire une émotion esthétique d'un caractère social"), i in.

„wzrosła, wybujała i zakwitła pod życiodajnem tchnieniem miłości ojczyzny".

Ta zaś cecha jest nietylko wybitną, znamienną, ale zarazem i odrębną, bo wyróżniającą literaturę polską od innych literatur zachodnio-europejskich. Prawda, że i w nich dźwięczy struna patrjotyczna, że w wieku XIX miały i one całą epokę rozkwitu poezji patrjotyczno-politycznej: tak, ale w żadnej „dogmat patrjotyzmu" nie jest źródłem tak silnie i nadewszystko tak ustawicznie bijącem, jak w literaturze polskiej. Nie utwory patrjotyczne są największemi arcydziełami poezji włoskiej, francuskiej, angielskiej, niemieckiej (*Wilhelm Tell* Schillera to rzadki wyjątek), u nas tymczasem — zupełnie inaczej, u nas niemal wszystkie największe arcydzieła poezji są zarazem najwspanialszym wyrazem patrjotyzmu; my wręcz nie wyobrażamy sobie wielkiego poety i wogóle wielkiego pisarza, któregoby twórczość nie była „rozwinięciem i zastosowaniem" „dogmatu patrjotyzmu".

Czemże się to tłumaczy? czy może samą tylko psychiką polską? czyżbyśmy byli największymi patrjotami na bożym świecie? Twierdzić tak — byłoby samochwalstwem i nieprawdą! Nie, większy niż gdziekolwiek indziej patrjotyzm literatury naszej ma swoje źródło głównie w zewnętrznych warunkach dziejowych, w smutnej rzeczywistości. Bo pamiętajmy, że już w wieku XVI, w epoce największego rozkwitu literatury staropolskiej, rzeczywistość nasza była smutna: „w mieszkaniach królów, w siedliskach władzy rządowej", jak mówi Tadeusz Czacki, już „zaczynał pająk wić pajęczynę"; więc nie dziw, że kto tylko miał oko bystrzejsze i serce czulsze, ten, „jak ów puszczyk, na wieżach gmachów spoczywając, wydawał głos ostrzeżenia". Milknął patrjotyzm wówczas tylko, kiedy świadomość smutnej rzeczywistości zmniejszała się lub zanikała (np. w czasach saskich); kiedy świadomość rzeczywistości powracała, powracał i patrjotyzm; po utracie niepodległości rzeczywistość stała się piekłem, — i uczucie patrjotyczne wybuchło w literaturze z niepamiętną na świecie całym, z iście piekielną potęgą. Od tak dawna niedola jest w Polsce stanem stałym, nie czasowym, jak u innych, szczęśliwszych, narodów, — oto dlaczego patrjotyzm jest w naszej literaturze nietylko silniejszy, ale i stalszy, oto dlaczego nigdzie indziej literatura nie była i nie jest w tym stopniu, co u nas, środkiem walki o byt narodowy, dlaczego nie była i nie jest tak nawskróś polityczną.

* * *

Czy zaś w walce o byt narodowy literatura nasza była zawsze środkiem rozumnym i uczciwym, innemi słowy, czy patrjotyzm literatury naszej był zawsze dodatnim czynnikiem naszego życia, to inna sprawa.

W wieku XVI mieliśmy Modrzewskiego i Kochanowskiego, ale mieliśmy także Orzechowskiego; a gorący patrjotyzm Skargi był skażony fanatyzmem wyznaniowym. W wieku XVII był Starowolski, ale był i Fredro; a rycerski patrjotyzm Potockiego był skażony szowinizmem. W wieku XVIII uczyli nas Konarski i Kołłątaj, Staszic i Niemcewicz, ale uczyli nas także Turski, Seweryn Rzewuski i Karol Surowiecki; a nie brakło i takich, którzy lewą ręką zamazywali to, co napisali prawą (bo takich nigdy u nas nie brakuje). Wiek XIX przyniósł nam tak wielkich nauczycieli patrjotyzmu, jakich dawniej (prócz jednego jedynego Modrzewskiego) nie mieliśmy nigdy: Mickiewicz, Krasiński, Cieszkowski, Szujski! — ale nawet te cztery nazwiska nie obalą tego smutnego faktu, że uczył nas (chociaż, na szczęście, niczego nie nauczył) Henryk Rzewuski i że mieliśmy i mamy niejednego nauczyciela patrjotyzmu fałszywego.

„Przez tradycję — powiedział Norwid — wyróżniony jest majestat człowieka od zwierząt polnych, a ten, co od sumienia historji się oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się". Czy o tej prawdzie nie zapominają u nas niektórzy? czy szanują tradycję narodową tak, jak ona na to zasługuje? czy w swoim ferworze krytycznym względem przeszłości pamiętają o tem, że gorzej, niż w Europie zachodniej, działo się u nas — pod względem politycznym, ale w zakresie życia społecznego, religijnego, obyczajowego, — naogół biorąc, wcale nie gorzej, i że przeszłość nasza, jak każdego innego narodu, chociaż brzemię błędów politycznych i krzywd społecznych w sobie nosząca, jest jednak jedyną pewną podstawą, na której stanąć może gmach naszej przyszłości? czy wiedzą, że krytyka przeszłości wówczas jedynie jest dodatnim czynnikiem życia, kiedy płynie z umiłowania nietylko prawdy historycznej, ale i żywych ludzi, że więc powinna być surowa, ale zarazem ostrożna, to znaczy rachować się z psychiką narodową, nie być taką, jak ów złośliwy weredyk Aleksandra Fredry, co to

> Zagłębia zimną sondę w samo dno boleści,
> Ani się zastanowi, czy potem go stanie
> Na kropelkę balsamu przy otwartej ranie?

Ale, z drugiej strony, więcej jeszcze, bezporównania więcej, mieliśmy i mamy takich nauczycieli patrjotyzmu, którzy, rozkochani w przeszłości, „kładą się kamieniem" na drodze postępu,

Chcą zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże;

którzy, zasłaniając się wyjątkowem położeniem, w jakiem jesteśmy, boją się dla nas zdobyczy wolnej myśli europejskiej, —

Niech na całym świecie wojna,
Byle polska wieś zaciszna,
Byle polska wieś spokojna;

którzy, piętnując każde, choćby najszczersze, ale niezgodne z uświęconą tradycją przekonanie mianem odstępstwa albo bluźnierstwa, zalecają tem samem świadomą obłudę albo przynajmniej *silentium obsequiosum*, nie rozumiejąc, czy też nie chcąc zrozumieć, że każde udawanie, każda nieszczerość mści się na duszy ludzkiej.

Takimi nauczycielami pseudo-patrjotyzmu byli choćby np. Pol — po roku 1846, poczęści Ignacy Chodźko, Kaczkowski — w swoich powieściach nieczujowskich, a nawet przez pewien czas i Korzeniowski, bo i on, przy całej swojej trzeźwości, dał się porwać fali reakcji po r. 1848 i odzywał się z lekceważeniem o cywilizacji europejskiej, nazywając ją „katarynką", około której skaczemy. Mieliśmy i takich nauczycieli patrjotyzmu, o których z większą nierównie słusznością, niż Klaczko o Korzeniowskim, powiedzieć można, że z siedmiu próśb *Modlitwy Pańskiej* zapamiętali jedną tylko: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj"; którzy się na nic innego zdobyć nie umieją, tylko na „ciągłe apoteozowanie rozsądku i użyteczności kosztem najdroższych marzeń i najszlachetniejszych uniesień", na „nieustanne przestrzeganie przed bezpośredniemi, instynktownemi popędami naszej duszy i zalecanie tej miernej cnoty i cnotliwej mierności i tej umiarkowanej temperatury, którą na termometrze serca oznacza punkt zera między ciepłem uczucia a chłodem rozumu". Nie brakło i takich jeszcze, którzy w pismach swych uprawiali strusią, zaściankową politykę przemilczania czyto ujemnych stron przeszłości, czy objawów współczesnego życia, czy wreszcie myśli i poglądów, choćby mądrych i uczciwych, ale głoszonych przez ludzi niemiłych sobie osobiście, albo należących do innego obozu, a cóż dopiero przez ludzi, niesłusznie czy słusznie, obarczonych taką lub inną klątwą losu czy charakteru, — i t. d., i t. d.

Wszystko to prawda: ale i to prawda, że się takie i inne jeszcze nauki często głosiło u nas w dobrej wierze, a niemal zawsze — i to właśnie rzecz bardzo znamienna — przemycało się je pod płaszczykiem dobra publicznego i miłości ojczyzny; więc liczne objawy zarówno nieposzanowania tradycji i nieumie-

jętnej krytyki przeszłości, jak przesadnego jej uwielbienia, wstecznictwa i ciasnoty moralnej i umysłowej, w naszej literaturze — nie burzą, owszem stwierdzają prawdę słów Mickiewicza.

* * *

Z tego, że literatura polska była i jest nadewszystko środkiem i objawem walki o byt narodowy, wynika inna jej cecha główna, mianowicie wyłączność jej narodowa. Zdarza się często słyszeć, a nawet czytać, że literaturze naszej do tego, aby być znaną i podziwianą na całym świecie, brakuje tylko powszechnej znajomości jej organu, języka polskiego. Ale czy nie jest to czasem złudzenie? Czy, gdyby nawet język polski był powszechnie znany i gdyby nawet Polska do dziś dnia posiadała niezależność państwową i potęgę polityczną, które są niewątpliwie bardzo ważnemi czynnikami znajomości literatury poza granicami jej ojczyzny, — czy literatura polska byłaby powszechnie znaną, czy odegrałaby na świecie taką rolę, jaką np. odegrała i dziś jeszcze odgrywa literatura francuska? Nie, — prócz innych względów dlatego nadewszystko nie, że nawet najznakomitsze dzieła, nawet arcydzieła naszej literatury najczęściej nie mają charakteru ogólno-ludzkiego, powszechnego, że nietylko duchem i treścią, ale nawet ujęciem treści, kątem widzenia, są najczęściej — wyłącznie polskie. Jak znamienną (i smutną zarazem) jest rzeczą, że wieki średnie nie wydały u nas ani jednej „kroniki świata", a roją się przecie od nich literatury inne! Myśmy się na pierwszą i jedyną *Kronikę świata* zdobyli dopiero w wieku XVI, a i dzisiaj na palcach u jednej ręki dałoby się zliczyć tych wszystkich historyków polskich, którzy badają naukowo dzieje powszechne. W historji filozofji europejskiej — pomimo Cieszkowskiego, Trentowskiego, Libelta, Struvego, Pawlickiego i innych, niema dotychczas rozdziału o filozofji polskiej. Z arcydzieł poezji staropolskiej jedne tylko *Treny* mają charakter powszechności, — prawda, że takie arcydzieło jedna tylko Polska wydała! Najwspanialsze kazania Bossueta mają charakter ogólno-ludzki, najwspanialsze kazania Skargi to *Kazania Sejmowe,* o charakterze nadewszystko polskim. Kołłątaj i Staszic ani rozumem, a cóż dopiero uczuciem, nie ustępują encyklopedystom francuskim, a jednak należą tylko do literatury polskiej, encyklopedyści — do powszechnej [1]. Tak samo Modrzewski

[1] *Ród ludzki* Staszica miałby niewątpliwie prawo do zaszczytnego stanowiska w literaturze powszechnej, gdyby... był inaczej napisany.

w porównaniu z Bodin'em, albo Krasicki w porównaniu z Wolterem. W wieku XIX literatura nasza jest z pewnością mniej wyłączna, niż dawniej. Takie arcydzieła, jak czwarta część *Dziadów, Powieść Wajdeloty, Improwizacja, Pan Tadeusz; Nieboska Komedja; Ojciec zadżumionych, W Szwajcarji, Król Duch,* — należą bezwątpienia do literatury powszechnej, czyto przez genjalny artyzm i wielkość pomysłu, czy przez powszechność treści i jej ujęcie pod kątem ogólno-ludzkim; faktem jest także, że *Quo vadis* obiegło w pochodzie triumfalnym cały świat, torując drogę innym arcydziełom naszej literatury. Z tem wszystkiem, czy są nawet w arcydziełach naszej poezji t a k i e ogólno-ludzkie typy, jak Hamlet, jak Alcest, jak Faust? Mamy znakomitą powieść: ale czyśmy się zdobyli na *Komedję ludzką*? czy są w naszej powieści takie typy, jak Baltazar Claës, jak ojciec Goriot, jak kuzynka Betta?

Lecz jest w literaturze naszej, i to nietylko w XIX wieku, ale w tym wieku szczególnie, jedna cecha, która, jeżeli nieprędko jeszcze, to kiedyś przecie będzie ogólno-ludzką, powszechną:

Nikt nie stawia gmachu z błota,
I najwyższy rozum — cnota!

Ta wiara w świętość i najwyższość ideału moralnego, głębokie przekonanie czy przeczucie, że wszystkie bez wyjątku ideały ducha ludzkiego, religijne i polityczne, społeczne i rodzinne, intelektualne i estetyczne, prędzej czy później uznają nad sobą zwierzchnictwo ideału etycznego, — ta wiara w żadnej literaturze tak silnie nie dźwięczy, jak w polskiej. I nie dziw: ani jeden naród nie doświadczył na sobie w tym stopniu, co my, pogwałcenia i podeptania ideału moralnego, to też ani jeden tak mocno nie odczuwa jego doniosłości życiowej. Otóż ta cecha naszej literatury, to także jej cecha o d r ę b n a, która zapewni jej w przyszłości, kiedy wszyscy ludzie w tę prawdę uwierzą, stanowisko nietylko trwałe, ale i wspaniałe w literaturze całego świata.

Pomimo wielu nieodłącznych od człowieka zboczeń od ideału moralno-patrjotycznego, była jednak literatura nasza XIX w., naogół biorąc, „sprawiedliwa przed Bogiem, przed ludźmi była obroną, świadectwem, protestem dobrego przeciw złemu; po dobrej stronie walczyła, dobrej sprawie służyła; wśród wieku zbyt często zbrodniczego lub podłego, lub zbrodniczego i podłego razem, ona podnosiła zawsze głos sumienia, honoru i prawdy".

* * *

Lecz te słowa, to już nie moje słowa: wypowiedział je mój dostojny poprzednik na tej katedrze, profesor Stanisław Tarnowski, który przez lat czterdzieści swą wspaniałą wymową czarował słuchaczów Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładając im, głównie właśnie ze stanowiska ideału moralno-patrjotycznego, dzieje literatury ojczystej, a przez lat zgórą czterdzieści sam uprawia zagon na jej żyznej i rozległej niwie. Piękny to zagon! Stary Jan Januszewski powiedziałby o nim z pewnością: „Mem zdaniem, co kto weźmie, gdzie wejźrzy, najdzie się czemu podziwić i z czego się ukochać", — i powiedziałby szczerą prawdę. Podziwi się człowiek i studjom nad tragedjami Schillera i Szekspira, i szkicom o Chopinie i Grottgerze, i księdze o Matejce; ale nadewszystko ukocha się z prac, z tą katedrą związanych: *Pisarze polityczni XVI wieku, Jan Kochanowski, Zygmunt Krasiński, Henryk Rzewuski, Walerjan Kalinka, Szujskiego młodość, Szujski jako poeta, Julian Klaczko, Henryk Sienkiewicz;* rozprawy o *Dworzaninie* Górnickiego, o Warszewickim, o Andrzeju Maksymiljanie Fredrze, o poezjach Koźmiana, Wężyka, Morawskiego, o komedjach Fredry, o kazaniach Kajsiewicza, o *Panu Tadeuszu, Księgach pielgrzymstwa* i *Konfederatach Barskich,* o poematach i dramatach Słowackiego, o Czajkowskim, Garczyńskim, Ujejskim, Lenartowiczu, Siemieńskim — oto nie wszystkie wprawdzie, ale najważniejsze jego badania historyczno-literackie. Wyrosła z nich i uwieńczyła je *Historja literatury polskiej.* Cóż stanowi główną piękność i wartość tego dzieła? Czy rozległość tła dziejowego i jego umiejętne połączenie z literaturą? czy wykwintny smak estetyczny? czy niepospolity talent pisarski? Zapewne, i to także, ale nie to nadewszystko. Słusznie powiedziano o tem dziele, że jest to „wielka budowla..., cała natchniona jedną myślą patrjotyczną, która, jak kopuła, góruje nad wszystkiemi częściami, i górne światło swoje rozlewa na wszystkie przedmioty;... będąc historją literatury polskiej, jest przedewszystkiem historją politycznej myśli polskiej...; w tym gmachu wznosi się i kazalnica, z której na serca dzisiejsze padają słowa Skargów, Starowolskich i Kajsiewiczów, i chór, skąd rozbrzmiewa hymn, błagający o dobrą wolę" [1]. Oto najznamienniejsza cecha *Historji literatury polskiej* i jej zasługa zarazem. Rozmiłowany w pięknie, szuka jednak profesor Tarnowski w literaturze nie zewnętrznej piękności jedynie, podzielając w zupełności pogląd Klaczki, że często „artyzm staje się pokrywką i upiększeniem istotnego braku idealnych dążności"; więc, z mistrzostwem uwydatniając piękno utworu, pyta zawsze, czy jest w nim idealne natchnienie, publiczny instynkt,

[1] J. Tretiak, *Przegląd Polski,* r. 1900, grudzień, str. 540—541.

obywatelska dążność, i z tego to stanowiska sądzi poszczególne utwory i całe epoki literatury. Na katedrze i w książce był zawsze nietylko mówcą i pisarzem, ale i obywatelem kraju; zarówno książkę, jak katedrę poczytywał za placówkę w służbie narodowej. Tak zadanie swoje pojmować — daj Boże każdemu, kto uczy i pisze, daj Boże i jego następcy!

Z tego samego stanowiska instynktów publicznych i obywatelskich dążności oceniał także literaturę naszą uczony, który dopiero pod koniec życia, starganego ciężką, nad siły, pracą stanął na katedrze uniwersyteckiej, we Lwowie, niezapomnianej pamięci Piotr Chmielowski, wychowaniec Szkoły Głównej warszawskiej. Siedem lat tylko istniała ta Szkoła, ale się zaszczytnie zapisała w dziejach społeczeństwa naszego wogóle, a w historji literatury w szczególności: uczyli się w niej przecie Prus i Sienkiewicz; Dygasiński i Świętochowski; Chlebowski; Edward Bogusławski i Kraushar; Lucjan Malinowski, Baudouin de Courtenay i A. A. Kryński; i tylu innych zasłużonych! W atmosferze to, jaka panowała w Szkole Głównej, przejął się Chmielowski do dna duszy swojej hasłem dobra społecznego w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, miłością prawdy i nauki, w której rzekome bankructwo do śmierci nie uwierzył, oraz wiarą w postęp, którego sztandaru do śmierci nie zdradził. Dawne wieki literatury pociągały go mało: głównie badał wiek XIX, uwzględniając autorów nietylko powszechnie znanych, ale także bądźto zupełnie przed nim nie uwzględnionych, bądź zbadanych niedostatecznie; pod tym względem zasługi Chmielowskiego w nauce historji literatury naszej wieku XIX porównać można chyba tylko z zasługami Brücknera w zakresie literatury staropolskiej. *Charakterystyka Krasickiego; Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi;* książki o Mickiewiczu, o Kraszewskim i innych powieściopisarzach, monografje o Żmichowskiej i innych autorkach; *Nasza literatura dramatyczna; Dzieje krytyki literackiej w Polsce, Metodyka historji literatury polskiej, Stylistyka polska; Historja literatury polskiej;* książki i niezliczone studja o literaturze współczesnej; cały szereg wydań autorów swoich i obcych; przekład *Krytyki czystego rozumu* Kanta — oto jego główne prace. Nie miał poczucia piękna, — to prawda; ale miał tak rozległe i gruntowne wykształcenie filozoficzne, jak ani jeden z krytyków polskich, miał erudycję fenomenalną, a nie bezduszną: jej duszą był zmysł społeczny, gorący patrjotyzm, świadomość obowiązku obywatelskiego, poczucie moralnej odpowiedzialności krytyka wobec społeczeństwa. Te właśnie cechy znamionują jego pisma, godnie dopełniając ich wartość naukową.

* * *

Lecz teraz — jedno jeszcze, zasadnicze, pytanie: czy wolno sądzić literaturę ze stanowiska moralno-patrjotycznego i wogóle ze stanowiska jej doniosłości dla życia? czy słuszny jest pogląd, który najlepiej sformułował Bronisław Chlebowski w tych słowach: „Nie sama forma artystyczna, nie naukowa treść badanego utworu, lecz doniosłość odbitych w nim ideałów i uczuć, wpływ, jaki wywarł na ogólny zakres życia duchowego, stanowić winny o znaczeniu danego dzieła dla literatury?“ [1]. Wiadomo, że się przeciwko takiemu stanowisku rozlegały i rozlegają protesty: właściwa literatura, t. j. literatura piękna, mówią niektórzy, jest przecie sztuką, sztuka zaś, jeżeli wogóle ma jakiś cel, to tylko piękno, więc sądzić ją wolno wyłącznie ze stanowiska estetycznego. Pogląd taki jest straszliwie ciasny [2]; niedosyć na tem, jest ciężką krzywdą, wyrządzoną — samej sztuce, jest jej niedocenianiem: sztuka bowiem potrąca w duszy naszej nie jedną strunę piękna, ale struny wszystkie, a więc i strunę ideału moralnego, z którą struna piękna jest w tak ścisłej łączności, że niektórzy estetycy — dosyć wymienić jednego, Teodora Lippsa, bo jego nazwisko starczy za wielu, — twierdzą, że wzruszenia etyczne i estetyczne z jednego i tego samego płyną źródła: „sympatją“ nazywa je Lipps [3].

Dalej. Co to jest piękno? Niejeden odpowiadał, nikt nie odpowiedział na to pytanie. Bo piękno nie jest skończoną rzeczywistością, piękno się staje i rozwija w duszy ludzkiej, jak staje się i rozwija w niej prawda. Rozwój zaś, to walka o byt; zapewne, niektóre pierwiastki piękna, nietylko formalne, ale i treściowe, odniosły w tej walce zwycięstwo stanowcze, i zapewne już do końca świata będzie je człowiek poczytywał i odczuwał jako atrybuty piękna. Lecz inne pierwiastki, nietylko stare, ale i nowe, powoływane do życia z przepastnych głębin duszy ludzkiej, wciąż o byt walczą i walczyć będą. Które z nich zwyciężą,—

---

[1] Ob. znakomitą, oryginalną i śmiałą pracę p. t. *Zadania historji literatury polskiej wobec warunków i czynników jej dziejowego rozwoju (Ateneum*, r. 1885, tom I, str. 321).

[2] Matuszewski, z właściwą sobie szerokością poglądu i bezstronnością, otwiera przed krytyką bardzo rozległe widnokręgi: „Wszystko, co się składa na całość artystyczną danego dzieła, wszystkie jego czynniki, zarówno formalne, jak ideowe czy uczuciowe, mogą być przedmiotem analizy krytycznej“ (*Twórczość i Twórcy*, 1904, str. 77). I jeszcze: „Wzgląd estetyczny w krytyce nie wyklucza jednak bynajmniej innych punktów widzenia i innych metod krytycznych: dzieło sztuki jest, bądź co bądź, zjawiskiem społecznem; rodzi się wśród społeczeństwa, wytryska z jego łona i oddziaływa na nie, podlega więc i społeczno-moralnej analizie i kontroli“ (z listu do autora niniejszej pracy).

[3] *Aesthetik*, tom I, str. 96 i n., a nadewszystko *Die ethischen Grundfragen*, rozdział pierwszy.

o tem rozstrzygnie zasadniczy kierunek rozwoju kultury ludzkiej, to jest świadoma zadań życia wola, która kulturze taki a nie inny kierunek nadaje. Jaki zaś ten kierunek będzie? Słońcem, około którego obracać się będą wszystkie bez wyjątku sfery wytwórczości ludzkiej, będzie kultura etyczna; sztuka nie jest wyjątkiem — i ona się obracać będzie około tego słońca, — i to z własnej woli, bo moralność od nikogo służby niewolnej nie żąda i nie przyjmuje. Innemi słowy: człowiek, w miarę swego rozwoju duchowego, za jeden z nieodzownych atrybutów piękna poczytywać, co więcej, odczuwać będzie jego zgodność z ideałem etycznym, tę tylko sztukę poczytując za prawdziwą, która będzie budziła i krzepiła jego siły duchowe w walce o byt społeczny, *to jest* o wszechwładztwo ideału moralnego. I nie lękajmy się: — nie zubożą się przez to ani o jedno przeżycie zasoby sztuki, one przetwarzać się tylko będą, bo kąt widzenia artysty będzie inny, w ścisłej zależności od wzrostu i rozrostu ideału moralnego w jego duszy [1]. Coraz to więcej uznania zdobywa sobie dzisiaj w filozofji tak zwany pragmatyzm, który za prawdę to tylko poczytuje, co ma rzeczywistą wartość dla całokształtu naszego życia; czy i nasze pojęcia estetyczne nie podążą w tym samym kierunku? czy pragmatyzm nie podbije sobie nauki o pięknie, jak podbija sobie naukę o prawdzie? czy, prędzej albo później, nie zatriumfuje myśl Norwida, że

...piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy, — praca, by się zmartwychwstało.

I nakoniec: O ile jest prawdziwem hasło sztuka dla sztuki? Czy to prawda, że wszelka tendencja, choćby najszlachetniejsza, jest śmiercią dla piękna, a więc i dla sztuki? Tak i nie! Tak, jeżeli tendencji doszczętnie nie pochłonie wywołana przez nią wizja artystyczna; nie, jeżeli wywołująca wizję artystyczną tendencja rozpłynie się w niej i rozpuści bez śladu. Że zaś i tendencja może odgrywać bardzo ważną rolę w genezie dzieła sztuki, że i ona może być jednym z pierwiastków, zapładniających wizję artystyczną, — temu zaprzeczyć ten jedynie może, kto nie zna historji sztuki ani wyznań artystów [2].

---

[1] Prawdę zawierają w sobie słowa Goethego: „Im Grunde bleibt kein realer Gegenstand unpoetisch, sobald der Dichter ihn gehörig zu gebrauchen weiss“ (Eckermann, *Gespräche mit Goethe*, wyd. piąte, tom I, str. 249).

[2] Niechaj wolno będzie przytoczyć jedno tylko wyznanie, ale tak wymowne, mianowicie króciutką przedmowę Dickensa do *A Christmas Carol in prose*: „I endeavour in this Ghostly little book, to raise the Ghost of an Idea, which shall not put my readers out of humour with themselves, with each other, with the season, or with me. May it haunt their houses plea-

Ale dajmy nawet na to, że tak nie jest, przypuśćmy nawet, że tendencja, np. patrjotyczna albo wogóle społeczna, nie odgrywa by najmniejszej roli nawet w genezie dzieła sztuki. „Sobie śpiewam a Muzom", mówi Kochanowski, ma słuszność: — nikomu więcej! ale o czem śpiewał sobie a Muzom? nietylko o Hannie i Orszulce, ale i o Polsce; — dlaczego? bo miłość Polski była jednym z pierwiastków jego ideału uczuciowego, więc musiała się odbić w jego poezji; bo „gdzie skarb twój, tam i serce twoje". Dlaczego poezja Mickiewicza jest nawskróś moralna i nawskróś patrjotyczna? nie dlatego, żeby on chciał uczyć ludzi moralności i patrjotyzmu, ale jedynie dlatego, że moralną i patrjotyczną być musiała: bo zarówno ideał etyczny, jak miłość ojczyzny były organicznemi częściami jego duszy; sprawić, żeby jego poezja była niemoralną i niepatrjotyczną, tegoby nie potrafiła żadna siła ludzka, a nawet tak nadludzka, jak jego własny genjusz!

Boć ostatecznie czem jest sztuka w stosunku do duszy artysty? Jest zjawiskiem, to znaczy jest taką, jaką być musi. Jeżeli zatem w duszę poety ideał moralny mocne i głębokie zapuści korzenie, to musi swoje piętno na jego twórczości wycisnąć: inaczej jedność duszy ludzkiej byłaby bańką mydlaną. Więc sądzić sztukę jedynie ze stanowiska estetycznego byłoby zapoznaniem nietylko wszechstronnego wpływu sztuki, ale także jedności duszy ludzkiej. Zapewne, rozpatrywanie czyjejś twórczości ze stanowiska moralno-społecznego nie dla każdego twórcy będzie rzeczą miłą: bo rezultatem takiej krytyki może być wniosek, że, w czyjej poezji nie dźwięczą zupełnie, albo, co jeszcze gorsza, dźwięczą fałszywie struny moralne i społeczne, ten w duszy swojej strun tych nie posiada; to trudno, to już nie krytyki wina...

* * *

Ale, na szczęście, w duszach najwybitniejszych twórców polskich struny te dźwięczały i dźwięczą mocno i szczerze. Niechajże i nadal tak będzie! Niechaj literatura nasza, rozszerzając swe widnokręgi, wyzbywając się coraz to więcej wyłączności narodowej, jaśnieje zawsze miłością ojczyzny i wiernością ideałowi moralnemu!

---

santly, and no one wish to lay it!" Czy jednak, pomimo że wyobraźnię Dickensa zapłodniła tendencja, nie jest *Kolenda prozą* (1843) rzetelnem dziełem sztuki? I czy obniża piękność tej powiastki fakt, że wpłynęła na życie, że nigdy jeszcze dobroczynność w Anglji nie święciła większych triumfów, jak podczas świąt Bożego Narodzenia w r. 1843? (Ob. Wülker, *Geschichte der englischen Litteratur*, tom II, str. 240).

Średniowieczni kronikarze francuscy dzieje swej ojczyzny nazwali czynami, których Bóg dokonał przez Franków, *gesta Dei per Francos:* był to głos pychy narodowej. Niechajże kiedyś, po wiekach, nie głos pychy, ale miłość prawdy podyktuje historykom wyrok, że literatura polska to — *dicta Dei per Polonos,* słowa, które przez Polaków mówił Bóg!

A pod jakim warunkiem literatura nasza taką będzie? Ona jest tylko zjawiskiem, jego przyczyną jesteśmy — my: a każdy z nas, jak mówi Mickiewicz, ten największy nauczyciel narodu polskiego, — „w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic", — praw i granic rzeczypospolitej nietylko politycznej, ale — z większą jeszcze słusznością — i duchowej. A jeżeli tak, to, „o ile powiększymy i polepszymy duszę naszą, o tyle polepszymy prawa i powiększymy granice" naszej literatury. Od nas samych zawisło, żeby się ona — wobec świata całego i trybunału historji — stawała coraz to czystszą i godniejszą orędowniczką żywotności i słuszności naszej — nigdy nie przedawnionej — sprawy,

tej wielkiej Bożej sprawy,
Która być musi wygrana w niebiosach,
Nim ją anieli na tęczowych rosach
Zniosą na ziemię!...

NA SZCZYTACH KULTURY STAROPOLSKIEJ

Odczyt, wygłoszony w Krakowie dnia 8 czerwca 1930 r. na uroczystem otwarciu Zjazdu naukowego im. Jana Kochanowskiego.

W roku 1884 odbył się w Krakowie, pod auspicjami Akademji Umiejętności, dla uczczenia trzechsetnej rocznicy śmierci Kochanowskiego, zjazd, który nazwano historyczno-literackim — dlaczego, wyjaśniać nie trzeba. Trzeba natomiast wyjaśnić, dlaczego zjazd obecny, dla uczczenia czterechsetnej rocznicy urodzin Kochanowskiego, nazwano nie zjazdem historyczno-literackim, tylko wogóle naukowym, mającym na celu rozpatrzenie różnych zagadnień już nietylko z dziedziny literatury, oświaty, języka, ale wogóle z zakresu k u l t u r y staropolskiej.

Odpowiedź brzmi tak: Kochanowski to nietylko pierwszy nasz natchniony poeta, ale nadto najdoskonalszy (obok swego wielkiego imiennika, Jana Zamoyskiego) przedstawiciel kultury polskiej wieku złotego, kultury odrodzenia i humanizmu. Stwierdził to już, poczęści przynajmniej, Michał Bobrzyński w programie owego zjazdu z roku 1884, mówiąc, że Kochanowski to Polak, „który, jak nikt przed nim, połączył w sobie w jedną harmonijną całość pierwiastki cywilizacji chrześcijańskiej i klasycznej w obrębie polskości", to człowiek, „który był największą z całej naszej przeszłości syntezą".

Niema w tem ani źdźbła przesady. W duszy Kochanowskiego utkwiły głęboko główne pierwiastki tej nowej kultury, która już w XV wieku zaczęła napływać z Włoch do Polski, z tem jednak niezmiernie ważnem zastrzeżeniem, że mechanicznie ich w siebie nie wchłaniał, jak tylu jego poprzedników z czasów Zygmunta Starego; pierwiastki te bądź zmieniały się w jego duszy, czasem do niepoznania, bądź łączyły się w jedną spójną całość z pierwiastkami, które w duszę jego wszczepiła sześciowiekowa kultura polsko-chrześcijańska.

* * *

Nie podzielał on np. owego poglądu humanistów włoskich, który Burckhardt nazwał „wielkim błędem nowożytnym", że „formę rządu można z r o b i ć", sztucznie stworzyć. Nie był wprawdzie bynajmniej znakomitym politykiem, albo raczej, nazywając rzecz po imieniu, nie znał się na polityce, chociaż, jak przystało na humanistę, nieraz w sprawach politycznych głos zabierał: ale zdrowy rozsądek, prosta uczciwość i znamionujący tak kulturalnego, jak on, człowieka rozumny szacunek dla „ojcowskiego rządu", to jest dla tradycji narodowej, nie dopuszczały mu myśli do głowy, żeby ustrój państwa mógł być czemś sztucznem, jak mniemano we Włoszech, albo czemś zależnem od widzimisię czy od kaprysu jednostki, wierzącej w swoje nadczłowieczeństwo i posługującej się dla osiągnięcia swoich celów politycznych skrytobójstwami i innemi zbrodniami, jak to bywało we Włoszech w epoce odrodzenia. Nie wierzył Kochanowski, żeby się państwo, gwałcące prawo, mogło długo ostać:

O! nierządne królestwo i zginienia bliskie,
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość
Ma miejsca!...

* * *

Umiłowanie literatury starożytnej, bez którego w epoce odrodzenia niepodobna wyobrazić sobie człowieka kulturalnego, było jednem z największych umiłowań Kochanowskiego. Mało mu było zasilać się filozofją Platona, Cycerona i innych myślicieli starożytnych; mało mu było to tłumaczyć, to naśladować Homera czy Arata, Horacego czy Katullusa, tragików greckich czy elegików rzymskich; mało mu było wspominać pamiątki starożytnego Rzymu i jego dawną potęgę, zdobić swoją poezję historją i mitologją starożytną, zaludniać lasy polskie Satyrami i Faunami: miłość starożytności, podobnie jak miłość kobiety i miłość wsi polskiej, domagała się w jego sercu wyznań bezpośrednich.

Więc język Rzymian nazwie „miłym", prozę Cycerona „anielską", pieśni Horacego „nad złoto droższemi", a Homerowi zanuci pieśń uwielbienia:

Prędzej noc zgasi słońce i, z rzeczy przewrotem,
Noc ciemna oświecona będzie słońcem złotem;
Prędzej słodkiemi staną się morskie otchłanie,
I prędzej ten, co umarł, z grobu zmartwychwstanie, —
Niż na tym świecie słowo Homera zaginie,
Któren z boskich dzieł swoich po wiek wieków słynie [1].

[1] Przekład Juljana Ejsmonda.

Prawda, że mądrością starożytną karmiono się u nas, jak w całej Europie zachodniej, już w wiekach średnich, i to nie dopiero w epoce Długosza i Ostroroga, ale już za czasów Gallusa i Kadłubka. A w wieku XVI, już za Zygmunta Starego, aż się roiło od wierszopisów, naśladujących poetów starożytnych. Cóż z tego, kiedy piękności ich głęboko nie odczuwano i naśladowano ich najczęściej niewolniczo! Dopiero o Kochanowskim wolno powiedzieć, że był wielbicielem piękności i mądrości starożytnej nie z mody, tylko z głębi swego jestestwa duchowego. Co więcej, wykształciwszy na poezji starożytnej, oraz włoskiej i francuskiej, swój zmysł piękna, umiał je zakląć w kształt ojczystego słowa — nietylko w przekładach z pieśnią Homera na czele, ale i w poezji oryginalnej, ukoronowanej *Trenami*. Tak, to szczera prawda, co niedawno powiedziano o Kochanowskim, że on to „był pierwszym wyznawcą i apostołem piękna w Polsce", „opatrznościowym inicjatorem, który w czasach zygmuntowskich odkrył przed naszemi oczyma świat sztuki, mający nas utrzymać w jedności w dobie rozbicia" [1]. Do tych słów jednak, choćby tylko w imię bezstronności, dodać trzeba, że c a ł e g o królestwa sztuki wrażliwość Kochanowskiego nie ogarniała; poezja i muzyka nierównie silniej przemawiała mu do duszy, aniżeli architektura, rzeźba i malarstwo [2]. Ale bo też szeroka kultura estetyczna nie jest najsilniejszą stroną kultury staropolskiej.

* * *

Na co natomiast był Kochanowski wrażliwy, to na piękno natury i piękno twarzy ludzkiej, co także stanowi tak wybitną cechę kultury odrodzenia. Prawda, że już Rej, jak tego dowodzi *Wizerunk*, był wcale wrażliwy na piękno wschodu i zachodu słońca, a żacy krakowscy już w XV wieku wielbili piękną twarz kobiecą; ale dopiero Kochanowski zdobył się na wyraz artystyczny tych swoich wrażeń, przyczem niejednokrotnie kojarzyły się one z jeszcze podnioślejszemi drgnieniami duszy.

„Ta piękność, — mówi Górnicki — którą oczyma śmiertelnemi tu, na ludziech, widamy, zapala serca nasze i przynosi taką uciechę, iż więc drugi nic nad to milszego nie ma". Do tych „drugich" należał właśnie Kochanowski: jego serce zapalał zarówno widok piękności „na ludziech", jak widok świata, a zwłaszcza polskiej „wsi spokojnej, wsi wesołej". Z widokiem

[1] Stanisław Windakiewicz, *Jan Kochanowski*, Kraków 1930, str. 84 i 197—8.

[2] Ob. Mieczysław Hartleb, *Estetyka Jana Kochanowskiego*, Lwów 1923.

piękności twarzy ludzkiej nieraz kojarzyła się w jego duszy myśl platońska, że piękność to nietylko dar boży, ale i jeden z pierwiastków samej Istoty bożej. Świadczą o tem niektóre pieśni miłosne równie wyraźnie, jak hymn: *Czego chcesz od nas, Panie,* i pieśń: *Oko śmiertelne Boga nie widziało* są niezbitem świadectwem tego procesu uduchowienia się wrażeń na widok piękności w naturze, który odbywał się w duszy Kochanowskiego przy pomocy autorów nietylko starożytnych, ale i chrześcijańskich [1].

* * *

Że był on niezmiernie wrażliwy na to piękno, w którem się tak rozkochała epoka odrodzenia, — na powaby życia towarzyskiego, o tem mówią nadewszystko *Fraszki:*

Pieśni, tańce i biesiady
Schadzają się do nich rady.

Ale właściwy Kochanowskiemu zmysł estetyczny i na tej dziedzinie życia wycisnął swoiste piętno: od nieestetycznych objawów życia towarzyskiego, od nadmiernych pijatyk, od dzikich wrzasków, od zajadłych bójek na kufle i konwie odwracał się z takim wstrętem, że on, który był wcieleniem umiaru artystycznego, raz jeden stracił równowagę i krzyknął językiem Reja:

Bodajże wam smród w gębę, mili pijanice,
A trąd na twarz, ...
Krzywe nogi na starość! . . . . . .

* * *

Jakże zupełnie innym językiem przemawiał do tych swoich współtowarzyszów pieśni, tańców i biesiad, którzy mu dorównywali kulturą towarzyską i do których ciągnęło go serce!

Co bez przyjaciół za żywot? Więzienie!

Przed nimi to rozsypywał iskry swego dowcipu i humoru, z nimi dzielił się tak znamienną dla epoki odrodzenia radością życia, oraz poważnemi myślami, które mu nieraz podczas wesołych zabaw przychodziły do głowy.

Lecz nawet i przyjaciołom nie odsłaniał całej swojej duszy: na swoje smutki i zawody życiowe najczęściej rzucał zasłonę, albo też wyrażał „tajemnice swoje“ tak dyskretnie, że miał

[1] Ob. Stanisław Dobrzycki, *Do genezy dwóch pieśni J. Kochanowskiego (Pamiętnik Literacki,* t. XXV).

prawo porównać swoje wyznania, zamknięte we *Fraszkach*, do labiryntu, z którego „żadna Aryjadna" nie wywiedzie tych, co tam weszli:

Niechaj wszystko światu będzie skryto!

* * *

A cóż jest źródłem tej dyskrecji i tajemniczości? Szlachetna duma człowieka. I tutaj dopiero dochodzimy do tej najznamienniejszej ze wszystkich cech kultury renesansu, którą jest poczucie swojej odrębności od innych ludzi. Kochanowski to poczucie miał tak silne, jak mało kto w Polsce XVI wieku, i był w XVI wieku pierwszym Polakiem, który miał dać temu poczuciu zupełnie jasny, bardzo silny i wysoce artystyczny wyraz.

Sobie śpiewam a Muzom! . . . . . .
Panny, którym lotnego konia zdrój smakuje,
Ja jeden niech wam służę, a za cześć poczytam
Sobie, że się dróg inszych, niż pospólstwo, chwytam!

Nic podobnego nie słyszano jeszcze w Polsce.

Lecz może kto powie, że te słowa to tylko echo poezji Horacego i że w tem dumnem wyznaniu miał Kochanowski na myśli jedynie odrębność swoją jako poeta, którego poezji pospólstwo nie odczuwa. Zapewne, lecz są przecie inne wyznania, świadczące, że miał on całkowitą świadomość, że jest nietylko poetą, ale wogóle c z ł o w i e k i e m innym od innych:

Kto kiedy miał słuszniejszą przyczynę płakania?
. . . . . .
Żaden ociec podobno barziej nie miłował
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował.

I jeszcze jedno wyznanie — najwyraźniejsze:

. . . . . Mądrze to Bóg sprawił,
Kiedy ludzi różnemi sprawami zabawił.
Ten, stworzywszy część ludzi chciwych na pieniądze,
Mnie, za co Mu dziękuję, stworzył bez tej żądze.
Ani ja dbam o pompę, ani o infuły;
Uczciwe wychowanie — to moje tytuły.
Więc kto będzie chciw na grosz i złoto miłował,
Ten będzie mojej radzie wielce się dziwował,
Nie wiedząc, żem ja z inszej gliny ulepiony.

Czy to może zarozumiałość, owa megalomanja, którą tak często grzeszyli humaniści? Nie! Kiedy Erazm z Roterdamu chełpił się przed marszałkiem markizy holenderskiej: „Powiedz swej pani, że głupich księży dosyć jest na świecie, ale takich,

jak ja, w przeciągu całych wieków rodzi się chyba jeden", — to była megalomanja i fałsz. Ale kiedy Kochanowski świadczył sobie przed marszałkiem dworu królewskiego, że jest „z inszej gliny ulepiony", to była tylko świadomość swojej odrębności duchowej i swojej wartości moralnej, nic więcej.

* * *

Na czemże polega ta odrębność duchowa Kochanowskiego? co jest najistotniejszą cechą jego indywidualizmu, który tak bujnie zakwitł w epoce odrodzenia? Ani dźwięczące w jego poezji pragnienie nieśmiertelnej sławy, ani mocna nadzieja, że ją osiągnie, nie jest jeszcze niczem odrębnem: wszyscy humaniści pragnęli sławy po śmierci (chociaż nie tak gorąco, jak pieniędzy za życia) i wszyscy byli jej pewni, a przynajmniej obwieszczali światu, że są jej pewni.

Ale co przedewszystkiem odróżnia Kochanowskiego od ogółu humanistów, to wyjątkowa godność własna, która wycisnęła tak mocne piętno na niektórych jego utworach, a która w tej epoce była czemś wyjątkowem. Ten człowiek nie schlebiał, nie pisał ani epigramatów herbowych, ani szumnych dedykacyj; wobec króla samego głowę trzymał do góry:

Panie mój! to nawiętszy tytuł u swobodnych.

Wszelkie karjerowiczostwo miał w pogardzie, nie zabiegał ani o godności, ani o dary, pozostawiając to tym, którym „stęka rozum", to jest ludziom głupim. Miał prawo mówić o sobie:

...bez czego być mogę, mogę nie dbać o to.

Wolność i niezależność duchową kochał jak skarb najdroższy. O popularność nie ubiegał się zbytnio, nie dbał, co „gmin podły" będzie mówił o jego poezji, czy np. nie będzie wydziwiał, że on śpiewa tak, według ówczesnych mniemań, niegodne wielkiej poezji uczucie, jakiem jest ból ojca po stracie dziecka. O, tak! duszę miał ten człowiek nietylko bogatą, ale i rogatą, jak przystało na wolnego, rdzennego Polaka!

* * *

Ale to jeszcze nie wszystko. Należał on do tych niewielu na świecie ludzi, którzy są wolni w duchu. On, który się tak długo uczył od różnych mędrców, jak żyć, nie był niewolnikiem ich mądrości życiowej. Nieszczęście rodzinne sprawiło, że pra-

wda żywa zwyciężyła w nim prawdę martwą. Ale i wcześniej jeszcze, przed śmiercią Orszulki, nieraz podżartowywał sobie z filozofów, czując się wyższym nad wszystko, co się tak

. . . . . dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie.
. . . . . .
Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję!

Jest to — w filozoficznem znaczeniu tego wyrazu — h u m o r, który w duszach pospolitych epoki odrodzenia był tylko czemś żywiołowem, płynął tylko z rozbudzonej radości życia, ale w duszach wyjątkowych — nietylko z tego źródła, lecz nadewszystko z poczucia swojej duchowej wyższości nad światem [1]. Kochanowski należał do tych ludzi wyjątkowych.

* * *

Był wolny w duchu także w tej dziedzinie życia, w której u ludzi tej miary, co on, przeżycia duchowe mają charakter najbardziej osobisty, — w dziedzinie życia religijnego. Kłócono się dawniej o to, czy Kochanowski był w swoich poglądach raczej protestantem, czy też raczej katolikiem. Że się w młodości skłaniał ku protestantyzmowi, na to dokumentu czarno na białem i z pieczęcią niema, wolno jednak mniemać, zwłaszcza po ostatnich rewelacyjnych odkryciach biograficznych [2], że tak. Później jednak, już po powrocie z zagranicy, — i to wiemy już napewno — występował śmiało i szczerze w obronie Kościoła katolickiego. Nigdy jednak nie zamykał oczu na toczącego go raka zepsucia; i nawet wtedy, kiedy ludzi, nie wiedzących, jak wierzyć, odsyłał do Trydentu, stwierdzał otwarcie, że

Świętobliwość żywota, którą świecić mieli,
Zgasła prosto w duchownych . . .

Ale, jak i w co sam wierzył, tego s z c z e g ó ł o w o nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieli. Wolno jednak przypuszczać, że nie wszystkie tajemnice religijne, zawarte w nauce katolickiej, chciały mu się w głowie pomieścić, skoro czasem żartował sobie np. z nauki o niebie, o piekle i o kulcie świętych; wiemy, że miewał chwile w życiu, w których wątpił o sprawiedliwości na świecie i o nieśmiertelności duszy; wiemy, że na-

[1] Ob. Höffding, *Der Humor als Lebensgefühl.*
[2] St. Kot, *Jana Kochanowskiego podróże i studja zagraniczne* — w księdze *Studja staropolskie ...ku czci Brücknera.*

tchniona pieśń *Czego chcesz od nas, Panie,* jest wylewem religijności raczej estety i myśliciela, niż gorliwego religjanta; a i to jeszcze wiemy, że w jego poezji niema ani jednej pieśni do Matki Boskiej.

Czy jednak z tego wszystkiego wynika, żeby Kochanowski był „deistą przed deizmem", jak nazwał go Brückner?[1] Nigdy w świecie! Nie jest deistą ten, kto wierzy nietylko we wszechmoc i wszechmądrość Boga, ale i w Jego interwencję w sprawach ludzkich, ani ten, kto, bijąc się w piersi, wyznaje przed Bogiem, że zgrzeszył, ani ten, kto się do Boga modli nietylko „wdzięcznem sercem", ale i ustami — za siebie samego i za swój naród:

Użycz pokoju nam i świętej zgody,
Niech się nas boją pogańskie narody,
A Ty nas nie chciej odstępować, Panie,
I owszem, racz nam dopomagać na nie!

Nie, jeśliby już koniecznie chodziło o nomenklaturę czy o kategorję, toby się godziło nazwać Kochanowskiego nie deistą, tylko teistą, ...gdyby w jego poezji było więcej wyznań religijnych, niż jest. Bo i w tej dziedzinie życia duchowego, jak w wielu innych, on zamykał duszę swoją przed ludźmi. Jedno wszakże nie ulega najmniejszej wątpliwości: kiedy swej duszy przed ludźmi nie zamykał, wtedy swoim przeżyciom religijnym — wszystko jedno, czy to były przypływy, czy odpływy wiary, — dawał wyraz poetycki tak szczerze i tak śmiało, jak to może czynić jedynie człowiek wolny w duchu i, co za tem idzie, brzydzący się kłamstwem i szanujący własną pracę ducha.

Z niektórych zaś jego wyznań ten jeszcze wniosek da się wysnuć, że za najwyższe kryterjum dobrego chrześcijanina poczytywał nie ślepą wiarę dogmatyczną, tylko moralne, to znaczy zgodne z nauką Chrystusa, życie. Kult cnoty, tak często dźwięczący w jego poezji, jest dźwiękiem jego własnego serca i głosem jego własnego rozumu, nie zaś tylko echem filozofji stoickiej, jak u ogromnej większości humanistów; odziedziczony po kulturze średniowiecznej pogląd, że ze wszystkich ideałów ducha ludzkiego najwyższym jest ideał moralny, zespolił się w jego duszy w harmonję z tem hasłem kultury odrodzenia, że człowiek ma prawo być sobą, że jest istotą, odrębną od innych ludzi. Był Kochanowski indywidualistą w całem znaczeniu tego wyrazu, ale nie zwyrodniałym, jak wielu indywidualistów epoki odrodzenia, tylko zdrowym — zdrowym zarówno myślą, jak

[1] Ob. znakomitą przedmowę do *Pism zbiorowych* Kochanowskiego (Warszawa 1924), I, 71.

sercem. Prawo moralne było dlań świętością i, jako świętość, uchodziło w jego oczach za rzecz niezmienną, wiekuistą, bo mającą swoje źródło w Bogu, a nie w zmiennych zwyczajach i czynach ludzkich.

A za jeden z najświętszych, jeśli nawet nie najświętszy obowiązek moralny poczytywał wierną służbę ojczyźnie, jak przystało na Polaka, na ucznia Cycerona i na syna tej epoki, która wzbogaciła kulturę skarbami nietylko rozbudzonej osobowości poszczególnych ludzi, ale także rozbudzonego poczucia odrębności narodowych i, co za tem idzie, wszystkiemi błogosławieństwami patrjotyzmu:

A jeśli komu droga otwarta do nieba,
Tym, co służą ojczyźnie...

Bez patrjotyzmu nie możemy sobie poprostu wyobrazić Kochanowskiego, jak nie możemy go sobie wystawić bez Czarnego Lasu i bez Orszulki, bez miłości wsi polskiej i bez uczuć rodzinnych, którym dał tak piękny wyraz w swojej poezji, a które stanowią nieodłączną, a tak bardzo szlachetną, cechę kultury staropolskiej.

* * *

A teraz, już na zakończenie, wolno będzie chyba po tem wszystkiem, co się powiedziało, to jeszcze dodać, że Kochanowski, łącząc w swojej duszy i w swojej poezji najpiękniejsze pierwiastki kultury umysłowej i estetycznej odrodzenia z temi nieśmiertelnemi pierwiastkami kultury moralnej, które, mimo wszystkie odchylenia, głęboko tkwiły w duszach staropolskich, „wdarł się“ nie tylko „na skałę pięknej Kalliopy“, ale i na same szczyty kultury staropolskiej.

DLACZEGO SKARGA WDAWAŁ SIĘ W POLITYKĘ?

Kiedy w roku 1930 biskup Łoziński ogłosił swój *List otwarty do korpusu oficerskiego w Pińsku*, posypały się nań (w myśl znanego przysłowia: „Uderz w stół, a nożyce się odezwą") zarzuty, że księdzu nie wolno zabierać głosu w sprawach politycznych. Z temi samemi zarzutami spotkała się odezwa biskupa Łozińskiego w sprawie czystości wyborów. Niektórym bowiem ludziom nie może się poprostu w głowie pomieścić ta wiekuista prawda, której afirmacja stanowi nieśmiertelną zasługę i jedną z najpiękniejszych cech naszej literatury, a która brzmi: moralność jest tylko j e d n a; a jeżeli tak, to ci, co są powołani do czuwania nad moralnością w życiu prywatnem, mają równie święty obowiązek do czuwania nad nią w życiu publicznem, bez względu na to, czy się to będzie podobało możnym tego świata, którzy tak często, wyzuci docna z poczucia etycznego i opętani nikczemnym egoizmem i niegodziwem partyjnictwem, nie przebierają w środkach, wiodących do samolubnych celów. Słowa Skargi, wypowiedziane w kazaniu *O miłości ku Ojczyźnie*, do dziś dnia są straszną prawdą; bo czyż mało jest takich, którzy sobie mówią: „Co mnie po Rzeczypospolitej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę?" „To złodziejskie serce, — woła Skarga — które ze szkodą drugich chce być bogate!... Boże! oby się takich, jako monstrów jakich, mało znajdowało, którzy srożej, niżli bestyje, nieludzkości i krwie rozlania pełni są".

I czy nie miał Skarga prawa piętnować tych „monstrów", on, od którego nikt lepiej podówczas nie rozumiał tej prawdy, którą Górnicki ujął w słowa: „Nie jednoć te tylko są grzechy, które człowiek każdy zosobna popełni, ale są i te grzechy, które popełnia Rzeczpospolita" — to jest rząd.

A nie było jeszcze za czasów Skargi tego zaćmienia umysłów, które, przy pomocy zwyrodniałych serc, każe dzisiaj niektórym ludziom utożsamiać chwilowy rząd z nieśmiertelną ojczyzną! Więc, kochając ojczyznę nad życie, nie bał się Skarga piorunować na jej złe rządy, nie lękał się mianem złodziejskiego

serca piętnować tych, dla których udział w rządach był tylko środkiem do bogactwa i karjery, nie wahał się pouczać „bogów ziemskich", jak mają służyć Matce-Ojczyźnie. Wiedział, że złodziejskie serca będą go za to nietylko przeklinały, ale i pomstą ścigały; lecz on nie dbał o to, — on, który nie szukał, co jego jest, ale „co Jezusa Chrystusa", i mocno wierzył, że Bóg, „gdy sługi swoje na tę robotę posyła, obiecuje im swoją pomoc i przytomność".

A gdy mu zarzucano, że on nie ma prawa do tej roboty, że, jako księdzu, nie wolno mu się „wdawać w politykę", miał odpowiedź gotową:

„Wdawa się i wdawać się winien, nie w rządy jej, ale w zatrzymanie, aby jej grzechy nie gubiły, a wykorzenione z niej były, a dusze ludzkie w niej nie ginęły. Abo nie słyszym, co Pan Bóg do Jeremjasza mówi: Otom cię postanowił nad narodami i królestwy, abyś wykorzeniał, psował i gubił grzechy i złości, a budował i szczepił bojaźń Bożą i cnoty święte, i dobre uczynki, i pokutę, którąby się pomsta Boża od królestw oddalała i polityka nasza nie ginęła".

I miał jeszcze Skarga inną odpowiedź:

„Teolog i kaznodzieja może nauczać o wojnach, o prawach, o rządach, o sądach, o kontraktach, o policji, o ekonomji, o sejmach, o radach ludzkich, o kupiectwach i zyskach etc. — tyle, ile do czci Bożej i do zbawienia ludzkiego potrzeba".

Dlatego to — nie tylko w *Kazaniach sejmowych*, ale i w innych pismach — wdawał się Skarga w politykę. Oto np. co w testamencie swoim, to jest we *Wzywaniu do pokuty*, mówił o wyborach do sejmu:

„A najszkodliwsi są katolicy bojaźliwi, małego serca, którzy gniewem się sprawiedliwym i świętym ku obronie czci Boga swego nie zapalają, a *zelum* (gorliwości) nie mają i jako straszydła na wróble stoją. Skupią się na obieranie trybunalistów abo sejmowych posłów, będzie, jako zawżdy, do kilku set katolików, a dziesięć abo mniej heretyków: śmiałością, fukiem, groźbą wojny domowej ustraszą wszystkich katolików, i heretyka na trybunał abo na poselstwo wsadzą; a zhukani katolicy przyzwalają i śmiech z siebie czynią i przekleństwo na się przywodzą, iż jeden sto ich zastraszy, iż mocniejszy fałsz, niżli prawda, i słabsze żelazo, niżli rózga, i słudzy Boga prawego bogów się fałszywych boją, a swemu prawdziwemu nie dufają... Oni nas straszą wojną domową, jako garścią konopi, a my się boim... Oni chytrością na nas idą i swoje przewodzą, a my z prawdą Bożą, z prawami ojczystemi i starożytnemi, ze statutami na nich iść nie śmiemy i przed nimi pierzchamy... My się ich śmiałej nadętości boim, a oni się mocy naszej przy Bogu, przy prawach i prawdzie nie boją! Dlaczegóż? Iż Pana Boga i czci Jego i zbawienia swego i ludzkiego nie miłujem. Dlatego... pomsty ich na sobie i z nimi nie ujdziem, gdy głosu tego nie słuchamy: Uciekajcie od namiotów ludzi niezbożnych, abyście się w ich grzechach nie zawinęli".

Czy te słowa — w istocie swojej — przestały być prawdą? Czy to nieprawda, że „oni nas straszą wojną domową, jako garścią konopi, a my się boim"?

A częścią odpowiedzialności za to ohydne tchórzostwo społeczeństwa i inne jego śmiertelne grzechy przeciwko Matce-Ojczyźnie — obarczał Skarga tchórzliwych i grzesznych służebników, których sam Bóg „na robotę posyła". Oto jego własne słowa (we *Wzywaniu do pokuty*):

„W nas, duchownych, wiele jest występków, któremi się Pan Bóg obraża i ludzie się gorszą... My, światło, źle ludziom wiernym świecim. My, solą będąc, sami gnijem. My, budownicy, domu Bożego nie opatrujem i to, co się zbudowało, psujem. Pasterze, źle owiec doglądamy: do najemników podobni, wilków nie odganiamy... Utrat się świeckich dla obrony owiec boim, za któreśmy i zdrowie strawić powinni. Spraw i zabaw świeckich z utratą duchownych pilnujemy... Oświeć nas, Jezu Chryste!"

POSIEW KOMISJI EDUKACYJNEJ

Odczyt, wygłoszony dnia 20 października 1923 r. w Sali Rady Miejskiej w Warszawie, na uroczystej Akademji Nauczycielstwa Polskiego dla uczczenia stopięćdziesiątej rocznicy założenia Komisji Edukacji Narodowej.

Obchód rocznic w Polsce niepodległej. Mówi Brodziński, że „naród bez pamięci historycznej nie jest narodem, i, gdy ta przestanie być świętą, wtedy i on nie będzie już godnym odziedziczonego imienia".

Obchody rocznic są właśnie owocem tej „pamięci historycznej"; a ponieważ dobra pamięć przeszłości, jasna świadomość jej związku z teraźniejszością jest jedną z najważniejszych cech narodów kulturalnych w odróżnieniu od niekulturalnych, więc wszystkie narody kulturalne obchodzą rocznice ważnych zdarzeń. Które zaś zdarzenia uchodzą za ważne, to zależy od poziomu i od kierunku kultury danej epoki, bez względu na to, czy przedmiotem obchodu jest zdarzenie z życia religijnego, czy świeckiego, i bez względu na to, kto obchodzi rocznicę: czy cała kulturalna ludność, czy też tylko pewna jej część, np. jeden naród albo jeden Kościół, czy całe społeczeństwo, czy też tylko jeden jego odłam, np. jeden stan, jedna instytucja, jedno stronnictwo, jedna rodzina. Są zdarzenia, których rocznice ludzie obchodzą już przez całe wieki i przez całe wieki obchodzić będą, jak np. rocznice wielkich wypadków z życia religijnego; taką trwałość mają także rocznice wielkich zdarzeń narodowych, jak np. święto Dziewicy Orleańskiej we Francji, albo rocznica Konstytucji 3 Maja w Polsce. Są jednak i rocznice nietrwałe; oto np. dnia 2 lipca 1418 r., w Paryżu, jakiś pijany żołdak niemiecki pchnął nożem obraz Najświętszej Panny — z obrazu popłynęła krew; rocznicę tej zbrodni i tego cudu obchodził Paryż przez całe trzy wieki; dziś jej już nie obchodzi, — zabiła ją nowa kultura. I takich przykładów możnaby przytoczyć wiele.

Dla historyka kultury byłoby to wcale wdzięczne zadanie zbadać, jakie rocznice posiadają mniejszą lub większą trwałość, a jakie jej nie mają, oraz jakie cieszą się mniejszą albo większą

popularnością w różnych epokach: dla charakterystyki i oceny wartości kultury możnaby stąd wyprowadzić ciekawe wnioski.

Dawna Polska nie miała zbyt silnej „pamięci historycznej", chociaż tak bardzo lubiła się na przeszłość powoływać i przeciwstawiać ją, jako coś daleko lepszego, teraźniejszości; najlepszym dowodem tej słabej pamięci jest przerażające ubóstwo naszej historjografji — nietylko średniowiecznej, ale i późniejszej.

Nie dziw, że kroniki nasze milczą, żeby np. za Zygmunta Starego obchodzono setną rocznicę Grunwaldu; uczcił ją tylko, prócz Jana z Wiślicy, autora poematu łacińskiego *O wojnie pruskiej*, jakiś wierszopis polski, o ile to prawda, że *Pieśń o pruskiej porażce* pochodzi z pierwszej połowy XVI wieku. Głucho także o tem, żeby za Zygmunta Augusta obchodzono setną rocznicę pokoju toruńskiego.

W wieku XVII, począwszy od dnia 10 października 1623 r., obchodzono w ten dzień, co rok, rocznicę zwycięstwa pod Chocimem, ale stało się to nie z własnego popędu społeczeństwa, tylko na rozkaz papieski, i obchód rocznicy miał charakter wyłącznie kościelny. Obchodzono także już w XVII wieku rocznice innych wypadków historycznych, ale obchody te nie przekraczały murów tej lub owej s z k o ł y, podobnie jak za panowania trzech Augustów obchody różnych „anniwersarzów" odbywały się jedynie po kościołach, albo komnatach i ogrodach pałacowych.

Dopiero rok 1783 przyniósł obchód rocznicy, który miał nietylko bardzo uroczysty przebieg, ale i ogólno-narodowy charakter, obchód setnej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Tę wielką uroczystość zawdzięczała Polska inicjatywie i staraniom tej instytucji, której rocznicę dzisiaj obchodzimy, — Komisji Edukacyjnej; przyświecała jej w tym obchodzie świadomość obowiązku patrjotycznego budzenia w młodzieży polskiej ducha rycerskiego, który był zamarł w przeklętych czasach saskich. Uroczystość ogarnęła całą Polskę, bo wszystkie szkoły koronne i litewskie (w Wilnie zwłaszcza miała wspaniały przebieg); a że ślad w sercach pozostawiła, tego, pomiędzy innemi, dowodzi posąg w Łazienkach, wzniesiony staraniem króla w pięć lat później. Minęło lat jeszcze cztery, — i cała Polska obchodziła uroczyście pierwszą rocznicę Ustawy Majowej.

Tak więc już w niepodległej Polsce, przy końcu jej istnienia, zaczęto sobie uświadamiać obowiązek patrjotyczny obchodzenia wielkich rocznic narodowych i pożytek, płynący dla społeczeństwa ze spełniania tego obowiązku. Przypomniał zaś narodowi te rocznice najpoczytniejszy pisarz tej epoki, Krasicki, ogłaszając, już po drugim rozbiorze, swój *Kalendarz obywatelski*, w którym na każdy dzień roku wyznaczył jakąś rocznicę,

a czasem nawet dwie albo trzy, tak że wszystkich rocznic jest tam przeszło siedemset pięćdziesiąt; lwią część stanowią rocznice wypadków wojennych, zarówno triumfów i zwycięstw, jak niepowodzeń i klęsk, oraz rocznice różnych wypadków z życia królów i dygnitarzy, duchownych i świeckich; ale niebrak i rocznic ważnych wypadków z historji prawodawstwa, Kościoła, oświaty i wogóle kultury; i o literaturze nie zapomniał Krasicki: w *Kalendarzu obywatelskim* jest i Kadłubek, i Długosz, i Bielski, i Kromer, i Kochanowski, i Skarga, i Szymonowicz. Słowem, o ile na to pozwalały pojęcia XVIII wieku, jego sądy o wartościach kulturalnych, szukał Krasicki świąt narodowych, jeżeli nie we wszystkich, to w każdym razie w różnych dziedzinach narodowej kultury.

Obchód rocznic w Polsce porozbiorowej. I, kto wie, gdyby Polska nie utraciła niepodległości, toby może w tym właśnie kierunku układał się kalendarz naszych świąt narodowych w XIX wieku (kiedy to w całej Europie obchód rocznic stał się już powszechnie obowiązującym zwyczajem, jako środek do krzewienia w duszach kultu dla przeszłości narodowej i wogóle patrjotyzmu). Lecz wskutek utraty niepodległości ten kalendarz ułożył się inaczej. W swoim wierszu prześlicznym o roku 1863 mówi Asnyk:

My obchodzimy twą rocznicę smętną,
Bo dawnych zwycięstw święcić dziś nie śmiemy;
Niewolnik, hańby swej noszący piętno,
W rocznicę chwały ojców stoi niemy —
A tylko ta mu droga jest i święta,
W której sam skruszyć chciał krzywdzące pęta.

Obchodziliśmy wprawdzie w XIX wieku, o ile to było możliwe pod obcemi zaborami, także rocznice chwały, żeby przypomnieć tylko Horodło, zwycięstwo pod Wiedniem, założenie Uniwersytetu Jagiellońskiego; w wieku XX obchodziliśmy Grunwald i rocznicę ocalenia honoru wojska polskiego przez księcia Józefa; nie zapominaliśmy także nigdy o Trzecim Maju — ku wielkiemu zmartwieniu oberpolicmajstra warszawskiego. Ale przedewszystkiem były nam święte i drogie rocznice naszych powstań, naszych męczenników narodowych, oraz tych poetów, którzy byli naszymi Tyrteuszami, którzy nas swoją natchnioną pieśnią budzili do kruszenia krzywdzących pęt. Inaczej być nie mogło; dosyć, że kult rocznic historycznych rozwijał się u nas po utracie niepodległości w kierunku jednostronnym, zbyt „romantycznym". Wystarczy powiedzieć, że o setnej rocznicy Komisji Edukacyjnej zapomniano prawie zupełnie — pamiętało o niej tylko Towarzystwo Pedagogiczne we Lwowie!

Niedosyć na tem. Obchody rocznic, zwłaszcza wielkich, musiały być prawie zawsze tajne, — jawne kończyły się nieraz krwią albo więzieniem.Pozwolono w Warszawie na obchód setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, ale odsłonięcie pomnika musiało się odbyć w grobowem milczeniu — nie pozwolono Sienkiewiczowi wygłosić mowy. Z niezmierną wspaniałością odbył się w Krakowie obchód pięćsetnej rocznicy Uniwersytetu Jagiellońskiego — zjechali się ludzie z zagranicy i z całej Polski, nie wyłączając Śląska pruskiego: cóż z tego, kiedy na uroczystości świeciły mundury wysokich urzędników z Wiednia, których nie można było nie zaprosić, a delegacji robotniczej ze Śląska pruskiego nie dopuszczono na uroczystym obchodzie przed oblicze rektora, przyjmującego hołdy od delegatów z całego świata, aby nie obrazić... „zaprzyjaźnionego mocarstwa"...

Obchód rocznic w Polsce odrodzonej. Dzisiaj to wszystko minęło! Dzisiaj, w wolnej Polsce, możemy już wielkie rocznice narodowe obchodzić jawnie i uroczyście. Ale też dzisiaj pamiętajmy, że ustać powinna owa romantyczna jednostronność w wyborze i w ustanawianiu świąt narodowych, że możemy już z podniesionem czołem i radosnem sercem obchodzić nietylko rocznice powstań, ale także rocznice „chwały ojców". Chwała zaś ojców zabłysła nietylko na polu bitew, ale także na niwie pokojowej pracy nad kulturą narodową, pracy mozolnej i codziennej, bez której odrodzona Polska nigdy nie wyrośnie w wielkie i potężne państwo (jakiem niegdyś była, a jakiem jeszcze nie jest). Dopóki Polska będzie Polską, dopóty będzie obchodziła rocznicę i Grunwaldu, i Chocimia, i Wiednia, i insurekcji kościuszkowskiej, i 29 listopada, i 23 stycznia, i cudu Wisły, i wielkich poetów, — ale, dopóki będzie Polską, powinna także obchodzić, oprócz Trzeciego Maja, rocznice innych swoich wielkich czynów na polu kultury politycznej, gospodarczej, umysłowej, religijnej, oraz rocznice swoich wielkich ludzi, którym te czyny zawdzięcza. Bo przecie te właśnie czyny, nietylko sam miecz, zbudowały dawną wielką Polskę, i takie czyny zbudują wielką Polskę nową.

I oto dzisiaj obchodzimy właśnie rocznicę takiego czynu, jednego z największych, jakich dawna Polska przez całe wieki swojego istnienia dokonała, — i takiego człowieka, jednego z największych, jakich dawna Polska przez całe wieki swojego istnienia wydała. A nie są to dwa, lecz jedno święto, i to nietylko dlatego, że się rocznica założenia Komisji Edukacyjnej zbiega w jednym dniu z rocznicą śmierci Konarskiego, ale i dlatego, że ta instytucja wyrosła z posiewu myśli Konarskiego. Składając więc dzisiaj hołd Komisji Edukacyjnej, jednocześnie chylimy czoło przed Konarskim (jako jej ojcem duchowym).

Zasługi historyczne Komisji Edukacyjnej. Ale dlaczego i za co mamy jej składać hołd? Czy tylko dlatego, że była pierwszem na świecie ministerjum oświaty, że Polska, ustanawiając ją, okryła się chwałą, że Polacy, jak słusznie powiedział ksiądz Szwejkowski, chociaż w wielu względach „innym narodom dali się wyścignąć", w organizacji oświaty „jednym poskokiem nagłym wszystkie wyprzedzili", bo pierwsi na świecie wcielili w czyn zrodzoną we Francji myśl upaństwowienia szkoły i stworzenia dla niej jednego naczelnego urzędu państwowego? Nietylko dlatego. Oprócz wielkiej chwały przed światem, jest jeszcze wielka zasługa wobec narodu.

W jakim celu ustanowiono Komisję? Mówi Kołłątaj, że „magistratura ta, będąc owocem najgorszego sejmu, była jedyną podówczas dla cnotliwych pociechą, i, kiedy przytomne nieszczęście pogrążało ich w rozpaczy i wstydzie, kiedy nie zostało nic dobrego do przedsięwzięcia w upadłym narodzie", wówczas ona „przygarnęła do siebie zacne w Polsce imiona, oddała w ich ręce młodzież nieszczęśliwego kraju, natchnąwszy ich cnotliwą gorliwością..., ażeby jednostajną na cały naród przepisali edukacją, ażeby przez jeden sposób myślenia, z edukacji nabyty, wrócili jedność obradom publicznym i magistraturom rządowym, jedność, której teraz nieszczęśliwie dostrzec nie możemy, ażeby wrócili Polakom dawne męstwo i w sercach przyszłych ojczyzny następców zaszczepili chęć dźwignienia Rzeczypospolitej z jej upadku, pomszczenia się jej hańby..." Oto jaka gwiazda przewodnia przyświecała Komisji: — ocalić zapomocą oświaty upadające państwo i odrodzić zwyrodniały umysłowo i moralnie naród! Państwa nie ocaliła, bo ocalić już nie mogła; naród odrodzić jeszcze mogła — i odrodziła, była naprawdę, jak powiedział Brodziński, „kotwicą, która okręt ojczyzny nad przepaścią zatrzymała".

To nie przesada! Komisja Edukacyjna dopiero dała narodowi — po tylu wiekach zastoju i wstecznictwa — rzetelną oświatę, dała mu postępową, nowoczesną szkołę, w której kształcono zarówno ciało, jak duchа, zarówno umysł, jak serce, zarówno uczucia chrześcijańskie, jak narodowe; ona to zaczęła wpajać w dusze polskie przekonanie, że bez oświaty nie może się długo ostać ani państwo, ani naród; ona dopiero wszczepiła w nie wiarę, że, jak powiedział Antoni Popławski, „niemasz zaiste inszego lekarza dla chorych, sternika dla tonących, przewodnika dla błądzących narodów... oprócz powszechnej i ustawicznej instrukcji, bo niemasz innego i rzetelnego dla nich szczęścia, tylko to, które się na prawdzie i jej skutkach nieodmiennych funduje"; ona to zaczęła burzyć przesąd staroświecki, że oświata ludowa jest nietylko dla

ludu niepotrzebna, ale nawet dla państwa szkodliwa, oraz inny jeszcze przesąd, że kobiety mogą i powinny obchodzić się bez oświaty.

Niedosyć na tem. Czy przesadził Szwejkowski, mówiąc, że „przyjęcie... Konstytucji 3 maja można nazwać dziełem nowej edukacji"? Nie, bo przecie twórcami Konstytucji byli twórcy i pracownicy Komisji Edukacyjnej — Czartoryski, Chreptowicz, Niemcewicz, Ignacy Potocki — i on sam, Hugo Kołłątaj! A jeżeli uchwalenie Konstytucji tak głośnem i radosnem echem odezwało się w najszlachetniejszych sercach polskich, przedewszystkiem zaś w sercach młodych, to dlatego, że kochać ojczyznę nauczyły je szkoły Komisji Edukacyjnej.

Kiedy się dzisiaj myśli o tej radości, jaka ogarnęła najszlachetniejsze serca polskie po uchwaleniu Konstytucji, ogarnia człowieka głębokie wzruszenie, radosne i zarazem — bolesne. Tyle nadziei, tyle nawet pewności, że już słońce dla ojczyzny zajaśniało!

„Wielki Boże! Boże Zastępów, przez którego królowie królują i prawodawcy sprawiedliwe rzeczy stanowią! Twojej to wszechmocnej dzieło ręki, Twojej ojcowskiej nad ludem polskim Opatrzności i opieki dobrodziejstwo!... Niedawno narody urągały się imieniowi polskiemu, obcy uciskał mieszkańce tej wolnej ziemi, cudzych praw słuchać musieli, bez siły, bez obrony, bez rady. Śpiewajmy Panu pienia dzięków i chwały! Natchnął ducha mądrości Królowi, ...oświecił Radę i wybrane Męże Narodu, wzbudził w sercach ich ducha mocnego, do przedsięwzięcia i wykonania dzieła wielkiego!... Całość, udzielność i wolność Polski zapewniona jest. Rząd ustanowiony samemu prawu podległym Polaka czyni. Inszą postać wzięła ziemia nasza. Ci, którzy, przechodząc, mijali nas z obojętnością lub politowaniem, zastanawiają się i wielbią. Ci, którzy o szkodach naszych myśleli, zdumiewają się i milczą".

Tak przemawiał do wojska w obozie pod Gołębiem, przy poświęceniu sztandarów, ten, który był jednym z filarów Komisji Edukacyjnej, mądry, zacny, ukochany Grzegorz Piramowicz.

Nieubłagana rzeczywistość zadała tej świętej radości kłam — pod postacią Targowicy, która zamordowała Konstytucję 3 Maja, a wraz z nią i Komisję Edukacyjną. Obwieściła Najjaśniejsza Konfederacja, że „ojczyzna więcej pożytku odniesie z cnotliwych obywateli, jak obiecywać sobie może po matematykach, astronomach i tam dalej", że, „szanując wolę narodu, jest i będzie naszem najusilniejszem żądaniem używać wszelkich sposobów do przywrócenia zakonu księży jezuitów i powierzenia mu edukacji młodzi naszej".

Lecz te życzenia pobożne zdrajców ojczyzny nie spełniły się na szczęście. Konfederacja Targowicka zamordowała tylko ciało Komisji Edukacyjnej; duch pozostał żywy, „nieśmiertelnością poza grób uleciał“ i „z życiem przyszłych pokoleń się zbratał“; ten duch długo jeszcze unosił się nad ziemią polską, i długo jeszcze słał swoje jasne promienie w umysły i serca organizatorów szkolnictwa porozbiorowego, zwłaszcza na Litwie i Rusi; uniwersytet wileński i liceum krzemienieckie, które tak wielką i tak błogosławioną rolę odegrały w historji umysłowości polskiej XIX wieku, to dzieci duchowe Komisji Edukacyjnej. Oto dlaczego jest prawdą, że była ona „kotwicą, która okręt ojczyzny nad przepaścią zatrzymała“, że była fundamentem, na którym w XIX wieku naród, pozbawiony państwa, mógł budować gmach swojej nieśmiertelności.

Te są jej zasługi — historyczne, należące dzisiaj już do historji, dosyć chyba wielkie, aby jej rocznicę uroczyście i raz na zawsze obchodzić.

Nietrwałe i trwałe zdobycze Komisji Edukacyjnej. Ale czy to już wszystko? czy zasługi Komisji Edukacyjnej są dzisiaj już tylko historyczne? Nie! Jej światła są tak mocne, że świecą do dziś dnia i długo jeszcze powinny nam oświecać drogę przyszłości naszego wychowania narodowego. Pamiętajmy przecie, że Komisja Edukacyjna jest dziecięciem wieku XVIII, to znaczy wielkiej epoki oświecenia, które dokonało przewrotu na polu pojęć moralnych i religijnych, politycznych i społecznych, filozoficznych i pedagogicznych. Nie wszystkie zdobycze tej epoki okazały się trwałe, ale są i takie, których „bóg czasu“, chociaż „znów postąpił krokiem“, nie pożarł, których nie zniszczył ani romantyzm, ani pozytywizm, ani nowoczesny idealizm. To samo da się powiedzieć o zasadach, któremi się w swojej działalności kierowała Komisja Edukacyjna: jedne umarły, drugie żyją i żyć będą.

Nie wdając się w drobne szczegóły, biorąc pod uwagę jedynie główne podstawy wychowania i nauczania w szkołach Komisji, trzeba przyznać bez ogródki, że jedna przynajmniej z tych podstaw nie ostała się wobec postępu. Za główne zadanie szkoły poczytywała Komisja „ucznia sposobnym ze wszech miar uczynić do tego, żeby i jemu było dobrze, i z nim dobrze“, a stąd wypłynął postulat, żeby „wszystkie nauki do osobistego i publicznego pożytku synów ojczyzny zmierzały“. Zdawałoby się, że to zasada zewszechmiar słuszna, że i dziś jeszcze niczego innego od szkoły nie powinno się wymagać. Tak, ale ów „osobisty i publiczny pożytek“ pojmowała pedagogika Komisji Edukacyjnej zbyt ciasno: nie rozumiała należycie tej niewątpliwej prawdy, że droga do uszczęśliwienia społeczeństwa i siebie samego nie

idzie po linji prostej, że, aby posiąść tę wielką sztukę, trzeba umieć wiele takich rzeczy, które bezpośrednio pożytku i szczęścia nie dają, ale bez których człowiek ich nie osiągnie. Jak gimnastyka ciała uczy wykonywać ruchy, których człowiek — poza nią — wykonywać nie potrzebuje, które jednak są mu bardzo pożyteczne, bo ćwiczą sprawność ciała, tak i gimnastyka duszy osiąga jej sprawność zapomocą już nietylko ćwiczeń, ale całych nauk, które się nibyto człowiekowi na nic w życiu nie przydają, które jednak pośrednio są nietylko pożyteczne, ale niezbędne — właśnie do osiągnięcia osobistego szczęścia i do niesienia pożytku całemu społeczeństwu.

Żeby nie być gołosłownym, jeden przykład. Nie chciała słyszeć Komisja Edukacyjna — i to jedna z jej największych wartości wychowawczych — o szczęściu osobistem, czy zbiorowem, bez moralności jednostki, czy społeczeństwa; wychodząc z tej zasady, zapędziła w służbę nauki moralności wszystkie przedmioty nauczania, nie wyłączając logiki. Był to nie mniejszy z pewnością błąd, jak włożenie na nauczyciela fizyki obowiązku, aby na jej lekcjach pouczał młodzież o cenach targowych. Otóż chyba się wszyscy na to zgodzą, że taki przesadny utylitaryzm nie może być dzisiaj gwiazdą przewodnią wychowania. Ale tuż po tem stwierdzić trzeba, że, ze stanowiska historycznego, był on zbawienną reakcją przeciwko dawnej szkole, która, im dalej w czas, tem większy brała rozbrat z życiem. I właśnie jedną z nieśmiertelnych zasług Komisji Edukacyjnej stanowi to, że nawiązała zerwany przez dawną szkołę związek szkoły z życiem, chociaż w całej pełni nie rozumiała, jak bardzo złożone, jak straszliwie zawikłane jest to zjawisko, które się życiem nazywa. Bądźmy pewni, że po stu pięćdziesięciu latach ten sam zarzut uczynią nam nasi następcy...

Żeby tylko mieli nas także za co chwalić równie gorąco, jak my dzisiaj winniśmy już nietylko chwalić, ale i wielbić Komisję Edukacyjną! Ileż w jej *Ustawach* i w jej praktyce mądrych myśli pedagogicznych i patrjotycznych, które nigdy chyba nie „pójdą na pastwę bladej przemian druchnie"!

O niektórych z tych myśli już się dzisiaj nawet nie myśli i nie mówi, bo się stały chlebem powszednim nauki wychowania, i może nawet niekażdy wie, że je Polska zawdzięcza Komisji Edukacyjnej, że ona to — po raz pierwszy w Polsce — zajęła się oświatą ludu i oświatą kobiet, przez co położyła podwaliny pod demokratyzację oświaty, że ona to wprowadziła nakoniec do szkoły język ojczysty, jako wykładowy, że ona to dopiero położyła silny nacisk na wychowanie fizyczne, że ona także, nie mając tak częstej, tak nawet powszechnej w epoce oświecenia bałwochwalczej czci dla rozumu ludzkiego, nie żywiąc zaślepio-

nej wiary, że sam jeden rozum — i on tylko jeden — może dać człowiekowi i szczęście, i władzę nad naturą i ludźmi, i moralność, — otoczyła w szkole troskliwą opieką, oprócz rozumu, także wolę i uczucie, i wogóle charakter dziecka. A w tej trosce zdawała sobie już Komisja sprawę, że dziecko dziecku nierówne, że, jak się wyraził Adolf Kamieński, trzeba „według każdego zosobna zdolności przygotować go do tego, czego po nim wyciągać będzie ojczyzna"; a ponieważ i to rozumiała (co pojmował już Konarski), że i naród narodowi nierówny, więc, ucząc dzieci polskie, liczyła się z ich polską naturą — przynajmniej w wychowaniu moralnem, i wypowiedziała walkę, pomiędzy innemi, polskiej kłótliwości, polskiemu pieniactwu i, oczywiście, polskiej niepunktualności, którą już w XVI wieku napiętnował Górnicki.

A ileżto zasad dydaktycznych Komisji Edukacyjnej stało się także chlebem powszednim dzisiejszej pedagogiki! „Ogólnie w każdej nauce profesorowie starać się i docierać powinni, aby ich uczniowie więcej na rozum i pojęcie, niżeli na pamięć, uczyli się". „Nieprzerwanem nauczyciela usiłowaniem być powinno, aby młódź sobie poruczoną wprawiał w zastanawanie się nad rzeczami, myślenie i uważanie przez siebie samych". „W sposobie prowadzenia nauki nieodstępnie trzymać się będzie tego prawidła, aby nigdy nie kłaść rzeczy, albo wyrażeń ogólnych, ile możności, przed szczególnemi, trudniejszych przed łatwiejszemi, złożonych przed pojedynczemi i prostemi, oderwanych myślą przed podpadającemi pod zmysły". Czy się te zasady nauczania choć trochę zestarzały? A możnaby przytoczyć więcej dowodów, że słynne *Ustawy Komisji Edukacji Narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane w Warszawie roku 1785*, pomimo stu czterdziestu lat życia, nie straciły młodości. Oto jeden jeszcze przykład.

„Niechaj uczniowie, nie mogąc się sami pojednać, obierają sobie rozjemców i pojednaczów z pomiędzy spółuczniów swoich, na których postanowieniu, większością zdań uczynionem, przestawać koniecznie mają; a gdy tego między sobą nie uczynią, rzecz się do nauczyciela moralnej nauki wytoczy. Ten trzech sędziów z pomiędzy uczniów mianować będzie; a gdyby na ich zdaniu strony uspokoić się nie chciały, sam nauczyciel moralnej nauki w rozeznanie rzeczy wnidzie". Czy to nie znakomita myśl? czyby dzisiaj nie można było, czyby nie należało — w imię dobra moralnego młodzieży — pomyśleć o wprowadzeniu takich sądów koleżeńskich do wszystkich bez wyjątku szkół średnich, a nietylko, jak dotychczas, do niektórych?

Nauka moralności w szkołach. Tylko, że w takim razie trzebaby także, — dla ostatecznego „rozeznania rzeczy“ — aby byli w szkołach nauczyciele „moralnej nauki“. W szkołach Komisji Edukacyjnej tacy nauczyciele byli, albowiem był w programie szkolnym pewien odrębny przedmiot: „moralna nauka“.

Pierwsza Polska — pierwsza na świecie — wprowadziła ją do szkoły: oprócz „nauki chrześcijańskiej“, to jest oprócz religji, kazała Komisja uczyć jeszcze moralności świeckiej, opartej „na rozumie przyrodzonym“, albowiem rozumiała, że szkoła powinna iść naprzód z duchem czasu, że w epoce, kiedy się chwieją podstawy religji objawionej, trzeba koniecznie wpajać w dzieci wiarę, iż moralność jest postulatem nietylko religji, ale i rozumu. I przykro pomyśleć, że właśnie ta „moralna nauka“, niezależna od „nauki chrześcijańskiej“, była najcięższym kamieniem obrazy dla wrogów Komisji Edukacyjnej, dla ciemnej szlachty, dla ciemnego duchowieństwa, dla wszystkich wogóle wstecznikow i... dla targowiczan. Dopatrywano się w wyodrębnieniu tej nauki, nie mniej ani więcej, tylko obrazy boskiej, herezji, odstępstwa od wiary ojców. Tymczasem, w rzeczywistości, w jakim duchu udzielano tej nauki moralnej? Nauczyciel, czytamy w *Ustawach*, z „wykładem moralnej nauki łączyć ma nieodstępnie wprawę młodzi w dobre obyczaje..., pewny będąc, że w tej mierze wszystko od dobrego nałogu i wezwyczajenia, przy dostatecznem o powinnościach objaśnieniu, zawisło; na ten koniec czuwać będzie na wszystkie okazje, w którychby młodzi wykonywać mogli sprawiedliwość, dobroczynność, ludzkość ku bliźniemu..., w którychby jak największy wstręt zabierali osobliwie od kłamstwa, oszustwa, niedotrzymywania słowa, rozsiewania niezgód...“. „Dla zaprawienia dzieci do uczynków miłosiernych, prowadzić je czasem dyrektor będzie... do szpitalów ubogich i chorych, do chorujących spółuczniów, dając im okazją świadczenia pociechy, posługi i, podług sposobności, ratunku i opatrzenia“. I jeszcze: „W opowiadaniu dziejów chronić się będzie“ nauczyciel, „aby nie dawał fałszywych wyobrażeń rzeczy..., przeto nigdy nie będzie nazywał polityką, to jest umiejętnością rządu, ani bohaterstwem, co jest chytrością i zdradą, podłością, gwałtem, przemocą, najazdem i cudzego przywłaszczeniem“. Więc to ma być obraza boska, herezja, odstępstwo od wiary ojców? Skręciła tej obrazie boskiej kark dopiero ta wstrętna reakcja klerykalna, w której błocie dusiła się cała Europa po kongresie wiedeńskim; ale dzisiaj czyby tej obrazy boskiej nie warto było napowrót do szkół wprowadzić — naprawdę, ku większej chwale bożej?

Nauka obywatelska w szkołach. Ci zaś, którzy się na to nie godzą, którzy wprowadzenia do szkół nauki moralności niezależ-

nej nie poczytują Komisji Edukacyjnej za zasługę, poczytają jej już chyba bez najmniejszej wątpliwości za ogromną zasługę, że wprowadziła do szkoły naukę obywatelską, to jest naukę o instytucjach państwowych, o rządzie, o prawach obywatela Rzeczypospolitej, a nadewszystko o jego obowiązkach względem ojczyzny; „będąc bowiem wszyscy synami ojczyzny i związku pospolitego społecznikami, wszystkim też wiedzieć należy, czego po nich wyciąga powinność takiego stanu". Ta nauka obywatelska pozostawała w najściślejszym związku z nauką moralną i z nauką chrześcijańską, albowiem, jak to ślicznie powiedział Kołłątaj, „nie jest uczniem szkoły Chrystusa, kto nie jest dobrym obywatelem; nie jest dobrym obywatelem, kto przytłumił w sobie głos sumnienia, kto za nic waży święte religji prawidła". Czy także i ta myśl nie posiada czasem trwałej, nieśmiertelnej wartości?

Dodajmy jeszcze, że nauka obywatelska, wraz z nauką moralną, ożywiała cały wogóle program nauczania, że była słońcem, około którego obracały się wszystkie inne nauki. „Trzeba nam ludzi zrobić Polakami, a Polaków obywatelami", powiedział na sejmie, który ustanowił Komisję Edukacyjną, poseł krakowski, Feliks Oraczewski. O tem Komisja nie zapomniała; wpajanie w młodzież ducha obywatelskiego, wiary, że to tylko wolno poczytywać człowiekowi za swoje osobiste szczęście, co jest szczęściem całego społeczeństwa, i że każde nieszczęście społeczeństwa powinno być odczuwane jako osobiste nieszczęście, — tę zbożną pracę pełniła Komisja przez cały czas swojego istnienia.

Nauka szkolna jako dźwignia potęgi państwa. W ścisłym zaś związku z tem zadaniem pozostaje jedna jeszcze naczelna jej zasada, która powiększa ilość trwałych wartości, wniesionych przez tę błogosławioną instytucję do skarbca kultury polskiej. Tylko trzeba tę zasadę właściwie pojmować, trzeba rozumieć jej ducha. „Wychowanie publiczne pójdzie wszędzie w jednym sposobie i w jednym duchu". „Chociażby różność wyznania lub obrządków dzieliła ludzi na opinje, Komisja ma się o to najbardziej starać, ażeby edukacja publiczna łączyła ich w jednym obywatelstwa duchu, w jednem do ojczyzny przywiązaniu". Tak ujął tę zasadę Kołłątaj, który był jej najgorliwszym rzecznikiem. Jakiż jest jej duch? Czy może z niej wynika, żeby w państwie nie było szkół r ó ż n y c h? Nie, jak w wieku XV Ostroróg, chociaż się bynajmniej nie oświadczał za równouprawnieniem stanów, wołał jednak: „Jedno niech będzie prawo dla wszystkich", to znaczy prawo polskie — precz z prawem niemieckiem! — tak w wieku XVIII Komisja Edukacyjna wygłosiła i wcieliła w czyn zasadę, że, ponieważ jedynym gospodarzem Polski jest

Polak, więc rząd polski ma obowiązek i prawo kontroli nad wszystkiemi szkołami, bez najmniejszego wyjątku, nie wyłączając szkół prywatnych, że we wszystkich bez wyjątku szkołach edukacja powinna być jednostajna, to znaczy, że wszystkie bez wyjątku szkoły powinny kształcić młodzież na polskich obywateli, budzić w nich poczucie przynależności do państwa polskiego.

W tej swojej trosce o taki charakter szkoły nie zapomniał Kołłątaj i o kresach, rozumiejąc, że trzeba je spoić z rdzenną Polską — zapomocą kultury polskiej. „Trzeba... dla diecezyj ruskich... raz na zawsze zrobić fundusz na gorejące światło nauk, któreby wszystkie ciemności rozpędziło...; więcej dokażemy w tamtych stronach przez oświecenie, niż gdybyśmy kilka założyli fortec i kilka zbrojnych przyczynili batalionów". Kiedy to pisane? — w wieku XVIII, czy dzisiaj?

I czy wogóle ta zasada, żeby jednem z najważniejszych zadań szkoły było wychowanie młodzieży w duchu obywatelskim i państwowym, żeby szkoła, jak wszystkie bez wyjątku instytucje państwowe, przyczyniała się do spoistości państwa, — czy ta zasada nie powinna i dzisiaj przyświecać naszemu rządowi?

Oto nie wszystkie jeszcze, ale główne trwałe wartości Komisji Edukacyjnej.

O Konstytucji 3 Maja powiedział Mickiewicz, że to prawo „nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń", że jest „prawem żywem, zakorzenionem w przeszłości, mającem się rozwinąć w przyszłości". Czy nie słowo w słowo to samo da się powtórzyć o Komisji Edukacyjnej?

Zawód nauczycielski „świętym urzędem". Jedno jeszcze — już na zakończenie. Dusza staropolska w epoce swego najwspanialszego rozkwitu, w wieku XVI, wykołysała różne piękne i wysokie ideały. W literaturze tej epoki jest idealny „człowiek poczciwy", to znaczy idealny szlachcic; jest idealny król, idealny senator, idealny poseł, idealny patrjota, idealny hetman, idealny rycerz; lecz idealnego nauczyciela niema. Dlaczego? Dlatego, że na nauczyciela nie zwracano poprostu uwagi, że nie ceniono jego pracy. Kto ją cenić nauczył? Komisja Edukacyjna! Ona to — ku swojej nieśmiertelnej chwale — stworzyła osobny stan nauczycielski, czyli, jak go inaczej nazywano, akademicki. I, rzecz niezmiernie znamienna, w swojem *Prawie politycznem narodu polskiego*, w rozdziale siódmym *(O stanach w Rzeczypospolitej usłużnych)*, umieścił Kołłątaj na samem czele, w artykule pierwszym, stan nauczycielski, a w drugim dopiero stan duchowny, tłumacząc się, że człowiek, „najprzód oświecenia potrzebuje", a dopiero „potem straży swych obyczajów".

Tak, dopiero Komisja Edukacyjna zrozumiała, czem jest dla państwa i dla narodu nauczyciel. To też wtedy dopiero ukazuje się w naszej literaturze idealny nauczyciel — w *Ustawach* Komisji i w pismach Piramowicza, który tak pięknie określił *Powinności nauczyciela*. „Co za wielki obowiązek, jak święty urząd być nauczycielem..., to jest swą nauką i staraniem służyć" szczęściu bliźnich i szczęściu ojczyzny!

„Święty urząd"!... Dopiero Komisja Edukacyjna zrozumiała i zaczęła w społeczeństwo wpajać tę prawdę, że nauczycielstwo to „święty urząd", że to zakon rycerski, powołany do walki z ciemnotą i niecnotą, do krzewienia światła i do nauczania, jak służyć ojczyźnie. A za pełnienie tego „świętego urzędu" obiecywała Komisja — przez usta Piramowicza — jedną wielką nagrodę nauczycielom, „że zobaczą uleczone rany ojczyzny dawaniem dobrych jej synów".

Czy dzisiaj nie powinno być tak samo? Czy i to także święte prawo, które nam przekazała Komisja Edukacyjna, nie powinno być dla nas, nauczycieli, „prawem żywem", „mającem się rozwinąć w przyszłości"? Czy nie powinniśmy być zakonem rycerskim, powołanym do wychowania tej Polski, którą Pan Bóg wyprowadził z domu niewoli? Czy nie jest naszym świętym obowiązkiem uczynić z niej państwo, jednolite patrjotyzmem wszystkich obywateli, potężne ich oświatą, i przez to „tak hartowne, że w gromach nie pęknie"? A za tę świętą pracę, czy nie czeka nas ta wielka nagroda, że zobaczymy „uleczone rany ojczyzny dawaniem dobrych jej synów", i to zarówno rany stare, z których nie wyleczyliśmy się do dziś dnia, jak nowe, które nam zadała niewola?

Komisja Edukacyjna wychowała nowe pokolenie ludzi, stokroć lepsze od tego, które w Polsce zastała. Dajże Boże i nam takiego dzieła dokonać! My to bowiem, nauczyciele, przedewszystkiem powołani jesteśmy do spełnienia tej obietnicy, którą — w siedemdziesiątą rocznicę Komisji Edukacyjnej — dał Polsce poeta w swej natchnionej wizji *Przedświtu:*

W tę ojczyznę nieśmiertelną,
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą — naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię —
Takich jeszcze nie widziano!

PRZEDMOWA DO PISM PEDAGOGICZNYCH STASZICA

Dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Staszica (1826—1926) ukazały się w Lublinie w wydaniu zbiorowem, opracowanem przez prof. Zygmunta Kukulskiego, wszystkie *Pisma pedagogiczne* Staszica; są wśród nich i takie, których nigdy dotychczas nie drukowano. Wydanie to, wzorowe w całem znaczeniu tego wyrazu — i w opracowaniu tekstu, i w dodanych do tekstu objaśnieniach, i w układzie — jest owocem nietylko wielkiej, żmudnej pracy, fachowej wiedzy i zapału naukowego wydawcy, ale także jego pietyzmu względem świetlanej postaci Staszica. Teraz dopiero będzie można zbadać wszechstronnie jego poglądy pedagogiczne i uwydatnić należycie jego zasługi w dziedzinie wychowania narodowego: dla historyka myśli wychowawczej i wychowania w Polsce będzie to wydanie prawdziwym skarbem.

Ale czy tylko dla uczonego specjalisty? Nie, — każdy wychowawca i wogóle każdy myślący Polak, któremu sprawa wychowania narodowego leży na sercu, znajdzie tyle mądrych i zbawiennych myśli w pismach pedagogicznych Staszica, że poznać je i przemyśleć winien sobie poczytać za obowiązek — dzisiaj zwłaszcza, w pierwszych latach odrodzonej Polski, kiedy to ze wszystkich spraw żywotnych najżywotniejszą jest sprawa wychowania. Bo przecie niema ani źdźbła przesady w słowach Staszica, że tylko „w tych narodach jest moc niezłomna, moc największa, które, najpowszechniej rozwinięte władze fizyczne i moralne mając, znają najwięcej sposobów do użycia sił swojej masy i rzeczy swojej ziemi", i że „nieszczęśliwym jest kraj, gdzie... w ręce tych dostają się urzędowania, którzy nie byli wzwyczajeni do rozumowania ścisłego, do porządku i do prac rozumu ciągłych, pewnym zasadom, prawidłom koniecznie podległych". A cóż da nam „rozwinięte władze fizyczne i moralne", cóż nas „wzwyczai" „do rozumowania ścisłego", jeżeli nie dobre wychowanie domowe i dobra szkoła? „Według początków, w których" człowiek „będzie chowany, nie zawsze stanie się

Newtonem" (bo „edukacja wszystko z niego zrobi, tylko w nim władz genjalnych nie stworzy"), „ale zawsze może być Tytusem, albo Neronem".

Rozumie się, że nie wszystkie poglądy pedagogiczne Staszica mają jednakową wartość: mija przecie lat sto od jego śmierci, a sto siedemdziesiąt jeden od jego przyjścia na świat. Pamiętać trzeba, że Staszic był dzieckiem epoki oświecenia, to znaczy epoki, która położyła wprawdzie około wychowania zasługi wręcz olbrzymie, ale która, jak wszystkie bez wyjątku epoki, popełniła w tej dziedzinie niejeden błąd teoretyczny i praktyczny; i nie dziw, bo nie pomylił się Staszic, nazywając pedagogję najtrudniejszą ze wszystkich nauk.

Ludzie epoki oświecenia mieli dla kultury umysłowej cześć tak wielką, że aż bałwochwalczą: mocno wierzyli, że ta kultura jest nie gałęzią, ale korzeniem i pniem całej kultury — duchowej zarówno, jak materjalnej; wierzyli, że postęp ludzkości w jej pochodzie ku szczęściu i doskonałości moralnej zależy nietylko głównie, ale wyłącznie od rozwoju władz umysłowych. Otóż echa tej utopji słychać wyraźnie, jak we wszystkich wogóle, tak i w pedagogicznych pismach Staszica. I on np. głosił, że „sama do umiejętności nawykłość staje się najlepszą warownią przeciw namiętnościom", że „umiejętności są dla człowieka zachowawczym środkiem od... wszystkich nałogów, wad, niemoralnych skażeń", że „ukształcony rozum strzeże i kieruje prawość serca", i t. p.

Podzielał także Staszic — wraz ze swojem pokoleniem — ciasny pogląd utylitarystyczny, że, jak się wyraził, „wszystkie umiejętności dopiero przez praktyczne ich zaaplikowanie do rozmaitych potrzeb towarzystw ludzkich rzeczywisty pożytek przynoszą", że „z samą tylko teorją nie są użyteczne,... są tylko ciekawe, czcze, próżniackie, jak każda ciekawość próżna". A stąd uczeni, zdaniem Staszica, „potąd nie odpowiadają swemu powołaniu, swemu w towarzystwach ludzkich przeznaczeniu, dopokąd w ich naukach, w umiejętnościach rządy" (to jest państwa) „nie znajdują podług potrzeby w wewnętrznej administracji rady i pomocy, dopokąd ich umiejętność nie nadaje fabrykom, rękodziełom oświecenia ułatwień, kierunku postępu".

Zapewne, ten utylitaryzm, którym się u nas, już przed Staszicem, kierowała i Komisja Edukacyjna, był w swoim czasie bardzo dodatnim pierwiastkiem wychowania, jako reakcja przeciwko dawnej szkole, która doszczętnie niemal wzięła rozbrat z życiem: dosyć, że dzisiaj jedynie tępe oczy pospolitego ogółu nie widzą pożytku, jaki przynosi człowiekowi i całemu społeczeństwu nauka „czysta"; ci, co mają oczy lepsze, dawno już zerwali z poglądem, głoszonym w epoce Staszica, że uczony teo-

retyk to próżniak, to nieużyteczny ciężar dla społeczeństwa. A i na ten pogląd Staszica nie wszyscy z pewnością pisać się zechcą, że „wiadomości człowieka nie wolno zasięgać dalej, tylko do rzeczy, pod jego zmysły podpadających", i że „są takie... nauki, co samym tylko zbytkom, dziwactwu dogodne", „co próżnej ciekawości zacieczeniem, albo bujnej imaginacji są płodem". Chociaż, kto wie, czy t u t a j nie miał jednak Staszic odrobiny słuszności; a ktoś, co wierzy w przeczucia i jest trochę złośliwy, gotówby nawet twierdzić, że Staszic przeczuł dzisiejszą logistykę i że ją to nazwał „próżnej ciekawości zacieczeniem" i nauką „samym tylko zbytkom, dziwactwu dogodną". Ale mniejsza z tem: tak, czy inaczej, są niewątpliwie w pismach pedagogicznych Staszica myśli przebrzmiałe.

Lecz z drugiej strony ileż jest w nich myśli do dziś dnia prawdziwych, zbawiennych, żywotnych, i to dotyczących zarówno wychowania w Polsce, jak ogólnych, powszechnych podstaw i celów wychowawczych! Oto kilka przykładów.

Jest Staszic wrogiem poglądu „jakoby rozum, umiejętności nie były dla wszystkich narodów jedne, jakoby, co jest rzeczywiście dobrem, co jest prawdziwie światłem, to nie było dla wszystkich narodów dobrem i dla wszystkich narodów światłem"; ale to mu nie przeszkadzało głosić zasady, że w różnych krajach wychowanie powinno być różne, w zależności od c e l ó w państwowych każdego kraju i od natury jego mieszkańców. „Różne krajowe rządy do osiągnięcia szczęśliwości różne sposoby pozwalają; bo nie jednakiej w obywatelach użyteczności potrzebują. Dlatego w każdem państwie edukacja do rządu stosowaną być musi koniecznie". Polska jest obtoczona despotycznemi krajami, które czyhają na jej zgubę, a stąd „każdy wolny obywatel... jest oraz rycerzem czyli swojego kraju żołnierzem": a więc „szkoła obywatela niech będzie razem szkołą rycerza", niech uczy „umieć zwyciężać, bić i gnębić nieprzyjacioły kraju swojego". Warto, aby się nad tem zastanowili nasi pacyfiści, będący na materjalnym, czy moralnym żołdzie różnych międzynarodówek i żydostwa.

Polska jest krajem, w którym mieszkają różne narodowości; ale ponieważ wszyscy bez wyjątku mieszkańcy Polski powinni być dobrymi obywatelami, a obywatela urabia szkoła, więc edukacja powinna być „narodowa, jedna". Warto, aby się nad tem zastanowili nasi zwolennicy różnych autonomij, szkolnych i nieszkolnych.

Polacy to naród próżniaczy, nienawidzący pracy: stąd wychowanie powinno wpajać w serca zasadę, że „pierwszym obowiązkiem człowieka jest pracować, że tylko przez pracę staje się obywatelem użytecznym, że w każdym stanie próżnowanie

czyni człowieka szkodliwym i sobie samemu i innym". Warto, aby się nad tem zastanowili ci z pośród naszych nauczycieli (a jest ich niemało), którzy nietylko patrzą przez palce na próżniactwo swoich wychowańców, ale, rzec można, systematycznie ich lenistwo pielęgnują, żeby się, broń Boże, nikomu nie narazić — ani wychowańcom, ani ich rodzicom, ani nadewszystko demagogicznym jednostkom i stronnictwom, którym zawdzięczają swoje posady.

W porównaniu z innemi narodami Polska jest w dziedzinie oświaty i nauk krajem zacofanym, co jest jedną z przyczyn, że ją cudzoziemcy mało znają: „dzisiaj jest czas, abyśmy wszyscy nad tem pracowali, wszyscy się starali, jakby ją dać poznać obcym, jakby ją wystawić we wszystkich jej stosunkach z nimi". Czy to przykazanie Staszica, dane narodowi w roku 1805, nie powinno nam i dzisiaj i zawsze przyświecać?

W ścisłym związku z hasłem narodowości szkoły pozostaje hasło jej postępowości, co się tłumaczy mądrym poglądem Staszica na naród i narodowość: niektóre pierwiastki, składające się na te pojęcia, są „stałe, niezmienne i nieprzeistaczalne", ale są i takie, które „zmienić się i postępować muszą". „Kto utrzymuje, że rządy, prawa, obyczaje są narodowością, przeto równie, jak narodowość, powinny być nietykalne, zawsze jedne, stałe i na wieki te same, — ten utrzymuje tak wielki nierozsądek, jak ów Turczyn, albo Tatar, co, od swych przodków wzięty oręż za swą narodowość mając, tego, by narodowości nie utracił, upornie zmienić nie chce; a tak nierozmyślny wychodzi z łukami i strzały na teraźniejsze twierdze, armatne kule, kartacze i bomby". W myśl tej to zasady zwrócił się Staszic do uczniów konwiktu pijarskiego w Warszawie (w roku 1814) z zachętą, żeby, jeśli chcą dorównać tym zasłużonym obywatelom, co się chowali przed nimi za czasów wielkiego Konarskiego w konwikcie pijarskim, postąpili od nich wyżej, „bo ludy wszystkie, co do naszej ojczystej ziemi przytykają, wszystkie od tamtego czasu w swoich prawach, rządach, naukach, umiejętnościach postąpiły dalej".

A jakaż jest naczelna myśl pedagogiczna Staszica, myśl ogólna i — nieśmiertelna? Co jest głównym celem wychowania? Odpowiada Staszic, zgodnie z duchem wieku oświeconego: „Prawdziwa człowieka szczęśliwość... Nie mówię, iż trzeba zaniedbać i inne szczęśliwości, zmyślone; gdyż te już tak stały się nam potrzebne, że bez nich bylibyśmy nieszczęśliwymi prawdziwie, ale chciałbym, aby edukacja dla nich ludzi obojętniejszymi czyniła". Przez prawdziwe zaś szczęście rozumie Staszic „mieć życia pierwsze potrzeby, zdrowie i spokojność";

„wszystkie inne szczęścia są mniemane i wymyślone". Otóż ta prawdziwa „szczęśliwość człowieka-obywatela jest nierozdzielną od szczęśliwości całego towarzystwa" (czyli, jak dzisiaj mówimy, społeczeństwa); a ponieważ „szczęśliwość towarzystwa", będącego „jedną moralną istnością, której członkami są obywatele", „wynika z użyteczności wszystkich mieszkańców jego, przeto końcem" (czyli celem) „edukacji krajowej być powinna użyteczność obywatela". Jakto? więc nie jego szczęśliwość? Owszem — albowiem to jedno i to samo: prawdziwie szczęśliwym powinien się czuć ten tylko, kto ma świadomość, że jest użytecznym obywatelem, że „powiększa dobro współobywateli" i przez to pełni „cnotę najwyższą". Otóż wychowanie powinno w tym właśnie kierunku urabiać młode dusze, powinno tak zmienić naszą naturę, wołającą o osobiste szczęście, żebyśmy, kiedy tego trzeba, nawet nieszczęście „obierali za naszą szczęśliwość".

Czy to może utopja? Nie, to ideał, — ideał, który, jeśli wychowanie będzie wytrwale dążyło do jego urzeczywistnienia, może „gdzieś na wieków późnej fali" przestanie być ideałem, a stanie się rzeczywistością. Bo przecie celem wychowania jest nie tylko wyzyskiwać wszystkie istniejące w naturze człowieka zasoby w pewnym celu, ale także zmieniać samą istotę natury ludzkiej — w kierunku, o który woła prawdziwa i rzetelna kultura, to znaczy kultura moralna, bo z tej, jak z pnia, powinny wyrastać wszystkie bez wyjątku jej różnorodne gałęzie.

Oto naczelna i, raz jeszcze, nieśmiertelna myśl pedagogiczna Staszica.

JÓZEF WYBICKI
W ŚWIETLE WŁASNYCH PAMIĘTNIKÓW

Z wykładów w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Pamiętniki Wybickiego, których wydanie krytyczne zawdzięczamy dopiero Adamowi Skałkowskiemu [1], mają — inaczej niż pamiętniki Ogińskiego — charakter autobiograficzny, co nie przeszkadza, że są ważnem źródłem dziejowem: przecie autor brał czynny udział w takich wypadkach, jak sejm roku 1767—8, jak konfederacja barska, jak smutna historja kodeksu Andrzeja Zamoyskiego, jak utworzenie Księstwa Warszawskiego.

Z wypadków swego życia prywatnego najszczegółowiej opowiada Wybicki o czasach młodości, zwłaszcza o pobycie w gdańskiej szkole jezuickiej i w palestrze w Skarszewie, a potem — o pobycie w Dreźnie, gdzie zamieszkał w roku 1803 dla wychowania synów.

Opowieść jest bardzo nierównomierna: pomija Wybicki całe lata, np. od roku 1780 aż do 1792. Kończą się pamiętniki na roku 1809.

Pod względem układu stoją one daleko wyżej, aniżeli pamiętniki Stanisława Augusta albo Ogińskiego, a to w tem znaczeniu, że — aż do roku 1806 — autor prawie nie przerywa swej opowieści przytaczaniem dokumentów *in extenso*. Dopiero od tego roku wplata w nią odezwy wojskowe Dąbrowskiego, projekty organizacji ziem, odebranych Prusakom przez wojska francuskie i polskie, tudzież raporty, listy i t. d. Ze stanowiska literackiego wolałoby się naturalnie, żeby to wszystko było w przypisach, nie w tekście głównym. Poza tem jednak posiada *Moje życie* Wybickiego niezaprzeczoną wartość literacką. Są wprawdzie dosyć liczne usterki językowe, ale zato styl odznacza się nietylko miłą naturalnością, ale czasem także wcale niepospolitą żywością, tam zwłaszcza, gdzie autor opowiada o tych wszystkich perypetjach, przez jakie przechodził w Warszawie,

[1] *Życie moje oraz Wspomnienie o Andrzeju i Konstancji Zamoyskich*, Kraków 1927 (*Bibljoteka Narodowa*, Serja I, nr. 106).

kiedy to musiał się ukrywać przed szpiegami i kozakami Repnina, oraz podczas konfederacji barskiej, — i tam, gdzie opowiada o swoich stosunkach z Napoleonem.

I wogóle przy charakterystyce pamiętników Wybickiego pamiętać trzeba, że ich autor był literatem (czego nie można powiedzieć o pamiętnikach ani Ogińskiego, ani Kitowicza, ani nawet Stanisława Augusta), oraz że pisał je w ściśle określonym celu, który wyjawił zaraz na początku w tych słowach:

„Rok 1794 zupełnie mnie z łona ojczyzny wytrącił i na lat wiele na wygnanie wskazał; odłączony w ten sposób od ukochanej mej rodziny, gdy przez zawieszone nad krajem czarne chmury żaden mi się nadziei nie przebijał promyk, gdy dzień każdy za dzień ostatni mego życia rachowałem, uzbroiwszy się rezygnacją i cierpliwością, postanowiłem najmniej za całą puściznę zostawić historję mego życia mym dzieciom, aby te zczasem nie myślały, żem za jaką istotną zbrodnię zasłużył na śmierć i wygnanie".

A więc jest w pamiętnikach tendencja pedagogiczna: ojciec, bardzo kochający swoje dzieci, pragnie nietylko pozostawić im po sobie pamiątkę pod postacią opowieści o swojem życiu, ale zarazem pokazać im, że ojciec ich nie był zbrodniarzem, lecz, przeciwnie, wiernym synem ojczyzny i dobrym, cnotliwym, a do tego światłym i chciwym światła człowiekiem. Za takiego człowieka poczytywał siebie Wybicki i poczytywać się miał zupełne prawo, i może poczęści nieświadomie, ale trochę także świadomie, chciał wystawić swoim dzieciom swoje własne życie jako przykład, godny naśladowania: „Ukochane dzieci! dla was piszę historję mego życia, w niem dla waszego serca zbierać macie naukę".

Otóż za tę tendencję pedagogiczną, za to uczucie rodzicielskie spotkał Wybickiego zarzut, i to ze strony bardzo poważnej, bo uczyniony przez Stanisława Krzemińskiego (w *Stu latach myśli polskiej)* w tych słowach: „Gdy się stało tak wysoko w narodzie, gdy się tyle względem niego obowiązków spełniało i tyle spełniło, jemu też, a nie dzieciom swym, winno się było zdać liczbę ze swych czynów, wiedzy o rzeczach i ludziach bieżących".

Zarzut to jednak niesłuszny, albowiem, nie mówiąc już o tem, że całą jedną część pamiętników pisał Wybicki już nie dla dzieci, tylko dla historji (jak to wykazał Skałkowski), i w pozostałych częściach, zdając sprawę ze swoich czynów dzieciom, tem samem zdaje z nich sprawę narodowi, a do tego nie poprzestaje na samem sprawozdaniu, ale wszędzie wypowiada swój własny sąd o opowiadanych przez się wypadkach, sąd naogół trafny, bezstronny i rozumny.

Tak np. konfederację barską bardzo słusznie nazywa autor „przykładem cnoty“ w owych smutnych czasach, „gdy ciało nasze polityczne, już zgnilizną korrupcji zatrute, do grobu się zbliżało“; ale tuż po tem dodaje, że nie było w konfederacji „Janów Zamoyskich, Mikołajów Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Żółkiewskich“, i że „w takiem obnażeniu (z) ludzi wielkich konfederacja barska, ledwo się poczęła, weszła do grobu!“ Rozumiał także Wybicki doskonale cały tragizm konfederacji, polegający na tem, że, broniąc honoru narodowego, była jednocześnie wojną domową; ale, dodajmy, dopiero wtedy to zrozumiał, kiedy pisał pamiętniki: kiedy był konfederatem — nie rozumiał. A i to później dopiero zrozumiał, że ksiądz Marek był wprawdzie „dobrym Polakiem i gorliwym obywatelem“, ale nie był świętym człowiekiem: „Jeżeli wówczas równie z drugimi uświęcałem go jako kandydata do kanonizacji, była wina czasów“. Dodaje Wybicki, że ksiądz Marek „nie miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego, był cokolwiek hulaka“. Tego także nie tai, że konfederaci wpadli w dewocję, i opowiada, że, przyjechawszy do Baru, zastał Pułaskiego „okrytego obrazami i relikwjami“, i że „za jego przykładem, a raczej za mocą opinji, wszyscy te świątobliwe pozawieszali na się szyszaki; już i ja dobrym puklerzem różańca i szkaplerza jeszcze od mego biskupa z Spisza opatrzony byłem“. „Nie piszę tego duchem wyszydzenia: wiem dobrze z mych dziejów, jak waleczni nasi przodkowie, zaśpiewawszy *Boga Rodzica Dziewica*, uderzali i znosili hufce nieprzyjaciół, ale też muszę dodać, że, gdy nasze Piasty śpiewały pobożnie, bili się walecznie; wzywali podług swej opinji duchownej Wojciecha i Stanisława męczenników pomocy, ale używali broni zaczepnej i odpornej, jakiej używać wieki kazały. Ale militarność ich stosowna była do militarności czasów i nieprzyjaciół; my, powiedzmy prawdę, zachowawszy zabobonność naddziadów, zachowaliśmy razem tylko i ich piki z wieku dwunastego na wiek osiemnasty“.

A jak o konfederacji barskiej, tak wogóle o społeczeństwie polskiem za Stanisława Augusta nieraz wydaje Wybicki sąd bezstronny i słuszny. Nie waha się mówić o ciemnocie tego społeczeństwa, która przez długi czas uniemożliwiała wykonanie zamiarów reformy: autor *Listów patrjotycznych* wiedział coś o tem. Szczegółowo opowiada o jednym z najsmutniejszych wypadków w całej historji polskiej — o odrzuceniu przez sejm kodeksu Andrzeja Zamoyskiego, przyczem podaje wiadomość, że nuncjusz papieski intrygował — przez „zagorzałych mnichów“— przeciwko przyjęciu kodeksu.

Szczegółowo też opowiada, z jakiemi to trudnościami musiał walczyć Antoni Tyzenhauz w swojej pracy nad reformami ekonomicznemi i gospodarczemi na Litwie: „Z jednej strony zazdrość, z drugiej ciemnota, wszelkiej bądź najużyteczniejszej nowości nieprzyjaciółka, na dzieła rzuciły się podskarbiego... Napróżno książę prymas stawał w obronie podskarbiego... Tyzenhauzowi rządy dóbr stołowych odebrano, w których wkrótce przez taką zmianę miljony, łożone na tych dóbr kulturę, przepadły, wszelki przemysł w nich zamilkł, fabryki upadły, wspaniałe gmachy poszły w rozproch". Nie jest jednak Wybicki zaślepionym wielbicielem Tyzenhauza, owszem zarzuca mu, że się w swojej pracy reformatorskiej nie liczył z psychologją ciemnego społeczeństwa, „iż stopniowaniem nie szedł do zarodu i rozkrzewu przemysłu, iż chciał do razu na błotach litewskich Holandję zakwitnioną widzieć, która wiekami, tak jak wszystko w naturze się dzieje, zwolna do swej dojrzałości się wznosiła" [1].

A jak o ciemnocie, tak i o zaniku ducha patrjotycznego w społeczeństwie z całą otwartością mówi Wybicki. Opowiada np., że, kiedy po pierwszym rozbiorze przybył do Warszawy, ujrzał ją „na łożu rozkoszy i zbytków razem z królem uśpioną", że „podział hańbiący kraju zupełnie na zniewieściałych umysłach został zatarty", że „nikt nawet o tem ani wspomniał, i nawet o tem wspomnieć do złego należało tonu".

Surowy, ale słuszny sąd wydaje o dniu 9 maja roku 1794, to jest o dniu, kiedy podczas powstania motłoch, poduszczany przez Konopkę, zorganizował terror, którego ofiarą o mało co nie padł sam autor.

Bezstronny jest sąd i o rewolucji francuskiej; w oczach Wybickiego miała ona zrazu „zamiar najświętszy: przywrócenie wolności cywilnej i politycznej człowiekowi, ...ale ten święty zamiar niknął, gdy chucie i namiętności wzięły górę, gdy ludzie, zbrodniami okryci, odsunęli obywateli cnotliwych i światłych od styru rządu, gdy intrygi, chciwość grabieży, a przy tej chciwość krwi niewinnej zarażone i zdemoralizowane opanowała serce".

Nie obwija Wybicki w bawełnę zachowania się Poznańczyków na wieść o zwycięstwach Napoleona: „Cieszył mnie zapał do wybicia się z obcego jarzma i wrócenia się na łono ojczyzny. Lecz po krótkiej chwili, gdy się po uściskaniach braterskich wdałem z mnóstwem zgromadzonych obywateli w rozmowy, postrzegałem w niektórych powątpiewanie i bojaźń, w drugich przebi-

[1] W pamiętniku Wybickiego upatruje Tadeusz Korzon źródło późniejszych, naogół pochlebnych opinij o działalności Tyzenhauza; sam osądza podskarbiego bardzo surowo *(Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta.* Wyd. II, tom II, str. 244—259, i IV, str. 250—286).

jało się przez patrjotyczną powierzchowność przywiązanie do rządu pruskiego; a gdy, postępując do mego zamiaru, oświadczyłem, iż zaraz jutro urzędników pruskich znosić zacznę, stawiając na ich miejsce rodaków, z zadziwieniem tę małą liczbę ochoczych, to wreszcie niesposobnością się wymawiających, znalazłem. Nieraz nad tem uwagę moją rozciągałem, czego mógł dokazać w czasie krótkim rząd obcy nad duchem Polaków".

Ciekawym przyczynkiem do naszej psychologji narodowej jest opowiadanie Wybickiego o tej niechęci, której doświadczył od własnego społeczeństwa, kiedy organizował kraj z ramienia Napoleona: „Mazurom, Wielkopolanom i magnatom w głowie się nie mogło pomieścić Wybickiego panowanie"!...

Warto jeszcze przytoczyć jego sąd o szkołach jezuickich: „Rządu opieka nie rozciągała się do... edukacji publicznej. Poruczona zupełnie została jezuitom, i od nich jeszcze ciemniejszym, a co do serca najdzikszym, tak nazwanym d y r e k t o r o m, w których dzikie i tyrańskie ręce z woli rodziców wpadaliśmy. U nich żywość dowcipu, ciekawość, łatwe pojęcie, te dary najdroższe od natury, gdy dobrze od młodości prowadzone, były w ich oczach przywarą. Mimo wiek i krew samę należało być zlodowaciałym, ponurym, milczącym i, jak zwykle mnichy, pokornym aż do podłości. Nie dano duszy pokarmu i nawet ciału gimnastyki broniono. Barbarzyńcy! chcieli mieć z młodzieży cienie i mary, z ludzi wolnych — bydlęta w jarzmie, z obywatelów, przeznaczonych do służenia ojczyźnie radą i orężem, — nieczułe i ciemne stwory".

Tego wszystkiego chyba dosyć, aby obalić zarzut, jakoby Wybicki, pisząc swoje pamiętniki dla dzieci, nie zdawał sprawy ze swej „wiedzy o rzeczach i ludziach bieżących".

Lecz jest zarzut inny jeszcze, i to, zdawałoby się, o wiele słuszniejszy, — zarzut samochwalstwa.

Istotnie, Wybicki często się chwali. Idzie zaś tutaj nie o jego opowiadanie o własnych czynach, np. o śmiałem wystąpieniu na sejmie roku 1768, kiedy to zaprotestował przeciwko gwałtowi moskiewskiemu, albo o przyjęciu, jakiego doznał od szlachty na sejmiku w Środzie, kiedy to krzyczano: „Oto ten jegomość, coby chciał chłopów w szlachtę obrócić, a nas w chłopów!... onby chciał nasze córki w chłopianki obrócić!" Otóż te i inne jeszcze relacje Wybickiego mają charakter całkiem przedmiotowy; takich zdarzeń nie mógł autor pomijać w pamiętnikach — w imię prawdy dziejowej.

Nie wolno także poczytywać za samochwalstwo tego wszystkiego, co autor opowiada o swoim zapale do wszystkich nauk (z wyjątkiem teologji, „bo ta — mówi — nie była mej wiary"), zwłaszcza o zapale do mineralogji i zoologji, a także do sztuk

pięknych: tutaj stwierdza tylko Wybicki swoje upodobania i fakty biograficzne — bez żadnych komentarzy.

Ale czasami komentarze są. Opowiedziawszy np. o tem, jak za pobytu swego w akademji w Lejdzie wyleczył jednego z bawiących tam Polaków z manji religijnej, dodaje Wybicki: „Moje dzieci! nie macie w mem życiu dzieł wielkich; chciałem wam tę uczynność ludzkości, jak dzieło najdroższe sercu memu, którego pamięć do grobu mnie poprowadzi, w waszej uwiecznić pamięci. Ach! co za rozkosz dla duszy uczynić choć jednego człowieka szczęśliwym!“ Ale i to może jeszcze nie samochwalstwo, tylko poprostu zadowolenie moralne z dokonania dobrego uczynku. Z tego samego źródła wypływają te słowa, dodane do opowiadania o niedostatku, jaki autor cierpiał wraz z synami w Dreźnie: „Mimo ten niedostatek upływały godziny moje w tej spokojności duszy, jakiej tylko ten doświadczać może, kto mężnie pokonywa przeciwność i z stałością dopełnia swoje obowiązki“.

I nie jest może jeszcze samochwalstwem, kiedy, opowiedziawszy o tem, jak go Napoleon wezwał do Berlina w sprawie zamierzonej restytucji Polski i jak go względami swojemi zaszczycał, pisze: „Nigdy z tego nadspodziewanego wypadku nie byłem nadęty, ani interesowany; czułem zawsze w sobie wielką niższość względem wielkiego zdarzonego dla mnie szczęścia, nie szukałem w niem majątku, mając tysiączne sposobności, szukałem tylko dobra publicznego i mej bezskażytelnej sławy“.

Lecz nie da się zaprzeczyć, że są w pamiętnikach i takie ustępy, które już stanowczo samochwalstwem trącą. Opowiada np. autor, że ze swej niewielkiej fortunki ofiarował „20.000 złp. na pierwsze potrzeby wojska“, a tuż po tem: „Tak daleko mnie zapał służenia ojczyźnie nad moją możność unosił i ubożył“. Zwłaszcza to „ubożył“ niemiłe sprawia wrażenie: jakby wymawiał ojczyźnie tę ofiarę! Zbyt często też podkreśla, że pracy, powierzonej mu przez Napoleona, nad organizacją kraju i wojska, podejmował się zawsze bezinteresownie, że np. jeździł po kraju „zawsze o własnym ekspensie“, że „mając moc władania nieograniczoną, w niczem pomogi“ swojej „nie nadużył“, i t. p. Nie zapomniał, oczywiście, przytoczyć słów, z jakiemi się Napoleon zwrócił do Stanisława Potockiego: „Nie widziałem człowieka tak bezinteresownego, jak jest Wybicki“. Zresztą jest to tylko znowu stwierdzeniem faktu.

Wolałoby się natomiast, gdyby w *życiu mojem* nie było tych słów: „Owóż tu zaród tych sławnych Legjów, o których dzieje świata nie zapomną... Wywiodłem szczerą ich historję, że ja do ich zawiązku najwięcej się przyłożyłem. Mało mi współcześni w tem oddali sprawiedliwości, a moje hasło jak zawsze: *ut sit bene patriae!*“ Czyż naprawdę Wybicki przyczynił się n a j w i ę-

cej do stworzenia legjonów? Wolałoby się także, żeby w pamiętnikach nie było słów: „Wreszcie powiem bez chluby, że, napojony z dzieciństwa maksymami prawdziwych republikanów, dochowałem aż dotąd w mej duszy przekonanie, że sama cnota jest prawdziwą nadgrodą dla człowieka dobrze myślącego".

Lecz przy ocenie tych i tym podobnych ustępów nie należy zapominać o tendencji pamiętników: pisał je ojciec dla dzieci, aby naśladowały to, co w ojcu było dobrego.

Nie wadzi także stwierdzić, że, w imię korzyści pedagogicznej, nie pomija czasem Wybicki swych braków, żeby się ich dzieci strzegły. Więc opowiada on z całą otwartością, że go widok Karpat wcale nie zachwycił, że na piękno pejzażu górskiego był nieczuły: „Niestety, edukacji niedostatek zrobił mnie zimnym i martwym, jak te głazy, które przebywałem. Cała tam piękna natura dla mnie zamilkła, bo jej języka nie umiałem;... przez skutek zaniedbanej edukacji polskiej Karpaty przebyłem bez korzyści. Ukochane dzieci! musiałem dla dania ulgi sercu nieco odetchnąć i ciąg podróży przerwać; niech jednak te moje narzekania, te wspomniane straty nie będą dla was bez korzyści! Pożytkujcie z pory, pożytkujcie z światła, w którem żyjecie, abyście, podobnie jak ja wówczas, z zawiązanemi oczyma, albo jak roślina chodząca, po świecie podróż nie odprawiali".

I jedno jeszcze. Wybicki był, jak się powiedziało, literatem; znał Rousseau'a i (podobnie jak Karpiński) troszkę się na nim wzorował, choćby np. w apostrofach, tak ulubionych w XVIII wieku; Rousseau zaś okropnie lubił się chwalić, — za nim chwalił się dużo Karpiński, chwalił się trochę i Wybicki.

Nadewszystko jednak wzorował się on, świadomie czy nieświadomie, na ulubionym w wieku XVIII Plutarchu. W szkołach nie znał go jeszcze, poznał go dopiero w Warszawie, kiedy przyjechał w roku 1767 na sejm; a poznawszy go, wpadł w zachwyt: „Po kilkodniowych lekcjach łez [1] wstrzymać nie mogłem, iż mi cnoty tak wielu ludzi tajne aż dotąd były... Wyprosiłem sobie na nocne czytania, co się przez dzień nie doczytało, i już odtąd nie żyłem, tylko z Arystydem, Sokratesem, Fabrycjuszem"... I mówi jeszcze Wybicki: dzieło Plutarcha „rzuciło pierwsze nasiono prawdziwej moralności i cnoty obywatelskiej w duszę moją; z tych wielkich wzorów pewne sobie w życiu prywatnem i publicznem założywszy prawidła, nigdy aż dotąd od nich nie odbiegłem".

Otóż, pisząc pamiętniki dla dzieci, pragnąc im dać z własnego życia naukę i wzór, mimowoli patrzał w czasie ich pisa-

[1] W tekście Skałkowskiego czytamy: t e ż; czy to nie omyłka?

nia na siebie... pod kątem Plutarcha, pod kątem cnoty jego bohaterów. Dlatego to może idealizował trochę samego siebie.

Lecz ten nawet, kto się z tem liczy, przyzna zapewne (jeżeli tylko umie w utworze literackim odróżniać stronę podmiotową od przedmiotowej), że, gdyby się nawet skądinąd nie wiedziało, kto to był Józef Wybicki, można i trzeba na podstawie jego pamiętników orzec, że był człowiekiem nietylko rozumnym i chciwym wiedzy, ale także szlachetnym, religijnym bez fanatyzmu i przesadnego formalizmu, że był dobrym ojcem, czule kochającym swe dzieci, i wiernym synem ojczyzny.

„Plutarch polski" byłby niezupełny, gdyby w nim nie było życiorysu autora *Pieśni legjonów*.

JAN ŚNIADECKI, JAKO NAUCZYCIEL NARODU

Odczyt, wygłoszony na publicznem posiedzeniu Polskiej Akademji Umiejętności dnia 12 czerwca 1930 r.

Sława. Odczyt, którym Zarząd Polskiej Akademji Umiejętności postanowił uczcić setną rocznicę śmierci Jana Śniadeckiego, będzie z natury rzeczy, albo raczej z rodzaju umysłowości i wykształcenia prelegenta, bardzo niewyczerpujący. Przecie Śniadecki był w jednej osobie matematykiem, astronomem, geografem,filozofem, psychologiem, pedagogiem, zwierzchnikiem i reformatorem szkolnictwa. Otóż do samodzielnej oceny tych wszystkich zasług prelegent nie rości sobie prawa. Niemałą jednak pomocą jest mu to, że się od szeregu lat ukazują poświęcone tym różnorodnym dziedzinom działalności Śniadeckiego specjalne studja. A są to studja coraz krytyczniejsze, osłabiające powagę d a w n y c h sądów, brzmiących, że Śniadecki to uczony i myśliciel wielki, znakomity, a nawet genjalny. Te dawne sądy do dziś dnia jeszcze błąkają się u nas, co, mówiąc nawiasem, nie przeszkadza, że niektórzy ani w ząb nie mogą odróżnić brata od brata — autora *Filozofji umysłu ludzkiego* od autora *Teorji jestestw organicznych*. Prędzej czy później, sądy te będą należały już tylko do przeszłości. Już teraz bowiem okazało się, że Jan Śniadecki, przy całem swojem rozległem wykształceniu i żywiołowym zapale do nauki, zbyt obficie zasilał się, jako uczony i filozof, myślą obcą, żeby go można było nazwać badaczem, posuwającym naprzód naukę i filozofję europejską. Okazało się również, że w słynnych *Listach o języku polskim* przeszczepiał on na grunt ojczysty myśli angielskie i francuskie XVIII wieku, i to myśli, które, kiedy je wygłaszał, trąciły już trochę myszką. A w niedalekiej przyszłości okaże się, że nawet jego najgłośniejsza, chociaż nie najznakomitsza, rozprawa — ta, którą, wraz z jej autorem, ośmieszył Mickiewicz w balladzie *Romantyczność*, — jest wyraźnem echem pewnej rozprawy, albo raczej całej jednej książki, francuskiej [1].

[1] *L'Antiromantique ou Examen de quelques ouvrages nouveaux*, par M. le Vicomte de S... (Saint-Chamand). Paryż 1816.

Ale jeżeli tak jest istotnie, jeżeli samodzielność myśli Śniadeckiego badania krytyczne podały w wątpliwość, to może jego wielkość jest tylko legendą? O, nie!

Przedewszystkiem — legenda legendzie nierówna.

Bywają legendy, których źródłem są u r o j o n e wartości bohatera: są to legendy sztuczne, a fabrykują je bądź ci, którzy naprawdę widzą w nim to, czego w nim niema, bądź tacy, którzy wprawdzie nie widzą w nim żadnych wielkich wartości, którym jednak legenda o nim jest potrzebna, i to dla celów niekoniecznie i niezawsze osobistych, ale także politycznych lub społecznych, partyjnych lub narodowych. Tego rodzaju legendy gasną zazwyczaj szybko, tuż po śmierci, albo nawet jeszcze za życia swego bohatera.

Lecz są także inne legendy — oparte nie na urojonych, tylko na rzeczywistych wartościach człowieka, wartościach tak wielkich, że ludzie, olśnieni ich wielkością, nietylko je wyolbrzymiają, ale dodają do nich jeszcze inne wartości, tak żeby aureola człowieka zataczała pełny krąg. Takie legendy powstają najczęściej nie za życia, ale dopiero po śmierci człowieka, i są w części tylko legendami, a w części — prawdą.

Każdy, kto zna życie, działalność i pisma Jana Śniadeckiego, wie, że legenda o jego wielkości należy do tej drugiej kategorji, że w bardzo znacznej mierze jest oparta na jego rzeczywistych ogromnych wartościach, na nieśmiertelnych zasługach narodowych, i że tylko w pewnej mierze ta aureola chwały, którą jaśniał już za życia, po śmierci zajaśniała silniej jeszcze — od ognia serc, bijących podziwem i wdzięcznością. Dalsza potomność, spełniając jedno z najgorętszych życzeń samego Śniadeckiego, żeby się w sądach o człowieku i jego czynach kierować nie sercem, tylko rozumem, przyćmiła niektóre promienie jego aureoli, — ale sama aureola nie zgasła i, dopóki Polska Polską, nie zgaśnie nigdy, albowiem inne jej promienie nie sztucznym pałają ogniem.

Nie Mickiewicz miał słuszność, kiedy, w swoim zapale młodzieńczym i młodzieńczej pewności siebie, parodjował słowa Śniadeckiego i odmawiał mu znajomości „prawd żywych"; słuszność miał raczej Słowacki, kiedy, na lat pięć przed śmiercią, w cichem skupieniu religijnem, pisał o nim: „Ten człowiek po upadku i wymarciu stanisławowskich czasów wziął w Polsce berło ducha i utrzymywał je aż do roku 1831 nie słowem, ani czynem — ale prostą siłą, w sercu będącą — duchem, który w nim przybrał kształt bronzowego posągu — i wielkością jakąś tajemniczą działał na ludzi". Usuńmy z tych słów naleciałości mistyczne, odrzućmy pogląd, że nie słowem, ani czynem, ale jedynie sercem, duchem i jakąś tajemniczą wielkością człowiek

działa na ludzi, a w całej pełni ostanie się wyrok Słowackiego, że Jan Śniadecki „po upadku i wymarciu stanisławowskich czasów wziął w Polsce berło ducha".

Powiedzieć, że je piastował niepodzielnie, byłoby nieprawdą: był przecie, na nasze nietylko szczęście, ale i zbawienie, Niemcewicz, który w pierwszych latach porozbiorowych dzierżył i sprawował „rząd dusz" polskich. Lecz pamiętać trzeba, że królestwo ducha jest rozległe: starczyło w niem miejsca i dla Niemcewicza, i dla Śniadeckiego; jeden drugiemu nie zawadzał, przeciwnie, jeden drugiego uzupełniał.

Niemcewicz wpajał w serca polskie miłość przeszłości narodowej, piętnował swym złośliwym językiem odstępców i tchórzów, karjerowiczów i oportunistów, ośmieszał wady charakteru polskiego, był apostołem nienawiści względem zaborców, słowem — budził ducha narodowego tak, jak nikt przed Mickiewiczem. Śniadecki, nie będąc poetą, ani nawet tak utalentowanym literatem, jak Niemcewicz (chociaż dużo lepszym od niego pisarzem), rozwinął innego rodzaju działalność: kiedy Niemcewicz wpajał w serca wiarę, że „jeszcze nie zginęła", Śniadecki uczył Polskę, jak ma postępować, żeby nie zginęła; rozumiał, jak nikt inny w Polsce, że naród, choćby jego duch patrjotyczny był niewiedzieć jak bardzo rozbudzony, nie ostoi się bez kultury umysłowej wogóle, a bez nauki w szczególności. I oto od dwudziestego roku życia, kiedy to został, on pierwszy w Polsce, nauczycielem algebry w Uniwersytecie Jagiellońskim, przez długi szereg lat, wypełnionych pracą nauczycielską w Krakowie i w Wilnie, oraz twórczością naukową w kraju i zagranicą, aż do śmierci był Śniadecki budowniczym polskiej kultury umysłowej i nauki polskiej, której sztandar wzniósł i trzymał tak wysoko, jak nikt inny ze współczesnych, — był jednym z najlepszych nauczycieli swojego narodu, jakich Polska miała przez wszystkie wieki swego istnienia, i to nietylko przez to, że był nauczycielem z bożej łaski, że się nauczycielem urodził, że praca nauczycielska była mu potrzebą życia, ale i przez to, że ta praca była oparta na doskonałej znajomości zarówno dodatnich, jak ujemnych stron umysłu i charakteru narodowego i na zrozumieniu potrzeb kulturalnych narodu. Otóż prawdziwa, niezaprzeczona, nieurojona wielkość Jana Śniadeckiego polega właśnie na jego działalności pedagogicznej.

Patrjotyzm. Cóż było źródłem, z którego tryskała ta jego długoletnia praca? Nietylko wielkie zdolności naukowe i pedagogiczne, nietylko niezmordowana pracowitość, tak rzadka w Polsce, a płynąca nie z samego temperamentu, ale także z wyjątkowo silnego charakteru, na którym się odrazu poznał Napoleon, kiedy ciągnął przez Wilno na Moskwę. Lecz było jeszcze

inne źródło pracy Śniadeckiego: miłość ojczyzny. O takim zaś, a nie innym kierunku tej pracy rozstrzygnęły jego poglądy na swoisty charakter umysłu polskiego i na płynące z tej swoistości jego potrzeby, a dalej — poglądy na znaczenie dla społeczeństwa nauki wogóle i niektórych nauk w szczególności.

Był Śniadecki gorącym patrjotą; zaraza kosmopolityzmu, który oświecenie, przy pomocy lóż wolnomularskich, wszczepiało w ludzi, nie sączyła jeszcze wówczas w dusze polskie swego jadu. Kiedy Napoleon, „zmierzywszy swojem przenikliwem okiem Śniadeckiego", zapytał go: „Czyś pan jest patrjotą, panie rektorze?", ten odpowiedział: „Od kolebki, Najjaśniejszy Panie, nauczyłem się kochać kraj mój, jego nieszczęścia mocniej mnie jeszcze do niego przywiązały". I to była prawda. Śniadecki kochał Polskę od młodości — przez całe swoje życie.

W roku 1771 bawił w Paryżu, na studjach; miał wówczas lat dwadzieścia pięć. D'Alembert proponował mu, w porozumieniu z rządem hiszpańskim, objęcie stanowiska naukowego w Madrycie: „Wystawił mi — opowiada sam Śniadecki — niepewność wszystkiego w Polszcze, przy tym losie, który czeka ten kraj prędzej lub później; rozczulony byłem tak prawdziwie szlachetną opieką i pamięcią d'Alemberta, ale zaraz oświadczyłem, że, będąc Polakiem, winienem moje usługi ojczyźnie i gotów jestem dzielić z nią los, jaki ją czekać może".

W roku 1807 był Śniadecki już rektorem w Wilnie; miał lat pięćdziesiąt dwa. Serce biło mu — już oddawna — ku bogatej i uroczej wdowie, pani Chołoniewskiej, z którą korespondencja, mówiąc nawiasem, rzuca wcale ciekawe światło na to, jak się w matematyku miłość kobiety może łączyć z miłością wyższej matematyki. Oto raz wymawia Śniadecki swojej ukochanej, że na list od niej czekał 10 dni, 13 godzin, 25 minut i 40 sekund. Nawzajem pani Chołoniewska, zasilając się inną dziedziną wiedzy, orzekła kiedyś, że jej ukochany „ma mózg cielęcy". Otóż ten „mózg cielęcy" powiedział Śniadeckiemu, że wobec licznych i ciężkich obowiązków względem kraju, jakie spadły na niego, nie wolno mu myśleć ani o szczęściu osobistem, ani o zakładaniu rodziny. I głosu tego, który usłyszał nietylko w mózgu, ale i w sercu, posłuchał. Albowiem zasada, którą, obok wielu innych, zawdzięczał kulturze oświecenia, że, jak się wyraził w jednej ze swoich mów uniwersyteckich, obywatel, który „przyszedł do czystego wyobrażenia porządku towarzyskiego", powinien „mierzyć osnowę dni swoich na paśmie korzyści publicznych", — ta zasada była w jego duszy prawdą żywą, a nie martwą. Trzeba było mieć tak silny charakter i tak gorącą miłość ojczyzny, jak on, żeby powiedzieć sobie ze Staszicem: mojem szczęściem jest tylko to, co jest szczęściem ojczyzny.

A ze swojej ojczyzny był Śniadecki dumny. Był dumny, że nie gdzie indziej, tylko „nad brzegiem Wisły", „rozum ludzki, odebrawszy... wielki zwrot i kierunek do prawdy, zaczął się po reszcie Europy szczęśliwie prostować i odradzać w swoich działaniach" — dzięki Kopernikowi, który, „jak drugi Noe, wybrnął z tej powszechnej toni spodlonego i obłąkanego myślenia". Dumny był także Śniadecki, że jego ojczyzna w XVI wieku i za czasów Stanisława Augusta wydała tak piękną literaturę — w jego oczach najpiękniejszą, jaka być może. Dumny był, że była w dziejach Polski epoka, kiedy, „wśród rozległej w wielu europejskich krajach ciemności, naród polski wygórował gruntowną nauką, dowcipem i smakiem, bo nie poszedł za bredniami scholastyków, ale się uczył matematyki, klasyków greckich i łacińskich". Jednem słowem, dumny był Śniadecki ze staropolskiej kultury d u c h o w e j, którą ludzie epoki oświecenia cenili ponad wszystko. I przysiągł sobie, że nad zachowaniem, reformą i postępem tej kultury będzie pracował, w przekonaniu, że, chociaż „ustały dla nas pożytki wielkich przykładów cnoty publicznej i męstwa..., ale owoce dowcipu i rozumu, które zrodziły się na ziemi polskiej, zapalać nas powinny do utrzymywania tego dziedzictwa chwały narodowej przez nasze niewinne prace około wzrostu nauk i umiejętności". I wierzył w możliwość osiągnięcia tego celu, albowiem, przy całym swoim krytycyzmie i przy całem swojem poczuciu własnego dostojeństwa i indywidualnej wyższości ponad szarym tłumem, nie lekceważył narodu: nie przeceniał go, ale i nie niedoceniał; przeciwnie: wierzył głęboko, że Polacy nie mogą wyrzucać naturze, żeby im poskąpiła „pojęcia i bystrości". Ale i z tego zdawał sobie sprawę, że kultura tych zdolności umysłowych narodu polskiego jest jeszcze na niskim poziomie, bo ich należycie nie kształcono, że więcej zwracano uwagi na „dzieła zabawy i imaginacji", niż na „poważne zatrudnienia rozumu", że dopiero w szkołach Komisji Edukacyjnej Polacy zaczęli się „porządnie uczyć".

Równie jasno uświadamiał sobie Śniadecki różne ujemne cechy charakteru polskiego, nadewszystko osobnictwo, jak doskonale nazwał Ochorowicz (tym wyrazem Trentowskiego) niechęć do wspólnej, zorganizowanej, poddanej jednemu rozumnemu zwierzchnictwu pracy około wspólnego dobra, osobnictwo, będące bitą drogą do anarchji. Przecie już w wykładzie wstępnym,wygłoszonym w Uniwersytecie Jagiellońskim dnia 9 listopada 1781 r., mówił, że „potrzeba... tego w narodzie wolnym, aby wole wszystkich obywatelów jednoczyły się w jedną wolę i czucie, żeby i wolność każdego w całości została, i interes każdego stał się interesem wszystkich". I później jeszcze niejednokrotnie powracał do tego naszego osobnictwa, jak np. w roz-

prawie *O języku polskim*: „Zginęliśmy anarchją polityczną: mamyż się jeszcze gubić na języku, smaku i rozsądku anarchją literacką? Genjusz polski jestże to twór, złożony z pierwiastków nieładu i dziwactwa? kiedy czego się tylko dotknie, wszystko miesza, burzy i wywraca?".

Kochając tedy swój naród, a widząc te i inne jeszcze ujemne strony jego umysłu i charakteru, od wczesnej młodości postanowił sobie być jego nauczycielem. I pełnił tę służbę do samej śmierci, czyto jako profesor i rektor Uniwersytetu, czy zwierzchnik szkolnictwa w całej jednej wielkiej połaci kraju, czy jako pisarz, — pełnił ją z miłością, z niezłomną konsekwencją, z powagą, z owem dostojeństwem, które, jak świadczy Słowacki, sprawiało, że „nikt nie zbliżył się do tego człowieka bez trwogi i poszanowania", do człowieka, który „stał dumny, twardy, niepochylony przed nikim, nawet przed Napoleonem nie drżący".

Stosunek do kultury oświecenia. Jakiż był główny kierunek pracy nauczycielskiej Śniadeckiego? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba pamiętać, że był on dzieckiem XVIII wieku, epoki oświecenia, którego kulturę i filozofję, jak sam sobie świadczy, chciwie w młodości wchłaniał, „nim... się całkiem do nauk matematycznych i fizycznych przywiązał" [1].

Otóż stosunek Śniadeckiego, zarówno umysłowy, jak uczuciowy, do oświecenia możnaby określić krótko tak, że przejął się on głęboko jego istotą, a ustrzegł się jego skrajności i zboczeń. A więc przedewszystkiem zawdzięcza oświeceniu pogląd, że rozum ludzki może i powinien mieć nieograniczoną wolność badań i że w nim tylko tkwi kryterjum prawdy; że nauka i oświata są ołogosławieństwem dla ludzkości, nietylko bowiem kształcą rozum, który w duszy ludzkiej powinien być królem, ale także uszlachetniają serce i leczą jego „narowy", że wogóle są najpotężniejszą dźwignią postępu także m o r a l n e g o; że „prawdziwa godność nauki wyciągać się i cenić powinna z wpływu, jaki wywiera na wydoskonalenie władz ludzkich, na wyrobienie prawdziwej dostojności człowieka, na polepszenie nietylko fizycznego, ale i moralnego bytu ludzi i narodów".

Poczytując jednak rozum za „rzetelną i dobroczynną władzę człowieka, daną mu od Przyrodzenia za wodza w myśleniu i postępowaniu", nie padał przecież Śniadecki przed tym wodzem na kolana, nie był bałwochwalcą rozumu, nie wierzył w jego wszechwładzę, jak tylu innych za jego czasów (nie wyłączając

---

[1] Świetną charakterystykę umysłowości Śniadeckiego skreślił Zygmunt Wasilewski w rozprawie *Zatarg rozumu z uczuciem* (w książce *Mickiewicz i Słowacki*, Kraków 1922).

Staszica); rozumiał bowiem doskonale, że nie sam rozum jest sprężyną, wprawiającą w ruch wolę, bo ludzie „nie są to figury geometryczne,... a ich sprawy nie są ilości matematyczne, ale owszem niezmiernie zwikłana mieszanina namiętności, wrażeń i narowów"; i rozumiał, że zwłaszcza „moralne prawidła, jeżeli się nie wpoją w czucie, zostaną w rozumie, a nie przejdą do serca", a zatem i w wolę; co więcej, on, wielbiciel rozumu, oddający mu berło w królestwie duszy, powiedział (i to gdzie? — w rozprawie *O pismach klasycznych i romantycznych)* te słowa: „Rozsądek jest to nieubłagany sędzia spraw ludzkich, tak cielesnych, jak umysłowych". Dobrze! Ale co następuje tuż po tem? „W przedsięwzięciach śmiałych i niebezpiecznych nie zważamy na niego, boby nas może wstrzymał od dzieł wielkich i nadzwyczajnych". Trudno naprawdę, znając Śniadeckiego, własnym oczom wierzyć: przecie to mniej więcej to samo, co „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił".

Nie podzielał także Śniadecki rozpaczliwie ciasnych poglądów oświecenia na religję, nie poczytywał jej (inaczej niż Staszic) za obłęd zmysłów i rozumu: przeciwnie, twierdził, zwłaszcza na starość, że religja nietylko może i powinna być podporą moralności, ale że jest jej nieodzownym warunkiem. To mu jednak nie przeszkodziło do krytycznego stosunku wobec Kościoła, wobec jego zwyrodniałej filozofji i, oczywiście, wobec jezuitów, których, jak tyle wielkich duchów polskich, szczerze niecierpiał. Ale niecierpiał także fanatyzmu wolnomyślności i wyznał otwarcie, że „żaden fanatyzm pobożności nie wstrząsł tak gwałtownie budową towarzyską, nie wyzionął tyle razem klęsk i nieszczęść, ile fanatyzm niedowiarstwa". I wreszcie nie podzielał rewolucyjnego poglądu oświecenia na przeszłość jako na stek głupstw i zbrodni, widząc w niej także jasne strony. A stąd poszło jego hasło: „Odmiany w zastarzałych instytucjach sprowadzają częstokroć nieprzewidziane nieszczęścia; co innego jest rzeczy nowe budować, a co innego od wieków zbudowane przerabiać; w tym ostatnim przypadku nie godzi się wywracać i niszczyć, tylko to, co jest szkodliwe".

Takie było w najogólniejszych zarysach stanowisko Śniadeckiego wobec oświecenia, co, pospołu z jego poglądami na umysłowość polską i na położenie polityczne, w jakiem się Polska znalazła po rozbiorach, wycisnąć musiało piętno na jego pracy nauczycielskiej.

Hasła wychowawcze. Rozwój wszystkich władz umysłowych — oto naczelne hasło tej pracy. „Doskonalić w masie społeczności jednę władzę człowieka z zaniedbaniem innych, dać nadto wybujać pierwszej z przytłumieniem ostatnich, jest to zostawić zarodek przyszłego barbarzyństwa"... „Przesąd uczo-

nych, wynoszących jednę naukę z pogardą drugiej, jest to samolubstwo, chcące się przecenić lekceważeniem rzeczy, sobie nie znanych, jest to uczone barbarzyństwo, wynikające z krótkiego i fałszywego rzeczy widzenia". Oto dlaczego twierdził Śniadecki, że „nie można ganić i potępiać przyjętego w Wydziale Wileńskim planu Instrukcji szkolnej, że on zawiera tak liczne i wielorakie rodzaje nauk". To też plan ten obejmował zarówno nauki przyrodnicze i matematyczne, jak humanistyczne. „Starałem się wszystkiemi siłami — pisał Śniadecki do Czartoryskiego — obudzić w młodzi naszej ochotę do uczenia się z gruntu łaciny i greczyzny". Jak bardzo sam kochał literaturę starożytną, to widać z niektórych jego pism i listów; nieraz też zabierał głos o doniosłości nauki historji literatury ojczystej. Do nauki historji żywił zrazu pewne uprzedzenia, które jednak z biegiem czasu bardzo osłabły.

Lecz za najważniejszą naukę poczytywał matematykę — nietylko dlatego, że ona to była jego największem ukochaniem naukowem, ale nadewszystko dlatego, że była w jego oczach najskuteczniejszem narzędziem do reformowania głów polskich. Przyznawał im, prócz „pojęcia i bystrości", jasność i szerokość myśli (tę jasność i szerokość, której on sam był idealnem wcieleniem), lecz zdawał sobie jednocześnie sprawę, że umysł polski jest w myśleniu logicznem jeszcze mało wyrobiony, co więcej, że w charakterze polskim pierwiastki irracjonalne mają przewagę nad rozwagą. Oto dlaczego za jeden z głównych celów swojego życia wziął sobie krzewienie nauki i kultu matematyki w społeczeństwie: „Matematyka jest to królowa wszystkich nauk: jej oblubieńcem jest prawda; prostość i oczywistość jej — strojem; ale przybytek tej Monarchini jest obsadzony cierniem, po którym przechodzić trzeba; nie ma on powabu, tylko dla umysłów, zamiłowanych w prawdzie i lubiących walczyć z trudnościami". Z tego to źródła wypłynęły wszystkie rozprawy i wszystkie wielkie dzieła matematyczne Śniadeckiego, które, jako pisane w języku ojczystym, stanowią epokę w historji nauczania matematyki w Polsce. Wszystkie miały na celu wyrabianie logiczności i jasności, „prostości i oczywistości" myślenia, w narodzie, którego umysły nie są jeszcze „zamiłowane w prawdzie" i, o czem wiedział już Marcin Kromer, nie lubią „walczyć z trudnościami".

Z jasnej świadomości apostolstwa nauczycielskiego wypłynęły także pisma filozoficzne Śniadeckiego.

W przedmowie do *Jeografji, czyli opisania matematycznego i fizycznego ziemi*, czytamy te słowa: „Myślałem zawsze, iż lepiej się zapobiega postępkowi błędu przez wystawienie całej nauki w swej czystości, mocy i porządku, niż przez po-

prawę i prostowanie niektórych twierdzeń, tu i ówdzie spostrzeżonych". Ta sama myśl przyświecała mu przy pisaniu *Filozofji umysłu ludzkiego*: chciał „wystawić" tę filozofję, to jest, jakbyśmy dziś powiedzieli, logikę i teorję poznania, „w swej czystości, mocy i porządku". Dzisiaj wiemy, że mu się to niekoniecznie udało: jego dzieło jest niezbyt szczęśliwą próbą zbudowania własnego systemu z myśli zapożyczonych z filozofji francuskiej, a głównie szkockiej; uzasadniając swój empiryzm i sensualizm, nieraz wpada Śniadecki w błędne koło, a „w najważniejszych dla logiki teorjach, jak np. w kwestji stosunku wrażeń zmysłowych do pojęć ogólnych", bywa niekonsekwentny [1], i t. d.

Ale, nie mówiąc już o tem, że *Filozofja umysłu ludzkiego* jest, jako całość, pierwszem godnem uwagi nowoczesnem dziełem Polaka z dziedziny filozofji teoretycznej, że jest kamieniem węgielnym teorji poznania w Polsce, podobnie jak *Porządek fizyczno-moralny* Kołłątaja jest u nas pierwszem godnem uwagi dziełem nowoczesnej filozofji praktycznej, mianowicie etyki, a *Ród ludzki* Staszica początkiem polskiej historjozofji i socjologji, — nie mówiąc już o tem wszystkiem, pytamy: jak wypadnie sąd o *Filozofji umysłu ludzkiego* i o innych pismach filozoficznych Śniadeckiego, jeżeli spojrzeć na nie ze stanowiska tej głównej jego intencji, która przyświecała mu przez całe życie w jego działalności, to jest ze stanowiska pracy nauczycielskiej nad narodem polskim?

Chodziło mu o to, żeby nauczyć swój naród jasno i porządnie myśleć, a tymczasem widział, że się młoda myśl polska, jeszcze nie wygimnastykowana, rwie do różnych *salto mortale* na zbyt wysoko wiszących trapezach — metafizyki niemieckiej. Tej zaś on nienawidził, nietylko jako zwolennik starej szkoły, ale także jako pedagog, jako obywatel, jako Polak, i zwalczał ją z całą siłą swego żywego temperamentu, zapominając nawet czasem o właściwej sobie dostojnej powadze.

„Zaraza moralna", „otchłań ciemności", „obłąkania", „zawrót głowy" i t. d. — oto próbki jego sądów o metafizyce niemieckiej.

Kozłem ofiarnym tej jego nieubłaganej nienawiści padł naturalnie Kant. „Filozofja Kanta jest to symptoma paroksyzmu i prawdziwa zaraza na umysł ludzi; dotknąwszy Niemcy północne, zrobiła kilka sekt warjatów"; „zaraził Kraków nieszczęśliwy kantyzm, który gdy już wszędzie wyśmiano i wypędzono, znalazł w Krakowie przytułek".

---

[1] Wincenty Lutosławski, *O poglądach filozoficznych Jana Śniadeckiego* (*Ateneum* 1894, III, 546).

Czy takie stanowisko Śniadeckiego względem filozofji niemieckiej tłumaczy się tylko tem, że, nazywając rzecz po imieniu, albo jej dobrze nie znał, albo nie rozumiał?

Można być pewnym, że, gdyby ją nawet znał i rozumiał, toby jej nie popularyzował, jak popularyzował filozofję francuską i szkocką, — a to dla dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że metafizykę wogóle uważał za rzecz „najniebezpieczniejszą dla kraju, zaczynającego się porządnie uczyć". I czy nie miał czasem słuszności? Cobyśmy powiedzieli o nauczycielu literatury polskiej, któryby lekturę jej arcydzieł zaczynał nie od Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza i Sienkiewicza, tylko od Krasińskiego i Norwida? albo jeszcze: cobyśmy powiedzieli o nauczycielu religji, któryby w klasie pierwszej, nie wyjaśniwszy jeszcze chłopcom, co znaczy przykazanie „Czcij ojca i matkę swoją", zaklinał wszech wobec i każdego zosobna, by nie pożądał żony bliźniego swego? Śniadecki należał do tych ludzi, którzy budują dom od fundamentów, a nie, jak legendarny Ezop, od dachu, i dlatego dla narodu, „zaczynającego się porządnie uczyć", popularyzował filozofję, powiedzmy, pozytywistyczną, a nie metafizykę.

Niedosyć na tem. Sam pisząc klasycznie jasnym językiem, będącym odbiciem i zarazem organem jego klasycznie jasnej myśli, niecierpiał tych, którzy, jak większa część filozofów niemieckich z Kantem na czele, piszą niejasno; rozumiał, że ten niewątpliwy przymiot filozofji niemieckiej może, a raczej musi być dla narodu, dopiero „zaczynającego się porządnie uczyć", rzeczą szkodliwą, może bowiem uszczęśliwić czytelnika myślami, o których się autorowi nawet nie śniło, a co gorsza, może czytelnika umysłowo znieprawić, tworząc w jego głowie miłe złudzenie, iż rozumie to, czego nikt nie zrozumie, nie wyłączając pana autora. Jako nauczyciel swego narodu, jako umysł typowo polski, to znaczy może niezbyt głęboki, ale jasny i szukający pewności w życiu, musiał Śniadecki wypowiedzieć wojnę mglistej filozofji niemieckiej, musiał jej przeciwstawić jasną i przejrzystą filozofję romańską i angielską. I, jak zawsze, tak i tutaj był dobrym nauczycielem.

Stanowisko wobec religji. Lecz był inny jeszcze upiór, z którego szpon Komisja Edukacyjna w części tylko zdążyła wyrwać ducha polskiego, — wychowanie zakonne ze swoją zwyrodniałą filozofją scholastyczną i ze swoim formalizmem dialektycznym. Przeciwko temu upiorowi, z którym walczył już Krasicki w *Monachomachji*, wystąpił Śniadecki w rozprawie *O filozofji*, w rozprawie, którą niechaj wolno będzie nazwać koroną jego pism filozoficznych. Mierzy on tutaj we wszystkich wogóle obskurantów z pośród duchowieństwa, ale nadewszystko w Akademję

połocką, to znaczy w jezuitów, którzy, kiedy papież w mądrości swojej rozwiązał ich zakon, nie posłuchali papieża i znaleźli przytułek w prawosławnej Rosji i w protestanckich Prusach. Oni to głównie pomstowali na wolną myśl ludzką, poczytując ją za zbrodnię wobec Boga i za nieszczęście dla ludzi; oni to, w swoim fanatyzmie i obskurantyzmie, składali na myśl wolną całą odpowiedzialność za wszystkie ekscesy rewolucji francuskiej. Otóż rozprawa Śniadeckiego jest odpowiedzią na te zarzuty, wręcz wspaniałą w swoim olimpijskim spokoju i majestatycznej godności, jest najpiękniejszym w naszej literaturze pomnikiem walki światła i uczciwości z ciemnotą i złą wolą. „Prawda jest zawsze dla ludzi i narodów dobroczynna, a czysta filozofja, spokojnem jej opowiadaniem zajęta, nigdy nie wyzywa i nie wyciąga ludzi na scenę rozhukanych namiętności, gdzie cały jej wpływ ustaje i ginie"; wolna myśl ludzka, w granicach, jakie sama sobie zakreśla, ma pełną wolność badania; rzetelna nauka uznaje religję za odrębną i zbawienną dla ludzkości dziedzinę jej życia duchowego; wrogami religji są nie teologowie wogóle, ale ci tylko, którzy ze złą wolą „niedowiarstwo przezwali filozofją" i którzy „wmawiają niebacznie w publiczność, że ten dar niebieski", którym jest religja, „to boskie prawidło sumnienia i życia, jest tylko dla nieuków i głupców". Przecie „jak religja, tak rozum są darami nieba: więc się łączyć razem i wspierać powinny do utrzymania porządku towarzyskiego, do wskazania człowiekowi dróg szczęśliwości teraźniejszej i przyszłej i do godnego uwielbienia Boga w rozwadze, podziwieniu i w prawem użyciu cudów i dobrodziejstw, rozlanych w stworzeniu świata".

Temi słowami kończy się ta wspaniała rozprawa, która jest tym sposobem obroną nietylko wolnej myśli ludzkiej, filozofji i wogóle nauki, ale także religji.

A nie ten jeden raz występował Śniadecki w obronie religji. Prawie całe jedno „zagajenie sesji publicznej Uniwersytetu" (1811 r.) poświęcił „instrukcji religijnej" i stwierdził — on, racjonalista, — że rozum nie wystarcza człowiekowi do przezwyciężenia złych popędów, że (o czem wiedział już Spinoza) „namiętność nie pokonywa się skutecznie, tylko drugą namiętnością, mocniejszą". A cóż tę mocniejszą namiętność budzi? — „głęboko od młodości wpojona religja, wszędzie i zawsze z radą i natchnieniem człowiekowi obecna". „Ci, którzy chcą człowieka samemi metafizycznemi rozumu początkami zbawić i wspierać od upadku, podobni są do owych filozofów indyjskich, którzy w nauce swojej o światach i biegach niebieskich, nie mając siły na utrzymanie planety naszego w przestrzeni nieba, oparli ziemię na słoniu, a słonia na żółwiu".

A kiedy raz Śniadeckiemu doniesiono (opowiada o tem Baliński), „że w pewnej szkole powiatowej jeden z nauczycieli aktu religijnego na święta wielkanocne nie odbył", otrzymano taką odpowiedź: „Uniwersytet podobnego zgorszenia młodzi... cierpieć nie myśli; bolesną jest dla mnie rzeczą słyszeć o ludziach, do instrukcji publicznej użytych, tak daleko obłąkanych, iż tego nie widzą, że religja jest najbezpieczniejszą podporą porządku towarzyskiego i moralności, bez której nauka jest darem haniebnym i szkodliwym i jest mieczem w ręku szalonego".

Troska o język ojczysty. Jedno jeszcze. Powiedział kiedyś Śniadecki, że „narodowość stoi na języku i na charakterze". Otóż, za cel życia swojego wziąwszy sobie pracę około kultury narodowej, musiał stanąć w szeregu tych wielu patrjotów, którym leżała na sercu troska o język ojczysty. W jego sercu była ta troska tem większa, że przecie chciał nauczyć swój naród porządnie myśleć, a „myślimy zapomocą języka i słów", „dobry język prowadzi do czystego i szczerego pojęcia rzeczy, język zły rodzi pojęcie ciemne lub błędne". I ten pogląd właśnie, obok pobudek uczuciowych, oprócz miłości ojczystego języka, jest genezą całego szeregu rozpraw, „listów" i przygodnych wzmianek o języku polskim.

W poglądach swoich na język był Śniadecki trochę, a może i nie trochę, pedantem, usiłującym język, podobnie jak literaturę, zakuć w niewzruszone prawidła, był twardym konserwatystą, sprzeciwiającym się wszelkim innowacjom; prawda, ale, nie mówiąc już o tem, że rozumny konserwatyzm językowy jest najlepszym puklerzem przeciwko barbarzyństwu ludzi niekulturalnych, nie szanujących przeszłości i, co za tem idzie, ducha języka narodowego, ileż znajdziemy w pismach Śniadeckiego myśli o języku, które do dziś swojej wartości nie straciły, jak ta np., że „na stworzenie dobrego wyrazu tyle prawie potrzeba talentu, ile na stworzenie wielkiej myśli", albo ta, że „prawodawcami języka" powinni być nie uczeni, tylko „wielcy mówcy i pisarze".

Jeżeli ta ostatnia myśl jest prawdą, to jednym z prawodawców naszego języka literackiego jest on sam, Jan Śniadecki, a to jako znakomity mówca i pisarz. Utyskiwał on nieraz, że piękna proza w Polsce to rzadkość, że „liczymy w naszym narodzie znakomitych poetów, ale mało dobrych w prozie pisarzy", że „poetami... nas Pan Bóg skarał". Otóż Śniadecki należy wraz z Kołłątajem do pierwszych naszych nowoczesnych „dobrych w prozie pisarzy", piszących o przedmiotach naukowych. Zapewne, Kołłątaj, obdarzony wcale bujną fantazją i żywym temperamentem, przewyższa Śniadeckiego obrazowością i polotem, zwłaszcza w tem arcydziele prozy stanisławowskiej, któ-

rem jest przemowa *Do Prześwietnej Deputacji*. Ale pamiętać trzeba o tem, że Kołłątaj był przedewszystkiem publicystą; w swoich pismach naukowych, nadewszystko w *Porządku fizyczno-moralnym*, nie jest wcale wyższy od Śniadeckiego, a raczej Śniadecki jest od niego wyższy, bo nie wpada nigdy, jak Kołłątaj, w „ozdobną gadatliwość", którą słusznie poczytywał za wadę stylu naukowego. Nie wpada także nigdy w „sentencjonalność", to znaczy nie „tłoczy zdania po zdaniu", nie „mówi jak wyrocznia", ale „wywodzi zdania w tym związku, świetle i szyku, jak po sobie w porządnie rozumującej głowie następują i jak jedne wynikają z drugich". A jeżeli do tego dodamy zgóry obmyślaną, przejrzystą, doskonałą pod każdym względem budowę jego pism, oraz prostotę i niepokalaną jasność, którą poczytywał za „najpierwszy i najważniejszy przymiot mowy", to zgodzimy się na to, że jest on prozaikiem k l a s y c z n y m i z pośród twórców naszej nowoczesnej prozy naukowej najzasłużeńszym, że należy do tych bardzo niewielu (do dziś dnia) myślicieli polskich, którzy wkładają świadomą pracę artystyczną w swoją prozę. „Rozpływamy się wewnątrz z radości, czytając prosty i jasny opis rzeczy" — mówi Śniadecki w jednym ze swoich *Listów o języku polskim*; w tych słowach, nie myśląc o sobie, scharakteryzował najlepiej swoje własne pisma. Czytając je, człowiek rozpływa się z radości, kiedy tymczasem ileż to razy, przy czytaniu innych pism, zwłaszcza „filozoficznych", mącą człowiekowi radość mozolne dociekania, co właściwie autor chciał powiedzieć, a przedewszystkiem... czy miał coś do powiedzenia. Ta zaś jasność klasyczna pism Śniadeckiego tłumaczy się nietylko klasyczną jasnością jego umysłu, nietylko jego talentem pisarskim i nietylko jego świadomą pracą artystyczną nad stylem i językiem, ale także zawsze obecną w jego duszy świadomością, że jest przedewszystkiem nauczycielem tego narodu, który „dopiero niedawno zaczął się porządnie uczyć".

* * *

I ta jego praca nauczycielska wydała plon, chociaż, jak to często na świecie bywa, nie tak wielki, jaki wydać była powinna i mogła.

Powstanie listopadowe, którego Śniadecki nie dożył (był tak szczęśliwy, że umarł na osiem dni przed jego wybuchem), zadało śmiertelny cios i uniwersytetowi wileńskiemu, i całemu szkolnictwu na Litwie i na Rusi; ale — to wiemy wszyscy — ze szkół, któremi rządził Jan Śniadecki, wyszli ci, którzy po klęsce 31 roku krzepili ducha narodowego w niewoli.

Niedosyć na tem. Filozofja Jana Śniadeckiego poszła w niepamięć, jego pisma matematyczne, rozprawy o języku i literaturze — także. Ale te ideały, które przyświecały jego pracy nauczycielskiej, są żywotne do dziś dnia i żywotności swojej nie mogą stracić nigdy. Nie może stracić swojej żywotności ani zasada wszechstronnego rozwoju władz umysłowych narodu, ani troska o jasność i logiczność myślenia i, co zatem idzie, walka z wszelkiego rodzaju mglistością, z pustym formalizmem i z wszelką obniżającą lot wolnej myśli ciasnotą, ani hasło religijnego wychowania młodzieży, ani wreszcie pogląd, że jednym z filarów narodowości jest język, że „zaniedbanie się w mowie krajowej prowadzi do jej lekceważenia i do zguby narodowości". A nadewszystko nie straciło i nigdy nie straci swojej mocy przykazanie Śniadeckiego, że praca naukowa i praca nauczycielska powinna płynąć nietylko z miłości nauki i z miłości nauczania, ale także z miłości ojczyzny.

O Mickiewiczu powiedział po jego śmierci Krasiński: „My z niego wszyscy". Obyż wszyscy zwierzchnicy szkół polskich, wszyscy nauczyciele polscy i wszyscy uczeni polscy wstępowali w ślady Śniadeckiego! Obyż wszyscy, kochając szkołę, nauczanie i naukę nietylko z miłości szkoły, nauczania i nauki, ale także z miłości ojczyzny, mieli prawo mówić o sobie: „My z niego wszyscy", — z Jana Śniadeckiego!

POCHWAŁA NIEMCEWICZA

Odczyt, wygłoszony na posiedzeniu publicznem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego dnia 25 listopada 1927 r.

Dlaczego tematem odczytu na tegorocznem posiedzeniu publicznem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego jest Niemcewicz, to wyjaśnił już Pan Prezes [1]. Prelegentowi, jako jednemu z członków-założycieli Towarzystwa, niechaj wolno będzie dodać, że zaraz na pierwszem posiedzeniu organizacyjnem, które się odbyło na wiosnę roku 1905 w mieszkaniu i pod przewodnictwem niezapomnianej pamięci profesora Ignacego Baranowskiego, zapadła uchwała, że powstające Towarzystwo Naukowe poczytywać się będzie za moralnego spadkobiercę Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Otóż był zwyczaj w tem Towarzystwie, że, ilekroć którego z członków zabrała śmierć, oddawano mu „hołd żałości", to znaczy wygłaszano na jego cześć tak zwaną „pochwałę". Czczono zresztą w ten sposób pamięć nietylko świeżo zgasłych członków Towarzystwa, ale niekiedy także dawno zmarłych znakomitych ludzi, np. Kochanowskiego albo Kromera. Od lat osiemdziesięciu sześciu Niemcewicz spoczywa w grobie — wciąż jeszcze, niestety, na obcej, chociaż sercu polskiemu miłej ziemi; w tym roku minęło lat sto od czasu, gdy został Prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk — ostatnim. Kiedy umierał, Towarzystwa już nie było; pochwały nie wygłosił w Warszawie nikt — były to przecie czasy Paskiewicza. I oto dzisiaj, w wolnej Warszawie, Towarzystwo Naukowe, nawiązując do tradycji Towarzystwa Przyjaciół Nauk, spłaca Niemcewiczowi dług wdzięczności: odczyt ten będzie miał charakter — tylko „pochwały".

Czem były pisma Niemcewicza dla narodu? Jakie zasługi położył Niemcewicz dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk, to wyjaśnił szczegółowo zasłużony historyk Towarzystwa, Aleksander Kraushar. Nie będziemy się nad niemi zastanawiali; zadaniem

[1] W roku 1927 przypadła setna rocznica wyboru Niemcewicza na prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

naszem będzie przypomnienie tych nieśmiertelnych zasług, jakie położył Niemcewicz dla całej Polski, oraz wyjaśnienie, dlaczego je położyć mógł, dlaczego, nie będąc ani wielkim człowiekiem, ani wielkim pisarzem, zrobił dla Polski więcej, niż niejeden daleko większy od niego człowiek, i z pewnością nie mniej, niż najwięksi pisarze.

Jego służba narodowa zaczęła się, jak wiadomo, już na Sejmie Czteroletnim. Jako poseł inflancki, brał bardzo czynny udział w jego obradach, a nadewszystko popierał plany reformy swojem piórem: znakomitemi pamfletami, czyto pod postacią bajek, czy dum, czy komedji politycznej, czy artykułów dziennikarskich. Nie będzie przesadą powiedzieć, że był on jednym ze współtwórców Ustawy majowej, jak później, po jej upadku, był jej najwymowniejszym obrońcą, czyto we wspaniałej mowie sejmowej, wygłoszonej 27 stycznia 1792 r., czy w bajkach, czy w elegjach, czy w jadowitych paszkwilach na Targowiczan.

Lecz te wszystkie zasługi polityczne nie są jeszcze jego wyłączną własnością. Nie stanie mu się bowiem żadna krzywda, jeśli się otwarcie powie, że nie był on mężem stanu, że na Wielkim Sejmie był tylko rzecznikiem poglądów swego stronnictwa, a nie jego wodzem. Jeżeli się tak gorąco oświadczał za przymierzem z Prusami i, co za tem idzie, robił wszystko, co mógł, żeby wytworzyć atmosferę antyrosyjską, to dlatego, że wierzył ślepo Ignacemu Potockiemu; wprzągł się w służbę stronnictwa patrjotycznego i dla tej służby nie cofnął się nawet... przed romansem z panią Lucchesini.

Własne zasługi Niemcewicza — już wyłącznie jego własne — przypadają dopiero na czasy porozbiorowe. Można je streścić krótko: za czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego nikt inny nie przyczynił się w tym stopniu, co on, do ocalenia ducha narodowego w niewoli. Nie mając naiwnej wiary w szybkie zmartwychwstanie Polski, jako państwa, miał natomiast sam i budził w społeczeństwie wiarę w „nieprzemienność“ (jak wówczas mawiano i sądzono) ducha narodowego i w jego nieśmiertelność; stał na straży honoru narodowego i języka ojczystego; krzewił miłość przeszłości narodowej, miłość, bez której, jak przystało na człowieka nowoczesnego a kulturalnego, nie rozumiał ani postępu, ani zdrowia moralnego narodu. Prawda, że praca około ocalenia ducha narodowego zaczęła się w Polsce porozbiorowej, nadewszystko w Warszawie i w Wilnie, zanim jeszcze Niemcewicz powrócił z Ameryki, — podjęli ją tacy ludzie, jak Woronicz, Staszic, Czartoryscy, Stanisław Potocki; ale jeżeli o działalności Niemcewicza na Sejmie Czteroletnim trzeba powiedzieć, że był on szeregowcem w swojem stronnictwie, to o jego działalności

w Polsce porozbiorowej godzi się powiedzieć, że stanął na czele — i to nie jednego jakiegoś stronnictwa, tylko całego społeczeństwa Warszawy, a przez to — niemal całego narodu.

Bo naprawdę my już dzisiaj sobie nie zdajemy dobrze sprawy, czem były dla narodu *Śpiewy historyczne*, nie rozumiemy należycie tego faktu, że dla owoczesnego pokolenia były one tem samem, czem dla późniejszego będzie *Trylogja* Sienkiewicza. Mógł je sobie Lelewel sądzić surowo ze stanowiska historji; mógł sobie Żółkowski nazwać je dumami bez dumania, a inny dowcipniś — rykami historycznemi; sądzono ostro i *Trylogję*, urągano jej nawet za rzekomą apoteozę szlachetczyzny, a jednak trafiła ona do tylu serc polskich, jak żaden inny utwór literatury patrjotycznej, nie wyłączając *Pana Tadeusza*, i mało powiedzieć: pokrzepiła je, — ona w nich odnowiła życie, niszczejące w niewoli i pesymizmie szkoły historycznej krakowskiej. Czy inną rolę odegrały *Śpiewy* Niemcewicza? Fantazji nie dostarczyły tak rozkosznego pokarmu, jak *Trylogja*, i wogóle nie były obfitem źródłem wzruszeń estetycznych; ale uczucia patrjotyczne budziły, i to nietylko w sercach tak zwanych wyższych warstw społecznych, — bo przecie, jak świadczy Czartoryski (a są jeszcze inne świadectwa), one zbłądziły pod strzechy. A co mówi Mickiewicz? Nie mniej ani więcej, tylko że poezje Niemcewicza „dały nam najwcześniej uczuć wdzięki poezji", że są to „nasze najstarsze poetyckie znajomości". Jest jeszcze wymowniejsze świadectwo. Tomasz Zan zeznał przed komisją śledczą — dosłownie — że „wspomnienia o dawnym blasku Polski... rodzą się w każdym Polaku z czytania polskiej historji... a mianowicie z pieśni Niemcewicza". A świadectwo najwymowniejsze wystawił *Śpiewom* Nowosilcow, każąc je usuwać z bibljotek szkolnych, jako „elementarz powszechny narodu polskiego". I długo, długo jeszcze były *Śpiewy* takiem błogosławieństwem dla narodu. Felicjan Faleński umiał je napamięć, a Sienkiewicz wyznaje, że one to rozbujały jego młodzieńczą fantazję rycerską, że pod ich to wpływem, jak mówi, chciał „jeździć po cecorskiem i po innych błoniach, jak Sieniawski odważny i smutny". Zgórą trzydzieści wydań miały *Śpiewy*, a ostatnie wyszło podczas wielkiej wojny, w Kijowie — dla uchodźców polskich.

A inne pisma historyczne Niemcewicza! Owe dodatki prozą do *Śpiewów*, pierwszy dobry podręcznik popularny historji ojczystej! *Dzieje Zygmunta III*, pierwsza w literaturze naszej — na długo przed Szajnochą — książka, która dawała nietylko pojęcie o przeszłości, ale także jej obraz! *Jan z Tęczyna*, pierwsza nasza powieść historyczna! *Podróże historyczne*! Wszystkie te pisma pełniły tę samą służbę narodową, co *Śpiewy*, bo szerzyły znajomość i miłość historji, a *Podróże historyczne* — także

i ziemi ojczystej. Tu mimowoli ciśnie się do głowy porównanie zasług Niemcewicza z późniejszemi zasługami Kraszewskiego.

A *Dwaj Sieciechowie*! Ta pierwsza nasza powieść tradycyjna wlewała w serca wiarę, że, skoro przez jeden wiek naród dokonał na każdem polu tak ogromnych postępów, to ma przyszłość przed sobą, że, jak to później powie Niemcewicz, wyprzedzając Mickiewicza, „nie ten naród jest wielki, co na mapie granice swoje szeroko rozpostartemi widzi, ale ten, co zachowa ducha narodowego, obyczaje i męstwo".

A *Lejbe i Siora*! Któryż inny utwór otwierał społeczeństwu tak szeroko oczy, jak ta pierwsza u nas powieść społeczna, na niebezpieczeństwo ze strony owego „faworytnego" ludu, co mówi sobie: „Nie będę ja bronił tej ziemi, lecz drudzy będą jej za mnie bronić; nie będę ja ni orał, ni siał, ni żadnej ciężkiej odbywał roboty, lecz właściciele odwieczni tej ziemi będą dla mnie orać i siać, ja będę jadł i używał tego, co oni zapracują dla mnie, a w nadgrodę tego będę ich oszukiwał i ludność całą rozpajał".

A *Listy Litewskie*, nawołujące do zrzucenia kajdan niewoli i stawiające pod pręgierz oportunizm, karjerowiczostwo i tchórzostwo, — czy nie zelektryzowały w roku 1812 opinji publicznej równie potężnie, jak w roku 1901 *Wesele* Wyspiańskiego?

I wreszcie — niezliczone pisemka ulotne, bajki i powiastki, drwinki i docinki, pamflety i paszkwile, których ofiarą padali nie tylko ciemięzcy, jak Nowosilcow i Wielki Książę, ale i ci z pośród Polaków, których Niemcewicz nazywał „woluntarjuszami w podłości", jak Zajączek i Szaniawski, — czy te pisemka nie oczyszczały dusznej atmosfery Królestwa Kongresowego? czy nie wzniecały buntu przeciwko niewoli? Sączyły także w serca jad nienawiści wroga, i nie bez słuszności nazwał Niemcewicza Tarnowski (zresztą głównie za *Listy Litewskie)* „apostołem nienawiści". Zapewne, nie kto inny, tylko Niemcewicz wszczepił w dusze polskie ową „chorobę na Moskala", o której mówi Żeromski. Ale o wiele słuszniej podobno nazwał go Klaczko „stróżem narodowej godności", — dlatego słuszniej, że nienawiść Rosji i złych Polaków była w duszy Niemcewicza tylko cieniem, który rzucało słońce miłości Polski, gorejące w jego sercu, i dlatego jeszcze, że ta jego nienawiść uświadamiała społeczeństwu ohydę godzenia się z niewolą. Więc nie potępiajmy za to Niemcewicza, — owszem, żałujmy raczej, że nie zaszczepił w sercach polskich także choroby na Prusaka i choroby na Austrjaka. Gdyby ją zaszczepił, to, kto wie, możeby nasza wielka poezja romantyczna była wolna od swojego jedynego kalectwa, którem jest zupełne niemal zapomnienie o tem, że Prusy i Austrja są równie śmiertelnymi wrogami naszymi, jak Rosja...

Bo pamiętajmy o tem, że słowo Niemcewicza nie było grochem padającym na ścianę. Nikt nie miał w narodzie takiego posłuchu, jak on. Niedarmo Czartoryski nazwał go „dyktatorem moralnym“ Warszawy, Witwicki — „człowiekiem-Polską“, Barzykowski — „wyrocznią narodu“, Lach Szyrma — „bożyszczem serc polskich“. „Co on uchwalił, — świadczy Skarbek — to było przez wszystkich uchwalone, co on zganił, to było potępione“. A cóż wymowniejszego nad słowa, które zapisano o nim w diarjuszu sejmowym z 1831 roku: powstał Niemcewicz, „wyższy nad wszelkie zarzuty“. Nawet Mochnacki, który się w zamęcie powstania i w swojej własnej bezczelności targnął na jego dobre imię i nazwał go zdrajcą, raczył jednak w swej *Historji powstania* zanotować głos opinji publicznej: „Kiedy tam jest Niemcewicz, to wszystko pójdzie dobrze“.

Krótko mówiąc, Niemcewicz posiadł „rząd dusz“, ten rząd, którego się Mickiewicz gwałtownie domagał od Boga, a którego w tym stopniu, co Niemcewicz, za życia nie miał nigdy, jak nie miał go nigdy za życia ani Słowacki, ani Krasiński. Taki rząd dusz miał w Polsce, już za życia, przez pewien czas przynajmniej, w epoce *Trylogji*, Sienkiewicz. Dyktaturę moralną Niemcewicza można śmiało porównać z tą „najwyższą magistraturą narodową“, jaką nad społeczeństwem francuskiem sprawował pod koniec swego życia Wiktor Hugo.

Talent pisarski. Czemże sobie Niemcewicz dyktaturę zdobył? Czy może, jak Sienkiewicz, wielkim, nadzwyczajnym talentem? Zapewne, gdyby nie miał talentu, pisma jego nie byłyby tak rozchwytywane, a jego niepisane słowa nie latałyby tak po całej Polsce. Miał Niemcewicz talent pisarski, ale nie nadzwyczajny, chociaż wybitny, i to nietylko publicystyczny, o czem najlepiej świadczą *Listy Litewskie*, ale i na innych polach.

Jego pisma historyczne, zwłaszcza pamiętniki, tudzież powieści: *Dwaj Sieciechowie, Mniemana Sierota, Historja występnej zalotności*, są dowodem, że umiał opowiadać nietylko gładko, ale i żywo — o tem nadewszystko, w czem sam brał udział albo przynajmniej co sam widział i słyszał. O tem, co wymyśliła jego własna, niezbyt bujna, przyziemna wyobraźnia, opowiadał wprawdzie także gładko, ale już nie tak żywo, chyba że tworzył coś śmiesznego: wtedy zdobywał się zarówno na doskonałe „obrazki rodzajowe“, jak na wyraziste charakterystyki ludzi śmiesznych albo złych. Miał bowiem bystry zmysł obserwacyjny, który chwytał albo tylko śmieszności, albo śmieszną i jednocześnie ujemną stronę życia ludzkiego. To też jego charakterystyki satyryczne, czyto pośrednie, czy bezpośrednie, należą do jego najlepszych utworów; niektóre wręcz zdumiewają swoją trafnością, jak np. charakterystyka Stanisława Augusta: „Z roz-

ciągłą nauką, lubemi przymiotami w życiu prywatnem, nie posiadał żadnej stałości duszy. Wychowany w bojaźni Boga i Moskwy, przyzwyczajony do ulegania, otoczony kobietami, równie trwożliwemi, jak sam, zausznikami, nawykły do posłuszeństwa, rozkazywać nie umiał; nie mający własnej woli, uciekał się po rady do innych i zawsze obierał taką, która najwięcej zgadzała się z trwożliwym, wahającym się charakterem jego".

A oto jeszcze charakterystyka innego człowieka:

...łącząc przymioty i wady,
Rzadkich z sobą sprzeczności zostawił nam ślady:
Hoży, grzeczny, zalotny, umiał miłość wzbudzać,
Słodką mową, spojrzeniem pociągać, ułudzać.
Mniej wyniosły jak próżny, widokiem zmylonym,
Nie tak sławny, jak raczej lubił być chwalonym.
Kędy prawdziwa sława, nigdy nie zrozumiał, —
Chciał dobrze, ale dobra wykonać nie umiał.
Mniemał, że go chce każdy i podejść i zdradzić, —
Strzegł się wszystkich, sam sobie nie umiał poradzić;
Brał przyjaciół i równie oddalał z niełaską.
Ćmiła go każda wyższość, wolał mierność płaską.
Zabobonny, zajęty widmy mistycznemi,
Czekając zjawień nieba, zapomniał o ziemi.
Mógł nam wznowić Augusta, Tytusa, Trajana:
Że krzywo widział, zyskał imię szarlatana.

Czy to nie trafna charakterystyka Aleksandra I?

Czasem jednak, albo raczej często, wpadał Niemcewicz w charakterystykach w karykaturę, i to z całą świadomością, pragnąc tę lub ową postać ujemną, bardzo często wziętą z życia, już nie tylko ośmieszyć, ale i zohydzić; tu należy np., w komedji *Samolub*, Damon, karykatura jednego z ówczesnych bogaczów warszawskich, albo, w komedji *Dwa stołki*, Zyzow, karykatura Nowosilcowa, i inny Damon, karykatura jednocześnie Zajączka, Wincentego Krasińskiego i może innych jeszcze oportunistów. Ale i w tych karykaturach jest niemały talent satyryczny. Na wyrazistą charakterystykę postaci dodatnich, a przynajmniej nie śmiesznych, podobnie jak Krasicki, zdobyć się Niemcewicz nie umiał. Głębszej analizy psychologicznej daremnieby w jego utworach szukać; powieści nie stanowią wyjątku; miłość zwłaszcza jest w nich zawsze szablonowa: dosyć porównać *Lejbę i Siorę* z *Malwiną* księżny Marji Wirtemberskiej. A i własnych uczuć nie umiał Niemcewicz wyrazić z siłą, czyto smutku osobistego i bólu patrjotycznego, czy miłości i uwielbienia względem niektórych ludzi i ojczyzny; trudno odmówić słuszności Słowackiemu, kiedy pisał do matki, że Niemcewicz pisze „gładko i przyjemnie", ale „bez trawienia się własnym ogniem". Albo ostra złośliwość, albo spokojna, cicha e l e g i j n o ś ć, albo pogodny humor znamionuje jego poezję uczuciową.

Styl, w prozie zarówno, jak w poezji, bywa wprawdzie zaniedbany, ale ma dwie ogromne zalety: jasność i prostotę. W sztuczność nie wpada nigdy i pod tym względem jest jaskrawem przeciwieństwem stylu Woronicza i pseudoklasyków. Niemcewicz jest „niedbalec", — pisał Mickiewicz — „ale ma zawsze coś ujmującego i oryginalnego, zawsze jednak jest lepszy od całej szkoły francuskiej"; i mówi jeszcze Mickiewicz, że wymęczone poematy pseudoklasyków „nie warte dziesięciu niepoprawnych, ale żyjących wierszy Niemcewicza". A nietylko poematy, ale i krótkie wierszyki, w których się tak lubowali nasi pseudoklasycy: czy jest wśród ich epigramatów choć jeden, któryby się mógł mierzyć choćby np. z ucinkiem Niemcewicza na głupiego i pysznego szlachcica:

Cóż, że pańska krew twoja od potopu słynie,
Kiedy zawsze po żyłach samych durniów płynie.

Albo:

Jeden Kałmuk z nad Wołgi, za najmniejszą zwadą,
Zgniecie Homera z całą jego Ilijadą...

Więc, raz jeszcze, miał Niemcewicz talent; ale cóż na to poradzić, że właśnie ten jego utwór, bez którego Niemcewicz nie byłby ani dla współczesnych, ani dla nas Niemcewiczem, nie dowodzi talentu: przecie *Śpiewy historyczne* są, jak to już Brodziński miał odwagę stwierdzić, przeważnie rymowaną prozą. Można być pewnym, że, gdyby nie były ś p i e w a m i, gdyby nie dodana do nich muzyka, nigdyby tak popularne nie były. Lecz popularność dało im jeszcze coś: to, że je napisał nie kto inny, tylko Niemcewicz. Tak, to raczej Niemcewicz *Śpiewom* dał cześć i miłość powszechną, niż *Śpiewy* — Niemcewiczowi.

Ale bo też, nie przecząc bynajmniej, że był on utalentowanym pisarzem, śmiało jednak twierdzimy, że ta aureola, jaką otoczyła go nietylko współczesność, ale i potomność, bije nie z poety i wogóle nie z pisarza, tylko z człowieka.

Zobaczmy tedy, jakim to człowiekiem był Niemcewicz.

Charakterystyka człowieka. Czartoryski nazwał go „typem serdecznego szlachcica polskiego". Słusznie. Gdyby Niemcewicz nie był typowym Polakiem, nie noszonoby go tak na rękach, jak noszono, i to szczerze, nie dla karjery, bo on przecie nie miał w swoich rękach władzy. To jednak trzeba dodać do słów Czartoryskiego, że, mając dużo zalet i dużo wad charakteru polskiego, górował ponad ogółem niejedną zaletą — i niejedną wadą.

Posiadał on jeden niezmiernie rzadki, a niezmiernie drogocenny dar natury: wieczną młodość. Do samej śmierci nie stra-

cił ani przyrodzonej żywości, ani młodzieńczej ciekawości umysłu. Z zapałem młodzieńca kształcił się przez całe życie. „Życzeniem mojem — zapisał w pamiętnikach — jest nie stracić dnia, by czego nie widzieć lub czego się nie nauczyć". Nie był to frazes. Oto np. w przejeździe przez Wrocław w roku 1821, to znaczy w sześćdziesiątym drugim swojego życia, biegał na wykłady geografji fizycznej, a w Londynie, w roku 1832, to jest ósmy już krzyżyk dźwigając na barkach, zrywał się rano, aby przed dziewiątą zdążyć na wykłady chemji, zawsze wierny swej zasadzie życiowej, że „człowiek, obdarzony od Twórcy swego żywemi i dzielnemi umysłu zdolnościami, jeśli ich nie zaprząta ustawnie, czuje ciężar i nudę życia". Siły fizyczne opuszczały go wprawdzie pod koniec życia, ale umysł do śmierci nie stracił żadnego ze swych darów przyrodzonych: ani ciekawości i świeżości, ani jasności i trzeźwości.

Do samej niemal śmierci nie stracił także Niemcewicz innego jeszcze daru natury, który pospolicie towarzyszy młodości, — pogody ducha. Władysław Zamoyski świadczy, że jeszcze w wigilję śmierci Niemcewicz, chociaż bardzo cierpiał, był zupełnie przytomny i mówił „mową zwyczajną, nawet jeszcze docinkową".

Ach, te docinki, te dowcipy Niemcewicza! Rzecz prawie nie do wiary: ten człowiek, który się tyle w życiu nacierpiał, który tak żywo brał do serca nieszczęścia ojczyzny, był jednym z najweselszych ludzi na świecie, umiał i lubił się bawić jak dziecko, byle czem, lubił płatać ludziom figle i psoty, a dowcipami sypał jak z rękawa i śmiał się z nich sam aż do łez, do których był równie skłonny, jak do śmiechu. Czasem nawet już na samą myśl, że komuś spłata figla, albo na samo wspomnienie czegoś wesołego, zanosił się sam na sam od śmiechu. Znała dobrze Warszawa jego śmiech dyszkantowy.

Otóż czy ta wieczna pogoda ducha Niemcewicza, która nie opuszczała go nawet w kazamatach twierdzy petropawłowskiej, nie miała czasem częściowego źródła w polskiem „jakoś to będzie"? Że zaś ta wesołość przyczyniła się ogromnie do jego popularności, to rzecz oczywista; cała Warszawa powtarzała jego dowcipy, a niektóre przetrwały do dziś dnia; do dziś dnia przecie mówimy: „lata jak kot z pęcherzem", albo: „Bon jour, monsieur Szczur", nie wiedząc, że to koncepty Niemcewicza.

Ale nie wszystkim podobały się jego dowcipy, — były one często świetne, ale nieraz bardzo złośliwe. Niedarmo powiedziała księżna Zajączkowa, że, kogoby Niemcewicz ukąsił, tenby się wściekł. Kto wie, może powiedziała to po przeczytaniu wierszyka... na jej męża:

W młodości mej konfederat,
Republikanin, desperat,
Służyłem Branickiemu i Kołłątajowi,
Później duszęm zaprzedał Napoleonowi.
Dziś, gdy panuje e i n a n d e r,
Wrzeszczę: łotr Napoleon, v i v a t Aleksander!
Żadnej plamy nie mnie niema,
Zawszem miał jedno systema:
Zawsze na dwóch łapach stawać
Przed tym, co rządzi i ma co rozdawać.
Na jego rozkaz dla mnie bagatela
Powiesić dobroczyńcę lub ściąć przyjaciela:
Przez nich mitrą okryta ma późna siwizna!
I cóż mi dała ta szelma ojczyzna?
Opatówek, starostwo, godność wyniesiona —
Wszystko od cara lub Napoleona.
Byle ich łaski odbierać z pokorą,
Resztę niechaj djabli biorą!...

Co za przepyszna charakterystyka oportunisty, — do dziś dnia niejeden mógłby się w niej przejrzeć, jak w zwierciadle, — ale i piekielnie złośliwa. Czy i tutaj nie jest Niemcewicz typowym Polakiem? Wprawdzie nie każdy Polak jest dowcipny, a cóż dopiero tak dowcipny, jak Niemcewicz, ale j e ż e l i Polak j e s t dowcipny, to najczęściej... cudzym kosztem — tak, jak Niemcewicz. A dodać jeszcze trzeba, że dla dowcipu poświęcał on wszystko: gdy mu „w głowie jakaś śmieszność zaszemrała, — pisze Koźmian — język od wypaplania jej wstrzymać się nie mógł, wtedy — bez baczności na wszystkie względy towarzyskie, na wszystkie zasady moralności, — przyjaźń, wdzięczność czynił igrzyskiem jałowej żartobliwości". To także cecha bardzo polska.

Niedosyć na tem. Umysł Niemcewicza, przy całej swojej żywości, jasności i trzeźwości, nie był wcale głęboki; pomimo swej ciekawości intelektualnej i wielkich zdolności, gruntownie ten człowiek nie umiał nic. Przez całe swoje życie był dyletantem, jednym z wielu, jakich wydała kultura oświecenia, którą oddychał zamłodu, i jakich u nas jest może jeszcze więcej, niż gdzie indziej. I, jak przystało na prawego Polaka, nie było w nim nic, albo prawie nic z filozofa. Z filozofji oświecenia przyjął tylko niektóre jej postulaty p r a k t y c z n e, mianowicie jej najpiękniejsze idee humanitarne i demokratyczne, jak tę np., że więzienie powinno być nie zemstą, tylko karą, i to karą, mającą na celu jedynie poprawę więźnia. Demokratyzmowi Niemcewicza piękne świadectwo wystawia Czartoryski, mówiąc, że „w każdym... człowieku widział brata i każdego człowieka cenił jedynie według jego wartości moralnej; prostego chłopa lub robotnika, skoro miał cnoty jakie,... przyjmował chętnie, jako rów-

nego sadzał przy sobie, oświadczał mu swój szacunek; hrabia zaś lub książę darmozjad lub z przywarami, bez wyższego czucia, zdawał mu się istotą godną wyśmiania lub pogardy". Zresztą na to wszystko nie trzeba było być filozofem, wystarczyło być tylko szlachetnym człowiekiem; ale czy byłby Niemcewicz tak szczerym demokratą, gdyby nie nauka oświecenia i, oczywiście, gdyby nie pobyt w Ameryce? Wogóle nauce oświecenia zawdzięcza on bardzo dużo, ale zagadnienia filozoficzne tej epoki nie obchodziły go nic. Jednem z nich był problem teodycei, zwłaszcza problem istnienia złego na świecie: jak pogodzić fakt istnienia złego z Bogiem, jako miłością? W poezji Niemcewicza to zagadnienie jest (w poemacie *Prometeusz* i w powiastce *Poselstwo osłów do Jowisza)*, ale jak je Niemcewicz rozwiązuje? Żartuje sobie z niego, niczem Wolter. Osły pytają Jowisza, dlaczego wogóle jest złe na świecie; a na to Jowisz:

Wiem ja, że to wielka biada;
Ale jest przecie pewna jakaś waga,
Pewna harmonja na świecie,
Która koniecznie wymaga,
Żebyście brali batogiem po grzbiecie.
Jednakże sprawię odmiany niektóre,
Na dowód, że mi ród osłów jest miły:
Oto tak twardą uczynię wam skórę,
Że razem z sobą połączone siły
Ręki i kija nic wam nie dokuczą...

Leibnizowi możeby się ta odpowiedź podobała; w powiastce Niemcewicza także się bardzo podobała — osłom...

Drwił sobie Niemcewicz, albo raczej żartował sobie wesoło z innego jeszcze, znanego już w wieku oświeconym zagadnienia, — z wiary w reinkarnację, jak tego dowodzi poemat żartobliwy *Moje przemiany.*

Z filozofji epoki późniejszej, ze spekulacji niemieckiej, drwił sobie także, mianowicie z Kanta, chociaż go naturalnie nie znał. Wogóle nie miał filozoficznego poglądu na świat — i tylko czasem, jak mówi ironicznie Koźmian, „udawał filozofję", podobny i pod tym względem do ogółu swego narodu.

A religijność Niemcewicza? Była ona żywa, szczera, ale głęboką nie była bynajmniej: więc i w tej dziedzinie nie odrodził się on od swego narodu. Bo to przecie bajka wierutna, żeby Polacy byli narodem głęboko religijnym; gdyby tak było, nasza literatura religijna nie byłaby tak rozpaczliwie uboga, jak jest; naród głęboko religijny wydaje herezje w wielkim stylu, a nie tak maleńką i plugawą, jak marjawityzm; jedyną herezją w wielkim stylu, na którą się religijność polska zdobyła, jest towianizm, który powstał... nie na polskiej ziemi; arjanizm roz-

winął się wprawdzie na polskiej ziemi, ale przecie nie jest herezją polską. Lecz, wracając do Niemcewicza, stwierdzić trzeba, że religijność była potrzebą zarówno jego rozumu, jak serca — i zmysłów. Chłodny deizm wieku oświeconego nie miał dostępu do jego duszy, jak do większości dusz polskich; protestantyzm raził go mocno swoim chłodem: „Nagość świątyń protestanckich nigdy mi się nie podobała; kult ich pozbawiony jest wszystkiego, co potrąca o serce i działa na zmysły". Naturze Niemcewicza, pomimo że był członkiem loży wolnomularskiej, najlepiej odpowiadał katolicyzm, co, rozumie się, nie przeszkadzało mu niecierpieć jezuitów, których nazwał kiedyś „przemożną gwardją Watykanu", ani napiętnować ciemnoty duchowieństwa warszawskiego, kiedy odmówiło swego udziału w uroczystości odsłonięcia posągu Kopernika, ani wybuchnąć oburzeniem przeciwko Grzegorzowi XVI, kiedy ten raczył miłościwie potępić powstanie listopadowe i zalecić Polsce posłuszeństwo Mikołajowi, jako „prawowitemu władcy". O religijności Niemcewicza świadczą, prócz jego pamiętników, niektóre poezje, zwłaszcza późniejsze, oraz dwie prześliczne modlitwy prozą — obydwie za Polskę: jedna z czasów przed powstaniem listopadowem, druga — po upadku powstania.

I teraz dopiero dochodzimy do najznamienniejszej cechy nietylko uczuciowości, ale wogóle całej istoty Niemcewicza: miłość ojczyzny górowała w jego duszy ponad wszystkiem, była główną sprężyną jego myśli zarówno, jak jego czynów, i — jego największą pięknością moralną. Była w charakterze tego człowieka niejedna cecha ujemna: wobec ludzi bywał nieraz bezwzględny, czasem nawet zacięty, był niecierpliwy i złośliwy, obraźliwy i drażliwy, — ten katalog możnaby jeszcze przedłużyć, ale choćby on był jak najdłuższy, nigdy nie zmieni sądu, że był to człowiek ogromnej, wręcz wyjątkowej wartości moralnej. Przez całe swoje życie czoło wysoko nosił, nawet wtedy, kiedy cierpiał głód i nędzę w Ameryce; odznaczał się fenomenalną, wcale nie polską pracowitością; w przyjaźni był stały i wierny (czego najlepszym dowodem jego wyjazd do Ameryki — tylko dlatego, żeby Kościuszko nie jechał sam); nie chlubił się ani swemi zasługami, ani swemi cierpieniami (najwymowniejszem świadectwem w tej mierze są jego pamiętniki, w których o swoich cierpieniach mówi tak, jakby to kto inny cierpiał, a nie on); ten katalog możnaby także jeszcze przedłużyć. Najważniejszą jednak pozycją jego wartości moralnej jest patrjotyzm — serdeczny i gorący, a mądry i rozumny, czysty jak łza, bo nie splamiony ani miłością własną, ani teatralnością, ani zaślepieniem narodowem, chociaż pełny szlachetnej dumy narodowej, a do tego patrjotyzm stwierdzony tylu czynami, których koroną była

podróż do Anglji podczas powstania listopadowego — w siedemdziesiątym piątym roku życia; ma słuszność Czartoryski, że „nigdy może Niemcewicz nie okazał więcej swej nieograniczonej miłości i przywiązania do kraju". A i później jeszcze, na emigracji w Paryżu, nie spoczął na laurach: brał jak najczynniejszy udział w życiu i pracach emigracji, zawstydzając nieraz młodych swoją pracowitością i punktualnością, z jaką przychodził na różne posiedzenia. Nie chciał spokoju... nawet i po śmierci, bo obiecywał sobie, że i na tamtym świecie będzie „agitował za Polską".

I właśnie ten czynny patrjotyzm jest ową aureolą, która biła z niego, jako człowieka i Polaka, i która z człowieka i Polaka przeszła także na pisarza. Polska ukochała w nim samą siebie, — to, co w niej samej, w przeszłości zarówno, jak w teraźniejszości, było najlepszego: ukochała w nim posła na Sejm Czteroletni, adjutanta i przyjaciela Kościuszki, żołnierza, którego krew polała się nietylko pod Maciejowicami, ale i pod Raszynem, męczennika w więzieniu rosyjskiem, obywatela, który po utracie niepodległości, nie wierząc w jej szybkie odzyskanie, z tem większą gorliwością i z tem świętszym zapałem wszystkie siły swoje poświęcił pracy nad narodem, rozpalał w nim miłość pięknych stron przeszłości, ucząc go budować przyszłość i strzegąc, jak świętego ognia, polskości ducha i godności narodowej.

„Od matek naszych przywykliśmy słyszeć opowiadanie jego czynów i przygód". Te słowa Mickiewicza do dziś dnia nie straciły swojej wartości i — mocy obowiązującej: żywot Niemcewicza powinno znać każde dziecko polskie!

GŁOS Z ZA GROBU

Dnia 29 czerwca roku 1822, na „posiedzeniu publicznem“ Uniwersytetu wileńskiego, wygłosił Lelewel odczyt pod tytułem: *Ocalenie Polski za króla Łokietka.* Na wyborze takiego, a nie innego tematu zaważyły z pewnością nietylko umiłowania naukowe wielkiego uczonego, który od lat już kilku studjował i wykładał historję średniowieczną, ale także jego uczucia patrjotyczne — nadewszystko chęć pokrzepienia serc ubóstwiającej go młodzieży akademickiej. Przy całej bowiem swojej bezstronności naukowej, przy całym swoim kulcie dla c z y s t e j nauki, który mu nigdy nie pozwalał sprzeniewierzyć się tej własnej zasadzie, że w nauce dziejów „uwagi jakiebądź, filozoficzne, polityczne, nauczki moralne, nie są dopuszczone, bo najczęściej mogą się stać pobudką, a przynajmniej dadzą pisarza w podejrzenie, że on okoliczności opowiadane do swoich ponaciągał widoków“, — rozumiał Lelewel, że znajomość przeszłości może i powinna być mistrzynią teraźniejszości; bo jakże? przecie historja, nie powtarzając się nigdy w szczegółach, powtarza się jednak nieraz w zespołach zjawisk, a stąd bywa często nietylko wskazówką dla rozumu i woli, jak postępować, ale i pokarmem dla serca, wpajając w nie nadzieję, że, skoro tyle już razy po czasach nieszczęśliwych przychodziły szczęśliwe, to i w przyszłości tak być może, byleby tylko ludzie chcieli pracować nad swem odrodzeniem i znaleźli w tej pracy wielkiego wodza.

Tę myśl wypowiada Lelewel zaraz w pierwszym ustępie swego odczytu, mówiąc, że historyk znajduje w przeszłości „przyjemne obrazy odradzającej się ludzkości, postępującej i ulepszonej towarzyskości, ocalonych narodów i państw, ochronionej i podźwignionej budowy: bez ruin — wstrzymane i skruszone ciosy, położone tamy zgubnym zamachom, naprawiony gmach i nowe życie jemu nadane“. A cały odczyt jest niczem innem, tylko szczegółowem rozwinięciem i uzasadnieniem myśli, że, „gdy historyk... posępną przeszłość tęskną przebiega myślą, gdy się w niej zagłębia i działania ludzi rozważa, znajduje

obrazy przeszłości, mogące strudzonemu upadkami umysłowi pogodniejsze otwierać widoki, wskazujące, w najtrudniejszych razach, wielbić cnoty, które każdy rad w dziejach ojczystych widzieć".

Jakże „posępną przeszłością" były czasy przed Łokietkiem! „Z każdym rokiem trudniejsze położenie, bliższy wszystkiego upadek... Półpięta wieku egzystujące Bolesławów państwo, zdawało się, że dogorywa i gaśnie". Lecz nie dogorzało, nie zgasło: przyszedł Łokietek, „zatwardziały w cierpieniu i trudach", i pokierował „gęstą i ciężką" chmurą, która nad ziemią polską zawisła, „bo uczuł, że przesilenie nastało, dostrzegł poruszające się, dawniej uśpione sprężyny, które zdolne były rozwijać środki dźwignienia się z przepaści, a odradzającemu się narodowi nowe życie nadać". I oto „po tylu leciech i ciężkich próbach widział Łokietek wielką w umyśle i sercu przemianę, patrzał na powolny postęp i ujrzał w pozostałej resztce" narodu „nową siłę, jakiej całość wprzódy nie miała; on sam tą siłą naród natchnął, swoją go żywił dotrwałością, a w resztce pozostałej naród sam przez się dźwigać się począł". Wielka dusza Łokietka „w prześladujących ją przeciwnościach swoją wielkość rozwija i zostawia ową chmurkę przerzedzoną i zbledniałą, która, byle powionięta, zniknąć mogła, zostawia w objęciu zbyt małem, ale nowem światłem połyskującą, zostawia ją, żeby się w biegu dalszych pokoleń, pożywnym w przyszłości tchem posilana, w jasny obłok roztoczyła".

Ku tym to czasom „mimowolnie unosi się umysł i serce" i „pociesza się, gdy widzi w szczątkach ocalone domostwo, podane mu środki powolnego naprawiania burzami skołatanych ścian, wzmocnienia ich na odświeżonych posadach, odbudowania obalonych". „Dopełniło się" zaś „to Lechji ocalenie właściwą jej koleją — nie dzikim, ostrym lub nagłym ruchem, ale łagodnym i powolnym... Każdy rok, koleją następujący, nowej ilości sił dodawał, skołataną pokrzepiał okolicę; z każdym rokiem, przez niemały przeciąg czasu, podnosiła się moc uczuć, wzmagająca oczekiwanie; w latach wolno pomykanych roztaczał się obraz wspaniały".

„Wiem, — kończy Lelewel swój odczyt — że te przypomnienia nie rozweseliły, nie zaspokoiły stroskanego serca; wiem, że obudziły wspomnienia zgasłych czasów, pełnych żałości, pełnych tęsknych zachwyceń; wszakże mam nadzieję, że ta przeszłość i to przypomnienie — ożywia uczucia i zwolna miłą roznieca pociechę. Czyli zaś ta przeszłość poważnym historji głosem, czyli posępnym barda lub skaldy północnego śpiewem dotknięta będzie, kiedy rozweselić nie może, niech przynajmniej utęsknionym jakążkolwiek ulgę przynosi!"

Czy wobec tych własnych słów Lelewela wolno wątpić, że, biorąc sobie za temat odczytu *Ocalenie Polski za króla Łokietka*, myślał trochę o smutnej teraźniejszości, o tem, co się działo w Warszawie i w Wilnie pod dzikiemi rządami Wielkiego Księcia i Nowosilcowa, i że pragnął wpoić w serca swoich słuchaczów (nadewszystko młodych) nadzieję, że te chmury przeminą, że przyjdzie czas, kiedy się ziemie polskie znowu zjednoczą, jak się niegdyś zrosły dzięki mądrości i „dotrwałości" Łokietka? A młodzi słuchacze, których serca już od półtora roku tętniły wiarą w „jutrzenkę swobody" i w „zbawienia słońce", czy mogli, słuchając odczytu, nie umacniać się w tej wierze, odnosząc ją wszakże już nie do całego rodzaju ludzkiego, jak twórca *Ody do młodości*, ale nadewszystko do własnego narodu? Usłyszeli przecie z ust uwielbianego profesora słowa, że „tam większa, tam skuteczniejsza usilność, gdzie niezwątlała n a r o d o w o ś ć, gdzie odpychany obcy obyczaj, gdzie zaostrzana pilność, żeby cudzoziemcy ani na duchowne, ani na świeckie nie cisnęli się urzędy".

A dzisiaj czy ten odczyt Lelewela ma już tylko wartość historyczną? czy przestał być aktualnym? Nie! Prawda, rozerwanie ziem polskich należy dzisiaj — w znacznej mierze — już tylko do przeszłości; ale czy należy do przeszłości rozerwanie polskich serc? I czy niejedno serce polskie nie marzy o tem, żeby, jak Łokietek rozpoczął wielkie dzieło zjednoczenia ziem polskich, zjawił się nakoniec ktoś, ktoby zjednoczył polskie serca, i to „nie dzikim, ostrym lub nagłym ruchem, ale łagodnym i powolnym", opierając go „na narodowości?"

„Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą", groził niegdyś Skarga. Biadał nad tem i Lelewel, już na wygnaniu, w Brukseli, — w siedemnastą rocznicę powstania listopadowego:

„Święta miłości kochanej Ojczyzny! zrządź, aby Twe dzieci... się postrzegły i upamiętały w swym obłędzie, ukój ich zawziętości osobiste...ucisz zjadliwy język, żądłem piekielnej złości uzbrojony!... wzrusz nieczyste sumnienia, aby wprzód swój ciężar poznały, nimby się poważyły skazy bratniego oka dopatrywać!... Święta miłości! prowadź prawe kroki swych dzieci, aby sobie samym kłamstwa nie zadawały! otwórz oczy zbłąkanym owieczkom, aby rozróżniły chytre lisy i wilki drapieżne, owczą pokryte skórą, dla żeru lub lichego interesu nie goniły za niemi, aby się wyparły onych, bo się same gubią, bo z niemi w przepaść sprawę narodową potrącają!... Matko Ojczyzno! doznajesz opóźnienia, bo niebaczne twe dzieci karmią na Twem łonie wyrodków, których się wyrzekasz, ludzi ladaco, co Twej sprawie szkodzą! Przebacz zbłąkanym! Przyjdzie pora, a miłość dźwignąć Cię zdoła".

Obyż ta pora przyszła jak najprędzej! Obyż w naszych rozdzielonych sercach dokonał się cud Zmartwychwstania pogrzebanej w nich „świętej miłości kochanej Ojczyzny!“ Obyż spełniła się wróżba, którą Wyspiański włożył w usta Lelewela:

Kiedy naród w sobie się szamoce,
gdy nad narodem ciemne rozwlekły się noce,
budzi się prorok-duch — co go powiedzie.
Ten sam ze się zapłonie, jako słup ognisty,
i będzie przed szeregiem zwartym szedł na przedzie.
Temu Bóg odda dusz jedynowładztwo!

ROMANTYZM JAKO CZYNNIK ROZWOJU IDEI NARODOWOŚCI W POLSCE

Odczyt publiczny, wygłoszony w Warszawie dnia 10 grudnia 1933 r.

We mgle wieczornej usiadło
Samotne, blade widziadło
Przy drodze koło cmentarza;
I wzdycha, płacze, narzeka
I o niewdzięczność oskarża
Serce człowieka.
. . . . . .
Nic nie chcą wiedzieć już o mnie,
Choć przysięgali niezłomnie
Dochować miłość i wiarę;
Więc wracam i patrzę zdala,
Jak wszystkie wspomnienia stare
Unosi fala.

Cóż to za *Samotne widmo,* z którem się wdaje w rozmowę samotny poeta i które się przed nim skarży na niewdzięczność nie jednego tylko człowieka, ale całego społeczeństwa? Na to pytanie odpowiada samo widmo:

...jestem całej epoki
Myślą umarłą.

Jakiej epoki, tego widmo nie mówi, ale można się łatwo domyślić, jeżeli się wie, kto jest tym poetą.

Twórczość Asnyka przypada na epokę pozytywizmu, któremu zawdzięcza on nietylko wiele poszczególnych myśli swojej poezji, ale i, rzec można, cały jeden system filozoficzny, albo, mówiąc ściślej, całe jedno wyznanie swojej wiary filozoficznej, złożonej w cyklu sonetów *Nad głębiami.* Lecz serce przez całe życie, z nieprzezwyciężoną tęsknotą, zwracało się do czasów dzieciństwa i młodości, to znaczy do tej epoki, której ideałom pozytywizm wypowiedział walkę. Owo widmo, to „myśl umarła" „całej epoki" romantyzmu. Na tę walkę patrzył Asnyk ze smutkiem, ale, jak przystało na poetę-myśliciela, spokojnie. Rozumiał, że

tak być musi, bo takie to już prawo świata, że, jak się wyraził w innym wierszu *(Do młodych)*:

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach.

Bolało go jednak, że walczono z romantyzmem zbyt bezwzględnie. Bo jakże? Przecie, jak uczy historja, każda z wielkich epok rozwoju duchowego wytworzyła wprawdzie dużo wartości przelotnych, ale i niemało trwałych, albo nawet, jak się wyraził jeden z myślicieli niemieckich (Rudolf Eucken), „nadhistorycznych", to jest wiekuistych. To jedno. A po drugie, czyż sny nie mają czasami większej wartości, aniżeli rzeczywistość? Gdyby nie one, gdyby nie marzenia o ideałach, nie dążyliby ludzie do ich urzeczywistnienia, to znaczy nie spełnialiby tego, co jest właściwym sensem życia ludzkiego. Asnyk rozumiał to dobrze, i dlatego właśnie ściskało mu się serce na widok burzenia snów romantycznych przez młodych pozytywistów. Więc wołał do nich:

....nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść!
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Racjonalizm i romantyzm. Tylko — czy to prawda? Czy rzeczywiście na ołtarzach, które zbudował romantyzm polski, żarzy się jeszcze święty ogień? Czy w tej naszej wielkiej kulturze duchowej, w której budowie romantyzm odegrał rolę naczelną, są wartości trwałe, „nadhistoryczne"? Pytanie to, które było aktualne za czasów nietylko Asnyka, ale i Wyspiańskiego, nie przestało być aktualnem do dziś dnia. Przecie raz po raz czyta się i słyszy poglądy, że dzisiaj, kiedy się sny romantyczne o odzyskaniu niepodległości spełniły, pora nakoniec skończyć z innemi także snami, że dosyć już nadmiernej wiary w potęgę irracjonalnych pierwiastków duszy i w ich wyższość nad rozumem, że czas już zerwać z przecenianiem indywidualności ludzkiej, ze wstecznictwem w przywiązaniu do przeszłości, a cóż dopiero z mesjanistyczną wiarą w powołanie narodów.

Otóż czy te i tym podobne oskarżenia, niektóre przynajmniej, nie są czasem płodem... ignorancji, a w najlepszym razie owocem bardzo powierzchownego pojmowania romantyzmu, nierozumienia jego najgłębszej istoty? Główną zaś treścią romantyzmu jest walka z ujemnemi cechami epoki poprzedzającej, epoki oświecenia, zwłaszcza z jej ciasnym racjonalizmem, a więc walka o prawa dla uczucia (które płytka psychologja wieku XVIII poczytywała nie za coś swoistego, tylko za jakąś mętną ideę,

a które, jak to już dzisiaj, właśnie dzięki romantyzmowi, rozumiemy, jest czemś bardzo swoistem i bywa niekiedy prostszą drogą do prawdy, niż rozum) i o prawa dla intuicji, która tylekroć wyprzedza rozum i ściele mu drogę, a nawet wskazuje cel jego działania, i o prawa dla woli, która niejednokrotnie traci, wskutek refleksji, swoją pierwotną świeżość i siłę tak dalece, że się boi i wyrzeka pracy nad spełnieniem swoich zamiarów i marzeń. Walka z jednostronnym racjonalizmem — oto nieśmiertelna, „nadhistoryczna" zasługa romantyzmu w dziejach kultury duchowej. Romantyzm nie zubożył rozumu, przeciwnie, wzbogacił niepomiernie jego królestwo, albowiem, odbierając mu jego uroszczenia do samowładztwa, otworzył mu oczy na te skarby, jakie tkwią w irracjonalnych pokładach duszy, i pozwolił mu czerpać z tej skarbnicy środki i siły do pracy nad kulturą duchową.

Idea narodowości w ciągu wieków. Otóż jednym z tych skarbów jest miłość i idea narodowości. Że miłość, to jasne: miłość ma swoje siedlisko w sercu, nie w głowie. Ale dlaczego idea? Na to pytanie odpowiada historja filozofji i wogóle kultury.

Wieki średnie, których filozofja i kultura były owocem ogromnej, wręcz nadzwyczajnej pracy myśli, usiłującej uzasadnić dogmaty religji chrześcijańskiej, wytworzyły wspaniałą ideę Kościoła powszechnego, którego budowy dokona nie ten albo ów naród, tylko cała ludzkość: tendencje średniowiecza były kosmopolityczne, albo, jeśli kto woli, uniwersalistyczne.

Lecz w epoce odrodzenia i humanizmu zaczęła się budzić tłumiona przez kulturę średniowieczną indywidualność, której rozkwitu nie możemy sobie wyobrazić bez działalności irracjonalnych pierwiastków duchowych; one to przecie, w dużo większym stopniu, niż intelekt, rozstrzygają o odrębności jednego człowieka od drugiego: do dziś dnia nikt nie ujął ani uczucia, ani intuicji, ani woli w karby tak powszechnych, wiekuistych praw, w jakie działalność rozumu ujął już Arystoteles. Zapewne, przysłowie: „Co głowa, to rozum" ma dużo słuszności; lecz to, że rozum rozumowi nie równy, tłumaczy się nietylko rożnorodnością i natężeniem jego własnych zasobów, ale także, i to w bardzo znacznej mierze, mniejszym albo większym, takim albo innym udziałem pierwiastków irracjonalnych, zabarwiających albo i kształcących działalność intelektu.

Otóż na epokę odrodzenia i humanizmu przypada w Europie nowożytnej pierwsza faza mocnego uświadomienia sobie przez poszczególne narody swoich odrębności, które było, nie wyłącznie wprawdzie, ale w znacznej mierze, wynikiem uświadomienia swej indywidualności przez jednostki. We Włoszech nastąpiło

to zjawisko już w zaraniu tej epoki: Dante, Petrarka, a nadewszystko Cola di Rienzo, to w tej dziedzinie, jak w wielu innych, ludzie już nowocześni. W Polsce możnaby tu wymienić — z pewnemi zastrzeżeniami — Długosza, bez żadnych zastrzeżeń — Ostroroga, a niebawem już cały szereg nietylko pisarzy, ale i polityków. Nie dziw, że na te czasy przypadają pierwsze próby charakterologji narodowej, np. w pismach Długosza, Reja, Orzechowskiego, Górnickiego.

Lecz po epoce humanizmu i reformacji przyszła epoka reakcji katolickiej, będąca do pewnego stopnia nawrotem do średniowiecza. Ale jednocześnie, bo już w drugiej połowie XVI wieku, ukazują się w Anglji i we Francji początki oświecenia, które dojrzeje w wieku XVII, a w XVIII owładnie całą Europę zachodnią, a nawet wschodnią.

Oświecenie żywiło pogardę dla kultury średniowiecznej, jako rzekomo barbarzyńskiej, ale i ono hołdowało jej idei ogólnoludzkiej (chociaż, rozumie się, inaczej pojmowanej): ideologja rewolucji francuskiej, będąca wynikiem ideologji oświecenia, walczyła o prawa człowieka, jako cząstki ludzkości, a nie jako cząstki narodu. W swoim jednostronnym, fanatycznym, bałwochwalczym kulcie rozumu dawało się oświecenie porywać zbyt łatwym u o g ó l n i e n i o m, które były *par excellence* owocem działalności rozumu. Za mało się liczyło z indywidualnością ludzką i, co za tem idzie, z indywidualnością narodową, nieraz widziało lasy, a nie widziało drzew, znało prawdy martwe, albo prawdy j e s z c z e do życia niezdolne, a nie znało prawd żywych, coraz to głośniej wołających o życie. Wielki myśliciel francuski, Monteskjusz, nie stanowi tu tak dalece wyjątku. Rozumiał on wprawdzie, że nietylko prawa i, co za tem idzie, państwa i rządy, ale także narody mają swoje odrębne oblicza. Tak, ale i on nie podniósł odrębności duchowej poszczególnych narodów do godności choćby jednej tylko z tych zasad naczelnych, które kształtują życie narodów; wśród czynników duchowych, urabiających ducha praw, wymienia tryb życia mieszkańców kraju, ich religję, ich skłonności, ich obyczaje i zwyczaje, ale nie sprowadza ich do wspólnego mianownika, i daremnieby szukać w jego dziele *O duchu praw* pojęcia „duch narodów".

A jakże znamienna dla swoistej ciasnoty oświecenia jest definicja narodu w *Dykcjonarzu* Anglika Johnsona i w *Encyklopedji* francuskiej Diderot'a i d'Alembert'a! „Naród — czytamy w *Dykcjonarzu* — oznacza właściwie wielką ilość rodzin wspólnego pod względem krwi pochodzenia, urodzoną w jednym i tym samym kraju i żyjącą pod wspólnym rządem". A w *Encyklopedji:* „Naród jest to znaczna ilość ludności, zamieszkałej w pewnej połaci kraju, zamkniętej w pewnych granicach i podwładnej

jednemu i temu samemu rządowi“ [1]. A więc Anglik wspomniał przynajmniej o wspólnej krwi, Francuz zapomniał o niej.

I wogóle ludzie oświecenia nie zdawali sobie jasno sprawy ani z istoty duchowej, ani z potęgi pierwiastków narodowych w życiu poszczególnych narodów, a nieraz jakby się ich wypierali — na rzecz pierwiastków ogólno-ludzkich. Jeden przykład, ale jakże jaskrawy! Mało miała Polska tak gorących patrjotów, jak Staszic, a jednak cóż to on powiedział w tym swoim utworze, który jest najpełniejszym wyrazem jego filozofji, to jest w poemacie *Ród ludzki*?

> Zapominam ród, nie mam stanu, ni ojczyzny:
> Z przesądów (!) za usilną otrząsam się pracą.
> Ten jedyny głos tylko w mojem słyszę sercu,
> Żem człekiem...

Nieprawda: kto, jak kto, ale Staszic słyszał w swojem sercu głos, że jest Polakiem — tego dowodzi całe jego wspaniałe życie; ale, pisząc poemat filozoficzny, uważał, że „ród“ i „ojczyzna“ to — ze stanowiska filozofji — przesądy. Ładna filozofja!! Słusznie skarcił go za nią Lelewel w swojej *Historyce*, nie wymieniając jego nazwiska [2].

Otóż przeciwko takiemu doktrynerstwu zaprotestował romantyzm — właśnie dlatego, że był posłuszny głosowi serca. A że nietylko pragnął, ale i śmiał uzgodnić ten głos serca z głosem rozumu, że ideę odrębności narodowych godził z ideałem ludzkości, to faktu nie zmienia, tylko jeszcze większą czyni tę nieśmiertelną zasługę romantyzmu, że podniósł bunt przeciwko kosmopolityzmowi oświecenia.

I czy mogło być inaczej? Kosmopolityzm jest pogwałceniem żywej prawdy serca, więc musiała się budzić przeciwko niemu reakcja serca na rzecz narodowości i patrjotyzmu. A z serca ta reakcja wniknęła w rozum, który swoją powagą usankcjonował prawdę serca, — i oto zaczęła się praca nad wyjaśnieniem i uzasadnieniem idei narodowości.

Ten wielki pisarz francuski, którego nazwano pierwszym romantykiem, Rousseau, już rozumiał, że kosmopolityzm jest jeszcze daleką, bardzo daleką muzyką przyszłości, i słusznie po-

---

[1] Ob. Snitko, *Zarys pojęć o narodzie*, Lwów 1901, str. 85.

[2] ...„Zawołano niebacznie, że (historyk) wyzuć się ze wszystkiego bezwarunkowo winien: nie mieć ojczyzny, nie mieć religji, przywieść się do zupełnej obojętności, wyzuć ze wzruszeń i ludzkiego uczucia“. Tymczasem, zdaniem Lelewela, historyk, przeciwnie, „ma się napawać najżywiej uczuciami, które mu określać wypada: musi czuć dostojność własnej religji, unosić się miłością ojczyzny i narodowości, żeby był mocen oceniać uczucia, z któremi najwięcej jest w dziejach do czynienia“ (*Historyka*, Warszawa 1862, str. 192—193).

wiedział, że niejeden kosmopolita żywi czasem tkliwą miłość dla antypodów, żeby się uwolnić od miłości dla współziomków. A ten wielki pisarz niemiecki, w którego pismach pełno już ziarn romantycznych, Herder, uznał odrębności narodowe nietylko za wytwór serc ludzkich, ale nawet... za dzieło samego Boga, i nie wierzył, żeby bez odrębności narodowych mogło kiedykolwiek na świecie powstać Królestwo Boże.

I tak oto wzrastała, już w XVIII wieku, w miarę wzrostu romantyzmu, idea narodowości. Krasiński mówi, że to Napoleon „narodowości ziemskie przebudził z uśpienia". Nie, to nieprawda: on tylko przyśpieszył ich wspaniały rozkwit; ale ze snu obudził je w całej Europie nie Napoleon, tylko romantyzm, i to już w XVIII wieku.

Polska, jak ze wszystkiem, tak i z romantyzmem spóźniła się nieco. W każdym razie i ona już w XVIII wieku miała Karpińskiego, który, jeśli ideę narodowości uświadamiał sobie lepiej, niż bardzo wielu innych, to dlatego, że się już pod wielu względami sprzeniewierzył oświeceniu, że w duszy jego tkwiły już siły romantyczne.

I te właśnie siły romantyczne przebudziły narodowość polską z uśpienia — na początku XIX wieku.

Dreszcz bierze, kiedy się czyta słowa, jakie dnia 23 listopada roku 1800, na pierwszem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, powiedział jego prezes, Albertrandi: imię narodu polskiego „w rzędzie narodów przekreślone widzimy"; i jeszcze: „naród polski jest w obcą narodów bryłę przelany". Ten rozpaczliwy pogląd był narazie powszechny. Dlaczego? Bo nie rozumiano jeszcze należycie, co to jest naród, bo nie wyzbyto się dawnego poglądu, że naród a państwo to jedno i to samo; nie wierzono zrazu w odrodzenie państwa, nie wierzono w ocalenie narodowości. Rzecz to niezmiernie ciekawa.

Kto czytał uważnie drugie i trzecie *Kazanie sejmowe* Skargi, któremu zawdzięczamy najpiękniejsze uzasadnienie patrjotyzmu, na jakie się zdobyła dusza staropolska, ten spostrzegł zapewne, że jest to patrjotyzm nie narodowy, tylko państwowy. Podnosi wprawdzie Skarga miłość ojczyzny do wysokości prawa bożego; ale, nie mówiąc już o tem, że to religijne uświęcenie patrjotyzmu jest w rozumowaniu kaznodziei oparte na bardzo kruchej podstawie logicznej, bo na przenośni: ojczyzna jest waszą matką, a że matkę sam Bóg rozkazał kochać, więc powinniście kochać ojczyznę, — nie mówiąc już o tem, te nawet argumenty, które są oparte na mocnej podstawie logicznej, płyną nie z idei narodowości, tylko z idei ojczyzny, jako państwa: powinniście ojczyznę kochać, po pierwsze, bezinteresownie, przez wdzięczność, że ona to dała wam religję katolicką,

majestat królewski, potęgę polityczną, wolność, dostatek i t. d., a po drugie, przez własny dobrze zrozumiany interes: kochając ojczyznę, kochacie samych siebie. Prawda, jest jeszcze trzeci argument: łączą was wspólne węzły — ale jakie? „Macie jednego pana i króla, jedne prawa i wolności, jedne sądy i trybunały, jedne sejmy koronne, ...jedno ciało, z rozmaitych narodów i języków skupione i spojone, i dawno zrosłe". O tem, żeśmy się powinni kochać wzajemnie, jako jeden naród, który państwo zbudował — ani słowa! Charakter państwowy ma, ściśle biorąc, także patrjotyzm Staszica i Kołłątaja.

Idea narodowości w epoce romantyzmu. I dopiero w lat kilkanaście po utracie niepodległości państwa zaczęto sobie uświadamiać, że oprócz państwa, to jest ojczyzny politycznej, jest jeszcze inna ojczyzna: zarazem fizyczna, przyrodnicza i — idealna czyli „serdeczna", jak się wyraził Brodziński, ten pierwszy u nas apostoł idei narodowości, i że fundamentem tej ojczyzny jest właśnie *narodowość*, i to nietylko jako wspólna krew i wspólny język, ale także jako wspólne myśli i uczucia, wspólne ideały i umiłowania, wspólne zwyczaje i obyczaje, wspólne rysy charakteru — i wspólna przeszłość, słowem, jeden duch narodowy. Dojrzała ta świadomość podczas powstania listopadowego, a jej pełnym wyrazem jest słynna mowa Brodzińskiego *O narodowości Polaków*, wygłoszona na uroczystem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 3 maja 1831 r. Jak Skarga podniósł obowiązek miłości ojczyzny, jako państwa, do godności prawa bożego, tak Brodziński — on pierwszy — podniósł do godności dzieła bożego ten „ogień niewidomy" w duszach polskich, któremu na imię narodowość: „Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, indywidualnemi". Rozumiał to doskonale i Lelewel, który pierwszy wyjaśnienia takiej, a nie innej przeszłości Polski szukał w swoistym duchu narodowym.

Minie lat jedenaście od wygłoszenia mowy przez Brodzińskiego, a uczeń Lelewela powie z katedry paryskiej, że narodowość to największe ze wszystkich dzieł, jakie Pan Bóg stworzył na ziemi. Rozwinie i uzasadni tę myśl Mickiewicz w rok później, w trzecim kursie prelekcyj: głównym celem odrębnych narodowości jest budowa Królestwa Bożego na ziemi, czyli, inaczej mówiąc, narodowość jest środkiem do tej budowy. „Jak obrządki religijne usposabiają nas do łatwiejszego poznania i ujęcia prawdy, tak instytucje narodowe nie są czem innem, tylko zbiorem pomocy, danych człowiekowi nato, żeby łatwiej mógł uczucie swoje w czyn zamienić, postawić na ziemi Prawdę, którą otrzymał w świątyni. Spełnienie tej powinności jest ciężkie i wymaga wielkich pomocy, wielowiecznych trudów; dlatego to czło-

wiek bez narodowości jest człowiekiem zdolnym widzieć, ale niezdolnym działać", to jest budować Królestwo Boże.

Fantazja poetycka dwóch innych wielkich romantyków wyposażyła ideę narodowości w skrzydła, na których się ona wzniosła w krainę idealnych pierwowzorów platońskich.

Przecie strunami tej harfy, której dźwięki słyszał Krasiński „śród przedświtów lepszego poranka" i na której Duch gra „pieśń świata", to jest historję ludzkości, — strunami tej harfy są idee narodowości, jak to widać z tych słów poety:

Słuchaj! W dźwięków tych wszechzgodzie
Brak jednego dziś imienia!
Patrz, w tych świateł wszechpogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imię,
Co wypadło z lutni życia,
Wskaż tę gwiazdę, która drzymie,
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
Wymów, wymów Polski imię:
Może słucha nas Duch boży
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

A Słowacki? Oto jego własne słowa: „Podobnie jak przed światem stworzone było Słowo czyli Duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnież poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla której następnie ludzie, w formę pewną, tej idei właściwą, skrystalizowani, pracowali. Z takich to idei powstawała pewna forma agregacyjna — i ta stanowiła narodowość. Idee takie, wieńcom ognistym podobne, któremi się fortece oblężone w nocy oświecają, z całą pięknością ogni, ulatających nad narodami, przelatywały i świeciły" [1]. Jedną z tych idei ujrzał i ukochał na zawsze Her-Armeńczyk, kiedy dusza jego wyszła ze spalonego ciała i poszła

Tam, kędy dusze, jasne jak brylanty,
Swe dobrowolne czyniły wybory.

W tej to krainie Herowi

Ukazał się Wid... Piękność... córka S ł o w a,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła;

[1] *Dzieła*, wydanie Bron. Gubrynowicza, tom I, str. 396.

Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem,
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jaśminy i maki-korale.
. . . . . .
Więc czego woda letejska nie mogła,
To Ona swojem zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty i nowym buchnęła płomieniem.

Tym zaś płomieniem była wieczna i wierna miłość ku ujrzanej Piękności, to jest ku idei narodowości polskiej, dla której on, Her-Armeńczyk, będzie pracował, wcielając się w coraz innego Króla-Ducha.

Czy można sobie wyobrazić piękniejszą apoteozę poetycką idei narodowości?

Fantazji Norwida nie stać było na coś tak pięknego, ale jego myśl także mówiła, że narodowość to dzieło boże, nie ludzkie:

Naród, że cierpi, więc nie jest ideją,
Lecz jest wcieleniem żywem, organicznem,
Istotą rzeczy. — Czuć ją, poznać chcę ją...
I oto z starym światem politycznym
Już od kolebki do boju powstawam —
Gdyż rzekł: *narody tworzę, bo wykrawam...* [1].

W apoteozie narodowości, jako dzieła bożego, poetom romantycznym wtórowali prozaicy-myśliciele, nadewszystko Podlasiak Trentowski i Wielkopolanie: Antoni Małecki, Cieszkowski, Libelt, i wielu jeszcze innych, mniejszych [2].

Małecki w rozprawie *O żywej, pojmującej się i dokonywającej się narodowości* [3] pisze, że duch boży jest „ostateczną całością i zgodą walczących przedtem momentów" i że „każdy naród o tyle jest... prawdziwym Narodem, o ile powierzoną mu została jedna z kategoryj, w jednej Idei bożej jeden moment tworząca".

Trentowski w rozprawie *Czy można uczyć się filozofji narodowej od ludu i jakie cechy mieć powinna taż filozofja?* głosi pogląd, że naród „jest całością zawarowaną, wydobywającą się z całości bezwarunkowej, która jest ludzkością, jest pewną ilo-

[1] Warto jeszcze przypomnieć te słowa Norwida: „Życie narodu jest tak nierozdzielnem od życia społeczeństwa, iż zaślepione *nawet* rządy przekonają się same najwidoczniej, dlaczego zatamowanie tego życia i *czterech pokoleń nie wytrzyma*".

[2] Ob. bardzo cenną pracę Stefana Harasska: *Prolegomena do filozofji narodowej Trentowskiego* (*Kwartalnik Filozoficzny*, tom VI, 1928).

[3] *Tygodnik Literacki*, Poznań, 1843. Ob. Gubrynowicz: *Antoni Małecki*, Lwów 1920, str. 18 i n.

ścią ludzkości wyosobnioną", i że „powodem do tego wyosobnienia" jest „jakaś wielka myśl boża, w imię której gromadzi się część ludzkości w oddzielne ciało, usiłując pracować przez mnogie wieki nad jej urzeczywistnieniem" [1].

Że i Cieszkowski podzielał ten pogląd, o tem świadczą, oprócz jego wiary w boskie posłannictwo narodów, wypowiedzianej już w pierwszym, jedynym wydanym za jego życia, tomie dzieła *Ojcze nasz,* także dalsze tomy, zwłaszcza czwarty, w którym, pomiędzy innemi, rozwija i uzasadnia Cieszkowski ideę romantyczną odrębnych narodowości tem, że, jak „sam Duch", czyli Pan Bóg, jest „jednią różnorodnych żywiołów", tak i ludzkość „jednią różnorodnych Duchów być musi", czyli „jednią" narodów, których „odrębne skłonności" mają swoje źródło w woli bożej" [2].

Lecz najgruntowniejszem uzasadnieniem i najpełniejszem rozwinięciem idei narodowości jest wspaniała rozprawa Libelta *O miłości ojczyzny* [3]. „Duch narodowy wylał się z łona samego Ojca przedwiecznego"; „Narodowość jest duchowem piętnem, charakterem niezmazanym, którym Bóg lud nacechował, aby go od innych ludów ku niedoścignionym celom odróżnił; kto się więc targa na narodowość, bluźni Bogu i podnosi rokosz przeciwko wyrokom Jego".

Cała rozprawa Libelta ma charakter ściśle filozoficzny, jest najlepszą i najpiękniejszą filozofją narodowości i patrjotyzmu, na jaką się myśl polska dotychczas zdobyła. Lecz punktem wyjścia tej filozofji jest uczucie; jest ona wyjaśnieniem, uzasadnieniem i sankcją tych drgnień uczucia i wogóle irracjonalnych pokładów duszy, o których prawa walczył i dla których je wywalczył — romantyzm; przyznaje to sam Libelt, mówiąc, że „miłość ojczyzny, jako uczucie, jest niepojętą, ale świętą".

Czy mamy potępiać, czy błogosławić romantyzm za to, że podniósł ideę narodowości na wyżyny świętego prawa bożego?

---

[1] *Rok 1845 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych,* zeszyt III, Poznań 1845.

[2] *Ojcze Nasz,* tom IV, Poznań 1906, str. 128. Innemi słowy, Cieszkowski widział w narodach objawienie realności metafizycznej — podobnie jak Hegel, który widział „duchy narodów" skupione około tronu „Ducha świata", „als die Vollbringer seiner Verwirklichung, als die Zeugen und Zierraten seiner Herrlichkeit" (ob. Volkelt, *Das Problem der Individualität,* München 1928). Za najwyższy jednak twór „Ducha świata" Hegel, jak wiadomo, poczytywał nie naród, tylko państwo; jeśli się romantycy nasi ustrzegli od tego bałwochwalstwa, to nietylko dlatego, że, jako prawi romantycy, odróżniali dzieła boże od ludzkich, ale (sprawiedliwość każe wyznać) może jeszcze i dlatego, że państwa polskiego nie było już na mapie.

[3] W wymienionem czasopiśmie poznańskiem *Rok 1844,* zeszyt I, II i VI. Wydanie krytyczne opracował Wiktor Hahn, Brody 1907 (w *Arcydziełach polskich i obcych pisarzy,* tom 52).

Nie będzie się chyba dalekim od prawdy, jeżeli się powie, że s e r c e człowieka, przynajmniej kulturalnego i normalnego, da na to pytanie odpowiedź: niech będzie błogosławiony ten wielki prąd duchowy, dzięki któremu ludzie uświadomili sobie to „niepojęte, ale święte“ uczucie!

A jak odpowie r o z u m? Nie mogąc i nie chcąc zaprzeczyć, że idea ludzkości jest czemś wyższem od idei narodowości i że, co za tem idzie, miłość całej ludzkości jest czemś wyższem od miłości jednego narodu, mówi jednak rozum, że jest na świecie pewna hierarchja ideałów, że, aby osiągnąć w niej szczebel wyższy, trzeba nasamprzód stanąć na niższym, co więcej, że jest rzeczą nietylko niemożliwą, ale wręcz niemoralną, usiłować szczeble przeskakiwać. „Dążyć do cywilizacji wyższej — mówi myśliciel francuski Durkheim w dziele *De la division du travail social* — niż ta, której wymaga natura obecnych warunków życia, to chcieć rozpętać chorobę w tem społeczeństwie, którego się jest cząstką... Pragnienie jakiejś innej moralności, niż ta, której się domaga natura społeczeństwa, jest negacją społeczeństwa i, co za tem idzie, negacją samego siebie. Gdyby jaki uczony czy filozof głosił moralność, którąby w uczuciach ogółu społeczeństwa nie budziła żadnego echa, czyniłby rzecz próżną, albowiem ta moralność byłaby martwą literą“.

Lecz tutaj może kto powie: „Dobrze, ale przecie kultura jest poto, żeby uszlachetniała naturę i podnosiła ją na coraz wyższe stopnie“. Słusznie, ale czy można tego dzieła dokonać odrazu? Co dzisiaj budzi w uczuciach ogółu głośniejsze echo: idea narodowości, czy idea ludzkości? Zapewne, są tacy, co w lęku, żeby ich nie posądzono o nacjonalizm, którego nie chcą odróżniać od szowinizmu, szermują na prawo i na lewo rzeczownikiem „państwo“ i przymiotnikiem „państwowy“, a boją się, jak djabeł święconej wody, rzeczownika „narodowość“ i przymiotnika „narodowy“. Ci mali ludzie nie mogą czy nie chcą zrozumieć, że, skoro narodowość jest dziełem bożem, a państwo ludzkiem, to państwo jest nie celem, tylko środkiem do rozwoju narodowości, — środkiem niezbędnym, koniecznym, żeby naród żył po bożemu, ale tylko środkiem. Na szczęście jednak ogół społeczeństwa naszego nie jest tak bojaźliwy, i z pewnością będzie coraz śmielszy — w dzisiejszej epoce, kiedy to już się zaczęło bankructwo różnego rodzaju międzynarodówek i lóż wolnomularskich.

Nie, do dziś dnia nie straciły słuszności słowa Lelewela, którego nikt chyba nie posądzi ani o szowinizm, ani o wstecznictwo, a który, chociaż gorąco pragnął braterstwa narodów i nawet uchodził za rewolucjonistę, socjalistę, w oczach zaś niektórych opętanych konserwatystów nieomal za bestję apokaliptyczną,

był pomimo to w epoce romantyzmu jednym z najgorliwszych szermierzy idei narodowości i zaklętym wrogiem tych wszystkich, co, jak się wyraził, „wyemigrowali ze sprawy narodowej w eter kosmopolityczny". Oto jego własne słowa: „Zapamiętali głosiciele kosmopolityzmu nie baczą, że przygotowują czasy imperjum rzymskiego; a najprzód nastanie zobojętnienie na to, co swoje, i obcy przewodzić zaczną, a potem oziębłość na to, co się dzieje, i źli ludzie panować i uciskać zaczną, a wreszcie barbarzyniec przyjdzie, znikczemnionych, złych i dobrych kosmopolitów pochłonie" [1]. Rozumiał więc Lelewel, czego niektórzy głupcy i opętańcy do dziś dnia nie rozumieją, a ludzie złej woli rozumieć nie chcą, że droga do postępu i szczęścia ludzkości, albo, jeśli kto woli, do Królestwa Bożego, do „Spełni ludów" (mówiąc terminem Cieszkowskiego), prowadzi przez narodowości, przez pielęgnowanie indywidualnych cech narodowych w duchu postępu moralnego. Nasamprzód miłość ojczyzny i wielkość własnego narodu, a później dopiero miłość całej ludzkości i jej wielkość, czy nawet jej świętość!

A zresztą (raz jeszcze) romantyzm polski nie zapomniał o ludzkości: ideały patrjotyczne połączył i uzgodnił z ideałami ogólnoludzkiemi; szowinizmu narodowego niema w nim ani źdźbła, a narodowego egoizmu — za mało.

Mesjanizm. Jednym z punktów aktu oskarżenia przeciwko romantyzmowi była w epoce pozytywizmu i jest dzisiaj jego wiara w powołanie narodów, czyli mesjanizm. Istotnie, romantyzm tę wiarę głosił i, głosząc ją, nieraz wpadał w przesadę. Krasiński kazał nam wierzyć, że jesteśmy Chrystusem narodów; Trentowski dowodził — najobszerniej w do dziś dnia jeszcze nie wydanej *Bożycy*, — że jesteśmy najlepszym ze wszystkich narodów na bożym świecie, a i Mickiewicz przecie mówił do emigrantów: „Nie wszyscy jesteście równie dobrzy, ale gorszy z was lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec". Przeciwko takiemu mesjanizmowi nietylko wolno, ale trzeba założyć protest, albo raczej nie trzeba, bo któż w to wszystko wierzy?

Lecz, o ile zgodzimy się na to (a są tacy, którzy się nie mogą na to nie zgodzić, bo rozum im na to pozwala, a „czucie i wiara" ich zmusza), że narodowość jest dziełem bożem, to czy możemy nie wierzyć, żeby narody nie miały do spełnienia jakichś celów bożych, to znaczy, żeby nie miały jakiegoś powołania? Nie mylił się Libelt, mówiąc, że w historji każdego narodu można i trzeba się dopatrzeć „jednej głównej myśli, jednego głównego celu, około którego całe ubiegłe życie narodu, acz w najrozmaitszych kierunkach, się kręciło; ta myśl jedna dopatrzona, jest to rozkaz

[1] *Polska, dzieje i rzeczy jej*, tom XIX, Poznań 1865, str. 195.

wyższy, palcem Boga narodowi już wtenczas nakreślony, kiedy go z chaosu ludzkości, z owej ciemni wieków, do osobnego narodowego bytu powoływał". I jeszcze: „Skoro żywotem i ostatecznym celem narodu jest myśl boża, którą za powołanie swoje odebrał, a Bóg jest Bogiem prawdy, wolności i postępu, miłość też najzupełniejsza ojczyzny będzie miłością tego trojga". W tych słowach ujął Libelt, w jednej osobie filozof i romantyk, nietylko najgłębszą treść, ale i wiekuistą prawdę romantycznego mesjanizmu [1].

Tradycjonalizm. Nie mylił się także romantyzm — i to także jego nieśmiertelna zasługa — w swoim poglądzie na rzecz, jak najściślej związaną z ideą narodowości, mianowicie w poglądzie na przeszłość narodową.

I żal mi bardzo was — o! postępowi,
Którzy zniweczyć przeszłość chcecie całą,
By łatwiej było, lecz jako żółwiowi,
Orzec: „tak wiele już ubiegłem z chwałą".
Tylko — że, aby drogę mierzyć przyszłą,
Trzeba koniecznie pomnieć, skąd się wyszło!

Nie mógłby Norwid tak mówić, gdyby był dzieckiem oświecenia, gdyby w swojej szlachetnej duszy nie miał skarbów kultury romantycznej. Oświecenie nie rozumiało, czem jest dla narodu i jego przyszłości jego przeszłość; oświecenie gardziło nawet przeszłością, jako wypełnioną rzekomo samemi „przesądami", i chciało urwać łeb ich hydrze. Nie rozumiało, że przeszłość jest nie trupem, tylko żywą siłą, biorącą udział w budowie nowego życia; i nie rozumiało jeszcze innej prawdy: oto, podobnie jak jednostka powinna mieć świadomość, że jest wytworem własnej przeszłości i że, jeśli nie kocha i nie szanuje tych jej składników, które na miłość i szacunek zasługują, to tem samem nie ma poczucia własnej godności i wartości, tak i cały naród powinien rozumieć, czem jest dla niego jego przeszłość, i żywić nietylko miłość i szacunek, ale nawet kult dla tego wszystkiego, co na to uczucie zasługuje. Żeby zaś wiedzieć, co zasługuje, a co nie, powinien ją przedewszystkiem poznać. I to właśnie poczucie łączności między pokoleniami nowemi a dawnemi, poczucie, na którem się opiera kult tradycji narodowej i bez którego niema ani nowoczesnego patrjotyzmu, ani organicznego postępu, to poczucie jest owocem kultury romantycznej.

---

[1] W ostatnich czasach romantyczną ideę powołania narodów, jako najwyższych dzieł bożych na tej ziemi, rozwinął szczegółowo Wincenty Lutosławski w dwóch dziełach angielskich: *Pre-existence and Reincarnation* (London 1928) i *The Knowledge of Reality* (Cambridge 1930). Por. tegoż autora *The Polish Nation* (Paris 1917).

Miał je preromantyk Karpiński, miał je preromantyk Brodziński, miał je nadewszystko romantyk Mickiewicz, jak o tem świadczą jego wykłady paryskie o „człowieku wiecznym". Ogromną zasługę położył w tej dziedzinie Lelewel, który, choć się wychował (podobnie zresztą jak Mickiewicz) w atmosferze oświecenia, wchłonął jednak w siebie niejedną zdobycz duchową romantyzmu, rozumiał, czem jest przeszłość narodu dla jego przyszłości, i sięgnął w tajniki „ducha narodowego", będącego dla romantyków świętością, tak głęboko, jak nikt ze współczesnych; pisałby się z pewnością na słowa Libelta, że dzieje to „najświętsza księga narodu, biografja jego bożostanu, opis boskiego żywota ojczyzny".

Że niektórzy z pośród romantyków mieli dla przeszłości narodowej kult bezmyślny i ślepy, to prawda, ale to nie zmienia faktu, że jej kult rozumny jest potężną i błogosławioną dźwignią rozwoju i świadomości narodowej i patrjotyzmu. Świetny rozkwit dziejopisarstwa naszego XIX wieku nie gdzie indziej ma swoje główne źródło, tylko w rozbudzonym przez romantyzm kulcie przeszłości narodowej, i nie zniszczyła go przesadna jej krytyka w epoce pozytywizmu, krytyka, przeciwko której protestował nietylko największy poeta tej epoki, Sienkiewicz, ale i największy historyk, jakiego wydała Polska po Lelewelu, Oswald Balzer.

Tu jednak, choćby tylko w imię bezstronności, trzeba dodać, że w Polsce kult przeszłości narodowej zawdzięcza swój wzrost (mniejszy, niestety, niż u wielu innych kulturalnych narodów) nietylko prądom romantycznym, ale i wypadkom politycznym, mianowicie utracie niepodległości i nieudałym próbom jej odzyskania.

Warto wtrącić jeszcze, że we wzrastającym kulcie przeszłości narodowej i w coraz jaśniejszem uświadamianiu sobie odrębności narodowych mają swe źródło nierównie poważniejsze, niż w XVI wieku, próby naszej narodowej charakterologji — w pismach Brodzińskiego, Niemcewicza, Szaniawskiego [1], nadewszystko zaś Lelewela. (Co za szkoda, że ta dziedzina nauki jest u nas dzisiaj prawie zupełnie zaniedbana [2], inaczej niż np. w Anglji albo w Niemczech! My widocznie nie rozumiemy należycie prawdy tych słów Goethego: „Żaden naród nie jest przez narody poważany, jeżeli sam siebie osądzić i ocenić nie może". A romantyzm rozumiał to dobrze).

---

[1] Ob. Harassek, j. w.

[2] Odczyt Tomasza Parczewskiego, wygłoszony 4 maja 1931 r. na plenarnem posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa Filozoficznego, p. t. *Typ psychologiczny Polaka*, ukazał się jedynie w streszczeniu (w *Ruchu Filozoficznym*, XII, str. 223—224).

Język ojczysty. Jedną z najważniejszych cech narodowości, a zarazem jedną z największych jej ostoi jest język narodowy. „Narodowość jest sercem — mówi Libelt, — język jest krwią, ojczyste ciało opływającą, jest obrazem myśli i uczuć narodu, jest to głos ojczyzny, z jej serca i ducha wydobyty". Otóż i tę prawdę uświadomiono sobie u nas dopiero w epoce preromantyzmu, przyczem i tutaj ogromną rolę odegrały rozbiory Polski. Jak we Włoszech zrozumiano, że język ojczysty to najsilniejszy węzeł, który spaja w jedną całość poszczególne państwa i prowincje półwyspu Apenińskiego w jeden naród włoski; jak w Niemczech, zwłaszcza w epoce zwycięstw Napoleona, pojęto, że język niemiecki jest spójnią, łączącą wszystkie państwa i państewka niemieckie w jeden naród niemiecki: tak i w Polsce uświadomiono sobie, że, pomimo rozbiorów, Polska jest jednym narodem, bo ma jeden język, który jest najsilniejszem, a przynajmniej jednem z najsilniejszych ogniw, łączących krew polską we wszystkich trzech zaborach i na tułactwie w jedną „ojczyznę serdeczną".

Słowo jest tak wielką siłą,
Której żadna moc nie zwali,
Słowo świat ten utworzyło,
Słowo i ten kraj ocali,

słowo ojczyste, oczywiście, bo ta strofa jest wzięta z wiersza p. t. *Mowa polska*; jego autorem jest Franciszek Morawski, który się powoli wyzwalał z pęt pseudoklasycyzmu i stawał się romantykiem, skoro tłumaczył Byrona i był zapalonym wielbicielem Mickiewicza. A Niemcewicz, który w walce z groźnym zalewem francuszczyzny położył największe zasługi, także nie należał do obozu „klasyków", tak samo jak preromantyk Brodziński, który literaturę ojczystą nazwał, nie mniej ani więcej, tylko „moralnym bytem" narodu. Wkrótce zaś potem Mochnacki, już od stóp do głów romantyk, powie, że naród „uznaje samego siebie w swojem jestestwie" przez literaturę narodową i w literaturze narodowej; a Libelt nazwie historję literatury narodowej biografją narodu.

* * *

Oto w najogólniejszych zarysach nieśmiertelne zasługi romantyzmu około rozwoju polskiej idei narodowej, oto święte ognie, które romantyzm rozpalił na ołtarzach naszej przeszłości. Gasić ich nam nie wolno! Przeciwnie, powinniśmy podsycać ich ogień i bronić ich przed tymi wszystkimi, którzyby go chcieli

w naszych sercach zgasić, a choćby tylko przytłumić — w imię płytkich, ale szumnych, chytrych i obłudnych, a w najlepszym razie doktrynerskich, haseł postępu i humanitaryzmu, na których lep daje się złapać niejedno naiwne serce polskie i... przestaje bić dla ojczyzny, nie wiedząc, czy też nie wierząc, że, jak prześlicznie powiedział Cieszkowski, Pan Bóg „wyrodnego syna ziemskiej ojczyzny sam wydziedzicza z niebieskiej".

ROMANTYZM POLSKI WOBEC KONSTYTUCJI 3 MAJA

Odczyt, wygłoszony we Lwowie dnia 2 maja 1922 r. na uroczystym obchodzie rocznicy Konstytucji, urządzonym przez Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Romantyzm polski, jako spadkobierca Konstytucji 3 Maja. „Ostatnią wolą konającej ojczyzny" nazwał Konstytucję 3 Maja Kołłątaj. Mickiewicz wyraził myśl tę samą, mówiąc, że Konstytucja jest „prawem żywem, zakorzenionem w przeszłości, mającem się rozwinąć w przyszłość"; albowiem „to prawo nie wypadło z głowy pojedyńczego mędrka, z ust kilku rozprawiaczy, ale wyjęte było z serca wielkiej masy; nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń". Jakież to życzenia? Odpowiada Mickiewicz: „wojna ze wszystkimi ciemiężycielami Polski", „propaganda wolności", dająca „się czuć w duchu Konstytucji", i „pełność praw obywatelskich" dla wszystkich warstw narodu.

Dzisiaj te trzy życzenia bądź już się spełniły, bądź się spełniają i spełniać się będą. Pomimo to do dziś dnia nie straciła swojej mądrości rada Mickiewicza: „Skoro wypadki wyzwą do działania naród polski, komu Opatrzność pozwoli mieć wpływ na losy jego, niech ten szczęśliwy człowiek zajrzy jeszcze w Konstytucję 3 Maja; może w niej więcej niż my wyczyta".

Rzeczywiście, w Konstytucji 3 Maja — właśnie dlatego, że jest „prawem żywem", które „wyjęte było z serca wielkiej masy" — wyczytać może dużo nietylko prawodawca i mąż stanu, któremu dano mieć wpływ bezpośredni na losy narodu, i nietylko uczony historyk, ale każdy wogóle myślący człowiek, a zwłaszcza każdy myślący Polak, o ile mu tylko leżą na sercu sprawy narodowe. Wolno więc i historykowi literatury czytać w Konstytucji 3 Maja i powiedzieć, co w niej wyczytał.

Mówi Mickiewicz, że Konstytucja miała się rozwinąć w przyszłość. Kto ją rozwinął? kto spełnił „ostatnią wolę konającej ojczyzny"? Historyk literatury odpowie na to pytanie: poezja porozbiorowa, wielka poezja polska epoki romantyzmu.

Sądzono tę poezję różnie i z różnych stanowisk, a to w zależności nietylko od osobistych poglądów i upodobań, oraz programów partyjnych, ale także od ogólnej atmosfery duchowej, którą wytwarzały różne wypadki historyczne: dosyć przypomnieć te gromy i pioruny, jakie miotano na poezję romantyczną po roku 1863, albo — później — tę surową krytykę niektórych ideałów romantycznych, którą Wyspiański włożył w usta swojego Konrada.

Na jedno zgadzali się i zgadzają wszyscy: epoka romantyzmu wydała u nas poetów wielkich, mogących się mierzyć z największymi poetami świata; a jeżeli tak, to zgódźmy się także na to, że polska poezja romantyczna dokonała — na polu kultury idealnej — tego właśnie, czego pragnęła dokonać — na polu politycznem — Konstytucja 3 Maja, to znaczy, mówiąc jej słowami, postawiła „ojczyznę naszą“ „na stopniu, mogącym prawdziwą w oczach Europy zyskać jej konsyderacją“.

Ale mniejsza o to. Idzie nam dzisiaj nie o piękno naszej poezji romantycznej, tylko o te pierwiastki jej t r e ś c i, o te jej i d e e, które w niej dominują, a które są jednocześnie naczelnemi ideami Konstytucji 3 Maja.

Ideał niepodległości. „Egzystencja polityczna“, „niepodległość zewnętrzna i wolność wewnętrzna narodu“ — oto cele, które przyświecały twórcom Konstytucji. Nie dopięli ich, nie ocalili egzystencji politycznej narodu. A wówczas, wbrew rzeczywistości, wbrew temu, że Polska zginęła, rozległo się hasło: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — gdzie? w poezji, w pieśni, która (jeśli to prawda, że istota romantyzmu streszcza się w słowach: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko“) jest pierwszym utworem naszej poezji romantycznej. Na mapie Wybicki nie widział już Polski, widział ją zato — taką samą, jak była — w swojem sercu, i uwierzył, że niepodległość odzyska, że, „co nam obca moc wydarła, szablą odbijemy“. I ta romantyczna wiara, że „zapał tworzy cudy“, raz po raz dźwięczy w naszej poezji patrjotycznej, — w pieśniach i pobudkach wojennych nietylko 31, ale i 63 roku.

Koń i ramię — oj, nie kłamię —
Nawet pułki djabłów złamie!
. . . . . .
Najprzód Rusi łeb paść musi;
A jak nad nim kruk zakraka,
Nie zabawiem —
I oprawiem
Naszą lancą i Prusaka:
Hej, Prusaka-nieboraka
Spławiem Wisłą bez flisaka!

Czy już basta? dziatwo Piasta!
O, nie basta! A dukaty
Za dzierżawę
I za strawę,
Za Wieliczkę i Karpaty!
Dalej, zuchy, Szwabom baty,
A kraj stanie po Karpaty!

Tak śpiewali ułani pod Wawrem — w *Pieśniach Janusza*. A Romanowski, którego jasna, czysta, rycerska dusza tęskniła do czynu zbrojnego, wołał w przeddzień jego wybuchu:

Ty nam, Święta, żyj po wieków wiek,
Od mórz dawnych aż do dawnych rzek!
Z drogi, cary! zbiry, precz!
Z polskim ludem Bóg i miecz.
Bóg nad nami
Z piorunami.
Z drogi cary! zbiry, precz!

Kiedy zaś powstanie styczniowe skończyło się klęską, kiedy „na ziemi mogił pogasły ognie", to i wtedy jeszcze „ostatni romantyk", Kornel Ujejski, upominał matkę-Polkę, by nie płakała „na trupie syna", albowiem,

Choć z niego proch już i glina,
Gdy przyjdzie pora,
Jutro, jak wczora,
Proch na proch weźmiem, glinę na ołów —
Pożary wstaną z popiołów!

Czy ci romantycy, którzy rozbudzali w narodzie wiarę, że odzyskać niepodległość może i powinien z bronią w ręku, i którzy pobudzali go do krwawych ofiar, wyrzucając mu gorzko, że w Polsce „zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół rycerzy — żywych" — dobrze się przysłużyli ojczyźnie?

Odpowiedź zależy, naturalnie, od odpowiedzi na pytanie inne, które tak często i tak ciężko męczyło i dręczyło sumienia, serca i umysły historyków, publicystów i wogóle wszystkich czujących i myślących ludzi w Polsce: czy nasze zbrojne powstania były tylko konieczne, czy też i potrzebne, czy przyniosły nam więcej pożytku, czy szkody? W odpowiedziach nie było, niema i tak prędko jeszcze nie będzie zapewne zgody. Prawdopodobnie wszystkie dotychczasowe sądy o zbrojnych powstaniach, jak wogóle o całej naszej historji porozbiorowej, ulegną — teraz, kiedy znowu mamy własne państwo, — gruntownej rewizji. Nie przesądzając, czy się prędko w naszej nauce i w naszej opinji publicznej przyjmie i utrwali pogląd Dmowskiego, wypowiedziany w jego znakomitem dziele *Polityka polska i odbudowanie państwa*, to jest pogląd, że nasze powstania przyniosły wielki pożytek, ale tylko... naszym wrogom, że — dla Polski — były czy-

nami samobójczemi, — jedno wolno twierdzić, już teraz, napewno: nigdy nikt nie będzie mógł zaprzeczyć, że naczelnym ideałem polskiej poezji romantycznej była „egzystencja polityczna", „niepodległość zewnętrzna i wolność wewnętrzna narodu", którą mu pragnęła dać Konstytucja 3 Maja. Ideał ten tkwił głęboko w sercach naszych romantyków, to też przyświecał ich wizjom poetyckim i odgrywał ogromnie ważną rolę w ich kształtowaniu. I czy mogło być inaczej? Przecie „gdzie skarb twój, tam i serce twoje"; przecie Mickiewicz w stepach akermańskich tak ucho natężał ciekawie, że słyszałby głos z Litwy; Słowackiemu smutkiem ścisnęło się serce, kiedy na morzu Śródziemnem zobaczył bociany, bo je znał kiedyś na polskim ugorze; Krasiński dał swemu Grekowi, kiedy się obudził ze snu wieków, serce polskie i chrześcijańskie — i kazał mu iść na północ.

Idea przebudowy dusz. Lecz nie wszyscy romantycy poczytywali zbrojne powstanie za środek wiodący do celu, nie wszyscy też do niego nawoływali: właśnie najwięksi z pośród nich, zdając sobie sprawę, że jeszcze nie wybiła godzina, że naród powinien sobie dopiero na nią zasłużyć, że ją powinien — nawet nie wymodlić, tylko wypracować, uczyli go tej pracy; odzyskanie niepodległości, to naczelny ideał naszej poezji romantycznej, jej zaś naczelną ideą, świadomie, albo i nieświadomie, nadającą wizjom poetyckim swoiste kształty i swoistą barwę uczuciową, jest — budowa, albo raczej przebudowa duszy polskiej.

Prawda, że z biegiem czasu, jak to często bywa, idea zaczęła pochłaniać ideał, który się rozpływał gdzieś we mgle, że, kiedy zrazu idea była tylko rosą, a słońcem, które rosę wypijało, był ideał, to później słońcem stawała się idea, a ideał — rosą: dosyć, że nie idea stworzyła ideał, tylko ideał — ideę, i śmiało powiedzieć można, że, jak Konstytucja 3 Maja chciała przebudować państwo, aby je ocalić od upadku, tak poezja romantyczna chciała przebudować społeczeństwo, duszę narodu, aby mu umożliwić odzyskanie państwa. I z tego to właśnie źródła, ze wspólności ideałów, zamierzeń i uczuć patrjotycznych, płynie zbieżność ideowa pomiędzy Konstytucją a poezją.

Niedosyć na tem. Mówi Mochnacki, że Polska w Konstytucji 3 Maja „na kilka chwil przed zagładą polityczną zebrała w jedną treść całe swe jestestwo;... naród polski wzmógł się wtedy nakształt atlety, dobiegającego do kresu,... odmłodniał, tracąc byt udzielny, i energiczniej wyraził swego ducha, konając, niżeli inne narody w początkach swoich albo we wzroście". Nasza poezja romantyczna także zebrała w jedną treść całe jestestwo narodu i wyraziła jego ducha: oto drugie źródło tej zbieżności, główne.

Idea całości terytorjalnej. Konstytucja, jak opiewa jej początek, dążyła do „ocalenia ojczyzny naszej i jej granic"; tę zaś ojczyznę pojmowała jako całość już jednolitą i niepodzielną: jedna przecie ustawa rządowa obowiązywała odtąd i Polskę, i Litwę, nie mówiąc już o tem, że Konstytucja, jak to wyczytał w niej Mickiewicz, „nigdzie nie gwarantuje zaborów dawnych, owszem protestuje przeciwko nim przez wszystek swój układ".

Nie gwarantuje zaborów, ani dawnych, ani późniejszych, i poezja romantyczna, owszem protestuje przeciwko nim już przez to jedno, że szuka treści i natchnienia we wszystkich ziemiach polskich, to jest polskich nietylko krwią mieszkańców, ale także ich wiekową kulturą polską. To zaś „uszczegółowienie terytorjalne", jak trafnie nazwano tę cechę naszej poezji (i, dodajmy od siebie, także powieści) w epoce romantyzmu [1], czem się tłumaczy? Czy tylko względami natury artystycznej, estetyką romantyczną, która kazała poetom nadawać swoim utworom „koloryt miejscowy?" Nie, koloryt miejscowy mają równie dobrze ziemie odwiecznie, dziewiczo polskie, jak i zdobyczne, zdobyte kulturą polską: a jednak dlaczego te ziemie dziewiczo polskie nie wystarczały naszym poetom? dlaczego Zaborowski opiewał Wołyń, Malczewski i Zaleski — Ukrainę, Słowacki i Gosławski — Podole, Mickiewicz — Litwę? Dlatego, że się te ziemie, jak powiedział już Skarga, „z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły", dlatego, że wszyscy ci i inni poeci, poczęści zupełnie świadomie, pragnęli, naprzekór życiu, które usunęło z mapy Europy Polskę, ocalić jej jedność terytorjalną i jej dawną wielkość — przynajmniej w pieśni. I nie rezygnowali nasi romantycy z tej jedności i wielkości ziemi polskiej nawet w chwilach klęsk narodowych; tuż po rzezi galicyjskiej wołał przecie Ujejski do Boga:

Wzlatuję w górę, między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram wdół.
Widzicie? Oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół,
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały, i sól, i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
Puharem stoi jedno — drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

Zarzucano Mickiewiczowi na emigracji, że zaczął *Pana Tadeusza* od nazwania ojczyzną swoją Litwy, nie Polski; zapo-

[1] Windakiewicz, *Poezja romantyczna*, Kraków 1912.

mniano o tem, co powiedział o dwa lata wcześniej, w *Księgach Narodu polskiego*: „Wielki naród Litwa połączył się z Polską, jako mąż z żoną, dwie dusze w jednem ciele". To samo mogli mówić wszyscy poeci romantyczni o tych różnych ziemiach, które opiewali: poczytywali je za należące integralnie do Polski.

Idea jedności narodu. Lecz obok hasła jedności ziemi polskiej jest w Konstytucji 3 Maja hasło jedności narodu polskiego, w ścisłym związku z nauką wieku oświeconego, że, mówiąc słowami Staszica, „społeczność jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele". Nie dała Konstytucja, uchwalona przecie w Warszawie, nie w Paryżu, pełni praw obywatelskich wszystkim warstwom, na które naród polski podzieliła wiekowa historja: nie pozwolił na to konserwatyzm szlachecki, którego źródłem był nietylko egoizm stanowy, ale i duch czasu. Bądź co bądź, wyłom w starej twierdzy był zrobiony: prawo kwietniowe o „miastach naszych królewskich wolnych w państwach Rzeczypospolitej", jako „całości wspólnej ojczyzny nową, prawdziwą i skuteczną dające siłę", uznano za organiczną część Konstytucji; przyjęto także „pod opiekę prawa i rządu krajowego" „lud rolniczy".

Czy się poezja romantyczna sprzeniewierzyła tej idei jedności narodu? Ależ nietylko, że się nie sprzeniewierzyła, ale posunęła ją naprzód, rozwinęła i uszlachetniła, czyto głosząc — pośrednio i bezpośrednio — hasła demokratyczne, czy ośmieszając, albo i piętnując, głupie lub niegodziwe objawy wstecznictwa i egoizmu stanowego, brak rozumu i serca w postępowaniu t. zw. warstw wyższych względem t. zw. niższych, czy też wreszcie wchłaniając w obręb swojej treści dolę i niedolę ludu i wogóle jego życie, jego obyczaje, jego poezję.

Jeden tylko, jeden cud:
Z Szlachtą polską polski Lud,
Dusza żywa z żywem ciałem,
Zespojone świętym szałem.
Z tego ślubu jeden Duch —
Wielki naród polski sam.
. . . . . .

Kraju mój rodzony,
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:
Ojcowie twoi własnemi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili!
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
O! wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem,
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Czy trzeba więcej przykładów? czy trzeba przypominać *Rybkę* Mickiewicza, upiora złego pana w *Dziadach*, albo rozmowę Tadeusza z Zosią na dziedzińcu w Soplicowie, hasła demokratyczne Słowackiego i Goszczyńskiego, poezję ludową Lenartowicza, powieści ludowe Kraszewskiego? To jedno jeszcze warto dodać, że nietylko lud wiejski, ale i mieszczaństwo staje się przedmiotem naszej poezji i powieści już w epoce romantyzmu: *Historja szewca Kilińskiego* Pola, *Dziewczę z Sącza* Romanowskiego, *Krewni* Korzeniowskiego, mogą tu służyć za przykład.

Idea poświęcenia jednostki dla narodu. Z idei jedności narodu, z nauki, że „społeczność jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele", wyprowadziła filozofja wieku oświeconego logiczny wniosek, że „zostać obywatelem jest wyzuć się, czyli oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu".

Otóż to hasło wieku oświeconego dźwięczy zaraz na początku Ustawy majowej — w słowach: „ceniąc d r o ż e j n a d ż y c i e, n a d s z c z ę ś l i w o ś ć o s o b i s t ą — egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu". Czy te słowa nie są czasem najlepszą charakterystyką jednej z najznamienniejszych cech naszej poezji romantycznej, mianowicie idei poświęcenia, która stanowi zarazem jej najwyższą piękność moralną? Od *Ody do młodości* przez *Konrada Wallenroda* i *Kordjana*, *Irydiona* i *Anhellego*, aż do *Pana Tadeusza* i *Króla Ducha*, — we wszystkich niemal najważniejszych i najpiękniejszych utworach rozlega się hasło poświęcenia, nakaz złożenia przez jednostkę swego życia i szczęśliwości osobistej na ołtarzu dobra pospolitego, i to jako ich ton główny, jako ich idea przewodnia. Środki, zapomocą których dążą ci bohaterowie do dźwignięcia i uszczęśliwienia kraju, są często, a nawet najczęściej, fantastyczne: ksiądz Robak jest wyjątkiem — on jeden z wielkich bohaterów naszej poezji romantycznej umie pogodzić miłość ideału z warunkami i postulatami twardej rzeczywistości, wzloty ku niebu — z ciężką pracą na ziemi; inni nie znają „matematyki życia". Niemniej przeto ich ofiara z życia i szczęśliwości osobistej pozostaje ofiarą — czystą, heroiczną i zupełną; wszyscy mieliby prawo świadczyć sobie tak samo, jak Kordjan:

> Nie przyszedłem was błąkać, jak ciemne anioły,
> Ani się waham myślą przecięty na dwoje:
> Jestem cały i jeden... A gdy kraj ocalę,
> Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem,
> Ja się w chwili ofiarnej, jak kadzidło, spalę!

Imienia nie zostawię po ciele spalonem,
Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie, próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne
Pochwałą, a zapłacą tylko zapomnieniem.

Miłość przeszłości. Lecz ani poczucie jedności ziemi ojczystej i jedności narodu, ani świadomość obowiązku poświęcenia jednostki dla ojczyzny, nie wyczerpują jeszcze całości pierwiastków i obowiązków patrjotycznych. Mówi Mickiewicz, że jego miłość ojczyzny

. . . . . nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie:
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! — objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia...

Niema patrjotyzmu bez szacunku tradycji, bez miłości przeszłych pokoleń narodu, bez poczucia łączności z niemi. Otóż artykuł drugi Konstytucji 3 Maja zaczyna się od słów: „Szanując pamięć przodków naszych, jako fundatorów rządu"... i powołuje się na prawa, wydane przez Jagiellonów i Kazimierza Wielkiego. Co więcej, cała wogóle Konstytucja jest, jak ją nazwał Kołłątaj, „łagodną rewolucją", to znaczy nie zrywa z przeszłością, ale, przeciwnie, na jej fundamencie buduje przyszłość.

Kult tradycji, szacunek i miłość przeszłości stanowi wybitną cechę polskiej poezji romantycznej, jak przystało na poezję narodu kulturalnego, nowoczesnego, zdającego sobie sprawę z ciągłości rozwoju historycznego.

W *Panu Tadeuszu* nietylko najbliższa tradycja, ale i daleka przeszłość historyczna jest ż y w a; „w rozległym widnokręgu historycznym, który otacza wątek epopei i gubi się w dalekiej perspektywie, rozsypane są niemal wszystkie ważniejsze wspomnienia narodowe, i to z wybornem zachowaniem praw perspektywy, to jest, im bliższe, tem pełniej i żywiej występują, im dalsze, tem ulotniej i krócej; ale i między dalszemi ważniejsze zarysowują się wyraźniej" [1]. Słowacki miotał pioruny na „czerepy rubaszne", ale i on nie mógł się oprzeć czarowi przeszłości, i on opiewał

. . . . . prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze,
A nadewszystko szczere, polskie dusze.

Malczewski, ulatując wyobraźnią i sercem w rycerską przeszłość, przeciwstawiał jej szarą teraźniejszość, i smutno mu

[1] Tretiak, *Tło historyczne w „Panu Tadeuszu"* (*Czas* 1892; przedruk w książce *Kto jest Mickiewicz?* Kraków 1922).

było — tak, jak może nikomu innemu z wielkich romantyków, — że dzisiaj

> . . . na obszernych polach rozległe milczenie;
> Ani wesołej szlachty, ni rycerstwa głosy,
> Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy;
> Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
> Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.

A jeżeli do romantycznej poezji przeszłości dodamy jeszcze powieść historyczną, która nie czekała przecie na Sienkiewicza, tylko szybko szła na jego spotkanie, to będziemy mieli prawo powiedzieć, że w naszej poezji romantycznej

> Wszystko powstało i wszystko ożyło,
> Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie wierzy.

Mesjanizm; poglądy na przeszłość. Czy jednak wszystko, co z grobu przeszłości powstało i ożyło w poezji epoki romantyzmu, zasługiwało na wskrzeszanie, a nadewszystko na opromienianie glorją?

> Na znak twój przeszłość uśmiechnięta wstała
> I kipi życiem rycerskiej drużyny;
> W bojowym szyku proporce rozwiała,
> Znów na orężne gotując się czyny.
> . . . . . .
> Szlacheckie dworki, wypełnione zgiełkiem,
> Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie, —
> Wszystko to mija tęczowem światełkiem,
> Drży w tonach pieśni uroczo i smutnie.

Tak mówi Asnyk o Polu, i ma poczęści słuszność. „Życie rycerskiej drużyny“ drży w poezji Pola „uroczo i smutnie“: uroczo dlatego, że jest piękne, a smutnie, bo żal bierze na myśl, że wierna służba Mohorta to już przeszłość daleka. Ale owe dworki szlacheckie, uczty, sejmiki i kłótnie? Prawda, ze stanowiska estetycznego i one mogą drżeć w tonach pieśni uroczo, bo, istotnie, „wszystko to miga tęczowem światełkiem“, ale ich apoteoza drżeć może w sercach naszych już t y l k o smutnie, nie uroczo. A Pol nie był przecie wyjątkiem — był przecie cały szereg gawędziarzy, którzy wierszem i prozą okrywali chwałą, jeśli nie najwstrętniejsze i najgorsze, to w każdym razie wstrętne i złe strony zarówno obyczaju, jak rządu polskiego.

Mniejsza zresztą o gawędy i powieści staroszlacheckie — nie one przecie stanowią ozdobę naszego romantyzmu. Lecz nawet najwięksi romantycy nie ustrzegli się od apoteozowania przeszłości, i to tej właśnie, z którą walczyła, którą chciała raz

na zawsze skreślić z dalszych dziejów Polski Konstytucja 3-go Maja. Jej twórcy, „długiem doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady", oświadczają jasno i stanowczo: „*Liberum veto*, konfederacje wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszej Konstytucji przeciwne, rząd obalające, społeczność niszczące, na zawsze znosimy". I jeszcze: „Doznane klęski bezkrólewiów, ...powinność ubezpieczenia losu każdego mieszkańca ziemi polskiej i zamknięcia na zawsze drogi wpływom mocarstw zagranicznych; pamięć świetności i szczęścia ojczyzny naszej za czasów familij ciągle panujących,... wskazały roztropności naszej oddanie tronu polskiego prawem następstwa".

Tak mówili mężowie stanu. A poeci?

Mickiewicz w *Prelekcjach paryskich* idealizował d a w n ą konstytucję polską, i to tę, która się skrystalizowała w XVII wieku, a więc nietylko z tronem elekcyjnym, ale i z *liberum veto*. I uwierzył Mickiewicz, że jest to konstytucja przyszłości, konstytucja idealna, i że tylko taka konstytucja, jako oparta na dobrej woli, a nie na przymusie państwowym, może zapewnić obywatelom prawdziwą wolność, która jest największym darem nieba i najistotniejszą cechą społeczeństwa. Natomiast o n o w e j konstytucji, to jest o Konstytucji 3 Maja, powiedział Mickiewicz zupełnie co innego, niż mówił dawniej, mianowicie, że znosząc wolną elekcję i ustanawiając tron dziedziczny, podeptała te „prawa organiczne", które Opatrzność dała każdemu narodowi stosownie do jego posłannictwa dziejowego i „których nie można tknąć bez zadania ciosu śmiertelnego narodowi".

Słowacki nigdy nie idealizował bezwzględnie przeszłości Polski, ale i on uwierzył,

> Że przez ojczyznę naszą szło zbawienie,
> Że ona była ostatecznym końcem
> Żywota ducha ludzkiego, że ona
> Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
> I umiłować, i oddać ją słońcem;
> Ona to jedna mogła, a nikt inny,
> Bo była prosta, piękna, jak cud gminny,
> Niepokalana!...

Mogła, ale nie spełniła swego posłannictwa, nie oddała ziemi słońcem, nie uanieliła jej; dlaczego? bo popełniła jeden straszny grzech. Czy jest nim może *liberum veto*? Ależ i Słowacki apoteozował d a w n ą konstytucję polską, upatrując w *liberum veto* święte prawo człowieka do prawdziwej wolności i najlepszą jej rękojmię, bo przecie *liberum veto* to „wolność dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń", to jeden z objawów i dowodów anielstwa polskiego, a przynajmniej przeczucia tego anielstwa

w przyszłości. Dawni Polacy — rozumował, a raczej fantazjował Słowacki — ustanawiając *liberum veto,* mieli na myśli, „jakoby co chwila Chrystus mógł się obywatelem kraju narodzić, a narodziwszy się choćby jednym z najmniejszych obywateli — drogę znaleźć aż do tronu, prawem uświęconą i przygotowaną...; bo nie buntownikiem, ale obywatelem kraju będąc, mógł oto *veto* swoje położyć, a zawiązać prawnie konfederację apostołów, a ogłosić, że na zgodzie ostatecznej duchów Kościół swój jeden postawi i królestwo swoje zbuduje". Nie polityczne, tylko społeczne grzechy ciążą, zdaniem Słowackiego, na przeszłości Polski: „Pragnęliśmy wolności, ale sami byliśmy niewolnikami złego; pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia chłopi". I za te grzechy pokarał Pan Bóg Polskę upadkiem. Ale ten upadek jest zarazem — dla przyszłej Polski — błogosławieństwem: „Uznajcie, że Pan ojców naszych jest dobrotliwy, gdyby albowiem nie ukrzyżował, nigdybyście ogromnego głosu nie usłyszeli w duszach waszych; lecz teraz duchy się jak pioruny odzywają — i myśli wasze jako błyskawice nad światem".

Ideologja Krasińskiego jest bardzo podobna. Prawda, nie apoteozował on ani *liberum veto,* ani konfederacji, ani wolnej elekcji; co więcej, mówił wprost o „winach", „wadach" i „usterkach" dawnej Polski, a w swoim traktacie filozoficznym nazwał je nawet po imieniu: „pozorna lekkomyślność", „apostolskie niedbanie o dzień jutrzejszy", „brak w y r a c h o w a n i a wypadków", niesłychana bezinteresowność w przymierzach, które Polska zawierała nie dla potęgi własnego państwa, tylko dla „najwyższej korzyści" „ogółu świata", „odwaga bez żadnego namysłu", nie licząca się z niebezpieczeństwami. Oto „wady", czyli, jak je inaczej nazywa Krasiński, „przymiotów siostrzyce", które doprowadziły Polskę do upadku, albowiem państwo, kierujące się tak bezinteresowną, tak czystą, tak nieziemską polityką, nie mogło ostać się na ziemi, musiało być rozszarpane przez państwa, kierujące się polityką egoistyczną, brudną, ziemską.

> My nie mogli żyć w przeszłości,
> Bo my znali się za gości
> Innych wieków.

To znaczy, mówiąc prozą, nie mogliśmy utrzymać państwa, bośmy, zapatrzeni w niebo, w ideał, wzięli rozbrat z ziemią, z rzeczywistością, bośmy się rządzili nie tak, jak tego wymagała chwila dziejowa, tylko tak, jak się ludzie będą rządzili po upływie całych wieków. Czy za to mamy dawnej Polsce złorzeczyć? Nie, albowiem te „winy" doprowadziły ją do upadku, a bez

upadku nie będzie mogła dokonać swej misji historycznej, którą jest stać się narodem chrystusowym i „w jedną miłość spajać ludy". A jeżeli tak, to

Błogosławcie ojców winie!

Psychologicznie cała ta ideologja mesjanistyczna, głoszona — mimo pozorów — nie przez warjatów, tylko przez znakomitych ludzi i wielkich poetów, jest bardzo zrozumiała: zapatrzeni w światło ideału, w przyszłą idealną Polskę, która zmartwychwstanie czysta i niepokalana i poprowadzi wszystkie narody ku Królestwu Bożemu, widzieli refleksy tego światła w przeszłości, i one to oświetlały im i wyzłacały ciemne jej strony. To zaś światło ideału rozpaliła przed ich oczami gorąca miłość ojczyzny.

Dosyć, że w ostatecznej konsekwencji stanęła ta ideologja w jaskrawej sprzeczności z Konstytucją 3 Maja, która nie błogosławiła „ojców winie", tylko chciała ją naprawić, i która dążyła do tego, aby Polska znała się za gościa nie „innych", nie przyszłych wieków, tylko teraźniejszych. Twórcy Konstytucji mogli mówić z Konradem Wyspiańskiego, że chcą „tego, co jest wszędzie".

Krótko mówiąc, romantycy nasi — w swoich poglądach na przeszłość Polski — zatracili ostatecznie myśl państwową, która przyświecała twórcom Ustawy majowej.

Mesjanizm; poglądy na przyszłość. Niedosyć na tem: zatracili myśl państwową także w swoich poglądach na przyszłość, mianowicie w poglądach na środki, wiodące do odzyskania niepodległości. Tylko że tutaj nie wolno do wszystkich wielkich romantyków przykładać jednej miary. Wszyscy głosili hasło przebudowy duszy polskiej, jako niezbędnego warunku szczęśliwej przyszłości Polski. Ale Mickiewicz, który je rzucił pierwszy, rozumiał, że samo tylko powiększenie i polepszenie dusz nie przywróci Polsce bytu politycznego, że jej wskrzeszenie może być jedynie owocem powszechnej wojny europejskiej, o którą się też kazał modlić pielgrzymom polskim. „Sprawa Polski wywołaną będzie na nowo przed sąd świata tylko głosem jakiejś powszechnej politycznej burzy"; że tego stanowiska Mickiewicz nie zmienił, tego dowodzi — jego życie: rok 1848 i 1855.

I Słowacki nawoływał naród do powiększania i polepszania dusz, i to jeszcze przed swoją transfiguracją moralno-religijną: bez czystości moralnej, bez wyzwolenia „duszy anielskiej" z więzienia „czerepu rubasznego", nie wyobrażał sobie przyszłej Polski; anielstwo poczytywał za siłę wręcz cudotwórczą, za puklerz przeciwko wrogom:

Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży,
To chyba wkońcu na takich aniołów
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

Tem więcej wartości nabrała w oczach Słowackiego przebudowa dusz polskich po jego transfiguracji, kiedy to zaczął tak usilnie pracować nad przebudową własnej duszy:

„Wielki narodzie!

„Miljonowe serca w niebo i miljonowe głosy wznieś do Boga!

„Na kolana padnij przed obliczem Jego i wołaj wielkim głosem:

„O Ojcze! przestań nas już karać, a daj nam zwycięstwo!

„I gdy będziesz czystym przed Bogiem, Ojciec miłosierny wysłucha rzewnego głosu dzieci swoich.

„Jako wylew wiślany niszczy stuletnie dęby i skały ogromne,

„Tak my zniszczym nieprzyjaciół naszych.

„Bo siła nasza będzie większą niż siła piorunu i struchleje przed nią wróg, gdy zechce Pan.

„I z m a r t w y c h w s t a n i e Ojczyzna nasza w wiecznej sławie i szczęściu, jako Królestwo Boże".

Czy jednak anielstwo duszy polskiej poczytywał Słowacki za jedyny środek do zmartwychwstania politycznego? Nie, tak dalece nie zatracił on zmysłu rzeczywistości; głosił piękną naukę, że „każda rewolucja, nim w ciele zjawiona, musi wprzódy objawić się w duchu", ale ostatecznie, bez rewolucji z ciała, bez wielkiej burzy europejskiej, i on nie wyobrażał sobie wskrzeszenia Polski; nie pozwoliła mu na to jego nauka genezyjska, jego przekonanie, że bez mogił niema na świecie postępu, że „przez rewolucje leczą się przestarzałe narody, albowiem rozbicie czasów formy, która duchy ugniatała, dopomaga wyjściu na wierzch większych duchów, a na... niższe miejsca strąca... niedołężne, a uprzywilejowane".

Inaczej niż Mickiewicz i Słowacki rozumował Krasiński, który polską ideę mesjanistyczną doprowadził — z właściwą swemu umysłowi zuchwałą logiką — do skrajnej konsekwencji. Poczytując Polskę za naród chrystusowy, nietylko dopatrywał się cech chrystusowości w dziejach przedrozbiorowych, nie wyłączając świadomego i dobrowolnego poświęcenia się za rodzaj ludzki, ale nadto głosił naukę (która stanowi najważniejsze ze wszystkich ogniw, a nawet sam rdzeń jego mesjanizmu), że naród polski, po swojej śmierci politycznej, w przyszłości może i powinien stać się Chrystusem narodów, budownikiem Królestwa Bożego na ziemi, że „właśnie przez naszą narodowość, umęczoną na krzyżu historji, objawi się w sumieniu ducha ludz-

kiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną". A być Chrystusem narodów to znaczy być świętym jak Chrystus, cierpieć jak Chrystus, i w stosownej chwili — ponieść męczeństwo jak Chrystus. Już w *Przedświcie* da się tę naukę wyczytać. W *Psalmie miłości* wyraźnie już mówi Krasiński:

Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud
I t e m s a m e m znieść niewolę!

A w *Resurrecturis:*

Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie.
. . . . . .
Na męki twej grobie
Ze zdarzeń powodzi,
Ponad klęsk otchłanie
Niezrodzone się narodzi —
Sprawiedliwość wstanie.

Kiedyż to nastąpi? „Gdzieś na wieków późnej fali"...

Ach, jakże daleko odbiegł tutaj nasz romantyzm od Konstytucji 3 Maja, od tej ostatniej woli konającego państwa polskiego, którą przez długi czas pełnił tak wiernie!

Konstytucja 3 Maja chciała także przebudować naród, ale w mocnych murach przebudowanego państwa; poezja romantyczna, im dalej w czas, im „podlej na tym świecie było", zapominała o państwie, jako o niezbędnym warunku przebudowy społeczeństwa, łudziła się, że naród może w niewoli wyszlachetnieć, wyzbyć się tego wszystkiego, co ujemne w jego charakterze i historji, i że tą tylko drogą odzyska byt polityczny.

„Nie chcemy Polski, — powiedział kiedyś Mickiewicz (oczywiście, będąc już pod wpływem Towiańskiego) — jeżeli nie ma być Polską na drodze woli Bożej". Kajsiewicz wołał z kazalnicy: „Gdyby Polska miała wpaść w ręce bezbożników, gdyby miała zostać piekłem, ja nie chcę widzieć Polski".

Podobnego rodzaju głosy były na emigracji logicznym wnioskiem, płynącym z poglądu, że jedynym środkiem do tego, aby „znieść niewolę", jest „anielski podjąć trud".

„Ja wiem, czego ty chcesz — mówi Konrad z *Wyzwolenia* do jednej z Masek, — że Polska ma być mitem, mitem narodów, państwem ponad państwy, prześcigającem wszystkie, jakie są, Republiki i Rządy, oczywiście niedościgłem, wymarzonem. Ma być marzeniem, — tak, ideałem. Tak! Według ciebie ma się stać nigdy. Tak, a nigdy ma się STAĆ, nigdy BYĆ,

nigdy się urzeczywistnić". W tych słowach doskonale scharakteryzował Wyspiański naszą skrajną ideologję mesjanistyczną i jej straszne niebezpieczeństwa dla duszy narodowej.

I oto romantyzm — on, który zrazu, w swoich pierwotnych źródłach, był reakcją życia przeciwko skostniałej idei racjonalistycznej o życiu, — w swojej ostatecznej konsekwencji (albo, powiedzmy szczerze, w swojej degeneracji) oderwał się od życia, zatracił patrjotyczną myśl państwową, przenosząc ją z dziedziny myślenia politycznego w sferę marzeń moralno-religijnych, sprzeniewierzył się własnym pierwotnym źródłom, powracając od życia do skostniałej idei, chociaż była nią już nie ta idea, z którą niegdyś walczył, nie oderwana idea życia, tylko — także skostniała — idea moralno-religijna: Polska będzie, ale pod warunkiem, że się nasamprzód stanie anielską; a kiedy to nastąpi? tak coś na kilka lat przed Sądem Ostatecznym... I znowu ciśnie się na pamięć *Wyzwolenie* — przypominają się te słowa straszliwe, które Wyspiański włożył w usta Prezesa: „Powolni biegowi wydarzeń, które około nas idą, wznieśmy się ponad sąd porywczy i młodzieńczych dni naszych przypomnienie i z ręką na sercu w przyszłość patrzmy... W przyszłość patrzmy, i oby synowie i wnuki, i prawnuki nasze, spokojni i powolni, na sercach kładli ręce i w przyszłość patrzyli coraz dalszą... A teraz pogodni zasiądźmy do wspólnego stołu i pamiętajmy jedno: nie wymawiać nigdy słowa *Polska*".

Tak, kiedy po klęsce 63 roku

. . . . rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej Muzy,

wyrosły na nich chwasty zupełnej już rezygnacji i... trójlojalizmu, który, jeżeli wymawiał słowo *Polska*, to już tylko w odniesieniu do przeszłości... A kiedy dwaj wielcy odrodziciele polskiej idei państwowej, Popławski i Dmowski, zaczęli wyrywać z duszy polskiej owe chwasty trójlojalizmu — to jego apostołowie nazywali ich nie tylko marzycielami, ale warjatami i szkodnikami [1].

Smutno pomyśleć...

Nieśmiertelna wartość romantyzmu. Ale tym smutkiem, tym zgrzytem nie wolno kończyć odczytu, któremu dało się tytuł: *Romantyzm polski wobec Konstytucji 3 Maja*, nie wolno

[1] To postępowanie konserwatystów ostro potępił Sienkiewicz w *Wirach:* „Poprzednio obawiali się, — mówi o nich dziennikarz do Grońskiego — by chłopi, którzy czytają *Polaka*, nie wzięli się do kos. Obecnie dostają gęsiej skórki, gdy jakiemuś zapaleńcowi wyrwie się słówko o przyszłem państwie polskiem".

dlatego, że byłoby to ciężkim grzechem — nietylko niewdzięczności, ale i... bluźnierstwa — przeciwko naszej cudownej, ukochanej Królewnie romantycznej.

Prawda, że w ostatecznej swojej konsekwencji doszedł nasz romantyzm do przesadnego, oderwanego od życia idealizmu, i to nietylko w swojem przykazaniu, aby się Polska — przez swoją cichą ofiarę i anielstwo, przez swoją „świętość w niewoli" — stawała Chrystusem narodów, ale także w towarzyszącej temu przykazaniu nauce, że Polska jest ofiarą, która odkupi grzechy i podłości całego świata, że więc cele narodowe powinny iść w służbę ogólno-ludzkim. Na lep tej doktryny dało i daje się łapać niejedno dobrotliwe serce polskie i niejeden płytki umysł polski — tem łatwiej, że ją wrogie nam żywioły, żydostwo i wolnomularstwo, chytrze wyzyskują na naszą zgubę, i to dla celów wcale nie ogólno-ludzkich, tylko swoich własnych.

Krzyż znaczę Boży nie przeto,
bym na się krzyż przyjmował,
lecz byś mnie, Boże, od męki,
od męki krzyża zachował.

. . . . . .

Krzyż przeklnę, Chrystusa godło,
gdy męką naród uwiodło.
Dla mnie żywota Prawo!!

„Naco mamy być Chrystusem narodów, wyłącznie na mękę i krzyż, i dla cudzego zysku?"

Te wspaniałe protesty Wyspiańskiego przeciwko zboczeniom naszej ideologji romantycznej do dziś dnia nie straciły aktualności. Prawda, że przykazanie, aby Polska była Chrystusem narodów przez swoją mękę, przebrzmiało na szczęście i, miejmy nadzieję, nie zabrzmi już nigdy; ale do dziś dnia nie wszyscy jeszcze należycie rozwiązujemy trudny do rozwiązania problemat stosunku ideałów narodowych do ogólno-ludzkich; nie wszyscy dosyć jasno rozumiemy, że, jeśli to prawda, iż dzieje świata są myślą Bożą, to w epoce, w której żyjemy, w której straciliśmy i odzyskali Polskę, Pan Bóg myśli i długo jeszcze myśleć będzie nie całą ludzkością, tylko narodami, że droga, wiodąca do urzeczywistnienia ideałów ogólno-ludzkich, do zbudowania Królestwa Bożego na ziemi, idzie przez wielkość narodów i potęgę państw narodowych, i że biada człowiekowi czy narodowi, któryby, pnąc się po drabinie ideałów na ich szczyty, chciał przeskakiwać jej szczeble: szczytów nie osiągnie, spadnie na ziemię i skręci kark.

Wszystko to prawda. A jednak, nie przecząc bynajmniej, że w praktyce dążenie do realizacji ideałów n a d t o wysokich nie-

tylko nie prowadzi do celu, ale wogóle jest bezpłodne, że jedynym wyjątkiem z tej reguły jest pewna dziedzina życia religijnego, mianowicie męczeństwo za wiarę, — pytamy: czy ideał etyczny nie ma prawa, czy nawet nie powinien być wyższym od rzeczywistości? Ależ, gdyby nie był wyższy, toby rzeczywistość stała w miejscu, a przynajmniej nie byłoby największych i najpiękniejszych czynów ludzkich. A jeśli kto, prócz wielkich twórców religji, to wielcy poeci mają prawo wskazywać ludziom nietylko wyżyny, ale i szczyty ideałów, i za to właśnie ludzie powinni ich kochać i błogosławić. Nam te szczyty wskazała poezja romantyczna, i za to niech będzie błogosławiona! Kto wie, może kiedyś, w dalekiej przyszłości, kiedy nasamprzód zrealizujemy ideały mniej wysokie, przyjdzie kolej na to, abyśmy i siebie, i całą ludzkość prowadzili na szczyty, bo przecie z tego, że Królestwo Boże, że „Spełnia ludów" Cieszkowskiego i wielkich poetów romantycznych to dzisiaj jeszcze utopje, wcale nie wynika, aby tak było zawsze. I niewiadomo jeszcze, czy się pomylił Krasiński, mówiąc, że powołaniem Polski jest dać światu

> Więcej miłości i więcej braterstwa
> Wzamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Kto wie, czy Polska, kiedy zbuduje silne i potężne państwo, nie przyczyni się zczasem do tego, o czem marzyli nasi romantycy, czy nie wprowadzi polityki międzynarodowej na nowe tory, nadając jej charakter bardziej chrześcijański, i czy przez to nie postawi, jak opiewa tekst Konstytucji 3 Maja, „ojczyzny naszej na stopniu, mogącym prawdziwą w oczach Europy zyskać jej konsyderacją?"

Niedosyć na tem. Na dnie nauki romantycznej o anielstwie, o chrystusowości, o świętości Polski, spoczywa jedna święta, mocna i nieśmiertelna, a zarazem bardzo praktyczna prawda moralna, ta, którą Mickiewicz zamknął w przykazaniu o polepszaniu i rozszerzaniu dusz. Albowiem moralność narodu jest jedną z najmocniejszych podstaw, a nawet niezbędnym warunkiem długotrwałości jego potęgi politycznej.

Polska zmartwychwstała — nie siłą chrystusowości, którą Krasiński poczytywał za „lwa dziejów", i nie siłą anielstwa, od którego uzależniał nasze wskrzeszenie Słowacki: Polska zmartwychwstała, jak to przewidywał Mickiewicz, dzięki wielkiej burzy politycznej. Prawda, ale czy będzie mogła zbudować potężny organizm państwowy, jeżeli nie będzie miała moralnych obywateli, jeżeli nad egoizmem ambitnych jednostek i samolubstwem grup społecznych czy stronnictw politycznych nie zatriumfuje miłość ojczyzny?

Otóż tę właśnie wielką prawdę, że kamieniem węgielnym szczęścia i potęgi ojczyzny jest czynny patrjotyzm i wogóle moralność jej obywateli, kto lepiej zrozumiał, kto głębiej odczuł, kto piękniej na całym świecie wyraził niż polscy poeci romantyczni? I pod tym względem nie są oni w rozdźwięku, owszem są w doskonałej zgodzie z twórcami Konstytucji 3 Maja, która przecie jedną z najważniejszych swoich reform, potrzebę przyjęcia „ludu rolniczego" „pod opiekę prawa", uzasadnia nietylko interesem państwa, ale także „sprawiedliwością, ludzkością i obowiązkami chrześcijańskiemi", krótko mówiąc — moralnością.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Mówi Słowacki:

Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcjanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tem liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie...

Kto po upadku Polski zwiędłe polskie serca obwinął w liście miłości ojczyzny? kto pielęgnował w nich kult przeszłości? kto je ożywiał wiarą w przyszłość? Wielka poezja romantyczna.

Bez niej w prochby się rozsypały serca polskie, bez niej uleciałaby z nich świadomość narodowa; bez niej — po upadku politycznym — nie ostalibyśmy się jako naród, z którym się Europa musiała rachować i któremu musiała zwrócić państwo; bez niej zatracilibyśmy miłość swojej wielkiej przeszłości i... nie obchodzilibyśmy rocznicy Konstytucji 3 Maja w tem ukochanem mieście kresowem, które, wierne ideałom, wszczepionym w nasze serca przez poezję romantyczną, ocaliło swoją krwią ofiarną przynależność i swoją, i całej swojej ziemi do jednej niepodzielnej Rzeczypospolitej.

W SPRAWIE ROMANTYZMU I ESTETYZMU

Od lat kilku toczy się u nas — i, jak wolno mniemać, długo jeszcze toczyć się będzie — walka o zakres nauki historji literatury ojczystej w szkołach średnich i o kryterja wartości utworów literackich.

Nie kusząc się narazie o wyszczególnienie i omówienie wszystkich spornych kwestyj, poprzestajemy na dwóch. Pierwszą jest sprawa poezji romantycznej, drugą — pogląd, że jedynem kryterjum wartości utworów literackich jest ich piękno.

Co do poezji romantycznej, to, oprócz rzekomego braku „uniwersalizmu", wytacza się przeciw niej inne jeszcze zarzuty, i to na łamach pism nietylko literackich, ale i pedagogicznych, jak ten np., że dzisiaj, w epoce, kiedy, dzięki odzyskaniu niepodległości, można swobodnie i trzeba koniecznie budować nowe życie, poezja romantyczna odrywa nas od życia, albo ten, że wielbi cierpienie, jako siłę twórczą, albo jeszcze ten, że grzeszy swoją wyłącznością narodową, a wreszcie, że wogóle jest dzisiaj czemś już przestarzałem. Te i inne zarzuty nie świadczą zbyt pochlebnie ani o wiedzy, ani o inteligencji oskarżycieli.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach, —

mówi Asnyk. Ma zupełną słuszność, ale to bynajmniej nie przeszkadza, że z każdej epoki, która coś stworzyła, pozostaje coś dla epok następnych, i to czasem na zawsze, — jeżeli miniona epoka stworzyła coś naprawdę wielkiego. Taką epoką jest w historji literatury polskiej n a d e w s z y s t k o epoka romantyzmu.

Nie wdając się w szczegóły, nie mówiąc już nawet o tem, że najcelniejsze utwory naszej poezji romantycznej mają trwałą, bodaj czy nie nieśmiertelną wartość ze stanowiska czysto estetycznego, jest w nich cały szereg innych trwałych wartości.

Jest przedewszystkiem, wbrew temu, co mówią oskarżyciele, nie mający pojęcia o właściwem ź r ó d l e i o najgłębszej i s t o c i e romantyzmu, — nie odwrót od życia, ale, przeciwnie, nawrót do życia: jest odwrót od prawd martwych, będących owo-

cem szablonowych, doktrynerskich uogólnień jednostronnej w swym kulcie dla rozumu epoki oświecenia, a nawrót do prawd żywych, indywidualnych, konkretnych, do postulatów serca i woli. Jest nieśmiertelna idea (nieśmiertelna, bo chrześcijańska), że cierpienie to potężna dźwignia życia, bez której niema pochodu ku jego wyższym szczeblom, zwłaszcza jeśli źródłem cierpienia jest dobrowolne, świadome poświęcenie jednostki dla ogółu. Jest dalej idea, że, jak to powiedział Mickiewicz, narodowość to „największe z dzieł bożych na ziemi", a jednocześnie idea, że wszystkie narody, w miarę sił swoich i właściwości swego charakteru, powinny się przykładać do budowy Królestwa Bożego na ziemi. Jest myśl, że naczelną wartością kultury narodowej i największą siłą narodu jest nie głoszenie i pełnienie modnej dzisiaj zasady: „państwo ponad wszystko", tylko wartość moralna obywateli. Oto jest, posługując się terminologją Krasińskiego, „duch" polskiej poezji romantycznej; wszystko inne — to tylko jej „dusza i ciało":

Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,
Odpadać muszą — lecz on nie umiera,
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi:
On zwiędłe zrzuca, a świeże przybiera
I, w nie otulon, znów na jaw się budzi...
Ciała i dusze własne poza sobą
Sypie, jak liście zżółkłe i strząśnięte,
Wciąga do siebie siły, im odjęte —
On sam wciąż żyje ich zgonów żałobą.

Nie! Obniżać i poniżać wartości wychowawcze romantyzmu polskiego mogą tylko — jedno z trojga: albo ci, którzy są pozbawieni poczucia nietylko piękna, ale i dobra, albo ci, co nie umieją czy nie chcą odróżnić w utworze literackim jego trwałych wartości moralnych i ideowych od jego akcesorjów, będących owocem nietyle indywidualności twórców, ile mody literackiej, albo nakoniec ci, których dotknęła zaraza kosmopolityzmu.

Miejmy nadzieję, że, prędzej czy później, przegrają sprawę ci, co się rzucają na poezję romantyczną; dla n a s z y c h serc i umysłów zawiera ona w sobie nie mniejsze (i podobne) wartości, jak dla Francuzów — ich wielka poezja epoki klasycyzmu.

* * *

Przegrają sprawę i ci, którzy wartość literatury mierzą jedynie kryterjami estetycznemi, protestując przeciwko stosowaniu do niej kryterjów innych, zwłaszcza etycznych i patrjotycznych, i którzy tych, co je stosują, nazywają pogardliwie kaznodziejami.

Nad rozpaczliwą ciasnotą tego stanowiska nie warto się długo rozwodzić.

Wystarczy, po pierwsze, stwierdzić ten fakt, o którym ci opętani „esteci" zapominają, że nawet najpiękniejsza poezja działa nietylko na poczucie estetyczne, ale na c a ł ą duszę; rozumiał to dobrze jeden z najznakomitszych i najbezstronniejszych naszych krytyków, Ignacy Matuszewski; a niedawno poświęciła temu zagadnieniu pani Klara Turey piękny artykuł p. t. *Formy przeżyć literackich* (w piątym roczniku *Ruchu Literackiego)*.

Po drugie, pamiętać trzeba o tem, że etyka, czyto indywidualna, czy społeczna (a więc i narodowa), jest równie dobrze n a u k ą, jak estetyka, i to nauką nietylko starszą, ale, co więcej, posiadającą kryterja wartości znacznie mniej subjektywne, a zatem o wiele pewniejsze od zmiennych i nawskróś indywidualnych kryterjów estetycznych.

Po trzecie: Bardzo słusznie twierdzi gruntowny znawca i gorący miłośnik literatur romańskich, uczony niemiecki Witold Klemperer (w pierwszym rozdziale swej książki *Idealistische Literaturgeschichte*), że ten, kto rozpatruje utwory literackie j e d y n i e ze stanowiska estetycznego, jest nie historykiem literatury, tylko estetykiem; albowiem historja literatury to historja wcielania się w słowo ideałów narodowych w ich stopniowym rozwoju, a jeżeli tak, to historyk literatury powinien uwzględniać wszystkie wogóle utwory, które są mocnym wyrazem ideałów narodowych, — wszystkie, w których naród wyraża, czemby pragnął być, czemby nie chciał być, i czem myśli, że jest. Oto, według Klemperera, zadanie „idealizmu historyczno-literackiego". A jeden z dzisiejszych myślicieli angielskich, L. Hyde, mówi (w swej książce p. t. *The Prospects of Humanism*), że krytyk, który się ogranicza jedynie do krytyki estetycznej, należy już do przeszłości. Może w Anglji, ale nie w Polsce. Miejmy jednak nadzieję, że ten słuszny pogląd i do nas kiedyś zabłądzi.

Rozumie się, że w nauce szkolnej musi być dokonany wybór z tych „wszystkich" utworów, ale wybór (jakby powiedział Brodziński) „przyzwoity". A czy można nazwać przyzwoitym wybór, który z nauki szkolnej usuwa np. *Księgi Pielgrzymstwa, Przedświt* i jeszcze inne utwory, w których naród polski wyraził, czemby pragnął być, i czem myślał, że jest?

A nie idzie tutaj o to, żeby młodzież nasza czytała w c a ł o ś c i wszystkie utwory literatury nowszej i starszej, w których się odzwierciedliły ideały narodowe: ale coś przecie wiedzieć o nich powinna. Żeby zaś wiedziała, trzeba do szkół na nowo wprowadzić, o b o k „czytania i rozbioru" utworów, usuwaną od szeregu lat h i s t o r j ę literatury; nie usuwa się historji po-

litycznej, — dlaczego się usuwa historję kultury duchowej, której najpełniejszym przejawem jest przecie literatura? Czy, nie mówiąc już nawet o *Księgach Pielgrzymstwa*, taki np. *Przedświt* (pomimo że — po większej części — bardzo daleki od doskonałości artystycznej) nie jest bardzo ważnym f a k t e m w historji polskiej kultury duchowej?

„Z wielkich dzieł naszej poezji — mówi Bronisław Chlebowski — dwa najsilniej przemówiły do duszy polskiej, przynosząc jej tak pożądany balsam na smutki i bóle narodowe. Dziełami temi są: *Pan Tadeusz* i *Przedświt*. żaden inny utwór nie odpowiadał w tym stopniu potrzebom, pragnieniom, uczuciom i pojęciom współczesnych im czytelników. *Pan Tadeusz* owiewał stęsknione dusze tułaczów i wygnańców sybirskich wonią pól ojczystych, czarował obrazami niedawnego życia, chwil pogody i nadziei, — *Przedświt* zaś kołysał i zachwycał wizją promiennej, a bliskiej przyszłości, pocieszał i uspokajał niecierpliwych, cierpiących i wierzących, znieczulając ich dusze do pewnego stopnia na ból niewoli, tęsknoty wygnania, męki katorgi. Później, w latach od 1861 do 1864, był „ewangelją ruchu", źródłem wiary i zapału patrjotycznego".

Oto niewątpliwy, niezbity, bardzo ważny f a k t historyczny: czy wolno go pomijać w nauce szkolnej? Nauka historji politycznej milczy o nim — niechaj nie milczy nauka historji literatury. A takich faktów — tak, f a k t ó w — jest przecie dużo, zarówno w czasach dawnych, jak nowszych; skąd się o nich nasza młodzież dowie, jeżeli nie z historji literatury ojczystej? Niech pomyślą o tem nasi pedagogowie i prawodawcy szkolni!

GENEZA PSYCHOLOGICZNA WIARY W CHRYSTUSOWOŚĆ POLSKI

Z wykładów w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Początki mesjanizmu, pojmowanego jako wiara w powołanie narodu, przypadają u nas, jak wiadomo, na wiek XVII, a na upartego możnaby się ich dopatrzeć już w wieku XVI (w pismach Orzechowskiego). Ta jednak wiara, która ze wszystkich cech mesjanizmu polskiego jest najznamienniejszą, — wiara, że naród polski to naród chrystusowy, — powstała znacznie później: u Woronicza niema jej jeszcze ani śladu; po raz pierwszy ukazuje się dopiero podczas powstania listopadowego — nasamprzód w wierszu Brodzińskiego *Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego*, a potem w jego mowie *O narodowości Polaków*. Lecz rozpowszechniła się i utrwaliła ta wiara w sercach polskich dopiero po upadku powstania i wskutek jego upadku — na emigracji.

Zrozumieć genezę psychologiczną wiary w chrystusowość Polski, wiary, na którą po roku 1863, a i dziś jeszcze, patrzą niektórzy z uśmiechem politowania, — łatwo: trzeba tylko mieć serce i patrzeć w serce, to znaczy, trzeba się wmyślić i wczuć w dusze emigrantów polskich; wówczas zrozumie się, że nie tylko ta wiara, ale cały wogóle mesjanizm emigracyjny był, podobnie jak mesjanizm pierwszych lat porozbiorowych, koniecznością psychologiczną, głosem narodowego instynktu samozachowawczego, ratowaniem się od śmierci moralnej, a więc, b i o r ą c z a s a d n i c z o, objawem zdrowia, nie choroby.

Jakaż była psychologja emigrantów? [1].

Byli oni uczestnikami, albo i twórcami powstania listopadowego, to zaś powstanie już współcześnie, jeszcze przed swoim upadkiem, zaczęło uchodzić w opinji publicznej za wielki czyn nietylko narodowy, ale i ogólnoludzki, bo za walkę za wolność

[1] Zagadnieniem tem zajął się poważnie pierwszy St. Pigoń w pracy *O „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa polskiego" A. Mickiewicza*, Kraków 1911, str. 3—27.

nietylko Polski, ale wszystkich narodów, jęczących pod jarzmem despotów i tyranów. Czy to przekonanie było słuszne, czy nie, czy uczestnicy powstania o d r a z u wierzyli, że walczą za wolność narodów, czy też dopiero p ó ź n i e j dali sobie tę wiarę wmówić, — dosyć, że ją mieli naprawdę. Po upadku powstania nietylko jej nie stracili, ale, przeciwnie, jeszcze ją w sercach swoich umocnili. I cóż w tem dziwnego? Przecie to tak miło wierzyć, że się dokonało jakiegoś wielkiego czynu; a jeżeli się nawet nie osiągnęło zamierzonego celu, to tak miło pomyśleć, że się zrobiło wszystko, co było można, że się było bojownikiem za najświętszy skarb narodu i ludzkości!

Z tą właśnie wiarą szli uczestnicy powstania na tułactwo, a umacniało ich w niej serdeczne, gorące, wręcz triumfalne przyjęcie, jakiego doznawali po miastach niemieckich, które witały w nich nietylko bohaterów, ale i męczenników — za „wolność ludów". Że te owacje były jedynie w drobnej części owocem uwielbienia dla bohaterstwa i chrześcijańskiego współczucia dla nieszczęścia [1], że przedewszystkiem były objawem oburzenia przeciwko despotycznym książętom, manifestacją polityczną, — tego emigranci nasi pod uwagę nie brali, wyczuwając w składanych hołdach jedynie kult dla swej wielkości, w którą niejeden z nich teraz dopiero uwierzył. Świadczą o tem wymownie te słowa Heltmana: „Kiedy na rodzinnej ziemi lała się potokami krew nasza, nie wiedzieliśmy jeszcze, iż, walcząc za własną ojczyznę, świętego dopełniamy posłannictwa, walczymy w sprawie ludzkości całej. W wędrówce naszej obce ludy nauczyły nas dopiero, jak wielki i ogólny charakter miała walka nasza... Wtenczas to po raz pierwszy uczuliśmy, czem jesteśmy, za jak wielką powszechną walczyliśmy sprawę, pocośmy w cudze poszli strony... I rozumieliśmy, że misją naszą jest przewodniczyć ludom w ich walce przeciw ujarzmieniu" [2].

A oto inne świadectwo. Józef Hube, w mowie wygłoszonej już w Paryżu, w drugą rocznicę wybuchu powstania, był niezawodnie rzecznikiem uczuć wszystkich swoich słuchaczów, kiedy mówił w zakończeniu tak: „Polsce należy się sława, że pierwsza uczuła prawdziwe złe, ciążące nad Europą, że pierwsza w całej czystości wyrzekła zbawcze dzisiaj dla Europy słowo: n i e p o d l e g ł o ś ć. Polsce należy się sława, że pierwsza dała uczuć tę prawdę Europie, że główną podstawą odżycia europejskiego jest niepodległość ludów, niepodległość, zamordowana przez Kongres Wiedeński... Po raz pierwszy dała Polska uczuć tę prawdę

[1] „Mało kto zrozumiał znaczenie ówczesnych manifestacyj niemieckich. Chrześcijańskie uczczenie nieszczęścia wzięliśmy za uznanie naszych zasług i wielkości" (*Jenerał Zamoyski*, tom III, str. 130).

[2] *Demokracja polska na emigracji*, Lipsk 1866, str. 36.

Europie w dniu 29 listopada, będzie on epoką na zawsze w historji odrodzenia się ludzkości“ [1]. To znaczy — tak mogli sobie w duszy dośpiewać słuchacze — my jesteśmy twórcami tej nowej epoki...

A w pisemku *Henryk Dąbrowski*, wydawanem w Awinjonie, w numerze z dnia 5 listopada roku 1832, bezimienny autor artykułu *Czem jest emigracja nasza względem Europy?* tak na to pytanie odpowiada: „Emigracja nasza jest rzecząpospolitą, jest stanami zjednoczonej Polski, ma równych sobie obywateli. Europa, jeżeli nas tak w rzeczywistości nie widzi, przynajmniej takie w nas zasady ocenia: względem tej Europy jesteśmy rzecząpospolitą moralną, tym ideałem uosobistnionym, który kiedyś wykonać mają ludy“ [2].

Warto jeszcze wziąć do ręki broszurę *Jeszcze Polska nie zginęła*, ogłoszoną w Paryżu dnia 1 kwietnia roku 1833. W artykule naczelnym, p. t. *Czy nadzieja odrodzenia się Polski ma jakową historyczną podstawę?*, czytamy: „Wpośrzód tych klęsk, patrzmy, jak zachowuje się Naród polski: ten męczennik wolności nie jestże wiernym obrazem największych męczenników wiary? Ta sama godność w znoszeniu nieszczęść, ta sama rezygnacja, to samo nieograniczone zaufanie w przyszłość i najsilniejsza nadzieja, że krwią swoją i swojemi cierpieniami okupuje sprawę wolności i przybliża epokę odrodzenia się Polski“.

Otóż te dwie idee: po pierwsze, że Polska, ponieważ się zerwała do walki o niepodległość, ten najświętszy skarb narodu i całej ludzkości, jest i powinna być żywym ideałem dla wszystkich narodów, dla całej ludzkości, i po drugie, że, ponieważ w tej walce uległa, więc stała się męczennicą ideału wolności, — te dwie idee to już bita droga do nauki, a raczej doktryny, o chrystusowości Polski, o jej powołaniu mesjanistycznem. Bo przecie myślom i uczuciom polskim narzucał się problemat, podobny do tego, jaki stanął po ukrzyżowaniu Chrystusa przed Jego uczniami. Problemat był straszny — nietylko dla zbolałych serc, ale i dla zwątpiałych umysłów: jeżeli Chrystusa przysłał na świat Jego Ojciec Niebieski, to dlaczego i jakim sposobem mógł Go opuścić i pozwolić na Jego śmierć? Jakże rozwiązano ten problemat? Tak, że p o m i m o swojej śmierci Chrystus wykona swoją misję, że wsparty swą boską siłą zmartwychwstanie i zbuduje na ziemi swoje Królestwo. A kiedy Chrystus zmartwychwstał, kiedy czterdzieści dni gościł na ziemi i wstąpił w niebo,

---

[1] *Głos, miany na prywatnem zebraniu Polaków na uczczenie pamiątki dnia 29 listopada przez Józefa Hubego w Paryżu dnia tegoż 1832 roku* (str. 6—7).

[2] *Henryk Dąbrowski, dwa numera, ogłoszone razem w Awenionie dnia 5 listopada 1832 roku* (str. 6).

a Królestwo Boże jakoś nie nadchodziło, wówczas zaczęła powstawać wiara, że Chrystus raz jeszcze, i to niebawem, powróci na ziemię; wierzono w to w ciągu kilku długich wieków i dopiero później odłożono Jego przyjście — aż do Sądu Ostatecznego.

Ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy, wbrew nadziejom, Chrystus nie powracał po raz drugi na ziemię i kiedy nie nadchodziło Jego Królestwo, musiała powstać inna jeszcze wiara, wiara świętego Pawła, że Chrystus zbawi, a raczej zbawił świat, nie p o m i m o ż e umarł na krzyżu, ale, przeciwnie, d l a t e g o ż e umarł na krzyżu, wiara, że dopiero śmierć Chrystusa odkupiła grzechy pokoleń przeszłych i odkupi grzechy pokoleń przyszłych, o ile uwierzą w Chrystusa. *Maior mors Christi quam vita.*

Otóż podobny proces odbywał się i odbywać się musiał w duszach polskich.

Jeszcze przed powstaniem listopadowem, tuż po utracie niepodległości, pytano: Jakto? naród, mający taką przeszłość, tak hojnie wyposażony przez Boga, zginął? — Nie, to być nie może, odpowiadano, — naród zmartwychwstanie. Jakoż zmartwychwstał, myślano, najprzód w Księstwie Warszawskiem, a potem w Królestwie Polskiem; kiedy zaś wróg sprzysiągł się na to, żeby mu wolność odebrać, powstał — i upadł. Otóż dopiero wtedy, po upadku powstania, na emigracji mogła powstać i rzeczywiście powstała wiara, że jednak Polska misję swoją wywalczenia wolności na ziemi spełni, i to nie p o m i m o ż e upadła, ale, przeciwnie, d l a t e g o ż e upadła. *Maior mors Poloniae quam vita:* zrodziło się pojęcie o f i a r y. Zrazu upatrywano ją t y l k o w powstaniu listopadowem (tak pojmował ofiarę Brodziński), ale z biegiem czasu widziano ją w wypadkach wcześniejszych, w rozbiorach: to doktryna Krasińskiego. Zapomniano przytem, że ofiara, żeby być s k u t e c z n ą, musi być dobrowolną: tymczasem dobrowolnem było tylko powstanie listopadowe, ale rozbiór Polski nie był — na szczęście dla jej honoru — dobrowolny.

Cała ta wiara czy ideologja płynęła nietylko z miłości Polski (podobnie jak wiara w powrót Chrystusa płynęła, poczęści przynajmniej, z miłości ku Niemu), ale z dwóch jeszcze źródeł psychicznych.

Pierwszem jest właściwe każdemu człowiekowi, a płynące poprostu z instynktu samozachowawczego dążenie do szukania, a kiedy trzeba, do r a t o w a n i a swoich wartości. Ostatni nędzarz chce je ratować; więc i emigracja musiała uwierzyć, że coś jeszcze na świecie znaczy. A jeżeli to coś przybrało rozmiary ogromne, jeżeli dorosło do wielkości Chrystusa narodów, tłumaczy się to poczęści pamięcią wielkiej przeszłości Polski i jej

miłością, poczęści — wiarą w niespożyte siły narodu, a poczęści — rozbudzoną przez owacje podczas pochodu przez Niemcy miłością własną, która dochodziła nieraz, nazywając rzecz po imieniu, do megalomanji.

Lecz było i drugie źródło: dążność do ratowania swej wiary w Boga. Nie brakło przecie wśród emigrantów ludzi wierzących — nietylko w istnienie Boga, w Jego wszechmoc i wszechmądrość, ale i w Jego sprawiedliwość. Lecz jakże mieli godzić tę wiarę w Boga z faktem upadku Polski, która przecie w ich oczach była nietylko nie gorsza, ale nierównie lepsza od innych państw: więc za co ją Bóg pokarał? Odpowiedzi mogły być różne. Jedna mogła brzmieć tak, jak odpowiedział Konrad Mickiewicza:

Kłamca, kto Ciebie nazywa miłością,
Ty jesteś tylko mądrością.

Inna mogła być taka, jaką dał Woronicz, a później Kajsiewicz i Zaleski: Polska zawiniła, kara boża spotkała ją słusznie, Polska jest nie męczennicą, tylko pokutnicą: kiedy za swe grzechy odpokutuje, Pan Bóg na nią wejrzy. Jeszcze inna mogła być podobna do tej, którą dał Słowacki — przed transfiguracją: Polska nie była lepsza od innych narodów, posiadała duszę anielską w czerepie rubasznym, była pawiem narodów i papugą, nie walczyła o wolność do ostatniej kropli krwi, to teraz jest niewolnicą cudzą.

Lecz ani jedna z tych trzech odpowiedzi nie była odpowiedzią większości emigracji, ani wogóle narodu. Ogromna większość pogodziła wiarę w sprawiedliwość bożą z faktem upadku Polski i z przekonaniem o jej wyższości nad inne narody, a nawet o jej zupełnej niewinności, zapomocą rozumowania, że Bóg właśnie dlatego, że jest miłością, pozwolił na upadek Polski, bo c h c i a ł, żeby była o f i a r ą, potrzebną do wprowadzenia całej ludzkości na nowe tory, podobnie jak Chrystus odkupił ludzkość swoją śmiercią krzyżową, i że, jak Chrystus zmartwychwstał, tak zmartwychwstanie i Polska:

Polsko, Polsko, grób Twój tylko
Był kołyską nowej zorzy,
Wśród wieczności jedną chwilką,
W której począł się dzień boży.

A ci, co nie wierzyli ani w wyższość Polski, ani w to, że jest o f i a r ą za grzechy ludzkości, uwierzyli jednak, że Pan Bóg dlatego pozwolił na upadek Polski, aby, wyzbywszy się tego wszystkiego, czem zgrzeszyła w przeszłości, krzewiła na świecie swoje wartości dodatnie, i że tym sposobem i sama odzyska nie-

podległość, i całą ludzkość wprowadzi na drogę wiodącą do Królestwa Bożego. Tak czy inaczej, Polska będzie Chrystusem narodów.

A jak pierwsi chrześcijanie spodziewali się lada chwila powrotu Chrystusa, tak emigranci obiecywali sobie zrazu, że tylko patrzeć, jak Polska odzyska niepodległość. Lecz podobnie jak chrześcijanie, kiedy Chrystus nie powracał, odłożyli Jego przyjście do Sądu Ostatecznego, tak i emigranci, kiedy wszystko ciągle zawodziło, kiedy i w roku 1848, do którego takie nadzieje przywiązywali, nie rozgrzmiał sąd boży na niebie „ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami", nie przestali wierzyć, że to kiedyś nastąpi, — ale dopiero „gdzieś na wieków późnej fali"...

NA SZCZYTACH POLSKIEJ LIRYKI RELIGIJNEJ

Odczyt, wygłoszony w Krakowie dnia 9 grudnia 1934 r. na uroczystem posiedzeniu Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych.

Tak zwana „liryka rzymska" Mickiewicza.

Rozumie ludzkości! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.
. . . . . .
Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień Wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadło oświeca:
Ach! ty bez Wiary byłbyś niewidomy...

W całej literaturze staropolskiej, pomimo że się ona szczyci tak pięknemi utworami liryki religijnej, jak w wiekach średnich *Żale Matki Boskiej pod Krzyżem*, w wieku XVI — *Hymn o dobrodziejstwach bożych* i dwa *Treny* (siedemnasty i osiemnasty) Kochanowskiego, oraz sonety i pieśni Szarzyńskiego, w wieku XVII — *Psalmodja* Kochowskiego, w XVIII — pierwsza strofa pieśni Karpińskiego *Bóg się rodzi*, — w całej naszej literaturze religijnej dawnych wieków daremnieby szukać tak mocnego i wspaniałego wyrazu własnego przeświadczenia głęboko wierzącego człowieka, że wiara religijna i jej błogosławieństwa są owocem nie rozumu, tylko darem Nieba, który Bóg dał nie głowie, ale sercu człowieka, i że, co za tem idzie, dopiero serce uszczęśliwia tym darem rozum — pod warunkiem, że się on, w poczuciu swojej bezsilności, upokorzy przed sercem. To przeświadczenie (albo, jakby powiedział kardynał Newman, to przyświadczenie wiary) jest dopiero w liryce tego poety, o którym słusznie powiedziano, że „miał on duszę tak głęboko, tak rdzennie religijną", jak żaden inny z poetów XIX wieku, „z nią

przyszedł na świat i z nią też przeszedł przez życie“ [1]. Poetą tym był Mickiewicz. On dopiero polską lirykę religijną wprowadził na szczyty, do jakich się nietylko przed nim, ale i po nim — pomimo Kasprowicza — nie wzniosła nigdy.

Lecz co należy rozumieć przez s z c z y t y liryki religijnej? Odpowiedź prosta. W pojęciu „liryka religijna“ są dwa pojęcia: „liryka“ i „religja“. Liryka jest poezją, a poezja jest sztuką czyli jedną z postaci piękna, — więc utworu, mającego w sobie choćby nawet głębię przeżyć religijnych, nie zaliczymy do wielkiej poezji, jeżeli ta głębia nie ma pięknego wyrazu: ileż to jest w naszej poezji religijnej wieków średnich, a cóż dopiero XVII stulecia, utworów, którym nie można odmówić głębokich wzruszeń religijnych, ale których forma jest tak nieudolna, że budzą w duszy nie podniosłe uczucia, tylko pobłażliwy uśmiech, czasem nawet śmiech, albo i coś w rodzaju odrazy. Lecz z drugiej strony są i takie utwory, które dzięki pięknej formie wywołują w duszy wrażenia wysoce estetyczne, nie wyłączając nawet zachwytu, które jednak nie budzą w niej głębszych uczuć religijnych, albowiem piękność ich wyrazu jakby przytłacza ich treść — dlatego oczywiście, że w duszy poety, kiedy tworzył, wzruszenia estetyczne nietylko nie były w harmonji z religijnemi, ale miały większą od nich siłę. Czy do takich utworów nie należy czasem *Hymn* Kochanowskiego, a nawet ten cud poezji Słowackiego, który się zaczyna od słów: „Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy błękitnych polach“?

Więc odpowiedź na pytanie, co należy rozumieć przez arcydzieła liryki religijnej, będzie taka, że są niemi t y l k o takie utwory, w których jest j e d n o c z e ś n i e wielkie piękno wyrazu poetycznego i wielka siła wzruszeń i wogóle przeżyć religijnych, czyli, mówiąc ściślej, które budzą w duszy czytelnika czy słuchacza j e d n o c z e ś n i e uczucia estetyczne i religijne.

Że zaś odczucie siły, a czasem i rodzaju tych uczuć — zarówno estetycznych, jak religijnych — jest bardzo indywidualne, że niejeden np. woli *Hymn* Kochanowskiego od sonetów Szarzyńskiego, albo lirykę religijną Słowackiego od liryki religijnej Mickiewicza, — na to już rady niema. O swoich własnych upodobaniach estetycznych, a cóż dopiero o przeżyciach religijnych, wolno i można innym m ó w i ć, ale n a r z u c a ć ich innym — może wolno, ale nie można. Jeśli tedy mówić wolno, to powiedzmy raz jeszcze, że w całej polskiej liryce religijnej

---

[1] Marjan Zdziechowski, *Ad Altaria Tua. (Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych. Książka zbiorowa poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin.* Warszawa 1899).

niema drugiej takiej, coby się mogła mierzyć z temi pięcioma utworami Mickiewicza, któremi są: wiersz *Do Marceliny Łempickiej w dzień przyjęcia Komunji świętej, Rozmowa wieczorna, Rozum i Wiara, Arcymistrz* i *Mędrcy*. Pospolicie nazywa się te utwory „rzymską liryką" Mickiewicza; lecz jest to nazwa niezbyt fortunna, bo niezupełnie ścisła.

Prawda, że pierwszy z wymienionych utworów, mający w autografie tytuł *Sen po spowiedzi*, powstał w roku 1830 — w Rzymie, jak o tem świadczy własnoręczny dopisek Mickiewicza. Prawda i to, że pod pierwodrukiem *Arcymistrza*, w wydaniu paryskiem poezyj z r. 1836, „przejrzanem i poprawionem przez autora", figuruje data 1830. Tak, ale w autografie *Mędrców* czytamy taki własnoręczny dopisek poety: „Myślano we Francji, pisano w Dreźnie". Możliwą tedy jest rzeczą, że także dwa pozostałe utwory, t. j. *Rozmowa wieczorna* i *Rozum i Wiara*, były myślane we Francji, a pisane w Dreźnie, więc nie w roku 1830, jak wiersz *Do Marceliny Łempickiej* i *Arcymistrz*, tylko dopiero w roku 1832 — w tym krótkim, bo niespełna czteromiesięcznym, ale dla poezji polskiej i dla narodu polskiego po wszystkie przyszłe wieki jego istnienia błogosławionym okresie twórczości Mickiewicza, na którego progu, kiedy się raz, w Dreźnie, modlił w kościele, bania z poezją, jak podobno sam opowiadał Odyńcowi, rozbiła się nad jego głową [1], czyli, mówiąc językiem zwykłym, kiedy spłynęło nań natchnienie.

Zważmy przecie, że niektóre myśli i uczucia tych naprawdę natchnionych poezyj religijnych są bardzo blisko pokrewne myślom i uczuciom utworu, o którym wiemy napewno, że jest owocem tego właśnie natchnienia, które spłynęło na Mickiewicza w Dreźnie, to znaczy trzeciej części *Dziadów*.

W *Rozmowie wieczornej* jest pokora księdza Piotra; a w wierszu *Rozum i Wiara* jest wprawdzie „pycha", lecz pycha wzniecona przez „ducha pokory" księdza Piotra, oraz wiara w posłannictwo narodowe poety, ale nie tego, który, oszalały miłością patrjotyczną i pychą prometejską, bluźnił Bogu, krzycząc:

Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził, —

ale już tego pokutnika, któremu Bóg, kładąc na jednej szali swej sprawiedliwości jego pychę i bluźnierstwo, a na drugiej

[1] Czy się istotnie tak wyraził Mickiewicz w rozmowie z Odyńcem, niema pewności wobec wykazanej i uzasadnionej szczegółowo przez Życzyńskiego blagi autora *Listów z podróży (Mickiewicz w oświetleniu Odyńca*, Lublin 1934). O tem jednak, że w Dreźnie spłynęło na Mickiewicza natchnienie, wątpić nie pozwala jego twórczość drezdeńska.

jego miłość ojczyzny, nietylko w swem nieograniczonem miłosierdziu przebaczył, ale nadto pozwolił Chórowi Archaniołów modlić się o udzielenie mu wielkiego posłannictwa wobec całego świata:

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie, i uczci Krzyża podnoże,
Wedle niej cały świat u stóp Krzyża niechaj polęże
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan nasz, o Boże!

Prawda, że to odrodzenie religijne, którego pierwsze iskry — po dłuższym okresie zobojętnienia religijnego — wzniecił w duszy Mickiewicza Oleszkiewicz, jeszcze w Petersburgu, pogłębiło się już w Rzymie, a to pod wpływem Lamennais'go i Tomasza a Kempis, nauk księdza Chołoniewskiego, przykładu Marceliny Łempickiej, kopuły świętego Piotra, ale nadewszystko pod wpływem własnych rozmyślań, własnych uczuć, własnych wyrzutów sumienia i własnych doznań mistycznych. A i to prawda, że już w Rzymie upokorzył się Mickiewicz przed Bogiem, przystępując 8 grudnia 1830 r. do spowiedzi, co mu jednak, jak wolno mniemać, nie przeszkadzało żywić w sercu dumnej wiary romantycznej, której iskry zaczęły się żarzyć już w Rosji, także pod wpływem Oleszkiewicza, że sam Bóg dał mu, jako wielkiemu poecie, jako „bożemu synowi", posłannictwo wobec własnego narodu.

I ta właśnie wiara była główną przyczyną, dla której Mickiewicz nie wziął udziału w powstaniu listopadowem: poczytując się za poetę, powołanego do odrodzenia narodu, odmawiał sobie prawa do śmierci na polu bitwy. „Bóg mi nie pozwolił być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płodnem na przyszłość dziele", pisał Mickiewicz do Lelewela.

Ma zupełną słuszność Tretiak, — „to nie był frazes, ...Bóg mu nie pozwolił, bo dał mu pełną świadomość jego powołania i jego archanielskiej broni, dla której placem boju powietrzne sfery poezji" [1]. Pamiętać trzeba, jak ogromną rolę w przeżyciach religijnych, mianowicie w ich stadjach mistycznych, których pasmo zaczęło się w życiu Mickiewicza już w Rosji, odgrywa wiara w przeznaczenie. Przeznaczenie — mówi Jan Władysław Dawid, który, obok Edwarda Abramowskiego, należy do tych bardzo niewielu wybitnych myślicieli polskich, którzy się zagłębiali w psychologję religji, — przeznaczenie jest dla mistyka „Opatrznością — siłą rozumną i dobrą, której trzeba zawierzyć, cokolwiekby jeszcze się zdarzyło i wbrew wszelkim przeciwnym pozorom" [2]. Prawda, że przytoczone słowa

[1] *Kto jest Mickiewicz?* Kraków 1921, str. 155.
[2] *Psychologja religji*, Warszawa 1933, str. 53.

Mickiewicza z listu do Lelewela pochodzą dopiero z d. 23 marca 1832 r.; nic jednak nie przeszkadza do mniemania, że głos tej wiary w swoje boskie posłannictwo, z którą Mickiewicz wyjechał z Rosji zagranicę, ze szczególną siłą zabrzmiał w jego sercu, kiedy się dowiedział o wybuchu powstania.

Trwałym jednak ten głos nie był[1]. Zważmy przecie, że wkrótce po wyjeździe z Rzymu odrodzenie religijne Mickiewicza załamało się — może nie w Paryżu, gdzie francuski egoizm polityczny wobec walczącej za wolność Polski, napawając jego serce goryczą i nienawiścią ku Francji, mógł raczej, siłą kontrastu, jeszcze pomnożyć zebrany w Rzymie plon idealizmu religijnego, — ale dopiero w Wielkopolsce, gdzie, wiemy wszyscy, jakie prowadził życie. On sam przecie wyznaje, że było to życie „zwierzęce albo raczej roślinne": „Cały rok od wyjazdu z Włoch był tak okropny, że boję się myśleć o nim, jak o chorobie albo o złym uczynku". A prócz własnego upadku moralnego, przyczynił się do zburzenia osiągniętej w Rzymie równowagi moralnej, co więcej, do zachwiania samych podstaw odrodzenia religijnego, upadek powstania.

Kiedy na własne oczy widział przeciągających przez Wielkopolskę emigrantów, wówczas, pomimo że dawniej odmawiał sobie prawa do uczestniczenia w walce, sumienie zaczęło go teraz dręczyć i pytać: czemu ciebie tam nie było? coś ty wart z całą twoją poezją słowa wobec tych wielkich poetów czynu, którzy dali ojczyźnie swą krew? Cierpiał tak mocno, że chwilami opadały go pokusy samobójcze.

Niedosyć na tem. Ogrom klęski narodowej zburzył w jego sercu wiarę w miłosierdzie boże: „Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością, Ty jesteś tylko mądrością". I oto, zdawałoby się, kopuła świętego Piotra runęła w sercu Mickiewicza. Runęła i wiara w przyszłość Polski.

Niebawem jednak, jak zawsze w życiu ludzi głęboko religijnych, po upadku i zwątpieniu nastąpiło odrodzenie moralne i powrót wiary, i to już w Wielkopolsce, wiary w Boga jako miłość, i wiary w przyszłość narodu. „Pobyt w Wielkopolsce — pisał do Lelewela — i to, com słyszał o Śląsku, utwierdziło moje zasady. Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom Ewangelję narodowości, moralności i religji".

Otóż w Dreźnie ta wiara pogłębiła się jeszcze, co więcej, wszystkie wogóle nasiona odrodzenia religijnego, jakie padły na duszę Mickiewicza w Petersburgu i w Rzymie, nietylko odżyły, ale teraz dopiero rozkwitły, do czego przyczynić się mogła znajomość z myślicielem niemieckim Heinrothem, zawarta

[1] O zmienności stanów mistycznych ob. Dawid, j. w., str. 60.

w Dreźnie [1]. I w Dreźnie dopiero ponownie, ale daleko potężniej, zabrzmiał w duszy Mickiewicza głos Oleszkiewicza: „Ty jesteś dzisiaj wysłańcem bożym, więc powinieneś żyć nie tak, jak ci każą twoje zmysły, ale tak, jak ci każe Chrystus, i objawić narodowi polskiemu ewangelję narodową".

I stało się. Objawił Mickiewicz narodowi polskiemu ewangelję narodową nietylko bezpośrednio — w *Księgach Narodu* i *Księgach Pielgrzymstwa*, ale i pośrednio — w poezji, będącej historją jego najgłębszych przeżyć duchowych, zarówno upadków, jak wzlotów. Do tej zaś poezji wolno zaliczyć nietylko trzecią część *Dziadów*, ale i owe utwory liryki religijnej. Są zaś one pod względem estetycznym w bliskiem pokrewieństwie, a pod względem psychologicznym stanowią jedną całość.

Pokrewieństwo estetyczne. Ich pokrewieństwo estetyczne polega przedewszystkiem na tem, że we wszystkich zajaśniał w całej pełni genjalny talent do nadawania uczuciom i myślom konkretnego, zmysłowego, plastycznego wyrazu. *Oda do młodości* blednieje przy tych utworach. *Sonety krymskie* i *Farys*, zapewne, przewyższają je obrazowością: ale pamiętajmy o tem, że w *Sonetach krymskich* pierwiastek opisowy, chociaż idzie w służbę myśli i uczucia, formalnie przemaga jednak nad pierwiastkiem lirycznym; cóż dopiero powiedzieć o *Farysie:* tutaj Mickiewicz nie wypowiada swoich uczuć bezpośrednio, jak w niektórych *Sonetach krymskich*, tylko symbolicznie; przecie *Farys* jest, formalnie biorąc, utworem epickim, w którym akcja odbywa się nietylko w duszy pędzącego jeźdźca, ale także, i to nadewszystko, w przestrzeni — na pustyni. Więc tutaj plastykę i obrazowość, przy talencie Mickiewicza, osiągnąć było łatwiej. Tymczasem z pośród pięciu omawianych utworów liryki religijnej tylko *Mędrcy* są (z wyjątkiem ostatniej strofy) takim jak *Farys* poematem, to jest poematem symbolicznym, posiadającym akcję w przestrzeni. Chociaż, wolno także mówić o akcji w wierszu *Do Marceliny Łempickiej*, a to dzięki Aniołowi, który nad ranem zlatuje z nieba i z takiem nad nią „schyla się objęciem, jak matka nad swem sennem niemowlęciem". Trzy zaś pozostałe utwory są poezją nietylko rzeczowo, ale i formalnie liryczną, są bezpośrednim wyrazem przeżyć duchowych Mickiewicza, a jakże plastyczny jest ten wyraz!

Oto w *Rozmowie wieczornej* Bóg jest jednocześnie panem na niebie i sługą człowieka — na krzyżu; dobra myśl człowieka jest promieniem, który wraca do Boga, „do źródła, do słońca", i „nazad płynąc, znowu" człowieka „ozłaca". A w *Arcymistrzu* —

[1] Ob. Stanisław Łempicki, *Tak zwany „Heinrech" w bruljonie Mickiewiczowskich „Ksiąg Pielgrzymstwa" (Sprawozdania z czynności i posiedzeń Pol. Akad. Umiej.* Marzec 1929, tom XXXIV, nr. 3).

któregoby Mickiewiczowi mógł pozazdrościć sam Platon, ten największy poeta ze wszystkich filozofów na bożym świecie, — jak wspaniale zobrazował Mickiewicz wielkość Boga-stworzyciela!

Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku.
. . . . . .
Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali...

A cóż dopiero powiedzieć o wręcz nieprawdopodobnej obrazowości wiersza *Rozum i Wiara*! Rozum ludzki to ocean ze swojemi wiecznie ruchomemi falami, które jednak nigdy, bijąc o brzegi, nie przekraczają zakreślonych granic, a wiara to promień słoneczny, który, igrając na szumnej topieli morza, płonie jako tęcza i znowu powraca do nieba.

Szczytem jednak plastyki w liryce religijnej Mickiewicza są *Mędrcy*. W całej nietylko liryce, ale wogóle w całej jego poezji daremnie szukać takiego drugiego utworu, któryby w tak krótkich słowach zawarł tyle treści, i to treści ujętej d r a m a t y c z n i e, a skupiającej w sobie całe wielkie misterjum chrześcijańskie albo raczej jego punkt kulminacyjny, t. j. Mękę Boga-Człowieka. Co za wspaniały i, mimo swej krótkości, wyrazisty kontrast między pychą nikczemnych mędrców, którzy się zrazu przelękli, ale potem nabrali odwagi na widok, że „Bóg straszy, a nie karze", a majestatycznym spokojem i miłością Chrystusa, modlącego się za swoich katów! [1]

W wierszu *Do Marceliny Łempickiej* niema żadnego kontrastu, ani żadnej grozy dramatycznej, która w *Mędrcach* stanowi główny pierwiastek potęgi estetycznego wrażenia: przeciwnie, jest cichy, błogosławiony spokój, a głównym pierwiastkiem estetycznego wrażenia jest eteryczny, nieziemski wdzięk, o miedzę tylko graniczący z majestatyczną wzniosłością. Źródłem zaś tych wrażeń jest widok spokojnego snu istoty ludzkiej, oczyszczonej z grzechów spowiedzią i Komunją, a nadewszystko widok Anioła, który, zleciawszy z nieba, staje przy swojej „piastunce", „łagodnie przygłusza swe blaski", aby jej nie zbudzić, a „nim od-

[1] Na dramatyczność *Mędrców* zwrócił już uwagę Walery Gostomski, który, mówiąc nawiasem, pierwszy poznał się na wielkości liryki religijnej Mickiewicza. Ob. zbiór „studjów i szkiców krytyczno-literackich" p. t. *Z przeszłości i teraźniejszości*, Warszawa 1904.

leci, kładzie wdzięki nowe, jak nowe suknie dziecięciu pod głowę".

Ten zaś anioł był w wizji artystycznej Mickiewicza, pamiętajmy o tem, nie symbolem, nie przenośnią, tylko konkretną rzeczywistością, rzeczywistym Aniołem-Stróżem, w którego istnienie mocno wierzył, jak i w to wierzył, że zarówno aniołowie, jak złe duchy szczególną siłę wywierają nad człowiekiem podczas jego snu [1].

Dodać jeszcze trzeba, że konkretne obrazy w liryce religijnej Mickiewicza nigdy nie roszczą sobie prawa do samodzielności: są nie celem, tylko środkiem do uplastycznienia myśli i uczuć, nie przerastają ich, jak to nieraz bywa w liryce Słowackiego, a nadewszystko — w liryce Wiktora Hugo. W liryce religijnej Mickiewicza w epoce jego odrodzenia religijnego jest doskonała, klasyczna równowaga pomiędzy pierwiastkiem epickim a lirycznym, czyli, inaczej, pomiędzy wyobraźnią a myślą i uczuciem. Tej równowagi niema jeszcze w młodzieńczym *Hymnie do Najświętszej Panny Marji:* dogmat chrześcijański o poczęciu Matki Boskiej z Ducha świętego przemówił nadewszystko do wyobraźni Mickiewicza, która też wytworzyła niezmiernie malowniczy obraz. Ale, jak to słusznie powiedział Gostomski, „obraz ten świeci, lecz nie grzeje; słowa hymnu budzą w duszy nastrój podniosły, lecz... nie wnikają do serca". Inaczej w utworach, o których mówimy. Tutaj obrazy nietylko świecą, ale i grzeją. Ten nawet, kto nie ma żywej wiary Mickiewicza w dogmaty chrześcijańskie, bez którejby tej liryki nie było, o ile się tylko w nią wczyta i o ile w jego sercu dźwięczą struny religijności, będzie do głębi wzruszony przepastną głębokością wiary i wogóle uczuć Mickiewicza.

I ta głębia uczucia to drugi węzeł pokrewieństwa estetycznego tych pięciu utworów. Zarówno ich konkretne obrazy, jak ich myśli drgają wzruszeniem, które przy końcu *Modlitwy wie-*

---

[1] Z tej to wiary urodził się prolog w trzeciej części *Dziadów*. Tu mimowoli przypomina się romantyk francuski Charles Nodier, o którym Mickiewicz słyszał zapewne już za pierwszej bytności w Paryżu, a którego później prawdopodobnie czytał. Warto przytoczyć te jego słowa z dzieła *Rêveries littéraires, morales et fantastiques:* „Le sommeil est non seulement l'état le plus puissant, mais encore le plus lucide de la pensée... Il semble que l'esprit, offusqué des ténèbres de la vie extérieure, ne s'en affranchit jamais avec plus de facilité que sous le doux empire de cette mort intermittente, où il lui est permis de reposer dans sa propre essence... La Bible qui est le seul livre qu'on soit tenu de croire vrai, n'appuie ses plus précieuses traditions que sur les révélations du sommeil... Numa, Socrate et Brutus... ont rapporté toute leur sagesse instinctive aux inspirations du sommeil... Toutes les religions, à l'exception de celles dont la vérité ne peut pas être mise en doute, nous ont été enseignées par sommeil." (*Oeuvres*, V, Bruxelles 1832, str. 140).

czornej dochodzi do wylewania cichych łez na łono Boga: jest to ów „dar łez", tak bardzo znamienny dla mistyków typu uczuciowego [1]. Porównajmy lirykę religijną Mickiewicza z sonetami Asnyka *Nad głębiami* (które wolno, albo raczej stanowczo i bezwarunkowo trzeba zaliczyć do liryki religijnej, albowiem poeta szuka w nich i znajduje t r w a ł e wartości duchowe i sens życia ludzkiego), — a wówczas tem mocniej wyczujemy przepastną głębię serca Mickiewicza. W sonetach Asnyka tętni nietyle uczucie, ile nastrój tęskny, melancholijny, połączony ze smutną rezygnacją, — wzruszenia niema, bicia serca nie słychać. A tłumaczy się to nietylko odmiennością dwóch psychik, nietylko nieskończenie większą siłą uczuciowości Mickiewicza, ale i tem jeszcze, że punktem wyjścia liryki religijnej Asnyka jest jego intelekt, jego filozoficzne medytacje nad głębiami tajemniczemi świata, kiedy tymczasem źródłem liryki Mickiewicza jest nie filozofja, tylko jego serce — jego własne przeżycia religijne, wchodzące w obręb doznań mistycznych. Ma słuszność J. W. Dawid, że „wprawdzie Słowacki i Krasiński więcej o rzeczach mistycznych mówią, ale jest to mistycyzm bardziej literacki, teoretyczny i gnostyczny, będący poetyckiem odtworzeniem tradycyjnych pojęć metempsychozy, neoplatonizmu, chrześcijańskiej teologji, Swedenborga, a także współczesnych poglądów witalizmu i zwierzęcego magnetyzmu. Jakkolwiek i u Mickiewicza pierwiastków tych doszukać się można (jak w całej poezji romantycznej), to przecież na pierwszy plan występują u niego objawy, mające nieomylne cechy autentycznych przeżyć, rzeczywistego doświadczenia mistycznego, wiedzy z pierwszego źródła" [2].

Przeżycia religijne Mickiewicza. Więc jakież to własne przeżycia religijne unieśmiertelnił Mickiewicz, przyoblekając je w cudowną szatę poezji lirycznej? jakie uczucia i myśli dźwięczą w niej i nadają jej jedną p s y c h o l o g i c z n ą całość, odzwierciedlając główne fazy procesu odrodzenia religijnego, począwszy od gorącego pragnienia żywej wiary, przez walkę pysznego intelektu z pokornem sercem, aż do upokorzenia się uroszczeń intelektu przed domagającemi się wiary prawdami serca, to jest do triumfu wiary i tego jej najwyższego skarbu, którym jest poczucie bliskości, a nawet obecności dalekiego Boga we własnej duszy? Jeżeli naprawdę odrodzenie religijne Mickiewicza kroczyło temi szlakami, to pierwszem ogniwem tego łańcucha przeżyć jest wiersz *Do Marceliny Łempickiej*, ostatnim — *Rozmowa wieczorna*, ogniwami zaś pośredniemi — *Mędrcy, Arcy-*

[1] Dawid, j. w., str. 67.

[2] *O intuicji w mistyce, filozofji i sztuce*, Kraków 1913, str. 45 (odbitka z *Krytyki*).

mistrz i *Rozum i Wiara*. Dodać trzeba, że niejedno z ogniw pośrednich nie doczekało się wyrazu w poezji Mickiewicza: nie należał on przecie do tych wielomównych poetów, którzy dają wyraz wszystkiemu temu, co się w ich duszy działo, a dla zaokrąglenia temu także, co się dziać mogło, ale się nigdy nie działo:

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma jak mgły szata
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

Wiersz *Do Marceliny Łempickiej w dzień przyjęcia Komunji świętej* pięknie nazwała Konopnicka [1] „wizją seraficzną", „jakby jednym z tych starych obrazów, do których malowania prerafaelici gotowali się modlitwą i skruchą". Jest ten wiersz cudownym w swojej poetyczności i w sile uczucia wyrazem zachwytu grzesznego człowieka na widok „świętej i skromnej" kobiety, którą świeżo „za stołem swym Chrystus ugościł", i jednocześnie wyrazem gorącego pragnienia tego grzesznego człowieka, żeby choć raz jeden jego dusza stała się tak niepokalanie czystą:

Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą!
. . . . . .
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jednę tak jak ty przemarzył.

Życzenie się spełniło. Grzeszny człowiek przystąpił do Sakramentu pokuty i Eucharystji i umocnił się w swej wierze w bóstwo Chrystusa.

Wyrazem tej jak śmierć mocnej wiary są *Mędrcy*. Ta bowiem groza dramatyczna, która przenika opowieść o zamordowaniu Boga-człowieka przez mędrców, opętanych pychą chłodnego intelektu, którego spokojność mieszał im cud wcielenia, — jest symbolem własnej wiary w ten cud i własnego sądu o tych fałszywych mędrcach. Ale ten symbol nie wystarczył Mickiewiczowi do wyrażenia swojej wiary, więc przemówił on jeszcze bezpośrednio, wprost od siebie, z lapidarną krótkością, ale z majestatyczną w swoim spokoju i w swojej potędze pewnością wiary w bóstwo Chrystusa:

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. — Natura w rozruchu
Drżała o Boga. — Lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu.

[1] *Mickiewicz, jego życie i duch*, Warszawa 1899, str. 78.

Lecz wiara w bóstwo Chrystusa opromieniła i uświęciła duszę nietylko człowieka, ale i artysty-poety. Wiadomo, że w epoce romantyzmu poeta uchodził we własnych, a czasem i w cudzych oczach, za naczynie osobliwego nabożeństwa, za człowieka-twórcę, obdarowanego niemal równą siłą, jak Bóg-stwórca. Miał tę wiarę w pewnej chwili swego życia i Mickiewicz, jak tego niezbicie dowodzi *Improwizacja*. Otóż i tę sferę jego pojęć objęło odrodzenie religijne. Widać to z wiersza *Arcymistrz*, będącego aktem pokory nie religijnego człowieka wogóle, ale religijnego artysty. „Bożym synem" nazywa go wprawdzie Mickiewicz, ale jakiż stąd wyprowadza wniosek? czy może taki, że artysta, jako syn boży, ma prawo wywyższać się ponad innych ludzi, nieobdarowanych boskim darem twórczości? Nie! Wniosek jest zupełnie inny: artysta, kiedy zwykli ludzie nie pojmują jego twórczości, kiedy nim nawet wzgardzą, powinien pamiętać, że ludzie nie pojęli dotychczas t e j twórczości, wobec której j e g o twórczość jest niczem, to znaczy ani twórczości Boga-stworzyciela, ani twórczości Boga-człowieka, którym dzisiejszy świat „gardzi, poznawszy w nim brata", to jest którego przestaje uważać za Boga. Więc, jeżeli tak, jeżeli ludzie Boga dotychczas nie poznali, a nawet nim gardzą, to jakiem czołem artysta miałby się prawo skarżyć na brak rozumienia i uznania wśród ludzi?

Sztukmistrzu ziemski! czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu.

Myśl przewodnią książki Tomasza a Kempis, którą po spowiedzi otrzymał w darze od księdza Chołoniewskiego i w której się z takiem upodobaniem rozczytywał, to znaczy myśl, że głównym sensem życia człowieka jest naśladowanie Jezusa Chrystusa, — Mickiewicz zastosował także do artysty. Pokora p o e t y stanęła tutaj na szczycie.

A szczytem pokory m y ś l i c i e l a jest wiersz *Rozum i Wiara*. Możnaby go nazwać poetyczną filozofją wiary, gdyby jego źródłem i kryterjum prawdy była myśl, a nie serce; ono już w młodości mówiło mu: „Czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko"; a później, w Dreźnie, powiedziało mu, że wiara jest w dziedzinie życia poznawczego, a cóż dopiero religijnego, czemś stokroć wyższem od rozumu, że ona, i tylko ona, jeżeli nie doprowadza, to przynajmniej zbliża człowieka do poznania, co więcej, do u j r z e n i a najgłębszych tajemnic bytu i najwyższych, bo transcendentnych, wartości życia, że rozum bez wiary byłby „niewidomy".

Przejrzałem niskie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

I właśnie przez to wyznanie wiersz *Rozum i Wiara*, chociaż nie jest jeszcze zenitem liryki religijnej Mickiewicza, ma w sobie najwięcej charakteru powszechności religijnej, jest bowiem wyrazem tego zjawiska psychologicznego, bez którego niema i być nie może religji we właściwem znaczeniu tego wyrazu, nietylko chrześcijańskiej. Cóż jest tem zjawiskiem? To, co filozofja nazywa pewnością intuicyjną (która u niektórych religijnych myślicieli, a zwłaszcza u świętych, jest nawet wizją, dosłownie: wizją, — nie halucynacją, tylko rzeczywistem widzeniem).

Są prawdy, których człowiek nigdy nie dowiedzie rozumem, w które jednak wierzy i które mu są koniecznie do życia potrzebne. Do tych prawd należą nadewszystko prawdy religijne. Jak o nich nie wątpić? Na to jest tylko jeden sposób, nie dla każdego naturalnie możliwy: móc i chcieć uznać, że rozum — w pewnych, i to najwyższych, dziedzinach swoich dociekań — jest, bez wiary, niewidomy. Mógł i chciał uznać tę prawdę i Platon, który wierzył, że myśl człowieka może przybrać postać entuzjazmu, t. j. ujrzeć w nagłej wizji boskie tajemnice świata, a tem bardziej — Plotyn, kiedy uczył, że w ekstazie człowiek może osiągnąć jedność i bliskość z Bogiem, że więc παρουσία ἐπιστήμης κρείττων („obecność" jest lepsza od wiedzy); i święty Augustyn, kiedy uzależniał poznanie prawdy nietylko od pracy rozumu, ale i od bicia serca, i — w czasach nowszych — Pascal z takiemi swojemi myślami, jak ta, że „poznajemy prawdę nietylko rozumem, ale także i sercem", albo jak ta: „La religion c'est Dieu sensible en coeur". W wieku XIX, w epoce romantyzmu, z myślicieli niemieckich przedewszystkiem Fichte twierdził, że miłość, to jest serce, jest „źródłem wszelkiej pewności, wszelkiej prawdy i wszelkiej rzeczywistości", a z myślicieli polskich Józef Gołuchowski uczył, że „kategorja miłości jest najwyższą kategorją", „punktem kulminacyjnym najgłębszej spekulacji", że ona tylko „rozwiązuje wszystkie wielkie kwestje — osobowości Boga i człowieka, stworzenia i celu jego, woli, wolności i ostatecznego przeznaczenia człowieka, doczesnego i przyszłego bytu" [1]. A w czasach późniejszych, w epoce reakcji przeciwko pozytywizmowi i materjalizmowi, ten myśliciel francuski, który swoją młodzieńczą pracą *De la contingence des lois de la nature* tak potężnie zachwiał teorją determinizmu

[1] Ob. Dawid, *O intuicji w mistyce*, str. 67.

(potępioną — narówni z teorją przypadku — przez Mickiewicza w wierszu *Rozum i Wiara)*, Emil Boutroux, w dziele *Science et Religion* (1908) uzasadnia i rozwija pogląd Kanta, że ani spekulacja, ani nauki doświadczalne nie dowiodą prawdziwości wielu z tych postulatów, bez których człowiek nie mógłby żyć, nie dowiodą, aby jedne wartości były większe od innych, bo przecie dla nauki wszystkie t. zw. wartościowania są tylko faktami, tylko materjałami do badań, a nie do orzekania, która z nich wyższa, a która niższa; kto wierzy w świętość obowiązku, kto go pragnie pełnić, temu, zapewne, nauka może wskazać do tego drogę, ale samej wiary w świętość obowiązku nie wzbudzi i tej świętości nie dowiedzie, jak nie udowodni ani istnienia wszechmocnego i kochającego swoje stworzenie Boga, ani nieśmiertelności duszy.

Ale czy tylko prawdy religijne leżą poza obrębem poznania rozumowego?

> Próżna ciekawość, próżne serca bicie...
> Chyba nam echo odrzuci pytanie,
> Przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie...
> I nieraz, biedni, za prawdę bierzemy —
> Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
> Sądząc, że słyszym tajny głos natury.

Asnyk ma słuszność. Całe nasze poznanie, cała nauka jest, ściśle biorąc, jedynie „oddźwiękiem własnej wyobraźni" ludzkiej, albo, jeśli kto woli, tłumaczeniem faktów, stanowiących przedmiot badań naukowych, na język ludzki, który przecie jest czemś równie subjektywnem, jak np. wrażenia wzrokowe czy słuchowe; bo przecie zarówno barwy i kształty, jak dźwięki, są tylko wytworem ludzkiego organizmu fizyczno-psychicznego, są tylko symbolami rzeczy. Całe więc nasze poznanie jest w rzeczywistości jedynie symboliczne. Nie dziw tedy, że dla niektórych ludzi (a do nich należą nieraz tej miary myśliciele, co William James) prawdy intuicyjne, a więc także i religijne, dobyte „nie z ksiąg ani opowiadań, ani z rozwiązania zadań", ani z naukowych badań, są czemś pewniejszem od tak zwanych prawd naukowych, czyli, innemi słowy, wiara jest czemś w y ż s z e m od rozumu — ona jedna wskazuje prawdziwą drogę, a cóż dopiero prawdziwy cel życia. I to właśnie jest naczelną myślą wiersza Mickiewicza *Rozum i Wiara.*

W *Romantyczności* ta myśl nie miała jeszcze zabarwienia religijnego, tylko, jeśli tak można powiedzieć, teorjo-poznawcze: tutaj ma nietylko zabarwienie religijne, ale i religijny, z głębin wierzącej duszy wyjęty podkład i wyłącznie religijną treść.

I wreszcie — korona liryki religijnej Mickiewicza i, co za tem idzie, korona całej polskiej liryki religijnej:

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha.
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha.

Z pośród pięciu utworów lirycznych Mickiewicza z epoki jego odrodzenia religijnego ta jedna jedyna *Rozmowa wieczorna* jest modlitwą, o ile, rozumie się, pospolitą definicję modlitwy uzna się za zbyt ciasną. „Oratio est ascensus mentis in Deum, petitio decentium a Deo": „Modlitwa jest podniesieniem umysłu ku Bogu, błaganiem Boga o to, o co Go błagać przystoi". Tak określa modlitwę święty Jan Damasceński, i tę jego definicję powtarza święty Tomasz z Akwinu. Otóż dzisiejszy psycholog francuski Segond w swem studjum psychologicznem o modlitwie [1] rozszerza to pojęcie, stwierdzając, że nieraz człowiek, kiedy się zatopi w modlitwie, nie zwraca się nietylko do Boga, ale wogóle do nikogo, że przynajmniej nie uświadamia sobie dobrze, do kogo się zwraca [2]. Oczywiście i to jeszcze zaznacza Segond, że w modlitwie, kiedy się człowiek zwraca do Boga, nie zawsze przedkłada Mu swoje potrzeby, nie zawsze prosi Go o łaski. Co innego „zwyczajna modlitwa", to jest p r o ś b a *(prière)*, a co innego „m o d l i t w a w e w n ę t r z n a" *(oraison)* [3].

Rozmowa wieczorna jest „modlitwą wewnętrzną": Mickiewicz zwraca się wyraźnie i bezpośrednio do Boga, ale nie prosi Go o nic. I do samego końca nie traci świadomości, że się do Boga zwraca, inaczej niż np. święta Teresa, która, jak to opowiada w swoim autobiograficznym *Zamku dusznym (El Castillo interior)* [4], kiedy jej duszę ogarniała — na początku ekstaz religijnych — jakaś nadziemska błogość, zapominała o tem, że jej pierwotnem źródłem było p o c z u c i e o b e c n o ś c i B o g a w d u s z y. Mickiewicz w ekstazę nie wpada: *Rozmowa wie-*

[1] *La Prière, étude de psychologie religieuse.* Paris, Alcan.

[2] Fryderyk W. H. Myers pisał do jednego ze swych przyjaciół: „A la question: *Qui* devons nous prier? nous répondrons — si étrange que soit la réponse — que *cela* n'a pas une grande importance... Nous ne savons pas assez ce qui se passe dans le monde spirituel pour saisir comment agit la prière; nous ne savons pas *qui* la reçoit, ni par quel canal nous vient la grâce" (William James, *L'Expérience religieuse*, Paryż 1908, str. 390).

[3] Ob. Abramowski, *Źródła podświadomości i jej przejawy* (Warszawa 1914), rozdział o modlitwie, i Dawid, *Psychologja religji*, str. 124.

[4] Höffding, *Erlebnis und Deutung, eine vergleichende Studie zur Religionsphilosophie.* Stuttgart 1923.

czorna jest świadomą k o n t e m p l a c j ą Boga we własnej duszy i Boga w zaświatach. Lecz ta kontemplacja jest dlań źródłem podobnej nadziemskiej błogości dusznej, jaką św. Teresie dawała dopiero e k s t a z a. A później, kiedy, mając swoje doznania w żywej pamięci, zaczął t w o r z y ć, stała się ta kontemplacja Boga, j e d n o c z e ś n i e bliskiego i dalekiego, zasadniczym p o m y s ł e m k o n s t r u k c y j n y m *Rozmowy wieczornej*.

Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu!
. . . . . .
Tyś Król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany,
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz jak sługa, panu zaprzedany.
Jak Ty na krzyżu — Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

Ten motyw kontrastu jest dobrze znany już religijnej poezji barokowej, oscylującej pomiędzy niebem a ziemią, będącej wyrazem gorącej i głębokiej religijności biednych ludzi epoki reakcji katolickiej XVII wieku, którzy grzęźli w ziemskiem błocie grzechu, ale wznosili z tego błota ręce i serca ku niebu. Tylko że poezja barokowa całego świata nie zdobyła się na tak wspaniałe uplastycznienie tego kontrastu, jak Mickiewicz, który, dźwignąwszy się z upadku moralnego, głęboko wierzył w Boga transcendentnego w niebie, a jednocześnie na ziemi — w swojem własnem sercu — czuł Jego obecność, i to nietylko jako potęgi najwyższej, ale także jako nieograniczonej miłości i niewyczerpanego miłosierdzia dla człowieka grzesznego, żałującego za grzechy:

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz.

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy, niżli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi — głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał.

Przez poczucie obecności Boga w sercu, dające człowiekowi, pomimo smutku, bólu, łez, wyrzutów sumienia, błogi spokój du-

szy, *Rozmowa wieczorna* należy do tego samego szeregu utworów chrześcijańskiej literatury religijnej, który otwierają *Wyznania* św. Augustyna. On bowiem pierwszy odzwierciedlił w swem dziele tak potężnie to, czego Marek Aureljusz miał tylko przeczucie, mianowicie doznania duszy, czującej się jednocześnie blisko i daleko od Boga. Jest później to poczucie u mistyków, nietylko średniowiecznych, ale i późniejszych, jak np. św. Teresa, św. Franciszek Salezy, a także u myślicieli, i to nietylko XVII wieku, jak np. Boehme, ale jeszcze i XIX, jak nadewszystko Maine de Biran [1].

Dodajmy jeszcze, że, formalnie biorąc, *Rozmowa wieczorna* Mickiewicza nie jest rozmową: w sercu swojem nie słyszał on głosu Boga, a przynajmniej nie mówi, że go słyszał, jak słyszała go np. święta Małgorzata-Marja, która świadczy o tem wyraźnie w swoich pamiętnikach, albo jeszcze Amiel, który opowiada w swoim *Journal intime*, że raz, kiedy już wszystko powiedział Bogu, co powiedzieć pragnął, u s ł y s z a ł w duszy głos: „Mon enfant, donne moi ton coeur".

Nie będąc jednak f o r m a l n i e rozmową człowieka z Bogiem, jest nią jednak *Rozmowa wieczorna* w s w o j e j i s t o c i e. Bo jakże? Mówi przecie Mickiewicz wyraźnie:

> Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha.
> . . . . . .
> I każda dobra myśl, jak promień, wraca
> Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
> I, nazad płynąc, znowu mię ozłaca.

Jakąż to myślą ozłocił Pan Bóg — Mickiewicza w odpowiedzi swojej? Czy tylko „rozdmuchał ognie" jego „sumieniu złemu", żeby rozbudzić w nim skruchę i pokorę? czy tylko dał mu nowe siły do życia duchowego? — Nie, dał mu coś więcej je-

---

[1] O poczuciu „obecności" w duszy ob. Dawid j. w., *Psychologja religji*, str. 88; Abramowski j. w.; Lutosławski, *The Knowledge of Reality* (Cambridge, University Press, 1930, str. 133): „The true mystic is not a part of or an emanation from his Creator, but knows himself as a creature, and the joy of union is intensified by the consciousness of the abyss originally separating Creature and Creator, which is now miraculously crossed"; Volkelt, *Das Problem der Individualität* (München 1928, C. H. Beck, str. 144): „Das Verhältnis zu Gott kennzeichnet sich durch eine eigentümliche Gegensätzlichkeit und Spannung, die doch als einfache, in sich zusammengehende Einheit gefühlt wird. Wir fühlen Gott als fernen und zugleich als unmittelbar nahen. Die Liebe zum unendlich Fernen ist zugleich eine Liebe zum Allernächsten. Wir blicken zu Gott als einem Übererhabenen empor und haben ihn zugleich unmittelbar in uns".

szcze, — to, o czem mówi Mickiewicz w pierwszej strofie wiersza *Rozum i Wiara:*

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

Co to znaczy? Mickiewicz nie byłby sobą, nie byłby Mickiewiczem, to znaczy nie czułby, że on i ojczyzna to jedno, gdyby w płomieniach jego odrodzenia religijnego zgorzała miłość narodu[1]. Otóż ta miłość jest w jego liryce religijnej — w drugiej strofie wiersza *Rozum i Wiara:*

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu:
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Jakie przymierze? To samo, które w *Hymnie do Boga* Woronicza Bóg zawarł z narodem polskim, a na którego straży kazał stanąć jemu, Mickiewiczowi! Tak: „błyszczeć na świadectwo wierze", wierze w naród, będzie (tak wierzył Mickiewicz) ta tęcza, której tysiącem promieni Bóg umalował jego czoło, kiedy się ono pokornie i dobrowolnie zgięło przed Nim. I w tę tęczę ma naród spojrzeć, żeby w niej znaleźć siły do zwalczenia klęsk, gdy „luną z niebieskiego stropu".

I oto stanął Mickiewicz na straży świętego przymierza Boga z narodem. W różnobarwnej tęczy jego poezji, która, z łaski bożej, tysiącem promieni zajaśniała dopiero dzięki jego odrodzeniu religijnemu — w trzeciej części *Dziadów*, w *Księgach Pielgrzymstwa* i w *Panu Tadeuszu* — najsilniej błyszczą dwa święte promienie: wiara w Boga i — wiara w Naród.

---

[1] Tu warto przytoczyć słowa Dawida: „Religja ludzkości, poza szczupłem kołem comte'ystów, nie zdołała poruszyć mas szerszych dlatego przedewszystkiem, że pojęcie ludzkości, zbyt oderwane, obejmujące obce sobie albo i antagonistyczne grupy społeczne, nie odgrywa żadnej roli w rzeczywistem uczuciowem i praktycznem życiu tych mas. Natomiast widzimy, że pojęcia takie jak Naród, Ojczyzna, istotnie skupiają w sobie uczucia i dążenia natury religijnej, bywają powodem doświadczeń i skutków, właściwych życiu religijnemu, jak odrodzenie, wyrzeczenie się siebie, zjednoczenie, czyny ofiarne" *(Psychologja religji*, str. 134—5).

TRWAŁE WARTOŚCI „KSIĄG PIELGRZYMSTWA"

Odczyt, wygłoszony dnia 3 maja 1929 r. na dorocznem posiedzeniu publicznem Bibljoteki Polskiej w Paryżu.

Najznakomitsze utwory wielkich twórców słowa, pomimo że pobudką do ich napisania bywają najczęściej czyto jakieś poszczególne zdarzenia z ich własnego albo cudzego życia, czy też jakieś poszczególne wypadki historyczne, — posiadają jednak nieprzemijającą wartość. Albowiem prawdziwie wielki twórca, świadomie czy nieświadomie, przekształca tworzywo, dostarczone mu przez życie, „pod kątem wieczności". Czy, tworząc tragedję o Prometeuszu, Eschylos zdawał sobie sprawę, że tworzy wiekuisty symbol tego pędu duszy ludzkiej, który po upływie blisko dwudziestu trzech wieków po śmierci wielkiego tragika nazwano i który się do dziś nazywa prometeizmem? Z pewnością nie: Eschylos chciał udramatyzować tylko mit o Prometeuszu, ale dzięki temu, że był twórcą wielkim, ujął go pod kątem wieczności, bo w duszy swego bohatera wyczuł nieśmiertelny pierwiastek duszy ludzkiej, rwącej się — przez cierpienie i bunt — do realizacji ideału. I takich przykładów możnaby przytoczyć wiele. Lecz poprzestańmy na twórczości Mickiewicza.

Wszystkie jego wielkie utwory powstały z jego własnych przeżyć, i wszystkie — o niebo całe — przerosły te konkretne przeżycia i te chwile, w których powstały. *Konrad Wallenrod* np. jest spowiedzią z tych własnych uczuć i marzeń Mickiewicza, które się zrodziły w jego duszy jeszcze w więzieniu, a dojrzały w Rosji; ale ta spowiedź jest taka, że się w niej pozna nietylko Polak, ale, bez względu na narodowość i moment dziejowy, każdy wogóle człowiek, którego ojczyzna jęczy w niewoli i który wskutek tego żyć po bożemu nie może. *Pan Tadeusz* powstał z tęsknoty do kraju lat dziecinnych, a poczęści także ze świadomego zamiaru kojenia dusz emigrantów i roztoczenia przed nimi całej piękności straconej ojczyzny, ale ujęcie wizji, zrodzonej pod wpływem tego uczucia i tego zamiaru, jest, dzięki genjuszowi twórczemu, oraz dzięki niezmiernie szerokim i bez-

dennie głębokim nurtom podświadomości człowieka i Polaka, takie, że się poemat stał, jak pięknie powiedziano „unieśmiertelnieniem polskości“ i, dodajmy od siebie, unieśmiertelnieniem człowieczeństwa — w jego codziennem życiu, szukającem radości, ale zarazem w jego dążeniu do ideału moralnego — dzięki postaci Jacka, — i moralno-patrjotycznego — dzięki wszystkim prawie postaciom.

Gdybyśmy z tego samego stanowiska rozpatrzyli *Odę do młodości*, drugą i czwartą część *Dziadów*, *Sonety krymskie*, *Farysa*, trzecią część *Dziadów* i lirykę religijną — doszlibyśmy do podobnych, a raczej do tych samych wniosków: wszystkie te utwory, powstałe z poszczególnych, rzeczywistych przeżyć poety, wzniosły się wysoko ponad czas, w którym powstały, i świecą jak wiekuiste gwiazdy na firmamencie wszechświatowej poezji.

Otóż do tych utworów Mickiewicza, których wartość jest nieprzemijająca, należą i *Księgi Pielgrzymstwa*. Wprawdzie były one tylko okolicznościową broszurą, — tak, ale pamiętajmy o tem, że i *Kazania Sejmowe* Skargi miały być tylko okolicznościową broszurą, a jednak są, niektóre przynajmniej, do dziś dnia utworem żywym, bo posiadającym trwałe wartości religijne, moralne i patrjotyczne. Dlaczego? Dlatego, że ich autorem jest Skarga. Autorem *Ksiąg Pielgrzymstwa* jest ktoś jeszcze dużo większy od Skargi, człowiek wieczny i Polak wieczny, — i dlatego w tych *Księgach* są wartości trwałe, nietylko wiekowe, ale nawet wiekuiste, zarówno polskie, jak ogólnoludzkie.

* * *

Jaką naukę wysunął Mickiewicz na samo czoło swej Ewangelji? Jej rozdział pierwszy zawiera w sobie ową przypowieść o okrętach wielkich wojennych i statku jednym małym rybackim, to znaczy zaczynają się *Księgi Pielgrzymstwa* od przykazania wiary w przyszłość i miłości Ojczyzny.

Miłości ojczyzny emigrantom wprawdzie nie brakło, ale brakło im wiary w przyszłość, — oto dlaczego zaczął Mickiewicz od przykazania wiary, oto dlaczego powrócił do niego jeszcze w rozdziale XVII: „Strzeżcie się... utyskiwania i narzekania i powątpiewania“. I mówi jeszcze Mickiewicz w tym rozdziale, że wśród emigrantów „trafiają się ludzie zaraźliwi, to jest źli Polacy“, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie Polski.

Otóż ten brak wiary w przyszłość czy nie jest czasem odwieczną wadą naszego narodu? Jeśli wierzyć literaturze, to tak! Trapiła nas ta choroba już w czasach niepodległości, a po jej utracie nie mogła zelżeć. Nie opuściła nas do dziś dnia: przecież

do dziś dnia pierwsze lepsze niepowodzenie zaraz wywołuje u nas załamywanie rąk, westchnienia: „Co będzie?“ i złowróżbne krakania co do przyszłości. To są właśnie owi ludzie „zaraźliwi“. Niechże pamiętają, co radził zrobić z nimi Mickiewicz: „Starsi... człowieka zaraźliwego złożą z urzędu, jeśli jest urzędnikiem, ...i każą mu namyślać się w domu przez pewną liczbę dni...; a jeśli się wyleczył i wyrzeka się grzechu, tedy... przyjęty będzie znowu do pielgrzymstwa. Jeśli zaś chory też same słowa, co pierwej, mówić będzie, tedy starsi napiętnują go, ogłaszając, iż jest nieczysty. I wszyscy od niego uciekać mają, od widoku jego, i od słów jego, bo... jest głupiec i złośnik... A niech się nie tłumaczy, mówiąc, że co innego jest postępowanie i czyn, a co innego myśl i mowa; bo przeciwko ojczyźnie można ciężko grzeszyć mową i myślą“.

Może ten grzech niewiary i zarażania nią społeczeństwa zniknie zczasem z naszego charakteru narodowego; oby jak najprędzej! Ale d z i s i a j słowa Mickiewicza są taką samą prawdą, jaką były na emigracji.

* * *

Drugie przykazanie ogólno-narodowe w *Księgach Pielgrzymstwa*, także o nieprzemijającej wartości, to przykazanie bezinteresownej miłości ojczyzny. „Cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: waleczni byliśmy, a nie mamy starszeństwa i znaku?“. Dalej jeszcze posuwa się Mickiewicz w tem przykazaniu bezinteresownej służby ojczyźnie, ucząc, że prawdziwy patrjota nie powinien nawet mówić o zasługach, położonych dla ojczyzny, a cóż dopiero chełpić się niemi! „Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jak dar w karbonę — tajemnie i nie mówiąc, ile złożył; przyjdzie czas, że się karbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył“. „Im kto dłużej czeka nagrody, tem większą weźmie, a kto jej tu nie weźmie, tam weźmie największą“. Mimowoli przypomina się nauka Skargi: „Możeć się i na zapłatę obejrzeć, ale na niebieską naprzód, a potem na tę doczesną“. Ale bo też Skarga pierwszy w Polsce rzucił hasło bezinteresownego patrjotyzmu, przezwyciężając umiłowaną przez humanistów polskich, nie wyłączając Modrzewskiego i Kochanowskiego, naukę Cycerona, że ojczyzna powinna za zasługi płacić. Tylko że Mickiewicz jeszcze uduchowił to hasło: on, inaczej niż Skarga, nic nie mówi o dobrodziejstwach, jakich Matka-ojczyzna użycza swoim dzieciom, albowiem za jego czasów Matka-ojczyzna co miała dzieciom do dania? nic — prócz śmierci na polu bitwy, kalectwa albo więzienia. To też nigdy

jeszcze przedtem przykazanie bezinteresownej służby ojczyźnie nie zabrzmiało w poezji naszej tak czystym dźwiękiem, nigdy przedtem nie podniesiono tej służby na takie wyżyny heroizmu.

* * *

Z obowiązkiem miłości ojczyzny Skarga łączy obowiązek zgody obywatelskiej. Mickiewicz także. Inaczej być nie może: on znał dobrze swój naród, więc rozumiał, ile to nieszczęść przyniosła i przynosi Polsce niezgoda. A cóż było w dawnej Polsce i co jest w dzisiejszej, jeśli nie przyczyną psychologiczną, to potężnym czynnikiem niezgody? Brak silnie rozwiniętego zmysłu państwowego, brak zrozumienia konieczności subordynacji politycznej i społecznej. Ten zaś brak ma swoje źródło może nietyle w egoizmie, ile w egotyzmie, w tem, co Ochorowicz nazwał kiedyś osobnictwem, w wygórowanej, przeczulonej miłości własnej, oraz w nadmiernej drażliwości i dumie osobistej. W tem dopiero świetle zrozumiemy całą głębokość przykazania Mickiewicza: „Wchodząc na radę, albo zmowę, upokórzcie się przed oczyma waszemi, albowiem bez pokory niema zgody. Stąd nie mówi się do ludzi: podnieście się do zgody, ale: skłońcie się do zgody".

Lecz nietylko bez pokory nie może być zgody; nie może jej być także bez miłości czegoś wyższego nad jednostkę, a nawet nad rodzinę, to jest bez tej miłości, na której ołtarzu człowiek powinien złożyć miłość i własną, i rodzinną.

Otóż w *Księgach Pielgrzymstwa* jest cały wykład tej nauki o zgodzie i niezgodzie, aktualny nietylko w roku 1832, na emigracji, lecz i w roku 1929, w Polsce. Oto choćby ta nauka: „Nie wyszukujcie ustawicznie w przeszłości błędów i grzechów... Nie krzyczcie: oto na tym człowieku taka plama jest, muszę ją pokazać; oto ten człowiek popełnił taki a taki występek". Naprawdę, zdaje się, że te słowa są pisane nie przed stu blisko laty, ale wczoraj. Bo my tak mało jeszcze rozumiemy, że za błędy i grzechy przeszłości, a i teraźniejszości także, jest odpowiedzialna każda jednostka, należąca do społeczeństwa, to znaczy całe społeczeństwo. Póki tego nie zrozumiemy, sądy nasze o jednostkach będą niesprawiedliwe i nieprawdziwe, bo albo zbyt surowe, albo zbyt pochlebne: bądź negacja i pręgierz, bądź apoteoza i legenda!

A czy przestarzała się choć trochę nauka Mickiewicza, zawarta w przypowieści o niewieście, leżącej w letargu, której nie mogli wyleczyć lekarze, bo każdy z nich wolał, aby niewiasta umarła raczej, niż by ją miał uleczyć nie on, swoim systemem? Czy, zajrzawszy niektórym przewodnikom naszym głęboko

w serca, nie znajdziemy na ich dnie ukrytych słów: „Niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby zbudzić się miała według arystokracji"; albo: „Niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracji".

Dosyć tych przykładów, aby się przekonać, że nauka patrjotyzmu zawarta w *Księgach Pielgrzymstwa* jest do dziś dnia młoda.

* * *

Te trzy główne cnoty, które Mickiewicz pragnął wpoić w serca emigrantów, t. j. wiara w przyszłość i we własne siły, bezinteresowna, heroiczna miłość ojczyzny i zgoda obywatelska, do dziś dnia są konieczne dla zdrowia duszy polskiej; te cnoty to trzy fundamenty, bez których się jako wielki naród i potężne państwo ostać nie możemy.

I nie tylko my, ale każdy wogóle naród: oto dlaczego naczelne wartości narodowe *Ksiąg Pielgrzymstwa* są zarazem wartościami ogólno-ludzkiemi.

Tak, to wszystko, co Mickiewicz mówi o obowiązkach jednostki wobec ojczyzny, a co streszcza się w nieśmiertelnem przykazaniu powiększania i polepszania dusz, jako niezbędnym warunku potęgi i pomyślności ojczyzny, ma wartość wiekuistą, „nadhistoryczną" (jakby powiedział myśliciel niemiecki Rudolf Eucken); albowiem wszędzie i zawsze potęga i pomyślność kraju zależy przedewszystkiem od wartości moralnej jego obywateli. Rozumieli to już myśliciele starożytni, Platon i Arystoteles, rozumiał św. Tomasz z Akwinu; u nas rozumieli to, w wieku XVI, Modrzewski i Skarga, w XVIII — Staszic i Kołłątaj, ale nikt nie rozumiał tego tak głęboko i nikt nie wyraził z taką siłą przekonania i z tak cudowną pięknością słowa, jak Mickiewicz w *Księgach Pielgrzymstwa.*

Ale to jeszcze nie wszystko. *Księgi* ożywia ta sama wiara, która w poezji Mickiewicza po raz pierwszy zadźwięczała w *Odzie do młodości,* a która później przenikać będzie *Prelekcje paryskie,* — mianowicie przekazana epoce romantyzmu przez kulturę oświecenia wiara w postęp moralny całej ludzkości.

Nie wierzył Mickiewicz, żeby się ten postęp mógł urzeczywistnić jedynie drogą pokojową; owszem, widział na drodze, wiodącej do postępu, gwałtowne przewroty i krwawe walki, uznaje ich konieczność, co więcej, ich uprawnienie moralne. Lecz i tę prawdę rozumiał — i to stanowi także wiekuistą, „nadhistoryczną" wartość *Ksiąg Pielgrzymstwa,* — że postęp nie polega na brutalnem zrywaniu z przeszłością. „Dopóki nie można jeszcze zastąpić tego, co stare, czemś nowem, trzeba to stare do czasu zachować". „Gotując się do przyszłości, potrzeba wracać

się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek, gotujący się do przeskoczenia rowu, wraca się wtył, aby się tem lepiej rozpędzić". Czy to nie wiekuiste hasło rzetelnego i naprawdę moralnego postępu?

Dalej. Już *Księgom Pielgrzymstwa*, a nie dopiero *Prelekcjom paryskim*, przyświeca idea, będąca jednym z najpiękniejszych kwiatów naszego romantyzmu, że ośrodkiem całej kultury powinna być kultura moralna. Może, albo raczej z największą pewnością, nie docenia Mickiewicz kultury intelektualnej, mówiąc np., że nauki Guizota i Cousina „są jako młyny puste": ale nie myli się, kiedy wybucha świętym gniewem na kulturę materjalną, jako na jedyny cel kultury; nie myli się nadewszystko, kiedy mówi, że „cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska".

„Wasz zakon inny jest, — mówi Mickiewicz do emigrantów — bo wy mówicie: wszystko, co nasze jest, Ojczyzny jest; wszystko, co naszej Ojczyzny jest, wolnych ludów jest". A więc braterstwo narodów? Polityka chrześcijańska? Czy to nie utopja?

Na dziś — utopja, ale dlaczego nie mamy wierzyć, że „gdzieś na wieków późnej fali" utopją być przestanie? Doktryna państwowa ze swojem hasłem *salus reipublicae suprema lex esto*, i doktryna nacjonalistyczna: „naród ponad wszystko" — te przykazania dyktuje nam twarda rzeczywistość, instynkt samozachowawczy; dzisiaj jest naszym świętym obowiązkiem budować potężne państwo i jeden silny, zjednoczony naród i, co za tem idzie, wypowiedzieć walkę naszym — zarówno zewnętrznym, jak wewnętrznym — wrogom, którzy nam w tej pracy przeszkadzają. Tak, ale — ze stanowiska nie dzisiejszej rzeczywistości, tylko przyszłości — czy nie są te przykazania, przy całej swojej mądrości i mocy obowiązującej, tylko środkami, wiodącemi do urzeczywistnienia ideałów jeszcze wyższych, do ideału Mickiewiczowskiego wolnej konfederacji wolnych narodów, do polityki chrześcijańskiej Krasińskiego, do przeanielenia ludzkości Słowackiego, do Królestwa Bożego Cieszkowskiego, do bożoczłowieczeństwa Trentowskiego? Jasną jest rzeczą, że, wobec twardej rzeczywistości, człowiek powinien dążyć przedewszystkiem do realizacji ideałów niższych: kto tej „matematyki życia" nie rozumie (a u nas, dzięki wiekowej niewoli i dzięki wypaczeniu przez nią myśli politycznej, są takich naiwnych jeszcze całe legjony!), ten nie pracuje dla ojczyzny, ten jest często bezwiednem narzędziem w rękach różnych nauczycieli, a dużo jeszcze częściej w rękach wrogów naszych, którzy, dążąc nietylko do swoich osobistych, ale także, jak Żydzi, do swoich narodowych celów, wyzyskują naszą dobrotliwość i naiwność, chwytając nas na lep

haseł ogólno-ludzkich i zabijając w nas rozumienie tego prawa rozwojowego, tego faktu przyrodniczego, że droga do ideału ludzkości prowadzi przez ideały narodowe.

Czy jednak z tego wynika, żeby w hierarchji ideał ogólno-ludzki nie był wyższy od narodowego? Nie, ideał braterstwa wszystkich ludzi i wszystkich narodów jest, obok ideału Boga, jako miłości i sprawiedliwości, najwyższym ze wszystkich ideałów, jakie dotychczas wykołysała dusza ludzka. I cześć naszym wielkim romantykom i mesjanistom, że, przy całym swoim patrjotyzmie, przy całej sile, z jaką głosili ideały narodowe, o tym najwyższym ideale nie zapomnieli. O mesjanizmie polskim śmiało można powiedzieć, że ludzkości całe ogromy przeniknął z końca do końca, a jego podłożem granitowem, na którem później zbuduje Krasiński swój „gmach ze srebra i kryształu", są *Księgi Pielgrzymstwa* Mickiewicza.

WZNIOSŁOŚĆ W „PANU TADEUSZU"

Odczyt, wygłoszony dnia 3 maja 1934 r. na dorocznem posiedzeniu Bibljoteki Polskiej w Paryżu.

W jednym ze swoich najpiękniejszych szkiców literackich [1] mówi Stanisław Tarnowski: „W tej wielkiej *Pieśni o ziemi naszej*, którą śpiewają wszyscy nasi poeci, jest wiele tonów i strof wiele. Raz ta, drugi raz inna strofa zdaje nam się najpiękniejszą... Czasem będzie to ton rzewny, jak żeby sto arf razem towarzyszyło do płaczu, czasem rześki i wesół jak nuta mazurka, czasem głuchy jak podziemny odgłos trzęsienia ziemi, czasem uroczysty jak kościelny dzwon, czasem cichy „jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pojęczej", lub znowu „huk jak stu gromów". Ale wszystkich tych tonów, razem w jeden akord połączonych, nie słyszy się zwykle... Akord pełny, obejmujący wszystkie te tony, od najcichszych do najpotężniejszych, od najsłodszych do przykrych „jak zgrzyt żelaza po szkle", pieśń zupełna, w której każde z uczuć naszych ma swoją strofę, a w niej wszystkie swoje tony, lutnia doskonała, w której żadnej struny nie braknie, i zarazem obraz, który obejmuje wszystkie strony życia i wszystkie siły duszy, wszystko, co tylko człowiek ma i co kocha, — taki jest tylko jeden: *Pan Tadeusz*, i dlatego on trzyma prym w *Pieśni o ziemi naszej*".

Te słowa Tarnowskiego są, zapewne, raczej impresją estety aniżeli sądem estetyka. Czy jednak ta impresja nie ostaje się wobec analizy estetycznej?

A nie idzie nam tutaj ani o mistrzowską kompozycję poematu i o zrealizowanie tego jej ideału, który estetyka nazywa jednością w rozmaitości, ani o doskonałą harmonję treści z formą, ani nawet o to, że ten poemat spełnia inny jeszcze ideał sztuki, że mianowicie, odrywając nas od rzeczywistości, daje nam jednocześnie jej wspaniałą ułudę, a to dzięki swojej plastyce, malowniczości i iście królewskiemu bogactwu środków, wywołu-

[1] *Adam Mickiewicz, życie i dzieła, zarys biograficzny.* Petersburg (właściwie: Kraków) 1898, str. 71—72.

jących wrażenia motoryczne, które mają tak doniosłą rolę w odczuwaniu piękna. Nie idzie nam i o to, że w poezji epickiej całego świata daremnieby szukać równie doskonałego urzeczywistnienia tego ideału poezji, który Wagner nazwie później „Gefühlswerdung des Verstandes", — bo przecie cały *Pan Tadeusz*, od początku do końca, przy całym swoim spokoju epickim, jest przesiąknięty własnem uczuciem poety, zabarwiającem i ogrzewającem przedmiotową prawdę nietylko ważnych albo i wielkich zdarzeń w życiu czyto jednostki, czy całego jednego narodu, ale nawet drobnych szczegółów szarego, pospolitego życia.

Otóż, nie mówiąc o tem wszystkiem, pytamy: który inny utwór poezji polskiej może budzić w duszy tak różnorodne wrażenia estetyczne, jak *Pan Tadeusz*, czyli, co na jedno wychodzi, gdzie indziej jest taka obfitość i różnorodność postaci piękna? Stanowcza przewaga piękna radości życia nie wyklucza tu piękna jego smutku; tak zwana charakterystyczność, której artystycznem wcieleniem jest prawie cały świat szlachecki, nie wyłącza właściwej piękności, jaką tchnie np. postać Zosi i niektóre opisy pogodnej natury; od typowości Sędziego, Podkomorzego, ogółu szlachty zaściankowej odbija tem silniej potężna indywidualność Jacka i oryginalność Gerwazego czy Maćka; wdzięk przeplata się ze wzniosłością; komizm postaci i sytuacyj ustępuje niekiedy miejsca ich powadze, albo i tragizmowi; pogodny humor poety, kochającego życie i patrzącego na ludzi to z wesołym śmiechem, to z pobłażliwym uśmiechem, nie zabija poważnego humoru mędrca.

I możnaby tak jeszcze długo wyszczególniać różnorodne postaci piękna, tem dłużej, że jest ich z pewnością dużo więcej, niż tych, które wymienia estetyka poezji. Nasza wciąż jeszcze bardzo uboga krytyka estetyczna mało się dotychczas zajmowała analizą i charakterystyką piękna w *Panu Tadeuszu*, poprzestając prawie wyłącznie na sądach, często trafnych, a nawet i subtelnych, ale będących raczej owocem bezpośrednich wrażeń, aniżeli ich przemyślenia. Wspaniała rozprawa Stanisława Witkiewicza *Mickiewicz jako kolorysta*, znakomite studjum Tretiaka *Obrazy nieba i ziemi w „Panu Tadeuszu"*, śliczny szkic Kazimiery Iłłakowiczówny *Serce poety w „Panu Tadeuszu"*, — należą do wyjątków. O jednej z najistotniejszych cech poematu, którą jest humor, pisano niemało, ale o innych postaciach piękna — bardzo mało, albo i nic, nie wyłączając tej postaci, bez której w Polsce ogół społeczeństwa doniedawna jeszcze nie rozumiał i nie uznawał, a niektórzy, zwłaszcza starsi,

wychowani w kulcie poezji romantycznej, do dziś dnia nie uznają wielkiej poezji. Tą postacią piękna jest wzniosłość. Jakże znamienną jest rzeczą, że mówiło się i wciąż mówi jeszcze tylko o trzech wielkich poetach epoki romantyzmu, a czwartego wielkiego, Fredry, nie nazywało się i jeszcze nie nazywa wielkim! Dlaczego? Bo w komedjach niema wzniosłości, albo przynajmniej jest jej bardzo mało. Wielkim poetą nazywa się Wyspiańskiego. Czemu? Dlatego przedewszystkiem, że w jego poezji jest wzniosłość.

I oto, w roku jubileuszowym *Pana Tadeusza*, warto się zastanowić, co jest w nim wzniosłego.

I.

Tylko nasamprzód — co to jest wzniosłość? Odpowiedź, choćby krótka, jest konieczna, albowiem w naszej mowie potocznej nie wszyscy przywiązują do tego wyrazu jedno znaczenie; co więcej, nasza mowa potoczna niezawsze tu jest zgodna z terminologją estetyczną. Tę zaś terminologję przejęliśmy od obcych — głównie od Niemców.

Grecy nazywali wzniosłość wysokością: ten znakomity traktat, który jest w nauce europejskiej pierwszem studjum o wzniosłości, a przypisywany myślicielowi III wieku po Chrystusie, Longinowi, ma tytuł *Περὶ ὕψους — O wysokości*[1]. Rzymianie jednak nazywali wzniosłość nie wysokością, tylko wyniosłością — *sublimitas:* Plinjusz mówi o „wyniosłości platońskiej", Kwintyljan — o „wyniosłości pieśni bohaterskiej". Ten to termin przejęli od Rzymian Francuzi *(sublimité)*, Włosi *(sublimità)* i Anglicy *(sublimity)*. Niemcy utworzyli wyraz rodowity, do dziś dnia obowiązujący w terminologji estetycznej: *Erhabenheit.*

A my? W wieku XVIII, pomimo że w tem właśnie stuleciu urodziła się w Europie zachodniej estetyka naukowa, u nas terminologja estetyczna była jeszcze w stanie niemowlęctwa[2] i nie miała wyrazu, któryby dokładnie oznaczał pojęcie wzniosłości. W wieku XIX, w epoce pseudoklasycyzmu, prawodawca „dobrego smaku", Stanisław Potocki, nazywał styl Demostenesa nie wzniosłym, tylko „wyniosłym", „gwałtownym", pełnym „zachwycenia". Stary Adam Czartoryski mówi już o „myślach, słowach i uczuciach górnych", o „stylu górnym", a Naruszе-

[1] Że ten termin tylko częściowo odpowiada temu, co dzisiaj nazywamy wzniosłością, o tem ob. George Saintsbury, *A History of Criticism and Literary Taste of Europe*, Tom I, str. 152 i nast.

[2] Ob. Stanisław Dobrzycki, *Notatki do dziejów języka polskiego literackiego, II: Z dziejów języka krytyki literackiej polskiej (Prace Filologiczne*, Tom VII).

wicza nazywa „poetą szczytnym". W niepospolitej na swój czas *Teorji smaku w dziełach sztuk pięknych* Euzebjusza Słowackiego, który się opierał już na estetyce niemieckiej, mamy cały jeden paragraf *O uczuciu wielkości i górności*, którą autor — po raz pierwszy w Polsce — odróżnia od właściwego piękna. Filomata Józef Kowalewski zatytułował swój przekład owego traktatu greckiego nie „O wzniosłości", tylko *O górności*.

Termin „wzniosłość" wprowadził do estetyki polskiej bodaj czy nie dopiero Brodziński, tłumacząc tak termin niemiecki *Erhabenheit* — nasamprzód (1825) w przekładzie rozprawy Kanta *Uwagi o piękności i wzniosłości*, a potem (1834) we własnej rozprawie *Piękność i wzniosłość*. Zresztą już w wykładach uniwersyteckich posługiwał się tym terminem, który ostatecznie uświęcił u nas Kremer w swoich *Wstępnych zasadach estetyki* (czyli w tomie pierwszym *Listów z Krakowa*, r. 1843).

Jedyne, jak dotychczas, studjum specjalne o tej postaci piękna w poezji nosi tytuł: *Wzniosłość u Słowackiego*. Autorem jest Ignacy Matuszewski, pierwszy nasz wybitny krytyk, który nie poprzestawał na wypowiadaniu swoich własnych różnorodnych wrażeń estetycznych, ale nadto badał ich psychologję i określał ich znamiona.

Otóż polska mowa potoczna do dziś dnia pojmuje termin estetyczny „wzniosłość" i nieściśle, i ciasno. Nieściśle, bo nieraz miesza „wzniosłość" z „podniosłością". Kiedy mówimy np. „w z n i o s ł y c z y n", to najczęściej mamy na myśli jego wartość e t y c z n ą, a nie e s t e t y c z n ą. Ściśle biorąc, powinniśmy mówić „czyn p o d n i o s ł y", co zresztą nie przeszkadza, że wszystko, co jest naprawdę etycznie podniosłem, może być estetycznie wzniosłem. Ale mniejsza o to.

Ważniejszą jest rzeczą, że czyn, nie będąc etycznie podniosłym, co więcej, będąc niemoralnym, a nawet zbrodniczym, może być estetycznie wzniosłym — oczywiście tylko w sztuce, bo w życiu żaden czyn zbrodniczy (albo, dajmy na to, obrzydliwy) nie może wywołać wrażenia estetycznego w duszy człowieka — przynajmniej człowieka, nie wyzutego z poczucia moralności. Ale w sztuce — np. w malarstwie, a nadewszystko w poezji — może, bo przecie prawdziwa sztuka jest nie kopją, nie odtworzeniem rzeczywistości, tylko jej przetworzeniem — takiem, że, dając nam jej złudzenie, jednocześnie odrywa nas od niej, i dzięki temu daje nam niepamięć nieetycznej rzeczywistości. Tak np. — w życiu — planowanie przez zbrodniarzy morderstwa śpiącego człowieka, a cóż dopiero wykonanie tego planu, jest rzeczą nietylko straszliwą, ale okropną, potworną; ale — w poezji Szekspira, w drugim akcie *Makbeta* — jest rzeczą estetycznie wzniosłą. Albo jeszcze: W powieści Choro-

mańskiego *Zazdrość i medycyna* opis operacji Rebeki Widmarowej jest okropny, a może nawet obrzydliwy; tak, ale z opisu tej operacji autor umiał wydobyć, jak to słusznie powiedziano[1], „coś znacznie więcej, niż opisowość", bo fantastyczną biegłość i nieprawdopodobną przytomność umysłu chirurga Tamtena, i szaloną szybkość długiej operacji, nie mówiąc już o jej grozie.

„Artystycznem okiełznaniem okropności" nazwał Nietzsche wzniosłość w sztuce; i miał słuszność o tyle, że wszystko wogóle, co artysta ujął w kształt artystyczny, może wywołać wrażenie estetyczne. Z tem wszystkiem ta definicja Nietzschego jest bardzo jednostronna, a nawet rozpaczliwie ciasna. Bo czyż wrażenie wzniosłości płynie tylko z artystycznego okiełznania okropności? czy np. poświęcenia życia dla wiary albo dla ojczyzny nie nazwiemy wzniosłością? A cóż dopiero powiedzieć o Golgocie? czy można sobie wyobrazić coś bardziej nadludzko wzniosłego nad poświęcenie i dobrowolną mękę Boga-człowieka dla zbawienia ludzkości? I czy trzeba przypominać, że dla Kanta dwie rzeczy były najwznioślejsze ze wszystkich: widok nieba gwiaździstego nad głową człowieka, i głos nakazu moralnego w jego duszy? To wszystko — w życiu.

A w sztuce? Nie przecząc, że wzniosły jest i Orestes, mordujący rodzoną matkę, i Prometeusz, bluźniący Zeusowi, i lady Makbet, i jej młodsza siostra Balladyna, pytamy, czy nie są postaciami wzniosłemi: i król Edyp w Kolonie, i Antygona, i Książę Niezłomny, i Faust w drugiej części tragedji, i Roza Weneda, i Lilla Weneda, i Chilon, od chwili, kiedy, widząc mękę Glauka, przejrzał i uwierzył w Chrystusa?

Jakże teraz wybrnąć z trudności tego zagadnienia? Będzie to rzeczą łatwą, ale pod jednym warunkiem: trzeba znaczenie wyrazu „podniosłość" ograniczyć jedynie do wartości moralnych, znaczenie zaś terminu „wzniosłość" rozszerzyć, oznaczając nim to swoiste uczucie estetyczne, które w duszy ludzkiej rodzi wszelka wogóle wielkość ponad zwykłą miarę, bez względu na to, czy w życiu jest moralna, czy niemoralna, dobroczynna, czy złowroga, podniosła, czy nikczemna, pogodna, czy okropna, cicha, czy „huczna", łagodna, czy „rozhukana" jakby powiedział Juljusz Słowacki, to znaczy ten poeta, któremu bogactwem różnych rodzajów wzniosłości nie dorównał u nas nikt, nie wyłączając Mickiewicza.

„Uczucie górności — mówi Euzebjusz Słowacki — jest to uczucie, które nas w nadzwyczajne wprawia podziwienie, które nas zachwyca i odmienia gwałtownie stan duszy; różni się to uczucie od uczucia piękności, to albowiem jest spokojne i słodkie,

[1] St. Piasecki, *Prosto z mostu*, Warszawa 1934, str. 60.

tamto mocne, burzliwe i głębokie; czem jest wesoły i zielonością okryty pagórek do czarnej i piorunami pooranej skały, tem jest p i ę k n o ś ć w stosunku do g ó r n o ś c i“ [1]. Nowoczesna estetyka psychologiczna ma właśnie to jeszcze do dodania, że źródłem przedmiotowem uczucia „górności“ jest wielkość, i że to uczucie, będąc istotnie zawsze „mocnem“ i „głębokiem“, może nie być „burzliwem“, bo przecie nie każda wielkość, nie każdy „zachwyt“ i nie każde „nadzwyczajne podziwienie“ musi być gwałtowną burzą: przeciwnie — może być wspaniałą, błogosławioną ciszą serca. Tak, mylą się ci, co, jak Matuszewski, za nieodzowny warunek uczucia wzniosłości poczytują przymieszkę, i to mocną, pewnej przykrości, ostrości, niepokoju, bólu: zapewne, w niektórych rodzajach wzniosłości ta przymieszka jest, np. w *Makbecie* albo w *Ojcu zadżumionych;* a jeżeli obydwa te utwory dają nam zadowolenie estetyczne, to dlatego, że jest w nich „artystyczne okiełznanie“ tych przykrych uczuć, jest „ulga“, żeby się posłużyć terminem Arystotelesa, zastosowanym do tragizmu, którego bez wielkości i, co za tem idzie, bez wzniosłości niema. Otóż są — zarówno w naturze, jak w sztuce — zjawiska, dające wrażenie wzniosłości bez przymieszki uczuć przykrych, jakoto: widok gwiaździstego nieba, spokojnej powierzchni bezkresnego morza albo pogodnego wschodu słońca; a czy taka np. *Madonna Sykstyńska* Rafaela, której nikt chyba nie odmówi wzniosłości, wywołuje jakiekolwiek przykre uczucie, któreby wymagało „ulgi“? Chyba że kto powie, iż każda wogóle wielkość przygnębia człowieka, bo się wobec niej czuje prochem; to jednak uczucie jest uczuciem wtórnem, płynącem nietyle z bezpośredniego wrażenia estetycznego, ile ze świadomego albo napół świadomego rozmyślania nad własną małością. Co więcej, nawet w tem przygnębieniu jest jakaś rozkosz duchowa — właśnie na widok wielkości, czyto w świecie rzeczywistym, czy też w „rajskiej dziedzinie ułudy“.

W twórczości Mickiewicza wzniosłość jest już w młodzieńczej *Odzie do młodości.* A później wzniosły jest i Gustaw w ogromie swojej miłości, i swojej rozpaczy, i swego uspokojenia, i Konrad Wallenrod w ogromie swego poświęcenia dla ojczyzny, i swojej męki duchowej, i w majestacie swojej samobójczej śmierci; wzniosłe są niektóre *Sonety krymskie* w swoim przepychu; wzniosły jest *Farys* w swoim szalonym pędzie. A cóż dopiero powiedzieć o Konradzie-Prometeuszu w jego walce z Bogiem, i o księdzu Piotrze w ogromie jego pokory! Wzniosłą jest opowieść Sobolewskiego o kibitkach, której groza jest okiełznana nietylko końcową modlitwą do Boga, ale i ma-

[1] *Dzieła,* Tom I, Wilno 1824, str. 68.

jestatycznym spokojem całej opowieści. Wzniosłem jest zakończenie *Przeglądu wojska* w wielkości cierpienia i psiego posłuszeństwa biednego chłopa rosyjskiego i w ogromie współczucia poety. Wzniosłą jest *Modlitwa wieczorna* w przepastnej głębi uczucia religijnego i w majestacie rozmodlonej duszy.

To wszystko — przed *Panem Tadeuszem*. Jednego tylko tam niema: wzniosłości okropnej, takiej np., jaka jest w pierwszej scenie *Beatrix Cenci*, gdzie córka kąsa rodzonego ojca, kiedy się ten targa na jej dziewictwo, albo takiej, jaka jest w postaci Popiela w pierwszym rapsodzie *Króla Ducha*.

II.

A teraz — *Pan Tadeusz*. Niejeden może powie, że w tych „księgach", które sam Mickiewicz nazwał prostemi, jako wieśniaczek piosenki, niema tak różnorodnej i tak wielkiej wzniosłości, jak w utworach wcześniejszych, że np. niema tam nic, nie wyłączając spowiedzi Jacka, coby żywiołowym wybuchem uczucia mogło się mierzyć z *Improwizacją*, grozą z opowieścią o kibitkach, głębią uczucia religijnego i ogromem pokory z *Modlitwą wieczorną*. Może tak jest naprawdę — wszystko zależy od upodobań indywidualnych. Lecz, korzystając właśnie z indywidualnych upodobań, które były inne w młodości, inne w wieku dojrzałym, a jeszcze inne są o zachodzie życia, niechaj wolno będzie powiedzieć, że tak różnorodnej wzniosłości, jak w *Panu Tadeuszu*, niema w żadnym innym utworze Mickiewicza.

A więc nasamprzód — wzniosłość obrazów natury. Już w *Sonetach krymskich* są wspaniałe szkice przyrody egzotycznej, załamane w pryzmacie to podziwu i zachwytu, to radości życia, to smutku i tęsknoty, czyli, innemi słowy, opisy natury są w tych sonetach jakby tylko symbolem własnych uczuć poety. A do tego ciasne i ścisłe rozmiary wierszowe sonetu, na które się skarżył nawet Goethe, sprawiły, że chociaż *Sonety krymskie* są jednem z największych arcydzieł liryki całego świata, nie mogło być w nich pełni obrazów natury.

W *Panu Tadeuszu* — inaczej: na blisko dziesięć tysięcy wierszy całości niemal półtora tysiąca przypada na obrazy natury[1]; więc, jeśli nie we wszystkich, to w niektórych pełnia być mogła — i jest. Innemi słowy: jedne obrazy są tylko zlekka naszkicowane, są jakby tylko tłem albo raczej jakby organiczną częścią akcji; inne, wykończone w najdrobniejszych szczegółach, są naturalnie także w pewnym związku z akcją, niemniej przeto stanowią samodzielne całostki artystyczne. Otóż wśród jednych

[1] Pigoń, Wstęp do *Pana Tadeusza* w wydaniu *Bibljoteki Narodowej*.

i drugich obrazów są takie, które przez wielkość swoich zjawisk wywołują uczucie wzniosłości.

Oto np. widok zamku: wieża, dzięki mgle porannej, „zdała się dwakroć wyższa"; wrażenie wielkości zjawy potęguje słońce, złocące ponad mgłą dach i łamiące w resztce wybitych szyb „promienie wschodu w tęczach rozmaitych". Obraz, chociaż niewątpliwie wzięty z rzeczywistości, sprawia wrażenie jakiegoś zjawiska fantastycznego. Lecz „dwakroć wyższa" wieża zamkowa jest tylko tłem do ukazania się na widowni i do charakterystyki Hrabiego, który, lubiąc „widoki niezwykłe i nowe", oczom własnym nie wierzył,

> Że to były też same mury; tak odświeżył
> I upiększył poranek zarysy budowy.

Samo ukazanie się Hrabiego i wogóle cała jego postać nie ma w sobie, oczywiście, ani źdźbła wzniosłości, jest raczej — przez swój komizm — jej kontrastem.

Ale oto przykład tła, które w zupełności harmonizuje ze wzniosłością akcji, a nawet ją potęguje dzięki własnej wzniosłości:

> Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
> Kwietniej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,
> Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
> Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
> Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
> Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
> Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
> Podobne do niknących piór Anioła-Stróża,
> Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
> Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Samo już porównanie nieba do cichego morza, a nadewszystko skrzydeł chmurki do piór Anioła-Stróża zabarwia to preludjum do obrazu poranka jakąś spokojną wzniosłością. A potem, kiedy już słońce wzeszło, tyle światła, takie bogactwo barw, że wolno już mówić o przepychu wzniosłości, która się łączy w jedną całość ze wzniosłością uroczystą rozmodlonego ludu, klęczącego na murawie i oczekującego na coś także wzniosłego — na uroczystą rehabilitację pośmiertną Jacka Soplicy.

A zakończenie *Pana Tadeusza*? Czy obraz zachodu słońca nie jest wzniosły, i to nietylko przez swój cichy spokój i znowu przez wspaniały przepych barw, ale i przez kontrast z hucznem, rozbawionem towarzystwem soplicowskiem, kontrast jaskrawy, ale tylko pozorny, bo w istocie i zabawa ma w sobie cechy wzniosłości — i w majestatycznym polonezie, i w wesołości,

nie pustej, tylko płynącej z głębi serc, wezbranych patrjotyczną radością i nadzieją zmartwychwstania ojczyzny!

Lecz ta radość i nadzieja, to „oczekiwanie — tęskne i radosne“ „ogarnęło Litwinów serca“ jeszcze wcześniej, zanim generałowie polscy przybyli do Soplicowa:

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno! kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!

Ogrom własnych przeżytych uczuć, raz po raz wzbierających w duszy poety na ich wspomnienie, jest, obok plastycznej wyobraźni twórczej, głównem źródłem r a d o s n e j i j e d n o c z e ś n i e w z r u s z a j ą c e j w z n i o s ł o ś c i obrazu wiosny; serce wyolbrzymiło wspomnienia i przystroiło je w kwiaty, jeśli nie fantastyczne, to skupione w jedną wspaniałą symfonję z jakimś t a j e m n i c z y m niepokojem zwierząt domowych i ptaków i z przestrachem żubra w puszczy, który na widok pękającego zbłąkanego granatu

. . . . . pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

I dopiero na tem tle wybucha bezbrzeżna, błogosławiona radość ludzi:

Wszyscy, pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

Niech tych przykładów wystarczy. Teraz — wzniosłość obrazów samoistnych.

Jeżeli kto powie, że „koncert wieczorny“ wkracza w dziedzinę wzniosłości c i c h e j, a u r o c z y s t e j, tego nie posądzimy ani o brak poczucia estetycznego, ani o nieznajomość nomenklatury estetycznej. A nie idzie tutaj naturalnie o „szmery musze i ptaszęcą rozmowę“, tylko o grę stawów, z których jeden „modrą piersią wydał jęk cichy“, ale „u r o c z y s t y“, a drugi odpowiedział mu krzykiem „ż a ł o ś n i e n a m i ę t n y m“. A potem — w kilku zaledwie wierszach — t a j e m n i c z a wzniosłość nocy księżycowej. Przypominają się słowa Kanta, że „umysły są zdolne do uczuć wzniosłych przy cichym letnim wieczorze, gdy drżące gwiazd światło przebija się przez cienie nocy i gdy księżyc samotny w pełni jest zawieszony“. Do tego wśród gwiazd ukazuje się „cud niebieski“ — kometa, na którą z „niewymownem przerażeniem cały lud litewski poglądał“, i oto

wzniosłość staje się niemal straszliwą, do czego się przyczyniają jeszcze krzyki złowieszczych ptaków, przeraźliwe wycie psów i fantastyczna zjawa „dziewicy moru", którą strażnicy widzieli idącą przez cmentarz, powiewającą skrwawioną chustą.

Inny obraz — wzniosłość, zupełnie pozbawiona tajemniczości, niemniej przeto groźna — „natury przestrach": burza. Jeżeli w którym obrazie, to w tym uwydatnia się całkowicie prawda, wyjaśniona przez Lessinga — o różnicy pomiędzy malarstwem a poezją. Malarz może pokazać jedną tylko chwilę rzeczywistości, poeta — cały jej przebieg. To, bez czego niema strasznej burzy — ciężkie chmury, ulewa, grzmoty, błyskawice — nie odrazu ukazuje się w obrazie, a raczej nie w obrazie, tylko w opowieści: nasamprzód gromadzenie się na niebie pędzonych wichrem ogromnych obłoków, potem straszna cisza (jakże inna od ciszy morskiej w sonecie krymskim!), cisza, w której chwiejące się rośliny stanęły „jak martwe, z niemym wyrazem Nioby" i która wprawia w niepokój i zwierzęta, i ptaki; a potem — jakieś niesamowite błyski na ziemi, która, „jeszcze słońcem ozłocona, świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona". I teraz dopiero „natury przestrach": niebo zaczyna szaleć, rzucając na ziemię takie potoki deszczu, że i ono, i ziemia, zlewają się w jedną ciemność, rozświecaną tylko błyskawicami i ogłaszaną hukiem piorunów. Chyba żaden inny obraz natury w poezji Mickiewicza nie zadaje w tym stopniu kłamu słowom Kremera, że „natura w swych najwyższych pięknościach jest ukryta dla sztuki".

A bory i puszcze litewskie w *Panu Tadeuszu*! Nie pomylił się Kant, mówiąc, że „grzędy kwiatów, niskie krzewy i drzewa w ogrodach są piękne", ale „wysokie dęby i samotne cienie świętego gaju — wzniosłe"[1]. Gaj, w którym towarzystwo soplicowskie zbiera grzyby, nie ma ze świętym gajem nic wspólnego, choćby tylko dzięki Telimenie i mrówkom (z konsekwencjami); ten gaj jest tylko piękny; tylko piękne są i lasy okoliczne. Ale puszcze litewskie są wzniosłe: nietylko przez to, że wielkie dawnością, że sędziwe jak Litwa, że się łączą w duszy z „koronnemi głowami groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy i Giedymina", i nietylko przez grozę, jaką budzą gęste i ciemne ostępy i tarasy ze swemi gałęzistemi kłodami, tramami i leżącemi w trawie kośćmi stworzeń, pożartych przez dzikiego zwierza, ale także przez swoją grozę fantastyczną owych, znanych tylko z podań ludu, „przepastnych krain" i mateczników, nietkniętych stopą ludzką — „wielkie jest podobieństwo, że tam djabły siedzą";

[1] Przekład Brodzińskiego, *O uczuciu piękności i wzniosłości.*

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane...

III.

Kto choćby raz tylko czytał *Pana Tadeusza,* ten chyba nigdy w swych myślach nie odłączy puszcz i lasów litewskich od polowania na niedźwiedzia, a cóż dopiero od gry Wojskiego na rogu.

Otóż niektóre sceny polowania wkraczają, jeśli wolno wierzyć osobistemu wrażeniu, w obręb wzniosłości. Ten zwłaszcza, kto pamięta, jak mocno i burzliwie biło mu serce, kiedy, stojąc podczas obławy na stanowisku, czekał, czy wypadnie na niego — nie zając oczywiście, ale choćby lis, a cóż dopiero wilk albo dzik, — zgodzi się zapewne, że ta cisza, wśród której Mickiewicz każe myśliwym nasłuchiwać, czy jest niedźwiedź, czy go niema, potem coraz głośniejsze naszczekiwanie psów, przechodzące we wrzask i skowyt, a niebawem „krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy", strzały i głośniejszy od strzałów wściekły ryk zranionego niedźwiedzia — że te wszystkie wrażenia słuchowe wywołują w duszy uczucie trwożliwego oczekiwania, które jest jednym z pierwiastków swoistej wzniosłości. Jeszcze chwila — i zaczynają się już wrażenia wzrokowe: „z gęstwy jak z chmur wypadł niedźwiedź nakształt gromu" — powstaje wzniosłość straszliwa, spotęgowana widokiem niebezpieczeństwa życia ludzkiego. Niebezpieczeństwo minęło: padły strzały, i konający niedźwiedź „wyskoczył w górę, jak kot przed chartami, i głową nadół runął".

I teraz następuje wspaniały kontrast, ale wciąż jeszcze w obrębie wzniosłości; wzniosłość straszliwa ustępuje miejsca kojącej, pogodnej, ale w tej pogodzie majestatycznej: oto muzyka myśliwska na rogu, odbijając się echem o dęby i buki, idzie... w nieskończoność,

. . . . . coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz ciszsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu.

Teraz jesteśmy już na pograniczu wzniosłości zjawisk natury a wzniosłości dusz i czynów ludzkich: gra na rogu jest przecie sztuką Wojskiego.

A nie ta jedna sztuka jest w *Panu Tadeuszu.* Jest wzniosły taniec. Tak, powiedzieć, że Podkomorzy wodzi poloneza z wdzię-

kiem, byłoby jednocześnie za dużo i za mało. Zosia jest w tańcu pełna wdzięku (jak zresztą wszędzie), ale nie Podkomorzy: on jest wzniosły — w tańcu, pełnym już nie powagi (bo i to byłoby za mało), tylko d o s t o j n o ś c i, tem większej, że przemawia w niej wiekowa tradycja obyczaju polskiego; poznali się na tem starsi widzowie, i z piersi wyrwał się im okrzyk:

Ach! to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!

A cóż dopiero powiedzieć o znowu innej sztuce — o koncercie Jankiela! Wzniosły jest tutaj sam mistrz — przez swoje n a t c h n i e n i e, którego objawy zewnętrzne uplastycznia Mickiewicz w kilku tylko, ale potężnych rysach, i przez wielką, spotęgowaną przypływem natchnienia biegłość w swojej sztuce; wzniosłą jest i sama treść muzyki (od p o g o d y i m a j e s t a t u przez o k r o p n e z g r z y t y i c i c h ą ż a ł o ś ć aż do t o n ó w t r i u m f a l n y c h). A ta wzniosła treść budzi w sercach słuchaczów całą gamę wzniosłych uczuć patrjotycznych — nietylko na wspomnienie niedawnych, to radosnych, to okropnych wypadków dziejowych, ale i pod wpływem błogiej nadziei odrodzenia ojczyzny. Tym zaś wrażeniom dał Mickiewicz wyraz artystyczny nierównie silniejszy i bardziej szczegółowy, niż wrażeniom słuchaczy gry Wojskiego na rogu, przez co wzniosłość koncertu niepomiernie zyskuje.

Nie pierwszy to raz mieszkańcy Soplicowa karmili swe serca nadzieją patrjotyczną. Przypomnijmy sobie owo wspaniałe zakończenie księgi pierwszej:

Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabór
Biegły przed nim i za nim.

Lecz wzniosłość zakończenia pieśni pierwszej polega nietylko na wspaniałym w swojej plastyce obrazie potęgi Napoleona, ale i na wyrazie tych potężnych wzruszeń, jakie na wieść o jego zwycięstwach ogarniały serca polskie na Litwie, i wielkości poświęcenia tych, którzy

Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
I dobra, które na skarb carski zabierano.

Tutaj, jak w koncercie Jankiela, a poczęści i w obrazie wiosny 1812 roku, wzniosłość jest jednocześnie podniosłością — uczuć patrjotycznych.

Ale to jeszcze nie wszystko. Stanisław Pigoń w swoich dwóch przepięknych studjach, stanowiących koronę badań nad genezą i stroną ideową *Pana Tadeusza*[1], dopatrzył się w nim jednego wielkiego czynu patrjotycznego, tak wielkiego, że go Mickiewicz dźwignął aż na wyżyny religijne. Czynem tym — pojednanie Dobrzyńskich z „Litwą", to jest drobnej szlachty mazurskiej z litewską. Otóż, zważywszy, że Mickiewicz na tej właśnie szarej masie opierał swoją wiarę w odrodzenie Polski, pojednanie jest nie czem innem, tylko koniecznym warunkiem i pierwszą zapowiedzią wznowienia starodawnego ślubu, którym „wielki naród, Litwa, połączył się z Polską, jako mąż z żoną, dwie dusze w jednem ciele"; to zaś „połączenie i ożenienie Litwy z Polską jest figurą przyszłego połączenia ludów chrześcijańskich w imię wiary i wolności", czyli że jest zapowiedzią, albo raczej już początkiem Królestwa Bożego na ziemi.

Pigoń ma niewątpliwie słuszność: ta idea jest w *Panu Tadeuszu*. Dlaczego jednak nikt nie dopatrzył się jej wcześniej od Pigonia? Nietylko dlatego, że nikt przed nim nie wniknął tak głęboko w genetyczną i ideową stronę poematu, ale i dlatego, że tej swojej ukochanej idei patrjotyczno-religijnej nie uwydatnił Mickiewicz ani tak szczegółowo, ani z tak wielkim nakładem artyzmu, jak inne pierwiastki treści. Gdyby ją uwydatnił, gdyby wszystkie jej rozproszone ogniwa skupił w jedną wielką całość artystyczną, byłby ten obraz najwyższym szczytem wzniosłości moralnej w *Panu Tadeuszu*. Ale że takiego wielkiego obrazu niema, jej szczytem jest co innego: spowiedź przedśmiertna Jacka Soplicy.

Jak w *Konrada Wallenroda*, jak w *Farysa*, jak w *Improwizację*, jak w lirykę religijną, tak i w spowiedź umierającego Jacka włożył Mickiewicz wszystko, co było wielkiego i świętego w jego własnej duszy, oraz część własnego życia. On nie popełnił zbrodni, jak Jacek, ale moralnie upadał nieraz, zdawał sobie z tego sprawę przeraźliwie jasno, z każdego upadku się dźwigał i podnosił. I właśnie dlatego ta spowiedź, chociaż w tych grzechach, które wyznaje na łożu śmierci Jacek, i w tych czynach pokuty, heroizmu i niemal świętości, któremi grzechy swoje odkupił, jest tylko w małej cząstce własną spowiedzią Mickiewicza, — jest nią całkowicie w swoim duchu, w świadomości własnych upadków moralnych, zwłaszcza grzechu pychy,

[1] Wstęp do wydania w *Bibljotece Narodowej* i książka: *„Pan Tadeusz", wzrost, wielkość i sława*, Warszawa 1934.

oraz we własnej skrusze, we własnem dążeniu do ideału patrjotycznego i wogóle religijno-moralnego, który ze wszystkich ideałów ducha ludzkiego był mu świętością najświętszą i do którego dążenie stanowiło, pomimo upadków, najistotniejszą treść jego człowieczeństwa.

I właśnie ten pęd swojej duszy usymbolizował Mickiewicz w spowiedzi Jacka i, korzystając z prawa fantazji poetyckiej, uwieńczył tę najwyższą w swojej świętej podniosłości wzniosłość ducha ludzkiego jej realizacją: człowiek pyszny staje się pokornym, zbrodniarz — pokutnikiem, składającym na ołtarzu miłości Boga i ojczyzny wszystko, co miał, nie wyłączając własnego życia, i czegoś jeszcze o wiele droższego od własnego życia — miłości jedynego dziecka:

> I pocóżby miał wiedzieć, biedny, że ma ojca,
> Który się skrył przed światem jak łotr, jak zabójca?
> Bóg widzi, jak pragnąłbym, ale z tej pociechy
> Zrobię Bogu ofiarę za me dawne grzechy.

Wrażenie wzniosłości spowiedzi Jacka wzmaga się jeszcze dzięki jedynej w całym poemacie odrębności wiersza — inaczej niż w *Powieści Wajdeloty*, w której straszliwy tragizm duszy ludzkiej jest zaklęty w spokojną, niezwruszoną formę heksametru. A i w *Panu Tadeuszu* wzniosłość przemawia w pełnym wierszu trzynastozgłoskowym — z wyjątkiem jednej jedynej spowiedzi Jacka: tutaj wiersz urywa się raz po raz, co jest artystycznym odpowiednikiem słabnięcia sił fizycznych konającego człowieka i bólu, rozdzierającego mu serce. Przypomina się nierówny wiersz *Improwizacji* Konrada...

Niedosyć na tem. Jacek

> . . . mówił nieporządnie, często mięszał skargi
> I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał,
> Jakgdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.

Przypomina się tu jeszcze — w poemacie epickim — spowiedź Gustawa w młodzieńczym dramacie lirycznym, tylko że porównywanie tych dwóch postaci trąciłoby bluźnierstwem: obydwie są wzniosłe, ale Gustaw — przez wielkość swojej nieszczęśliwej miłości ziemskiej i rozpaczy, a Jacek — przez już nieziemską podniosłość moralno-religijną, najwyższą, na jaką się poezja polska przez cztery wieki swego istnienia zdobyła.

Ale i to jeszcze nie wszystko. W ramach spowiedzi Jacka jest krótka, ale jakże podniosła scena: dziki i mściwy Klucznik, którego ręce są zbroczone skrytobójstwem, a dusza splamiona prywatą, przebacza Jackowi w obliczu jego śmierci, pomimo że zaprzysiągł sobie za zabójstwo swego pana dozgonną

zemstę. To zaś przebaczenie jest jednocześnie u l g ą i dla umierającego Jacka, i dla czytelnika.

Lecz tuż po tem następuje inna jeszcze ulga (tak znamienna dla całej wogóle poezji Mickiewicza), a pełna m a j e s t a t y c z n e j wzniosłości. Oto przychodzi wiadomość, budząca w duszy r a d o s n y d r e s z c z:

. . . . . w cesarskim tajnym gabinecie
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie
Ogłasza ją; Sejm walny w Warszawie zwołany
I skonfederowane Mazowieckie Stany
Wyrzeką uroczyście przyłączenie Litwy.
Jacek, słuchając, cicho odmówił modlitwy,
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę,
Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice
I załał się ostatnich łez rozkosznym zdrojem.
„Teraz — rzekł — Panie, sługę twego puść z pokojem!"
Wszyscy uklękli, a wtem ozwał się pod progiem
Dzwonek, znak, że przyjechał pleban z Panem Bogiem.

Genjalna nauka Arystotelesa o uldze w tragedji w żadnej chyba tragedji nie święciła tak wielkiego triumfu, jak w *Panu Tadeuszu*, poemacie epickim: wzniosłość tragiczna, bolesna, przeradza się we wzniosłość błogosławionego spokoju i niebiańskiej ciszy.

IV.

W wierszu *Na szczycie piramid* Słowacki, kiedy już opisał to wszystko, co widział z ich wysokości, mówi:

. . . . . I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach, na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny.

Otóż nietylko w rzeczywistości — w naturze i w życiu ludzkiem — są takie rzeczy: i w poezji są utwory, od których widoku, albo raczej po których przeczytaniu, większy jest jeszcze widok od ich treści — we własnej duszy, w myślach. Do takich utworów należą np. *Prometeusz* i *Oresteja* Eschylosa, obydwie tragedje Sofoklesa o Edypie, *Boska Komedja* Dantego, *Hamlet* Szekspira, *Don Kiszot* Cervantesa, *Mizantrop* Moljera, *Raj utracony* Miltona, obydwie części *Fausta* Goethego, *Nieboska Komedja* Krasińskiego. W tym szeregu jest miejsce i dla *Pana Tadeusza*. Do niego to przedewszystkiem odnieść można to, co Sienkiewicz kiedyś powiedział o poezji Mickiewicza: „Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać, ...wszystkim się zdawało, że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało... Echo serc polskich". Ale nietylko serc, bo i myśli także.

W sercach naszych muzyka *Pana Tadeusza* gra nietylko jego cudownym artyzmem, ale także miłością ziemi polskiej, której piękność w jej „całej ozdobie" opisał dopiero Mickiewicz, i miłością polskiego ducha narodowego, która się w tym poemacie ukazuje w całym swoim blasku. Słusznie nazwano *Pana Tadeusza* „unieśmiertelnieniem polskości" [1]. Nie idealizował jej Mickiewicz, nie ukrywał jej znamion ujemnych, nie tworzył ludzi-aniołów. Przeciwnie: pokazał nam ludzi w całej ich prawdzie, i to ludzi przeciętnych, myślących nie tyle o duszy, ile o ciele, o groszu, o rozrywkach i zabawach, ludzi niezawsze idących prostemi drogami, a do tego strasznie kłótliwych. Ale, nie mówiąc już o tym wyjątkowym człowieku, który z upadku moralnego dźwiga się na wyżyny heroizmu moralnego, — nawet i w duszach owych przeciętnych ludzi (z wyjątkiem jednego tylko zaprzańca — Majora) mieszka Pan Bóg, bo raz po raz odzywa się w nich głos obowiązku moralnego, a w szczególności głos miłości ojczyzny, który zagłusza w nich prywatę i niezgodę. W żadnym utworze naszej poezji niema takiej harmonji pomiędzy ujemnemi a dodatniemi właściwościami natury polskiej i wogóle ludzkiej. A szczytem tej harmonji jest cała pieśń ostatnia, będąca wcieleniem artystycznem owego prześlicznego hasła, jakie wydała kultura staropolska: „Kochajmy się!" Czy na widok tej zgody, która w obliczu wojny za wolność ojczyzny nastąpiła w tak niezgodnem społeczeństwie, jak nasze, nie powstaje w sercach polskich „widok... większy jeszcze", czy nie rodzi się w nich wiara w przyszłość Polski, i czy to uczucie nie jest uczuciem wzniosłem? A w myślach?

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem.

Tak, z jednym jedynym wyjątkiem Homera, żaden poeta nie wczuł się tak głęboko w to wszystko, co widział i słyszał w swojem społeczeństwie, w myśli, i w uczucia, i w uczynki tych ludzi, którzy byli „gośćmi" jego twórczej fantazji. Tylko że, wczuwając się w ich życie, czuł się od nich (z wyjątkiem odrodzonego Jacka) bezporównania wyższym, niż Homer od swoich bohaterów. I nie dziw: był przecie poetą starszym od Homera o kilkanaście wieków kultury. I oto podziw zdejmuje człowieka, kiedy, po przeczytaniu *Pana Tadeusza*, uprzytomni sobie w myślach, że ten poeta, pomimo że sobie jasno uświadamiał własną wyższość od swoich „gości", brał tak serdeczny udział nietylko w ich szlachetnych porywach, nietylko w ważnych wy-

[1] Bronisław Chlebowski, *Literatura polska, 1795—1905*, Lwów 1923, str. 136.

padkach ich życia, ale także w ich życiu codziennem, pospolitem, w jego drobnych szczegółach — czyto w grzybobraniu, czy w polowaniu, czy w kłótni o charty, czy w biesiadach, czy w strojach. W poezji Homera taka epicka szczegółowość wydaje się nam, ludziom nowoczesnym, czemś zupełnie zrozumiałem: był to przecie człowiek, chociaż niewątpliwie nad swój wiek wyższy, jednak, ze stanowiska naszej skomplikowanej kultury, prosty, więc nie dziwimy się, że za przedmiot godny swojej genjalnej poezji poczytywał nie same walki bohaterskie, ale i pranie bielizny przez dziewczyny feackie. Ale Mickiewicz! Jego drobiazgowość epicka tłumaczy się, zapewne, tęsknotą po kraju lat dziecinnych, którego wiedział że więcej już nie zobaczy, — ale tylko poczęści. Głównem jednak źródłem tej drobiazgowości, i wogóle takiego, a nie innego ujęcia artystycznego treści, jest jego pogląd na świat, — pogląd nietylko mądrego i doświadczonego, ale i wielkiego człowieka. „Wielkim humorem" nazwał taki pogląd zmarły niedawno myśliciel duński, Harald Höffding [1].

Na czemże ten humor polega? Nie na spoglądaniu z góry na drobiazgi życia ludzkiego, a cóż dopiero na ich ośmieszaniu, tylko na zrozumieniu, że życie jest życiem i że różne drobiazgi są niezbędnym i godziwym jego czynnikiem, że więc zasługują sobie nie na śmiech, a cóż dopiero na szyderstwo, tylko na uznanie, a jeśli nie, to na pobłażliwy uśmiech. I nie na bezwzględnem potępianiu ujemnych ze stanowiska moralnego stron życia, nie wyłączając nawet przestępstw i zbrodni, a cóż dopiero drobnych ułomności, polega „wielki humor", tylko na wyrozumieniu, że świat jest światem, że złe krzyżuje się na świecie z dobrem, co więcej, że złe nieraz bywa *beatum scelus*, jak powiedział św. Augustyn, albo, że jest, jak mówi Krasiński, tylko

> . . . . . przejściem — tylko pyłem drogi —
> Jeśli piorunem — to doczesnej burzy,
> Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
> Której kwiat płonie tam, gdzie bogów progi!

Tego „wielkiego humoru" próżnoby szukać w powieściach naturalistów zachodnio-europejskich i rosyjskich drugiej połowy XIX wieku, pomimo ich rozmiłowania w drobiazgach życia, nie mówiąc już o romantykach, zwłaszcza niemieckich, których swoistego humoru, czyli raczej ironji, a czasem i martwej apatji względem własnych wizyj artystycznych, tak nie lubił Goethe — on, twórca nietylko *Fausta*, ale także *Hermana i Doroty*. Jest

[1] W książce *Den store Humor;* w przekładzie niemieckim: *Humor als Lebensgefühl (Der grosse Humor)*, Lipsk 1918. Korzystał już z tej książki Pigoń, charakteryzując humor *Pana Tadeusza* (w wymienionym wyżej *Wstępie*).

coś z „wielkiego humoru“ u niektórych powieściopisarzy angielskich, nadewszystko u złotego Dickensa.

Z romantyków polskich „wielki humor“ jest jedynie w poezji Mickiewicza, albo raczej w jednym tylko jej utworze — w *Panu Tadeuszu*. Miłość życia i płynąca z niej prawda jego widoków w tym cudzie poezji wywołuje „większy jeszcze widok — w myślach“, widok mędrca, który „na wieki, lecące jak deszcze po granitowych ścianach“, to znaczy na przebieg i naturę życia ludzkiego, podległego nietylko dobremu, ale i złemu, patrzy spokojnie, bo w sercu jego tkwi głęboko gorąca wiara religijna w najwyższą ze wszystkich wartości życia — w zwycięstwo dobrego nad złem.

I kto wie, czy z tylu wzniosłych widoków w *Panu Tadeuszu* t e n widok nie jest „w myślach“ najwznioślejszy — wzniosłością nie gwałtowną, nie burzliwą, nie straszliwą, tylko cichą, spokojną, pełną wyrozumiałej miłości człowieka, mocnej wiary w wartości moralne własnego narodu i, co zatem idzie, w szczęśliwą przyszłość ojczyzny.

To, co Kremer mówi w *Listach z Krakowa* o działaniu piękna na duszę ludzką, do żadnego innego utworu poezji polskiej nie przystaje w tym stopniu, jak do *Pana Tadeusza:*

„Miej serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, — ona wstąpi radośniej do piersi twoich, i będzie ci uroczysto, świąteczno w duszy, i wśród niebiańskiego wesela wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą, i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz boleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz z miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą ci braćmi w wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknieniu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie boża ręka cię zachowała; odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmocnienia puhar“.

CZY JANKIEL MICKIEWICZA JEST POSTACIĄ TYPOWĄ?

„Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał". Taką też rolę wyznaczył mu Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*. Nie odpowiadając narazie na pytanie: skąd? i dlaczego? — poprzestajemy na stwierdzeniu tej niezbitej prawdy, że, jeśli na społeczeństwo szlacheckie w *Panu Tadeuszu* składają się postaci w całem znaczeniu tego wyrazu typowe (z wyjątkiem, oczywiście, Jacka Soplicy, który, jako dusza h e r o i c z n a, jest postacią wyjątkową, a więc indywidualną), to Jankiel nie jest postacią typową, reprezentacyjną, nie jest uosobieniem uczuć i myśli ówczesnego społeczeństwa żydowskiego na Litwie.

Kto chce wiedzieć, jak się zachowywali wobec Polski żydzi w roku 1812, niech przeczyta książkę Iwaszkiewicza *Litwa w roku 1812*, a najlepiej — niech sięgnie do źródeł, do świadectw współczesnych.

Do tych świadectw należą, pomiędzy innemi, *Listy Litewskie*, ten utwór Niemcewicza, o którym, rzecz dziwna, zapominają najczęściej nasi historycy literatury, pomimo że to przecie jedno z arcydzieł publicystyki polskiej XIX wieku, nie mówiąc już o tem, że pod niejednym względem są świetnym komentarzem historycznym do *Pana Tadeusza* (na co też zwrócił uwagę Pigoń w swojem znakomitem wydaniu poematu).

Otóż *Listy Litewskie*, które, mówiąc nawiasem, wartoby koniecznie wydać ponownie (tem bardziej, że książeczka to niewielka), wystawiają postępowaniu żydów w roku 1812 świadectwo niezbyt ciekawe.

Oto co w *Liście* siedemnastym pisze Tomasz Muchawiecki do Talwosza Gedwiłły. Mowa tu o tem, co się działo w lipcu w Brześciu Litewskim, kiedy to, chociaż francuskie „Orły zwycięskie utkwiły już za Dźwiną i Dnieprem", „obłąkane rozsypanego wojska" rosyjskiego „oddziały pokazały się znienacka na Bugu nadbrzeżach" i wkroczyły do Brześcia. „Zawsze ostrożni, skoro się dowiedzieli, że i jednego żołnierza nie było w tem mieście, przybliżyli się odważnie. Żydzi, których podobieństwo pra-

wideł i skłonności najczulej z narodem tym wiąże, ubrawszy się w szabasowe suknie, wyszli naprzeciw przyjaciołom swoim. O, jaka radość, jak czułe były uściskania! Nigdy bluszcz nie obwija się ściślej około wiązu, jak żydy i Baszkiery, zarzuciwszy ręce na szyję, przyciskali się wzajemnie. W tem czułem spojeniu mieszały się łzy wesela, brody Baszkierów i pejsaki żydów plątały się z sobą w najprzyjemniejszym nieładzie. Długo przejęcie i gwałtowne poruszenia przerywały im mowę, rzekł nakoniec Moszko do szanownego Iwana Fiklisticza: „Iwan Fiklisticz, kiedyście wychodzili z Brześcia, smutek i rozpacz Izraela dowodziły wam, że dzień ten był dla nas dniem podobnym temu, w którym Jerozolimę zburzono; nie tylko starszyzna nasza, lud cały, najmniejsze nawet bachury, wrzeszczały, rwiąc sobie pejsaki: „Minęły dni szczęścia i pomyślności naszej! Z kimże dzielić się złodziejstwy? czyjąż przechowywać kradzież? z kimże oszukiwać będziemy? Wracają przeklęte Lachy, wprowadzą prawa, porządki, już kraść, oszukiwać nie można będzie. Siądźmy więc na gołej ziemi, posypmy popiołem pejsaki nasze i płaczmy!“ — Takeśmy mówili, gdyście się oddalali od nas. Zważ, co za radość widzieć Was nazad powracających“. Tu gwałtowne rozrzewnienie znów mowę Moszka przerwało. Iwan Fiklisticz tak odpowiedział: „Luby Moszku! rozrzewnienie, które widzę w tobie, przejmuje mnie do żywego: miło mi jest najlepszą połowę duszy mojej oglądać i uściskać w tobie. Powracamy, nie wiem, na jak długo, ale, powracając, korzystać z drogich momentów należy. Powiedz, o serce moje, którzy są ci, co się do Konfederacji pisali, ci, co delegowanymi obrani, czy w mieście, czy naokoło, doznają zasłużonej kary, a jak dawniej, i dziś kradzieżą podzielimy się z sobą“. Natychmiast całe zgromadzone brzeskie żydostwo z krzykiem radosnym zaczęło wymieniać wszystkich cnotliwych obywateli. Rozdzielili się przewodnicy, i jedni, zaraz w mieście, wskazywali domy ich, drudzy, wsiadłszy na konie, prowadzili Kozaków do wiosek. Któż opisze, przyjacielu, nie tylko rabunki i gwałty, lecz szkody bez żadnego dla samych burzycielów pożytku? ...Rozbijanie na kawałki meblów i szkieł, rozcinanie obręczy na wypić się nie mogących kufach i beczkach, palenie, pustoszenie bez żadnej dla siebie korzyści, ścinanie owocowych drzew, wyrywanie rzadkich krzewów, było... zajadłością barbarzyńską i nieludzką“.

A dalej: „Po zupełnem spustoszeniu okolic Brześcia i Brześcia samego, tak że tylko domy żydowskie nietkniętemi zostały, rozbiegły się żydy na szpiegowanie, dając fałszywe wieści Sasom, najdokładniejsze — Moskalom. Skutkiem niegodziwego szalbierstwa stało się, że garstka Sasów przez całą dywizję korpusu kamieńskiego otoczoną została... Moskale, powróciwszy do

Brześcia... przyjęci zostali od ulubionych sobie żydów z wyciami niepojętej radości; wprowadzono generałów pod baldakinem, wynosili żydzi naprzeciw nim miód, piwo, gorzałkę, pierniki, obarzanki... lano na uczczenie zwycięstwa obfite napojów potoki; syzmatycki i jerozolimski obrządek, upiwszy się porządnie, wspólnemi siłami wykrzykiwali wiwaty: wołano, że całe wojsko Napoleona jest już zniesione ze szczętem!... Następująca jutrzenka znalazła żydów i Moskali leżących obok siebie pokotem, chrapiących snem sprawiedliwych. Nadeszły popy i bez różnicy błogosławili wszystkich..."

„W opisaniu powyższych okoliczności nic nie przydałem", dodaje pan Tadeusz Muchawiecki. A potem, przez usta jego, mówi już sam Niemcewicz: „Naród żydowski, tak zagrażającym sposobem mnożący się w Królestwie Polskiem, z tak niezliczonych względów szkodliwy krajowi, baczność rządu koniecznie, nieodbicie ściągnąć powinien. Wady jego, występki nawet są skutkiem nieoświecenia, zupełnego odosobnienia od ustaw, zwyczajów, języka, słowem, od towarzystwa naszego, skutkiem są nakoniec dawnych ucisków i dzisiejszego zapomnienia o nich. Przyjacielu! Stary nasz Dom na nowo urządzać będziemy, wiele poprawy i odmian potrzeba: zaklinam, nie zapominajcie o żydach".

List pana Tadeusza Muchawieckiego ma datę: 30 lipca 1812. Dnia 6 sierpnia tegoż roku odpowiedział przyjacielowi pan Tadeusz Gedwiłło. Pisze pomiędzy innemi:

„Nie jeden jesteś, Przyjacielu, który mi o niegodziwem postępowaniu żydów donosisz: wiele innych listów potwierdza toż samo. Wspomina ostatni o nabożeństwie, które żydzi nakazali w Brześciu za powodzenia Moskalów, nakazali nadto tak surowy post, że niemowlęcym bachurkom matki piersi nie dają. Piszesz, byśmy wcześnie gotowali skuteczne sposoby poprawienia ludu tego. Sprawiedliwe i obywatelskie są wasze żądania: zaiste, naród, który ósmą przynajmniej część całej ludności naszej wynosi, ...zagraża nam w przyszłości niebezpieczeństwem, że, walcząc dziś o Królestwo Polskie, nie polskiego, lecz żydowskiego dobijemy się królestwa". I tutaj pan Gedwiłło zastanawia się szczegółowo, jakimby sposobem uczynić żydów „nierozdzielną, pożyteczną częścią narodu całego".

O tych planach Gedwiłły dowiedział się Moszko Jankiele i wystosował doń list, w którym pisał tak: „No! co mi to Waść za Mojżesz, żebyś nowy Zakon pisał dla żydów... Nie łam Waść sobie darmo głowy z reformą żydów, bo ja Waści wcześnie powiadam, że z tego nic nie będzie. Ale, żeby zgorszenia nie było, to, kiedy Waść chcesz, to my się złożemy dla Waści i damy jaką okrągłą sumę, żeby Waść poprzestał tylko głupstw takich. Jeśli

Waść nie chcesz wziąć, to kto inszy weźmie, a Waść będziesz tego żałował, bo i projekt się nie utrzyma, i pieniędzów nie będzie. Choćby rząd polski i co podobnego zrobił, alboż to sam rząd egzekwować będzie? alboż to się zaraz nie urodzi różnych biurów i tysiące strażników, dozorców, służalców? albo my to nie trafiemy do nich? Rząd będzie myślał, że niema Cheremu, że dzieci nasze do szkół polskich chodzą, że żaden żyd nie szynkuje..., a tu nic z tego; my potrafiemy oszukać, ukryć się: wszystko zostanie, jak było, tylko ekspens próżna. Kłaniam".

Niech teraz czytelnik sam osądzi, czy Jankiel Mickiewicza jest postacią typową, czy nie jest nią raczej Moszko Jankiele z Brześcia, i to — zarówno w roku 1812, jak w roku 1920 (podczas wojny z bolszewikami).

Czy dzisiaj jest inaczej?

KSIĄŻKA JUBILEUSZOWA O „PANU TADEUSZU"

Jak się tego zgóry spodziewać było można, książka jubileuszowa o *Panu Tadeuszu,* wydanym po raz pierwszy w roku 1834, wyszła z pod pióra Stanisława Pigonia[1]: nikt, w całej Polsce, nie był do spełnienia tego zadania tak powołany, jak ten niepospolity badacz, który całem swojem polskiem sercem, we wczesnem dzieciństwie ukochawszy Mickiewicza, jako człowieka, jako Polaka i jako poetę, poświęcił studjom nad jego twórczością znaczną część swego dotychczasowego (na szczęście dla nauki polskiej niedługiego jeszcze) życia. Najwymowniejszym w tej mierze dowodem było — doniedawna — poprzedzone przepięknym wstępem, krytyczne i komentowane wydanie *Pana Tadeusza* w *Bibljotece Narodowej;* — doniedawna, bo dzisiaj najpiękniejszym owocem tej pracy jest świeżo wydana książka.

Składa się z siedmiu rozdziałów: przedmiotem sześciu pierwszych jest „wzrost" i „wielkość" poematu; w ostatnim, ze wszystkich najobszerniejszym, autor daje zarys jego wiekowej „sławy".

Że *Pan Tadeusz* wzrastał w duszy i pod piórem Mickiewicza nietylko w znaczeniu przyrostu ilościowego wierszy, ale i w znaczeniu gatunku poetyckiego, że się z pierwotnie zamierzonej i zaczętej sielanki w rodzaju *Hermana i Doroty* przeistaczał stopniowo w najwspanialszy poemat epicki, jaki wydała nowoczesna literatura całego świata, to wiedziano już dawno — poczęści od samego Mickiewicza, z tem jednak zastrzeżeniem, że on sam, zdając sobie, oczywiście, sprawę ze wzrostu swego utworu, nie zdawał sobie należycie sprawy z jego wielkości. Prawda, że, coś na dwa lata przed śmiercią, kiedy się dowiedział, że ze wszystkich jego poezyj *Pan Tadeusz* jest w kraju najpoczytniejszy, rzucił, jakby odruchowo: „To tak, jak psalmy Dawida". Prawda i to, że, jak świadczy córka, Marja Gorecka, ze wszystkich swoich utworów najbardziej lubił *Pana Tadeusza.* Ale to nie do-

[1] *„Pan Tadeusz", wzrost, wielkość i sława. Studjum literackie.* Wydano z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Warszawa 1934, str. 400.

wodzi jeszcze ani tego, żeby sobie uświadamiał całą jego wielkość, i to nietylko artystyczną, ale także moralno-religijną i narodową, ani tego, żeby rozumiał, iż *Pan Tadeusz* jest dla narodu polskiego czemś dużo więcej, niż psalmy Dawida dla Żydów, bo tem, czem dla starożytnych Greków była *Iljada* i *Odysseja*.

Ale mniejsza o to. Nie wiedząc napewno, czy Mickiewicz uświadamiał sobie w całej pełni wielkość swego arcydzieła, czy nie, jedno wiemy napewno: oto chociaż tyle już o *Panu Tadeuszu* pisano (i to tak cudownie pięknie, jak Słowacki, tak mądrze, jak Krasiński i Norwid, Tokarzewicz i Chlebowski, tak subtelnie, jak Tretiak, tak wymownie, jak Tarnowski), dopiero Pigoń uświadomił i sobie i swoim czytelnikom całą wielkość poematu — moralno-religijną i narodową.

Co do wielkości artystycznej, to, chociaż badania w tej dziedzinie mogą się pochlubić tak pięknemi owocami, jak studja Tretiaka, Gostomskiego, a nadewszystko Stanisława Witkiewicza, jednak, naogół biorąc, są one jeszcze w nauce polskiej *in statu nascendi*, i zapewne dużo jeszcze wody upłynie, zanim nasza krytyka estetyczna potwierdzi i szczegółowo uzasadni sąd najznakomitszego — po śmierci Teodora Lippsa — estetyka niemieckiego, Jana Volkelta, który, choć zna *Pana Tadeusza* tylko z przekładów, poznał się jednak doskonale na jego ogromnych wartościach estetycznych. Otóż Pigoń — narazie — pominął te wartości, chociaż je żywo i subtelnie wyczuwa. I, kto wie, może niektórzy będą mu to mieli za złe, ci mianowicie, którzy, bardzo słusznie, domagając się od poezji nadewszystko piękna, zapominają, czy też nie rozumieją, że poezja, przynajmniej wielka, jest pokarmem dla c a ł e j duszy ludzkiej, a nie tylko dla jej struny estetycznej, i że, co więcej, wrażliwość tej struny nieraz się wzmaga, jeżeli poezja wywoła silne oddźwięki także w innych strunach duszy.

Jeden przykład. Czy w duszy cudzoziemca (wszystko jedno, czy zagranicznego, czy „krajowego") początek pieśni XI *Pana Tadeusza* może wywołać tak silny odzew, jak w duszy Polaka? I czy ten silny odzew nie może się przyczynić, albo raczej czy może się nie przyczynić do w z m o ż e n i a w duszy polskiej tego wrażenia, które psychologja nazywa estetycznem? Tym razem nie Lipps miałby słuszność, gdyby z właściwym sobie radykalizmem temu zaprzeczył, tylko Volkelt, zdający sobie lepiej od Lippsa sprawę z tej wielkiej roli, jaką w doznaniach estetycznych odgrywają różne skojarzenia. Te zaś skojarzenia wywołuje nietylko dzieło sztuki czy zjawisko natury ze swemi przedmiotowemi właściwościami, ale także właściwości podmiotowe tego, kto doznaje wrażeń estetycznych. A stąd wolno mówić o indywidualnych odczuciach estetycznych, i to zarówno jednostko-

wych, jak i — narodowych, czyli, inaczej, wolno mówić t a k ż e o „pięknie“ narodowem.

Otóż w całej naszej dotychczasowej literaturze o *Panu Tadeuszu* niema, nie wyłączając „uwag“ i szkiców Tarnowskiego i Chlebowskiego, drugiej takiej książki, któraby w tym stopniu, co studjum Pigonia, duszom p o l s k i m uświadamiała te oddźwięki, które, s a m e w s o b i e będąc poza-estetycznemi, przyczyniają się jednak w wysokim stopniu do spotęgowania wrażeń estetycznych. Temi zaś oddźwiękami są wartości narodowe i religijno-moralne *Pana Tadeusza*.

Co do wartości narodowych, to Pigoń dopiero wykazał szczegółowo i niezbicie, do jakiego stopnia, jak nawskróś, krew z krwi i kość z kości, jest ten poemat utworem polskim, jak mocno jest związany z tradycją polską, i to zarówno obyczajową, jak literacką; jego pokrewieństwo z Homerem i Walterem Scottem ogranicza się jedynie do strony formalnej, do stylu i techniki artystycznej. Wykazał także Pigoń, jakiemi drogami, albo raczej jakim cudem w duszy Mickiewicza, odbywał się pochód triumfalny wciąż narastających, a coraz bardziej ważkich pod względem treści pomysłów, ku wielkiej, zharmonizowanej całości, która jednem skrzydłem uderzyła o przeszłość, a drugiem o przyszłość narodu.

Co do wartości moralno-religijnych, to znowu Pigoń dopiero sięgnął w nie głęboko i z ich głębi wydobył prawdę i piękno mickiewiczowskiego ideału, przeświecającego w *Panu Tadeuszu* poprzez szarą rzeczywistość codziennego życia polskiego i blaskiem swoim sięgającego... *ad astra*, do poświęcenia za wyzwolenie ojczyzny, do składania osobistych uraz na ołtarzu jej miłości, do religijnej wiary w jej przyszłość. Najjaśniejszemi blaskami tego mickiewiczowskiego ideału są w poemacie: pojednanie Korony z Litwą (które Mickiewicz poczytywał za dzieło Boże, mianowicie, za zwycięstwo Boga nad szatanem) i dobrowolna pokuta, która wyrwała Jacka Soplicę z pęt pychy, egoizmu i zbrodni i powiodła go na wyżyny pokory, zapomnienia o sobie, heroizmu i — świętości.

Ale to jeszcze nie wszystkie zdobycze sześciu pierwszych rozdziałów przepięknej książki Pigonia. Zdobyczą, kto wie, może jeszcze większą, a w każdym razie nie mniejszą, jest unaocznienie tej niedosyć przedtem uświadomionej albo i całkiem nieznanej prawdy, że *Pan Tadeusz* to symbol całej duszy Mickiewicza od kolebki (dosłownie: od kolebki) aż do dnia skończenia poematu, to historja jego życia w swojej najistotniejszej treści, jego wrażeń, jego uczuć, jego poglądów na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość ojczyzny, i — jego osobistych... upadków, i wzlotów w krainę ideału (jego „głodu świętości“, jak mówi

Pigoń, w którego języku i stylu siła słowa walczy o lepsze z jasnością i nadaje mu swoisty urok).

I wreszcie — rozdział ostatni. Daje on (jak zresztą i wszystkie rozdziały poprzednie) dużo więcej, niż obiecuje tytuł: oto stanowiąca treść tego rozdziału historja sądów o *Panu Tadeuszu*, poczynając od własnych sądów samego Mickiewicza i współczesnych mu krytyków, aż do chwili dzisiejszej, jest zarazem charakterystyką polskiej krytyki literackiej w ciągu całego wieku. Że niektóre z tych sądów (niezmiernie różnorodnych) przyczyniły się do popularności i umiłowania *Pana Tadeusza*, jako najdroższego klejnotu naszej poezji narodowej, to wolno twierdzić z wszelką pewnością. Ale i to także nie ulega wątpliwości, że książka Pigonia, ściśle naukowa, a jednocześnie tętniąca biciem gorącego i szlachetnego serca, będzie granitowem podłożem dalszego kultu *Pana Tadeusza*, kultu, który, mimo możliwych odstępstw i załamań w duszach jednostek osobliwego typu, będzie wciąż wzrastał w naszem społeczeństwie, w miarę jego wzrostu estetycznego, moralno-religijnego i narodowego.

„GRÓB AGAMEMNONA“

Z wykładów w Uniwersytecie Jagiellońskim.

„Duch w cierpieniach rodzi
i w gniewie“.

Własny sąd poety. *Grób Agamemnona* napisał Słowacki w roku 1839, w Paryżu, jako cząstkę *Podróży na Wschód,* mianowicie pieśni ósmej. Poczytywał go jednak widocznie za całostkę, zarówno artystyczną, jak ideową, skoro go wyodrębnił z całości poematu i dodał do wydanej w r. 1840 *Lilli Wenedy.*

Zrazu zamierzał go umieścić na jej czele, jak to widać z pierwszej redakcji poprzedzającego tę tragedję „listu“ „do autora *Irydiona*“: „Lecz ty, mówiły dalej mary, któregośmy widzieli w ciemnym Agamemnona grobowcu, ty, jadący niegdyś brzegiem laurowego potoku, gdzie Elektra królewna płótno bieliła matczyne, mów o nas prosto i z krzykiem. Na to ja odpowiedziałem po dantejsku: — O, mary, wiecież wy, o czem ja myślałem, siedząc w Agamemnona grobowcu i jadąc brzegami Elektry potoku?... wiecież wy, jakie gorzkie rymy i gorzkie porównania drgały mi na ustach gniewliwych? Mamże na wstępie do waszej historji położyć tę o bliższem nieszczęściu piosenkę?... Mamże przed odsłonięciem teatru rozpędzić zgrożonych słuchaczy?... ha! niech się stanie... Oto są rymy, których przed przeszłością żąda teraźniejszość! Słuchajcie Wenedów harfiarza!“.

Dlaczego jednak, wbrew pierwotnemu zamiarowi, umieścił Słowacki *Grób Agamemnona* nie na początku, tylko na końcu *Lilli Wenedy,* „niby chór ostatni, śpiewany przez poetę“? Prawdopodobnie ze względów czysto estetycznych: z jednej strony nie chciał narzucać czytelnikom *Lilli Wenedy* żadnej apriorycznej myśli, nie chciał im zgóry odsłaniać swojego zamiaru, którym było ukryć obraz „bliższego nieszczęścia“, to jest przegranej roku 1831, pod obrazem nieszczęścia dalekiego, to jest klęski Wenedów w walce z Lechitami; a z drugiej strony nie chciał mieć czytelników „zgrożonych“, to jest zdjętych g r o z ą.

A więc sam Słowacki zdawał sobie sprawę, że *Grób Agamemnona* jest utworem budzącym g r o z ę; a i to sobie całko-

wicie uświadamiał, że rymy tego utworu i zawarte w nim porównania są g o r z k i e, oraz że utwór powstał w g n i e w i e.

Oto jest własny sąd Słowackiego o *Grobie Agamemnona:* poezja groźna, gorzka, gniewliwa! A i w samym utworze jest o nim własny sąd poety:

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej...

Sam więc Słowacki świadczy, że wizję artystyczną, której zawdzięczamy *Grób Agamemnona,* zrodziły posępne i ciemne myśli, oraz że wielki udział miała w niej fantazja.

Sądy potomności. A potomność jaki sąd wydała o tym utworze? Jego wielkiej wartości artystycznej nigdy nikt nie podawał w wątpliwość.

Nawet najsurowszy i mocno stronniczy krytyk Słowackiego, Tretiak, przyznał, że jest w *Grobie Agamemnona* „patetyczność, posunięta do najwyższej potęgi", i że jest w nim „furja uczuć"; to znaczy i Tretiak przyznaje mu wielką siłę liryczną.

Tarnowski, w latach młodości, zachwycał się pięknością *Grobu Agamemnona* i twierdził, że w tym właśnie utworze natchnienie Słowackiego „wzniosło się najwyżej". O strofie „Na Termopilach jakąbym zdał sprawę" mówi Tarnowski: „Nie znam słów drugich w naszej poezji, któreby więcej od tych mogły targnąć za serce; i gdyby teraz jeszcze poeci wierszem zagrzewali do boju, jak niegdyś Tyrteusz, to ten wiersz, a nie inny, trzebaby śpiewać przed szeregami: żołnierz, któryby go usłyszał, takby się wzbił w ambicję, takby się uniósł żądzą zmycia z siebie zarzutu, że z pewnością zwyciężyłby lub zginął do ostatniego, i nie wróciłoby smutne pół rycerzy żywych".

Zdaniem Marjana Zdziechowskiego, „tak wspaniałej i głębokiej skargi na upadek ojczyzny nie pisał żaden z poetów naszych; nie rzuca tu Słowacki ślepych przekleństw na los, ani się wdaje w płaczliwe jakie narzekania, lecz jakże wzrusza nasze serca, gdy maluje swój wstyd i upokorzenie, że przeżył skon ojczyzny, że z łańcuchem na szyi, a z piętnem ilota na duszy ujrzał się w Termopilach, u grobu b o h a t e r ó w G r e c j i, którzy woleli polec, niż zhańbić się niewolą".

Tadeusz Grabowski pisze: „Czy... można wznieść się wyżej, gdy się napisało wiersz podobny? Jest w nim taki krzyk, taka siła, taka wściekłość oburzenia, gniewu, szyderstwa, zapamiętania, że wszystko, co stworzy odtąd liryzm tego typu, wyda się bladem; trudno nasycić się czarem tych strof, gdzie rzewność, gorycz, ironja, inwektywa surowa i brutalna przeplatają się w sposób nieoczekiwany".

Kleiner, rzecz dziwna, pomimo że analiza estetyczna stanowi najsilniejszą może stronę jego fenomenalnych uzdolnień naukowych, o pięknościach *Grobu Agamemnona* nie mówi prawie nic. „Symfonję wrażeń i asocjacyj" w części pierwszej utworu nazywa „nadzwyczajną", „pęd marzeń i myśli" w części drugiej nazywa „nieokiełznanym" — to i wszystko. Prawda, że i o pięknościach innych utworów Słowackiego wypowiada Kleiner swoje osobiste sądy rzadko i ostrożnie, ale kiedy inne utwory poddaje szczegółowej analizie estetycznej, *Grób Agamemnona* rozpatruje prawie wyłącznie pod kątem psychologji Słowackiego i jego ideologji patrjotycznej, doskonale wyjaśniając genezę jego uczuć, odzwierciedloną w tym utworze, oraz jego poglądy na Polskę. W tej zaś analizie psychologiczno-ideowej dochodzi wprawdzie do wniosku, że przeciwieństwo pomiędzy Polską idealną a rzeczywistą jest w *Grobie Agamemnona* wyjaskrawione, gwałtowność — nadmierna, wyraz uczucia — „przesadnie silny i ostry", ale te swoje sądy wypowiada jakby tylko mimochodem, z widoczną ostrożnością, nie kładąc na nie nacisku.

Dawniejsi krytycy nie byli tak ostrożni. Tarnowski (w swej młodzieńczej recenzji dzieła Małeckiego, który o *Grobie Agamemnona* sądu swego nie wypowiedział) pięknie i wymownie wziął Polskę w obronę przed zarzutami Słowackiego: „Nieszczęściem, — pisze — tak jak we wszystkich niemal swoich utworach, tak i tu nie zachował miary, dał się porwać oburzeniem i goryczą, i *Grób Agamemnona* w ostatnich strofach z surowego staje się niesprawiedliwym, a z wyrzutu przechodzi w niezasłużoną i nigdy nikomu nie dozwoloną obelgę ojczyzny... Pawiem narodów byłaś i papugą! Kiedyż to i gdzie? Wszystkie nasze narodowe wady, wszystkie grzechy naszej historji, jakkolwiek wielkie i liczne, nie zasługują na taką zniewagę... Nie, nie papugi zrobiły unję z Litwą i Konstytucję Trzeciego Maja, nie pawie chodziły pod Grunwald i Wiedeń, nie one biły się przez wieki z Turkiem i z Moskalem za spokój i postęp szczęśliwszego, zachodniego świata. A jak dawna Polska nie była papugą i pawiem, tak dzisiejsza nie jest niewolnicą i nie była nią nigdy, i, dzięki Bogu, nie czuć, żeby się nią stawała. On sam to wiedział, on raz świadczył przed Bogiem, żeśmy ducha nie dali, i wtedy mówił prawdę". Niedosyć na tem. Sądzi Tarnowski, że Słowacki nie miał prawa czynić Polsce niektórych zarzutów, mianowicie braku męstwa, albowiem sam go nie wykazał: „Czy on miał prawo wyrzucać nam i kazać się wstydzić, żeśmy się niedosyć bili, niedosyć ginęli, on, który się nie bił pod Grochowem, ani pod Ostrołęką, tylko z Warszawy bez powodu wyjechał, a spokojnie i wygodnie siedział w Dreźnie, kiedy się drudzy bili? Jeżeli nie miał dość zdrowia

i siły, żeby dźwigać karabin, to miał ich zawsze dość na to, żeby trzymać pióro w jakiem wojskowem biurze, albo służyć rannym w lazarecie. Ale kto podczas wojny nawet tego nie zrobił, ten nie miał prawa gorszyć się, że u nas po boju zostaje pół rycerzy żywych".

Tretiak bardzo ostro krytykuje ideologję *Grobu Agamemnona*, a to z uwagi, że Polskę zgubiła nie kastowość, którą wyrzuca jej Słowacki pod symbolem koszuli Dejaniry, tylko anarchja, o której ani nawet jednem słowem nie wspomina. Pozytywnej zaś stronie ideologji *Grobu Agamemnona* także odmawia Tretiak wartości, z uwagi, że żądanie, aby się cały naród zerwał do walki, było — „szczególnie w ówczesnych warunkach, kiedy naród dźwigał na sobie jeszcze cały ciężar świeżej klęski", — tylko pięknym frazesem, bez wszelkiej realnej podstawy. A i Tretiak także podaje w wątpliwość, czy Słowacki miał prawo tym, co złożyli broń, straciwszy nadzieję zwycięstwa, ciskać w oczy zarzut, że nie walczyli do ostatniej kropli krwi, jak Leonidas pod Termopilami.

„W ustach Goszczyńskiego lub Garczyńskiego — pisze dalej Tretiak — zarzut ten miałby za sobą całą siłę prawa, byłby może pociskiem nieodpartym; w ustach Słowackiego poza siłą wyrażenia nie ma siły prawa. Ci sami mężowie, którzy, stanąwszy nad mogiłą termopilską, mogli go byli spytać: wielu was było? mogli mu również byli zadać pytanie: gdzie byłeś wtedy, kiedy się toczyła walka? dlaczego, rzuciwszy pieśni, pobudzające do boju, sam usunąłeś się z kraju? Mogli mu także przypomnieć nie tylko Leonidasa, ale i Eschylosa, walczącego pod Maratonem, Plateą, Salaminą. Gdyby spytali tak, cóżby Słowacki odpowiedział?".

Warto jeszcze przytoczyć sąd Chlebowskiego, jako krytyka, nietylko obdarzonego wielką wrażliwością estetyczną, ale odznaczającego się nadto wręcz wyjątkową bezstronnością: „Estetyczny kontrast dwóch kultur" (polskiej i greckiej) „podniecał Słowackiego, nie posiadającego należytej znajomości dziejów i myślowego uzdolnienia do wydania o tem sądu, i wywołał jaskrawo zobrazowane porównanie i oparte na niem, świetnie wypowiedziane, ale nie dające się uzasadnić wnioski... Młodych, wrażliwych na piękne formy, poddających się łatwo urokowi roztoczonych przez poetę niezwykłych obrazów, czarowi pełnego siły języka, olśniewać będzie długo jeszcze zarówno dusza anielska, więziona w czerepie rubasznym, i Dejaniry paląca koszula, jak i ta nowa Polska, „nagością bezczelna, niezawstydzona niczem — nieśmiertelna", mająca z piorunów ręce i wieniec, i gardzący śmiercią wzrok. Co się pod temi obrazami i frazesami kryje, jaką wyrażają one prawdę, o to wielbiciele i wielbicielki

się nie pytają: sam nastrój, samo podniecenie im wystarcza, zachwycają się pięknością, siłą słowa i grą zmieniających się obrazów. Na to zgoda. Ale naiwniejsze dusze biorą te frazesy patetyczne za głęboką syntezę przeszłości, za wielkie, świeże myśli, i w tem tkwi zło i szkoda". Ze wszystkich dotychczasowych sądów o wartościach ideowych *Grobu Agamemnona* jest to sąd najtrafniejszy, najbezstronniejszy, najrozważniejszy.

Sądów, któreby się na ideologję patrjotyczną tego utworu godziły bez wszelkich zastrzeżeń, jest bardzo mało (w druku przynajmniej). Najdalej posunął się w tym kierunku autor pierwszej i, jak dotychczas, jedynej wybitniejszej próby s y n t e z y twórczości Słowackiego, Michał Janik, który twierdzi, że, jeśli wziąć pod uwagę intencje patrjotyczne poety, to *Grób Agamemnona* wydać się musi pieśnią nietylko „potężną", ale i „sprawiedliwą", że „nie duma poety wyrywała z jego serca gorejącego te gromy duchowe, ale była to sama prawda wewnętrzna, pod której chłostą uginać się musimy do dnia dzisiejszego", i że „nie duma, ale miłość olbrzymia do narodu dyktowała te słowa zbolałemu sercu, miłość ta sama, która Chrystusowi kazała podnieść bicz na kupczących w świątyni".

Niechże będzie dosyć tych sądów o *Grobie Agamemnona.* Możnaby ich przytoczyć nie trzy, ale sto razy więcej, gdyby wszystkie były utrwalone w druku. A właśnie historja tych sądów nieogłaszanych, — chociaż często wygłaszanych, — oraz tych, które pozostają w cichościach duszy, byłaby bardzo bogata. Bo przecie *Grób Agamemnona* należał i do dziś dnia należy nietylko do najpopularniejszych utworów Słowackiego, ale i do tych utworów naszej poezji romantycznej, które najsilniej duszami polskiemi wstrząsnęły i które przez to wpłynęły na ż y c i e.

Czy to prawda, co opowiada Zofja Komierowska w swoich *Wspomnieniach,* że na Mickiewicza wywarł *Grób Agamemnona* tak wielkie wrażenie, iż go u siebie w domu deklamował, a słuchaczom „zdało się, że gromy z nieba lecą"? Córka Mickiewicza, Marja Gorecka, zaprzeczyła temu kategorycznie, i nie wierzyć jej niema najmniejszego powodu, tem bardziej, że autorowie wspomnień o wielkich ludziach tak często, mówiąc grzecznie, koloryzują, że pobudką do spisywania tych wspomnień bywa często nie tyle kult dla prawdy i dla wielkich ludzi, ile miłość własna, chęć pochwalenia się, że się ich znało.

Nie ulega zato najmniejszej wątpliwości, że wśród zapalnej młodzieży polskiej *Grób Agamemnona* budził tem większy entuzjazm, im bliżej było powstania styczniowego, że był dla jej uczuć i zamierzeń patrjotycznych nie mniej obfitym pokarmem, jak dla młodzieży w przededniu powstania listopadowego — *Konrad Wallenrod* i *Oda do młodości;* był mianowicie pobudką

do zbrojnej walki o niepodległość. Tak, nietyle pioruny, ciskane na przeszłość Polski i na charakter polski, słyszała w *Grobie Agamemnona* młodzież, rwąca się do boju, ile nadewszystko pobudkę, dźwięczącą w strofie osiemnastej:

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Czem był *Grób Agamemnona* dla młodzieży 1863 r., o tem wymownie świadczy, pomiędzy innemi, wiersz jednego z młodych romantyków, Władysława Wagi, pod tytułem *Pamięci Juljusza Słowackiego*. Oto cztery strofy z tego wiersza:

Gdy zrozpaczony na grobie zasiadłeś
Wołać do życia nie łzą, lecz piorunem,
Mistrzu! ty wtenczas na duchu nie padłeś,
Łez nie roniłeś nad Polski całunem,
A biłeś w serce, by do głębi zmierzyć,
Czy lud ten zdolen wstać z martwych, lub nie żyć.

Słuchaczy głuchych chciałeś mieć ku sobie
I nieme serca rozgrzać przy swem łonie;
Wołałeś na nich: nie klęczcie na grobie,
Gdy macie wstydem zrumienione skronie,
Wstańcie i pójdźcie do boju...zhańbieni!
I wyjdźcie wolni z wichrów i płomieni!

Wywlokłeś przed nich trup Leonidasów,
Co w nagiej pięści ściskał grot skrwawiony,
I zawołałeś do złocistych pasów:
„Na Termopile, narodzie zhańbiony,
Na Termopile!“ — lecz brzęki łańcucha
Pieśń twą zgłuszyły, bo nie było ducha...
. . . . . .

A nowożytne dziś Leonidasy
Bez mieczów przecie pobiegli na harce,
Nie dały broni pozłociste pasy,
Z kijem poczęto i w prostej czamarce,
Za dawne grzechy i jasne kontusze
Na szubienicy giną wielkie dusze!

Jeżeli to prawda, że nasza poezja romantyczna ponosi częściową odpowiedzialność za rok 1863, to znaczną jej część dźwiga na sobie *Grób Agamemnona*. I niedarmo pierwszy obraz pierwszego aktu tej tragedji, której akcja odbywa się na tle tego roku — *Na Ukrainie* Leonarda Sowińskiego — zaczyna się od deklamacji jednego z bohaterów, Jana:

„Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku“...

Inny zaś bohater tej tragedji, Mścisław, tak wypowiada swoje wrażenie, jakie nań wywarł *Grób Agamemnona:*

Jak dzwon pożaru jęknął między nami
Ten wiersz, palący hańbą, pełen zgrzytu...
Już mieliśmy pień słodkich do przesytu...
Słowacki jambów swych nie rzuca nam pod nogi
Kaskadą łez perłową... Nie — nie temi drogi
Zapragnął on do serc się naszych dostać...
On woli szarpać je sarkazmem, wzgardą chłostać.

Po upadku powstania, w długiej i okropnej epoce prostracji duchowej, *Grób Agamemnona* przestał być pobudką do zbrojnej walki o niepodległość. A kiedy przygnębienie, wywołane klęską, zaczęło mijać, i kiedy, zamiast hasła niepodległości, zaczęło się rozlegać hasło trójlojalizmu, bunt przeciwko niewoli budziła w duszach polskich już nietyle poezja romantyczna, ile *Trylogja* Sienkiewicza, a później, oprócz *Trylogji*, poezja Wyspiańskiego. Pomimo to *Grób Agamemnona* nie stracił swej popularności, tylko że był już nie pobudką do walki o niepodległość, lecz hasłem bojowem... w walce domowej, mianowicie w walce o idee historyczne i zasady społeczne.

Grób Agamemnona jest strasznem oskarżeniem przeszłości narodowej, mianowicie tej warstwy społecznej, na którą spada odpowiedzialność za taką, a nie inną przeszłość ojczyzny, to jest szlachty.

Niektórych to oskarżenie bolało i raziło. Tak np. wspomniany wiersz Władysława Wagi był odpowiedzią na wiersz jakiegoś A. z I. K-i, wzorowany, zarówno widocznie, jak nieudolnie, na *Psalmie miłości* Krasińskiego:

. . . . . .
Spojrzyj, wieszczu, na Rejtana,
Jak ta postać nieskalana,
Mąż ów kontuszowy złoty,
Staropolskiej wzór ten cnoty,
U obradnej izby progu
Krzywdy nasze zlecał Bogu!

Gdy tłum trwożny go odbieżał,
Bez pokarmu trzy dni leżał;
I w przekonań wzniosłej sile,
Grecji przypomniawszy chwile,
Tam powtórzył Termopile...

Ależ nad Skamandru strugą
Czyś się, wieszczu, nie rumienił,
Gdyś naszą Polskę papugą,
Pawiem narodów być mienił?!
Czy paw to, co pod Kłuszynem
Toczył boje z Moskwicinem?

Papugaż nad Vindoboną
Łunę wznieciła czerwoną?!
O! zaprawdę! chciałbym długo
Być tym pawiem i papugą!...
. . . . . .

Więc lubom był niegodny odpiąć ci trzewika,
Tobie, którego pienie naskroś mię przenika,
Tobie, któryś w marzeniach przesadzał rodaki,
Coś sercem był mi równy, smakiem niejednaki:

Na pradziadów, ległych w grobie,
Słynny wieszczu! powiem tobie,
Tobie, coś nienawidził kontusza i pasa,
Że nasz Rejtan w kontuszu wart Leonidasa.

Ale takie głosy, biorące w obronę przeciwko Słowackiemu przeszłość szlachecką Polski, były, rozumie się, bardzo rzadkie — w epoce, kiedy historyczna szkoła krakowska zarażała umysły i serca polskie swoim pesymizmem; ogół przyklaskiwał Słowackiemu za jego poglądy na przeszłość, wypowiedziane w *Grobie Agamemnona.*

A cóż dopiero powiedzieć o tych oklaskach, które zbierał Słowacki za to, czego w *Grobie Agamemnona* niema! Jak pod pomnikiem Mickiewicza w Krakowie do dziś dnia rozbrzmiewają mowy, z ideologją i z uczuciowością Mickiewicza biegunowo sprzeczne, bo dyszące nienawiścią, nie miłością, a przez to biorące święte jego imię nadaremno, tak nieraz różni agitatorowie i mówcy wiecowi w swoim ferworze demagogicznym i „demokratycznym" — biorą nadaremno imię Słowackiego, popierając swoją agitację cytatami z *Grobu Agamemnona,* pomimo że ten tylko dopatrzyć się w nim może haseł demokratycznych, dla kogo główną istotą i głównem zadaniem demokracji jest wymyślanie na szlachtę i wogóle na wyłączność stanową, która, mówiąc nawiasem, była dawniej na całym bożym świecie, nietylko w Polsce. A jeżeli kto powie, że w przykazaniu, aby się naród polski stał posągiem z jednej bryły, miał Słowacki na myśli zagadnienie społeczne, ten albo nie umie czytać po polsku, albo też udaje, że nie umie: bo Słowacki miał tutaj jedynie to na myśli, aby się cały naród zerwał do walki z przemocą, nic więcej; jest to więc hasło polityczne, nie społeczne. Kto zaś na to odpowie, że bez jedności społecznej nie będzie mogła powstać jedność polityczna, państwowa, patrjotyczna, ten oczywiście będzie miał zupełną słuszność — dosyć, że w tekście *Grobu Agamemnona* ze świecą nie znajdzie wyrazów, w którychby się zawierały jakiekolwiek pozytywne hasła społeczne.

Czy dzisiaj można już wydać o ideowej i uczuciowej stronie tego utworu sąd bezstronny? Nie jest to rzeczą łatwą, bo do dziś dnia nie skończyła się walka o wartości dziejowe dawnej Polski, a i nienawiść do „czerepów rubasznych" nie przeszła jeszcze do historji. Lecz jedno przynajmniej umożliwia bezstronność sądu o *Grobie Agamemnona:* oto dzisiaj ten zarzut straszliwy, jaki Słowacki cisnął w twarz swemu narodowi, że w nim „zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół rycerzy — żywych", bez względu na to, czy słuszny, czy niesłuszny, nie jest już tak bolesny; albowiem dzisiaj — po odparciu w roku 1920 nawały bolszewickiej, podczas której naród polski zapomniał na chwilę o waśniach partyjnych i stanął do boju jak wielki posąg z jednej bryły, — dzisiaj rozhukany koń Słowackiego miałby słuszne prawo załamać się nie na Cheronei, tylko na Termopilach.

Geneza. Na *Grób Agamemnona* złożyły się osobiste przeżycia Słowackiego, a nasamprzód jego podróż do Grecji w roku 1836. Z późniejszego listu do matki (z listopada r. 1839) widać, że tak zwany „grób Agamemnona", czyli „skarbiec Atreusza" w Micenach, Słowacki istotnie zwiedzał: „Czy wiesz, że ja siedziałem sam jeden całą godzinę w grobie Agamemnona i myślałem"... O czem? czy o tem, że się na nim Polska nie poznała? Nie: w liście do matki pisze, że myślał, znalazłszy się w samotności, o swojem dzieciństwie, o swoich „blaszanych zbrojach, zalewając się łzami, a świerszcze polne płaczącemu mówiły: csyt... jakgdyby Nimfy przeszłości, wskazujące milczenie". Te smutne myśli, z których się spowiada Słowacki w *Grobie Agamemnona:*

To los mój — senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych —

te myśli nie trapiły go jeszcze podczas podróży na Wschód; zaczęły go dręczyć dopiero w Paryżu — i dręczyły długo. Oto co pisał dnia 6 lutego roku 1839 do Michała Wiszniewskiego: „Odbyłem podróż wielką, zwiedziłem Włochy, Grecję, Egipt i Palestynę, chciałbym także, aby pamiątki moje i wrażenia przeszły do was, chciałbym i obrazkami je umilić czytelnikom, ale wzrastająca coraz obojętność, z jaką przyjmujecie prace nasze, zatrważa mię. Walczę z nią jeszcze trochę, opieram się zniechęceniu, ale jeżeli głód przyciśnie, będę się umiał rzucić w zamęt francuskiej literatury, popsuć mój język rodzinny napływem obcych kształtów, a wtenczas już się nie poważę nigdy psuć polskiej mowy... Niemym się stanę dla tej ojczyzny, od której jedynie chciałbym listek lauru otrzymać... Przyszłość to jest dla serca mego okropna... sama myśl o niej powaliła już u nóg

moją samotną autorską dumę...". Większą jeszcze goryczą tchną słowa z późniejszego o rok listu do matki (podpisanego — dla ostrożności — imieniem Zofja): „Może jeszcze kiedy Bóg mi pozwoli być przy Tobie, a wtenczas niech mnie ten sam Bóg ukarze, jeśli Ciebie rozważnie czemkolwiek zasmucę, jeśli ci na kolanach posługiwać nie będę... Ciebie prawdziwie mogę nazwać Matką moją, bo ta, której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mego serca... poświęciłam wiele szczęścia dla niej, jestem samotną dla niej, czoło moje zmarszczyłam myślami, myśląc, jak ją ślepą wyżywić i ubrać, jak jej łóżko kwiatami posypywać. Wypełniam moje przy niej obowiązki, jako należy się córce, ale już mnie to udręczyło".

Ta matka, „której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mojego serca"...!! *Ipsissima verba* Słowackiego! Bez tych słów *Grób Agamemnona* byłby poprostu niezrozumiały.

Nie byłby zrozumiały bez znajomości jednego jeszcze szczegółu z biografji Słowackiego. Wiadomo, jak serdeczna przyjaźń łączyła go — jeszcze przed podróżą na Wschód — z Krasińskim i jak wielką rolę odegrał ten „archanioł wiary" w życiu duchowem swego przyjaciela: on to, z jednej strony, umocnił go w przekonaniu, że jest nietylko wielkim poetą, ale także wzniosłym, czystym, szlachetnym duchem; a z drugiej strony, on to, Krasiński, który później tak wspaniałą aureolą otoczy przeszłość Polski, wpoił w duszę przyjaciela swoją własną o w o c z e s n ą pogardę względem tej przeszłości, swój własny, rozpaczliwie pesymistyczny pogląd, że cała historja Polski to jeden łańcuch niedołęstwa, ślamazarności, kastowości szlacheckiej, lenistwa, bezmyślności, braku myśli własnej, że jedynym wytworem kultury polskiej jest rubaszność szlachecka, że ta rubaszność była *„principium,* zakorzenionem w Polsce". Tym pesymizmem Krasińskiego przejął się Słowacki głęboko i w tym właśnie rzekomym braku wszelkich wartości w kulturze polskiej upatrywał główną przyczynę obojętności, jakiej doznawała w społeczeństwie polskiem jego poezja.

Oto trzy główne przeżycia Słowackiego, które się złożyły na treść *Grobu Agamemnona:* wrażenia z podróży po Grecji, żal do Polski, że się na jego poezji nie poznała, oraz przeświadczenie, że przeszłość Polski to wyłącznie dzieje czerepów rubasznych.

Pierwsze przeżycie dało utworowi punkt wyjścia, albo raczej tło, na którem poeta umiejscowił swe myśli i uczucia; drugie zabarwiło utwór zrazu smutkiem, potem żałością, wreszcie — szalonym gniewem; trzecie ukształtowało taką, a nie inną ideologję patrjotyczną.

Mimowoli przypomina się *Improwizacja* Mickiewicza; bo na jej genezę złożyły się także trzy przeżycia: wrażenia wię-

zienne, miłość ojczyzny, i przeświadczenie, że rządy Boga nad światem są owocem nie miłości, tylko jakiejś okropnej „omyłki liczebnej". Pierwsze przeżycie dało *Improwizacji* punkt wyjścia: jak samotność i cisza grobu Agamemnona uświadomiły Słowackiemu wielkość jego poezji, tak samotność więzienna zrodziła w duszy Mickiewicza sny o własnej potędze, o potędze własnej poezji; drugie przeżycie nadało tym snom kierunek: Konrad czuje się na siłach, aby pójść do Boga i upomnieć się przed Nim o szczęście dla ojczyzny; trzecie przeżycie zrodziło żal, gniew i bunt względem Boga. Wszystkie te uczucia rozwijają się w *Improwizacji* ze wspaniałą, z żelazną logiką uczucia. Logikę uczucia posiada w sobie także *Grób Agamemnona* — nie odmówi mu jej chyba ten nawet, kogo ten utwór razi i boli. Ale każdy chyba zgodzi się na to, że *spiritus movens*, że dynamika rozwojowa uczuć w *Improwizacji* a w *Grobie Agamemnona* — to dzień a noc: w *Improwizacji* — po chwilowym obłędzie wielkości — poeta zapomina o sobie zupełnie, bo się wciela w ojczyznę, i miłość bezbrzeżna ojczyzny wywołuje w jego duszy bunt prometejski przeciwko Bogu; w *Grobie Agamemnona* poeta zapomina o sobie tylko na jedną chwilę, i właśnie ta ustawiczna pamięć o sobie, pamięć krzywdy, doznanej od ojczyzny, wywołuje w jego duszy żal i gniew względem niej.

Budowa i rozbiór psychologiczny. Pierwsze dziewięć strof *Grobu Agamemnona* to wspaniała elegja, cudowna poezja smutku, zrazu tylko n a s t r o j o w e g o, to jest bezprzedmiotowego:

Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

Cóż wywołało ten smutny nastrój? Ciemności kopuły podziemnej, wiatr, który „przychodzi po szczelinach wzdychać" i rwie pajęczynę, a dalej — dolatujący z gór zapach smutnych cząbrów, widok puchów roślinnych, które, napędzone wiatrem, latają w grobie jak duchy, syk świerszczów polnych: jedna to wielka, przepyszna symfonja doznanych i zapamiętanych wrażeń słuchu, wzroku i powonienia. Lecz na tę symfonję nastrojową, prócz realnych wrażeń zmysłowych, składają się jeszcze wrażenia idealne, wywołane grą wyobraźni: dalekie echo złotej harfy (jakiej, to sobie poeta dopiero później uświadomi) oraz dźwięczący w wietrze głos nieszczęśliwej Elektry, poniewieranej przez matkę wyrodną, która ją, córkę królewską, zapędziła do bielenia płótna.

Jak początek *Improwizacji*, tak i początek *Grobu Agamemnona* nie zwiastuje jeszcze tej burzy straszliwej, która niebawem wybuchnie w piersi poety.

Od strofy czwartej elegja nastrojowa przechodzi w elegję uczuciowo-refleksyjną:

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą.
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy!...

Poeta więc uświadamia sobie swoje uczucia, mianowicie swój smutek. Lecz ten smutek jest jeszcze nietylko cichy, ale nawet pokorny — na myśl, że wszystko mija na świecie, że nawet Atrydzi, niegdyś tak wielcy i sławni, dzisiaj śpią już snem wiecznym.

Przejście od tej ciszy smutku do jego głośnego wybuchu wyjaśnia poeta w sposób symboliczny, a niezmiernie obrazowy i kunsztowny: oto, kiedy zerwał „jeden liść z czarnego kuszcza", rosnącego „nad drzwiami grobu, na granitu zrębie", przez powstałą stąd szparę przeniknął do grobu blask słońca, który zrazu wziął poeta za strunę z tej harfy, której echo już dawniej słyszał, z harfy Homera:

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć, i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu, i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów: — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

To znaczy: harfa Homera przypomniała poecie jego własną harfę, jego własny zawód poety i cały ból tego zawodu — grobową obojętność społeczeństwa. I na tę myśl cisza smutku mija — gwałtownie i niepowrotnie; ta zaś gwałtowność została uplastyczniona w mimowolnym krzyku duszy, na którym kończy się część pierwsza *Grobu Agamemnona:*

Na koń, chcę słońca i wichru! tętentu!

Od strofy dziesiątej zaczyna się część druga, obejmująca sestyn sześć: to już nie cicha elegja, tylko pełna siły i mocy liryka pędu, liryka lotu, należąca do tego samego typu liryki romantycznej, co *Oda do młodości,* co *Farys,* co *Improwizacja.* Z częścią pierwszą łączy się ta druga jak najściślej. Bo przecie szalony pęd konny przez Grecję jest poprostu (biorąc materjalnie, dosłownie) wykonaniem tego porywu, którego wyrazem był ów kończący część pierwszą krzyk duszy; a ze stanowiska estetyczno-psychologicznego jest ten pęd symbolem burzy, która się zerwała w duszy poety na myśl o doznanej krzywdzie. I właśnie ta myśl nadaje pędowi i płynącym z niego skojarzeniom uczucio-

wym i myślowym taki, a nie inny kierunek: ta ojczyzna, która się na mnie nie poznała, jaka jest sama? czy taka, jaką była starożytna Grecja w epoce walk bohaterskich z Persami? — nie, tylko taka, jaką była Grecja w epoce upadku, w epoce klęski pod Cheroneją! Na myśl o tem, o t a k i e m podobieństwie, w duszy poety powstaje uczucie ostrego bólu i palącego wstydu — wstydu za własny naród i za siebie samego, że do tego narodu należy. A wyraz tych uczuć jest niezrównany w swojej żywiołowej potędze, naprawdę godnej największych liryków całego świata:

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszéj.

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legjon umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów,
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych,
Zostaje smutne pół rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku;
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą,
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — „Wiele was było?“
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza:
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary
Ognia wonnego i rozbitej czary.

Ma słuszność Tarnowski: to chyba szczyt natchnienia Słowackiego!

Gniewu niema jeszcze w tych strofach, ale zadatki gniewu już są: jest bowiem przeświadczenie, że ojczyzna nie ma wiary w swoje siły, że „widmo nadziei dla małowiernych serc podobne snowi“, że w tej ojczyźnie „rozpacz nie sypie kurhanów“, to znaczy, że ci, którzy nie polegli, nie rozpaczają i nie czują swej hańby tak silnie, żeby sobie życie ze wstydu odebrać.

Z tych to zadatków wybucha — w części trzeciej utworu — gniew, z równie żywiołową siłą, jak w części drugiej ból i wstyd. Ta zaś część trzecia zaczyna się od strofy szesnastej:

O, Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym —

a kończy się — wraz z całym *Grobem Agamemnona*. Jest to rodzaj liryczny, oddawiendawna znany literaturze: mianowicie jest to liryka gniewu, „inwektywa" (po polsku: napaść), w rodzaju tej, która jest w *Boskiej Komedji* — także przeciwko własnej ojczyźnie poety:

Ahi, serva Italia, di dolore ostello,
Nave senza nocchiero in gran tempesta,
Non donna di provincie, ma bordello.

(Biedna Italja, bólu gościnnica,
Śród wielkiej burzy bez sternika nawa,
O, już nie pani ludów — nierządnica!)

I w poezji Byrona znajdą się podobne napaści na własną ojczyznę. I kto wie, czy te inwektywy nie odegrały pewnej roli w genezie *Grobu Agamemnona*, zwłaszcza owa „nierządnica" Dantego.

„Czerep rubaszny", „cielsko", „hiena", „płachty ohydne", „Dejaniry paląca koszula" — oto są pioruny gniewu, miotane przez Słowackiego na własną ojczyznę, bijące wciąż w jedno i to samo miejsce — w ów „czerep rubaszny", jakgdyby poto, aby go strzaskać i wyzwolić uwięzioną w nim „duszę anielską".

Na jedną chwilę gniew cichnie, jakby odstępując część swej potęgi, swojej energji uczuciowej przykazaniu patrjotycznemu, żeby się Polska z cichej mogiły na nowo podniosła do życia, do walki, ale inna już, aniżeli była dawniej, bo silniejsza, „w styksowym wykąpana mule", jak „wielki posąg — z jednej bryły, a tak hartowny, że w gromach nie pęknie".

Ale cóż, kiedy po tem przykazaniu gniew powraca, i znowu zaczynają bić pioruny:

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą;
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą.

Potem (co za przepyszna rytmika w tej burzy uczuć!) raz jeszcze odpływ gniewu, i to większy, niż za pierwszym razem, a wywołany — wyrzutem sumienia:

Mówię — bom smutny — i sam pełen winy!

Ach, co za szkoda, że ta struna czysta, serdeczna, szlachetna dźwięczy tylko przez chwilę, że się na tym czystym, ser-

decznym, szlachetnym dźwięku nie kończy *Grób Agamemnona*! Niestety, burza uczuć na nowo wybucha w duszy poety, z większą nawet jeszcze siłą — z siłą poprostu szaloną, potworną.

A cóż wywołało ten nowy orkan? Myśl poety — o sobie, myśl, że go ojczyzna może przekląć za jego gniew. I myśl ta odbiera mu już nie równowagę, bo tę stracił już dawno, ale wręcz przytomność, i pioruny gniewu biją już bez przerwy — przez całe dwie ostatnie strofy, które (może pogląd to mylny, ale szczery) są niepoczytalnem miotaniem się w gniewie — i które właśnie przez to przekraczają granicę pomiędzy wzniosłością, patetycznością, a potwornością, okropnością, zwłaszcza ten piorun ostatni:

Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!

Cóżby się za to dało, żeby tego dysonansu w poezji Słowackiego nie było!

„Wielki to mistrz na dysonanse — pisał Krasiński do Słowackiego o Szekspirze (19 grudnia roku 1840) — dysonanse są połową życia; lecz gdzie przejście w harmonję, w ogół, w nieskończoną prawdę i piękność, w tę drugą wyższą życia zarazem i połowę, i całość?“ Kto podziela ten pogląd Krasińskiego na poezję, kto dysonanse poczytuje tylko za połowę życia, wierząc, że one przejdą kiedyś w harmonję, kto żąda od poezji, żeby, wyprzedzając pochód życia, dawała, jako ostateczne wrażenie, harmonję, do której życie w swym pochodzie dąży, — ten poczyta końcowy dysonans w *Grobie Agamemnona* za śmiertelny grzech przeciwko poezji. *Improwizacja* Mickiewicza także kończy się straszliwym dysonansem: ale na *Improwizacji* nie kończy się dramat Mickiewicza — jest w nim „przejście w harmonję, w ogół, w nieskończoną prawdę i piękność“; w *Grobie Agamemnona* tego przejścia niema, bo się na dysonansie kończy.

Tutaj powie kto może: „Ależ *Grób Agamemnona*, pomimo że go Słowacki wyodrębnił z *Podróży na Wschód*, jako całostkę artystyczną, jest ostatecznie tylko fragmentem tego poematu, który się na nim przecie nie kończy“. Dobrze, ale i w dalszym ciągu *Podróży na Wschód* nie znajdujemy już przejścia końcowego dysonansu *Grobu Agamemnona* w harmonję. A po *Grobie Agamemnona* co następuje w *Podróży na Wschód*?

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
To ja nie klęknę nawet przed klęczącą,
Bo ja mam inną, smutną matkę — chwałę,
Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam, co mi jest matką.

Czy dysonans cichnie? Czy się raczej jeszcze nie potęguje?...

Lecz i ci nawet, którzy się godzą z Krasińskim w jego poglądzie na dysonanse w poezji, przyznają niewątpliwie, że *Grób Agamemnona* — poza końcowym dysonansem — jest wielkiem arcydziełem liryki, zrazu przez cudowną piękność melancholijnego nastroju, a potem przez żywiołową siłę uczucia. A cóż dopiero ci, którzy poglądu Krasińskiego nie podzielają, dla których dysonanse w zakończeniu utworu poetyckiego nie są grzechem przeciwko pięknu! Jedni i drudzy zgodzą się zapewne na to, że na równie wielką, na równie potężną siłę liryczną zdobędzie się Słowacki jeszcze tylko raz jeden w życiu — w wierszu *Do autora Trzech Psalmów*. Obydwa te utwory są — w swojej dominującej barwie uczuciowej — liryką gniewu.

„Grób Agamemnona" jako liryka gniewu. Ta liryka nie była w poezji polskiej nowością: początek jej stanowi, już w XV wieku, wiersz jakiegoś „czerepa rubasznego" — o zabójstwie Tenczyńskiego. A potem możnaby przytoczyć długi szereg jej utworów, zarówno z epoki niepodległości, jak z czasów porozbiorowych. Szczytami tej liryki są: pieśń Kochanowskiego o spustoszeniu Podola, ósme kazanie sejmowe Skargi, satyra Wacława Potockiego na nietolerancję religijną, paszkwile Zabłockiego i Niemcewicza, wiersz Kajetana Koźmiana *Do tańcującego Krakowa; Improwizacja* i niektóre wiersze Mickiewicza o Rosji; z poezji Krasińskiego — wiersz *Do Moskali*, jeden ustęp *Przedświtu* („O, wy niscy, o, wy ciemni — I okrutni, i nikczemni"), oraz pierwsze ustępy *Psalmu żalu*, któryby słuszniej psalmem gniewu nazwać należało. Do tych szczytów należą także: *Grób Agamemnona* i wiersz *Do autora Trzech Psalmów*.

Lecz pamiętajmy, że gniew gniewowi nie równy; wiedział już o tem Rej i wyłożył to szczegółowo w „kapitulum" dziewiątem „ksiąg wtórych" *Żywota człowieka poczciwego*. Gniew może płynąć z pobudek egoistycznych i nieegoistycznych; niedosyć na tem: z gniewem mogą się kojarzyć różne uczucia, nie wyłączając miłości — miłości człowieka, ojczyzny, ideałów; o takim gniewie mówimy, że jest „święty". Taki gniew jest w ósmem kazaniu sejmowem Skargi: jego źródłem jest miłość, która płonęła w sercu tego człowieka ku Bogu i ku ojczyźnie. „Bych był Jeremjaszem, wziąłbych pęta na nogi i okowy, i łańcuch na szyję, i wołałbych na was grzeszne, jako on wołał: tak spętają pany i pożoną jako barany w cudze strony". Tak się gniewać, tak grozić, może ten tylko, kto bardzo kocha, kto się bardzo o przyszłość tego, kogo kocha, boi, i kto bardzo nad upadkiem moralnym tego, kogo kocha, cierpi. Szalony gniew Mickiewicza w *Improwizacji*, pomimo że jest gniewem na Boga, jest — w swojem źródle psychicznem — także gniewem świętym, bo płynie z niewysłowionej w swym ogromie miłości ojczyzny i z niewysłowionego

w swoim ogromie bólu na widok jej nieszczęścia. Gniew Mickiewicza na Rosję jest pełen goryczy, o której sam Mickiewicz mówi, że jest „żrąca i paląca"; ale mówi też, że jest to

Gorycz, wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny,
Niech żre i pali — nie was, lecz wasze okowy.

Tak, źródłem gniewu Mickiewicza były łzy i krew własnej ojczyzny, oraz te okowy, w które Rosja skuła ciała i dusze swoich własnych dzieci, ból nad niewolą nietylko narodu polskiego, ale i rosyjskiego, który Mickiewicz... kochał:

O, biedny chłopie! Zacóż mi łza płynie
I serce bije, myśląc o twym czynie?...
Ach! żal mi ciebie, biedny Słowianinie!
Biedny narodzie, żal mi twojej doli!

I dlatego gniew Mickiewicza na Rosję to także gniew — święty.

W *Przedświcie* gniew Krasińskiego na zbrodniarzy, winnych rozbioru Polski, jest również gniewem świętym, płynie bowiem z miłości ojczyzny i ideału moralnego. Natomiast w *Psalmie żalu* gniew Krasińskiego na Słowackiego nie ma nic wspólnego z gniewem świętym; jest to gniew prawie wyłącznie osobisty, egoistyczny, i tem mniej posiada wartości moralnej, że łączy się z urąganiem nieprzyjacielowi i z przypisywaniem mu nieszlachetnych uczuć, których w duszy nieprzyjaciela nie było.

A jakaż jest wartość moralna gniewu w *Grobie Agamemnona*? Co jest jego głównem źródłem?

Nasamprzód — jedno zastrzeżenie. Przy wyjaśnianiu g e n e z y poezji lirycznej wolno naturalnie i trzeba posługiwać się danemi biograficznemi, ale przy jej ocenie (nietylko estetycznej, ale i moralnej) wolno i trzeba o życiu poety zapomnieć, a nadewszystko nie wolno poecie zarzucać, że szczegóły utworu lirycznego nie zawsze odpowiadają szczegółom biograficznym, że nieraz bywają nawet ze szczegółami biograficznemi w sprzeczności. Bo przecie co innego prawda życia, co innego prawda artystyczna: na prawdę życia składa się tylko życie, na prawdę artystyczną — prócz prawdy życia, także i fantazja. Są lirycy, w których poezji te dwie prawdy płyną jednym strumieniem, są utwory liryczne, w których prawda artystyczna jest zarazem prawdą życia, prawdą biograficzną; takim lirykiem jest u nas nadewszystko Mickiewicz. Lecz są i tacy lirycy, u których te dwie prawdy płyną dwoma strumieniami, czasem tylko mającemi jedno wspólne łożysko; takim lirykiem jest u nas nadewszystko Słowacki, w którego liryce fantazja ma udział stokroć większy, aniżeli w liryce Mickiewicza.

Uczyniono Słowackiemu zarzut, że nie miał prawa pisać strofy czternastej *Grobu Agamemnona*, bo gdyby tak naprawdę stanęli przed nim Spartańczycy, którzy polegli pod Termopilami, i zapytali: „Wiele was było?“ — to on musiałby odpowiedzieć: „Nie wiem, bo mnie tam nie było“. Nie, *Grób Agamemnona* jest p o e z j ą, nie autobiografją, więc Słowacki miał zupełne prawo zapomnieć o tem, że jego tam nie było — i ten wzgląd nie może być brany pod uwagę przy ocenie wartości moralnej *Grobu Agamemnona*.

Więc cóż powinno być brane pod uwagę? Tylko — t e k s t, a nie to, co wiemy o życiu Słowackiego poza tekstem; to, co wiemy o niem poza tekstem, może służyć do oceny moralnej ż y c i a Słowackiego, lecz nie jego poezji.

A jeżeli będziemy się opierali jedynie na tekście *Grobu Agamemnona*, to cóż uznać będziemy musieli za *causa efficiens* gniewu na ojczyznę?

Czy może żal do niej na myśl, że jest krajem, „gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół rycerzy — żywych“? Nie, uczuciem pierwotnem, które gniew do ojczyzny zrodziło, jest żal do ojczyzny nie patrjotyczny, tylko osobisty, żal na myśl o „niemych harfach“ i „słuchaczach głuchych“. A jeżeli tak, to gniew w *Grobie Agamemnona* nie jest gniewem świętym.

Ale prawda: W strofie dziewiętnastej bije się poeta w piersi:

Mówię — bom smutny i sam pełen winy.

Otóż — w tekście — do czego się te słowa odnoszą? T y l k o do tego zarzutu, że w sercach polskich „nie trwa myśl nawet godziny“. Twierdzenie, że tutaj bije się Słowacki w piersi za to, iż sam za wolność nie walczył, nie da się zapomocą tekstu udowodnić. Ale mniejsza o to; dajmy nawet na to, że się t a k ż e z tego powodu bije Słowacki w piersi: czy wolno to poczytać za dostateczną ekspiację za gniew na ojczyznę? Ależ, jak widzieliśmy, po tej niby-ekspiacji gniew wybucha jeszcze daleko silniej, i ten późniejszy wybuch gniewu nie ma już żadnej ekspiacji.

Ktoś mógłby jednak powiedzieć, że gniew Słowackiego na Polskę płynie nietylko z osobistego żalu, ale także z żalu do Polski, że nie jest taka, jakąby mogła być, mając anielską duszę, z żalu, że tę duszę więzi w czerepie rubasznym. Zapewne, t o uczucie nietrudno wyczytać w *Grobie Agamemnona*, ale czy w tem uczuciu jest miłość Polski? Jest, ale tylko — Polski idealnej, wyśnionej, wymarzonej; dla Polski realnej, nieszczęśliwej, grzesznej — niema w *Grobie Agamemnona* miłości [1]. A zresztą zwycięża

[1] Dwoistość patrjotyzmu Słowackiego scharakteryzował znakomicie Kleiner, *Studja o Słowackim*, Lwów 1910.

w nim nie miłość Polski idealnej, tylko gniew na Polskę rzeczywistą. I znowu — co za przepastna różnica pomiędzy *Grobem Agamemnona* a *Improwizają*! W *Improwizacji* jest także miłość Polski idealnej — takiej, o jakiej marzył Mickiewicz:

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić, jak Ty wszystkimi, zawsze i tajemnie!...
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz!...
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,
I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą.

Ale obok miłości Polski wyśnionej jest w *Improwizacji* także bezgraniczna miłość Polski rzeczywistej:

Patrzę na ojczyznę b i e d n ą,
Jak syn na ojca, wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bóle swego płodu.

Czy w *Grobie Agamemnona* jest choćby tylko jedna iskierka miłości Polski rzeczywistej?

Ideologja patrjotyczna „Grobu Agamemnona". Cóż zarzuca Słowacki Polsce? To przedewszystkiem, że nie walczyła o niepodległość do ostatniej kropli krwi. Zarzut ten jest godny — nie myśliciela, nie patrjoty, i nawet nie człowieka o jakiej takiej trzeźwości umysłowej — tylko... poety, któremu wyobraźnię rozkołysała opowieść o bitwie pod Termopilami, który wyśnił sobie Rozę Wenedę, zapłodnioną przez popioły i wydającą na świat potomstwo rycerzy-mścicieli. Czego jak czego, ale braku męstwa nie można Polsce zarzucić; a gdyby tak w powstaniu kościuszkowskiem, czy listopadowem, wszyscy rycerze nasi naprawdę dali się wymordować, albo gdyby wszyscy, co nie polegli, usypali sobie z rozpaczy kurhany, to mieliby z tego pociechę jedynie obcy i domowi wrogowie Polski, ale nie Polska.

Dalej:

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza...

A czy na pobojowisku pod Płowcami, pod Grunwaldem, pod Chocimem, pod Maciejowicami, pod Ostrołęką, leżały trupy ze złotemi pasami i w czerwonych kontuszach?

Lecz nie chwytajmy Słowackiego za słowa i zgódźmy się na to, że owe pasy i kontusze to tylko symbole (fortunne, czy niefortunne, to inna sprawa) tej niechęci poety ku szlachcie

polskiej, z której wypłynął cały akt oskarżenia przeciwko niej, jako warstwie społecznej, ponoszącej całą odpowiedzialność za przeszłość i za upadek ojczyzny.

Więc cóż zarzuca Słowacki szlachcie polskiej?

To, że duszę anielską więzi w czerepach rubasznych, to jest brak kultury moralnej, umysłowej, artystycznej i wogóle duchowej, a potem — niesprawiedliwy ustrój stanowy, i to jeszcze, że była „pawiem narodów i papugą", to znaczy, że się unosiła nadmierną pychą (może miał Słowacki na myśli megalomanję narodową) i że umiała się zdobyć jedynie na bezmyślne naśladowanie cudzej kultury, i wreszcie, że w duszy polskiej myśl nie trwa nawet godziny, że niema w charakterze polskim wytrwałości, a jest tylko wrażliwość.

Cóż powiedzieć o tym akcie oskarżenia? *In merito* są to zarzuty słuszne. Czy wszystkie odnoszą się t y l k o do Polski, o toby się można spierać. Czy np. niesprawiedliwy ustrój stanowy nie był czasem p o w s z e c h n ą cechą dawnej Europy? czy tylko jedna Polska grzeszy megalomanją narodową? czy tylko o jednej Polsce powiedzieć można, że jest jedynym w swoim rodzaju synem Prometeusza, któremu sęp „wyjada nie serce — lecz mózgi"?

Lecz nie o to idzie. Czy się zarzuty Słowackiego mogą stosować t y l k o do Polski, czy t a k ż e do Polski, dosyć, że (raz jeszcze) w istocie swojej są to zarzuty słuszne, zwłaszcza ów zarzut braku samodzielności i wytrwałości. Cóż z tego, kiedy wszystkie te zarzuty powstały w przystępie gniewu. A „gniew zły poradnik", jak mówi mądre przysłowie staropolskie. Nie mniej mądrze mówi Jakób Wujek, że „gniew jest gwałtowne poruszenie pomysłu, z złej chciwości prawie się wydzierające ku pomście". Najsłuszniejsze w swej istocie zarzuty, jeżeli są wypowiedziane w gniewie, praktycznie przestają być słusznemi — przez swój przejaskrawiony wyraz. A ludzie tak często nie umieją odróżnić wyrazu od zawartej w nim treści, a podnieconego afektu od uczucia i myśli!

Otóż czy godzi się, mówiąc o ujemnych stronach naszej przeszłości i naszego charakteru, powoływać się, jak to często u nas bywa, na *Grób Agamemnona* i podnosić do godności historjozofji utwór, poczęty i zrodzony w gniewie? Czy nie dzieje się krzywda Słowackiemu, że się wyzyskuje jego gniew, a nie jego miłość, dla poparcia wielkością jego imienia własnych niechęci względem przeszłości narodowej, a choćby nawet swoich szczerych poglądów na nią? Czy takie postępowanie nie przypomina czasem trochę biblijnego Chama, który nie zakrył nagości ojca?

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi...
. . . . . .
Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!...

Nie, o to może być Słowacki spokojny! Polska go nigdy nie przeklnie, i to nietylko dlatego, że jest wspaniałomyślna, ale i dlatego, że jest i będzie mu wdzięczna, że go błogosławi i błogosławić będzie — za to, iż wzbogacił skarbiec królewski jej kultury duchowej... nie samym tylko *Grobem Agamemnona*.

„TESTAMENT MÓJ"

Z wykładów w Uniwersytecie Jagiellońskim.

„Dzień będzie wtenczas biały,
gdy ja zagasnę".

Tekst. Małecki, wydając z rękopisu ten utwór Słowackiego, dodał objaśnienie, że go poeta napisał na krótko przed śmiercią. To mniemanie utrzymywało się długo, póki wreszcie Tretiak nie przesunął daty jego powstania na koniec drugiej epoki twórczości Słowackiego. Dzisiaj, po argumentacji Kleinera, jest rzeczą jasną, że *Testament mój* powstał jeszcze wcześniej, a mianowicie w r. 1839 albo na początku 1840. Co najwyżej możnaby mniemać, że poprawki w pierwotnym tekście pochodzą z czasów późniejszych.

Tym poprawkom (w strofie 5 i 6) warto się bliżej przypatrzyć.

Pierwotnie strofy te brzmiały tak:

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
W garnek zbiorą popioły — i matce oddadzą,
Ona łzami obleje tego — kto przyniesie.
A potem niechaj w nocy siądą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną bidę...
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli oni duchami nie będą — nie przyjdę...

W późniejszej redakcji strofa piąta brzmiała:

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie
I tej, która mi dała to serce, oddadzą,
Ona nogi obmyje temu, kto przyniesie.

Ten ostatni wiersz strofy piątej raz jeszcze zmienił Słowacki:

Tak się matkom wypłaca świat — gdy proch odniesie.

Strofa zaś szósta w redakcji drugiej brzmi:

Niech przyjaciele moi siądą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną bidę...
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg uwolni od męki — nie przyjdę.

Małecki, a za nim wszyscy późniejsi wydawcy zmienili ten ostatni wiersz całkiem samowolnie:

Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę.

Poco i naco ta zmiana? Czy dlatego, że wierszowi temu w pierwszej redakcji brak, istotnie, jednej zgłoski — bo kiedy wszystkie inne są trzynastozgłoskowe, ten jeden ma w autografie zgłosek dwanaście? Ależ przykładów nierównego wiersza jest w autografach Słowackiego dużo. A zresztą, jeśli kto koniecznie chce tutaj coś poprawić, to niechże, wnikając w myśl poety, doda przed „uwolni" — „mię", a nie „nie".

Bo jakaż jest myśl poety?

Pierwsza redakcja:

Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli oni duchami nie będą, nie przyjdę,

— nie nastręcza żadnych trudności: jeżeli po śmierci będę wolnym duchem, to zlecę na ziemię, aby umocnić swych przyjaciół w wierze patrjotycznej i w obowiązku patrjotycznej pracy; ale jeśli oni przestaną być duchami, to jest, jeśli nie będą pełnili mojego przykazania „napowietrznej walki", „która się o narodowość naszą toczy", jeśli nie będą walczyli ze śmiercią narodu, jak na żywych przystało, — to nie przyjdę, bo martwych nie wskrzeszę. Lecz tutaj zadrżał Słowacki na samą myśl możliwości takiej katastrofy, takiej degeneracji pokolenia późniejszego — i dlatego woła:

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei;

— to jest, na miłość Boską, nie umierajcie, nie pozwólcie na to, aby ten duch polski, który z mojej poezji wstępuje w serca wasze, miał z nich ulecieć!

Druga natomiast redakcja nastręczała widocznie trudności, skoro ją wydawcy zmienili. Co ich do tego skłoniło? Wyobrazili sobie zapewne, że Słowacki myślał o czyśćcu, w którym się dusza jego znajdzie, że więc chciał powiedzieć: jeśli Bóg nie uwolni mnie na chwilę od męki czyścowej, to, rozumie się, nie przyjdę. Ale skąd pewność, że Słowacki myślał tutaj o czyśćcu, że był tak prawowierny — on, który nie wiedział napewno, że po śmierci będzie duchem, skoro powiedział warunkowo: „jeżeli będę duchem"?

Nie, on chciał powiedzieć co innego. Trzeba pamiętać o tem, że życia na ziemi nie poczytywał on wcale za szczęście, że, przeciwnie, odczuwał je jako mękę, skoro sam w pierwszym wierszu pierwszej strofy mówi:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,

a w wierszu czwartym tejże strofy: „jak gdyby tu szczęście było". A więc myśl Słowackiego jest taka: jeśli Bóg mnie uwolni od męki ponownego przyjścia na ziemię, to nie przyjdę, a jeśli nie uwolni, to przyjdę [1].

Taka interpretacja ostałaby się i wtedy, gdyby przypuścić, że owe poprawki pochodzą z czasów późniejszych, już z epoki mistycznej. Bo jakże sobie podówczas Słowacki wyobrażał (albo raczej poetycznie symbolizował) wiekuisty spokój swego ducha? Tak oto, że jest gwiazdą na niebie, płonącą radośnie. Nie dał się (we fragmencie *Poeta i Natchnienie*) skusić Atessie, która go ciągnęła w sferę słoneczną — on chciał pozostać na ziemi, aby w dalszym ciągu wskrzeszać swój naród. A w *Królu Duchu* czytamy:

Bobym miał wielkie kwiaty z tej ofiary —
I apostolską może już koronę —
Słońceby mnie gdzieś niosło przez obszary —
W chóry, od ziemskiej sprawy odpuszczone —
I nie czułbym już nic w Pana opiece —
Oprócz że w słońcu lśnię i w słońcu lecę.

Jeżeli zatem (co nie jest rzeczą niemożliwą) owe poprawki w strofie szóstej powstały już w późniejszej epoce, to myśl Słowackiego była taka: jeśli mię Bóg już uwolni od męki, jeśli już będę gwiazdą, lśniącą i lecącą w słońcu, to nie przyjdę, więc póki jeszcze żyję na tym marnym świecie, tem głośniej wołam, tem silniej

...zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei —
I przed narodem niosą oświaty kaganiec —
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec [2].

---

[1] Ob. St. Mleczko, *Sprostowanie tekstu w utworze Słowackiego „Mój Testament"* (w tygodniku warszawskim *Odrodzenie*, r. 1910, nr. 4).

[2] Znaczenie wiersza ostatniego tej strofy wyjaśnił Tadeusz Józef Wójcicki (w krakowskiej *Gazecie Literackiej*, 1926, nr. 3). Jest to porównanie wzięte ze Starego Testamentu (*Księgi Jozuego*, r. X, w. 11 i nast.): „A gdy uciekali przed Synami Izraelowymi, a byli na zstępowaniu z Bethoron, Pan spuścił na nie kamienie wielkie z nieba aż do Azeki: i pomarło ich daleko więcej od kamienia gradowego, niż co je mieczem pobili Synowie Izraelowi". — Słowacki porównuje więc ludzi walczących za wolność kraju do kamieni, narzędzi śmierci, rzucanych przez Boga.

Myśli przewodnie. Ileż to razy deklamowano tę strofę w mowach wiecowych i przytaczano w artykułach programowych! ileż razy przypominano te trzy przykazania Słowackiego, aby naród w niewoli nie dawał ducha, aby się oświecał, aby nie żałował życia dla ojczyzny! Zwłaszcza ten „kaganiec oświaty" zapalano i obnoszono po wiecach i zgromadzeniach tak często, że wreszcie spowszedniał docna. Kto tylko grzmiał o oświacie ludowej, kto się chciał przedstawić i zalecić słuchaczom jako postępowiec i demokrata, jako pogromca wstecznikôw, cytował te słowa z *Testamentu mojego*, chociaż są w naszej poezji romantycznej słowa, które nawołują do oświaty ludowej wymowniej:

Lecz jedyną tu koroną:
Wylać ducha na miljony,
Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim — myśli z nieba,
Nic nie spychać nigdy — w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie —
Tak Bóg czyni we wszechświecie —
Bo cel światów — szlachetnienie.

Tych jednak słów nie słyszy się na wiecach nigdy — bo i jakże? przecie wypowiedział je Krasiński, arystokrata, wsteczник, klerykał, — i oto słuchacze gotowiby posądzić mówcę o wstecznictwo, o burżujstwo, o klerykalizm, o konszachty z demokracją narodową!... Co innego Słowacki — postępowiec, antyklerykał, rewolucjonista!...

Otóż, nie wdając się tutaj w kwestję, czy Słowacki, pomimo że od czasu do czasu puszczał fajerwerki demokratyczne, był istotnie takim demokratą, za jakiego ogłaszają go ci, którym tego potrzeba, — stwierdzić należy dwie rzeczy.

Po pierwsze. Niema żadnego dowodu, żeby Słowacki, pisząc tę strofę, myślał o oświacie ludowej. Cała jego psychologja w drugiej epoce jego twórczości i cała jego poezja tej epoki świadczy, że hasło oświaty w *Testamencie moim* nie płynie z żadnego programu demokratycznego — dla tej prostej przyczyny, że się w tej epoce na żaden program demokratyczny Słowacki nie zdobył, że o takim programie nawet nie myślał; bo przecie takie okrzyki, jak „Kocham lud więcej niż umarłych kości", to tylko szumne frazesy, nie przemyślane hasła programowe.

Więc skądże wziął się w *Testamencie moim* ów kaganiec oświaty? jakie ma znaczenie w ówczesnej ideologji Słowackiego? Podobnie jak przykazanie pierwsze: „niech żywi nie tracą nadziei" — pozostaje w ścisłym związku z przykazaniem Szamana w *Anhellim*: „Miejcie nadzieję, bo nadzieja przyjdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale, jeśli w was umrze, to przy-

szłe pokolenia będą z ludzi martwych"; i podobnie jak przykazanie trzecie: niech żywi „na śmierć idą po kolei" — pozostaje w ścisłym związku z ideą *Lilli Wenedy*, oraz z wyrzutem, że u nas „zawsze po dniach nieszczęśliwych zostaje smutne pół rycerzy żywych", — tak przykazanie drugie, aby niesiono przed narodem oświaty kaganiec, znajduje się w ścisłym związku z ową groźbą:

O, Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
Póty mieć będziesz hienę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Za najcięższy grzech, za największe nieszczęście Polski, uniemożliwiające jej zmartwychwstanie, poczytywał Słowacki uwięzienie „duszy anielskiej" w „czerepie rubasznym", to jest brak kultury duchowej — moralnej, estetycznej, intelektualnej, i właśnie do pielęgnowania tej kultury nawołuje w *Testamencie moim*, mając tym sposobem na myśli kulturę raczej „czerepów rubasznych", to jest szlachty, aniżeli ludu, a w najlepszym razie — oświatę ogólno-narodową, nie zaś specjalnie ludową. To jedno.

Po drugie. Nikt nie wątpi o słuszności wszystkich trzech przykazań Słowackiego w tym wierszu: lecz wszystkie trzy ukazują się tutaj niemal tylko przelotnie, nie żeby nie stanowiły jego części organicznej, ale że tematem głównym nie są wcale. Tematem głównym (co, oczywiście, nie jest zarzutem, tylko cechą znamienną wiersza) jest myśl poety o sobie samym — w obliczu śmierci, albo raczej tylko na myśl o śmierci. Bo przecie wówczas, kiedy Słowacki ten wiersz pisał, śmierć nie zaglądała mu jeszcze w oczy: to raczej on śmierci w oczy zaglądał — oczami fantazji, która mu kazała iść „w cień — z duchami", „być sternikiem duchami napełnionej łodzi". Tak, *Testament mój* nie był napisany w związku z jakimś konkretnym wypadkiem życiowym, jak wiersze miłosne, jak wiersz *Na sprowadzenie prochów Napoleona*, jak *Pogrzeb kapitana Meyznera*; — *Testament mój* jest owocem wyobraźni, rozigranej pobudkami wewnętrznemi (całą psychiką poety), nie zewnętrznemi.

Kiedy stary Rej żegnał się „z światem, z dobrym towarzyszem, i z jego ozdobnemi przypadki", żegnał się z nim naprawdę: siódmy już krzyżyk dźwigał na barkach — i w rok później już nie żył. To też *Żegnanie ze światem* jest (jakby powiedział Schiller) poezją naiwną, *Testament mój* — nawskróś sentymentalną. Fantazję Reja pobudziło rzeczywiście doznane uczucie — lęk przed śmiercią; u Słowackiego przeciwnie: fan-

tazja zrodziła uczucie, a zrodziwszy je, pieściła się z niem i przystrajała je w fantastyczne kwiaty:

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie...
. . . . . .
Niech przyjaciele moi siądą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb...

Niedosyć na tem. W pracy twórczej nad *Testamentem moim* fantazja miała tak przemożny udział, że przekształcała rzeczywistość:

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę.

Czy tak było naprawdę? Na to pytanie najlepszą, najniezawodniejszą odpowiedź da nam Słowacki w lat kilka później, kiedy to na swoją przeszłość będzie patrzał nie przez pryzmat fantazji, tylko pod kątem prawdy, i oczami nie miłości własnej, tylko pokory:

Tu mnie spytała: „Jakiem zwać nazwiskiem?"
Nie dosłyszałem. — A ona: „Jak godność?"
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
„Godności nie mam, przed męką uciekłem".

I mówi jeszcze Słowacki:

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść... taką obojętność jak ja mieć dla świata?

To prawda, że szedł przez świat bez oklasków świata, ale czy się na to godził? czy nie cierpiał nad tem głęboko?

Czy jednak to, że fantazja Słowackiego przekształciła i w tym wierszu rzeczywistość, powinno wpływać na sąd o jego moralnych i estetycznych wartościach? Nie, — w *Testamencie moim* (bez względu na to, co poeta wziął z własnych czynów, a co tylko z serca, wyobraźni i marzeń) niechaj przemawia do nas poeta, który naprawdę żył, cierpiał i płakał z nami, który naprawdę siedział na maszcie, póki okręt walczył, który naprawdę poszedł z okrętem pod wodę; poeta, który, mając zupełną świadomość swojej wielkości, naprawdę spełnił „srogą, twardą Bożą służbę" i który naprawdę umierał z mocnem przekonaniem, że jego poezja przerobi zjadaczów chleba w aniołów. Bo liryka, przy całym swoim podmiotowym charakterze, jest także... poezją, a nie składanem pod przysięgą zeznaniem sądowem, i nawet nie pamiętnikiem, w którym wprawdzie także wolno pisać o swoich marzeniach, ale w którym nie wolno ich treści utożsamiać z rzeczywistemi wypadkami z życia.

W PRZEDEDNIU ZŁOŻENIA PROCHÓW SŁOWACKIEGO NA WAWELU

Przemówienie na urządzonym przez młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego uroczystym obchodzie ku czci Słowackiego dnia 27 czerwca 1927 r.

Imię Słowackiego nieraz bierze się u nas nadaremno, nadużywając jego poezji (aż wstyd powiedzieć!) dla celów partyjnych — dla propagandy pseudodemokratycznej, rewolucyjnej i antykatolickiej.

Kocham lud więcej, niż umarłych kości!
. . . . . .

A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch
Wieczny rewolucjonista,
Pod męką ciał leżący duch.
. . . . . .

Krzyż twym papieżem jest — twa zguba w Rzymie!

Oto trzy grube pociski, które owa propaganda wzięła sobie z arsenału poezji Słowackiego, aby miotać niemi na wiecach w swoich (najczęściej nieobecnych) przeciwników.

Niedosyć na tem. Poezja Słowackiego służy niejednemu za broń dla innej jeszcze propagandy, ściśle z tamtą połączonej, — dla zohydzania szlacheckiej przeszłości Polski.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym,
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko...
. . . . . .

Pawiem narodów byłaś i papugą!...
. . . . . .

Kocham lud więcej, niż umarłych kości!

Ileż to razy przytaczano te wszystkie słowa na dowód, jakoby Słowacki z pogardą patrzał na przeszłość Polski i jakoby zbawienie dla ojczyzny widział w zerwaniu z jej przeszłością!

I oto, w przededniu złożenia jego prochów na Wawelu, gwałtem ciśnie się myśl do głowy: czy tak naprawdę było? Albowiem, gdyby tak było, gdyby naprawdę Słowacki był zaklętym wrogiem Rzymu, poczytując go za „zgubę" dla Polski, i gdyby w jej przeszłości widział same tylko ciemne strony i dopiero na jej gruzach budował Polskę przyszłą, to wówczas, choćby nawet był jeszcze większym genjuszem poezji, aniżeli był, i choćby jeszcze płomienniej nawoływał naród, żeby się stał „posągiem z jednej bryły" i zrzucił z siebie jarzmo niewoli, — nie wolno byłoby narodowi składać jego szczątków śmiertelnych na Wawelu, jako w świątyni, która była i jest katolicką, i która była, jest i będzie świętą arką przymierza między naszą przeszłością a przyszłością.

* * *

Słowacki zaklętym wrogiem Rzymu, katolicyzmu! Twierdzić tak mogą tylko — jedno z trojga — albo ludzie złej wiary, albo ci, którzy znają jedynie c z ą s t k ę jego poezji, albo też ci, którym ciasnota serc i trwożliwość umysłów uniemożliwia szerokie ujmowanie katolicyzmu, nie pozwala uznać za prawdę tego, że nie papież, tylko, jak powiedział kardynał Newman, „sumienie jest wiekuistym wikarjuszem Chrystusa, prorokiem, który nam prawdę objawia, królem, który nam rozkazy wydaje".

Słowacki piorunował na księży, na jezuitów, na papieża, — ale bo też czy mogło serce, tak nawskróś polskie, jak to, które biło w jego piersi, zapomnieć o liście papieskim do biskupów polskich z dnia 9 czerwca roku 1832? Przecie w liście tym oświadcza Grzegorz XVI, że modli się, aby Pan Bóg kraj polski, „tak gwałtowną i straszną walką wstrząśniony, raczył uspokoić i prawowitemu władcy należną nad nim zwierzchność przywrócić". Dosłownie: „prawowitemu władcy"!... Czy serce Słowackiego mogło to ścierpieć? Niech sobie każdy, który ma to wielkie szczęście, że się urodził Polakiem, sam na to pytanie odpowie! A zresztą czem są te wszystkie gromy, miotane w Kościół katolicki w *Kordjanie,* w *Poemacie o piekle,* w *Lilli Wenedzie,* w *Beniowskim,* w porównaniu z temi gromami, które ciskał w „Kościół urzędowy" Mickiewicz z katedry paryskiej? Naprawdę, że gromy Mickiewicza biły, Słowackiego — tylko błyskały.

Po transfiguracji, w epoce, kiedy, nie przestając być wielkim poetą, stawał się coraz większym człowiekiem, kiedy swojem słowem tworzył pieśń o *Królu Duchu,* a swoim czynem — ciężką pracą nad własnem udoskonaleniem — pieśń jeszcze piękniejszą, bo na imię jej *Świętość,* — po transfiguracji, czując się i rzeczywiście będąc człowiekiem w o l n y m w d u c h u

(animo liber), i tę wolność poczytując za największy ze wszystkich skarbów, za najdostojniejsze ze wszystkich dostojeństw człowieka, — zawsze zastrzegał sobie w swoim duchu wolność wobec Kościoła, i to już nie tylko, jak dawniej, wobec jego sług, ale i wobec jego nauki. Nie chciał się pogodzić z tem, że Kościół nie pozwala wierzyć w reinkarnację, bo nie mógł sobie bez niej wyobrazić ani postępu, ani sprawiedliwości bożej. Na cuda, a nawet na niektóre dogmaty, miał poglądy własne, różne od kościelnych.

Tak, ale ta sama wolność w duchu nie pozwoliła mu ubliżać „tej spokojnej ruinie, która stoi pod górami Apeninu, pośród kolumn zgruchotanej przeszłości, pełna szelestów sztandarów naszych, a miesiącami tureckiemi, przez nasze przodki jeszcze zdobytemi, ozłocona".

Ta wolność wewnętrzna kazała mu tłumaczyć śmiało i szczerze swoim rodakom „nagle" „obudzoną w duchu" jego „wiedzę i wiarę przodków", — wiarę, „która, w duchu nakształt pieśni instynktowych leżąca, w czynach się wielkich i poświęconych objawiała", i wiedzę, „która stare Polaki przed Europą zdziwioną ubierała niby w poważną filozofów szatę, ...a korony starych Zygmuntów dziwnie podobnemi do Salomonowych z liljami i perłami koron uczyniła".

Ta wolność w duchu kazała mu nazwać Kościół katolicki „straszną siłą" i „potężnym aniołem czynu", oraz wybuchnąć świętem oburzeniem na tych „dewotów" i „świętoszków", którzy ponoszą winę, że ów „potężny anioł czynu" „nigdy dotąd nie ukazał się wolny, ale zawsze w łańcuchu na nogach i rękach wlókł się za wypadkami świata". Tutaj gromy Słowackiego już nie tylko błyskają, ale i biją.

Ta wolność wewnętrzna kazała mu ze wszystkich swoich symbolów poetyckich najserdeczniej ukochać „Przejasną Dziewicę":

Ta złote słońce Pańskie ma na głowie,
A pod nogami obrączkę księżyca,

i jest w poezji Słowackiego jednocześnie symbolem Najświętszej Panny, „słoneczności" rodzaju ludzkiego, anielstwa i zmartwychwstania Polski.

I wreszcie ta sama wolność w duchu kazała mu umierać tak, jak umierał. „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta; myślałem często o tem, czy też tej łaski dostąpię". Dostąpił — nie ze strachu przed śmiercią, nie z oportunizmu, nie z konwenansu, nie z nakazu zewnętrznego, ale jedynie dlatego, że był wobec Kościoła wolny w duchu.

* * *

Był wolny w duchu i wobec przeszłości narodowej.

Po klęsce 1831 roku, kiedy inni poeci apoteozowali przeszłość Polski, on się tej pokusie serdecznej oparł zwycięsko.

Zresztą przez długi czas wolność wewnętrzną wobec przeszłości narodowej krępowało w jego duszy to, co, obok żądz cielesnych i nienawiści, jest największym wrogiem wolności ducha: wygórowana miłość własna. Z tego to właśnie źródła wypłynął żal do ojczyzny, a nawet gniew, że się nie poznała na jego poezji. Otóż ten gniew mocno zabarwił jego poglądy na przeszłość narodową, nie tyle zresztą ich treść (bo ta jest, naogół biorąc, słuszna), ile ich wyraz — tak bardzo przejaskrawiony w *Grobie Agamemnona*.

Lecz było inne jeszcze źródło, kryształowo czyste, żalu i gniewu Słowackiego: bolesna świadomość, że Polska nie była w przeszłości i nie jest w teraźniejszości taką, jaką on chciał, żeby była.

Przyszła jednak chwila, kiedy obydwa te źródła w jego duszy wyschły: miłość ojczyzny wzięła górę nad miłością własną, albo raczej — w *Królu Duchu* — zespoliła się z nią w cudowną harmonję. A jednocześnie harmonizowała się miłość Polski rzeczywistej z miłością Polski idealnej.

Ten cud jego duszy zaczął w niej kiełkować jeszcze przed transfiguracją: bo przecie (nie mówiąc już nawet o *Złotej Czaszce*) w tych pieśniach *Beniowskiego*, które powstały przed epoką mistyczną, są strofy pełne czystej, nie zmąconej miłością własną, miłości ojczyzny, i to nie idealnej, tylko rzeczywistej, — tej, która walczyła za wiarę i wolność podczas konfederacji barskiej. I, chociaż tutaj to właśnie woła Słowacki:

> Kocham lud więcej, niż umarłych kości,

jednak tego nie widać! Nie widać, żeby Swentynę i lirników ukraińskich kochał więcej, niż Anielę i księdza Marka, którego duszę anielską już teraz zaczął coraz więcej wyzwalać z więzów czerepa rubasznego. A ów szlachcic Suchodolski, poeta, wizjoner i historyk, któremu Słowacki dał cząstkę swojej własnej duszy, chociaż

> . . . . . słyszał przekleństwa
> Dawne i skargę, będącą w mogiłach,
> Nie był . . . . . bez nabożeństwa
> Dla dawnej szlachty — i czuł, że w jej siłach,
> Dopóki z ludu nie wytrysną nowe,
> Leżało całe życie narodowe.

A cóż dopiero powiedzieć o tych fragmentach *Beniowskiego*, które powstały w epoce mistycznej! Czy trzeba przypominać owe strofy cudowne:

Dawna ojczyzno moja! o, jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy!

Pogląd na przeszłość Polski zmienił się radykalnie. W sercu i umyśle malała (chociaż zniknąć, nie znikła nigdy) odległość pomiędzy Polską idealną a rzeczywistą. Uwierzył Słowacki — on, który dawniej nazwał Polskę rzeczywistą pawiem i papugą narodów, —

Że przez ojczyznę naszą szło zbawienie,
Że ona była ostatecznym końcem
Żywota ducha ludzkiego, że ona
Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
I umiłować, i oddać ją słońcem.
Ona to jedna mogła, a nikt inny,
Bo była prosta, piękna jak cud gminny,
Niepokalana!...

Niektóre cechy „czerepa rubasznego" wydawały mu się teraz znamionami „duszy anielskiej". Dosyć powiedzieć, że, jak Ludwik Królikowski i Antoni Bukaty, tak i on poczytywał *liberum veto* za jeden z objawów i dowodów anielstwa dawnej Polski, albo przynajmniej za objaw i dowód przeczucia przyszłego anielstwa, mianowicie wolności ducha ludzkiego, „świętej anarchji". Wierzył, że dawni Polacy, posługując się *liberum veto*, mieli na myśli, „jakoby co chwila Chrystus mógł się obywatelem kraju narodzić, a narodziwszy się choćby jednym z najmniejszych obywateli, drogę znaleźć aż do tronu, prawem uświęconą i przygotowaną..., bo, nie buntownikiem, ale obywatelem będąc, mógł oto *veto* swoje położyć, a zawiązać prawnie konfederacją apostołów, a ogłosić, że na zgodzie ostatecznej duchów Kościół swój jeden postawi i Królestwo swoje zbuduje". Ta argumentacja Słowackiego pozostaje w ścisłym związku z jego nauką genezyjską, z jego poglądem, że postęp odbywa się drogą burzenia form starych przez ducha zaprzeczeń: z tego to źródła wypłynęła apoteoza Samuela Zborowskiego.

Zbijać tego rozumowania, które naprawdę przypomina sofisterję teoretyka złotej wolności XVII wieku, Andrzeja Maksymiljana Fredry, niewarto — choćby dlatego, że zbił je, jak nie można lepiej, już w XVIII wieku, Konarski: „Nie jestże to imaginacja, niepodobna do praktyki?!"

Lecz nie idzie tutaj ani o wykazanie naiwności wywodów Słowackiego, ani o jej usprawiedliwienie owoczesną psychiką, zarówno jego, jak wogóle całej nieszczęśliwej emigracji polskiej; idzie tylko o stwierdzenie, że po transfiguracji szukał Słowacki (i bardzo słusznie) w dziejach dawnej Polski wielkich wartości

moralnych, że je znalazł, i że na nich właśnie oparł swoją niezłomną wiarę w wielką, świetlaną przyszłość ojczyzny: uwierzył, że Polska wypracuje w sobie anielskość czyli słoneczność i świat cały poprowadzi ku Królestwu Bożemu. Zrozumiał tę wielką prawdę, że przeszłość narodu powinna być podstawą, na której trzeba budować gmach przyszłości — raz drogą ewolucji, drugi raz rewolucji, ale pod warunkiem, że „każda rewolucja, nim w ciele zjawiona, musi wprzódy objawić się w duchu".

Więc to nieprawda, że zbawienie dla ojczyzny widział Słowacki w zerwaniu z jej przeszłością; prawdą jest natomiast, że tę przeszłość całem sercem ukochał i nie gdzie indziej szukał zbawienia, tylko w jej nasionach.

Ale nie we wszystkich. Przy całem umiłowaniu przeszłości narodowej zachował względem niej wolność w duchu, ten swój skarb najdroższy, to najszlachetniejsze znamię prawdziwej wielkości duszy. I ta wolność w duchu nie pozwoliła mu zamykać oczów na grzechy przeszłości: „Pragnęliśmy wolności, ale sami byliśmy niewolnikami złego. Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia chłopi... O, ciężka twoja dola, nieszczęśliwy rodzie szlachecki, ale i ciężki jest grzech twój! — W narodzie, licznym jak gwiazdy na niebie, tyś jaśniał jako słońce promieniami cnoty twojej. — Któż wypowie złotą wolność i moc ziemską, jaką miałeś, gdy drżeli przed tobą monarchowie świata? — Sam Bóg w sławie ojców złożył cząstkę swej wielkości, aby na wieki pozostała znamieniem Jego narodu. — Nad czystemi ich sercami królowała Najświętsza Panna, Boga Rodzica. — Ale ojczymostwem względem ludu niegodnymi się stali tej łaski". Oto dlaczego dawna Polska nie spełniła swojej misji, nie wzięła całej ziemi w ramiona i nie oddała jej Panu Bogu słońcem. Ale teraz weźmie i odda — pod warunkiem, że w duchu swoim wyhoduje tylko dobre nasiona przeszłości, a złe wypleni.

Przez takie ujęcie przeszłości narodowej, przez taką jej miłość, jest poezja Słowackiego w ostatniej epoce jego twórczości arką przymierza między przeszłością a przyszłością, godną Wawelu — i tej samej krypty, w której spoczęły śmiertelne szczątki Mickiewicza.

* * *

Mówi piewca *Katedry na Wawelu,* Edmund Wasilewski:

Pomiędzy Bugiem a Wisłą
Par sto tysięcy zabłysło.
Odbrzmiały echem wolności
Odwieczne Karpat padoły,

A na Wawelu z radości
Wstrzęsły się przodków popioły.
Ale Bóg wyrzekł: „Za wcześnie!“
I Wawel jęknął boleśnie.

Dzisiaj Bóg już nie powie: „Za wcześnie!“, bo nie nato zwrócił nam wolną ojczyznę, abyśmy ją sobie po raz drugi dali odebrać. Więc, kiedy prochy Słowackiego spoczną w podziemiach Wawelu, to nietylko wstrząsną się z radości spoczywające tam popioły przodków, ale i cały Wawel, zamiast boleśnie jęknąć, zaśpiewa radośnie *Te Deum* — śpiżową pieśnią królewską Zygmunta.

* * *

Najpiękniejszy, najświętszy tron Boga na ziemi,
Na który Pan Bóg nieraz kilka wieków czeka,
Jest to duch ogromnego wieszcza i człowieka,
Wiatrak niby ze skrzydły jasnosłonecznemi,
Ciągle porywający świat kamienny w górę.

Świat kamienny porywają w górę tylko ci ludzie, którzy, obok genjuszu czyto umysłu, czy serca, czy piękna, czy woli, genjuszu, danego im przez Boga, mają nadto, już dzięki własnej pracy nad sobą, wolność w duchu. Od narodzin wolnego w duchu genjusza umysłu — Mikołaja Kopernika, aż do narodzin wolnego w duchu genjusza serca — Bolesława Prusa, wydała Polska, oprócz Lelewela, jeszcze dwóch ludzi, którzy do danego sobie od Boga genjuszu serca i piękna dodali wypracowaną przez siebie samych wolność w duchu: są nimi dwaj „ogromni wieszcze“ — Adam Mickiewicz i Juljusz Słowacki.

Ich krypta w podziemiach Wawelu, widomy symbol ich ducha, będzie tronem na ziemi dla Boga — i dla Polski.

PO ZŁOŻENIU PROCHÓW SŁOWACKIEGO NA WAWELU

Przemówienie podczas uroczystej Akademji żałobnej w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniu 28 czerwca 1927 r.

Pod błękitnem niebem Hellady, ojczyzny najpiękniejszych na całym świecie mitów, powstała legenda o królu frygijskim Midasie. Kiedy go raz Dionis zapytał, czegoby sobie życzył, odpowiedział: „Niechaj wszystko, czego tylko dotknę, zamieni się w złoto!“ Zezwolił Dionis, i Midas nie posiadał się ze szczęścia. Ale wnet szczęście prysło: bo oto wszystkie napoje i potrawy, których się tylko tknął, aby je spożyć, zamieniały się w złoto, — i śmierć głodowa zajrzała mu w oczy. Wtedy dopiero poznał, jak nierozsądna była prośba, którą zaniósł do boga, więc prosił go, żeby mu odebrał to, co mu dał. I znowu zezwolił Dionis; na jego rozkaz Midas wykąpał się w nurtach Paktolu, i wnet opuścił go dar złowrogi: to, czego dotykał, już nie zamieniało się w złoto, i tylko Paktol zaczął odtąd płynąć falą złocistą.

Mimowoli przychodzi na myśl ta legenda, kiedy się myśli o życiu Tego, którego prochy spoczęły dzisiaj w podziemiach Wawelu.

„.....Mamo kochana, powiem Ci to, czegom nikomu nie mówił: w dzieciństwie, kiedy byłem egzaltowanie nabożnym, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie najnędzniejsze, żebym był pogardzony przez cały wiek mój, i tylko zato żeby mi dał nieśmiertelną sławę po śmierci“. O jakąż to sławę modliło się dziecko? króla? wojownika? reformatora? Nie! „Dla mnie niema innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezje... Innych snów wielkości nigdy nie miałem“.

I jakże nie miał się modlić o sławę poety, kiedy już w dzieciństwie wiedział, że się nim urodził?

.....Dziecko z czarnemi oczyma
.....natchnieniom dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.

I Bóg wysłuchał jego modlitwy, jak Dionis wysłuchał prośby Midasa: podobnie jak wszystko, czego się tylko dotknął król Midas, zamieniało się w złoto, tak wszystko, na co spojrzał, o czem pomyślał, czego zapragnął Juljusz Słowacki, zamieniało się w szczere złoto poezji.

Ale też, jak dla Midasa, tak i dla niego ten dar był złowrogi, okazało się bowiem wkrótce, że „świat poetyczny" nie był tak wszechwładny, aby mu „zasłonić zupełnie smutną i nudną rzeczywistość".

W tym świecie poetycznym budował sobie Słowacki, jak pięknie powiedział Sienkiewicz, wspaniałe kościoły — i szukał w świecie rzeczywistym bóstw, żeby je w nich osadzić. Zbudował sobie kościół miłości kobiety, — i nigdy w życiu nie znalazł takiej, którąby mógł do niego wprowadzić. Zbudował sobie kościół idealnej, wymarzonej, świętej Polski, — i przekonał się, że Polska realna, rzeczywista, grzeszna, niegodna jest wielkiego ołtarza. Zbudował sobie kościół poezji, w którym sam chciał być kapłanem, — i przez całe życie widział w nim... pustki, bo ludzie nie chcieli się tam modlić.

Sam sobie był winien: poco,

> ...mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
> Gniazdo na skałach orła?

Cóż dziwnego, że mieszkańcy domu, ludzie, albo nie widzieli orlego gniazda, albo, kiedy je widzieli, szydzili z jego mieszkańca?

O co się modlił, to otrzymał: genjusz poezji, sławę po śmierci, ale za życia — smutek i samotność: „był pogardzony przez cały wiek" swój. Ani poezja, ani nawet piękna natura, którą tak ukochał, nie dała mu szczęścia:

> Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
> Smutno mi, Boże!

Tak, tragedja życia Słowackiego polega — w najgłębszej swojej istocie — właśnie na tem, że,

> ...mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
> Gniazdo na skałach orła.

Jak przystało na poetę romantycznego, chciał z życia uczynić poemat, podnieść niziny rzeczywistości na wyżyny poezji. Że zaś rzeczywistość podnieść się nie dała, że jej „głazy" nie chciały padać „przed ducha aniołem", a samą poezją, choćby tak cudowną jak jego, nie wyżyje nawet najwyższy anioł ducha, dopóki pokutuje w ciele, więc pnący się na coraz większe wyżyny

duch Słowackiego, nie mając dosyć ziemskiego pokarmu, ciągle łaknął i niszczał.

On sam zdawał sobie z tego sprawę przeraźliwie jasno:

...pod tym grzmotem, pod temi kolory,
Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,
Że różne z myśli leją się upiory,
Że z pełną jestem wymyśleń kaletą:
Ale wierzajcie, żem rymu podpory
Podłożył sercem — a to moje *veto*
Przeciw fałszowi kiedy duch mój rzuca,
To więcej mnie to kosztuje... niż płuca.

O to zaś, żeby go Pan Bóg uwolnił od daru poezji, jak Dionis uwolnił Midasa od daru złota, nie modlił się Słowacki nigdy. Za grzech śmiertelny, za bluźnierstwo poczytywałby sobie taką modlitwę — on, który, jak żaden inny z wielkich poetów na bożym świecie, przez całe swoje życie i z całą świadomością pracował nad tem, żeby coraz większym ogniem gorzała w nim ta święta, ta boża iskra poezji, którą przyniósł z sobą na ten padół ziemski z krainy,

...kędy dusze, jasne jak brylanty,
Swe dobrowolne czyniły wybory.

Wierząc święcie, że dla Polski i dla całego świata trysną z tej iskry najwyższe prawdy, nie o jej zgaszenie modlił się do Boga:

O krzyż Cię proszę modlitwą gwałtowną,
O krzyż i siłę pod rozdrożem ćwieka.
Całemu światu lampą tak cudowną
Stać się — gdzież większa jasność dla człowieka?

Modlitwa o krzyż została wysłuchana, ale o siłę — już nie. Siły nikły szybko — nie suchoty je zabiły, tylko ów demon poezji, który go opętał zamłodu. Nie uwolniły go od niego kąpiele morskie, jak od daru zamieniania wszystkiego w złoto uwolniły Midasa nurty Paktolu. Lecz, jak dzięki Midasowi Paktol zaczął płynąć falą złocistą, tak dzięki Słowackiemu przez serca polskie płynie złocista fala przeczystej poezji, i płynąć będzie, dopóki serc polskich na świecie.

POEZJA KRASIŃSKIEGO

(PRÓBA SYNTEZY)

Z wykładów w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Poglądy Krasińskiego na poezję [1]. Żeby zrozumieć i osądzić Krasińskiego, jako poetę, trzeba przedewszystkiem poznać jego poglądy na poezję i poetę, należał on bowiem do tych poetów, na których twórczość niemały i świadomy wpływ wywiera własna poetyka, albo raczej własna filozofja poezji. Ta filozofja szybko dojrzewała w umyśle Krasińskiego już w epoce *Nieboskiej Komedji* i *Irydiona*.

Zrazu był on zapalonym wielbicielem Szekspira. Jeszcze w roku 1832 (dnia 27 marca) pisał do Gaszyńskiego: „Czytaj Szekspira, to największy poeta; Byron jest dzieckiem w porównaniu z nim". Minęło lat pięć, i oznajmiał Gaszyńskiemu (9 stycznia roku 1837), że „Szekspir nie ma serca, Goethe również", że „Szekspir, choć szeroki, jak łuna północna, co zawisła od bieguna do połowy niebios, ...w hierarchji duchów niższy od Byrona, który tylko mignął, ...jak znikoma błyskawica wśród burzy".

Jeszcze surowiej wyraża się Krasiński o Szekspirze w listach do Słowackiego (z dnia 19 grudnia roku 1840 i z Wielkiej Soboty roku następnego): „Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również, i ten zły, czyli niedomiar dobrego, brak wielkości, brak pojęcia, na czem powszechność, ogół, harmonja wszechżycia zależy, piętno materjalizmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe wyciska na czole Szekspira, piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności. Nieporównany co do szczegółów, co do ich doskonałego wyrobienia, co do analizy życia, — w tem nikt go nie prześcignie; lecz właśnie dlatego, że nadto wyłączny i jednostronny, że nadto w same pojedynkowe rzeczy i części tylko

[1] Por.: Z. Krasiński, *Myśli o sztuce*. Zebrał i przedmową opatrzył Adam Grzymała-Siedlecki. Lwów 1912.

zapatrzony, zewnętrzny mechanizm życia ziemskiego rusza się w nim, ale głęboki, wieczny jego organizm gdzie?... Wielki to mistrz na dysonanse — dysonanse są połową życia: lecz gdzie to, co wszystko rozsypane skupia, wszystko rozmaite jednoczy, wszystko sprzeczne wkońcu godzi?"... „Szekspira stanowisko było jeszcze, że tak powiem, dzikie i dziecinne; stał wpośród rozmaitości świata, obserwował fenomena, w głąb przyczyn nie zachodził, podobny w tem do szkoły filozofji Locka lub Kondyllaka"... „Wszystkie obserwacje jego są doskonałe; jest to najwyższy z empiryków, ale do głębi życia nie dotarł"... „Świat Szekspira, choć doskonale realny i dotykalny, przedoczny, nie jest światem prawdziwym, bo nie jest całością świata: tam tylko całość, gdzie wszelkie złe i brud wszelki zmazan i zniesion tem właśnie, że, tylko za chwilę znikomą uważany, nie dorywa się znaczenia absolutnego, powszechnego, ale pozostaje na podrzędnem cząsteczki stanowisku".

I jeszcze kilka słów o Szekspirze — z listu do Gaszyńskiego (z dnia 30 kwietnia roku 1837): „Szekspir, jak wszyscy Anglicy, jest głęboko ludzkim, ziemskim: pojmuje doskonale nędzę i marność, ale w nim niema nadziei, niema powiązania ziemi z niebem; coś rzemieślniczego przebija w jego prowadzeniach rzeczy. Kiedy go czytasz, sam ten niedostatek wyobraźnią swoją poprawiasz; ale kiedy patrzysz na jego sztuki przedstawiane, czujesz warsztat i machinę, czyli raczej świat cały, pojęty z tego stanowiska".

Wszystkie te zarzuty, uczynione Szekspirowi, dadzą się skupić w jednym: stosunek Szekspira, jako poety, do rzeczywistości jest fałszywy, wielkiego poety niegodny. Albowiem, po pierwsze, był to stosunek zbyt przedmiotowy, czyli, jakby powiedział Schiller, zbyt naiwny; to znaczy: Szekspir patrzał na rzeczywistość spokojnie, chłodno, i w swojej poezji odtwarzał ją tak, jak na nią patrzał, nie zaznaczając swojego do niej stosunku, ani myślowego, ani uczuciowego. Nie dziw, że wobec takiego poglądu, wolał Krasiński od Szekspira Byrona, jako poetę, który swój stosunek do swoich wizyj poetyckich wyraźnie zaznacza, to jest, według terminologji Schillera, jako poetę sentymentalnego[1]. — Po drugie, stosunek Szekspira do rzeczywistości był, zdaniem Krasińskiego, zbyt powierzchowny: widział on doskonale jej konkretne objawy, lecz ich istoty nie widział, nie rozumiał, a stąd jego poezja ma charakter jednostronny, bo indywidualny, a co najwyżej naro-

[1] W liście do pani Bobrowej oburza się jednakże Krasiński na *Don Juana*, a to za ironiczny stosunek poety do rzeczywistości.

dowy, nie zaś ogólnoludzki, i przez to charakter fałszywy, bo nie wiekuisty. Krótko mówiąc, w poezji Szekspira niema nic a nic filozoficzności. — Po trzecie, są w jego poezji dysonanse: niema harmonji pomiędzy dobrem a złem, niema wiary, ani nawet nadziei, że złe jest tylko czemś przejściowem na świecie, że prędzej czy później Ormuzd zwycięży Arymana; innemi słowy, niema w poezji Szekspira idealizacji rzeczywistości, niema jej przekształcania w kierunku idei, albo raczej ideału, i, co za tem idzie, niema charakteru w i e s z c z e g o.

Wobec takiego sądu o Szekspirze nietrudno się domyślić, którego z wielkich poetów Krasiński mu przeciwstawiał i którego cenił daleko więcej od niego. „Jeśli mam prawdę powiedzieć — pisał do Gaszyńskiego (30 kwietnia roku 1837) — wolę jedną tragedję Szyllera na scenie, niż wszystkie Szekspiry; na kanapie będę ci czytał Szekspira dzień cały; Szekspir ma coś podobnego do tych starych dyplomatów, którzy ci opowiadają, że największe świata rewolucje i wojny wypadły z jakiejś drobnej intrygi. Intryga była, nie przeczę, ale było coś więcej jeszcze, bo palec boży. Tu się kończy Szekspir, a zaczyna się Szyller“... „Wiara w coś wyższego, w coś dobrego i szlachetnego wieje zewsząd z jego piersi. Jak Apollo Belwederski, z podniesionem on naprzód i niewstrzymany idzie czołem. Szekspir posuwa się ogromny, ale głowę schylił i oczyma tylko sięga w ziemię. Szekspir rozumiał duszę ludzką, Szyller — ducha ludzkości; Szekspir dodawał ludzi jednych do drugich, jak ziarnka piasku, Szyller ich zlewał z sobą, jak światła promienie. W Szekspirze stąd prawda codzienna, wyrwana szczerzej, niż gdziekolwiek indziej, na jaśnią, w Szyllerze prawda wiekuista, idealna drga i brzmi, i jaśnieje. Pierwszy rozważał, drugi czuł serca sercem, rozumy — rozumem. Z Szekspira wkońcu nic nie wyciśniesz, jedno naukę, że t a k s i ę s t a ł o; z Szyllera się dowiesz, że t a k s i ę s t a n i e. Coś kronikarskiego jest w pierwszym, coś historycznego w drugim. Ostatni niezawodnie więcej miał poezji w sobie, ostatni doskonale znał i rozumiał starożytnych Greków, pierwszy kwiat rozwity sztuki i najpiękniejszy może, Szekspir nie czytał ich nigdy“.

Łatwo także, wobec takiego sądu o Szekspirze, zrozumieć, dlaczego z utworów Goethego najwięcej zachwycał się Krasiński drugą częścią *Fausta:* przecie utwór ten kończy się zwycięstwem dobrego, poucza, że „tak się stanie“, a nadto obejmuje, pod pokrywką alegorji, dzieje całej ludzkości, przez co ma charakter filozoficzny. Jasną rzeczą jest także, dlaczego się Krasiński tak zachwycał utworami romantyków niemieckich, zwłaszcza Jean-Paul'a i Novalisa, dlaczego o pani Sand pisał do Adama Potockiego, że ona „jedna z pisarzy francuskich

ma w duszy coś zbliżającego się do genjuszu": wszędzie znajdował tam obficie to, czego niema, a raczej czego nie widział, w Szekspirze, to jest ideowość, filozoficzność, wiekuistość.

A w tych swoich poglądach i upodobaniach estetycznych był konsekwentny, skoro ze współczesnych sobie m a l a r z y najwyżej cenił Ary Scheffera; ukochał w nim malarza, w którego twórczości (późniejszej) sztuka — zarówno linja, jak barwa — szła w służbę idei. Z Scheffera dopiero, jak pisał do żony, dowiedział się, „co jest sztuka malarska", i wyznawał, że mu dawniej „przed żadnym obrazem nigdy... łzy nie szły do oczu, i dreszcz podziwu, uwielbienia, miłości nie przeszywał pleców i piersi". I podobnie jak wolał Schillera od Szekspira, tak przekładał Ary Scheffera nad Rafaela: „Błazny, co wyrzekli, że wiek nasz bez ideału; idealniejszego nic nigdy w przeszłości nie było, i Rafael materjalista przy tem" (to jest przy obrazie Ary Scheffera: *Św. Monika ze św. Augustynem).*

Jak wysoko cenił Krasiński poezję Mickiewicza, to powszechnie wiadomo, ale co bardzo ciekawe, że o *Balladach* i *Sonetach* wyrażał się z pewnem lekceważeniem [1]. Na genjalnej piękności *Pana Tadeusza* poznał się, ale nie odrazu, co sam wyznał Romanowi Załuskiemu [2]. A co sądził o innych utworach? „*Improwizacja* Konrada jest dzielna, — pisał do Gaszyńskiego dnia 16 grudnia roku 1833 — *Pielgrzymstwo* jest tak głęboko pomyślane, jak nieczęsto zdarza się myśleć naszemu wiekowi"... A więc sąd o *Księgach Pielgrzymstwa* wypadł jednak pochlebniej: takich dzieł jest mało w całym XIX wieku, a *Improwizacja* jest tylko dzielna!... Dlaczego? Dlatego, oczywiście, że *Improwizacja* to utwór czystej poezji, *Księgi Pielgrzymstwa* to utwór ideowy.

Wiadomo także powszechnie, jak bardzo zachwycał się Krasiński poezją Słowackiego: co jednak bardzo znamienne, że ten jego utwór, któremu w swoim słynnym artykule poświęca najwięcej miejsca, to jest *Balladynę,* rozpatruje nadewszystko ze stanowiska i d e i.

Te wszystkie i inne jeszcze sądy i upodobania Krasińskiego dają nam pośrednio pojęcie o jego poglądach na poezję. Poznajmy je teraz bezpośrednio.

„Poezja musi być filozoficzną" — pisał Krasiński do Gaszyńskiego (19 października r. 1839), czyniąc jednak tuż po tem jedno bardzo ważne zastrzeżenie: „P o e z j ę mieć za narzędzie filozofji równa się a l l e g o r j i, czyli n i e p o e z j i, czyli g r o c h o w i z k a p u s t ą". Na czemże ma polegać filozoficz-

[1] *Korespondencja,* III, 4 i 64.
[2] Tamże, 66.

ność poezji? Na tem, że i poezja, jak filozofja, dąży do p r a w d y. „Cóż jest piękność? — czytamy w liście do dzieci (z r. 1856) — czyż ona nie wyrazem p r a w d y?... Istotna piękność, czy na płótnie, czy w marmurze, czy w poezji, niczem innem, jedno k s z t a ł t e m z e w n ę t r z n y m p r a w d y. Jeśli zaś nie tem jest, to nie jest pięknością!“ [1]. A w liście do Delfiny Potockiej (z roku 1839) czytamy: „Taki związek pomiędzy pięknością a prawdą, że pierwszej zgubić bez zadania ciosu śmiertelnego drugiej nie można; a zatem kto się dotknie poezji, kto ją kłamstwem nazwie, ten nie wie, co robi — ten siebie, świat i Boga zabija [2]. Do prawdy dąży skutecznie ten tylko, kto patrzy na świat filozoficznie: a jeżeli tak, to i poeta winien nań patrzeć filozoficznie i ten swój myślowy stosunek do niego powinien przyoblec w „kształt zewnętrzny“. Oto dlaczego z dwóch zasadniczych typów poezji, na które ją podzielił Schiller, oddawał Krasiński poezji sentymentalnej stanowcze pierwszeństwo nad naiwną; oto źródło, z którego wypłynęła lwia część zarzutów, poczynionych Szekspirowi, jako poecie naiwnemu.

Lecz cóż to jest ta prawda, do której dążyć powinien zarówno filozof, jak poeta? Na odpowiedzi Krasińskiego na to pytanie mocno zaważyła filozofja niemiecka. Tak zwana rzeczywistość, tak zwany świat realny, ciągle w swoich zjawiskach z m i e n n y, nie jest prawdą, — jest ułudą: prawdą jest tylko i d e a tych zmiennych zjawisk, jako n i e z m i e n n a. Jest to echo *Odczytów o estetyce* Hegla, mianowicie jego poglądu, że „wszystko, co istnieje, ma tylko o tyle prawdę w sobie, o ile jest istnieniem idei, bo idea jest t e m, co jedynie naprawdę jest rzeczywiste“ [3]. Za Heglem to powtarza Krasiński:

Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku:
Lecz idea nie przeminie.

Otóż tę myśl zastosował Krasiński, podobnie jak Hegel i pod jego wpływem, do poezji i wogóle do sztuki; myśli tej pozostał wierny, utrwalając się jeszcze z biegiem lat w wierze w jej prawdę. Oto co na schyłku życia pisał do synów (r. 1856): „Adzio bardzo mnie ucieszył odpowiedzią swą. Uważaj, Adziu mój! Piszesz mi bardzo dobrze o lwie, a kończąc, powiadasz: „Ona rzeźba nie jest piękną, ponieważ nie zgadza się z tem, c o m s o b i e w m y ś l i w y s t a w i ł“. Doskonale; lecz pa-

[1] *Wyjątki z listów Z. K.* Paryż 1860, str. 243.
[2] Tamże, 75.
[3] Kleiner, *Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli*, I, 309.

miętaj oprócz tego, że jeszcze trzeba, by to, coś sobie w myśli wystawił o lwie lub o czemkolwiek innem, było ideą o tym lwie lub czemkolwiek innem p r a w d z i w ą — to jest ideą, jaką o nim ma cały ród ludzki, nie pan Adzio tylko lub pan Lili, Piotr lub Paweł, ale wszyscy ludzie — duch ludzki, ogółem wzięty, pojmujący rzeczy według praw wiekuistych, przez Stworzyciela ustanowionych i rządzących światem. Kiedy uczujesz, patrząc na lwa kamiennego, że każden rys jego i kształt każden wyrażają ci najdokładniej myśl bożą o nim, myśl, jaką Bóg tchnął w niego, stwarzając go, — wtedy ten lew z kamienia zowie się pięknym, bo dopiero wtedy kamień martwy, dostawszy dłótem od rzeźbiarza, tak zmiękł i ukornił się pod temi uderzeniami rzeźbiarskiego natchnienia, że stał się jakby przejrzystą zasłoną, z poza której promieniami leje ci się w oczy i serce p r a w d a boża, światło boże, myśl boża, stworzycielka tego lwa. To bowiem dopiero p r a w d z i w ą p r a w d ą j e s t. Napisz mi, czyś to pojął, ty i brat twój“ [1].

Czy pan Adzio tę myśl pojął, wolno wątpić, ojciec bowiem niekoniecznie jasno ją wyraził. W zasadzie myśl to zupełnie słuszna i... stara, bo wypowiedziana, i to dużo jaśniej, przez Arystotelesa — na początku IX rozdziału *Poetyki*. Zastanawia się tutaj Arystoteles nad różnicą pomiędzy historją a poezją i upatruje różnicę istotną nie w tem, że historyk opowiada o zdarzeniach prozą (bo przecie historja Herodota, gdyby ją kto ujął w wiersze, nie stałaby się przeto poezją), tylko w tem, że „historyk opowiada zdarzenia tak, jak one w rzeczywistości zaszły, a poeta tak, jakby zajść mogły“. Do tych słów dodaje Arystoteles: „I dlatego to poezja jest filozoficzniejsza i głębsza od historji, poezja bowiem ujmuje raczej ogół, a historja opowiada“ (tylko) „szczegóły“. Jedna to z najgłębszych myśli w całej *Poetyce*, nie rozwinięta wprawdzie szczegółowo, ale zrozumiała w związku z tem, co Arystoteles mówi o możliwości i konieczności. Odróżnia on i s t o t ę zjawiska albo czynu od jego konkretnych, przypadkowych albo, jeśli kto woli, indywidualnych objawów. Otóż prawdziwa poezja, zdaniem Arystotelesa, nie jest niewolniczem naśladowaniem natury, nie odtwarza, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, konkretnych, poszczególnych objawów życia z fotograficzną wiernością, tylko je przetwarza tak, żeby w ich wyrazie artystycznym była nietylko prawda szczegółów, ale także i ogółowość, powszechność, to jest ich możliwość zarazem i konieczność. I właśnie dlatego poczytywał Arystoteles poezję za filozoficzniejszą od historji; rozumiał, że poezja, „naśladując naturę“, zawiera

[1] *Wyjątki*, j. w., str. 45 i n.

w sobie ogólnoludzką, wiekuistą prawdę. Więc np. — dodajmy od siebie dla lepszego wyjaśnienia tej myśli — Homer, tworząc postać gniewnego Achillesa, stworzył postać żywą, indywidualną, konkretną, ale w tej postaci jest zarazem powszechność, jest ogólnoludzki pierwiastek; jej twórca bowiem uchwycił z genjalną prawdą samą istotę afektu; poszczególne objawy gniewu są niezaprzeczoną własnością Achillesa, ale sam gniew został uobrażony tak, że każdy rozgniewany człowiek ujrzy samego siebie w gniewie Achillesa jak w zwierciadle. Estetycy niemieccy, a za nimi Krasiński, mówiąc o idei tego lub owego zjawiska, o jego myśli bożej, nie powiedzieli, między Bogiem a prawdą, nic nowego w porównaniu z Arystotelesem.

Lecz tutaj jedna uwaga. Wspomniało się o Homerze, to jest o tym poecie, który ze wszystkich wielkich poetów świata jest najbliższy ideału „naiwności". Niedaleko zaś Homera pod tym względem stoi niewątpliwie ten właśnie poeta, któremu Krasiński zarzucał, że „stał wpośród rozmaitości świata, obserwował fenomena, w głąb przyczyn nie wchodził". Dziwne! Że też Krasiński nie widział, nie wyczuł tego, że chyba żaden inny poeta nowoczesny nie umiał tak genjalnie obserwować konkretnych zjawisk i jednocześnie wchodzić w głąb ich przyczyn, czyli że, innemi słowy, chyba żaden inny poeta nowoczesny nie umiał w tym stopniu, co Szekspir w swoich największych kreacjach, chwytać w poszczególnych, konkretnych, indywidualnych zjawiskach ich typowości, ich „myśli bożej", ich ogólnoludzkiej prawdy, czyli, według terminologji Arystolesa, ich powszechności! Wystarczy przypomnieć Otella, Hamleta, Makbeta, Korjolana: w tych kreacjach jest Szekspir jednocześnie wielkim poetą i wielkim filozofem życia.

Pokazuje się, że, jeśli Krasiński odsądzał poezję Szekspira od filozoficzności, to dlatego, że żądał od poezji, aby jej filozoficzność objawiała się bezpośredniej, niż u Szekspira, że jedynie poezję „sentymentalną" poczytywał za filozoficzną. Wprawdzie rozumiał dobrze, że pomiędzy filozofją a sztuką, prawdą a pięknością, istotą treści a jej konkretną formą, powinna zachodzić harmonja — i takiej harmonijnej sztuce oddawał nawet pierwszeństwo nad filozofją, a to ze względu, że, jak pisał do Scheffera (16 sierpnia roku 1845), kiedy sztuka odzwierciedla prawdę w piękności, istotę *(le fond)* w formie, duszę przez ciało, i tym sposobem osiąga żywą rzeczywistość, ducha życia, — filozofja zajmuje się jedynie trzecim pierwiastkiem każdej rzeczy, to jest prawdą, a tam, gdzie naczyniem prawdy nie jest forma *(où la forme ne manifeste pas le Vrai)*, tam niema życia realnego, niema osoby żyjącej, niema ducha". Mówiąc nawiasem, scharakteryzował tutaj i skrytykował Kra-

siński, nie myśląc oczywiście o tem, niektóre swoje własne utwory, nadewszystko *Resurrecturis*, wiersz, o którym śmiało można powiedzieć, że ma duszę, a nie ma ciała. Lecz nietylko na starość, ale i zamłodu nie odróżniał niekiedy Krasiński poezji od filozofji. Pisał przecie do Reeve'a (21 listopada roku 1831), że wszędzie, gdzie jest symbol albo oderwana idea zdarzeń, zachodzących w historji ludzkości, tam jest wielkość i poezja. Nie, nie wszędzie, — nie zawsze symbol jest poetyczny; przestaje być poezją, jeżeli się np. zniża do świadomie ukutej alegorji albo do oderwanej idei, — wtedy jest t y l k o filozofją.

Lecz takie poglądy są w poetyce Krasińskiego czemś wyjątkowem. Naogół biorąc, miał on zupełną słuszność, że poezja, o tyle przynajmniej, o ile jest poezją w wielkim stylu, m a charakter filozoficzny, bo każdy w i e l k i poeta jest filozofem, filozofem życia, chociaż do poznania jego głębi dochodzi często inną drogą, niż filozof, to znaczy nie świadomą analizą, tylko intuicyjną, podświadomą syntezą. W tem świetle widać prawdę słów Krasińskiego, że „poezja jest s y n t e z ą, analiza zawsze jej szkodzi“ [1].

Lecz wymaganie, żeby poezja miała charakter powszechności, posiada w poetyce Krasińskiego swoiste zabarwienie i, rzec można, pociąga za sobą inne konsekwencje, niż u Arystotelesa. A stało się to, znowu, za sprawą romantyków niemieckich, którzy poezji od filozofji jasno nie odróżniali. „Poezja tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni“. „Jeśli kto stosuje dzieło sztuki do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema“ [2]. Te słowa, wyjęte z dwóch listów do Gaszyńskiego, należy, jako pisane z powodu *Nieboskiej Komedji*, rozumieć tak, że wielka poezja powinna świadomie unikać konkretności pod względem czasu i przestrzeni, powinna szukać takich tematów, któreby dotyczyły wszystkich wogóle czasów i całej ludzkości. Cóż to byłby za triumf dla dzisiejszych „uniwersalistów“, gdyby to była prawda! Ale (niechaj się uspokoją!) to nieprawda. Powszechność idei w poezji da się doskonale pogodzić z konkretnością jej tematu; co więcej, bez konkretności tematu niema i być nie może prawdziwej poezji, to zaś, co jest konkretne, musi „tyczyć się“ „jednego łachmana czasu i przestrzeni“. Poeta, który umie celnie w ten „łachman“ utrafić, jeśli nadto umie, świadomie, czy podświadomie, dojrzeć w jego cechach indywidualnych ich istotę, — stworzy utwór, który „tyczyć się“

[1] *Koresp.*, I, 40.
[2] Tamże, 45 i 104.

będzie „rodu człowieczego całego". Konrad z trzeciej części *Dziadów* jest Polakiem, który żył w XIX wieku, ale jednocześnie jest człowiekiem wszystkich czasów i narodów, człowiekiem głęboko czującym, który tak często w nieszczęściu osobistem czy ogólnem pyta, skąd się wzięło i poco istnieje zło na świecie, i który wybucha żalem przeciwko Bogu, że nie stworzył świata bez złego.

Z tego, dalej, że poezja powinna mieć charakter ogólnoludzki i wiekuisty, wyprowadza Krasiński wniosek, że jej głównym tematem powinno być to nadewszystko, do czego przez wieki całe cała ludzkość dąży. Cóż jest przedmiotem i celem tego dążenia? Budowa życia, — taka budowa życia, żeby się w niej stawały ciałem wszystkie ideały ludzkie. Za najwyższe z nich poczytywał Krasiński miłość i sprawiedliwość, wierzył głęboko, że się kiedyś staną ciałem i że dopiero wtedy nastanie Królestwo Boże na ziemi. Dopiero w świetle tego poglądu zrozumiałą będzie jedna z najpiękniejszych myśli Krasińskiego, że „religja jest skrzydłem, którego cień na poezję wiecznie zlewać się winien" [1]. I tę myśl swoją rozwija Krasiński szczegółowo, mówiąc [2], że poezja „wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i dlatego właśnie była zawsze i być musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przeczuciach innego życia, ...o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty, żyjącej w granicach, a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic".

Jako urzeczywistnienie ideału miłości i sprawiedliwości, będzie Królestwo Boże zwycięstwem dobrego nad złem. Więc poezja, jeśli ma być religijną, jeśli ma wieść ludzi ku temu zwycięstwu, musi swojem pięknem umoralniać ludzi, wpajać w nich wiarę w triumf ideału moralnego i roztaczać przed nimi rozkoszną i pokrzepiającą wizję tego triumfu. Ten sam wniosek płynie zresztą i z tego także założenia, że poezja powinna być filozoficzną, to znaczy być uobrażeniem trwałej, wiekuistej prawdy, nie zaś tylko nietrwałych, przelotnych zjawisk; więc poezja, która się nie kończy triumfem dobrego nad złem, która nic a nic nie przekształca dzisiejszej smutnej rzeczywistości, jeszcze pełnej złego, nie mówi wiekuistej prawdy.

Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału.

Te słowa z *Przedświtu* najlepiej streszczają w sobie pogląd Krasińskiego na stosunek poezji do rzeczywistości, na to, w jakim kierunku poezja powinna ją przekształcać.

---

[1] Tamże, 14.
[2] Tamże, 45.

Z tego wreszcie, że poezja powinna być filozoficzną, wypływa logicznie, że powinna być w i e s z c z ą, że powinna być obietnicą i odzwierciedleniem tej harmonji, która zczasem zapanuje na bożym świecie, a która jest właściwie jego wiekuistą prawdą. Ani wątpić, że pogląd ten powstał pod wpływem romantyków niemieckich. Uczył przecie Fryderyk Schlegel, że dla prawdziwego poety cała rzeczywistość jest jedynie drogą do odgadnięcia czegoś wyższego, co dopiero nastąpi [1]. Jean Paul twierdził, że poezja wogóle jest przepowiadaniem, a już specjalnie „poezja romantyczna jest przeczuwaniem przyszłości, większej niż ta, na którą pozwala życie doczesne" [2]. Novalis powieść swoją o Henryku z Ofterdingen zakończył wizją triumfu miłości i mądrości na świecie. A Schelling głosił pogląd, że „sztuka, to jedyne i wiekuiste objawienie, jest cudem, który, choćby raz tylko jeden istniał, musiałby nas przekonać o absolutnej realności tego, co najwyższe" [3].

Przyswoiwszy sobie i ukochawszy ten pogląd, często dzielił się nim Krasiński z przyjaciółmi. Pisał np. do Słowackiego (w roku 1840, dnia 23 lutego): „P o e z j a, zdaniem mojem, jest to wieczne przewidzenie najwyższych form, jakie, czy na ziemi, czy w niebie, przybiorą kiedyś realne życie;... poezja... jest to stan przejścia, jest to odwieczny wykrzyk braku, wykrzyk boleści na teraźniejszość, a zarazem hymn wesela na przyszłość; ...wszystkie fale poezji od początku świata garną się potokiem niewstrzymanym jęków i pieśni ku ostatecznej formie swojej, ku czynności, ku realności anielskiej"... „Każdy wielki poeta jest niejako i objawicielem, to jest, że nieobjawione wyrywa z szarej przestrzeni przedstworzenia i przenosi w jaśń świetlaną stworzenia i rzeczywistości". W związku z tym poglądem pozostaje pogląd na *Apokalipsę*, wypowiedziany w liście do Cieszkowskiego (z dnia 27 września 1842 r.): „Dni tych wziąłem się do *Objawienia ś. Jana* — dziwnie je od początku po koniec jasno rozumiałem. — Jako objawienie, prawdą jest — jako natchnienie, w najwyższym stopniu arcydziełem romantycznej poezji".

Odbił się także pogląd Krasińskiego na poezję, jako na sztukę, która, harmonizując złe z dobrem, piękno z brzydotą, stwarza świat, który jeszcze nie istnieje, ale który istnieć będzie, — w *Fantazji życia:*

---

[1] Kobzdaj, *Z. Krasińskiego twórczość w stosunku do literatury niemieckiej*, str. 13. (*Księga Pamiątkowa*, Lwów 1912, tom II).

[2] Kleiner, j. w., I, 350.

[3] Życzyński, *Studja estetyczno-literackie*, Cieszyn 1924, str. 38.

...kto w czyn wcielić chce pomysł piękności,
A znałby tylko same duchy z nieba,
Ten tak pokocha tych nadziemskich gości,
Że się, w nie patrząc, zatrzyma i stanie!
Lecz boski zachwyt nie jest boskim czynem,
Tęcze chmur — jeszcze nie czoła wawrzynem:
Więc złego zbadać potrzeba otchłanie,
Z miłości piękna wpatrzeć się w brzydotę,
Z miłości dobra pójść odwiedzić wroga
Wszelkiej urody i cnoty, i Boga,
A z sobą w podróż wziąć tylko — tęsknotę
I, cmentarz świata przechodząc pomału,
Budzić umarłych w imię ideału,
I, śląc z tych grobów wzrok w przyszłości stronę,
Stwarzać, co dotąd jeszcze nie stworzone.

Charakterystyka ogólna poezji Krasińskiego. Poezja Krasińskiego jest w pewnej mierze nieświadomem, ale przeważnie świadomem wypełnieniem głównych postulatów jego poetyki.

A więc nasamprzód jest to poezja filozoficzna, i to bezpośrednio filozoficzna, i tem się różni od poezji Mickiewicza i Słowackiego, która wprawdzie, jak każda wielka poezja, ma także w dużym stopniu charakter filozoficzny, ale przebijający się przeważnie pośrednio, nie bezpośrednio. A mamy tu na myśli nietylko takie utwory, jak *Dziady* albo *Balladyna*, na których dnie wolno się dopatrywać i d e i, jednoczącej poszczególne ogniwa akcji, ale i takie, jak *Konrad Wallenrod* albo *Ojciec zadżumionych*. Poemat Mickiewicza jest dlatego poezją filozoficzną (tak, jak ją pojmował Arystoteles), że męka Wallenroda jest męką każdego szlachetnego człowieka, któremu gorąca miłość nieszczęśliwej, ujarzmionej przez podłego wroga ojczyzny każe się chwytać wszystkich możliwych środków do jej wyzwolenia, bez względu na sumienie. Podobnież, w poemacie Słowackiego, ból nieszczęśliwego Araba, tracącego dzieci, jest nietylko bólem jego własnym, ale rodzicielskim wogóle. Obydwaj ci poeci — Mickiewicz w większym stopniu, Słowacki w mniejszym, Mickiewicz często, Słowacki rzadziej, — umieli kształtować swoje wizje artystyczne *sub specie aeternitatis*. Utworów bezpośrednio filozoficznych jest w poezji Mickiewicza mało: *Księgi Pielgrzymstwa, Zdania i uwagi* należą do wyjątków; w poezji Słowackiego jest ich więcej, mianowicie w epoce mistycznej: ich szczytem jest *Genezis z Ducha*, z tem wszakże zastrzeżeniem, że fantazja poetycka ma tutaj stanowczo przewagę nad myślą filozoficzną.

Otóż poezja Krasińskiego ma, naogół biorąc, inny charakter. Nawet w tych dwóch utworach, w których jego fantazja poetycka święci największe triumfy, to jest w *Nieboskiej Komedji* i *Irydionie*, filozoficzność przemawia nietylko pośrednio, ale

i bezpośrednio, a to dzięki preludjom lirycznym w *Nieboskiej Komedji* i epilogowi w *Irydionie*. W utworach późniejszych, w *Nocy letniej, Pokusie, Trzech myślach Ligenzy, Fantazji konania, Dniu dzisiejszym, Przedświcie, Niedokończonym Poemacie*, udział fantazji coraz bardziej słabnie; jej wytwory, które w poezji Mickiewicza i Słowackiego mają byt samodzielny, coraz bardziej tracą swoją autonomję, zaprzęgają się bowiem, i to całkiem świadomie, w służbę idei, albo raczej stają się coraz wyraźniej tylko łupiną, zamykającą w sobie jądro idei filozoficznej. *Ostatni* jest wyjątkiem. A w *Psalmach przyszłości* i w *Resurrecturis* odrzucił Krasiński nawet i tę łupinę.

Ten odrębny rodzaj poezji ma oczywiście swoje źródło w odrębności psychologicznej Krasińskiego, jako poety, w swoistości jego fantazji poetyckiej, która najczęściej tworzyła swoje wizje inną drogą, niż fantazja Mickiewicza, a i Słowackiego także. Ośrodkiem krystalizacyjnym wizyj artystycznych obu tych poetów było coś konkretnego: konkretny człowiek (np. sam poeta), konkretne zdarzenie, konkretna sytuacja; a siłą krystalizacyjną wizyj było, oprócz wolnej gry fantazji, nadewszystko serce. Krasiński, którego fantazja nie była ani tak bujna, lotna i rozlewna, jak fantazja Słowackiego, ani tak bujna, potężna i plastyczna, jak fantazja Mickiewicza, siłę do krystalizowania swoich wizyj czerpał nadewszystko w myśli. Niedosyć na tem. Ich ośrodkiem krystalizacyjnym nieraz, jeśli nawet nie najczęściej, była abstrakcyjna idea, nie coś konkretnego, i ona to udawała się do wyobraźni z prośbą o szaty, w któreby mogła przyodziać swoją nagość. O postaci Irydiona np. twierdzić wolno z dużem prawdopodobieństwem, niemal z pewnością, że jej wizję p o p r z e d z i ł a idea, mianowicie idea zemsty; a postać Masynissy jest już bez najmniejszej wątpliwości i w całem znaczeniu tego wyrazu postacią a l e g o r y c z n ą, uosobioną ideą. Dzięki jednak talentowi Krasińskiego obydwie te postaci mają życie, zwłaszcza Masynissa.

Ale są i takie postaci, których ośrodkiem krystalizacyjnym była nie abstrakcyjna idea, tylko konkretna rzeczywistość. Tu należą przedewszystkiem cztery największe, ze stanowiska czystej poezji, kreacje Krasińskiego: hrabia Henryk, Orcio, bezimienny bohater poematu *Ostatni* i Kornelja Metella. One wszystkie powstały w wyobraźni poety z osobistych przeżyć, obserwacyj i wspomnień (trzy pierwsze z samoobserwacyj i ze wspomnień o sobie, ostatnia — ze wspomnień o pani Bobrowej i z jej obserwacyj), z a n i m w jego myśli powstały idee, których te postaci są uosobieniem, co zresztą nie przeszkadza, że w ich ostatecznej krystalizacji myśl odegrała ogromną rolę, przetwarzając rzeczywistość, — zwłaszcza w ukształtowaniu po-

staci hrabiego Henryka: odmalował w niej Krasiński samego siebie, ale nie takim dokładnie, jakim sam był, tylko takim, jakim, mając taką, a nie inną naturę, mógłby się stać; a co mu przy tem przetwarzaniu rzeczywistości przyświecało, jeśli nie zgóry powzięta idea, gotowy zamiar, żeby uczynić z hrabiego Henryka poetę bez miłości (prócz miłości własnej)? Wizja Pankracego powstała pod wpływem dwóch żywych postaci: Leona Łubieńskiego i „człowieka przyszłości" — Anglika Handleya; lecz na dalszym procesie krystalizacji tej wizji aprioryczna idea zaważyła jeszcze ciężej, niż na ukształtowaniu postaci hrabiego Henryka: poczytując za największe zło rozum bez serca, pozbawił Krasiński Pankracego serca, a dał mu tylko rozum. Z jakim artystycznym wynikiem? Henryk ma, bądź co bądź, serce — dla Orcia, dla poezji, dla kultury artystycznej starego świata, a nadewszystko dla siebie, dla „siebie i myśli swoich"; Pankracy serca nie ma nawet dla siebie, nawet dla rewolucji, której jest wodzem: i dlatego (jeśli naturalnie wolno ufać osobistemu wrażeniu) jest postacią bez życia, jest maszyną, którą w ruch wprawia tylko jego intelekt (bankrutujący po odniesieniu zwycięstwa nad starym światem).

Zczasem, kiedy talent Krasińskiego osłabł, jego postaci coraz mniej mają duszy, stają się maszynami, które w ruch wprawia już nawet nie ich własna wola, tylko wola poety, posłuszna jego idei. Tak jest już w *Dniu dzisiejszym*, ale nadewszystko w dwóch ostatnich częściach *Niedokończonego Poematu*. Wizje stawały się coraz mniej konkretnemi, a czasem poprostu nie chciały przychodzić, kiedy je wołała do siebie fantazja: poezja przeistaczała się w filozofję. Co za ogromna różnica zachodzi pod tym względem pomiędzy Krasińskim a Słowackim! Słowacki do śmierci nie wyrzekł się poezji, bo nie mógł się jej wyrzec, i to nietylko dlatego, że ją ukochał ponad wszystko, ale i dlatego jeszcze, że był u niej w niewoli, — w niewoli tak ciężkiej, jak żaden inny poeta polski; opętała go poezja, kiedy był jeszcze dzieckiem, i coraz silniej zaciskała pęta, póki go wreszcie nie udusiła. Mickiewicz nie był jej niewolnikiem, on był jej panem; dla Słowackiego poezja była królową, dla Mickiewicza — sługą; kiedy mu była potrzebna, wołał ją, a ona przychodziła i kładła się pokornie u jego stóp; kiedy, po wyśpiewaniu pieśni królewskiej, potrzebną mu być przestawała, odpędzał ją od siebie — na nieszczęście dla nas; kiedy zaś stał się apostołem myśli i czynu, mówił i pisał prozą: wierszowanej broszury nie napisał nigdy w życiu, podobnie jak Słowacki. A Krasiński broszury wierszowane pisywał; nawet tak wielki jego wielbiciel, jak Tarnowski, słusznie nazwał *Psalm miłości* wierszowaną broszurą. Zresztą w *Psalmie miłości* jest

nietylko wiersz, ale i rzetelna, wspaniała poezja, ale w *Psalmie żalu* — poza początkowemi ustępami — niema jej na lekarstwo.

Idźmy dalej. Kiedy się w wyobraźni wizja artystyczna już ostatecznie skrystalizuje, poeta ma do wyboru dwie drogi: może albo poprzestać na jej uobrażeniu, albo, uobraziwszy ją (lub w miarę jej uobrażania), zaznaczyć w ten lub inny sposób swój stosunek do niej, bądź uczuciowy, bądź myślowy. Na tej właśnie podstawie dzielił Schiller poezję na naiwną i sentymentalną. Otóż Krasiński jest poetą sentymentalnym w całem znaczeniu tego wyrazu. Nawet w epoce *Nieboskiej Komedji* i *Irydiona* myśl filozoficzna nie rozpływała się bez reszty w wyobraźni, zawsze zastrzegała sobie wobec własnej wizji własny głos, jakby *votum separatum*. Tak, poezja Krasińskiego jest negacją poezji naiwnej w dużo większym jeszcze stopniu, niż poezja Schillera.

I na tem polega dalsza odrębność Krasińskiego od Mickiewicza i Słowackiego, nie dlatego, oczywiście, żeby ci dwaj mieli być typami poetów naiwnych, ale dlatego, że się do tego typu niejednokrotnie zbliżają (Mickiewicz często, Słowacki rzadziej), o ile to w czasach nowych jest wogóle możliwe. Bo przecie ogromna większość poetów nowoczesnych należy do typu sentymentalnego; (Sienkiewicz, a przedewszystkiem Reymont, to wyjątki — nietylko u nas). Lecz w tym sentymentalnym typie poetów nowoczesnych są różne stopnie i wahania, czasem tak znaczne, że niektórzy sprawiają czasem wrażenie poetów naiwnych. *Grażynę* np. albo *Ojca zadżumionych* można śmiało zaliczyć do poezji naiwnej; poemat *W Szwajcarji*, ściśle biorąc — także, albowiem poeta nie zaznacza swojego własnego stosunku ani względem własnego szczęścia, ani względem własnego bólu; w czwartej części *Dziadów* wyznania i skargi Gustawa, z taką żywiołową siłą, tak bezpośrednio lejące się z duszy, są poezją naiwną, ale przy końcu dramatu zdobywa się Gustaw (a przez jego usta Mickiewicz) na krytycyzm względem własnych uczuć i wogóle względem własnego życia, — i tutaj jest Mickiewicz już poetą „sentymentalnym". *Pan Tadeusz* to, z jednej strony, przez jedyną w poezji europejskiej bezpośredniość w uobrażaniu opartej na rzeczywistości wizji poetyckiej, — poezja „naiwna", jedyna na świecie godna stanąć obok Homera; lecz, z drugiej strony, przez swój humor, przez swoisty subjektywizm autora, który się często śmieje ze swych „dzieci wieszczych", a częściej jeszcze uśmiecha się do nich, a niekiedy je sądzi, — jest *Pan Tadeusz* jednocześnie poezją „sentymentalną". *Marja* Malczewskiego, j a k o c a ł o ś ć, należy stanowczo do typu „sentymentalnego". *Balladyna* — także.

Ale w całej naszej poezji żadna inna nie jest w tym stopniu „sentymentalna", co poezja Krasińskiego. Nawet w utworach

o formie dramatycznej, to znaczy w tych, w których poeta nie ma w zasadzie możności zaznaczyć bezpośrednio swojego ideowego i uczuciowego stosunku do swoich kreacyj, Krasiński zaznacza go nietylko pośrednio (przez usta innych osób), ale, łamiąc zasadę, także i bezpośrednio. Swój stosunek do hrabiego Henryka zaznaczył zaraz na początku *Nieboskiej Komedji;* we wstępie lirycznym potępił poetę bez serca, zanim go wprowadził do akcji; a potem raz jeszcze go potępił — zapomocą chóru głosów w lochach podziemnych. Demokrację potępił nietylko pośrednio, przez usta hrabiego Henryka, ale i bezpośrednio, w preludjum do części trzeciej; arystokrację — także: pośrednio przez usta Pankracego, bezpośrednio w preludjum do części czwartej. W prologu do *Irydiona* zgóry potępił miłość Irydiona do Kornelji Metelli, nazywając swoją własną miłość do pani Bobrowej, będącą źródłem wizji poetyckiej miłości Irydiona, „córą szaleństwa i zguby"; w epilogu potępił nienawiść Irydiona. W genezie *Przedświtu* ogromną rolę odegrały rozmyślania Krasińskiego o przyszłości Polski i świata; a jednak, jeśli który z jego większych utworów ma dużo charakteru poezji naiwnej, to właśnie *Przedświt,* albowiem wizja poetycka ma tutaj cechę bezpośredniego uniesienia, radości, zachwytu. Lecz zakończenie *Przedświtu* dowodzi, że i na ten swój wybuch radości patrzał Krasiński krytycznie, skoro powiedział:

Zgińcie me pieśni,
Wstańcie czyny moje.

Samego siebie wyrwał z zachwytu, samemu sobie kazał opuścić krainę marzenia i chodzić po ziemi. (Z utworów mniejszych poezją naiwną, i to w całem znaczeniu tego wyrazu, jest „powiastka" *Panie Kochanku).*

Dodajmy, że „sentymentalizm" poezji Krasińskiego ma po większej części charakter nie uczuciowy, tylko wybitnie refleksyjny. Takie utwory, jak *Herburt,* albo przedmowa do *Trzech myśli Ligenzy,* to jest utwory humorystyczne, są wyjątkami. Że dzięki tej przewadze refleksji w „sentymentalnej" poezji Krasińskiego ma ona tem wybitniejszy charakter poezji filozoficznej, zbytecznie mówić.

Nadaje jej także ten charakter sam wybór tematów. Natura nie stanowi w niej nigdy tematu głównego, a i jako temat pomocniczy odgrywa rolę niewielką [1]. Wtrąćmy już tutaj, że obrazy natury w poezji Krasińskiego mają przeważnie charakter nastrojowy, przez co w swoim typie estetycznym zbli-

[1] O tym przedmiocie ob. Longin Lam, *Obrazy w utworach Krasińskiego (Księga pamiątkowa,* III).

żają się do obrazów Słowackiego (nie mogąc się oczywiście z niemi równać). Nastrój jest przeważnie smutny i ponury. Cudowny obraz na początku *Przedświtu* stanowi wyjątek; zresztą ten obraz to właściwie nie obraz, tylko muzyka duszy na widok pięknej natury, a raczej jeden tylko ton w tej muzyce, wcale nie dominujący:

I gdy widzim tę naturę,
W niej i za nią widzim B o g a.

Nie szukał także Krasiński tematów w potocznem życiu codziennem: *Herburt* i przedmowa do *Trzech myśli Ligenzy* i pod tym względem należą do wyjątków, których szczupłą liczbę powiększa jeszcze taka np. postać ojca chrzestnego w *Nieboskiej Komedji*. W Szwajcarji, idąc za radą Mickiewicza, zaczął Krasiński pisać jakąś „powieść z życia pospolitego", w której, jak pisał ojcu, miał zamiar „Ciechanów i ciechanowskie intrygi opisać" [1]. Ale cóż, powieści tej nie skończył, chociaż miał bardzo niepospolity talent w kierunku realizmu artystycznego, zabarwionego humorem. Słusznie powiedziano, że tkwił w nim „kapitał na specyficznie polskiego humorystę z zabarwieniem satyrycznem" [2], że jednak nie wyzyskał tego kapitału. Wpłynęła na to poza romantyczna ze swoją pogardą życia codziennego, zwłaszcza współczesnego: „Proszę ciebie, — pisał Krasiński do Gaszyńskiego [3] — napisz mi poemat o episjerze! Chyba komedją, chyba farsę zdołasz. Cały wiek nasz jest episjerski, kupiecki, materjalny w najwyższym stopniu". Pod tym względem nie różni się Krasiński od Słowackiego, a nawet od Mickiewicza z epoki poprzedzającej *Pana Tadeusza*.

Różni się od nich natomiast tem, że unikał tematów osobistych. Prawda, hrabia Henryk to w znacznej mierze on sam; Irydion w stosunku do Kornelji Metelli to znowu on sam w stosunku do pani Bobrowej; ale te własne przeżycia są w poezji tak uprzedmiotowione, że nie wiedziałoby się o nich, gdyby się nie znało charakteru i życia poety. I Mickiewicz wprawdzie w *Dziadach*, w *Konradzie Wallenrodzie* zobjektywizował swoje przeżycia; tak samo Słowacki — w *Godzinie myśli*, w *Kordjanie*, w *Anhellim*, w *Horsztyńskim*. Tak, ale oprócz takich utworów Mickiewicz pisał i o g ł a s z a ł d r u k i e m utwory liryczne,

---

[1] Kallenbach, *Z. Krasiński*, I, 197.

[2] Franciszek Sokołowski, *O komizmie w utworach Z. Krasińskiego*, str. XLII (*Księga pamiątkowa*, III). Warto zaznaczyć, że w naszej literaturze naukowej jest to pierwsze (bardzo cenne) studjum, poświęcone k o m i z m o w i.

[3] *Koresp.* I, 118.

w których już bez obsłonek dawał upust swoim własnym myślom i wspomnieniom, uczuciom i pragnieniom. Słowacki przez długi czas nie był pochopny do ogłaszania drukiem takich utworów, ale zato pod koniec życia cały jeden poemat wypełnił własnem życiem, albo raczej całym szeregiem swoich własnych żywotów. Krasiński utworów liryki osobistej nie ogłaszał z zasady, nie ogłosił i *Herburta*; a w *Przedświcie* nie jego miłość ku „siostrze" jest tematem głównym, ale zupełnie co innego — losy Polski i całej ludzkości.

I właśnie te losy Polski i całej ludzkości są głównym tematem jego poezji. *Nieboska Komedja* uobraża walkę, która wrzała, wre i zapewne jeszcze długo wrzeć będzie na świecie. Akcja *Irydiona* odbywa się w Rzymie, ale myśl obraca się około Polski; a nadto walka, jaka się toczy w tym poemacie, ma charakter ogólnoludzki, każdy bowiem naród, o ile nie jest doszczętnie zdegenerowany, dąży, jeśli nie do ruiny krzywdziciela, to do powetowania krzywdy. A cóż dopiero powiedzieć o Masynissie, który jest szatanem wszystkich wieków i wszystkich narodów!

Późniejsza poezja Krasińskiego ma, zdawałoby się, charakter już wyłącznie, a przynajmniej wybitnie narodowy. Nieprawda! Przestroga Schillera, że „nędzną jest robotą pisać historję tylko dla jednego narodu", cechuje i późniejszą poezję Krasińskiego, bo przecie i w *Przedświcie*, i w *Psalmach przyszłości*, i w *Resurrecturis*, i w *Niedokończonym Poemacie*, losy Polski jak najściślej wiążą się z losami całej ludzkości, a w *Przedświcie* nawet z losami całego ś w i a t a. Piekło w *Herburcie* i w *Niedokończonym Poemacie* to nie polskie piekło, tylko grzechy i zbrodnie całej ludzkości.

I pod tym względem — pod względem ogólnoludzkiego charakteru tematów poetyckich — Krasiński jest u nas, przynajmniej w epoce romantyzmu, poetą j e d y n y m, chyba że wspaniałe dzieło Cieszkowskiego zaliczymy do p o e z j i, coby nie było przeciwko niej śmiertelnym grzechem; *Ród ludzki* (nie mówiąc już o tem, że Staszic był wierszokletą, nie poetą) należy do epoki wcześniejszej, *Duchy* Świętochowskiego i sonety Asnyka *Nad głębiami* — do późniejszej. *Oda do młodości*, jako poezja, która „ludzkości całe ogromy" przenika „z końca do końca", jest w twórczości Mickiewicza utworem odosobnionym; w *Księgach Pielgrzymstwa* pierwiastek narodowy, patrjotyczny, nie łączy się tak mocno z ogólnoludzkim, jak w poezji Krasińskiego. A kiedy Mickiewicz powrócił do tematów ogólnoludzkich, już wziął był rozbrat z poezją i swoje wielkie myśli o rodzaju ludzkim wypowiadał prozą, i to nie polską, tylko francuską. Poemat *Genezis z Ducha* ma w temacie swoim, którym jest problem rozwoju ducha indywidualnego, jedynie pozory

powszechności — tak mocno jest zabarwiony subjektywizmem; bo przecie to dzieje własnego ducha opowiada Słowacki.

A tak, raz jeszcze, poezja Krasińskiego to u nas w epoce romantyzmu poezja jedyna. Sąd Małeckiego *O stanowisku i dziełach autora „Irydiona"*, wypowiedziany jeszcze za życia poety [1], do dziś dnia nie stracił nic a nic ze swej słuszności i trafności. Krasiński „ludzkości całej poetą być powinien nazwany, bo... wszystkich dzieł jego bohaterką jest cała ludzkość, a sceną cały świat"; „choć Polska jest tą ziemią, ku której wszystkie jego pomysły zbiegają, ...nie dlatego tylko ją kocha i nieustannie ludziom i Bogu przypomina, że jest synem tej ziemi, ale że ją widzi ludzkości potrzebną, że ją widzi warunkiem szczęścia przyszłości, że ją pojmuje ogniwem tego łańcucha, który po świat cały, po czasy wszystkie wyciągnięty".

W szeregu zaś ogólnoludzkich zagadnień, które stanowią temat poezji Krasińskiego, na samo czoło wysuwa się przyszłość rodzaju ludzkiego. Jeżeli się Krasiński zastanawia nad przeszłością, czyto całej ludzkości, czy Polski, czy, jak w *Synu cieniów*, indywidualnego ducha ludzkiego, to w tym nadewszystko celu, żeby odgadnąć przyszłość. Ku czemu idzie rodzaj ludzki? jakie ma cele do spełnienia? jakie ideały do zrealizowania? czy je osiągnie i jakim sposobem? — Oto naczelne problematy poezji Krasińskiego, które ją tak blisko spokrewniają ze współczesną jej historjozofją europejską. Jak na te pytania odpowiada Krasiński? Rodzaj ludzki idzie ku Bogu; „cel światów — szlachetnienie"; owocem jego osiągnięcia będzie Królestwo Boże już tutaj, na tym świecie. Lecz na tych odpowiedziach nie poprzestaje Krasiński (inaczej, niż jego mistrz i przyjaciel Cieszkowski), — on marzy jeszcze o zaświatach: tam dopiero wszystkie duchy ludzkie, nie zatracając swojej indywidualności, zleją się z Bogiem i będą dalej w nim pracowały, myślały, kochały i tworzyły „wieczne niebo w niebie". A jakim sposobem osiągnie ludzkość te cele i ideały? Odpowiedź brzmi krótko: naśladując Jezusa Chrystusa, to jest kochając, poświęcając się i cierpiąc.

Możnaby inaczej jeszcze ująć całokształt tych wszystkich problemów: Krasiński zastanawia się nad wartością życia ludzkiego (i wogóle bytu), ujmuje ją pod kątem moralnym i wierzy w jej wiekuistość. Tym sposobem poezja Krasińskiego, od *Nieboskiej Komedji*, przez *Irydiona* i *Przedświt*, aż do *Resurrecturis* i *Niedokończonego Poematu*, ma charakter wybitnie reli-

[1] *Rok 1846* (poznański); przedruk w książce *Z dziejów i literatury*, Lwów 1896.

g i j n y, bo przecie najgłębszą istotę religji stanowi nie co innego, tylko szukanie i stwierdzanie centralnej i wiekuistej wartości życia; a tą wartością może być jedynie praca nad realizowaniem ideału moralnego, jako tego, który jeden jedyny ma prawo i obowiązek upodrzędnienia sobie wszystkich innych ideałów bez wyjątku, nie pozbawiając ich autonomji.

Ta zaś religja Krasińskiego jest religją nietylko miłości i sprawiedliwości, ale także wiary i nadziei, jest nie religją chrześcijańskiego pesymizmu, jak religja Szarzyńskiego, tylko religją optymizmu, którą romantyzm odziedziczył po oświeceniu. We wszystkich utworach, to z mniejszą, to z większą siłą, raz jako wiara samorzutna, bezpośrednia, drugi raz jako owoc chwilowych wątpliwości, a nawet przejściowych rozpaczy, dźwięczy pewność triumfu dobrego nad złem, wiara, że

...złe przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
Której kwiat płonie tam, gdzie bogów progi!
Ten, co dziś wątpi, co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

Nieboska Komedja kończy się wyznaniem Pankracego, że nie on zwyciężył, tylko Jezus Chrystus; *Irydion* kończy się śmiercią szatana, a triumfem anioła; w *Przedświcie* jest wizja nietylko zmartwychwstania Polski, ale i przeanielenia całej ludzkości; *Dzień dzisiejszy* kończy się obietnicą, że „będzie Polska w imię Pana"; bohater poematu *Ostatni* tyle się namęczył, tyle swoich najdroższych nadziei widzi zdeptanych, umiera w turmie na Sybirze, ale, umierając, słyszy harfy anielskie, które

O dobrej — dobrej mówią tylko wieści!
Coraz mniej smutku — coraz mniej boleści —
O Polsko! — dusza moja już nie ranna
Gdzieści odpływa — hosanna! — hosanna!

Niedokończony Poemat, gdyby był dokończony, kończyłby się budową Królestwa Bożego na ziemi; *Resurrecturis* nawet, ten owoc przygnębienia i rezygnacji, ta ewangelja cichej ofiary, kończy się wiarą w jej skuteczność, wiarą, że

Ze zdarzeń powodzi,
Ponad klęsk otchłanie,
Niezrodzone się narodzi —
Sprawiedliwość wstanie.

Tak, nie omylił się Słowacki, kiedy nazwał Krasińskiego archaniołem wiary!

Poezja, której zasadniczym problematem jest przyszłość, musi mieć charakter wieszczy: taki też charakter ma poezja Krasińskiego, więc i pod tym względem zgadza się w zupełności z jego poetyką. W poezji Mickiewicza i Słowackiego jest także pierwiastek wieszczy, ale ani tak częsty, ani tak konsekwentny, jak u Krasińskiego, więc nie stanowi jej cechy znamiennej. Tymczasem w poezji Krasińskiego wieszczba przyszłości jest ujściem myśli i uczuć niemal wszystkich utworów, jest świadomym celem, do którego poeta dąży [1].

Tego wszystkiego dosyć dla okazania, że poezja Krasińskiego jest w doskonałej zgodzie z jego teorją poezji. Lecz na uwydatnieniu głównych cech czyjejś poezji historykowi literatury poprzestać nie wolno: ma on prawo i obowiązek wydania sądu o jej różnorodnych wartościach.

Wartości estetyczne poezji Krasińskiego. Instynkt narodu polskiego zaliczył Krasińskiego do największych poetów narodowych, stawiając go tuż obok Mickiewicza i Słowackiego. Przeciwko temu wyrokowi odzywały się i odzywają bardzo rzadko głośne, dosyć często ciche (niedrukowane) protesty. Zobaczmy, co powodowało instynktem narodowym do zaliczenia Krasińskiego do „trójcy wielkich poetów" i na czem się opierają wspomniane protesty.

Na pierwsze pytanie odpowiedź jest bardzo prosta. Naród ujrzał w jego poezji, a ujrzawszy, jeszcze silniej sobie uświadomił i goręcej pokochał najszlachetniejszą cząstkę własnej duszy — „święty bunt" przeciwko niewoli i wiarę w odzyskanie niepodległości. To znaczy: naród zaliczył Krasińskiego do „trójcy wielkich poetów" nadewszystko jako autora *Przedświtu* i *Psalmów przyszłości;* z tych utworów całe dwa pokolenia czerpały moc ducha, pomimo że wszystkich ich myśli najczęściej dobrze nie rozumiały: ale bo też szukały w nich nie filozofji, tylko wiary. Byli i tacy, których za serce chwytało *Resurrecturis* — były to serca słabe. Otóż, jeśli się zgodzimy, że nie te utwory są arcydziełami Krasińskiego, tylko *Nieboska Komedja* i *Irydion*, to zgodzić się będziemy musieli i na to, że o zaliczeniu Krasińskiego do „trójcy wieszczów" rozstrzygnęły kryterja nie estetyczne, tylko patrjotyczne. Ileż to razy zdarzało się słyszeć (a nawet i czytać), że największem arcydziełem Krasińskiego jest *Przedświt*!

Na drugie pytanie są dwie odpowiedzi. Są tacy, którzy Krasińskiego nie lubią, a nawet go potępiają, za rzekomo ary-

[1] Odbiła się ta cecha i na formie poezji, w której tak często ukazuje się wizja; Krasiński to poeta-wizjoner. Ob. o tem studjum p. Marji Kadyjówny, *Wizja Polski w utworach Z. K.* (*Księga pamiątkowa* II), i Bruchnalskiego, *Wizja Krasińskiego* (*Pamiętnik Literacki*, XII, 1913).

stokratyczny charakter jego poezji, za jego rzekome wstecznictwo, a więc za charakterystykę Pankracego, za apoteozę szlachty polskiej, za to, że szlachtę nazwał „duszą", a lud tylko „ciałem", i t. d. „Na ruch ludzki nie pozwala"; „A tyś zląkł się? — syn szlachecki!" — te zarzuty Słowackiego tak chętnie powtarzają ci, którzy nie mogą Krasińskiemu darować, że był zaciętym wrogiem rewolucyj i zbrojnych powstań, a nadewszystko ci, którzy się, jak wilk bębna, jak wściekły pies wody, boją, żeby ich czasem nie posądzono o brak „postępowości". Na wszystkie te zarzuty najlepszą odpowiedź daje *Dzień dzisiejszy:*

A nieboszczyka, owszem, chwalę za to,
Że komunistą, ni arystokratą,
Ni panslawistą, ani demokratą,
Ni jakiemkolwiekbądź innem przewiskiem,
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
Nie zwał się nigdy... Jeśli jakim znakiem
Znaczyć go chcecie — zwijcież go Polakiem,
Bo kochał Polskę onę wiekuistą,
Ziemsko-potężną — i anielsko-czystą.
. . . . . .
. . . . . On żył w tej miłości
I w niej też umarł. — Serce jemu wrzało
Goręcej w piersiach, niż u innych ludzi!...

Każdy, kto zna i rozumie poezję Krasińskiego, przyzna, jeśli jest bezstronny, że ta autocharakterystyka mówi szczerą prawdę [1].

A teraz — odpowiedź druga. Są tacy, którzy protestują przeciwko zaliczaniu Krasińskiego do „trzech wieszczów" ze względu, że, jako p o e t a, jest niższy od Mickiewicza i Słowackiego, że — ze stanowiska czysto estetycznego — niegodzien w panteonie poetów stać tuż obok nich. Ten zarzut jest od pierwszego nierównie szczerszy i uczciwszy, i poważniejszy, bo oparty nie na stronniczości politycznej czy społecznej, tylko na upodobaniach estetycznych, na indywidualnem poczuciu piękna. Cóż na to powiedzieć?

To, że i upodobania estetyczne nie są wolne od pewnej „stronniczości". Jest przecie faktem, że wrażliwość estetyczna różnych ludzi jest z n a t u r y bardzo różna, — nietylko jakościowo, to jest pod względem subtelności i siły odczuwania piękna, ale także ilościowo, to znaczy pod względem rozległości skali jego odczuwania: są np. ludzie bardzo wrażliwi na wdzięk,

[1] Najbezstronniejsze, najsprawiedliwsze stanowisko względem politycznych i społecznych poglądów Krasińskiego zajął Kridl w znakomitej przedmowie do swego wydania *Psalmów przyszłości* (w *Bibljotece Narodowej*, nr. 107).

a mało wrażliwi na wzniosłość; są i tacy, którym w dziele sztuki podoba się tylko piękno w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu, a których razi wszelka charakterystyczność, albo tacy jeszcze, którzy wysoko cenią tragizm, a niedoceniają wartości estetycznej komizmu, i t. d. Otóż, czyja skala odczuwania piękna jest z natury zbyt szczupła i kto nie pracuje nad jej rozszerzeniem (a pracować nad tem sowicie się opłaca) — temu i święty Boże nie pomoże. To jedno.

Po drugie. Są ludzie, w których wrażliwość na ujemne cechy dzieła sztuki jest tak wielka, że przygłusza, a nawet zagłusza wrażliwość na strony dodatnie. Niektórzy np. w powieściach Żeromskiego widzą same tylko zgrzyty, okropności i brak spójnej kompozycji, w ekspresjonizmie razi niektórych brak wykończonej formy, i t. d. Do dziś dnia bodaj niewielu jest Francuzów, którzyby w głębi duszy nie podzielali sądu Woltera, że Szekspir to genjalny barbarzyniec, — choćby tylko dla braku architektoniki w dramatach, która stanowi tak wybitną cechę i tak wielką chlubę klasycznych dramatów francuskich.

Zastosujmy teraz te uwagi do poezji Krasińskiego. Ci, których skala odczuwania estetycznego nie jest tak rozległa, aby mogli znajdować upodobanie w różnorodnych postaciach piękna, mogą w tej poezji nie znaleźć tych właśnie postaci, które sobie upodobali; tymczasem w poezji Mickiewicza i Słowackiego znajdą je, bo tam jest wszystko do wyboru, czego tylko dusza, kochająca piękno, zapragnie. Tak, różnorodność piękna w poezji Mickiewicza i Słowackiego jest bezporównania większa, niż w poezji Krasińskiego, podobnie jak Sienkiewicz bije różnorodnością piękna wszystkich innych powieściopisarzy polskich. Oto przykłady.

Czy w poezji Krasińskiego wiele jest tego, co się w mowie potocznej nazywa „poetycznością", a co estetyka nazywa wdziękiem? Chyba nawet największy jego wielbiciel nie znajdzie w całej jego poezji żadnego utworu tak „poetycznego", jak, dajmy na to, *Pierwiosnek*, *Świtezianka*, *Widzenie Ewy*, *W Szwajcarji*, *Smutno mi, Boże!* Początek *Przedświtu* jest cudowny w swojej „poetyczności", ale też stanowi w poezji Krasińskiego wyjątek. Albo czy jest w jego kreacjach choć jedna postać, któraby miała tyle wdzięku, ile go ma Aldona, Zosia, Swentyna, Lilla Weneda? Orcio ma niewątpliwie wdzięk, ale nie tak czysty, nie tak niezmącony, jak Zosia albo Swentyna, bo jest to wdzięk chorego dziecka, który też łączy się w naszem odczuwaniu estetycznem ze współczuciem i litością. Swoisty wdzięk ma także Elsinoe, ale i tutaj w odczuwaniu estetycznem odgrywa wielką, a nawet przeważającą rolę — litość.

Inny przykład. Jak mało jest w poezji Krasińskiego komizmu! Przedmowa do *Trzech myśli Ligenzy*, kilka ustępów w *Herburcie*, ojciec chrzestny w *Nieboskiej Komedji* — to i wszystko w epoce dojrzałości talentu. Prawda, w poezji romantycznej jest wogóle mało komizmu. Pomimo to w poezji Słowackiego są tak przepyszne w swoim komizmie postaci, jak Sforka i Trombonista, jak Leliwa i Doliwa, jak Ślaz i święty Gwalbert, jak wielmożny Borejsza! W poezji zaś Mickiewicza, nie mówiąc już o utworach drobnych, jak *Pani Twardowska*, bajki, *Golono, strzyżono*, jest *Pan Tadeusz*: a w *Panu Tadeuszu* jest wogóle wszystko, co stanowić może przedmiot odczuwania estetycznego w poezji, z wyjątkiem różnych o k r o p n o ś c i, których u Słowackiego jest niemało, ale których u Mickiewicza prawie niema.

Lecz teraz weźmy pod uwagę nie te postaci piękna, których w poezji Krasińskiego jest mało, ale tę, której jest pełna, która stanowi jej cechę naczelną. Tą postacią jest w z n i o s ł o ś ć. W poezji Mickiewicza i Słowackiego jest jej także wiele, ale nie jest ona żywiołem, tak wszechwładnie w niej panującym, jak w poezji Krasińskiego. A pomimo to szczegółowy rozbiór estetyczny wykazałby niewątpliwie, że i Mickiewicz, i Słowacki przewyższa Krasińskiego r o z m a i t o ś c i ą wzniosłości. Daremnie np. byłoby w jego utworach szukać wzniosłości tak wspaniałej, a jednocześnie spokojnej, majestatycznej, jak w *Sonetach krymskich* i w *Ojcu zadżumionych*, tak wstrząsającej, jak w *Improwizacji*, w *Reducie Ordona*, w *Lilli Wenedzie*, tak wzruszającej, jak w spowiedzi Jacka Soplicy, tak groźnej, jak w przedśmiertnej rozmowie Horsztyńskiego z Amelją, tak straszliwej, okropnej, jak w *Balladynie*, *Mazepie*, *Beatrix Cenci*, w pierwszym rapsodzie *Króla Ducha*. U Krasińskiego tymczasem przeważa jeden rodzaj wzniosłości — ten, który się nazywa p a t e t y c z n o ś c i ą.

Jeden z najznakomitszych liryków polskich wszystkich wieków, Kazimierz Tetmajer, nazwał lirykę Krasińskiego liryką koturnów [1]. Czy prawie cała jego poezja nie jest poezją koturnów? Krasiński to *par excellence* poeta patosu (przez co, mówiąc nawiasem, jest w dobrem towarzystwie, bo — Eschylosa). Postacią patetyczną jest i hrabia Henryk, i Pankracy, i Irydion, i Elsinoe, i Masynissa, i Kornelja Metella, a najpatetyczniejszą — sam Krasiński. Wydobyć z siebie tyle patetyczności, co on, umiał u nas pozatem chyba jeden tylko Woronicz. Otóż jest faktem, że patetyczność, kiedy jest jej bardzo wiele, kiedy od czasu do czasu przynajmniej nie ustępuje miejsca innym posta-

[1] *Tygodnik Illustrowany* 1912.

ciom piękna, — niejednego n u ż y, nie mówiąc już o tem, że są tacy, którzy jej wogóle nie lubią. Takim był np. Sienkiewicz: przy całym swoim podziwie dla „rozmiaru skrzydeł i wysokości Krasińskiego“ [1], nieraz, w rozmowie, otwarcie wyznawał, że nie lubi jego patosu, — może dlatego, że sam, zarówno w twórczości, jak w życiu, był uosobieniem p r o s t o t y [2]. I Słowackiego raziła ta patetyczność, skoro gorące uwielbienie dla Krasińskiego nie przeszkodziło mu do wydania sądu, że „większe robi serca posągom, niż cały rozmiar ludzkich piersi wymaga“ [3].

W tych słowach scharakteryzował Słowacki nietylko patetyczność Krasińskiego, ale zarazem przewagę stylu idealistycznego nad realistycznym — w tworzeniu postaci; ta zaś przewaga sprawia, że nawet w tak niewątpliwie żywych postaciach, jak hrabia Henryk, Masynissa, Irydion, czuć jednak pewną s z t u c z n o ś ć, wyolbrzymienie kosztem realnej prawdy. Wyolbrzymiał także Krasiński, zarówno w liryce miłosnej, jak patrjotycznej, swoje własne uczucia, zwłaszcza własne cierpienia, — stąd liryka jego aż się roi od hiperbol [4].

W twórczości Słowackiego styl idealistyczny ma także przewagę nad realistycznym, ale nie tak stanowczą, nie tak przytłaczającą, jak w poezji Krasińskiego. Dzięki bowiem niezmiernemu bogactwu swojego talentu Słowacki, choć bujał w obłokach, umiał jednak, jako poeta, chodzić po ziemi lepiej, pewniej od Krasińskiego, skoro stworzył takie arcydzieło realizmu artystycznego, jak *Złota Czaszka*, nie mówiąc już o *Poemacie Piotra Dantyszka*. A zresztą te postaci i te uczucia, które wyolbrzymiał, umiał otoczyć nimbem tak cudownej poezji, że w ich odczuwaniu estetycznem brak realizmu nietylko nie razi, ale — zachwyca i czaruje; można powiedzieć nawet, że nie wyczuwa się tego braku, chyba dopiero przy chłodnej a n a l i z i e, która leży p o z a polem odczuwania estetycznego. Postaci Anhellego, Eoliona, Lilli Wenedy, poczęści Swentyny i cały poemat *W Szwajcarji* — mogą tu służyć za przykład. W poezji Mickiewicza styl realistyczny z idealistycznym zlewał się nieraz w doskonałą harmonję, — w *Sonetach krymskich*, w cudownym duecie miłosnym Alfa i Aldony, w *Powieści Wajdeloty*, w *Farysie*, w *Improwizacji*, w obrazie Zosi, karmiącej ptactwo, w opisie wiosny 1812 roku. Takiej harmonji darmoby szukać w poezji

---

[1] W przedmowie do biografji Marji Wodzińskiej, napisanej przez Antoniego Wodzińskiego (*Kurjer Warszawski* 1927, nr. 105).

[2] Ob. Ign. Chrzanowski, *Z opowiadań i ze wspomnień o Sienkiewiczu* (*Głos Narodu* 1921, nr. 294); przedruk w książce Czachowskiego *Henryk Sienkiewicz*, Warszawa 1931.

[3] Fejleton o *Nocy letniej*.

[4] Ulubionemi hiperbolami Krasińskiego są: p i e k ł o, p i e k i e l n y, s z a t a n.

Krasińskiego, jak niema w niej owego nimbu poetyczności, który u Słowackiego równoważył przewagę stylu idealistycznego nad realistycznym. A tak, raz jeszcze, tej różnorodności piękna, którą jaśnieje poezja Mickiewicza i Słowackiego, w poezji Krasińskiego niema. Że się to tłumaczy nietylko rodzajem jego talentu, ale i rodzajem poezji, który sobie upodobał, przeczyć nie można: ale to nie zmienia samego faktu. I właśnie ten fakt sprawia, że niektórzy protestują przeciwko stawianiu Krasińskiego jako trzeciego największego w panteonie naszych poetów.

Lecz te protesty mają swoje źródło także w ujemnych stronach jego poezji, w usterkach formy. Znana to rzecz, że ujemne strony dzieła sztuki łatwiej wpadają w oczy, aniżeli dodatnie; i więcej daleko jest takich, którym błędy w dziele sztuki zamykają oczy na jego zalety, niż takich, którzy widzą zalety pomimo wad. Odgrywają tutaj rolę nie same tylko względy estetyczne: ludzie tak lubią podchwytywać słabe strony dzieła sztuki, żeby się pochwalić swojem znawstwem! Takim zawsze warto przypominać przestrogę Mickiewicza, że dziurę w obrazie zobaczy byle głupiec, ale zalety — jedynie znawca.

Otóż poezja Krasińskiego ucierpiała od ludzi: dawniej ją przechwalano, stosując do niej przeważnie kryterja nie z dziedziny estetycznej; dzisiaj rzadko wprawdzie gani się ją głośno, ale też się jej nie chwali tak śmiało, jak dawniej. Dziwić się temu tak dalece nie można: poezja Krasińskiego jest bardzo n i e r ó w n a. Zjawisko to zresztą powszechne: nie pomylił się Horacy, mówiąc, że nawet Homer niekiedy drzemie. Skończone arcydzieła poezji, to jest takie, którym się nic absolutnie zarzucić nie da, są to po największej części utwory drobne. Wśród większych i wielkich arcydzieła należą do wyjątków. Takiemi wyjątkami są niektóre utwory Mickiewicza i Słowackiego. Tarnowski słusznie powiedział, że osobiste upodobanie może przekładać jeden ustęp *Pana Tadeusza* nad drugi, ale żadna analiza estetyczna nie wykaże, aby jeden był od drugiego gorszy; każdy jest arcydziełem w s w o i m r o d z a j u. Zupełnie to samo da się powiedzieć o czwartej i trzeciej części *Dziadów* i, pomimo usterek kompozycyjnych, o *Konradzie Wallenrodzie*. „Absolutnemi“ doskonałościami wśród większych utworów Słowackiego są: *Anhelli, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych; Lilla Weneda* nie jest arcydziełem poezji dramatycznej, chociaż jest arcydziełem poezji; *Mazepa* jest arcydziełem dramatu; *Balladynie* — także niewiedzieć, coby można zarzucić ze stanowiska poezji.

Z pośród większych utworów Krasińskiego największem arcydziełem jest *Nieboska Komedja*. Czy wolno jednak twierdzić, żeby była utworem d o s k o n a l e r ó w n y m? Nie, skoro postać Pankracego nie ma tego życia, tej prawdy, tej plastyki,

co hrabia Henryk; a dwa ostatnie preludja liryczne czy mogą się mierzyć, jako poezja, z dwoma pierwszemi? W *Irydionie* nierówności jest jeszcze więcej: każdy chyba zgodzi się na to, że są w nim miejsca wręcz rozwlekłe i wprost przeciążone erudycją. Nierówności *Przedświtu* biją w oczy: wielki liryzm raz po raz ustępuje miejsca suchemu wykładowi. Słusznie nazwał Słowacki Krasińskiego, jako autora *Przedświtu*, „dydaktykiem romantycznym", który „przestał budować swoje katedralne kościoły, ale wstąpił na ambonę i zaczyna nauczać" [1]. O ileż r ó w n i e j s z ą poezją jest *Ostatni*!

A teraz zobaczmy, jakie są ujemne strony poezji Krasińskiego, które się zapewne niejednemu wręcz w oczy rzucają i które jej nierówność czynią tem widoczniejszą.

Ktoś to powiedział, że, gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa,
Posągby mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae*...

Tak sparafrazował Słowacki słuszny sąd, jaki o języku jego wydał Krasiński. Ten sam sąd możnaby wydać o języku Mickiewicza (z tym jeszcze dodatkiem, że do tak żywiołowej p o t ę g i języka, jak Mickiewicz w *Reducie Ordona* i w *Improwizacji*, nikt nigdy się w Polsce nie wzniósł); ten sam sąd słusznie należałby się także językowi Skargi, Sienkiewicza, Żeromskiego: ale Krasińskiemu, nawet gdyby „ojczyzną był język i mowa", nie należałby się posąg z napisem *patri patriae*.

Bo, przedewszystkiem, jego język grzeszy często niepoprawnością; są w nim np. takie formy, jak *przeczuciów, wzgórzów, bezdrożów, zdroja, stosa, nicie, o rozkoszo!*; raz czytamy: *ludy... bili się*, innym razem: *co nie zrobił, czy nie miała rację?* Jednego z najwybitniejszych krytyków, Bronisława Chlebowskiego, tak bardzo raziły błędy językowe Krasińskiego, że, bojąc się, aby one nie zniechęcały młodzieży do jego poezji, radził, żeby je usunąć z wydań szkolnych [2].

Niebrak dalej w języku Krasińskiego takich, rażących do dziś dnia, prowincjonalizmów, jak *czerpa* zam. *czerpie, lekszy* zam. *lżejszy*. Albo to nieszczęsne *trza* zam. *trzeba*! Są latynizmy, germanizmy, galicyzmy. Archaizmami posługuje się Krasiński często bez potrzeby. Ale do czego miał szczególne upodobanie, to do neologizmów: *arcyzemsta, chwałośpiew, wszędojedny, cochwilny, cudownić się, obudzalny, wypłaskorzeźbić, schrześcija-*

[1] Józef Ujejski, *Dwa nieznane listy Słowackiego do Krasińskiego (Przegląd Warszawski* 1925, nr. 40, str. 25—26).

[2] *Usterki językowe w „Nieboskiej Komedji" i „Irydionie"* (miesięcznik *Sfinks*, grudzień 1912).

nić się, — jest tego wszystkiego bezliku, i to nietylko w listach, ale i w utworach przeznaczonych do druku. Dodać trzeba, że to upodobanie do kucia neologizmów i niektóre inne jeszcze idjosynkrazje języka Krasińskiego ukazują się dopiero pomiędzy rokiem 1840 a 1843, to jest pomiędzy *Trzema myślami Ligenzy* a *Przedświtem*. Od tego czasu ilość idjosynkrazyj już stale wzrasta, i stają się one, niestety, manierą literacką [1].

Styl Krasińskiego nie posiada tej ogromnej r o z m a i t o ś c i, co styl Mickiewicza i Słowackiego: naogół biorąc, jest jednostajny, mianowicie retoryczny, czasem n a d t o kunsztowny, prawie zawsze pozbawiony prostoty. W młodości pisał kiedyś Krasiński do ojca: Mickiewicz „zupełnie mi wyperswadował, że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowie". Niestety, zapominał o tem najczęściej, czy też świadomie pamiętać nie chciał. Że, kiedy chciał, umiał o tem pamiętać, że władał stylem naturalnym i prostym, tego dowodzą, oprócz przedmowy do *Trzech myśli Ligenzy*, niektóre ustępy *Herburta*, bardzo wiele listów, niektóre poezje liryczne. Dowodzi tego i *Nieboska Komedja*, której styl, w porównaniu z retorycznym stylem *Irydiona*, a cóż dopiero *Niedokończonego Poematu*, odznacza się prostotą i bajeczną precyzją. Najczęściej jednak bierze Krasiński rozbrat z prostotą; Sienkiewicz wyraził się kiedyś, że Krasiński, tworząc, miał przed sobą lustro, w którem widział siebie jako wieszcza i kapłana. A cóż jest źródłem tej uroczystości stylu? Jeden z krytyków mniema, że zaważył tu trochę wpływ Osjana [2]. Dużo jednak więcej — wpływ Chateaubrianda. Ale głównem źródłem jest własna natura Krasińskiego, w której tkwiło głęboko upodobanie do szumności, do uroczystości, choćby nawet teatralnej, do koturnów, oraz dążenie do o r y g i n a l n o ś c i. Nie, nie tak: d ą ż y ć do oryginalności Krasiński nie potrzebował, bo zawsze, od dziecka, b y ł oryginalny we wszystkiem: listy świadczą o tem aż nadto wyraźnie. A nietylko listy, ale i twórczość poetycka. Windakiewicz, który z tak olbrzymim nakładem pracy i z tak ogromną erudycją śledzi „wpływy" literackie w poezji polskiej, który tak dokładnie wyśledził „wpływ" autora *Boskiej Komedji* na autora *Nieboskiej*, stwierdza jednak z właściwą sobie bezstronnością, że wyobraźnia Krasińskiego była „bardzo samodzielna i trudna do ujarzmienia" [3].

---

[1] Ob. Alfred Brodnicki, *Język w utworach Z. Krasińskiego*, 3 części, Drohobycz, Sprawozdania gimnazjum 1912, 1913 i 1914. — Władysław Ćwik, *Badania nad idjosynkrazjami językowemi Z. Krasińskiego*. (*Księga Pamiątkowa*, II).

[2] Aureli Drogoszewski, *Krasiński i Osjan (Pamiętnik Literacki*, IV).

[3] *Krasiński i Dante*, str. 3 (305). Rozprawy Wydziału Filozoficznego Akademji Umiejętności, tom LIII.

Jak mało np. krępował się on kanonem istniejących i uświęconych rodzajów literackich! W *Nieboskiej Komedji*, w *Irydionie* daremnieby szukać czystości formy dramatycznej. Jeśli *Przedświt* nazywamy poematem, to jedynie dlatego, że poetyka nie ma terminu na oznaczenie tak nawskróś oryginalnego rodzaju; pedant niemiecki starej szkoły nie znalazłby z pewnością szufladki, w którąby go mógł wtłoczyć. Otóż oryginalność Krasińskiego, rozmiłowanego w „szumności", musiała się odbić na jego stylu.

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam;
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam,

powiedział o sobie Mickiewicz. Styl Krasińskiego najczęściej jest pod tym względem kontrastem stylu Mickiewicza, albo przynajmniej jest do niego w podobnym stosunku, jak w wieku XVI styl Szarzyńskiego do stylu Kochanowskiego, w XVII — styl Andrzeja Morsztyna do stylu Szymonowicza, w XVIII — styl Trembeckiego do stylu Krasickiego, a w czasach nowszych styl Żeromskiego i Berenta do stylu Sienkiewicza, Weyssenhoffa i Reymonta.

Z kunsztowności stylu Krasińskiego zdawali sobie sprawę już współcześni. Rodzony ojciec, przeczytawszy *Agaj-Hana*, orzekł, że „wszystko tam nastrojone na ton najwyższy". Najzdolniejszy ze wszystkich krytyków emigracyjnych, Stanisław Ropelewski, świadczy, że brylantowy i pełny efektów styl *Irydiona* „nie trafiał do publiczności", że „lękano się, aby ten obyczaj wyrażania się zawsze w sposób nowy, uderzający, nie przeszedł w manierę". „Dziwny zarzut! — mówi Ropelewski — był przecie powszechny. Żądano naturalniejszego dialogu, tem bardziej, że poeta, przemawiając osobiście w ciągu dramatu, ma gdzie użyć tego nadmiaru farb, co mu pendzel przeciąża. Niech sam poeta śpiewa, tylko niech ludzie, odeń stwarzani, rozmawiają w sposób, więcej zbliżony do zwykłych śmiertelników mowy". Potomni zatwierdzili ten wyrok. Nawet najbardziej entuzjastyczny wielbiciel Krasińskiego, Tarnowski, przyznaje, że jego styl, „bardzo piękny, majestatyczny, energiczny, obrazowy, niekiedy przebiera miarę w tych zaletach i staje się wymuszonym, nienaturalnym, przesadnym".

Siły, a czasem i potęgi, w wyrazie czyto uczucia, czy (nadewszystko) myśli, nie odmówi Krasińskiemu nikt. Mickiewicz miał słuszność, kiedy powiedział, że na taki wyraz, jak „z Chrystusowej zejść Kalwarji do moskiewskiej kancelarji", nikt prócz Krasińskiego zdobyćby się nie potrafił. Jako przykład siły wyrazu już nie w poszczególnym zwrocie, ale w całych zespołach poetyckich, wystarczy wymienić rozmowę Henryka z Pankra-

cym, rozmowę Ulpiana z Irydionem, wiersz *Do Moskali*, niektóre ustępy *Psalmu miłości*, a w *Psalmie żalu* ustęp: „Bodajbyś, wieszczu, był wieszczył prawdziwie".

A teraz — wiersz. Mówi Słowacki: „Sam rym się do mnie miłośnie nagina". Czy Krasiński mógł mówić to samo o sobie? Niech on sam odpowie:

> Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
> Bez której ludziom nie zda się poeta;
> Gdybym ją posiadł, świat ubrałbym w czary,
> A że jej nie mam, jestem wierszokleta...

Samooskarżenie to zbyt surowe, a jednak nie pozbawione całkiem słuszności. Są w poezji Krasińskiego wiersze przepyszne, ale są i tak liche, jakichby ze świecą nie znalazł ani u Mickiewicza, ani u Słowackiego, — i to nietylko w nieprzeznaczonej do druku liryce osobistej, ale i w utworach drukowanych: większa część *Psalmu żalu* nie upoważnia wprawdzie do sądu, że Krasiński b y ł wierszokletą, ale na sąd, że wierszokletą czasami b y w a ł, pozwala. Zwłaszcza rym w jego poezji często kuleje [1]. Rymy gramatyczne (*wyrzuciła — wykarmiła, łzami — trumnami*, i t. p.) są u niego bezporównania częstsze, niż u Mickiewicza i Słowackiego (którzy zresztą nie poczytywali ich jeszcze za taką herezję, za jaką uchodzą dzisiaj). Są także rymy, ze stanowiska literackiej, kulturalnej wymowy niepoprawne, chociaż ze stanowiska mowy g w a r o w e j — poprawne, np. *rozciął — kościół, dzikie — muzykę, błogie — trwogę, zwycięstwa — człowieczeństwa* (widocznie Krasiński wymawiał: *człowieczęstwo*, podobnie jak *przeklęstwo* zamiast *przekleństwo*) [2].

Lecz usterki „formy zewnętrznej" nie wyczerpują jeszcze wszystkich ujemnych stron poezji Krasińskiego; są w niej także usterki „formy wewnętrznej". Brak jej często h a r m o n j i, i to zarówno „harmonji architektonicznej", jak „harmonji treści z formą".

Co do pierwszej, to jej brak w młodzieńczych utworach Krasińskiego stwierdził już dawno jego zapalony wielbiciel Jan Bołoz-Antoniewicz [3]. Otóż i późniejsze utwory grzeszą po większej części tą samą wadą [4]. W *Nieboskiej Komedji*, pomimo jed-

---

[1] Jan Magiera, *Rymika Z. Krasińskiego* (Sprawozdanie gimnazjum V w Krakowie, 1911).

[2] Podobnie rymował Niemcewicz; ob. Nitsch, *Z historji polskich rymów*. O nadużywaniu przez Krasińskiego rymów męskich, ob. Łoś, *Wiersze polskie*, str. 250.

[3] *Przegląd Polski* 1896 i 1897.

[4] Jeżeli to wada: dzisiaj niektórzy estetycy niemieccy (albo raczej badacze stylu) brak „harmonji architektonicznej" (np. u Szekspira) poczytują nie za wadę, tylko za swoistą cechę „piękna germańskiego" w przeciwieństwie do „piękna romańskiego". Ob. np. Walzel, *Gehalt und Gestalt*.

nego „głównego bohatera“, a nawet, co ważniejsza, pomimo jednego głównego problemu (którym jest stosunek poety do życia), niema jedności akcji; jest jedność ideowa, ale nie artystyczna; ze stanowiska artystycznego są dwa problemy w *Nieboskiej Komedji:* tragedja życia rodzinnego poety-romantyka i tragedja walki społecznej. Budowa *Irydiona* jest nierównie harmonijniejsza, byłaby nawet arcydziełem budowy, gdyby nie epilog, który jest nadbudową, albo raczej dobudową, psującą jednolitość głównego gmachu. I mniejsze utwory nie zawsze mają harmonijną budowę; wystarczy przypomnieć *Fantazję konania, Dzień dzisiejszy,* o takim *Herburcie* już nie mówiąc. Nawet tak krótki utwór, jak *Psalm wiary,* grzeszy pod tym względem: część druga (o tajemnicy troistości Boga i podobieństwie ludzkości do Boga) jest wyraźnym wtrętem, podobnie jak w *Przedświcie* trzy ostatnie ustępy (przed epilogiem: „Tak wśród przedświtów lepszego poranka“...) są doczepką.

Co do drugiej harmonji, treści z formą, to jej szczyt osiągnął Krasiński — z większych utworów — w *Irydionie,* ale z wyjątkiem epilogu; śmierć bowiem Masynissy, chociaż symbolizuje jedną z najważniejszych myśli poety, jego wiarę w ostateczny pogrom złego na świecie, — jest zaledwie zaznaczona, zaledwie wspomniana: „Wróg dłoniami zakrył lica, i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń — w mgle zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. — On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku — głos jego już teraz, jak szum wód dalekich“. To już wszystko! Śmierć Masynissy zaznaczona tylko w dwóch słowach: „On kona“! Czy może być lepszy przykład przewagi treści nad formą? O innych utworach niema co długo mówić: we wszystkich prawie treść przeważa nad formą, myśl nad konkretnym obrazem (a często — i nad uczuciem), filozofja nad poezją, albo — powie kto może — piękno duchowe (zwłaszcza intelektualne) nad fizycznem. Czy *Nieboska Komedja* stanowi tu wyjątek? Niekoniecznie, albowiem treść niemal że rozsadza formę: treść jest tak bardzo bogata, a forma tak bardzo szkicowa; rysunek, genjalny w swojej energji, jest arcydziełem: czyby jednak to arcydzieło — w niejednej duszy — nie budziło silniejszych wzruszeń estetycznych, gdyby rysunek nie był tak szkicowy? Kto wie, może ta właśnie szkicowość tłumaczy nam, dlaczego tak wielu miłośników Krasińskiego nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z genjalnej piękności tego utworu i dlaczego woli *Irydiona.* Bo przecie, naogół biorąc, ludzie wolą obrazy od szkiców [1].

[1] Longin Lam stwierdził i w opisach Krasińskiego przewagę treści nad formą (j. w., str. 70); por. Chlebowski, *Sto lat myśli polskiej,* V, 118.

Dodajmy do tego, że są wśród utworów Krasińskiego i takie, w których forma przytłacza treść, i to nietylko z epoki młodzieńczej, ale i późniejszej. *Noc letnia* i *Pokusa, Sen Cezary* i *Legenda* — oto wyjątki z tej ogólnej reguły, że w poezji Krasińskiego treść ma przewagę nad formą.

Płynęła zaś ta przewaga z organicznej wady jego talentu, nie zaś z lekceważenia pracy artystycznej: nad formą swojej poezji, jak to widać z autografów, pracował pilnie, plan utworów obmyślał starannie[1], ale mu ta praca nieraz szła oporem. W jednym ze swoich utworów francuskich (w *Dzienniku*) mówi Krasiński, że „piękność zależy w znacznej części od wyrazu: twarz bez duszy nie warta spojrzenia; lepiej patrzeć na posąg". Ma słuszność: wyraz twarzy, jej pierwiastek duchowy, jest niezmiernie ważnym — Plotyn powiedziałby nawet, że najważniejszym, — czynnikiem jej piękności (τὸ ἔνδον εἶδος); twarz bez duszy nie jest doskonałą pięknością. Tak, ale czy dusza, nie mająca swego pełnego odpowiednika w twarzy, w pierwiastku fizycznym, może być doskonałą pięknością? Także nie — (mowa tu oczywiście o piękności w estetycznem, nie moralnem, znaczeniu tego słowa).

To byłyby już wszystkie mniej więcej ujemne strony poezji Krasińskiego. Jakiż z tego wniosek? Taki, że jest on poetą mniejszym od Mickiewicza i Słowackiego. Ale tutaj — jedno małe wyjaśnienie, a raczej jedno dłuższe wyznanie wiary.

* * *

Słyszy się często, że nie wolno, przynajmniej w nauce, rozstrzygać, który poeta jest wielki, który większy, a który największy, a to z uwagi, że zadaniem nauki jest tylko opisywać, charakteryzować, klasyfikować, ale nie sądzić. Pogląd ten ma w sobie niewątpliwie dużo słuszności. Wszyscy chyba bardzoby się dziwili, gdyby np. botanik wspomniał w swoich badaniach naukowych o piękności dębu, zoolog — o użyteczności krowy dla człowieka, astronom — o wspaniałości nieba gwiaździstego. Lecz, pomijając już to, że np. Kopernik pisał coś, i to wcale niegłupio, o wspaniałości nieba gwiaździstego, — co innego nauki przyrodnicze, a co innego „humanistyczne" i filozoficzne. Prawda, że i w tej dziedzinie są nauki, których zadaniem jest tylko badanie rzeczywistości: psychologja np. nie ocenia procesów duchowych, ona je tylko bada — (ale bo też psychologja, dzisiejsza przynajmniej, to, na dobrą sprawę, nauka przyrodnicza). Lecz taka np. este-

[1] Tadeusz Pini, *Z pracowni poety (Pamiętnik Literacki*, I, 279, 293).

tyka — czy może się ograniczyć jedynie do badania procesu twórczości w duszy twórcy i tych swoistych wzruszeń (estetycznych), których człowiek doznaje pod wpływem czyto „pięknej“ natury, czy sztuki? czy nie wolno także estetykowi oceniać tych procesów ze stanowiska ich wartości dla człowieka? Albo inaczej (bo to prawie na jedno wychodzi): czy estetyka jest nauką tylko opisową, czy i normatywną? To samo pytanie dotyczy etyki, a i logiki także. Niechaj wolno się będzie oświadczyć za dwoistym charakterem tych nauk.

A historja literatury i nieodłączna od niej krytyka literacka jaką ma być nauką? Żeby na to pytanie odpowiedzieć, o tem przedewszystkiem pamiętać trzeba, że nie jest ona nauką przyrodniczą, i że z natury swojej nie może być (a przynajmniej dotychczas nie jest) nauką tak wyodrębnioną, jak poszczególne nauki przyrodnicze. Botanik albo zoolog odstępuje ocenę piękności roślin albo zwierząt estetykowi, ocenę ich użyteczności — gospodarzowi. Tymczasem historyk literatury i krytyk nie może się zrzec na rzecz estetyki oceny piękna utworu, na rzecz logiki — oceny jego logiczności; ma nawet prawo nie zrzekać się, na rzecz historyka czy socjologa, zagadnienia, czy utwór wywarł wpływ na życie — i jaki. Ponieważ na literaturę składają się utwory ducha ludzkiego, wyrażone zapomocą słowa, więc historja literatury — z natury swojej — jest przedewszystkiem nauką filologiczną, ale nie wyłącznie: może i powinna — także z natury swojej — wykraczać poza granice filologji, może i powinna, po ukończeniu analizy filologicznej, rozpatrzyć utwór literacki przynajmniej jeszcze ze stanowiska logiki, etyki i estetyki, nie zapominając przytem o stronie normatywnej tych nauk, to znaczy, ma prawo wydać sąd o jego różnorodnych wartościach. Przecie historja literatury jest nauką „humanistyczną“, a z nauk humanistycznych — inaczej niż z przyrodniczych — nie wolno wykluczać... idei celowości. Czy przyroda ma swoje cele, a jeżeli ma, to jakie, tego człowiek nie wie, i prawdopodobnie, poza szczęśliwą garstką mistyków i ezoteryków, nigdy nie będzie wiedział; może jedynie tak lub inaczej domyślać się albo wierzyć: to też przyrodnik odstępuje odpowiedzi na te pytania metafizyce i teologji. Ale, jakie cele ma działalność duchowa człowieka, to człowiek wie coraz lepiej — w miarę, im więcej uświadamia sobie samego siebie. Otóż twórczość artystyczna należy do dziedziny duchowej człowieka.

Nie jest wprawdzie pozbawiony słuszności pogląd romantyków, że twórczość artystyczna, której owocem jest sztuka, podlega nadewszystko prawu przyczynowości, że jest fenomenem, swoistym objawem takiej lub innej duszy twórcy. Ale, po pierwsze, jest faktem, że obok twórczości żywiołowej istnieje

tendencyjna, i to we wszystkich dziedzinach sztuki, nie wyłączając nawet muzyki. Powtóre, choćby się twórczość tendencyjną wykluczyło z dziedziny sztuki i choćby się stanęło na tem skrajnem stanowisku, że twórczość żywiołowa odbywa się bez udziału świadomości, to i tak jeszcze wykluczanie z twórczości pierwiastków celowych byłoby ciężkim grzechem przeciw nauce psychologji, która wie przecie, że cele są nietylko w świadomości, ale i w podświadomości; bo przecie pewna, a może nawet lwia część kapitału podświadomości jest owocem dawniejszej świadomej i celowej pracy duchowej. Po trzecie — i to jest rzeczą nie mniej ważną — twórczość artystyczna nie jest nigdy, albo prawie nigdy, całkowicie żywiołową. Całkowicie żywiołowe bywają tylko improwizacje, te zaś, zwłaszcza kiedy długie, są utworami mało artystycznemi, bez żadnego porównania mniej pięknemi, niż utwory, których tylko pierwsze wizje, pierwsze pomysły i pierwsze rzuty są owocem twórczości żywiołowej, ale które w ostatecznem ukształtowaniu są dziełem świadomej, często ogromnie mozolnej pracy artystycznej. Zresztą i w samem kształtowaniu się wizyj i pomysłów świadomość nieraz bierze udział bardzo czynny i nader często reguluje twórczość żywiołową, i to pod znakiem nie tylko piękna, ale także prawdy logicznej i dobra. A jeżeli to wszystko prawda, to jakże ten, kto bada naukowo sztukę, może nie o c e n i a ć j e j w s z y s t k i c h wartości, to jest nie rozpatrywać jej ze stanowiska wszystkich tak zwanych „celów sztuki", wszystko jedno, świadomych, czy podświadomych?

Dobrze więc, — może kto powie — krytyk ma prawo nietylko objaśniać i charakteryzować, ale także sądzić utwory literackie ze stanowiska ich wartości; ponieważ jednak najgłówniejszym celem sztuki jest piękno, więc trzeba te utwory sądzić przedewszystkiem ze stanowiska estetycznego; wartości zaś estetyczne są takiego rodzaju, że każda jest i n n a, ale jedna od drugiej ani nie wyższa, ani nie niższa; dlaczegożby np. Eschylos miał być poetą większym od Arystofanesa, skoro obydwaj są wielcy, pierwszy w dziedzinie tragizmu, drugi w zakresie komizmu? Podobnież możnaby pytać: dlaczegoby Mickiewicz miał być poetą większym od Słowackiego, Kochanowski od Krasickiego, i t. d.?

Cóż na to odpowiedzieć? Przedewszystkiem, nie przecząc bynajmniej tej oczywistej prawdzie, że głównym, najbardziej swoistym celem sztuki jest piękno, należy stwierdzić ten niezbity fakt, że kryterja, na których podstawie ogół (u nas przynajmniej) wydaje sądy o poetach, nazywając jednego większym, a drugiego mniejszym, nie są kryterjami czysto estetycznemi: mają charakter mieszany. Składają się na nie, oprócz indywidualnych upodobań estetycznych, względy moralne, intelektu-

alne, patrjotyczne, społeczne. Czy takie stanowisko tłumaczy się może niższym u nas, niż np. we Francji, poziomem kultury estetycznej? Chyba tylko w drobnej mierze. Nie, ma ono swoje głębokie uzasadnienie, po pierwsze, w charakterze poezji, która jest tak rozległem, tak wspaniałem królestwem, że skarbami swemi obdarza nietylko zmysł estetyczny, ale całą duszę ludzką, a po drugie — w duszy ludzkiej, która, będąc całością, ocenia twórczość ducha i jej owoce ze stanowiska tej właśnie swojej całości, a nie tylko jednej swojej cząstki. Nie same kryterja estetyczne wysunęły w mniemaniu ogółu Mickiewicza na samo czoło poetów polskich, a Sienkiewicza — na samo czoło polskich powieściopisarzy, tylko kryterja mieszane. A i protesty przeciwko temu sądowi — na rzecz Słowackiego w dziedzinie poezji i na rzecz Prusa czy Żeromskiego w dziedzinie powieści — mają za podstawę także kryterja mieszane i są zupełnie usprawiedliwione właśnie różnorodnością tych kryterjów (nie mówiąc już o różnorodności poglądów i upodobań indywidualnych). Ohydna kampanja przeciwko Sienkiewiczowi, podjęta w swoim czasie przez pewien odłam krytyków, odbywała się w imię różnorodnych kryterjów, przyczem kryterja estetyczne najmniej tu zaważyły.

Wróćmy jednak do jednej grupy kryterjów, mianowicie estetycznych, i zapytajmy: czy słuszne są protesty przeciwko wywyższaniu jednych poetów nad drugich — z tego jednego stanowiska? Są słuszne niewątpliwie, jeżeli klasyfikacja estetyczna poetów jest nieumiejętna. Ale umiejętną być może, chociaż nieraz jest trudna.

Dajmy na to, że dwaj poeci wywołują w duszy to wzruszenie estetyczne, które się nazywa wdziękiem: czy nie wolno mówić, że jeden ma większy talent w tym kierunku, aniżeli drugi? Poezja Lenartowicza ma niezaprzeczony wdzięk, poezja Mickiewicza — także: czy będzie herezją powiedzieć, że Mickiewicz, jako poeta wdzięku, jest większy od Lenartowicza, jako poety wdzięku, że np. Zosia ma więcej wdzięku od Wiochny? Kochanowski bywa nieraz wzniosły — w proroctwie Kassandry, w *Trenach*, w *Psałterzu;* Mickiewicz także bywa wzniosły — w *Odzie do młodości*, w *Sonetach krymskich*, w *Konradzie Wallenrodzie*, w *Farysie*, w poezjach religijnych, w opowieści o kibitkach, w *Improwizacji*, w spowiedzi księdza Robaka, w opisie wiosny 1812 roku: czy będzie herezją powiedzieć, że Kochanowski, jako poeta wzniosłości, jest mniejszy od Mickiewicza, jako poety wzniosłości? Słowacki umiał swoje uczucia wyrażać z niezmierną siłą, czego dowodem *Grób Agamemnona:* ale kiedy utwór ten porównamy z *Improwizacją*, to czyż zawahamy się powiedzieć, że na tak potężny wyraz uczucia, jak Mickiewicz, Sło-

wacki (i wogóle żaden inny poeta polski) nie zdobył się ani jednego razu?

Prawda, że dusza ludzka nie znalazła i zapewne nie znajdzie nigdy ścisłej miary na dokładne wymierzanie siły wzruszeń estetycznych; prawda, że może się znaleźć taki, na którego *Grób Agamemnona* sprawia większe wrażenie, niż *Improwizacja*, a nawet i taki, który od *Boskiej Komedji* woli... *Trędowatą*. Na to, istotnie, niema już rady: co kto lubi... Ale i to jest prawdą, że w dziedzinie p o k r e w n y c h wzruszeń estetycznych każdy chyba wyczuwa pomiędzy niemi różnicę nietylko jakościową, ale także ilościową, i na tej podstawie oddaje jednemu poecie pierwszeństwo przed innym. Nie stwierdzić tego faktu historyk literatury nie ma prawa.

Dalej. Dajmy na to, że utwory jednego poety mają tylko wdzięk, a innego — nie tylko wdzięk, ale także wzniosłość, albo np., że jeden poeta tylko wzrusza, a inny — i wzrusza, i zachwyca, że jeden ma talent tylko komiczny, a inny i komiczny, i tragiczny: któremuż poecie przyznamy wyższość? Oczywiście, nie pierwszemu. Albo jeszcze. Dajmy na to, że z dwóch poetów, chociaż obydwaj mają wielki talent narracyjny, jeden przewyższa drugiego umiejętnością budowy artystycznej: któremu oddamy pierwszeństwo? Odpowiedź zbyteczna.

* * *

I znowuż — zastosujmy te wszystkie uwagi do Krasińskiego. Jest on, jak widzieliśmy, poetą i n n y m od Mickiewicza i Słowackiego, choćby już tylko ze względu na bezpośrednio filozoficzny charakter swojej poezji, będący skutkiem jego swoistej organizacji duchowej. Czy jednak z tego wynika, że nie wolno jego talentu porównywać z talentem Mickiewicza i Słowackiego także pod względem i l o ś c i o w y m? Bynajmniej. Jeżeli talent Krasińskiego nie był tak wszechstronny, jak talent Słowackiego, a cóż dopiero Mickiewicza; jeżeli jego poezja nie budzi w sercach tak różnorodnych wzruszeń estetycznych, jak poezja Słowackiego, a cóż dopiero Mickiewicza; jeżeli nie miał on wyobraźni ani tak bujnej i rozlewnej, jak Słowacki, ani tak bujnej i plastycznej, jak Mickiewicz; jeżeli w artyzmie swoim jest o wiele nierówniejszy od Słowackiego, a cóż dopiero od Mickiewicza; jeżeli, naogół biorąc, nie dorównywa im obu ani poprawnością języka, ani obrazowością stylu, ani pięknością wiersza: to wolno chyba nazwać go poetą stanowczo mniejszym od Mickiewicza i Słowackiego.

A jeżeli tak, to koncepcja „trzech wieszczów" jest pojęciem fałszywem? jest omyłką instynktu narodowego? Więc Nowa-

czyński miał słuszność, kiedy krzyczał w *Meandrach:* „Gwiżdżę na waszą romantyczną trójcę"? Nigdy w świecie! Albowiem, będąc od Mickiewicza i Słowackiego poetą nietylko innym, ale i stanowczo mniejszym, jest jednak poetą wielkim. Należy mu się to miano ze stanowiska kryterjów nietylko mieszanych, ale i ściśle estetycznych — nadewszystko, jako poecie tragizmu i wzniosłości.

Cóż z tego, że swoją poezją nie budzi Krasiński w duszy tak różnorodnych wzruszeń, jak Mickiewicz i Słowacki, kiedy te, które budzi, są tak silne, tak nawet potężne, jakie budzić może jedynie poeta wielki! Mądrą bajkę opowiedział Ezop. Urągała liszka lwicy, że wydaje na świat po jednemu tylko lwięciu, kiedy ona, liszka, — po kilkoro lisiąt. A na to lwica: „Prawda, ale twoje dzieci to lisy, a moje jedyne to lew". Mały poeta nigdy nic wielkiego nie stworzył i nie stworzy, ale poeta, który stworzył choćby jedną tylko rzecz wielką, jest wielki. A Krasiński stworzył rzeczy wielkich dużo więcej, niż jedną. Kto stworzył *Nieboską Komedję*, a w niej wydobył tyle wielkiego tragizmu z walki społecznej i z duszy hrabiego Henryka; kto jest twórcą *Irydiona*, a w nim wydobył tyle tragizmu z duszy mściciela-patrjoty i stworzył tak potężną i groźną postać, jak Masynissa, oraz tak — pod względem psychologicznym — niezwykłą i wzniosłą, jak Kornelja Metella; kto wyśpiewał pieśń *Na skale* i jeszcze piękniejszą: „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem", oraz przepełniony uczuciem *Psalm nadziei* i wzniosły, majestatyczny *Psalm dobrej woli;* kto się zdobył na takie arcydzieła prozy poetyckiej, jak preludjum do pierwszej części *Nieboskiej Komedji*, jak epilog *Irydiona*, jak niektóre *Modlitwy*; czyja poezja ma tyle majestatycznej wzniosłości, ilekroć jej przedmiotem jest bądź afirmacja ideału moralnego, bądź święte oburzenie na tych, co go gwałcą; kto umiał tak wzruszać, jak Krasiński w *Ostatnim*, w modlitwach i niedoli Orcia, we łzach i poświęceniu Elsinoi, — ten jest chyba poetą wielkim, poetą genjalnym, z pośród romantyków naszych jedynym, godnym stanąć obok dwóch większych od siebie. (Niech wybaczą zapaleni wielbiciele Norwida!).

Wartości intelektualne i moralne poezji Krasińskiego. Cóż dopiero, jeśli do kryterjów estetycznych dołączyć intelektualne i moralne! O wartościach intelektualnych poezji Krasińskiego, ściśle biorąc, była już mowa: ma ona charakter filozoficzny, który się bądź wysuwa na jej czoło, bądź wysuwać się nie potrzebuje — tam, gdzie stanowi jedyny pierwiastek jej treści; naczelnem jej zagadnieniem jest to, co najwięcej pobudza myślącego człowieka do myślenia: zagadnienie wartości i sensu życia — życia jed-

nostki, narodu, ludzkości i całego świata. Czy wiele jest utworów poezji, nietylko polskiej, ale i wszechświatowej, któreby tak bardzo pobudzały do myślenia o kolejach ludzkości, jak *Nieboska Komedja*? czy wiele jest w poezji postaci, któreby człowiekowi tyle dawały do myślenia o jakimś fatalizmie złego, jak postać Masynissy? czy wiele jest utworów, któreby myśli, ustawicznie biedzącej się nad rozwiązaniem pytania, czy też dobro zatriumfuje nad złem, dostarczały tyle pokarmu i pokrzepienia, co *Syn cieniów, Przedświt, Psalmy przyszłości, Ostatni?* W Polsce jeden jest tylko poeta, który nie mniej od Krasińskiego pobudza człowieka do myślenia o najważniejszych zagadnieniach życia ludzkiego, o jego wartości i sensie: Asnyk.

„Filozof, humanista i chrześcijanin z archanielskiemi wielkiego poety skrzydłami"... tak nazwał Krasińskiego Trentowski [1] i — tym razem — nie przesadził: Krasiński jest myślicielem, a jednocześnie „humanistą" i chrześcijaninem. I tutaj wkraczamy już w dziedzinę moralnych wartości jego poezji. W tej zaś dziedzinie Krasiński, ten „najszlachetniejszy z plemienia szlachty" (jak go nazwał Żeromski), nie boi się porównania z żadnym, choćby największym, poetą, ani z Eschylosem, ani z Dantem, ani z Miltonem, ani z Schillerem, ani z Mickiewiczem.

Cała niemal jego poezja, od *Nieboskiej Komedji* aż do *Resurrecturis* i *Niedokończonego Poematu*, jest jedną wielką afirmacją jego głębokiego przekonania filozoficznego i jego głębokiej religijnej wiary, że ideał moralny jest ze wszystkich ideałów najwyższym, że więc wszystkie inne muszą się zaprząc w służbę temu jednemu, że głównym celem życia całej ludzkości, życia poszczególnych narodów i jednostek jest realizowanie tego ideału,

Bo cel światów — szlachetnienie.

I wierzył Krasiński, że, prędzej czy później, ludzkość ten ideał osiągnie, że ta realizacja jest koniecznością metafizyczną, wolą bożą, ale że jednocześnie zależy od dobrej woli człowieka, że, co za tem idzie, złe ma tylko charakter przejściowy, że jest głupotą, która sama siebie tak czy inaczej zniszczy, że każda zbrodnia sama siebie pokarze śmiercią i legnie strzaskana przed tronem Prawdy i Cnoty, że prawo odwetu moralnego jest wielkiem prawem świata.

Przez ten swój optymizm słoneczny poezja Krasińskiego jest w europejskiej poezji romantycznej przeciwległym biegunem i przezwyciężeniem tego straszliwego pesymizmu, którego najwybitniejszym przedstawicielem był Byron. Jest Krasiński,

[1] *Panteon*, II, 223.

jak słusznie powiedziano, „najpełniejszem poetycznem wcieleniem przejścia od pesymizmu do optymizmu drogą konstrukcji ideowej, kierowanej przez postulaty uczucia“ [1].

Chwiał się niekiedy Krasiński w tej swojej wierze w triumf ostateczny ideału moralnego, co się też odbiło na takich utworach, jak *Fantazja konania* i *Dzień dzisiejszy:* ale się z temi wątpliwościami zmagał i ostatecznie je zwalczył; odsunął tylko, pouczony doświadczeniami życiowemi, godzinę zrealizowania ideału moralnego w daleką przyszłość, „gdzieś na wieków późną falę“, zrozumiał, że „na ziemi sierotą, a nie synem Pana, kto żąda za wcześnie, bo ten nie zna przedwiecznej Mądrości“; ale, że ta godzina wybije na dziejowym zegarze, o tem nie wątpił — nawet pod koniec życia:

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Czy strach i popłoch zdejmie ziemię wszędzie,
Aż świat od osi zadrży po krawędzie,
Czy mądrość święta w pokoju zasiędzie
I pod nią ziemia ta odetchnie biedna,
A ona wszystko zgodzi i pojedna, —
Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie;
Jedno wiem tylko: Polska zmartwychwstanie;
Jedno wiem tylko: na dziejów przestrzeni
Grób nasz nam w życia gmach się przepłomieni;
Jedno wiem tylko: krzykniemy serdecznie:
„Bądź Ty pochwalon, Święty Boże, wiecznie!“

Zrozumiał także po latach Krasiński — on, który dawniej przepowiadał człowiekowi, że, kiedy się stanie synem światłości, kiedy się przeanieli, to będzie równy Bogu, — zrozumiał, że nawet przeanielony człowiek nigdy Boga nie doścignie,

Bo Pan wszystkiego jest wszystkiem na wieki,
Choć coraz bliższy, On równie daleki.

Ale to go nie przerażało, bo i to rozumiał, że właśnie największem szczęściem dla ducha jest wiecznie dążyć i dążyć wyżej, że, jakby powiedział Asnyk, to „najlepsza cząstka życia w takiej walce i pogoni“.

A jeżeli teraz idzie o najkrótszą charakterystykę ideału moralnego Krasińskiego, to wystarczy jedno określenie, jeden przymiotnik: jest to ideał c h r z e ś c i j a ń s k i.

Tak, źródłem i samego ujęcia ideału moralnego, i jego najgłębszej istoty, i wiary w jego realizację, i środków, wiodących do tej realizacji, jest w poezji Krasińskiego Jezus Chrystus. W roku 1847 pisał Krasiński do Lamartine'a: „Mam w duszy

[1] Kleiner, *Zygmunt Krasiński, Dzieje myśli*, II, 252.

1847 lat chrześcijaństwa". Powiedział prawdę: na całym świecie mało który poeta rozumiał t a k j a s n o, jak on, tę niewątpliwą, wielką i świętą prawdę, że na świecie jest tylko jedna prawda moralna, w której skupiają się wszystkie inne, a raczej z której wszystkie inne płynąć powinny, i że tą prawdą jest Jezus Chrystus, Jego życie, Jego śmierć i Jego nauka.

Pod kątem życia Jezusa Chrystusa patrzał Krasiński na życie całej ludzkości, którego też nie rozumiał bez cierpienia, bez ofiary i bez przemienienia; pod kątem śmierci Jezusa Chrystusa patrzał na upadek Polski; pod kątem nauki Jezusa Chrystusa oceniał i sądził historję: nie mogło mu się poprostu w głowie pomieścić, jak można w tych sądach stosować dwa różne kryterja, jak można nie wymagać od życia publicznego, żeby się toczyło drogą moralności chrześcijańskiej, kiedy się tego wymaga od życia prywatnego. Oburzenie Krasińskiego na rozbiór Polski ma swoje źródło nietylko w bólu patrjotycznym, ale także w jego zmyśle moralnym, w poczuciu, że rozbiór Polski był zbrodnią, jako negacja i podeptanie Ewangelji.

Ani jeden z poetów całego świata nie założył tak silnego, tak wspaniałego protestu przeciwko polityce niechrześcijańskiej i płynącym z niej zbrodniom i nieszczęściom. Napiętnował Krasiński nietylko zbrodnię, dokonaną na narodzie polskim, ale także inne zbrodnie, popełnione przez Europę pierwszej połowy XIX wieku, a płynące stąd, że się t a k z w a n e chrześcijańskie państwa i społeczeństwa zaparły Jezusa Chrystusa; potępił krwawe przewroty społeczne, na których czele stali ludzie bez serc, nic nie kochający, nic nie czczący, prócz siebie i myśli swoich; potępił przewroty polityczne, posługujące się niemoralnemi środkami, hołdujące zasadzie: „cel uświęca środki"; potępił bratobójcze walki w łonie jednego narodu; napiętnował różne niechrześcijańskie środki, któremi się posługują państwa: militaryzm i tajną policję; napiętnował wyzysk robotników przez t. zw. chlebodawców oraz nieuczciwą i niegodziwą agitację demagogów; napiętnował ohydę prostytucji.

Jako surowy sędzia podłości i niegodziwości swego wieku, godzien Krasiński stanąć obok ukochanego swego poety — obok Dantego.

Godzien także stanąć obok tego pisarza, który — niech sobie różni ludzie, co chcą, na to mówią — był wcielonem sumieniem Europy XIX wieku, zbroczonej krwią bohaterów, walczących za wolność, oblanej łzami i potem nieszczęśliwych ofiar egoizmu podłych jednostek i niegodziwych społeczeństw: — obok Tołstoja. Tak; są wprawdzie pomiędzy tymi dwoma poetami i myślicielami ogromne, przepastne różnice, których źródłem jest nietylko odrębność dwóch indywidualności, ale także, i to może

nadewszystko, odrębność dwóch kultur: rzymsko-katolickiej i prawosławno-bizantyńskiej. Krasiński, jak przystało na wychowańca kultury rzymskiej, wierzył mocno w szczęśliwą przyszłość rodzaju ludzkiego; Tołstoj, jak przystało na wychowańca kultury bizantyńskiej, w to nie wierzył. Etykę Krasińskiego cechuje zawsze, nawet w ostatnich latach życia, aktywizm, przyświeca jej bowiem zawsze hasło świętych czynów; etykę Tołstoja znamionuje pasywizm, dochodzący aż do nihilizmu. Krasiński wierzył nietylko w obowiązek, ale i w możność przekształcania kultury w duchu moralności chrześcijańskiej, i dlatego chciał ją dalej b u d o w a ć; Tołstoj, nie posiadając tej wiary, chciał kulturę, którą zbudowała praca wieków, zniszczyć.

A jednak, pomimo tych różnic, tak jaskrawo ilustrujących przepaść pomiędzy dwiema kulturami, która się dzisiaj w całej swojej grozie i ohydzie uwydatniła w bolszewizmie, — są pomiędzy tymi dwoma wielkimi nauczycielami swoich narodów i całej ludzkości niezaprzeczone podobieństwa.

Spokrewnia ich z sobą święte oburzenie przeciwko wszystkiemu, co już nietylko podłe, ale nawet nieszlachetne; bo i Tołstoj mógł był o sobie mówić:

> Gdzie brud ujrzę — wnet mi serce
> Jakaś bojaźń chwyta boża...

Spokrewnia ich dalej pogląd, że wszystkie gałęzie kultury powinny się upodrzędnić jednej głównej gałęzi, a raczej nie gałęzi, tylko pniowi, i że tym pniem jest kultura m o r a l n a. Spokrewnia ich także zasadniczy pogląd na sztukę. Wprawdzie Krasiński, nieodrodny syn kultury rzymskiej, nigdy nie doszedł do takich skrajności, jak Tołstoj, nieodrodny syn kultury bizantyńskiej, w swej książce: *Co to jest sztuka?*, gdzie jednem pociągnięciem pióra przekreślił dorobek artystyczny największych genjuszów sztuki, nie wyłączając Szekspira i Beethovena. Z drugiej strony Tołstoj, genjalny plastyk i epik, nie pisałby się na pogląd Krasińskiego, że się sztuka powinna stać filozofją. Z tem wszystkiem zasadniczy pogląd na sztukę jest u obu ten sam: sztuka powinna ludzi umoralniać.

Lecz najsilniejszym węzłem pokrewieństwa pomiędzy Krasińskim a Tołstojem jest r a d y k a l i z m e t y c z n y. Tak, bo i Krasiński jest w swojej etyce, w swojej miłości i czci dla ideału moralnego, radykalny, tylko że, jako nieodrodny syn kultury zachodniej, nigdy nie dochodzi do n i h i l i z m u, jak Tołstoj, nieodrodny syn kultury wschodniej. Ale radykalny jest i on w swojej etyce, jak radykalny był Kant ze swojem hasłem: „Jeżeli sprawiedliwość zginie, to życie ludzkie na ziemi straci cały swój sens“, jak radykalny jest każdy, kto, zapatrzony w ideał

i nieraz opętany oderwaną od życia logiką, nie chce paktować z rzeczywistością.

Dobrem... jest tylko dobro...
A brud jest brudem — myj go sofizmami,
Pierz i lat tysiąc — on zawsze cię splami.
. . . . . .
Nikt nie stawia gmachu z błota,
I najwyższy rozum — cnota.
. . . . . .
Sam Wszechmocny kłaść nie może
W pierś nieczystą — wieków zorzę.
. . . . . .
...na ziemi być Polakiem,
To żyć bosko i szlachetnie.

W *Nieboskiej Komedji* ludzie chcą stare zbrodnie niszczyć zbrodniami nowemi: nie osiągają celu — walka kończy się zniszczeniem całej dotychczasowej kultury. Gdzie ziarno kultury nowej? W Ewangelji.

W *Irydionie* zemsta patrjotyczna, właśnie dlatego, że jest zemstą, nie prowadzi do celu. Mściciel, obudziwszy się ze snu wieków, przestaje być mścicielem, — bo nie zemsta jest drogą do wyzwolenia narodu, tylko „praca wieków". Ale na czem ta praca ma polegać? Zrazu nie daje na to Krasiński wyraźnej odpowiedzi: modlić się do Boga nie o chwałę własną, tylko o dobro narodu, być spokojnym na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych, — to chyba nie wystarczy jeszcze do zrzucenia jarzma niewoli. Słyszy wprawdzie Irydion inne jeszcze słowa: „Idź i czyń", — ale, co ma czynić, tego nie słyszy. Jeżeli jednak pozytywna myśl Krasińskiego jest w epilogu *Irydiona* niejasna, to jego myśl negatywna jest zupełnie jasna; co ma czynić, tego Irydion nie wie, ale, czego nie ma czynić, to wie: nie wolno mu żyć nienawiścią wroga i żądzą zemsty, bo to patrjotyzm pogański; patrjotyzm chrześcijański powinien budować, nie niszczyć, kochać, nie nienawidzić.

Zczasem myśl swoją wypowie Krasiński już zupełnie jasno i wyraźnie. W *Przedświcie* obiecuje narodowi, że, kiedy się stanie Chrystusem narodów, kiedy się odrodzi moralnie w niewoli, to samym tym faktem i siebie samego wyzwoli, i cały świat ku Królestwu Bożemu poprowadzi. W *Psalmie miłości* — ta sama myśl, już bez żadnych obsłonek:

...ten tylko więzy przetnie,
Kto namaszczon cnoty znakiem.
. . . . . .
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud —
I t e m s a m e m znieść niewolę.

A więc jedynym środkiem niszczenia niewoli jest moralność, — „święte czyny", jak się wyrazi Krasiński w *Psalmie dobrej woli.*

Jakie to święte czyny? Na to pytanie odpowiada *Resurrecturis:*

Jedna tylko w świecie moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!

Nazwano *Resurrecturis* „politycznym katechizmem" narodu polskiego: niechaj wolno będzie otwarcie powiedzieć, że, jeśli w tym wierszu jest jaka polityka, to jest nią polityka samobójstwa. Naród, któryby tą drogą, drogą naśladowania Jezusa Chrystusa, chciał odzyskać niepodległość, — nie odzyska jej nigdy, stanie się może „wolnym synem niebios", ale nie stanie się nigdy wolnym synem ziemi, nie mówiąc już o tem, że „świętość w niewoli" jest utopją: niewola upadla, nie uszlachetnia, chyba tylko — nieliczne wybrane jednostki. W swoim radykalizmie etycznym, w swojem konsekwentnem stosowaniu etyki ewangelicznej do całokształtu życia, nietylko zatracił Krasiński poczucie i świadomość różnicy pomiędzy sferą życia religijną a polityczną, ale nadto zatracił zrozumienie, że w dążeniu do realizacji ideałów musi być pewne ich następstwo, okupione choćby nawet kosztem chwilowego kompromisu z rzeczywistością. Mickiewicz, dla którego ideał chrześcijański był także największą ze wszystkich świętości, rozumiał to doskonale, rozumiał, że się samą cnotą nie zniesie niewoli, że gwałt powinien się odciskać gwałtem; Krasiński tego nie rozumiał. On bujał ciągle w sferze ideału, nie lubił — w swej poezji — zlatywać z nieba na ziemię, a przynajmniej nie umiał, jak Mickiewicz, nieba łączyć z ziemią. I za to właśnie szydził z niego gorzko Słowacki:

Ty zamieniasz ziemską dolę
W żywot ducha — na księżycu.

Sam Krasiński wyrok ten zatwierdził, a raczej uprzedził, mówiąc o sobie:

Choć żył na ziemi, nie był z ziemi rodem...
Co to za życie tego człeka było!
Ciągle mu tylko w mózgu się roiło
O nieskończonych błękitu obszarach...

Wszystko to prawda! A jednak, czy człowiek nie potrzebuje, nie m u s i, czasami przynajmniej, ulatywać z ziemi w obszary błękitu? Czy ludzkości nie są potrzebni nauczyciele, którzyby przeciwstawiali ziemi — niebo, złemu — dobro, rzeczywistości — ideał? „A jeśli cię prawa ręka twoja gorszy, odetnij ją

i zarzuć od siebie, albowiem pożyteczniej jest, aby zginął jeden z członków twoich, niżliby miało iść wszystko ciało twoje do piekła... A ja wam powiadam, żebyście się nie sprzeciwiali złemu: ale, jeśli cię kto uderzy w prawy policzek twój, nastaw mu i drugiego... A ktoby cię kolwiek przymusił na tysiąc kroków, idź z nim drugie dwa". Czy te wszystkie przykazania są praktyczne? Czy podobne do wykonania? Nie. Dlaczego? Bo są — i d e a ł a m i. A jednak kto się odważy powiedzieć, że *Kazanie na górze* jest pozbawione prawdy? Ideał jest jak latarnia morska podczas nocy: nie ona wprawia okręt w ruch, ale ona mu pokazuje, w którą stronę ma płynąć; dzięki jej światłu okręt płynie ku bezpiecznemu brzegowi, chociaż nie w matematycznie prostej linji; gdyby światło zgasło, rozbiłby się o skały. Dla życia ludzkiego taką właśnie latarnią jest ideał moralny, z tą wszakże wielką różnicą, że, kiedy latarnia stoi na miejscu, ideał, w miarę jak się człowiek doń zbliża, ucieka, ale i uciekając, nie gasi swego światła, — inaczej człowiek wszedłby na bezdroża. Ideał dlatego się nazywa ideałem, że go ręką człowiek nie chwyci: ale czy z tego wynika, żeby go nie miał gonić? Ależ, raz jeszcze, na tej pogoni polega cały sens życia ludzkiego i jedyna prawdziwa jego wartość.

A zresztą czyż naprawdę w s z y s t k i e ideały moralne Krasińskiego są tylko marzeniem? Czy c a ł a jego nauka moralna jest gmachem, w którym mieszkają tylko duchy księżycowe, nie ludzie?

Wierzył Krasiński (podobnie jak Mickiewicz), że zczasem „schrześcijanią się" narody, że moralność chrześcijańską przeniknie nietylko stosunki życia prywatnego, ale i politykę. Otóż pytamy: czy dzisiaj, po straszliwej wojnie światowej, ludzkość nie jest czasem troszeczkę bliższa urzeczywistnienia tego postulatu? Za czasów Krasińskiego to, że rozbiór Polski był zbrodnią, mówiły sobie i rozumiały prawie same tylko serca p o l s k i e; na palcach możnaby wyliczyć tych o b c y c h historyków, którzy tę zbrodnię nazywali po imieniu; o dyplomatach niema co nawet mówić: w języku dyplomatów rozbiór Polski był mądrością, racją stanu, a więc... cnotą państwową, a w najgorszym razie... koniecznością polityczną. A dzisiaj? Dzisiaj w Europie częściej już jednak słychać, że rozbiór Polski był zbrodnią! Mówi się o tem nawet... w aktach dyplomatycznych. Przecie w zbiorowej odpowiedzi, którą w roku 1919 zwycięskie państwa koalicyjne dały Niemcom na ich wykrętne i podłe kontrpropozycje co do ziem polskich, czytamy dosłownie: „Mocarstwa zjednoczone i sprzymierzone stają wobec specjalnego obowiązku skorzystania ze swego zwycięstwa celem przywrócenia narodowi polskiemu niepodległości, z której go ograbiono przeszło sto lat

temu; ograbienie to było jednem z największych bezprawi, jakie zapisały dzieje, zbrodnią, której wspomnienie samo zatruwało przez czas długi życie polityczne"[1]. Naprawdę, trudno było wierzyć własnym oczom, kiedy się te słowa czytało. Trudno i dzisiaj uwierzyć, że te słowa nie są już jednak pustym dźwiękiem, że na dziejowym zegarze wybiła nakoniec godzina sprawiedliwości dla Polski, że się spełniło jedno z marzeń i proroctw Krasińskiego, chociaż nie w ten sposób, w jaki on pragnął, żeby się spełniło, bo nie wskutek przeanielenia Polski, do którego jej dzisiaj jeszcze dalej (ach, jak dalej!), niż za czasów Krasińskiego, tylko wskutek wielkiej burzy europejskiej, którą przepowiedział Mickiewicz i Słowacki.

Naturalnie, restytucja Polski nastąpiła przedewszystkiem dlatego, że jej potrzebuje pokój europejski, i jest tylko w drobniutkiej części owocem poczucia sprawiedliwości, a w części przeważnej — owocem własnego interesu państw zwycięskich. A jednak już to samo, że się tę restytucję teoretycznie uzasadniało względami etycznemi, jest postępem, jest częściowem zrealizowaniem idei Krasińskiego i innych romantyków polskich.

Niedosyć na tem. I w pobitych Niemczech słychać już głosy, że etyka chrześcijańska powinna obowiązywać życie nietylko prywatne, ale i publiczne, że wojna światowa wypłynęła nie z czego innego, tylko z ustawicznego gwałcenia przez wszystkie państwa europejskie, nietylko przez Niemcy i Austrję, etyki chrześcijańskiej. Takim głosem jest wydana w ostatnim roku wielkiej wojny książka znanego filozofa i pedagoga, Foerstera, który od początku wojny miał tę odwagę cywilną, że wojnę nazwał zbrodnią i ostro napiętnował ową bandę zdziczałych profesorów niemieckich, którzy argumentami niby naukowemi bronili nietylko pogwałcenia neutralności Belgji, ale wogóle tych wszystkich podłych środków, których się chwytali Niemcy, aby wygrać wojnę. Ta książka Foerstera ma tytuł: *Weltpolitik und Weltgewissen*. Otóż Polak, kiedy ją czyta, nieraz sobie mówi: „Dla mnie niema w tem wszystkiem nic a nic nowego, ja wiem to już dawno od Krasińskiego i Mickiewicza". Śmiało można powiedzieć, że wielka idea moralna Krasińskiego triumfuje w tej książce: przecie Foerster cały jeden rozdział poświęca zagadnieniu, czy *Kazanie na górze* może i powinno być ideałem życia publicznego, i odpowiada, że nietylko powinno, ale i może, że, dopóki ten ideał nie będzie przyświecał polityce międzynarodowej, dopóty nie będzie pokoju na świecie. Nie wiedział zapewne szla-

[1] *Urkunden zum Friedensvertrage von Versailles...*, zusammengestellt von Kraus und Rödiger. Część I, Berlin 1920, str. 593.

chetny myśliciel niemiecki, który o Krasińskim może nawet nie słyszał, że takiem właśnie ujęciem problemu polityki chrześcijańskiej stwierdza nieprzemijające wartości moralne filozofji poety polskiego.

Wartości narodowe poezji Krasińskiego. I wreszcie — już na zakończenie — kilka słów o tem, czem poezja Krasińskiego była dla nas, dla narodu polskiego, i czem jest, a przynajmniej czem być może i powinna dzisiaj.

Czem była? Krasiński jest autorem *Przedświtu* i *Psalmów przyszłości:* to mówi nie wszystko, ale ogromnie dużo. Ani jeden z naszych romantyków nie obiecywał nam zmartwychwstania z taką niezachwianą pewnością, ani jeden nie wlewał w serca nasze tyle nadziei, a nawet wiary, że grób Polski jest tylko

> . . . . . kołyską nowej zorzy,
> Śród wieczności jedną chwilką,
> W której począł się dzień boży!

Że w to wszystko wierzono, o tem wiedzą dobrze ci, którzy, chociaż urodzili się już po roku 1863, zostali wychowani przez rodziców w tradycji epoki przedpowstaniowej, romantycznej. A niektórzy z nich pamiętają z lat dziecinnych pożółkłe kartki papieru, które chowano pod podłogą z obawy przed rewizją policji moskiewskiej, a na których ręką rodziców były przepisane *Psalmy przyszłości* i *Przedświt;* a i to jeszcze pamiętają, jak się im kazano uczyć napamięć całych ustępów z tej Ewangelji narodowej: uczyli się, chociaż rozumieli bardzo mało, ale to, że

> Jak Bóg w niebie — tak koniecznie
> Bóg nas wcieli w drugie ciało,

rozumieli dobrze — i serce im biło ze szczęścia.

Nastrojów i uczuć, jakie w najszlachetniejszych duszach polskich panowały w epoce, poprzedzającej wybuch powstania styczniowego, żaden pamiętnikarz i żaden uczony historyk nie scharakteryzował tak wiernie i tak pięknie, jak Asnyk:

> Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,
> Gdy serca nasze paliła tęsknota,
> A bór nam szumem dębów swych i sosen
> Śpiewał, jak stary pieśniarz Wajdelota,
> Rycerskie pieśni dawnej przodków chwały,
> Które nas czarem swoim upajały.
>
> Pamiętam dotąd, jak nam szmer strumieni,
> Słowików śpiewy, powiew kwiatów woni
> I zorza, która błękity rumieni,
> I wszystko wkoło wciąż mówiło — o Niéj,
> O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
> Na odwalenie kamiennego wieka...
> . . . . . .

Myśmy Ją wszyscy przed sobą widzieli —
Cudowną postać w złotej gwiazd koronie,
W niepokalanej czystości i bieli,
Ze zmaz obmytą przez anielskie dłonie,
Z twarzą, podobną do Najświętszej Panny,
I blask z swych włosów siejącą poranny.
. . . . . .
Więceśmy ręce do Niej wyciągali,
Wołając: „Zstępuj z błękitów, królowo!
„Krzywdy nędzarzów zważ na prawa szali
„I sprawiedliwość wymierz im na nowo,
„Zawieś miecz pomsty nad fałszem i zbrodnią
„I bądź ludzkości gwiazdą znów przewodnią!
. . . . . .
„My nic dla szczęścia swego, nic dla siebie
„Nie pragniem, — nawet nie żądamy dożyć
„Chwili, gdy z jutrznią zabłyśniesz na niebie.
„Chcemy na zawsze w prochu się położyć
„I za swe wiano wziąć niepamięć wieczną,
„Byleś Ty jasność rozlała słoneczną".

Otóż ani jeden z poetów polskich nie przyczynił się chyba w tym stopniu do wytworzenia tych nastrojów i uczuć, co Krasiński, jako autor *Przedświtu* i *Psalmów przyszłości*. On to zawiesił na niebie polskiem ową „cudowną postać w złotej gwiazd koronie", do której rodzice nasi ręce wyciągali i którą pragnęli ściągnąć z błękitów na ziemię.

Środkiem, który miał urzeczywistnić to pragnienie, było powstanie roku 1863. Skończyło się klęską:

Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą,
I coraz podlej na tej ziemi było.

Czy mamy za to potępiać poezję patrjotyczną Krasińskiego? Asnyk, broniąc Słowackiego, obronił i Krasińskiego:

Jeśli to twoją winą, że budząca życie
Pieśń jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię,
Krwawe widmo ojczyzny wywołując z trumny;
Jeśli to twoją winą, że pchany rozpaczą
Naród zerwać chciał więzy — to możesz być dumny!
Ci, którzy ucierpieli najwięcej, przebaczą,
I Polska ci przebaczy, kochający synu,
I nie będzie dla ciebie żałować wawrzynu.
Bo święte hasła twoje — to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia:
Wiara twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia.

Romantyzm polski przyczynił się niewątpliwie do wybuchu powstania styczniowego, które, jak każda dziejowa „omyłka liczebna", było nieszczęściem dla narodu; ale ten sam roman-

tyzm, budząc w nas miłość przeszłości i wiarę w przyszłość, sprawił, żeśmy w niewoli nie zatracili ducha narodowego. Ale o tem, o tej zasłudze narodowej Krasińskiego, mówić nie trzeba, jest to bowiem kwestja już dawno przesądzona.

Warto natomiast przypomnieć, że w całej swojej poezji raz tylko jeden, i to jeszcze jakby przyparty do muru przez Kamieńskiego, rzucił Krasiński hasło zbrojnego powstania — w *Psalmie miłości*. Lecz, nie mówiąc już o tem, że się to hasło ukazuje tutaj jak *deus ex machina*, a przynajmniej pozostaje w jaskrawej sprzeczności z twierdzeniem, że, jeśli naród podejmie „anielski trud" udoskonalenia się moralnego, to będzie mógł „t e m s a m e m znieść niewolę", — na kiedy wyznacza Krasiński czas powstania? Dopiero „o żniw porze", kiedy to szlachta i lud staną się jednym narodem: wtedy dopiero „d u c h e m zatlon ogrom zgorze", — duchem, to jest narodem, przez cały n a r ó d. A czy w roku 1863 Polska była już jednym narodem, jak była nim — na chwilę — w roku 1920?

To jedno. Po drugie: Krasiński, wpajając w serca polskie wiarę w odzyskanie niepodległości, jako g ł ó w n y środek, wiodący do tego celu, wskazywał przebudowę dusz polskich w duchu chrześcijańskim. W tem przykazaniu tkwi najgłębsza istota jego mesjanizmu, a bynajmniej nie w nauce, że Polska jest ofiarą za grzechy Europy: innemi słowy, jądrem Ewangelji narodowej Krasińskiego jest nie nauka, że Polska j u ż j e s t Chrystusem narodów, tylko że Chrystusem narodów p o w i n n a s i ę s t a ć[1]. Nie Krasiński położył pod tę Ewangelję kamień węgielny, tylko Mickiewicz, ale gmach na tym kamieniu wznosił Krasiński i wykończył go z genjalnym zmysłem architektonicznym. Zdawałoby się, że to gmach na lodzie, nie na ziemi, że to gmach „ze srebra i kryształu", nie z żelaza i granitu, że to przybytek dla czarownej królewny z bajki, a nie dla ludzi chodzących po ziemi. Bo przecie cała poezja Krasińskiego to przedewszystkiem poezja ideału, nie rzeczywistości; przecie nawet *Nieboska Komedja* i *Irydion*, w których jest rzeczywistości najwięcej, kończą się wizją ideału, i ta dopiero wizja zawiera w sobie myśli przewodnie tych utworów. Jest to wizja ideału chrześcijańskiego, która konsekwentnie doprowadziła poetę do mistycznej nauki o cichej ofierze, nauki, której historja zadała kłam.

Czy jednak z tego wynika, żeby Ewangelja narodowa Krasińskiego straciła — w swej najgłębszej istocie — swoją war-

[1] Wykazał to znakomicie Kleiner w jednem ze swoich najlepszych studjów p. t. *Mesjanizm narodowy w systemie Krasińskiego (Księga Pamiątkowa*, II; toż, uzupełnione, w *Studjach z zakresu literatury i filozofji*, Warszawa 1925).

tość? Nie. Bo ten nawet, kto misję, jaką Krasiński wytknął Polsce, misję, żeby odrodziła moralnie Europę, poczyta za utopję (chociaż... dlaczegożby to miało być utopją?), ten nie poczyta chyba za utopję hasła, aby się Polska sama moralnie odrodziła; bo przecie, jeśli kiedy, to dzisiaj właśnie, w epoce tego zdziczenia moralnego, jakie pozostawiła po sobie wojna, hasło to jest żywotne.

To też nigdy jeszcze *Psalm dobrej woli* nie był poezją tak bardzo aktualną, jak dzisiaj, albo raczej dopiero dzisiaj jest poezją naprawdę aktualną. Bo jakże? Czy wówczas, w roku 1846, tuż po rzezi galicyjskiej, kiedy ten utwór był napisany, a choćby nawet w roku 1848, w którym się ukazał w druku i w którym na jedną krótką chwilę uśmiechnęła się nam nadzieja, — czy było prawdą, że

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,

że więc Polska powinna się modlić już tylko o dobrą wolę, o nic innego?

Więc nie o nadzieję —
Jak kwiat się sypie; — więc nie o zgon wrogów —
Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje;
Więc nie o przestęp cmentarzowych progów —
Przebyteć, Panie; — ani o broń władną —
Z wichrów nam spada; — ni o pomoc żadną —
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole!

Naprawdę, że wówczas te wszystkie dźwięki radosne brzmiały jak zgrzyt żelaza po szkle! Dzisiaj — zupełnie inaczej. Dzisiaj naprawdę nadzieja jak kwiat się nam sypie, dzisiaj dopiero wolno nam dziękować Panu Bogu, żeśmy już przebyli cmentarzowe progi, że mamy w rękach broń władną, a przed sobą — wielkie pole zdarzeń.

A ta otchłań, ten „ciasny przesmyk", na którym Krasiński widział Polskę, chwiejącą się pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy kulturą chrześcijańską a barbarzyństwem, czy to wszystko nie zawiera w sobie dzisiaj daleko więcej prawdy aniżeli dawniej, — dzisiaj, kiedy wrogie nam siły bolszewickie, żydowskie i masońskie, szalejąc zemstą „przeciwko całej ludzkości", sprzysięgły się na zgubę nietylko Orła Białego, ale i Krzyża.

Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony,
Anioły patrzą... A tam, z drugiej strony
Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!
I pnie się — wzdyma — rośnie ku nam — zmierza —
Przepaść — śmierć wieczna — w której niema Ciebie.
. . . . . .
Jeśli zawrotnem na nią spojrzym okiem,
Jeśli się jednym ku niej ruszym krokiem,

Wnet zórz nam światło poblednie na skroni,
I Syn nad nami Twój łzy nie uroni,
I Duch nie będzie nam Pocieszycielem!
Na dnie jej sobie nicestwo pościelem!
Zmiłuj się, Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
Nie! — darmo; — teraz tu stać musim sami!
Ach! wiem! — ta chwila już do nas należy;
W ostatniej losów tej naszych przemianie
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży:
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!

Oto są „święte hasła" narodowe Krasińskiego, które nie są „hasłami chwili", „co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia". Jego poezja patrjotyczna — w swoich g ł ó w n y c h myślach i uczuciach — jest Ewangelją żywą, nie martwą, i to nietylko przez tkwiący w niej głęboko ideał chrześcijański, który swej żywotności nigdy nie straci (bo dlatego właśnie, że chrześcijański, nie może stracić), który, bez względu na to, czy droga, wiodąca do niego, jest prosta, czy nie, nigdy nie zgaśnie (bo dlatego właśnie, że chrześcijański, nie może zgasnąć) — ale i przez swoją mądrość polityczną, przez naukę, że losy narodu, zwłaszcza od czasu kiedy odzyskał własne państwo, zależą od niego samego, a więc przedewszystkiem od jego wartości m o r a l n e j.

Nie, nie pomylił się instynkt moralny i narodowy narodu polskiego, jak nie pomyliło się jego poczucie estetyczne, zaliczając Krasińskiego nietylko do swoich wielkich poetów, ale i do trójcy największych.

* * *

W *Przedświcie* mówi poeta do swej Beatryczy:

Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca
Tkwią, jak szruby niewzruszone,
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają, w bezmiar naciągnione!
Po tych strunach Duch przelata,
Na tych strunach Duch przegrywa
I w tej pieśni sam spoczywa:
Ta pieśń zgodą — ciszą — świata.
Słuchaj! w dźwięków tych wszechzgodzie
Brak jednego dziś imienia!
Patrz! w tych świateł wszechpogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imię,
Co wypadło z lutni życia,
Wskaż tę gwiazdę, która drzymie,
Lecz nie zgasła w dniu robicia!
Wymów, wymów P o l s k i i m i ę:

Może słucha nas Duch Boży
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

Jak ta harfa, na której Duch Boży gra historję wieków, nie mogła być zgodą, ciszą świata, od kiedy ręce morderców wyrwały z niej strunę polską, — tak harfa polskiej poezji romantycznej, gdyby czyjaś świętokradzka ręka wyrwała z niej tę strunę, na której grał Krasiński, nigdyby nie mogła być zgodą, ciszą polskich serc.

OSTATNIE ROZDZIAŁY DZIEŁA CIESZKOWSKIEGO

Odczyt publiczny, wygłoszony w Krakowie w 1923 r.

Nakładem księgarni Fiszera i Majewskiego w Poznaniu ukazało się w trzech tomach nowe (z przedmową Adama Żółtowskiego), zupełne wydanie jednego z najpiękniejszych, najszlachetniejszych utworów, jakie wydała u nas epoka romantyzmu. Jest nim *Ojcze Nasz* Augusta Cieszkowskiego [1]. Po raz pierwszy, dzięki synowi autora, który przechował i uporządkował pozostałe po ojcu rękopisy, mamy całość dzieła, — jeżeli przez całość będziemy rozumieli wszystko, co autor napisał; bo, jeżeli będziemy rozumieli przez całość wszystko, co autor napisać zamierzał, to tej nigdy już mieć nie będziemy, zamiar bowiem nie został całkowicie wykonany.

Za życia wydał Cieszkowski tylko tom pierwszy swego dzieła, obejmujący *Wstęp* (1848), oraz traktat, który miał być pierwotnie wstępem do całego dzieła, p. t. *O drogach ducha* (1869). Po śmierci Cieszkowskiego syn jego wydał w roku 1899, dla uczczenia pięćsetnej rocznicy założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego, tom drugi: *Wezwanie* (t. j. objaśnienie słów „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech"); w roku 1903 — tom trzeci: „Święć się imię Twoje"; w roku 1906 — czwarty: „Przyjdź Królestwo Twoje". Te cztery tomy opracował autor szczegółowo i równomiernie. Cała reszta, obejmująca objaśnienie pięciu dalszych próśb *Modlitwy Pańskiej* oraz jej zakończenia, to jest wyrazu „Amen" — to tylko pierwszy rzut, który dopiero miał posłużyć za podstawę do równie szczegółowego opracowania (zarówno pod względem treści, jak stylu), jakiem jest opracowanie czterech pierwszych tomów; to znaczy, że, gdyby dzieło było wykończone, byłoby prawdopodobnie jeszcze pięć tomów, tak że całość obejmowałaby tomów dziewięć (traktat *O drogach ducha* włączono — w trzeciem już wydaniu, z roku 1905, — do tomu pierwszego).

[1] Tom pierwszy i drugi w r. 1922; trzeci — 1923.

Pomimo to możemy bezpiecznie mniemać, że o treści pięciu ostatnich (nienapisanych) tomów dają nam dokładne pojęcie ich pierwsze, teraz dopiero drukiem ogłoszone, rzuty, które wypełniają niecałą połowę tomu trzeciego w nowem wydaniu, — pojęcie tem dokładniejsze, że w rozprawie *O drogach ducha* dał nam Cieszkowski kwintesencję całego, zgóry obmyślanego i z rozmysłem artystycznym zbudowanego dzieła, a w wykończonych tomach nieraz dotykał zagadnień, których szczegółowe omówienie pozostawił sobie na później, do tomów dalszych.

Rzućmy teraz okiem, posługując się przeważnie słowami samego autora, na główne myśli Cieszkowskiego, zawarte w tej części jego dzieła, która się po raz pierwszy w druku ukazała.

Myślą przewodnią całego dzieła jest, że *Modlitwa Pańska* to nietylko streszczenie *Ewangelji*, ale i objaśnienie przyszłości rodzaju ludzkiego w trzeciej, najwyższej, epoce jego rozwoju, w „epoce Ducha Świętego". Z tego to właśnie stanowiska rozpatruje Cieszkowski pięć ostatnich próśb *Modlitwy*.

* * *

„Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi". Wolności prawdziwej, to znaczy polegającej na d o b r o w o l n e m pełnieniu woli Bożej, dotychczas nie zna jeszcze historja: „dotąd wola, ten najwyższy stan Ducha, równie jak w teoretycznej świadomości uznanym nie był, tak też na polu praktycznem wolno i spełna się jeszcze nie rozwinął". Tu przebiega Cieszkowski (według swej ulubionej metody) całokształt dziejów i stara się wykazać, że dotychczas wola ludzka w swoim wiekowym rozwoju stworzyła p r a w o i m o r a l n o ś ć; ale to dopiero dwie fazy, wiodące do trzeciej, najwyższej — do c n o t y, t. j. właśnie do pełnienia woli Bożej. Ale „czemżeż — pyta Cieszkowski — Bóg rzeczywiście wolę swoją objawia, czemżeż daje nam poznać wieczne przeznaczenie nasze?" Odpowiedź brzmi: „Własną naszą naturą, siłami i popędami, nadanemi duchowi naszemu... Wszystkie więc siły, popędy i namiętności człowieka są wskazówkami jego przeznaczeń, objawieniami Woli Bożej względem niego, — ale też w s z y s t k i e — i harmonja wszystkich, nie zaś to lub owo na przekorę tamtego". „Bóg stworzył... człowieka takim, jakim go mieć chciał, nic darmo ani niepotrzebnie w jestestwo jego nie założył, ale właśnie to, co założył, to samemu człowiekowi do rozwinięcia zostawił; inaczej przymuszałby go być takim, a nie innym, a przez to znosiłby najwyższe i stanowcze znamię ducha: Wolność". „Bóg chce, abyśmy kochali i byli kochani, obdarzył nas więc Miłością. Bóg chce, abyśmy byli mądrzy, abyśmy mieli świadomość rzeczy ludzkich

i boskich, obdarzył nas więc Ciekawością, ową namiętnością, poczytaną dotąd za pierwszy stopień do piekła, a dziś okazującą się jako pierwszy szczebel do nieba. Bóg chce, abyśmy byli wolni, abyśmy w o l e l i, co dobre, i obdarzył nas Wolnością".

Lecz jeżeli tak jest istotnie, to dlaczego dotychczas ludzie woleli nie to, co dobre, tylko raczej to, co złe? Albowiem nie mieli jeszcze wolnej w całej pełni woli, — ich wola była dotychczas „przymuszaną jakimkolwiek ograniczonym i ograniczającym, zewnętrznym lub wewnętrznym popędem". Teraz dopiero, w trzeciej epoce, będzie inaczej, teraz dopiero ludzie, pełniąc wolę Bożą i swoją własną, wypracują najwyższą ze wszystkich cnót, najwyższy ze wszystkich ideałów społecznych, którym jest „s o c j a l n o ś ć", t. j. płynącą z dobrowolnej miłości i z uznania za powszechne prawo s o l i d a r n o ś ć r o d z a j u l u d z k i e g o, ową „spełnię ludów", przepowiedzianą przez świętego Pawła.

* * *

O czwartej prośbie, „Chleba naszego powszedniego daj nam c o d z i e ń" (tłumaczenie wyrazu greckiego *semeron* przez d z i s i a j poczytuje Cieszkowski za zupełnie błędne), czytamy w jego dziele, że „niemasz ustępu w pacierzu, któryby się stał powodem płytszych i wodnistszych uwag": oto różni dawni komentatorowie *Modlitwy Pańskiej* z tej prośby, która wyraźnie ma na celu osiągnięcie dóbr materjalnych, zrobili akt zrzeczenia się tych dóbr, z prośby o zapewnienie dobrego mienia utworzyli ślub wiecznego ubóstwa. W swoim czasie taka interpretacja była dobra i potrzebna, pierwotne bowiem chrześcijaństwo było potężną i błogosławioną reakcją przeciwko zmaterjalizowanemu, pogrążonemu w szukaniu jedynie dóbr doczesnych, światu starożytnemu, ale dzisiaj „dochodzimy... do chwili, w której c i a ł o, f i z y c z n o ś ć, m a t e r j a odzyskują napowrót swoje prawa, tak zbawiennie dla postępu ludzkości przez jedną epokę z a w i e s z o n e". Dawniej nędzę materjalną poczytywano, jeżeli nie za cnotę, to za słuszny dopust Boży: dzisiaj powinniśmy ją poczytywać za grzech, któremu trzeba wypowiedzieć walkę; czyli, innemi słowy, dzisiaj powinniśmy tak zorganizować życie, aby każdy bez wyjątku posiadł to *minimum* dobrobytu materjalnego, które jest człowiekowi niezbędne do pełnienia już na tym świecie woli Bożej, t. j. do możliwie pełnego, harmonijnego rozwoju wszystkich tych zasobów, które otrzymał od Boga. Za jeden z najskuteczniejszych środków, do tego celu wiodących, poczytuje Cieszkowski demokratyzację rzetelnej oświaty, „otworzenie ludzkości drogi do prawdziwych wiadomości, zbogacenie jej masą pojęć elementarnych, czyniąc jej nawet wyższe coraz przy-

stępniejszemi"; — to „pod względem czysto intelektualnym". Pod względem zaś „intelektualno-praktycznym", poczytuje Cieszkowski za potrzebne „założenie wykładów profesjonalnych i normalnych nietylko dla młodzieży, mającej się zawodowi przemysłowemu oddawać, ale dla dorosłych, nawet wyrobników i rzemieślników, oraz... utrzymywanie tychże na równi z postępami i wynalazkami i torowanie im drogi do nabywania praktycznych wiadomości, których odległość lub niedostępność dziś klasę przemysłową prawie zupełnie pozbawia, nadto... na nadanie już w elementarnej edukacji większego, niż dotąd, obrębu wiadomościom, tyczącym się praktycznego życia".

Tak więc w najściślejszym związku z postulatem, aby każdy bez wyjątku posiadał *minimum* dobrobytu materjalnego, pozostaje postulat, aby także każdy bez wyjątku miał zapewnione „*minimum* intelektualne". Bardzo wymownie zbija Cieszkowski zarzut, jakoby nauka odstręczała robotnika od pracy i nadawała jego dążeniom niewłaściwy kierunek: „Bez umysłowego ukształcenia wyrobników nigdy praca nie zdoła się wydźwignąć ze stanu upodlenia, w jakiem ją dziś jeszcze widzimy, nigdy nie zrzuci z siebie piętna przymusu, gwałtu, niedbalstwa i wstrętu, które wysysają jej pożywne soki... Czas już, aby do wyobrażenia rzemieślnika przestano przywiązywać coś poniżającego, czas, aby sam rzemieślnik poczuł się artystą i z zapałem sztuki, z rozumnem zamiłowaniem do dzieła przystępował, czas już, aby mechaniczną pracę na organiczną zamienił, aby doznawał z dokonanej pracy takiej chluby i radości, jaka jest udziałem żołnierza po odniesionem zwycięstwie".

Dodajmy jeszcze, że przez *minimum* dobrobytu, o który prosimy Ojca niebieskiego w *Modlitwie Pańskiej*, rozumie Cieszkowski nietylko „te przedmioty, które dziś za artykuły pierwszej potrzeby uznajemy", ale i te, „które, teraz za zbytek uważane, wkrótce niezbędnemi się okażą", bo przecie prawdziwa pomyślność ulega także, jak wszystko, prawu postępu, a więc polega nietylko na pomnażaniu, ale i na doskonaleniu, na „rafinowaniu" potrzeb kulturalnych. Więc „nie tylko pożywienie, opał, przykrycie, naukę czytania i pisania, oraz zasadnicze wiadomości objąć musimy pod ogólnem wyrażeniem chleba powszedniego, ale, z postępem ludzkości, coraz więcej żywiołów w zakres tego *minimum* wciągać będziemy, np. ustanowienie bezpłatnych łaźni i gimnastycznych zapasów, jako też zaprowadzenie publicznych rozrywek i mniej więcej duchownych widowisk za równie nieodzowne warunki tegoż *minimum* położymy".

Wszystkie swoje pojęcia o zdobywaniu „chleba powszedniego" w trzeciej epoce dziejowej streszcza Cieszkowski w przepięknem zdaniu: „Odtąd... p r a c o w a ć, a b y ż y ć, uznamy

za bluźnierstwo socjalne, ale owszem — żyć, aby pracować, uznamy za cel ludzkości", — pracować nad budową Królestwa Bożego na ziemi.

* * *

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". I tę także prośbę tłumaczy Cieszkowski z tego samego stanowiska, z którego ujmuje całą wogóle *Modlitwę Pańską*, mianowicie, że jej „wszystkie prośby zmierzają dalej, niż zakres działalności samego chrystjanizmu sięga", to znaczy, że zakres i stopień ich realizacji wybiega daleko w przyszłość, w trzecią epokę dziejową. Dawniej, rozumuje Cieszkowski, nie dosyć było odpuszczać winy swoim winowajcom, aby wzamian za to otrzymać odpuszczenie własnych win od Pana Boga; trzeba było jeszcze nadto — w świecie starożytnym — złożenia Bogu ofiary, a — w świecie chrześcijańskim — pokuty. Ofiary już się przeżyły, zdaniem Cieszkowskiego; nadchodzi chwila, kiedy przeżytkiem będzie i ta pokuta, którą nakazuje Kościół chrześcijański: „Teraz... bliski jest wielki dzień pokuty, który też ostateczny kres położy samej wyłącznej pokucie, równie jak najwyższa ofiara Zbawiciela samej Ofierze ostatni cios zadała; i jak pierwsi chrześcijanie znieśli nawet zdegenerowany symbol ofiary, t. j. obrzezanie, tak też następnie tegoż losu dozna zdegenerowany symbol pokuty, to jest dzisiejsza, po większej części dla formy i zwyczaju odbywana, spowiedź". Poczynając od tego „wielkiego dnia pokuty", Bóg wybaczać nam będzie winy nasze bez „wyłącznej pokuty", bez spowiedzi, pod tym jednym jedynym warunkiem, że my swoim winowajcom odpuścimy ich winy względem nas. „Tak więc prośba ta przedstawia nam się w dwoistym charakterze: najwyższej dumy i najwyższej pokory. Z jednej bowiem strony sami sobie, swoim czynom przyznajemy determinację własnego przeznaczenia, z drugiej zaś wzywamy do tego współdziałania Boga i wyznajemy, iż bez Jego łaski i miłosierdzia nie dojdziemy do ostatecznego celu człowieczeństwa, do absolutnego uświęcenia. A tak inną drogą dochodzimy do tegoż samego rezultatu, który nam trzecia prośba wydała, iż, gdy wola człowieka *sua sponte* normalny kierunek bierze, wtedy identyfikuje się z Boską i przez to spółdziałanie największej siły nabiera". Ten pogląd Cieszkowskiego jest, oczywiście, w ścisłym związku z tym jego ogólnym poglądem, że w trzeciej epoce zapanuje „religja absolutna", która się obywać będzie bez wszelkich wogóle widomych praktyk religijnych i bez wszelkiej organizacji kościelnej.

* * *

W przeciwieństwie do pierwszych pięciu próśb *Modlitwy Pańskiej*, które Cieszkowski nazywa „dodatnemi", dwie ostatnie są w jego oczach prośbami „ujemnemi" i pozostają z sobą w ścisłym związku.

Różnicę pomiędzy prośbami „dodatnemi" a „ujemnemi" wyjaśnił Cieszkowski już w tomie wstępnym: „Prośby d o d a t n e, czyli twierdzące, stanowią pięć pierwszych próśb *Modlitwy;* są to te, które mają na celu zapełnienie pewnego b r a k u, właściwego epoce chrześcijańskiej, to jest osiągnienie takiego d o b r a, jakie jeszcze tegoż okresu udziałem być n i e m o g ł o. Prośby u j e m n e, czyli przeczące, zajmują dopiero dwa ostatnie wiersze *Modlitwy;* są to znowu te, które zmierzają do zniesienia pewnego z ł e g o, które się jeszcze w historycznej epoce chrześcijaństwa znajdować m u s i a ł o".

Otóż takiem „pewnem złem" była i jest jeszcze (ale zczasem istnieć przestanie) pokusa. Lecz inny charakter miała pokusa w świecie pogańskim (to jest w pierwszej epoce dziejów ludzkości), inny — w świecie chrześcijańskim (to jest w epoce drugiej). W micie o Adamie, który jest przedstawicielem starego świata, w micie o „pierwotnem wylęganiu się świadomości ludzkiej", zwyciężył w walce z pokusą naturalny popęd, „i ta przewaga szczegółowości upadek Adama stanowi". Tymczasem Chrystus, który jest prototypem ludzkości nowego świata, „siłą rozwiniętej już świadomości kuszące natchnienia sprzecznego żywiołu odparł i przytłumił, i ta przewaga ogólnej przedmiotowej woli jest rehabilitacją pierwszego upadku". Innemi słowy, w pierwszej pokusie zwyciężyła „namiętność, zmysłowość, bezpośrednie czucie", w drugiej zwycięstwo zostało „na stronie obowiązków, duchowności". Jak pierwsza, tak i druga pokusa była potężnym czynnikiem postępu duchowego, a pomimo to jedna i druga jest „stanem psychologicznym anormalnym, wewnętrzną walkę i sporność w samym sobie zawierającym". Chrystus zwyciężył w sobie pokusę, ale jej w swoich wyznawcach nie zniszczył, nie zabił. Przeciwnie: „Pokusy, umartwienia, krzyże nie sąż to kamienie probiercze wewnętrznego usposobienia chrześcijan?... Czyż nie za pokusą leży niebieska korona, którą sobie wywalczyć spodziewają się, czyż nie na jej przezwyciężeniu zależy prawdziwa ich wartość i zasługa?"

A jeżeli tak, to dlaczegóż *Modlitwa Pańska* zawiera w sobie prośbę do Boga, aby nas na pokuszenie nie wodził? Przecie Jakób Apostoł mówi wyraźnie — i w duchu ściśle chrześcijańskim: „Za wielką radość poczytajcie, bracia moi, gdy w rozmaite pokusy wpadniecie". Na to odpowiada Cieszkowski twierdzeniem, stanowiącem główną, zasadniczą tezę całego dzieła: wszystkie prośby *Modlitwy Pańskiej* wybiegają naprzód, poza

epokę chrześcijańską; spełnią się dopiero w trzeciej, wyższej, epoce, a z epoką drugą, chrześcijańską, znajdują się jeszcze „w wyraźnej sprzeczności". Tej zaś sprzeczności żadna inna prośba tak wyraźnie nie uwydatnia, jak właśnie prośba: „I nie wódź nas na pokuszenie". „Chrystjanizm jest polem walki i rozdwojenia", ale w epoce trzeciej nie będzie już w duszach ludzkich ani walki, ani rozdwojenia; wszystkie popędy, namiętności i wogóle wszystkie władze duchowe dopracują się syntezy, harmonji, wszystkie skupią się w jednem pożądaniu — dobrowolnego pełnienia woli Bożej, i „pokusa zniesioną być musi".

* * *

„Ale nas zbaw ode złego". „Jak sam spójnik, na czele tej prośby znajdujący się, okazuje, łączy się ona ściśle z poprzedzającą, z tą tylko różnicą, iż co tamta w szczególnym przedstawiała względzie, ta w ogólnym obejmuje zakresie; tamta jednak jest zasadą tejże, albowiem dopiero zniesienie ogólnej pokusy świata, czyli rozerwania i antynomij, dziś panujących, spowodować może prawdziwe zbawienie nas ode złego".

Cóż to jest złe? Szczegółowa odpowiedź na to pytanie stanowi właśnie treść rozdziału, poświęconego ostatniej prośbie *Modlitwy Pańskiej*.

„Zło jest tylko negacją Dobrego, ale negacją, nie mającą własnego bytu, a więc tylko prywacją". Na złe należy patrzeć nie jako na coś odosobnionego, ale jako na coś związanego z całością procesu dziejowego, — podobnie, jak na brzydotę należy patrzeć jako na coś związanego z całością pracy nad wytworzeniem piękna. „Tak np., gdy chcemy ładne już z natury położenie do rzędu wyższych piękności przez sztukę podnieść, musimy przedsięwziąć środki, chwilowo je szpecące, i, od pierwszego uderzenia siekierą lub rydlem aż do ostatniej wywózki i plantacji, przedstawiać ono będzie widok brzydkiego zamieszania i upadku z naiwnej swej ładności, którego to upadku konieczność i korzyść dopiero w chwili ukończenia dzieła objawi się wszystkim, do tego zaś czasu tkwić tylko będzie w myśli stwarzającego lub przetwarzającego artysty". Podobnie dzieje się na polu pracy myśli, t. j. pracy nad dojściem do prawdy: droga do niej prowadzi przez błędy.

Pierwotny człowiek żył, a raczej „drzemał na łonie natury"; lecz przeznaczeniem ducha jest nie drzemać, tylko działać na jawie. Cóż go obudziło z drzemki? Złe: doznał go człowiek, skoro je poznał, „skoro świadomość odłączyła go od stanu natury"; doznaje go do dziś dnia, „bo, odłączywszy się, wszedł w walkę

z naturą, a jeszcze jej nie pokonał"; kiedy ją zupełnie pokona, złe zniknie ze świata.

Szczegółowo nie wyjaśnia, a raczej nie zdążył wyjaśnić Cieszkowski tej myśli — obiecuje to uczynić „w dalszym ciągu tego rozdziału", ale tego dalszego ciągu w pozostałych po śmierci autora rękopisach niema. Lecz jest jeden fragment, dzięki któremu myśl Cieszkowskiego jest jasna; „Złem w historji są wojny, wojna bowiem niczem innem nie jest, jedno wybuchnięciem kolizji w życiu pojedyńczych narodów lub całej ludzkości rozwiniętej"... Wojna, „jako punkt przejścia, jako kryzys, jest... zupełną realizacją złego, z którego przezwyciężenia powstaje wyższe dobro od tego, które przez powstanie złego przerwanem zostało. Wysokie jest zaiste pojęcie wojny, jako środek i przejście do wyższego stanu lub ludzkości, ale ograniczać się na tem pojęciu jest... brać fałsz za prawdę. Taka apoteoza wojny tchnie trochę sofizmem, a sofistyczność ta na tem zależy, że nie dość jest uznawać cel za dobry, aby tem samem i środek za taki uznać". Otóż w całej wogóle walce z naturą człowiek nieraz posługuje się środkami, których za dobre uznać nie może, których się jednak chwytać musi, a które wiodą do dobrego celu. Ale, podobnie jak wojny, „jakkolwiek wpływ ich na dobro ludzkości zapoznanym być nie może, nie pozostaną dla nas najwyższym, a przeto absolutnie dobrym środkiem postępu ducha", — tak i wszystkie złe środki. Są one stosowne jedynie „do antytetycznego stanu ludzkości", który się począł wraz z „początkowym upadkiem" człowieka, czyli, jak go nazywa teologja chrześcijańska, grzechem pierworodnym. Ten grzech „zwichnął" zarówno moralną, jak fizyczną naturę ludzkości; „przeto do zupełnej ogółu reintegracji i ostatecznego grzechu zmazania i skutków jego zniesienia, potrzeba było kolejno podwójnej reformy socjalnej, z którejby jedna duchowną, druga zaś materjalną stronę żywota ludzkiego odrodziła, a tak doprowadziwszy obiedwie do harmonijnego stanowiska, wydanie właściwego owocu spowodować mogła".

Jezus Chrystus wypełnił dopiero jedną stronę tego zadania — odnowił moralną naturę człowieka, do czego się nadto przyczynił „dalszy postęp wiedzy i umiejętności aż do dni dzisiejszych". „Lecz fizyczna sfera zadania jeszcze do rozwiązania pozostaje. Złe, nad podmiotowością ciążące i ją krępujące, przez Chrystusa zniesionem zostało, ale w przedmiotowości, w realnych stosunkach świata, w fizycznych względach jeszcze ono przemaga". Lecz zbliża się już chwila, kiedy nastąpi zniesienie i tego złego, kiedy na świecie zakróluje największa ze wszystkich cnót, która będzie już prostą drogą, wiodącą do Królestwa Bożego na ziemi, a którą jest „socjalność" — moral-

ność w życiu już nietylko jednostek, ale całych społeczeństw, całej ludzkości, we wszystkich b e z w y j ą t k u gałęziach kultury, a więc także i w kulturze materjalnej, której doniosłość chrześcijaństwo — w swej wyłącznej trosce o kulturę moralną — obniżyło. Słowem, dopiero w trzeciej epoce nastąpi zupełne odrodzenie natury, „uświęcenie ciała, oraz reintegracja materji i fizyczności w przynależące jej prawa". O to właśnie absolutne zniesienie wszystkich bez wyjątku sprzeczności i antynomij, o to „ustalenie spekulacyjnej równowagi między duchem i materją", kazał nam się Chrystus modlić w słowach: „Ale nas zbaw ode złego".

* * *

Rozdział ostatni poświęca Cieszkowski wyrazowi, zamykającemu *Modlitwę Pańską:* „Amen", t. j. „zaprawdę, tak się stanie". A więc stanie się, że „Boga nie będziem sobie już wystawiać, jako istotę, z innego świata nami kierującą, ale owszem żyjącego i spółdziałającego w ludzkości"; stanie się, że wszyscy ludzie będą mieli jedną tylko wiarę w Boga, że „spekulacyjne pojęcie Boga dopiero doprowadzi do powszechnego święcenia imienia Jego". Na ziemi będzie Królestwo Boże, które „obejmować będzie nowy porządek socjalny, gdzie prawny i moralny stan społeczeństwa nie przez gwałt zewnętrzny lub wewnętrzną walkę, ale przez harmonję naturalnych chuci z istotą obowiązków ustalonym zostanie, i gdzie wszystkie najwznioślejsze cele ludzkości w sferze familji, społeczności i państwa wolny popęd mieć będą, a idea pięknego, prawdziwego i dobrego w absolutnych sferach sztuki, nauki i religji ostateczną realizację znajdą". Wola Najwyższej Istoty będzie jednocześnie wolą każdego człowieka. „Stan proletarjuszów, ludzi bez chleba, a tem samem bez możności żadnego wyższego dążenia, zniknie ze społeczeństwa, a tem samem nastanie tak długo oczekiwana i wszędzie szukana równość między członkami ludzkości, równość, która zaiste nie zależy na owych abstrakcyjnych, jednostronnych i przesadzonych wyobrażeniach końca przeszłego wieku, które tyle krwi kosztowały i tyle klęsk na świat sprowadziły, ale równość, zasadzająca się na skutecznej m o ż n o ś c i dostąpienia wszystkich najwyższych celów, w istocie ducha ludzkiego zaród swój mających, których osiągnienie przez antysocjalne położenie większej części naszych bliźnich dotychczas było niepodobieństwem, — na posiadaniu środków tegoż dostąpienia i otwartej drogi do celu". Cała ludzkość dojdzie do przeświadczenia, że od niej, jedynie od niej samej, zawisło, czy będzie szczęśliwa, czy nie, i to przeświadczenie będzie jej wiarą w sprawiedli-

wego i miłosiernego Boga. Pokusy do złego nie będzie już człowiek doświadczał, przeciwnie, „uczuwać będzie błogość harmonijnej działalności, nierozrywanej już waśnią i niesfornością nadanych mu przez Boga żywiołów, które już nie w mechanicznym oporze lub w chemicznej waśni znajdować się będą, lecz w organicznem życiu spółdziałać będą". Jednem słowem, stanie się, że ludzkość będzie zbawiona od złego, w jakiejkolwiek się postaci ono ukazywało.

„W taką to przyszłość wstąpiwszy, — tak się kończy *Ojcze Nasz* Cieszkowskiego — już tej wielkiej Modlitwy odmawiać nie będziem, bo spełnione będą zawarte w niej życzenia. Zostanie ona zawsze, jako jedna z najdroższych pamiątek i zabytków życia ludzkości, oraz jako jeden z najważniejszych pomników boskości Jezusa Chrystusa, Zbawiciela rodu ludzkiego, i, gdyby ktokolwiek jeszcze wówczas mógł wątpić o boskiem Jego posłannictwie, ta Modlitwa byłaby dostatecznym tegoż dowodem, bo któż, jeżeli nie Bóg sam, zdołałby wtedy w kilku słowach zawrzeć tajemnicę tak odległej przyszłości, i to w sposób, aby świadomość tej tajemnicy wtedy dopiero odkrytą została, kiedy ludzkość w ową zapowiedzianą przyszłość będzie miała wstąpić? T e r a z z a ś, g d y ś m y j ą o d e m k n ę l i, wtedy znowu otworzą się oczy ludzkości do zrozumienia Pisma, i każdy pojmie, że Modlitwa ta była więc ową Danielową księgą, zamkniętą do czasu. Posiadaliśmy ją blisko dziewiętnaście wieków, ale czas jeszcze nie był nadszedł, aby jej wewnątrz ukryte znaczenie odkryć, aby tę niepozorną księgę przyszłości roztworzyć. Dopóki jeszcze tej przyszłości, w niej objawionej, nie wyciągniemy, odmawiajmy tę Modlitwę z całym zapałem, godnym zawartych w niej życzeń, z całą miłością, jaką jej Autorowi winniśmy, z całem przeświadczeniem, jakiego wymagają prawdy, w niej zamknięte, z całym religijnym duchem, jaki nas powinien ożywiać, abyśmy się stali godnymi zapowiedzianego Królestwa Bożego. A gdy ono nastąpi, wtedy już, zamiast Modlitwy, wzniesiemy do Przedwiecznego hymn dziękczynienia i chwały, jaki nam w usta poda dzielność naszego uczucia i gorącość wiary. Amen! niech się tak stanie, — i stanie się też tak".

* * *

Oto naczelne myśli ostatnich rozdziałów dzieła Cieszkowskiego, — już tylko r o z d z i a ł ó w, nie ksiąg, nie tomów, niestety! Innąby z pewnością postać dał autor tym swoim myślom, — równie p i ę k n ą, jak pierwszym tomom, jak, nadewszystko, najpiękniejszemu ze wszystkich tomowi wstępnemu; pod względem formy, stylu i języka ostatnie rozdziały

nie mogą się nawet równać z temi częściami dzieła, które Cieszkowski, w jednej osobie głęboki myśliciel i wytworny (czasem nawet wykwintny) stylista, wykończył. Ale pod względem myśli, uczucia, sposobu rozumowania nie różnią się te ostatnie rozdziały od poprzednich tomów w niczem: ten sam, co tam, punkt wyjścia, którym jest intuicyjna pewność, że *Modlitwa Pańska* zawiera w sobie nieomylne proroctwo przyszłości, że do „odemknięcia" tej „zamkniętej do czasu" „Danielowej księgi" jest powołany przez Boga on sam, August Cieszkowski; ta sama, co tam, mocna wiara, że rodzaj ludzki idzie wciąż ku lepszemu, że już teraz „w epokę organicznej syntezy wkracza" i że zbuduje tutaj, na ziemi, Królestwo Boże; te same, co tam, sposoby rozumowania, a więc: metoda „przybliżania", metoda „porównania", ale nadewszystko górująca nad obydwiema metoda dialektyczna Hegla.

Niechaj wolno będzie żywić nadzieję (a przynajmniej pobożne życzenie), że teraz, kiedy nakoniec wydano dzieło Cieszkowskiego w całości, znajdzie się jaki miłośnik i historyk filozofji ojczystej (tak bardzo przez naszych fachowców ignorowanej czy lekceważonej), który je opracuje wszechstronnie i umiejętnie, pogłębiając i uzupełniając dotychczasowe badania Żółtowskiego [1]; kto wie, czy się wówczas nie okaże, iż, jak metodę zawdzięcza Cieszkowski nadewszystko Heglowi, tak myśl przewodnią, to znaczy ideę „socjalności" — Saint-Simonowi [2].

Lecz *Ojcze Nasz* może zająć nietylko filozofów, ale i szersze koła czytającej publiczności. W niejednym — o tem ani wątpić! — wywoła zgorszenie, do czego drogę utorowali fachowi teologowie w swoich krytykach dawniej wydanych tomów: Cieszkowski przecie, chociaż przyznaje Chrystusowi boskość, nie wierzy jednak w Jego bóstwo, wierzy — wbrew nauce Kościoła — że Królestwo Boże zbudują ludzie już na tym świecie; *Modlitwę Pańską* objaśnia w sposób, odbiegający od wykładu oficjalnego; siebie samego poczytuje za Ducha-Parakleta, który objawia ludzkości nową, już ostateczną epokę, wyższą od chrześcijańskiej.

Tak, ale — nie mówiąc już o tem, że nie braknie i nie zabraknie u nas ludzi, którzy się tem wszystkiem gorszyć nie będą — pytamy tych nawet, którzy się tem gorszą: czy pisma

---

[1] *Graf August Cieszkowski's „Philosophie der Tat". Die Grundzüge seiner Lehre und der Aufbau seines Systems* (Poznań 1904).

[2] Jakoż okazało się, że tak jest: w tym samym roku, w którym został wygłoszony ten odczyt, ogłosił Antoni Roszkowski gruntowne studjum p. t. *Poglądy społeczne i ekonomiczne Augusta Cieszkowskiego*, Poznań 1923. Wpływ Saint-Simona na Cieszkowskiego nie ulega teraz już najmniejszej wątpliwości.

„nieprawowierne“ nie mogą nawet na ludzi „prawowiernych“ wywierać dodatniego wpływu religijnego, — wtedy oczywiście, kiedy jest w nich mocny i gorący duch religijny? I pytamy jeszcze: czy w religijnej literaturze polskiej dużo jest pism, któreby tak głęboko, tak nawskróś były przeniknięte duchem religijnym, jak *Ojcze Nasz* Cieszkowskiego? któreby tak bezwzględnie, z taką siłą uczucia i przekonania, sprowadzały wszystkie bez wyjątku rodzaje i kierunki pracy ludzkiej do jednego wspólnego mianownika — do „służby Bożej“? któreby nadto budziły tak mocną wiarę w sens życia ludzkiego, we własne siły człowieka, w świętość głównego celu, do którego człowiek dąży, oraz wiarę, że tego celu, jeżeli tylko sam zechce, kiedyś dopnie, że „obecny kataklizm..., którego jesteśmy biernymi i czynnymi świadkami, niczem innem nie jest, jedno chaotycznem przygotowaniem nowej postaci świata“?

A jeżeli kto powie, że ta „nowa postać świata“, którą przepowiada Cieszkowski, opierając ją na słowach *Modlitwy Pańskiej*, jest utopją, to niech się przynajmniej zgodzi na to, że piękniejszej i szlachetniejszej utopji dusza polska nie stworzyła.

„O WYJARZMIENIU OJCZYZNY“

ZAPOMNIANE PISMO POLITYCZNE TRENTOWSKIEGO

Z wykładów w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Charakterystyka ogólna. Historja polskiej myśli politycznej XIX wieku, podobnie jak historja naszej filozofji tego stulecia, do dziś dnia nie doczekała się gruntownego opracowania. Nawet *Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porozbiorowym* Feldmana nie wyczerpują przedmiotu. Autor pominął milczeniem niejedno cenne pismo polityczne, jak np. bezimienną broszurę z roku 1831 *O sprawie narodu polskiego* (napisaną przez Ludwika Łętowskiego), i wiele innych, zwłaszcza rozproszonych po czasopismach. Największą jednak krzywdę wyrządził Trentowskiemu, zbywając jedynie przelotną wzmianką jego *Urywki polityczne*, wydane nasamprzód w czasopiśmie poznańskiem *Teraźniejszość i przyszłość* w roku 1845, a potem, w tymże roku, osobno w Paryżu [1]. Gorzej jeszcze skrzywdził Trentowskiego Tarnowski, jedyny z historyków literatury polskiej, który nie traktował literatury politycznej po macoszemu, ale który, przeciwnie, zwracał na nią szczególną uwagę: o *Wizerunkach duszy narodowej*, o *Przedburzy politycznej* nie zapomniał, o *Urywkach politycznych* nie wspomniał jednem nawet słowem.

A przecież mieszcząca się w tych *Urywkach* rozprawa *O wyjarzmieniu Ojczyzny* zasługiwała, zdawałoby się, na szczegółowy rozbiór, jest to bowiem (powiedzmy to zgóry) najwszechstronniejszy i pod niejednym względem najmędrszy program polityki narodowej, na jaki się zdobyła myśl polska w epoce romantyzmu, a w jednym postulacie (dotyczącym pracy około gromadzenia nietylko moralnych, ale i materjalnych bo-

---

[1] *Urywki polityczne* przez Bronisława Ferdynanda Trentowskiego, wyciąg z pierwszego tomu pisma, zwanego *Teraźniejszość i Przyszłość*. Paryż, Księgarnia Słowiańska, Impasse Saint Dominique d'Enfer, 4. 1845. Str. 155.

gactw narodowych) wyprzedzający swoją epokę, będący zwiastunem hasła pracy organicznej, głoszonego w epoce pozytywizmu.

Ogólny jednak charakter tej rozprawy jest jeszcze romantyczny, a to przez swoją entuzjastyczną wiarę w wielką misję dziejową Polski i wogóle przez swój patrjotyzm płomienny, którego najsilniejszym wyrazem jest rota przysięgi, jaką, zdaniem Trentowskiego, każdy Polak-patrjota powinien złożyć przed Bogiem: „Poprzysięgam Bogu, iż jedynie dla wydobycia z grobu matki-Ojczyzny żyć będę, dopóki w piersiach tchu stanie; iż gorąco ukochanemu narodowi poświęcić pragnę zdolność, czas, pracę i gardło, dobra ziemskie, duchowe i moralne, jakie tylko posiadam; iż za jego niepodległość i dawną świetność gotów będę wycierpieć najsromotniejsze od carskich oprawców katusze; iż żadnemi na świecie skarbami wróg życzliwości mej nie kupi; iż nienawidzę równie pruskiego i austrjackiego, jak moskiewskiego ciemięzcy i nie spodlę się nigdy szukaniem lub przyjęciem ich łaski; iż patrjotyczne to przekonanie rozszerzać będę, ile tylko zdołam; iż umarłych na duchu ziomków chcę do nowego życia wskrzeszać, strwożonych ośmielać, obojętnych i zimnych własnym ogniem rozpłomieniać. Przysięgam, iż zgoła wtedy, gdybym *sam jeden* [1] tak myślał i czuł, jak myślę i czuję, gdyby wszyscy rodacy zapomnieć mieli o swej powinności aż do szczętu, pozostanę jeszcze prawym, ostatnim Polakiem. Tak mi, Boże, dopomóż!“

Obowiązki względem ojczyzny są w oczach Trentowskiego obowiązkami świętemi, r e l i g i j n e m i; ze wszystkich zaś najświętszym jest przywrócenie ojczyźnie wolności, albowiem „wolność, równie jak świętość, jest przeznaczeniem człowieka“; kto, mogąc zrzucić jarzmo niewoli, nie zrzuca go, ten popełnia nietylko ciężki grzech wobec ojczyzny i samego siebie, ale także śmiertelny grzech wobec Boga. „Naród ujarzmiony — mówi Trentowski — ma prawo do spisku i rewolucji; jest to dlań *prawo Boże, moralne, ludzkie i naturalne, a nawet religijne;* jak pojedyńczy człowiek, tak cały naród bronić powinien własnego życia; gdy cię trzyma zbój za gardło, upatrz chwilkę, w której go sztyletem pchnąć możesz, i nie żałuj ręki; to nie zbrodnia, lecz obowiązek, nakazany od samego Boga, czyn bohaterski“.

To się nazywa mówić jasno, wyraźnie i — uczciwie. Grzechem i błędem, zdaniem Trentowskiego, powstanie jest jedynie wtedy, kiedy jest p r z e d w c z e s n e, chociaż, z drugiej strony,

[1] Kursywa w cytatach z rozprawy *O wyjarzmieniu Ojczyzny* jest kursywą Trentowskiego.

także i przedwczesne, przegrane powstania wnoszą do skarbca ducha narodowego drogie i rzetelne klejnoty: „Powstania — mówi Trentowski, mając, oczywiście, na myśli nadewszystko wojnę roku 1831, w której sam walczył, — są *pokarmem moralnym, ambrozją bogów* dla narodowego ducha i wzmacniają w nim żywotne siły; a krew wasza szlachetna, którą wroga policie, wsiąkając w polską ziemię, wsiąka także w ciało jej mieszkańców, przerabiając ich w podobnych do was półbogów, w waszych późniejszych mścicieli".

Ohydną teorję legitymizmu politycznego odrzuca Trentowski stanowczo i bezwarunkowo: „Ojciec siedzi na tronie; syn knuje spisek, zabija go i chwyta za berło; zaczem władza tego królo- i ojcobójcy pochodzi także od Boga! Naród francuski walczy za wolność, Bonaparte rozpędza rząd jego bagnetem, niszczy okupione morzem krwi swobodne ustawy, zaprowadza rząd żołnierski — i oto władza jego pochodzi od Boga! A więc moskiewska, austrjacka i pruska władza nad nieszczęśliwą, ohydnie najechaną i ujarzmioną Polską są od Boga! Tak myśli tylko papież, uznając trzech rozbójników, z których dwaj są zgoła wrogami katolicyzmu, za panów naszych *prawowitych*, za naturalnych władców *ślepowiernej* Polski".

Już na podstawie przytoczonych powyżej wyjątków z rozprawy *O wyjarzmieniu Ojczyzny* można sobie wyrobić pojęcie o tonie, jaki w tem piśmie panuje: jak w innych swoich dziełach, tak i tutaj nic nie obwija Trentowski w bawełnę, rąbie prosto z mostu, na prawo i na lewo, często nie rachując się z powagą przedmiotu, a tu i owdzie nawet — z prawdą. Pioruny, jakie miota na Kościół katolicki, są godne namiętnego publicysty, ale nie rozważnego polityka, — nie dlatego, żeby wśród zarzutów, czynionych Kościołowi, nie było wiele słusznych w z a s a d z i e, ale dlatego, że, czyniąc je, nie bierze Trentowski pod uwagę różnych „konieczności historycznych", z któremi się Kościół musiał i do dziś dnia liczyć musi.

Dziwna rzecz! Na i n n e m polu, mianowicie w dziedzinie moralności, umiał Trentowski odróżniać i d e a ł od wymagań twardej rzeczywistości, — rozumiał np., że wallenrodyzmu w polityce narodowej nie da się obronić ze stanowiska i d e a ł u: „*Otwarty i boski* patrjotyczny charakter — czytamy w jednym z przypisków — zasługuje zawsze, ażeby go przenoszono nad *skryty w sobie i szatański*"; a pomimo to jest daleki, bardzo daleki (i słusznie!) od bezwzględnego potępiania wallenrodyzmu, doradzając patrjotom, żeby, „skoro nie wolno im już działać dla ojczyzny *po bosku*", służyli jej „w imię Boże... po szatańsku". Tymczasem do historji Kościoła katolickiego przykłada Trentowski (podobnie jak Mickiewicz w *Prelekcjach paryskich)*

miarę idealną — i w tem właśnie błądzi (tak samo, jak Mickiewicz).

Nie błądzi jednak, kiedy z właściwym sobie temperamentem, ostro i gwałtownie, występuje przeciwko tak często powtarzanemu u nas poglądowi, że tylko dobry katolik może być dobrym Polakiem: „Schowajże się... pod poduszkę grobową z nauką twoją, że polski a katolicki to jedno! Czyli to dowodzi politycznego rozumu i miłości ojczyzny, iż pragniesz z religijnego zaślepienia, z owej nieszczęsnej *wiary w Antychrysta*, miasto w *Chrystusa*, ranić tyle serc rzeczywiście polskich i oziębiać je gwałtem dla ogólnej sprawy?“ „Czemu religijnemi różnicami rozrywać konieczną do zwycięstwa jedność polityczną?“ „Zamiast skupiać pod jednę chorągiew ojczystą wszystkich synów starodawnej Polski, nie pytając się o to wcale, czy dysydent, czy schyzmatyk, czy husyta, czy ormianin, czy żyd lub mahometanin, ale czy dobry patrjota — zniewalasz ich do rokoszu przeciw katolikom, a właściwie li rzymczykom polskim, przeistaczasz wojnę polityczną w wojnę religijną. Żądasz Polski niepodległej. Wystaw przeto drzewo wolności dla *dobrych Polaków*, nie zaś dla *gorliwych katolików*... Wszakże katolik gorliwy, ale Włoch, Hiszpan, Francuz lub Niemiec, żaden kardynał, ani sam papież, nie porwie za broń i walczyć za naród polski nie będzie!“ „Zabijacie przyszłe powstanie narodowe w *samym zarodzie;* bądźcie przekonani, że ani czarne kruki jezuickie, ani białe gęsi karmelickie, ani bure, szare, czerwone i pstrokate łasice kościelne, ani Włosi, Hiszpanie lub Francuzi-katolicy, ale *równie katolicy, jak dysydenci i schyzmatycy polscy*, przywrócą nam Polskę“.

Nie błądzi także Trentowski, kiedy z właściwą sobie namiętnością występuje przeciwko fanatyzmowi religijnemu, kiedy broni wolności sumienia: „Niema nic dla człowieka droższego i świętszego *nad wolność sumienia*, a nic bardziej obrzydliwego i godniejszego wzgardy nad religijny fanatyzm“... „Wolność sumienia, zwłaszcza w takich czasach, jak nasze, w czasach wiarowego zdurnienia, grożącego religijną wojną, znaczy więcej, niż miłość ojczyzny“.

Poglądy na przeszłość Polski. Nie błądzi Trentowski i wtedy, kiedy, w imię prawdziwej miłości ojczyzny, protestuje przeciwko bezmyślnemu apoteozowaniu jej przeszłości, kiedy się domaga krytycznego stosunku do niej: „Znać nie chcę żadnych religijnych i patrjotycznych świętości, które w słońcu badającego niepodległe ducha ukazują się istną przeklętością“. „Kto zaniedbał ducha i nie patrzy w przyszłość, lecz odżuwa, jak wielbłąd słomę, miłe starodawne spominki, a co gorsza, chciałby

umarłą przeszłość wskrzesić i pracuje dla wsteczności, skona wnet na wieki, albowiem już za życia jest trupem".

Jak się Trentowski zapatruje na przeszłość Polski? O wiele trzeźwiej, a przynajmniej o wiele krytyczniej od wszystkich innych mesjanistów polskich.

Upadek Polski jest w jego oczach jej własną winą, albo raczej jest skutkiem całego szeregu win, streszczających się w tem, że się Polska sprzeniewierzyła danemu sobie przez Boga posłannictwu dziejowemu, że je pojmowała fałszywie. Posłannictwem tem była „obrona chrześcijaństwa... od napaści dzikich i pogańskich hord azjatyckich, tudzież rozszerzanie nauki jego coraz głębiej ku północy i wschodowi". Otóż bronić — broniła Polska, własną piersią, chrześcijaństwa, ale krzewić — nie krzewiła go wśród hord pogańskich, prowadziła bowiem z niemi tylko wojny obronne, nie pomknęła granic aż do murów chińskich. Że ten pogląd nie wytrzymuje najpobłażliwszej krytyki, na to się zgodzi każdy, kto rozumie, że Polska popełniła błąd, pomykając granice wschodnie, a dając się wypierać z zachodnich.

Lecz nie brak wojen zaczepnych na wschodzie poczytuje Trentowski za najcięższe sprzeniewierzenie się misji dziejowej: najcięższem jest to, że pojęła swą misję jedynie *zewnętrznie i literalnie*, a nie „wewnętrznie", nie „duchowo". Utożsamiając chrześcijaństwo z katolicyzmem, służyła Polska, zamiast chrześcijaństwu, katolicyzmowi: nie rozumiała, że służba chrześcijaństwu polega nie na służbie temu lub owemu wyznaniu, temu lub owemu Kościołowi, tylko na służbie cywilizacji europejskiej, rozwijającej się „w silne drzewo Pallady pod błogą chrześcijaństwa pieczą"; nie rozumiała, że ta chrześcijańska cywilizacja europejska polega na „wolności, świetle i postępie" — w odróżnieniu od cywilizacji pogańskiej, a raczej od pogańskiej, azjatyckiej dzikości, polegającej na „niewoli, ciemności i stagnacji". Prawda, — mówi Trentowski, — Kościół katolicki, któremu tak wiernie służyła Polska, zrazu był istotnie krzewicielem rzetelnej cywilizacji chrześcijańskiej, to też zrazu Polska, służąc Kościołowi, *eo ipso* służyła i rzetelnej cywilizacji chrześcijańskiej. Cóż z tego, kiedy później Kościół katolicki sprzeniewierzył się swej misji, „stał się względem europejskiego i chrześcijańskiego pierwiastka odszczepieńcem oraz pochwycił całą siłą za azjatycki pierwiastek, za niewolę, ciemnotę i stagnację". Wówczas różne narody zaczęły zrywać z Rzymem, bądźto przyjmując reformację, jak np. Niemcy, bądź też tworząc własne, samodzielne Kościoły, jak np. Francuzi; Polska tymczasem „została wierną Rzymowi, przestała wierzyć w Chrystusa, a uwierzyła w Antychrysta: przyjęła na swe łono je-

zuitów, ażeby wykorzenili w niej do szczętu chrześcijański i europejski pierwiastek", — i właśnie dlatego upadła.

Nie warto chyba zbijać całej jednostronności, a nawet wręcz fałszywości tego poglądu, mającego swoje źródło nietylko w wolnomularstwie Trentowskiego, ale także w tym defekcie jego umysłowości, którego on sam w innych tak mocno nienawidził, to jest — w fanatyzmie. Wystarczy powiedzieć jedno. Oto, nie mając zamiaru (ani ochoty) kruszyć kopji w obronie ani jezuitów, ani reakcji katolickiej, owszem, zgadzając się w zupełności na to, że ta reakcja, o ile się objawiała w tłumieniu wolnej myśli i fanatyzmie jezuickim, była dla Polski zgubna, stwierdzić jednak trzeba ten fakt niezaprzeczony, że przecie nie ta reakcja, tylko anarchja polityczna i brak silnego rządu były najważniejszemi przyczynami upadku Polski, a silny rząd przecie, jak tego dowodzi historja innych krajów, nietylko nie znajdował w Kościele katolickim przeszkody, ale przeciwnie, miewał w nim poparcie. To wszystko natomiast, co mówi Trentowski o upadku oświaty w XVII wieku i o ucisku chłopów, jest słuszne od początku do końca. Nigdy nie uwierzył Trentowski, żeby „szata Polski" była „nieskalana, przenajczystsza i świetlana".

Poglądy na przyszłość Polski. Zupełnie inny jednak od naszych mesjanistów w poglądach na przeszłość Polski, nie różni się od nich Trentowski, zasadniczo przynajmniej, w poglądach na jej przyszłość: i on ma silną wiarę, że Polska odzyska niepodległość, jak Bóg w niebie. Tę zaś przyszłość własnej ojczyzny wiązał zawsze z przyszłością całej Europy, ze zbliżaniem się nowej epoki w jej dziejach. „O, nie traćmy otuchy i nie rozpaczajmy wcale! Czas nasz brzemienny jest potrzebą całkowitego odrodzenia się Europy i stanowi *chwilkę przechodu ładu starego w zupełnie nowy porządek rzeczy;* wszyscy mają przeczucie, iż *zbliża się coś nadzwyczajnego,* i oczekują *nowego dnia* z tęsknotą lub ze drżeniem... Wojna staje się co rok większą koniecznością, a oddalająca ją pilnie mądrość dyplomacyjna nie jest wszechmocna". Będzie to wojna — wróży Trentowski — Europy zachodniej z Rosją, czyli Europy z Azją, wojna, po której się zacznie nowa epoka: szczep słowiański, „który dotąd nakształt rośliny ogromnej, przyszłem kwieciem i owocem brzemiennej, bytował spokojnie i nie wyczynił jeszcze własnego ducha", teraz go wyczyni, uchwyci berło Europy i powiedzie ją ku Królestwu Bożemu.

Ta jednak wiara Trentowskiego w wielką przyszłość Słowiańszczyzny nie ma nic wspólnego z panslawizmem: Rosji nienawidził — nietylko jako Polak, który brał udział w powstaniu listopadowem, ale i jako filozof, który uznawał w Europie jedną

tylko prawdziwą kulturę — rzymsko-chrześcijańską. „*Nienawidźmy idei panslawizmu!* Jest to myśl *czysto moskiewska i azjatycka,* zmierzająca do zagłady Polski i Europy. Hańba temu rodakowi, co robi się jej apostołem, — on jest służalcem cara!“ Słowiańszczyzna, zdaniem Trentowskiego, stoi na rozdrożu. „Albo polski *duch,* albo moskiewski *knut*“. Jest to zupełnie ta sama myśl, którą wypowiedział Krasiński:

Dziś wschodni ląd
Dwóch bójką wiar:
Ty i Car.
Car — życia trąd,
Ty życia prąd,
Ty życia dar.

I jak Krasiński, tak Trentowski wierzy, że ta walka skończy się zwycięstwem *ducha* nad *knutem,* że Polska stanie na czele wszystkich plemion słowiańskich, że wypleni w Rosji pierwiastki azjatyckie, nawróci je na cywilizację europejską i zrealizuje wielką ideę „Rzeszy wszechsłowiańskiej“.

W szczegóły organizacji tej Rzeszy, jak ją sobie Trentowski wystawia, wdawać się nie będziemy; wystarczy zaznaczyć, że należy ona do szeregu utopij politycznych i społecznych, których tyle wydała epoka romantyzmu. Powołaniem Rzeszy będzie dać całej Słowiańszczyźnie, a przez nią całej Europie, „wolność, światło, postęp, równość, braterstwo“ i t. d. Już teraz, zanim jeszcze Polska odzyska byt niepodległy, zapędza ją Trentowski w służbę tej przyszłej Rzeszy: „Bracia-wychodźcy! Miasto swarzyć się z sobą *de lana caprina*... porwijcie za śmiałe pióro i pracujcie ku oświeceniu Słowiańszczyzny, strzelajcie do niej książkami i broszurami w różnych językach, zapalającemi gorącą miłość ojczyzny, wolności i cnoty, rozbudzającemi własne uczucie. Starajcie się zrobić ją sprzymierzeńczynią polskiej sprawy!... Wy zaś, bracia-krajowcy, miasto podróżować po Włoszech, Szwajcarji lub Francji zupełnie bez celu i marnotrawić tam pieniądze, odwiedzajcie braci waszych w Czechach, Illirji, Serbji!... Polacy wogóle! Skarbmy sobie pobratymcze ludy, nie wyjmując nawet bratobójczych Rosjan!“ W zupełności jednak wtedy dopiero Polska tę misję spełni, kiedy, po zwyciężeniu Rosji przez Europę, odzyska niepodległość.

Lecz aby z niepodległości zrobić użytek, aby ją wyzyskać dla szczęścia własnego, całej Słowiańszczyzny i całego świata, Polska już teraz — rozumuje Trentowski — powinna się gotować na jej przyjęcie; jak? na to odpowiedzieć może jedynie „polska filozofja narodowa“, przez którą Trentowski pojmuje oczywiście swoją własną filozofję. Otóż wszystkie rady filozofji narodowej streszczają się w tem, żeby się Polska nawskróś przejęła pier-

wiastkami europejskiej cywilizacji i, co za tem idzie, żeby się, jak ognia, strzegła pierwiastków azjatyckich, rosyjskich. Niegdyś Polska sprzeniewierzyła się cywilizacji europejsko-chrześcijańskiej, nie chcąc zerwać z Rzymem; teraz powinna ten swój błąd naprawić — zerwać z Rzymem i utworzyć Kościół własny: „Porwij za europejski pierwiastek, ukochany narodzie, to jest stań się śród Słowiańszczyzny apostołem wolności, światła i postępu: odepchnij od siebie naukę Rzymu i jezuitów; utwórz Kościół *polsko*-chrześcijański, *narodowo*-katolicki, zdolny być wyrazem nowego ducha czasów, gdyż protestancki także *się zestarzał i choruje już na wsteczność*, a schyzmatycki stał się *całkowiuteńko niechrześcijańskim i azjatyckim;* nienawidź równie papieża, jak cara, a Lutra zostaw Niemcom; chciej być posłańcem Bożym, wyrabiającym świetniejszą przyszłość świata, — a powstaniesz! Wtedy zrobisz się potrzebnym Europie, i cała Europa będzie za tobą!“

Lecz tutaj dodajmy, że już niebawem, jak tego dowodzą *Wizerunki duszy narodowej* (1847), Trentowski zmienił gruntownie (jak się zdaje, pod wpływem Krasińskiego) swój pogląd na znaczenie katolicyzmu dla Polski.

Nie zmienił natomiast poglądów swych na to, co stanowi nietylko najpiękniejszą ozdobę, ale i trwałą wartość rozprawy *O wyjarzmieniu Ojczyzny*, mianowicie na to wszystko, co pisze o rewolucji wewnętrznej i o rządzie moralnym: te właśnie jego myśli zniewalają do uznania tej rozprawy za najrozumniejszy i za najszerszy program polityki narodowej, na jaki się zdobył mesjanizm polski.

„Rewolucja we własnem wnętrzu“. Jak widzieliśmy, zbrojne powstanie narodu poczytywał Trentowski nietylko za rzecz ze stanowiska moralnego dozwoloną, ale i za święty obowiązek. To jednak nie przeszkadzało mu do poglądu, że „nie jedynie orężne rewolucje uwalniają z pod obcego jarzma“, że „stanowią one *li ostateczną dobitkę wroga*“. „Sto powstań nie otrzyma skutku, jeśli nieszczęśliwy naród nie zrobił wprzódy *rewolucji we własnem wewnętrzu* i nie podniósł się z upadku *moralnie*... Co trzy wieki waliły, odbudować tego niepodobna w trzech latach lub dziesięcioleciach. Dopóki *nie odrodzisz się sam wewnętrznie*, — chociażby to kilka wieków trwać miało, — nie odrodzisz się, narodzie, zewnętrznie — i będziesz niewolnikiem. Do *moralnej przeto pracy nad sobą!* Im śpieszniej zabierzesz się do niej, tem prędzej jej dokonasz i — ojczyznę oswobodzisz“.

Lecz zapyta może niejeden: cóż w tem wszystkiem nowego? przecie hasło „rewolucji we własnem wewnętrzu“ rzucił już Mickiewicz w *Księgach Pielgrzymstwa*, a za nim Krasiński, na-

wołując naród do „pracy wieków“, i Słowacki, uzależniając zmartwychwstanie Polski od „anielstwa narodu“. Tak, ale dopiero Trentowski hasło to wszechstronnie rozwinął, on dopiero uzasadnił tak gruntownie przykazanie odrodzenia narodu — nietylko moralnego, ale także umysłowego oraz materjalnego.

Domaga się Trentowski — na lat kilkanaście przed Szujskim — utworzenia rządu moralnego w narodzie polskim, domaga się, aby społeczeństwo polskie uznało nad sobą coś w rodzaju moralnej dyktatury. Pomysł ten zawdzięcza, być może, Comte'owi, który swoją „religję ludzkości“ odbierał Kościołowi, a powierzał ją opinji publicznej (nawiasem mówiąc, o wiele despotyczniejszej od Kościoła). Otóż i Trentowski tworzy coś nakształt religji narodowej, religji patrjotyzmu, a pieczę nad nią oddaje „rządowi moralnemu“, który składają „ci mężowie,... co utrzymują w ujarzmionym narodzie *władzę nad sobą*, co mu powtarzają dzień i noc, iż posiada we własnej piersi dzielność, której nic oprzeć się nie zdoła, iż nie powinien spuszczać się na pomoc obcą, lecz liczyć jedynie na swoje siły, co budzą w nim samodzielności potęgę i Bożo-człowiecze samego siebie uczucie“. Krótko mówiąc, rząd moralny Trentowskiego stanowią ci patrjoci, którzy pomagają i przewodzą społeczeństwu w pracy około realizacji ideału „bożoczłowieczeństwa“. Prawo zaś do tego rządu mają trojakiego rodzaju patrjoci: „ludzie najświetniejszej realności“, „ludzie najświetniejszej idealności“, i „ludzie najświetniejszej rzeczywistości“.

Zacznijmy od tych ostatnich. Ludźmi najświetniejszej rzeczywistości nazywa Trentowski ludzi czynu, mianowicie czynu patrjotycznego; zalicza zaś do nich: dawnych wojskowych polskich, którzy brali udział w powstaniu (bez względu na to, czy obecnie mieszkają na emigracji, czy męczą się na Syberji i po więzieniach); obywateli ziemskich, troskliwych o materjalne i moralne dobro ludu; księży, którzy, „narażając się na prześladowania, zapalają lud do obrony uciśnionej wiary“; wojskowych i urzędników, będących na służbie rosyjskiej, austrjackiej i pruskiej, którzy jednak ustawicznie myślą o zbawieniu własnej ojczyzny, którzy „przyjęli obowiązki u najeźdźców li w celu poznania wewnętrznej ich potęgi i wypatrzenia owej słabej strony, w którą najłacniej można będzie powstańczym gromem uderzyć“. „Słowem, ludźmi czynu są wszyscy ci *bohaterowie polscy*, co wzmacniają lub rozszerzają narodowego ducha *charakterystycznym przykładem, co działają śmiało* i pragną albo *jak najprędzej ojczyznę wyjarzmić*, albo *pozyskać koronę męczeńską*“.

Do tej samej kategorji. do „ludzi najświetniejszej rzeczy-

wistości", zalicza Trentowski i kobiety-patrjotki. „Jaźnią nie różni się" patrjotka polska „od patrjoty polskiego". „Niechaj więc w *Ojczyźnie, oswobodzić się mającej,* widzi najwyższą po Bogu prawdę, piękność i cnotę, świętość i wolność;... niechaj niesie na ołtarz jej ofiary i poświęcenia... I ona ma wyczyniać *Królestwo Boże* we własnym narodzie i pomagać w walce z wrogiem mężczyźnie. Jej obowiązkiem patrjotycznym — oddać rękę Bogu-polakowi(!) i być nieposłuszną ojcu, gdyby chciał wydać ją za Moskala, Niemca, lub złego, a nawet li podejrzanego rodaka... Ona wychowa córkę na patrjotkę, do siebie podobną, a na ojca, brata, męża i syna wywierać będzie wpływ dobroczynny krajowi czarodziejstwem mocy idealnej w ciele, a realnej w duszy, władnącej płcią męską. Zna potęgę syrenią, którą jej Bóg dał i używa jej ku dobru narodu... Wie, iż policja wrogów niewiele zważa na kobiety, korzysta więc z tego. Przypomina sobie, iż nieraz już szydercze nazwisko, dane od wroga, np. *Sanskulota,* stało się dla obrońców wolności najczcigodniejszem mianem. Wybiera więc dla siebie stare pogardliwe przysłowie: „Gdzie już i sam djabeł nie może, tam jeszcze baba dokaże", — i działa wedle tej mądrości, jaką w przysłowiu znajduje. To jej honor! W domu jej jest dla narodowości przytułek, a obcego języka nikt nie posłyszy... Taka Polka wywiera wpływ nieraz tysiąckroć większy, niż filozof ze wszystkiemi nowemi, odradzającemi naród ideami... Taka Polka, pomimo płci swojej, wyrabia się do rządu moralnego... Przed nią, jak przed polską boginią i niebiańską Ojczyzny patronką, i dzisiejszy, i późniejszy naród cały uderzy uwielbienia kolanem".

„Ludźmi najświetniejszej idealności są *dzielni pisarze";* ich „najkardynalniejszym obowiązkiem" jest *„utrzymywanie mieszkańców"* „podbitego kraju" *„przy narodowości i rozbudzanie w nich coraz gorętszego jej zamiłowania".* A cóż to jest narodowość? *„Jest sumą wszech usposobień, przymiotów i własności narodu,* jest *duszą narodu",* ale (i tutaj Trentowski różni się od tych dawnych naszych teoretyków patrjotyzmu, np. Czartoryskiego-ojca i Brodzińskiego, którzy za Herderem powtarzali, że narodowość jest „nieprzemienna") ta dusza narodu powinna „wyczyniać się" „śród ciągłego postępu i coraz dalszego, sobie właściwego, rozwoju". Za główne znamię, rozstrzygające o przynależności człowieka do tej lub owej narodowości, Trentowski poczytuje nie jego ziemię ojczystą, nie wiarę, nie obyczaje, nie prawa, nie oświatę, tylko — język; i dlatego też twierdzi, że „kto źle pisze po polsku i kazi tocz ojczystej mowy germanizmami, galicyzmami lub moskiewszczyzną, chociażby wydawał najważniejsze dzieła, nie jest dobrym patrjotą". Wpajanie więc miłości do mowy ojczystej i jej nauczanie — oto

święty obowiązek pisarzy narodowych, ale bynajmniej nie jedyny.

Prawdziwym patrjotą może być tylko Polak oświecony; oświecony zaś Polak rozumie, że wszystkie przyczyny upadku Polski dadzą się sprowadzić do jednej — do braku oświaty. „Uderz się ze skruchą w piersi — woła Trentowski do Polski — i zawołaj głosem pokory: *Ciemnota złożyła mię na śmiertelne mary...*“ „Gdy nad najeźdźcami wygórujemy światłem, pokonamy ich stanowczo, bo *potęgą ducha*“. Obowiązkiem więc pisarzy narodowych jest oświecać naród, przyczem „nasamprzód rzucić się należy do p r a c h i s t o r y c z n y c h“.

„Rozjaśniajcie narodowe dzieje aż do dna, aż do najskrytszych i najboleśniejszych dla nas tajemnic! Podajcie narodowi pełne przeświadczenie tego, czem niegdyś był i czemby mógł być dzisiaj, *gdyby miał rozum!* Wynoście wielkie jego cnoty i czyny pod niebiosa, a karćcie wady, narowy i głupstwa *bez miłosierdzia!* Powtarzajcie dzień i noc: „Słuszne, jeszcze raz słuszne, stokroć, tysiąckroć słuszne sądy są Boże! Głupia jak sak szlachta polska swywoliła bezkarnie, pastwiła się nikczemnie nad ludem, wywoływała rzezie humańskie: dziś rzeza ją za to Moskal, wysyła na Syberją, rozpędza po całym świecie. Przewrotni i piekłu oddani jezuici swywolili bezkarnie, nawracali Ruś do Unji iście po szatańsku, wypuszczali prawosławne cerkwie w propinację żydom, równie jak gorzałkę: dziś schyzma katolickie kościoły obraca w cerkwie... Szlachta i jezuici burzyli kalwińskie zbory, ...odegrali tragedję toruńską, nie cierpieli dysydentów polskich: dziś panuje nad nimi protestant pruski. Papież rozkazał duchowieństwu i szlachcie zawrzeć pokój z podbitą Moskwą, Wiedeń obronić od Turków: dziś uznał moskiewskiego i wiedeńskiego władcę za prawowitych panów Polski. Poświęcaliście *cel narodowy* celom Rzymu, *Ojczyznę* — wierze w papieża. Gnębiliście *lud*, chcąc dogodzić szlachcie i duchowieństwu: a więc upadliście. Dobrze wam tak! Gdzie ślepa wiara prawa nakazuje po sejmach i oręż wojsku podaje, a arcybiskup jest państwa prymasem, tam robak śmierci toczy narodowe ciało. Fanatyzm ślepowierców tak zamordował Polskę, jak dziś morduje Turcję. Robiliście różnice między panem i chłopem, między katolikiem, schyzmatykiem i dysydentem, a zapomnieliście o *Polaku i człowieku...*“

Czy ten akt oskarżenia naszej przeszłości jest słuszny, czy nie, dosyć, że, czytając go, oczom własnym wierzyć trudno na myśl, iż powstał w epoce romantyzmu, kiedy to historycy poczytywali sobie za obowiązek patrjotyczny roztaczać glorję narodową, nie zaś piętnować błędy przeszłości. Nawet najkrytyczniejszy z historyków ówczesnych, Lelewel, nie był tu bez winy:

wyjątek stanowili raczej emigracyjni demagogowie i agitatorzy, którzy wyszukiwali plamy na dziejach Polski — jedynie dla propagandy społecznej i politycznej, dla zohydzenia szlachty. Trentowski tymczasem, jeżeli się domagał obnażenia wszystkich ujemnych stron naszej przeszłości, czynił to nie dla propagandy, ale jedynie dla uleczenia Polski, w przekonaniu, że nie może być dobrego leczenia bez diagnozy choroby. I przez takie swoje stanowisko wobec przeszłości o lat kilkanaście wyprzedził krakowską szkołę historyczną, która, nie powołując się nań, źle zdała egzamin ze znajomości historji myśli polskiej.

Nie mniej słuszną (i do dziś dnia tak dobrze jak nie wykonaną) myślą Trentowskiego jest, żeby się historycy polscy pilnie zajmowali historją krajów obcych, tych zwłaszcza, które nas rozszarpały: przecie, jeżeli chcemy pobić wroga, powinniśmy go znać i zrozumieć, dlaczego i w czem był od nas silniejszy.

Obok historji za najważniejszą naukę dla społeczeństwa polskiego poczytuje Trentowski filozofję, ona to bowiem otwiera człowiekowi oczy na zadania życia, ona daje mu nietylko rozum, ale i siłę życiową; przestrzega natomiast naród przed upajaniem się poezją. „Do filozofji przeto, podbity narodzie!... Gdy filozofją zagórujesz nad ciemięzcami, zagórujesz nad nimi duchem i jaźnią, tą podwójną wszechmocą, która podnosi bezwładne ciało i wskrzesza umarłych. Naród ujarzmiony niech przestanie bawić się umową“ (t. j. umysłową) „igrą, jaką mu przygotowywać zwykli lubi pisarze romansów i poeci; jest to upajający masłok, po którym spać trzeba koniecznie... Trucizną moralną tam słodkie marzenia, gdzie rzeczywistość gorzka. Kto pięknie marzy, śpi snem twardym. Ocknij się duchem, nieszczęśliwy Lechu, i spojrzyj około siebie *oczyma jawu!*... Światło rodzime, postępowe jest dla ujarzmionego ducha odradzającą go kąpielą z niebios... Światło pokona siły zwierzęce panującej nad tobą ciemnoty i zrobi cię z niewolnika panem. Nie bagnetem, ale właściwie światłem zaprzęga człowiek do rydwanu lwy i tygrysy: równymże sposobem złamiesz moc białych niedźwiedzi i czarnych orłów, które karmią się dzisiaj Ojczyzny ciałem... Filozofowie, jak niegdyś skruszyli *wszechmoc rzymskiej tiary*, tak dziś skruszą *wszechmoc monarszej korony*; filozofowie zaś polscy połamią bagnety moskiewskie, austrjackie i pruskie“.

Ale jakim sposobem? Oto ucząc swój naród p r a w d z i w e j mądrości, to jest wpajając weń wiarę, że ma wysoką misję historyczną, i ucząc go, jak ma ją wykonać, mianowicie umoralniając go, wskazując mu drogę do „bożoczłowieczeństwa“. Szczegółowo rozwija tę swoją ulubioną myśl Trentowski, kładąc szczególny nacisk na to, że „piśmienny rząd moralny“ narodu polskiego, to jest znakomici pisarze polscy powinni prze-

ciwdziałać rozbiciu narodu na stronnictwa i nie mieszać religji z polityką.

Przy tej sposobności sprawia Trentowski potężne cięgi Towarzystwu Demokratycznemu w Paryżu. Przyznaje mu wprawdzie niemałe zasługi, tę np., że ono to „ujęło się za srodze uciśnionym kmiotkiem, przekonało kraj, że, dopóki chłopstwo nie otrzyma obywatelstwa, ani myśleć o zwycięstwie nad wrogiem, że *jedynie lud polski* jest lwem, który łby poukręcać może czarnym orłom". Potępia jednak Trentowski bardzo ostro Towarzystwo Demokratyczne za jego agitację, podszczuwającą lud przeciwko szlachcie. I znowu warto przytoczyć (w skróceniu) własne jego słowa. „Demokraci nie znają ani polskiego ludu, ani polskiej szlachty. Prawią tak o ludzie polskim, jakby był *ludem paryskim*, a o szlachcie polskiej, jakby była *szlachtą francuską, angielską* lub *niemiecką*... Demokraci... zbłądzili ciężko, *podszczuwając lud na szlachtę*. Gdy szlachcic polski, któremu wróg zagrabił niedawno za patrjotyzm majątek, pozostawiwszy mu zaledwie kawałek ziemi; którego dwaj synowie żyją na wygnaniu, a dwaj bracia na Syberji... — gdy patrjota ten zacny czyta pisma demokratyczne i przekonywa się, iż za wszystkie dokonane już poświęcenia czeka go wreszcie szubienica, gdyż *pierwiastek demokratyczny* zwyciężyć powinien i *idea równości* tego wymaga: proszę czuć, *co się dzieje w jego sercu!*... Demokraci błądzą, że podają taką naukę, która albo goni za czczą utopją i niepodobna jest do urzeczywistnienia, albo do ludu francuskiego, angielskiego lub niemieckiego, nie zaś *polskiego*, zastosowaną być może. Prawcie zagranicą i w obcych językach o *wszechwładztwie ludu*, o zasadzie: *wszystko przez wszystkich i dla wszystkich*, i t. p., — aczkolwiek to w gruncie rzeczy słowa bez sensu, wierutne niedorzeczności, — gdyż tutaj lud i zdolny was rozumieć, i prędzej umiałby władać sam sobą. Dla *Demokracji narodowej* Sejm konstytucyjny wyrzekł oddawna już prawdziwy pierwiastek i myśl główną... Nadajmy ludowi *obywatelstwo*, a otrzymamy *miljony najdzielniejszych patrjotów*. Nadajmy mu *posiadłość ziemską*, a pomnożymy *bogactwo narodowe*... Przedewszystkiem zaś *uczmy lud czytać, pisać i myśleć*..., a nagrodzi za to mnóstwem narodowych jenjuszów i talentów, odświeży polskiego ducha... Taką *Demokrację narodową rozumiem*... Wszelka inna Demokracja w Polsce jest *li małpiarstwem zagranicy*... Jak niegdyś Polak przez imaginację jeździł na koronację, tak dzisiaj przez imaginację żeni się z demokracją... Wiem, że równie demokraci, jak papieżniki otrzymali mądrość bez zgłębiania mnóstwa nauk i umiejętności, czyli *bezpośrednio z nieba*, że więc z tego powodu chorują na *kategoryczny i demagogiczny sposobu myślenia terroryzm*, że przeto

krzykną na mnie i, chwytając, jak to zwykle, miasto za *rzecz*, za *osobę*, potępią mię bezwarunkowo. Mniejsza o to! Kocham prawdę, służę Ojczyźnie i mam czyste sumienie, a więc o czcze krzyki i gniewy nie stoję!"

Lecz zdawał sobie Trentowski jasno sprawę i z tego, że, aby się Polska odrodziła, musi być potężna także materjalnie: i tutaj właśnie najwyraźniej występuje najaw trzeźwość jego umysłu. Otóż troskę o potęgę materjalną narodu składa w ręce „ludzi najświetniejszej realności": oni to zajmą się organizacją rolnictwa, przemysłu, handlu, oświaty, pomocy naukowej oraz reformą włościaństwa; — oto filary, bez których się Polska nie odrodzi. Tak tedy, na lat kilkanaście przed sformułowaniem programu t. zw. pracy organicznej, Trentowski rzucił jej naczelne hasła, wznosząc się tym sposobem wysoko ponad poetów romantycznych, ponad ich piękną, wspaniałą, ale jednostronną, nadto wyłączną afirmację ideału etycznego; jako nauczyciel swego narodu, jest Trentowski — z pośród myślicieli naszych epoki romantyzmu — nietylko poprzednikiem i zwiastunem, ale pod niejednym względem już przedstawicielem „pozytywizmu". I on wprawdzie, jak wielcy nasi romantycy, za główne zadanie, albo raczej za ideał polskiej pracy narodowej poczytywał doskonałość moralną czyli, jak ją nazywał, „bożoczłowieczeństwo"; rozumiał jednak tę prawdę, o której romantyzm nieraz zapominał, że człowiek jest mieszkańcem ziemi, że Polska na ziemi odrodzić się musi, że bez troski o bogactwo materjalne odrodzić się nie może.

Oto są główne (chociaż bynajmniej nie wszystkie) myśli rozprawy *O wyjarzmieniu Ojczyzny*, zawierającej w sobie (raz jeszcze) najwszechstronniejszy i pod niejednym względem najmędrszy program polityki narodowej, na jaki się zdobyła myśl polska w epoce romantyzmu.

Na zakończenie — jedna jeszcze myśl z rozprawy Trentowskiego: „Lud podbity pogrążył się w morzu niedoli brakiem światła, swywolą, zwrotem w przeszłość, odpychaniem od siebie potężnego, a ciągle postępnego ducha czasu. Kto z duchem czasu nie idzie, duch ten, jak wąż-dusiciel, okrąży go silnemi pierścieniami i o ziemię ciśnie". Ta mądra myśl znajdzie się i w *Chowannie*, zamknięta w tych krótkich słowach: „Postęp jest wolą Boga, a kto z nim trzyma, Niebo mu łaskawe".

LIRYKA ASNYKA

Charakter liryczny poezyj Asnyka. Nakładem Instytutu Wydawniczego *Bibljoteka Polska* miało się ukazać (ale się nie ukazało) pierwsze wydanie zbiorowe pism Asnyka, to znaczy, obejmujące nietylko poezje liryczne i utwory dramatyczne, ale także nowele, studja literackie, przemówienia i artykuły publicystyczne. I oto niejeden może — i to z tych nawet, którzy, jak piszący te słowa, w dzieciństwie jeszcze ukochali poezję Asnyka i do śmierci nie przestaną jej kochać, — zapyta: poco wydawać wszystkie jego pisma? czyby nie wystarczyło ograniczyć się do poezyj lirycznych? Bo przecie trwałą wartość posiada tylko liryka Asnyka.

Prawda. Ale, po pierwsze, we wszystkich jego utworach, nie wyłączając dramatycznych, jest niemało liryzmu: stanowi on największą siłę jego talentu, więc na wszystkiem piętno swoje wycisnął.

Smutny los starca, co już czas swój przeżył
I pokolenia, które go wydały,
Gdy, tracąc z oczu to, co czcił, w co wierzył,
Wśród nowych ludzi stoi skamieniały
I nie poznaje, jaka myśl im świeci,
I nie rozumie nawet własnych dzieci.
. . . . . .
Dlaczego przyszłość ojczyzny cię straszy?
Wszak los narodów nie jest przywiązany
Do usiłowań pojedynczych ludzi:
Wyższa moc wszystkiem kieruje bez zmiany,
I ta w potrzebie bohaterów wzbudzi.
Trudno nam sądzić, gdy padamy sami,
O tem, co triumf lub zgubę stanowi;
Myślim, że wszystko przepada wraz z nami,
I złorzeczymy smutnemu losowi:
A często właśnie to, co mienim klęską,
Patrząc na naszych nadziei zwalisko,
Utrwala dolę ojczyzny zwycięską —
I grób nasz będzie przyszłości kołyską.

Czy wydanie poezyj l i r y c z n y c h Asnyka byłoby zupełne bez tych dwóch wierszy? A przecie one znajdują się

w jego utworze d r a m a t y c z n y m — w tragedji *Kiejstut*. A w *Gałązce heljotropu* list Henryka do Amelji to przecie s o n e t, który powinienby figurować nawet w wydaniu, obejmującem t y l k o utwory liryczne. I w dramatach pisanych prozą raz po raz napotykamy całe ustępy, którym tylko wiersza brak do tego, aby mogły uchodzić za utwory liryki refleksyjnej; kiedy np. w scenie drugiej aktu czwartego dramatu *Cola Rienzi* Guido nie chce słyszeć o tem, żeby przyszłość narodu budować na zbrodni, to czy nie przypomina się sonet dwudziesty czwarty cyklu *Nad głębiami*: „Przez chwilę możesz być ślepą zaporą"?

Ale mniejsza o to. Ważniejszą jest rzeczą, że punktem wyjścia tych wizyj artystycznych, których wcieleniem są utwory dramatyczne Asnyka, była nie, jak to bywa u urodzonych dramatyków, wrażliwość bądź na różnorodne charaktery ludzkie, bądź też na różnorodne konflikty życiowe, tragiczne czy komiczne, tylko, jak to bywa u urodzonych liryków, uczucie — nadewszystko to uczucie, które w duszy Asnyka było zawsze dominującem: smutek na widok teraźniejszości. Przedstawiała mu się ona w czarnych barwach, zarówno pod względem społecznym i politycznym, jak obyczajowym, — i z tego to źródła wypłynęły jego komedje, będące przecie satyrami na społeczeństwo, w których ironja, jeden z głównych pierwiastków liryzmu Asnyka i jeden z głównych objawów jego smutku, miała żniwo obfite.

A nietylko komedje pisał Asnyk z myślą o własnem społeczeństwie.

A więc wszystkie węzły
Serca stargane... Teraz myśli moje
Na zawsze w krwawej kałuży zagrzęzły,
Nic mnie nie trzyma... Sam jeden już stoję...
Więc śmiało naprzód, gdzie wytknięta droga —
Truć i zabijać, i niweczyć wroga.

Tak mówi Konrad Wallenrod w zakończeniu tragedji *Kiejstut*. A w zakończeniu „dramatu historycznego" *Cola Rienzi* mamy taką skargę bohatera i taką jego nadzieję: „Umieram, nic nie zdziaławszy. W gruzy się rozsypują dumne marzenia moje, i nie pozostaje po mnie nic, jak tylko pamięć wielkich zamiarów i wielkich przewinień. Ale być może, iż myśl moja przetrwa wieki i że to wielkie dzieło zjednoczenia rozdartych części mojej ojczyzny inne, czystsze ręce podejmą i przeprowadzą". Otóż te zakończenia tych dwóch dramatów, i wogóle całe te dwa dramaty „historyczne" (ducha historycznego niemal doszczętnie pozbawione) są nadewszystko wyrazem własnych uczuć Asnyka — patrjotycznych: i tutaj jest on raczej lirykiem, aniżeli dramatykiem. I nie będzie żadnej przesady, kiedy się powie, że wszyst-

kie wogóle utwory dramatyczne Asnyka są dzisiaj dla nas jakby uzupełnieniem jego liryki.

I to jest pierwsza przyczyna, dla której nie wolno ich pomijać w wydaniu jego pism.

Lecz jest i druga, dla której winny się w niem znaleźć nietylko utwory dramatyczne, ale wogóle wszystko, co tylko wyszło z pod jego pióra.

Wielki liryk. Nie wszyscy poeci i wogóle nie wszyscy pisarze zasługują na wydania zupełne swoich pism: przywilej ten mają tylko pisarze najznakomitsi, tylko „klasycy". Otóż Asnyk należy do nich bezsprzecznie. Nikomu zapewne nigdy do głowy nie przyszło i nigdy nie przyjdzie nazywać go genjuszem i, co za tem idzie, stawiać go w tym szeregu, w którym się znajduje Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Fredro, Wyspiański. Asnyk ani jako poeta, ani jako myśliciel nie był genjuszem, miał tylko talent, podobnie jak Kochanowski, Krasicki, Malczewski, ale był to talent — w swoim zakresie — wielki. Dlaczego jednak ani za życia Asnyka, ani długo po jego śmierci nie nazywano go „wielkim poetą"? Dlaczego w ostatnich dopiero czasach zdobył się — jeszcze nie ogół, tylko dopiero jeden z krytyków na tę... odwagę?[1] Tak, na odwagę, bo trzeba być odważnym, aby głosić poglądy sprzeczne z pojęciami ogółu, — nazywać zaś Asnyka poetą wielkim sprzeciwia się pojęciom naszego ogółu. Dlaczego? Dlatego, że się nasz ogół w swoich sądach i wyrokach o poezji do dziś dnia nie wyzwolił z pod władzy patrjotyzmu i „romantyzmu".

Rzeczywiście. Jeżeli pominąć mowy i artykuły jubileuszowe i pogrzebowe (które nawet Deotymę obdarzały mianem „wielkiej poetki", „wieszczki", „natchnionej dziewicy"), to kogo się u nas nazywa wielkim poetą? Z poetów staropolskich — jednego tylko Kochanowskiego, i to głównie, a nawet niemal wyłącznie, jako autora *Trenów*, z poetów zaś Polski porozbiorowej — Mickiewicza i Słowackiego (bez żadnych zastrzeżeń), Krasińskiego i Wyspiańskiego (z zastrzeżeniami, a często nawet z wątpliwościami). Ani Krasickiego, ani nawet Fredry ogół nasz wielkim poetą nie nazywa, pomimo że — tego można być pewnym — Francuzi zaliczyliby i jednego i drugiego do poetów wielkich.

Ale bo też Francuzi, oceniając swoich poetów, kierują się nadewszystko kryterjami estetycznemi, my zaś — estetycznemi w pewnej tylko mierze, i nie one o naszych sądach rozstrzygają: kryterjum rozstrzygającem (przynajmniej w sądach o poezji po-

[1] Eugenjusz Kucharski, *Adam Asnyk*, przedmowa do *Wyboru poezyj* w *Bibljotece Narodowej*, Nr. 67, Kraków 1924 (toż osobno p. t. *Twórczość liryczna Asnyka*, Kraków 1924).

rozbiorowej) jest u nas, czy i o ile poeta przyczynił się swoją poezją do podniesienia tonu życia narodowego, do ocalenia polskości duszy — w niewoli; dosyć powiedzieć, że był czas, kiedy Pola nazywali niektórzy wielkim poetą, i to nietylko za *Pieśni Janusza* i *Mohorta*, ale nawet za taką pod względem artystycznym lichotę, jak *Pieśń o ziemi naszej*. Innemi słowy, wielkich poetów mianował u nas i do dziś dnia jeszcze mianuje nietyle zmysł estetyczny, ile instynkt narodowy; nad kryterjami estetycznemi wzięły górę kryterja patrjotyczne. Gdyby nie to, dawnoby już mówiło się u nas nie o „trzech wielkich poetach" w epoce romantyzmu, tylko o czterech. Tymczasem dużo jeszcze czasu zapewne upłynie (bo rozwój kultury estetycznej odbywa się bardzo powoli), zanim ogół nasz zrozumie, że Fredro, będąc genjalnym komedjopisarzem, należy *eo ipso* do szeregu naszych największych poetów. Dla Wyspiańskiego ogół był łaskawszy — ale bo też on jeden jedyny z poetów epoki poromantycznej sięgnął tak głęboko do wnętrza duszy narodowej i tak potężnie nią zatargał. Z powieściopisarzy tej epoki uczynił to Sienkiewicz: to też ogół i jego zalicza nietylko do „wielkich", ale i do „największych", zapominając często o wielkości Prusa.

Niedosyć na tem. Ciągle jeszcze jesteśmy niepoprawnymi romantykami i wymagamy od poezji nadewszystko tego, aby nas głęboko wzruszała i wysoko porywała. Któż zaprzeczy, że poezja, czyniąca zadosyć obu tym wymaganiom, albo przynajmniej jednemu z nich, jest wielka? Ale czy tylko wtedy jest wielka? Tak, tylko wtedy, odpowiada pospolicie nasz ogół: „trzej wieszcze", Wyspiański, Sienkiewicz, wzruszają nas i porywają, i właśnie dlatego nazywamy ich wielkimi; Kochanowski nie porywa wprawdzie, lecz, jako autor *Trenów*, głęboko wzrusza, więc i on jest wielki; ale Fredro? a cóż dopiero taki Krasicki? oni nas tylko bawią, śmieszą, więc gdzież tu ich wielkość? „W śmiechu mniej jesteśmy klasycznymi, niżeli we łzach", pisał kiedyś Brodziński; dlaczego? dlaczego na błędy komedji klasycy nasi byli znacznie wyrozumialsi, niż na błędy tragedji? Dlatego poprostu, żeśmy komedję poczytywali za coś niższego od tragedji, żeśmy wogóle niedoceniali i do dziś dnia niedoceniamy wartości estetycznej komizmu: wielkiego tragika nazywamy bez zastrzeżeń wielkim poetą, ale nazwać bez zastrzeżeń wielkim poetą wielkiego komedjopisarza i wogóle wielkiego humorystę, choćby nawet tak wielkiego, jak Moljer, — na to się u nas zdobędą tylko nieliczni esteci, którzy rozumieją, że wielkiem może być każde piękno, a nie to tylko, które człowieka wzrusza i porywa.

Dzisiaj, kiedy wskutek szczęśliwej zmiany warunków politycznych poezja i cała wogóle „literatura piękna" nie potrze-

buje już iść w tak wyłączną, w tak twardą służbę patrjotyczną, jak dawniej, w czasach niewoli, — czas najwyższy zerwać z tą patrjotyczną i romantyczną jednostronnością w ocenie poezji. A kiedy to nastąpi, kiedy się pogłębi nasza kultura estetyczna, wówczas i ogół nasz zrozumie może i odczuje, że Asnyk, nie należąc do poetów „największych", należy do wielkich, i to nietylko jako wielki artysta, ale i jako wielki poeta-liryk.

Liryzm Asnyka. „Asnyk... tak... Asnyk to taki wypchany orzeł: ma wszystko — dziób, skrzydła, tyle tylko, że nie poleci". Tak wyraził się kiedyś Wyspiański. Sąd to, zapewne, „piekielnie złośliwy"[1], ale raczej w swojej formie, w swem hiperbolicznem ujęciu, aniżeli w swojej istotnej treści: żeby Asnyk był orłem wypchanym, żeby w jego poezji nie było lotów, to nieprawda, — ale, że te loty nie były wysokie, to prawda. Konopnickiej nikt nie posądzi o złośliwość względem Asnyka, a jednak i ona, przy całem swojem uwielbieniu dla jego poezji, pisała po jego śmierci: „W najwyższem nawet, w orłowem niemal podniesieniu swojem, pieśń ta nie wzbiła się nigdy na wielkie Patmos ducha, gdzie tylko ogromny pęd rzucić może, ale gdzie wzlot nigdy nie uniesie pieśni. Sfera burzy, „sfera ulewy i grzmotu", nie była przyrodzoną Asnykowi, chociaż poeta był ptakiem nie małego, lecz dużego lotu"[2].

Słusznie. W liryce Asnyka niema tej potęgi, tej żywiołowej siły uczucia, która znamionuje naszą wielką lirykę romantyczną. Jego pieśni miłosne, nie wyłączając najpiękniejszej: *Ja ciebie kocham*, nie mogą się nawet mierzyć siłą uczucia ani ze skargami Gustawa, ani z sonetami miłosnemi Mickiewicza, nie mówiąc już o tem, że wszystkie bunty i protesty, bóle i rozpacze Asnyka po upadku powstania styczniowego są cichemi szeptami w porównaniu ze strasznym krzykiem buntu i rozpaczy Konrada. A czemże jest wiersz *Do młodych* albo *Pobudka Sewerom* wobec *Ody do młodości*? *Apostrofa* wobec *Grobu Agamemnona*? *Historyczna nowa szkoła* albo *Daremne żale* wobec wiersza *Do autora Trzech Psalmów*? albo sonet *Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły* wobec pieśni wiary i nadziei Krasińskiego? Wogóle, kiedy się porównywa lirykę Asnyka z liryką epoki romantyzmu, przychodzą na pamięć własne jego słowa, skierowane do „matki-ziemi":

> My się nie możem oderwać od ciebie,
> Ciężarem ciała z ciałem twem spojeni.
> . . . . . .

---

[1] Boy, *Plotka o „Weselu" Wyspiańskiego* (*Rzeczpospolita*, 1922; toż w zbiorze *Flirt z Melpomeną*, *Wieczór czwarty*, Warszawa 1924).

[2] *Szkice*, Lwów 1905.

Musimy z tobą w zgodzie żyć — inaczéj
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy,
W sennem omdleniu, lub w walce daremnej,
I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Była wprawdzie chwila, a raczej cała epoka w życiu Asnyka (tak cudownie opisana w elegji *W dwudziestopięcioletnią rocznicę powstania 1863 r.*), kiedy nie chciał on nawet słyszeć o tem, że trzeba żyć w zgodzie z ziemią, kiedy i on, jak tylu innych romantyków, „przez piękność, sercami odczutą, w dobra i prawdy" pragnął „wejść krainę" — i stanął w szeregach powstańców. Ale cóż, powstanie skończyło się klęską — i raz na zawsze strzaskało Asnykowi skrzydła. Z właściwą swemu umysłowi jasnością uświadomił on sobie cały ogrom tego nieszczęścia własnego i narodowego, i właśnie ten ból, jak był, rzec można, jedynym niemal punktem wyjścia jego liryki, tak — pospołu z płynącemi z tego źródła myślami i uczuciami — stanowi jej nie wyłączną, ale główną treść.

Rzewna tęsknota za młodością, za jej ideałami i snami; cichy, ale głęboki smutek na widok rzeczywistości — triumfu zła i fałszu nad dobrem i prawdą; ironja, pozornie wesoła, ale w istocie bolesna; miłość przeszłości, bardzo mocno zakorzeniona w sercu, a dręczona świadomością jej błędów; rozmyślania, ściśle z tem wszystkiem związane, a obejmujące coraz szersze kręgi — od zagadnień osobistych do narodowych, od narodowych do ogólnoludzkich, od ogólnoludzkich do kosmicznych; zmaganie się z ciężkim smutkiem i szukanie nań pociechy — czyto na łonie natury, czy też w rozmyślaniach „nad głębiami" tajemniczemi świata i pochodu dziejowego ludzkości; znalezienie pociechy — wiara w lepszą przyszłość ludzkości i narodu, w powolny triumf postępu nad wstecznictwem, ideału nad rzeczywistością, i płynąca z tej wiary rezygnacja, a nawet spokój, pozbawiony wprawdzie wybuchów radości, równie cichy, ale też równie mocny i głęboki, jak dawniejszy smutek: — oto są naczelne motywy najpiękniejszych utworów poezji Asnyka, w których jest on lirykiem wielkim, jest orłem — nie wypchanym, lecz żywym — i tylko... zranionym. Liryka Asnyka piersią człowieczą głęboko nie wstrząśnie, zuchwałym lotem nie przerazi, potęgą entuzjazmu nie zachwyci; ale czy ten tylko liryk jest wielki, który wstrząsa, przeraża, zachwyca? Nie, wielkim jest i ten, który, jak Asnyk, niekiedy swoim pełnym wdzięku humorem wywołuje uśmiech, daleko częściej swoją tęskną zadumą rozmarza, swoją odważną rezygnacją z własnego szczęścia uspokaja, swoim cichym, spokojnym, ale głębokim smutkiem rozrzewnia:

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie...
Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje...

Wielkim także jest ten liryk, który, jak Asnyk, mocno i głęboko wzrusza, a zarazem podnosi i uszlachetnia, czyto znieważając umysł do rozmyślania o najważniejszych zagadnieniach życia i nawołując do rozumnego postępu, czyto wpajając w serce nienawiść podłości, zbrodni, samolubstwa, głupoty, a miłość najszlachetniejszych ideałów ducha ludzkiego, zwłaszcza poświęcenia, i jednocześnie ożywiając i pokrzepiając serce wiarą chrześcijańską w konieczność i owocność cierpienia, i wiarą filozoficzną, że złe jest tylko szczeblem ku dobremu, że „przez ból i męczarnie" ludzkość idzie „naprzód i wyżej", że praca nad urzeczywistnieniem ideałów jest ciężka i powolna, ale święta i błogosławiona, i że ona to stanowi główne powołanie człowieka, bez względu na to, czy ideał będzie osiągnięty, czy nie:

Choć nie dojdzie — chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni.

Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.

Gdyby przyszło mi nanowo,
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi,
Za tą piękną na błękicie.
. . . . . .

Lecz chociaż dotąd jeszcze ziemskie rody
Nie widzą wyższej harmonji i zgody
I błądzą w cieniu bezsłonecznych krain,
Z piętnem przekleństwa, jakie nosił Kain;
To wciąż, powoli, istniejąca siła
Potrzebne zmysły będzie im kształciła.
I tak, jak niegdyś pod fal światła wpływem,
Ślepy twór na świat błysnął okiem żywem,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

A gdy do światła otworzy swe oczy,
Ze wstrętem spojrzy na krew, co ją broczy,
Na posiew zemsty, który się odnawia
Z ziarn jadowitych krzywdy i bezprawia —
Na barbarzyństwa szalejący nierząd,
Co świat napełnia walką dzikich zwierząt —

Na źródła szczęścia, zatrute tak marnie
Przez dobrowolnie stwarzane męczarnie...
Spojrzy ze wstydem — i, jak z snu zbudzona,
Ku czystym blaskom wyciągnie ramiona
I pokieruje swoje przyszłe dzieje,
Gdzie piękno, dobro i prawda jaśnieje...

Czy wielu jest na świecie całym liryków, których poezja tchnęłaby tak podniosłym idealizmem, tak ogromną szlachetnością uczuć, a zarazem tak wielką — właściwą często ludziom bardzo wrażliwym i bardzo nerwowym[1] — wykwintnością myśli? Czy wiele jest na całym świecie utworów lirycznych, któreby miały w sobie tyle, już nie powagi, ale wręcz dostojeństwa, ile go mają najpiękniejsze poezje filozoficzne Asnyka, albo jego *Noc pod Wysoką*? Te zaś wszystkie piękności jego poezji są tem większe, albo raczej dlatego są wielkiemi pięknościami, że są szczerym wyrazem, wiernem odbiciem jego duszy.

A była to dusza, przy całem swojem bogactwie i subtelności, prosta: dlatego to i wyraz artystyczny tego wszystkiego, co się w niej działo, jest tak czarujący przez swą prostotę i naturalność.

Kto prawdziwie czuć niezdolny,
Ten się szumem słowa pieści.

W poezji Asnyka szumu słów niema: swoje najgłębsze uczucia, swoje najpoważniejsze myśli, swoje najsubtelniejsze nastroje wypowiada on zawsze ze szlachetną prostotą, która tem większe sprawia wrażenie, że nie wyklucza wykwintności słowa:

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy,
Piłbym, ach, wtenczas, nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najsłodszy
Nektar, dziewczyno!

Tybyś mnie może kochała,
Jasny aniele...
Na tę myśl pierś mi zadrżała,
Bo widzę szczęścia za wiele,
Gdybyś kochała!

Ma słuszność Sienkiewicz, że trudno znaleźć coś bardziej wykwintnego i zarazem prostszego, niż ten wiersz[2]. I znowuż pytamy: czy wielu jest na całym świecie liryków, którzyby umieli tak, jak Asnyk, łączyć prostotę ze sztuką, ze świadomym swoich środków i celów artyzmem?

[1] Józefowa Kotarbińska, *Ze wspomnień o Adamie Asnyku (Sfinks*, 1908).

[2] *Mięszaniny literacko-artystyczne* (w *Niwie*, 1879).

Ale bo też był on wielkim artystą: tę poezję, która mu grała w duszy, która się rodziła w jego „łez mroku", wyprowadzał na światło dzienne i długo, usilnie, z miłością kształtował, póki nie uznał kształtu za doskonały [1]. Utwory jego, jak powiedział Kasprowicz, „posiadają linję Psychy, wyszłej z pod dłóta Praksytelesowego" [2]. Ma słuszność i Sienkiewicz, mówiąc, że poezje Asnyka „misternością formy przypominają dzieła Benvenuta Celliniego; słowa tak są wyrzeźbione starannie, że nic niema w nich nieobrobionego, szorstkiego, rzuconego w masach, nic nie wyskakuje chropowato" [3]. Że ta świadoma praca artystyczna nie pozbawiła jego liryki czaru wprost z duszy płynącej poezji, to już tajemnica jego talentu i jego ducha!

Zresztą nie wszystkie utwory liryki Asnyka są pod tym względem równe, wogóle nie wszystkie mają jednakową wartość artystyczną — to rzecz naturalna.

Pierwiastki plastyczne są w niej, naogół biorąc, ubogie, ale zato malarskie — bogate, czego najlepiej dowodzi cykl *W Tatrach*. Udział fantazji w kształtowaniu wizyj poetyckich (jak najczęściej w liryce) — niewielki, ale niebrak utworów, któreby nigdy tak piękne nie były, gdyby nie jej pomoc, np. *Czarodziejka, Odpoczywa, Baśń tęczowa*.

Głównie jednak kształtowała wizje poetyckie Asnyka refleksja i uczucie. Czasem refleksja uczucie tłumiła, osłabiała jego bezpośredniość, ukazywała się zbyt często, przemawiała zbyt długo, ale w utworach najpiękniejszych uczucie nie dało się stłumić refleksji, lecz, przeciwnie, ogrzewało ją swojem łagodnem, ale życiodajnem ciepłem i prześwietlało swojem spokojnem, cichem, ale jasnem światłem. Liryka filozoficzna nie stanowi tu wyjątku: głęboka myśl jest nawskróś przepojona głębokiem uczuciem, a i fantazja, posłuszna wezwaniu umysłu i serca, tworzy żywe obrazy, — ale bo też z duszy żadnego innego poety polskiego poezja filozoficzna nie płynęła tak samorzutnie, jak z duszy Asnyka, i w całej naszej poezji filozoficznej niema nic, coby się pięknością zarówno, jak szerokością i głębokością myśli, mogło równać z cyklem trzydziestu sonetów *Nad głębiami*.

Że wiersz Asnyka jest mistrzowski, to rzecz dawno i powszechnie znana i uznana. Zwłaszcza w melodyjności wiersza i wogóle w jego rytmice jest on cudotwórcą, i słusznie powiedziano, że w jego wierszu spoczywa zaklęta dusza muzyczna [4].

---

[1] O mozolnej pracy artystycznej świadczą wymownie jego autografy (będące obecnie w posiadaniu Zakładu Narodowego im. Ossolińskich).

[2] *El...y* (w *Przeglądzie Tygodniowym*, 1897).

[3] *Mięszaniny*, j. w.

[4] Kucharski, j. w.

A strofa? „Subtelna, giętka, kryształem dzwoniąca, ma ona jakieś Cellinowskie cięcia, które z niej razem klejnot i arcydzieło czynią. Strofa Asnyka to czara, którą gdy duch poezji wychyli, rozbić mu ją chyba przyjdzie, bo nie będzie miał do kogo pić i komu zdać w ręce“[1].

Dałam ci moc nad sercem ludzi, —
Moc, której próżno przeczą...

Jeżeli poezja Asnyka miała moc nad sercami ludzi i ma ją do dziś dnia, to nie miałaby jej nigdy, gdyby nie była tak wysoce artystyczna:

Piękność — pierwszem dla niej prawem,
Główną gwiazdą na błękicie...
. . . . . .

Piękności czar — ten nie przeminie,
On wieczną jest potrzebą;
I ludzki duch wciąż za nim płynie,
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar — ten zawsze będzie
Nad światem dzierżyć władzę,
I swoją woń rozsiewa wszędzie
Kwiat każdy, co zasadzę.

Filozofja Asnyka. Lecz nie miałaby liryka Asnyka takiej mocy nad sercami, nie posiadałaby tak trwałej wartości, gdyby piękność, doskonałość formy artystycznej była dla niej prawem jedynem.

W wierszu *Napad na Parnas* mówi Apollon:

Ja poważam także wiedzę
I oddaję cześć Minerwie,
Co, mieszkając tuż o miedzę,
Nigdy badań swych nie przerwie.

Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie,
Korzystając z jej wyroku,
I w kwitnącym Muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku.

Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsnął lutnie z pleśni,
Wszystkie życia prądy świeże
Odtwarzając w swojej pieśni.

Przez usta Apollona przemawia tutaj sam Asnyk, kreśląc swój własny program poetycki.

[1] Konopnicka, j. w.

I spełnił go wiernie. Jego poezja, wtedy nawet, kiedy jej przedmiotem są własne uczucia i wogóle własne życie poety, prawie zawsze „wieczne prawdy ma na oku", spełnia doskonale wymaganie, „żeby tryskała życiem jej postawa". Do „kwitnącego Muz ogrodu" przenosi Asnyk ze swoich własnych przeżyć i wspomnień tylko to, co miało „twarz człowieczą", tylko cechy typowe, tylko wartości ogólnoludzkie: subtelność uczucia i wykwintność myśli, oraz ogromny takt artystyczny nie pozwoliły mu na sadzenie w swoim „Muz ogrodzie" kwiatów nietylko pospolitych, ale i dziwacznych. To też nawet w jego liryce egotycznej, zarówno w pieśniach smutku i tęsknoty, zwątpienia i rezygnacji, wiary i nadziei, jak w pieśniach miłości — kobiety i natury — każdy znajdzie cząstkę własnej duszy, własnych uczuć i myśli, własnych przeżyć i wspomnień. „Prawdziwy poeta, kiedy zaspokaja własne potrzeby, zaspokaja zarazem potrzeby całej ludzkości", powiedział słusznie Hebbel[1]. Do żadnego poety naszego po roku 1863 nie można odnieść tych słów z taką słusznością, jak do Asnyka.

Zresztą jego liryka egotyczna jest dosyć uboga. Tak musiało być u poety, który pragnął, aby wszystko, „co nosi doli osobistej piętna", pochłonęła niepamięć, który mówił sobie:

Ucisz się, serce! Swoich strat
Już nie opłakuj stroskane —
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane!
. . . . . .
Wzleć ponad własnej drogi kres
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez
Szlachetne dążenia wplata.

I ten program Asnyk spełnił: jego liryka wzleciała „ponad własnej drogi kres", nosi piętno doli nie osobistej, a przynajmniej nie tylko osobistej, lecz doli całego ogółu — i całej epoki, i właśnie dlatego miała „moc nad sercem ludzi".

A więc przedewszystkiem cała liryka patrjotyczna Asnyka, od *Snu grobów*, *Ascety* i *Prośby* aż do wierszy *W dwudziestopięcioletnią rocznicę powstania 1863 roku* i *Na obchód Słowackiego*, oraz czterech ostatnich sonetów cyklu *Nad głębiami* — jest wiernem zwierciadłem tego, co się od upadku powstania styczniowego do końca XIX wieku w najszlachetniejszych duszach polskich działo.

Głęboki, graniczący z rozpaczą smutek na wspomnienie klęski, na widok straszliwego odwetu ze strony wroga i prostracji duchowej społeczeństwa, oraz na myśl o tem, że

[1] *Tagebücher*, Tom I, Berlin 1923.

Śpiewne serc głosy, idealne hasła,
Płomienne słowa, mistyczne zachwyty
Przebrzmiały — lampa cudowna zagasła,
Na ziemię runął ideał rozbity...
I w naszych oczach rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej Muzy;

ciężka, bolesna rozterka w duszy pomiędzy miłością ukochanych od dziecka ideałów patrjotyczno-romantycznych a świadomością, że „prąd czasu innem popłynął korytem", że

Nastała nowa epoka, z obliczem
Nieubłaganem, lodowatem, chmurnem;
Jej bóg jest owym, niewzruszonym niczem,
Pożerającym swe dzieci Saturnem, —
A jej religja, dziką tchnąca grozą,
Drapieżnej siły jest apotezą;

nie mniej bolesny, bo wymuszony przez rozum — wbrew sercu — kompromis pomiędzy kultem przeszłości Polski a troską o jej przyszłość, pomiędzy dawnemi ideałami romantyzmu a postępowemi hasłami pozytywizmu i nakazami trzeźwości politycznej; gniew, a czasem i oburzenie, zarówno na tych, którzy grzeszą nadmiarem tej trzeźwości i którzy depczą „przeszłości ołtarze", jak na tych, którzy nie chcą „z żywymi naprzód iść"; wiara w żywotność duchową narodu i w jego przyszłość, w to, że Polska, chociaż taką, jak była, nie wstanie z mogiły, ale wstanie, że musi być inną, choć będzie tą samą: wszystkie te uczucia, myśli i hasła wziął wprawdzie Asnyk z własnego serca i z własnej głowy, ale były to zarazem uczucia, myśli i hasła zbiorowe — tych wszystkich serc polskich, których niewola nie spodliła, które nie chciały

Przed złotym cielcem korzyć się tyranji —
Panmoskwicyzmu albo pangermanji,

i tych wszystkich rozumów polskich, których nie opętała ciasna i głupia pseudofilozofja materjalistyczna, że o biegu dziejów rozstrzyga jedynie siła brutalna, i płynąca z tego źródła samobójcza i ohydna doktryna trójlojalizmu.

W strunę jednak patrjotyczną Asnyk uderzał dosyć rzadko; dlaczego, to sam wyjaśnił:

Prawdziwa miłość w głębi tajemniczéj
Ukrywa przedmiot czci swej i kochania,
I wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy,
Który ją całą milczeniem osłania:
Ona nie żebrze o litość dla siebie,
Ani na ludzkie pociechy nie liczy,
Lecz tylko w męstwo zbroi się wytrwania...

A gdy wybuchnie głosem — to po niebie
Pieśń jej przeleci dumna, nieskalana,
Jak krzyk rwącego łańcuchy Tytana.

Nierównie częściej liryka Asnyka zasilała się uczuciami i myślami ogólnoludzkiemi, wchłaniając w siebie najżywotniejsze zagadnienia i dążenia współczesnej epoki, „wszystkie życia prądy świeże". I znowuż — kto po roku 1863 może się pod tym względem mierzyć z Asnykiem? Zrozumiał on tak jasno, jak ani jeden ze współczesnych mu poetów, potrzeby duchowe nowego pokolenia, zrozumiał, że

Śpiewnej melodji słodycze,
Wpółsenne pienia słowicze,
Serc silniej nie wzruszą już:
Na gruzach wiary dziecięcej
Duch ludzki pożąda więcej —
Wśród walk i burz.

Nie dość mu tkliwych pobudek:
Róż zwiędłych i niezabudek
I szmeru srebrzystych strug...
Lecz żąda, by w męskiej nucie
Dźwięczało głębsze odczucie
Duchowych dróg.

Trzeba mu w pieśni odbicia
Tej walki o prawdę życia,
Co z niebem rozpoczął wieść;
Prawda dlań teraz — najświętsza;
Więc chce przeniknąć do wnętrza
Istnienia treść.

Taką właśnie pieśnią — pieśnią, w której dźwięczy głębokie odczucie duchowych dróg całej epoki, pieśnią, która odbija w sobie nowoczesną walkę o prawdę życia, — jest liryka Asnyka, mianowicie jego liryka filozoficzna, zwłaszcza sonety *Nad głębiami.*

Jeżeli zaś Asnyk głęboko odczuwał i jasno rozumiał „duchowe drogi" swojej epoki, to dlatego, że posiadał nietylko umysł filozoficzny, ale i niemałe wykształcenie filozoficzne; wiedza nabyta podczas studjów uniwersyteckich w Heidelbergu nie wystarczała mu: on kształcił się przez całe swoje życie[1], i to właśnie pozwoliło mu przez całe życie „z żywymi naprzód iść".

Wobec tego nie dziw, że jego poezja ma tyle wspólnych węzłów z nowoczesną myślą filozoficzną, że jej przedmiotem są nieraz te same zagadnienia, które poruszały umysły nowoczesnych myślicieli angielskich, francuskich, niemieckich, polskich.

---

[1] Kotarbińska, j. w.

Kiedy np. w sonetach *Nad głębiami* Asnyk wypowiada myśl o niemożności przedmiotowego poznania natury i niezmiennej istoty zmiennego bytu; kiedy się skarży, że naturze „ludzkiej dążności narzucamy znamię", że

...nieraz, biedni, za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury —

to w tym poglądzie słychać wyraźnie echo nietyle może nauki Kanta o niemożności poznania „rzeczy samej w sobie" i nietyle poezji pokrewnego Asnykowi niejedną myślą, a nadewszystko szlachetnością duszy, Browninga, który się tak gorzko skarżył, że myśl ludzka rzuca na świat swój własny cień, że go więc dobrze widzieć nie może, — ile filozofji Spencera, mianowicie jego nauki o „niepoznawalnem", wypełniającej całą część pierwszą jego *Pierwszych zasad.*

A i pogląd Asnyka, że cały ogrom świata

Niesie... z sobą ta nieznana fala,
Co, poza bytem będąc, byt okala,
I wszystko z łona swego wyprowadza

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza, —

czyli, innemi słowy, pogląd, że

...Duch świata bezustannie czuwa
I przyszłych istnień z siebie nić wysnuwa...

— i ten pogląd ma najprawdopodobniej swoje źródło w filozofji Spencera, który, chociaż do wszystkich dziedzin doświadczenia stosuje swoją teorję rozwoju, odmawia jej wszelkiej wartości w zastosowaniu do „niepoznawalnego", które jest niezmienne i którego objawem jest cały zmienny wszechświat. Przypomina się i Sibbern ze swoją nauką, że rozwija się tylko Królestwo Boże, ale nie Bóg.

Nie mniej żywo poruszało za czasów Asnyka umysły ludzkie zagadnienie, jak da się pogodzić (i czy wogóle da się pogodzić) wolność i, co za tem idzie, odpowiedzialność moralna człowieka z przyczynowością, teorja wolnej woli z determinizmem; wystarczy powiedzieć, że w roku 1872 ukazała się słynna teza doktoryzacyjna Alfreda Fouillée'go *La Liberté et le Déterminisme,* a w dwa lata później — nie mniej słynna teza największego myśliciela francuskiego ostatnich czasów, Emila Boutroux, *De la Contingence des lois de la nature.* Otóż i w poezji filozoficznej

Asnyka jest to zagadnienie, które, mówiąc nawiasem, było i u nas bardzo w swoim czasie popularne (głównie dzięki przetłumaczonej w roku 1883 broszurce Renarda: *Czy człowiek ma wolną wolę?)* i... bardzo powierzchownie rozstrzygane w kołach młodzieży (przynajmniej warszawskiej) na korzyść determinizmu. Tę to właśnie powierzchowność wyszydził słusznie Asnyk w dowcipnym wierszu *Przyczynowość:*

Nasz rozum, ułatwiając poznanie zagadki,
Wiąże następujące po sobie wypadki,
I związek zależności przeprowadza ścisły
W szeregu, co najbliżej podpada pod zmysły.
Więc o zjawiskach twierdzi w dochodzeniu krótkiem,
Że jedno jest przyczyną, a drugie jest skutkiem.
Szukając zaś przyczyny, często nasza wiedza
Bierze za nią fakt błahy, co skutek poprzedza,
I gotowa nauczać, że sprawcą niepogód
Był piejący przed deszczem na podwórzu kogut.

Z samego jednak zagadnienia przyczynowości Asnyk nie szydził: zbyt poważny miał umysł na to, aby odrzucać bez zastrzeżeń teorję determinizmu; umiał ją jednak pogodzić z teorją wolności człowieka:

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę —
Wtedy swobodne masz do czynu pole:
Opadło jarzmo, więzy twoje prysły,
I jako czynnik chętny, niezawisły,
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Na upartego możnaby się w takiem ujęciu zagadnienia wolności człowieka wobec niezmiennych praw bytu dosłuchać odgłosów dawnej filozofji, np. Marka Aureljusza albo Spinozy, ale w poezji Asnyka ono się ukazało prawdopodobnie pod wpływem „życia prądów świeżych", nie starych. „Wolność nie polega na tem, żeby działać bezrozumnie, ale, przeciwnie, na tem, żeby działać podług rozumu": tak ujmie ostatecznie to zagadnienie Boutroux — w dziele, którego zresztą Asnyk znać już nie mógł [1]. A i pogląd wielkiego myśliciela francuskiego, że u podstawy działalności rozumu ludzkiego i wogóle życia „tkwi to, co się nazywa religją" — był także jego poglądem.

Ta zaś religja Asnyka jest „religją ludzkości", która wycisnęła tak silne piętno na filozofji XIX wieku, która np. Com-

[1] *Science et Religion* (1908). Ob. Parodi, *La Philosophie contemporaine en France.* Wydanie drugie, Paryż 1920.

te'owi kazała głosić pogląd, że jednostka w oderwaniu od społeczeństwa jest czystą abstrakcją, że jedynem przysługującem jej prawem jest prawo spełniania obowiązku społecznego; to przykazanie, wraz z nieodłącznem od niego przykazaniem miłości, nieraz rozbrzmiewa w liryce filozoficznej Asnyka.

I jeszcze. Kiedy się w sonetach *Nad głębiami* napotyka pogląd, że

> Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:
> I ci, co czynem ewangelję głoszą,
> I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
> Dzielą się plonem i spadek dziedziczą —

to przypomina się nauka Renouviera, Mariona i Tarde'a o ścisłej solidarności pomiędzy ludźmi, zarówno w złem, jak w dobrem, i o „zarazie moralnej", której zagadnienie i u nas było głośne za czasów Asnyka — dzięki książce J. Wł. Dawida [1].

W ścisłym związku z tą nauką o solidarności całego rodzaju ludzkiego pozostaje nauka o odpowiedzialności jednostki za społeczeństwo i społeczeństwa za jednostkę, nauka, której tak gorącym zwolennikiem i tak gorliwym apostołem był już Carlyle. Otóż i ta idea głośno dźwięczy w poezji Asnyka i stanowi jedną z jej najpiękniejszych myśli:

> Wszyscy są wspólną związani macierzą:
> Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,
> Wrogowie, bracia, dalecy lub bliscy,
>
> Jedni od drugich nawzajem zależą,
> Odpowiadając, na wypadków fali,
> Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!
> . . . . . .
>
> Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,
> Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa;
> Każdemu w dziale część winy przypadnie
>
> Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
> Bo każdy nosi w duszy swojej na dnie
> Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa [2].

---

[1] *O zarazie moralnej, studjum psychologiczno-społeczne* (1886).

[2] Z poglądem tym, który jest niewątpliwie jedną z najcenniejszych zdobyczy myśli filozoficznej (i historycznej) XIX wieku, warto zestawić te słowa Carlyle'a (przytoczone w książce H. Jones'a, *Browning as a philosophical and religious teacher*, Glasgow 1902): „All things the minutest that man does, minutely influence all men, and the very look of his face blesses or curses whom so it lights on, and so generates ever new blessing or new cursing. I say, there is not a red Indian, hunting by Lake Winnipeg, can quarrel with his squaw, but the whole world must smart for it; will not the price of beaver rise? It is a mathematical fact that the casting of this pebble from my hand alters the centre of gravity of the universe."

Oto kilka dowodów, w jak ścisłym związku znajduje się poezja filozoficzna Asnyka z myślą współczesnej epoki. Czy zaś tę zbieżność tłumaczyć należy raczej wpływem rozległej lektury Asnyka, aniżeli „duchem czasu", czy też przeciwnie, to wartoby kiedyś gruntownie zbadać i wyjaśnić.

Bo przecie Asnyk to, jak dotychczas, największy w Polsce poeta myśli: jest to jedyny nasz poeta, „dla którego myślowe opanowanie zagadnień istnienia i bytu świata stanowiło potrzebę duszy równie silną, jak potrzeba tworzenia, który wobec zagadnień własnej zdobyczy i obcej myśli stawał z całkowitą, uczuciową i moralną, bezinteresownością myśliciela" [1].

A ta jego filozofja, przetopiona w piękne kształty poezji, jest nietylko głęboka, ale i bardzo szlachetna: współczesny materjalizm nie zaraził jej swojem zatrutem tchnieniem, z pozytywizmu zaś brał do niej Asnyk to tylko, co poczytywał w nim za rzetelną i trwałą zdobycz naukową. Świadomość, że nauka nigdy nie odpowie na wszystkie pytania, które zadaje sobie człowiek, pragnący wiedzieć, poco żyje, — świadomość, płynąca z uczciwości jego myśli i sprzymierzona z wrodzoną mu głęboką religijnością i z tradycyjną czcią dla „przeszłości ołtarzy", dla ideałów epoki romantycznej — sprawiła, że w jego filozofji nowe hasła i zagadnienia, które przyniosła z sobą epoka pozytywizmu, są prześwietlone wiarą w ostateczny triumf ideałów romantycznych, są uduchowione ich ożywczem, po wszystkie wieki błogosławionem tchnieniem:

Między rozpaczą a nową nadzieją
Serca się ludzkie bezustannie chwieją,
I każda wieków mijająca chwila
W inną je stronę, jak kłosy, pochyla.

Serce Asnyka długo pochylało się t y l k o w stronę rozpaczy, bo długo nie umiał sobie wytłumaczyć tych triumfów złego na świecie, na które patrzał własnemi oczami. Później serce zaczęło się chwiać „między rozpaczą a nową nadzieją", źródłem zaś, z którego płynęła nadzieja, była zrazu jeszcze nie filozofja, tylko wpojona zamłodu wiara w interwencję Boga. W cyklu sonetów *Ze sceny świata*, napisanych pod wrażeniem wojny prusko-francuskiej 1870—1871 roku, anioł zniszczenia chełpi się ze swego dzieła i uderza w ton dzikiej radości:

Ja jeden triumfuję, patrząc na tę ziemię,
Dyszącą w bólu, we łzach, we krwi i żałobie:
Ja jeden — krwawy rubin w moim diademie
Umieściłem ku mojej chwale i ozdobie.

---

[1] Kucharski, j. w.

Ja jeden, klęsk i nieszczęść sprowadzając brzemię
Na ten ród pełen złości — wiedziałem, co robię,
I wytracając mieczem to przeklęte plemię,
Oparłem mój tron własny na pokoleń grobie.

Dzieło moje skończone...

Ale ta radość jest krótkotrwała — anioł zniszczenia wie, że się na jego dziele historja świata nie kończy:

...Lecz Bóg w chmurach skryty
Spogląda nadół okiem ojcowskiej litości —
Gotów mi łup odebrać i czyn pracowity
Zniweczyć jednem tchnieniem łaski i miłości —
Rozkazuje! — Przekleństwo rzucam mu w błękity —
I odlatywać muszę w wieczyste ciemności. —

Lecz ta wiara religijna w interwencję Boga (ten jeden tylko raz ukazująca się w poezji Asnyka) nie wystarczała mu na budowanie „nowej nadziei": zaczął ją więc budować na wiedzy, w której potęgę mocno wierzył i w której rzekome bankructwo nie uwierzył nigdy, — na własnych rozmyślaniach o naturze ludzkiej, o dziejach świata, o ciągłym ich rozwoju i postępie. I na tym dopiero fundamencie zbudował swoją filozofję optymizmu, swoją wiarę filozoficzną, że, mimo wszystko, świat idzie — przez złe — ku dobremu i że główną siłą twórczą, popychającą go w tym kierunku, jest miłość:

Po szczeblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięska miłość dla ziemian
Najsłodsze dary swe mnoży;
W stubarwne mieniąc się blaski,
Cierpiącej, znękanej rzeszy,
Litości, pociechy, łaski
Promienie rozsyłać śpieszy.
Z pod stóp jej wszystkie uczucia wykwitną,
Zdobiąc owiane jej tchnieniem istoty,
I poryw serca staje się już szczytną
Miłością prawdy i cnoty.

. . . . . .

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca.

I, coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

Ten zaś optymizm Asnyka, będący ostatniem słowem jego liryki filozoficznej, nie jest to optymizm tani, oparty na wierze w jakiś cud, albo w jakąś konieczność metafizyczną, lecz na wierze — w człowieka: w jego długiej, wiekowej pracy, w mozolnej, wytrwałej, zbrojnej w rozum i w miłość, a dobrowolnie podjętej walce ze złem — upatruje Asnyk lepszą przyszłość zarówno własnej ojczyzny, jak całego rodzaju ludzkiego.

W wierszu *Orfeusz i Bachantki* mówi Dionysos:

I słusznie rzesza żywych się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła —
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

Taką właśnie pieśnią jest poezja Asnyka.

KASA IMIENIA MIANOWSKIEGO I JEJ ZASŁUGI W DZIEDZINIE HUMANISTYKI

Przemówienie, wygłoszone w Uniwersytecie Jagiellońskim dnia 24 kwietnia 1932 roku, na uroczystym obchodzie pięćdziesięciolecia Kasy im. Mianowskiego.

Uniwersytet Jagielloński polecił mi uczcić zasługi Kasy im. Mianowskiego w dziedzinie nauk humanistycznych. Lecz niechaj mi wolno będzie zacząć od jednego osobistego wspomnienia.

Było to na jesieni w roku 1896, w dwa lata po mym powrocie z czteroletnich studjów zagranicznych do Warszawy. W ostatnim ich roku Kasa Mianowskiego przyznała i wypłaciła mi zwrotną zapomogę na pobyt w Berlinie i Paryżu. Otóż pewnego dnia przynoszą mi jakąś kopertę z firmą „Komitet Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, im. Józefa Mianowskiego". Widok ten przeraził mnie: byłem pewny, że w kopercie znajdę pismo, streszczające się w trzech niemiłych słowach: *Redde, quod debes.* Wprawdzie miałem szczery zamiar oddania długu, ale ochoty, wyznaję, nie miałem żadnej, a co gorsza — nie miałem z czego. Jakież było moje zdziwienie i radość, jedna z największych, jakich doznałem w całem swojem życiu, kiedy w piśmie wyczytałem coś zupełnie innego: Komitet donosi mi, że wczoraj wybrał mnie na swego członka. Piastowałem tę godność przez lat przeszło trzynaście, aż do osiedlenia się w Krakowie. Ucieszyłem się zaś z jej osiągnięcia nie dlatego, żebym się czuł jej godnym, ale dlatego, że o niej marzyłem, jako o wielkiem szczęściu. Bo jakże? Wychowałem się wprawdzie w tradycjach romantyzmu, ale oddychałem już w młodości atmosferą pracy organicznej, której naczelne hasła padły jeszcze przed rokiem 1863, a której jednem z najwspanialszych dzieł była Szkoła Główna warszawska, zorganizowana przez Wielopolskiego, a otwarta na dwa miesiące przed wybuchem nieszczęsnego powstania. Istniała tylko siedem lat, ale w historji naszej kultury umysłowej i wogóle naszego życia narodowego raz na zawsze pozostanie jej działalność. Nie będzie bowiem

przesadą, tylko świętą prawdą, jeśli powiemy, że się żadna inna instytucja na całym terenie dawnej Rzeczypospolitej nie zasłużyła tak bardzo około położenia kamienia węgielnego pod odbudowę tego gmachu kultury narodowej, który zemsta wroga zaczęła systematycznie niszczyć po powstaniu listopadowem, a który chciała zniszczyć doszczętnie po powstaniu styczniowem. Bo przecie pamiętać trzeba, że działalność Szkoły Głównej przypada na czasy, kiedy nie było jeszcze ani uniwersytetów polskich w Krakowie i we Lwowie, ani krakowskiej Akademji Umiejętności.

Nieraz wyolbrzymiano wartości naukowe Szkoły Głównej, nazywano ją nawet jednym z najznakomitszych uniwersytetów europejskich. Była to przesada — niewątpliwie godna szacunku, bo płynęła z serc wychowańców, płonących miłością i wdzięcznością ku swej Macierzy, z tem wszystkiem przesada trochę dziwna, bo wpadali w nią ci sami pozytywiści, którzy tak energicznie zwalczali wyolbrzymiającą wszelkie wartości narodowe ideologję romantyczną.

Dzisiaj już wszyscy zgodzą się na to, że uniwersytet, który organizowano, jeżeli nie nagwałt, to bardzo pośpiesznie, i który istniał tak krótko, nie mógł się stać, mimo że posiadał kilka, a nawet kilkanaście bardzo wybitnych sił naukowych i nauczycielskich, uniwersytetem — ze stanowiska czystej nauki — znakomitym.

Prawda, wychowańcami Szkoły Głównej byli tak znakomici uczeni, jak Baudouin de Courtenay, Lucjan Malinowski, Rembowski, Chmielowski. Ale jeżeli kto powie, że zawdzięczają oni swoją metodę naukową nie tyle Szkole Głównej, ile studjom zagranicznym, to będzie miał słuszność. Tak, ale nikt już chyba nie zaprzeczy, że Sienkiewicz, Prus, Dygasiński, Świętochowski, chociaż, naturalnie, nie zawdzięczają Szkole Głównej swoich talentów, bo się z niemi urodzili, zawdzięczają jej w niemałej mierze i swego gorącego ducha obywatelskiego, i swoją wielką kulturę umysłową.

Niedosyć na tem. Wychowańcy Szkoły Głównej wynosili z niej pogląd, którego w epoce romantyzmu nie uświadamiano sobie u nas należycie, — że praca naukowa to jeden z najświętszych obowiązków życia społecznego i równie nieodzowny warunek już nietylko kultury, ale i samego istnienia narodu, jak twórczość artystyczna i praca nad pomnażaniem wartości moralnych. Oto dlaczego powiedziało się, że Szkoła Główna położyła kamień węgielny pod odbudowę walącego się gmachu kultury narodowej. Hasło pracy naukowej — to najcenniejsza spuścizna siedmiolecia Szkoły Głównej, to jej testament, nie napisany, ale przechowany w umysłach i sercach jej nauczycieli i uczniów.

Jeżeli zaś ten testament społeczeństwo polskie pod rządem rosyjskim mogło wykonywać, winno to nadewszystko powołanej do życia w roku 1881, to znaczy w lat dwanaście po śmierci Szkoły Głównej, Kasie Mianowskiego, do której Komitetu przez długi czas należeli przeważnie profesorowie Szkoły Głównej, i to tacy, jak Władysław Holewiński, Antoni Okolski, Henryk Struve, Jakób Natanson, Henryk Hoyer, oraz jej wychowańcy, i to tacy, jak Henryk Sienkiewicz, Piotr Chmielowski, Bronisław Chlebowski, Konrad Dobrski, Feliks Kucharzewski, Karol Deike. Członkiem Komitetu był także przez czas dłuższy uczony tej miary i Polak tego serca, co Tadeusz Korzon.

Nie dziw tedy, że młodsi pracownicy poczytywali sobie nietylko za wielki zaszczyt, ale i za szczęście, kiedy ich powoływano do Komitetu: być jego członkiem, to znaczyło mieć możność i obowiązek pielęgnowania ducha Szkoły Głównej i wykonywania jej testamentu, zwłaszcza że Kasa, która miała być i zrazu rzeczywiście była tylko Kasą, niosącą pracownikom naukowym pomoc materjalną, zczasem coraz więcej rozwijała utajoną przed okiem rządu rosyjskiego, pośrednią albo i bezpośrednią, inicjatywę w kierunku badań naukowych.

Największą zaś pod tym względem zasługę położył człowiek, który, nigdy nie będąc członkiem Komitetu, często bywał jego inspiratorem i jest nim do dziś dnia. Czy mam wymienić jego nazwisko? Nie! Są przecie jeszcze ludzie w Polsce, którzy pracują bezimiennie i bronią się od rozgłosu, jak od napaści albo od zniewagi. A zresztą wiemy wszyscy, czyjem dziełem jest wydawany od roku 1897 *Poradnik dla samouków* i z czyjego natchnienia powstało, kiedy Kasa, już w niepodległej Polsce, przeobraziła się w Instytut, inne pomnikowe wydawnictwo — *Nauka polska*. Świeżo, w dniu uroczystego obchodu pięćdziesięciolecia Kasy, ukazał się już tom piętnasty tego wydawnictwa, a w nim — obszerna, źródłowa, napisana z nie mniejszym pietyzmem, jak bezstronnością naukową, monografja Zygmunta Szweykowskiego p. t.: *Zarys historji Kasy im. Mianowskiego*, uprzytomniająca nam w całej pełni zasługi tej instytucji. Jakże się one przedstawiają w dziedzinie nauk humanistycznych?

Pomyśleć sobie tylko, jakby u nas wyglądała filozofja i jej historja, gdyby nie Kasa Mianowskiego! Jej to zawdzięczamy pierwsze polskie czasopismo filozoficzne — założony przez Władysława Weryhę i wychodzący do dziś dnia kwartalnik *Przegląd Filozoficzny*, oraz pierwszą polską *Bibljotekę Filozoficzną*, którą zainicjował Struve, a w której, między innemi, znajduje się dokonany przez Chmielowskiego pierwszy przekład polski *Krytyki czystego rozumu* Kanta; jest i *Krytyka praktycznego rozumu*, są i *Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki*. Win-

niśmy także Kasie Mianowskiego przekłady różnych pism filozoficznych Arystotelesa, Platona, Kartezjusza, Spinozy, Berkeleya, Hegla, Schopenhauera, Paulsena, Jamesa, Bergsona. A myśliciele polscy — Biegański, Abramowski, Dawid, Lutosławski, Heinrich i inni — czyby mogli tak owocnie pracować na polu filozofji i czyby ich dzieła ujrzały światło dzienne, gdyby nie pomoc Kasy Mianowskiego?

A etnografja, antropologja, archeologja, nauki ekonomiczne i prawne? Dosyć przypomnieć *Wisłę*, pierwsze polskie czasopismo naukowe, poświęcone krajoznawstwu i ludoznawstwu, *Mazowsze* Kolberga, dzieła Ciszewskiego, Majewskiego, Matlakowskiego, Krzywickiego, Witolda Załęskiego, *Pisma* Aleksandra Rembowskiego, czasopismo *Themis polska*, wychodzące pod redakcją dzisiejszego Prezesa Komitetu Kasy.

W historji językoznawstwa zapisała się Kasa nietylko *Pracami filologicznemi*, które przez długi czas były jedynem polskiem czasopismem, poświęconem badaniom językoznawczym i filologicznym, nietylko *Szkicami językoznawczemi* Baudouina de Courtenay, nietylko podręcznikami gramatyki Kryńskiego i Krasnowolskiego i innemi specjalnemi dziełami, ale nadewszystko *Słownikiem języka polskiego;* wprawdzie jego tom pierwszy wyszedł w roku 1900 „nakładem prenumeratorów", ale ten ich ogień był słomiany; już od drugiego tomu musiała go podsycać Kasa Mianowskiego, a dwa tomy ostatnie, siódmy i ósmy, wyszły już wyłącznie jej nakładem.

Szczególną opieką otoczyła Kasa naukę historji ojczystej. Tu przedewszystkiem wymienić trzeba nazwiska Teodora Wierzbowskiego i Szymona Askenazego. Kilkotomowe źródła archiwalne — *Matricularum Regni Poloniae summaria*, czterotomowe źródła do biografji Jakóba Uchańskiego i monografja o nim, długi szereg źródeł do historji Komisji Edukacyjnej — te wszystkie swoje prace, od początku do końca, wydawał Wierzbowski wyłącznym nakładem Kasy, — podobnie jak Askenazy zainicjowane i redagowane przez siebie *Monografje w zakresie dziejów nowożytnych*, których od roku 1902 do 1916 wyszło tomów dwadzieścia trzy, a wśród których są tak cenne studja, jak Konopczyńskiego, Kukiela, Skałkowskiego, Loreta. Bardzo pożyteczna i popularna, należąca dzisiaj do białych kruków czterotomowa *Encyklopedja staropolska* Glogera, ośmiotomowe *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk* Kraushara, *Mieszczaństwo warszawskie* Władysława Smoleńskiego, monografja Konopczyńskiego o Stanisławie Konarskim, warszawski *Przegląd Historyczny* — i te także wydawnictwa zawdzięcza nauka polska, całkowicie lub częściowo, Kasie Mianowskiego.

Z wydawnictw historyczno-literackich warto wymienić dwadzieścia pięć tomików *Bibljoteki zapomnianych poetów i prozaików polskich*, wydawanej przez Wierzbowskiego, monografję o Krzysztofie Warszewickim tegoż uczonego, księgę jubileuszową *Z wieku Mikołaja Reja*, oraz *Literaturę polską* Korbuta — ten skarb nieoceniony dla historyka literatury polskiej.

A gdyby się do tych wszystkich wydawnictw nie dodało jeszcze *Księgi przysłów polskich* Samuela Adalberga i *Księgi przysłów, sentencyj i wyrazów łacińskich* Leopolda Czapińskiego, toby się niezmiernie pomniejszyło ogromne zasługi Kasy Mianowskiego w dziedzinie nauk humanistycznych.

Niechże tego wystarczy. Ale prawda, jedno jeszcze. Uroczystość dzisiejsza na cześć Kasy Mianowskiego odbywa się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otóż byłoby z jego strony czarną niewdzięcznością, gdyby się na tej uroczystości głośno nie wyznało, że niejeden z jego zmarłych i żyjących nauczycieli zawdzięcza w dużej mierze swoją katedrę Kasie Mianowskiego, albowiem, gdyby nie jej pomoc, nie mógłby dokończyć, albo nawet i zacząć swoich studjów naukowych, nie mówiąc już o tem, że cały szereg znakomitych dzieł naszych wychowawców i profesorów (żeby wymienić tylko *Fizykę* Augusta Witkowskiego) ukazał się w druku dzięki jej pomocy.

Tak było już za czasów niewoli, tak jest i dzisiaj, po odzyskaniu niepodległości: niechże tak będzie i nadal, niechaj Kasa Mianowskiego zatacza coraz szersze kręgi swojej błogosławionej działalności! *Vivat, crescat, floreat — ad majorem Poloniae gloriam!*

HENRYK SIENKIEWICZ

Odczyt, wygłoszony na uroczystej Akademji ku czci Sienkiewicza w Uniwersytecie Jagiellońskim, dnia 7 grudnia 1916 r.

Gdyby jedyną miarą przynależności pisarza do literatury powszechnej było stworzenie jakiegoś nowego rodzaju literackiego, albo pchnięcie istniejącego już rodzaju czy prądu na zupełnie nowe tory, to Sienkiewicz nie miałby prawa być zaliczonym do wszechświatowych pisarzów: nie stworzył bowiem żadnego nowego rodzaju powieści ani noweli, brał z literatury, jużto ojczystej, już obcej, rodzaje gotowe, posługiwał się dawnemi formami, dawnemi pomysłami, dawną techniką; nie byłoby prawdopodobnie *Ogniem i mieczem*, gdyby już przedtem nie było w Anglji Walter-Scotta, we Francji Dumasa, a w Polsce Rzewuskiego i Kraszewskiego; nie byłoby może i *Bez dogmatu*, gdyby już przedtem w literaturze francuskiej nie było powieści psychologicznej, zwłaszcza Bourgeta. Tak, ale czy tylko stworzenie nowego rodzaju literackiego lub nowej formy daje pisarzowi prawo wejścia do panteonu literatury powszechnej? Ależ, gdyby tak było, toby tego prawa nie miał ani Sofokles, ani Wirgiljusz, ani Szekspir, ani Schiller, ani Mickiewicz, ani tylu innych jeszcze wielkich poetów! Bo, jak tego uczy historja literatury powszechnej, wielki talent, a nawet genjusz nie ugania się pospolicie za nowościami: bierze formy gotowe, stworzone bardzo często przez talenty mierne, ale napełnia je nową treścią, to znaczy własnym talentem. Wielkość talentu — to jest dopiero właściwa miara i największe prawo przynależności pisarza do literatury powszechnej, jeżeli się przez nią będzie pojmowało zbiór takich tylko pomników słowa, które mają wysoką artystyczną wartość.

Otóż Sienkiewicz to prawo ma, i to tak wielkie, tak słuszne, tak mocne, jak niewielu powieściopisarzy całego świata. Jest wielkim artystą, artystą z bożej łaski.

* * *

Od samego zarania swojej pracy twórczej jaśniał nietylko ogromną zdolnością postrzegania rzeczywistości, zdolnością, bez której niema i nie może być wielkiego powieściopisarza, ale zarazem bujną i żywą fantazją, bez której się powieściopisarz nigdy nie wzniesie na wyżyny poezji, nigdy też nie będzie mógł szukać natchnienia i treści do swej twórczości w dawnych, zamierzchłych czasach. I już od wczesnej młodości posiadał Sienkiewicz talent nadawania swoim wizjom artystycznym plastycznego wyrazu, wszystko jedno, co było ich przedmiotem, czy natura, czy wypadki, czy dusze i charaktery ludzkie. Zczasem ten talent stanie się wielkim, wręcz genjalnym i, oprócz cudownie pięknych opisów natury, wyda tak wielkie, wszechświatowe arcydzieła plastyki poetyckiej, jak w *Ogniem i mieczem* śmierć męczeńska Podbipięty, w *Potopie* uczta u zdrajcy Radziwiłła, w *Krzyżakach* śmierć samobójcza Zygfryda, w *Quo vadis* uczta u Nerona i walka Ursusa z bykiem, i tyle, tyle innych, w których się piękno i moc słowa polskiego wzniosły, nie tracąc nigdy swej prostoty, na wysokości wręcz fantastyczne.

Dalszym tytułem Sienkiewicza do wielkości jest ogromna różnorodność duchowa jego postaci. Wszystko jedno, w jakich czasach ludzie jego żyją — czy w dobie współczesnej, czy w starożytności, czy w wieku XV, czy XVII, — wszystkie mają zawsze swoje własne i twarze, i ruchy, i głowy, i serca, i słowa. Z równie wielką prawdą, jak artyzmem, umiał Sienkiewicz tworzyć dusze młode i stare, małe i wielkie, pospolite i bohaterskie, samolubne i ofiarne, dobre i złe, proste i zawiłe, zdrowe i chore, szczęśliwe i nieszczęśliwe. Z jednej strony Rzędzian, Połaniecki i Pławicki, a z drugiej Skrzetuski, Wołodyjowski i Kmicic; z jednej Zagłoba, a z drugiej Jurand; z jednej Ursus i Podbipięta, a z drugiej Petronjusz i Płoszowski; Oleńka i Basia obok Anielki i Maryni; Litka i Danusia obok pani Broniczowej i panny Castelli; pani Emilja obok Jagienki: czy dużo jest w literaturze całego świata powieści, któreby posiadały tak wielkie bogactwo różnorodności i kontrastów?

* * *

Już po ukazaniu się pierwszych nowel Sienkiewicza krytyka nazwała go realistą. I słusznie: jest on wielkim realistą, jednym z największych w literaturze powszechnej. Tylko co kto pojmuje przez realizm. Jedni nazywają realistami tych tylko powieściopisarzy, którzy odtwarzają wiernie realną prawdę życia; inni nie odmawiają tego miana i tym, którzy tej prawdy nie odtwarzają, tylko ją przetwarzają, ale tak, że czytelnik ma złudzenie realnej prawdy życia. Słuszność jest, naturalnie, po

stronie tych innych. Prawdziwą sztuką jest tylko ta, która nie odtwarza, ale przetwarza rzeczywistość; jeżeli realizm chce stworzyć dzieło sztuki, musi być realizmem artystycznym, musi być syntezą prawdy i piękna, albo, jeśli kto woli, harmonją rzeczywistości z ideałem. Realizm bez piękna, bez ideału, przeradza się, a raczej wyradza, w naturalizm. Otóż realizm Sienkiewicza jest w całem znaczeniu tego wyrazu realizmem artystycznym, nie naturalizmem, do którego już w młodości żywił odrazę. Miał lat dziewiętnaście, kiedy w liście do przyjaciela napisał te niezmiernie znamienne słowa:

„Jeżeli teraz jeszcze nie mam dosyć siły, to ją mieć muszę, a zdobędę ją przez ciągłą pracę nad sobą, przez ciągłą walkę wewnętrzną, która zahartuje moją wolę i postawi silnym do walki na śmierć i życie, jaką kiedyś pragnę podjąć w imieniu idealizmu... Chcę... walczyć w imieniu tego, co nazywają idealnem, pięknem i dobrem... Proza... życia musi pociągnąć wiele złego, wiele brudu i głupoty — dlatego, powtarzam, chcę walczyć przeciwko takiemu życiu".

Zdawałoby się, że to wcale nie program realizmu, że to, przeciwnie, walka z nim. Lecz dalej:

„Nie pragnę jednak rozegzaltować ludzkość, ażeby pienia poetów na pierwszym kładła planie, a nie zważała na nędzę fizyczną, nie! tego nie chcę... Ale chcę coś idealniejszego, coś szlachetniejszego pierwiastku przymieszać do codziennego, tak zwanego praktycznego życia... Te dwa światy chcę pogodzić najprzód, a może nawet jedynie, w sobie; czy mi się to uda, Bogu wiadomo".

Upłynęło przeszło pół wieku od napisania tych słów, i dziś już nietylko Bogu, ale i ludziom wiadomo, że mu się to udało — i to nietylko w sobie, ale i w tem, co stworzył — tak, jak oprócz niego żadnemu z pośród powieściopisarzy naszych.

Nikt inny nie umiał tak harmonijnie godzić z sobą dwóch światów, rzeczywistości i ideału; nikt inny nie umiał osiągnąć w tym stopniu, co on (nie zawsze, naturalnie, ale w pewnych chwilach swojej twórczości), tej „równowagi między pierwiastkami piękna a prawdy", którą on w swoich słynnych *Listach o Zoli* poczytał za miarę arcydzieła sztuki. Wszystkie jego postaci mają w sobie prawdę życia, to znaczy, że niema wśród nich ideałów. Ale zupełnie co innego nie być ideałem, a co innego nie mieć ideału w sobie: nosić ideał w duszy jest także rzeczywistością. I ma słuszność Sienkiewicz, kiedy mówi, że „wymagania w duchu ludzkim czegoś wyższego, wznioślejszego, są także objawem natury ludzkiej, zatem czemś równie rzeczywistem, jak głód i pragnienie". A jeżeli tak, to wolno i realiście tworzyć ludzi, złożonych nietylko z głodu, pragnienia i innych potrzeb fizycznych, ale także z owych „wymagań... czegoś

wyższego, wznioślejszego". I z tej wolności korzystał Sienkiewicz obficie, a ponieważ sam przez całe życie nosił ideał w swej duszy, więc korzystać umiał: w jego najwyższych kreacjach artystycznych prawda życia łączy się z pięknem, a poprzez mrok i szarzyznę rzeczywistości prześwieca światło i blask ideału; i gdyby kto pod tym względem szukał w naszej powieści porównania z Sienkiewiczem, toby go w niej nie znalazł i musiałby sięgnąć znacznie wyżej, a nawet bardzo wysoko, bo aż do *Pana Tadeusza*, który jest jednem z najgenjalniejszych rozwiązań problematu realizmu artystycznego, jakie zna literatura całego świata.

* * *

Zarzucano czasem, a nawet wyrzucano, Sienkiewiczowi, że, mając tak wielki, tak genjalny talent realistyczny, nie tworzy w swoich powieściach pełni życia, że się boi np. jego strony smutnej, że unika tematów społecznych, że w swoim poglądzie na świat jest tanim optymistą; znaleźli się nawet i tacy, którzy go pomawiali o apoteozę wszystkiego, co przeciętne.

Cóż na to poradzić! Niezgłębiona jest wielkość Pana Boga w różnorodności stworzeń Jego, a papier jest cierpliwy...

Sienkiewicz boi się smutnej strony życia! A tragedja Rzepowej? a krwawa ironja dziejowa bitwy pod Gravelotte? a *Latarnik*? a *Pamiętnik poznańskiego nauczyciela*? a tragedja duszy Płoszowskiego i nieszczęście Zawiłowskiego i Anielki? a śmierć Litki? a tragedja dziejowa Polski w XVII wieku? a prześladowanie chrześcijan?

Tematy społeczne — to prawda — w epoce najświetniejszego rozkwitu talentu, to znaczy w epoce powieści historycznych, nie pociągały Sienkiewicza: ale czy to zarzut? czy przyszło komu kiedy na myśl zarzucać Prusowi, że prócz *Faraona* nie pisał powieści historycznych? czy ma kto żal do Kiplinga, że bardziej niż ludzie pociągają go zwierzęta?

Nie, tylko niechęć i stronniczość mogły się zdobyć na podobne zarzuty!

Optymistą, rzeczywiście, był Sienkiewicz, ale nie był to wcale optymizm tani, nie był owocem zamykania sobie oczów i uszów na łzy i jęki ludzkie. Sienkiewicz nigdy nie był ślepy na smutki życia, ale nie był także głuchy na jego radości, a przedewszystkiem miał głęboką, mocną i żywą wiarę, że pomimo łez i jęków życie ma jednak sens i wartość, że cierpienie jest jego pierwiastkiem nietylko koniecznym, ale i potrzebnym. I to szczęście dla nas, że miał taką wiarę: pomyśleć sobie tylko, czyby to naszym duszom na zdrowie wyszło, gdyby je najpo-

czytniejszy ze wszystkich pisarzów poił pesymizmem i zwątpieniem, zamiast wlewać w nie wiarę w życie! Niech będzie błogosławiony optymizm Sienkiewicza!

Apoteoza przeciętności! A tak, wśród postaci, powołanych do życia przez jego twórczą fantazję, niema ani jednego „nadczłowieka", któryby np. poczytywał Golgotę za legendę, a ideał chrześcijański miłości za słabość ducha i głupotę, albo któryby drwił sobie z obowiązków względem człowieka i ojczyzny, albo któryby zbrodnią i rozpustą stwierdzał swoje nadczłowieczeństwo, a w orgji zmysłów i alkoholu szukał absolutu i nieskończoności! Są zato tak bardzo przeciętni ludzie, jak Skrzetuski, który nie chce słyszeć o własnem szczęściu, póki ojczyzna nieszczęśliwa; albo jak Kmicic, który, kiedy go opętała pokusa, żeby już nie iść na wojnę, rzucił się na ziemię i „krzyczeć jął w przerażeniu: Jezu, nie karz! Jezu, zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!", „ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste, idę!" — i poszedł; albo jak Wołodyjowski, który, uczyniwszy ślub, że złoży życie na ofiarę ojczyźnie, oswaja z tą myślą swoje biedne, ukochane, zalewające się łzami i tulące się do niego stworzenie: „Pamiętaj, Baśka: nic to!"; albo jak Jurand, który dla miłości Chrystusa puszcza wolno podłego Krzyżaka, co go oślepił i okaleczył; albo jak Glaukus, który, kiedy wśród straszliwych męczarni, płonąc żywym ogniem, jako pochodnia Nerona, usłyszał wołanie swego kata: „Glauku, w imię Chrystusa, przebacz!", odpowiedział: „Przebaczam!", a kat „rzucił się na twarz, wyjąc jak dziki zwierz, i nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę", a potem wstał, odwrócił się ku tłumom i zaczął nie wołać, ale krzyczeć: „Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten", „i wskazał palcem na Nerona". Oto przeciętność Sienkiewicza!...

Dobrze, ale *Rodzina Połanieckich*? czy nie słusznie jej zarzucano, że jest apoteozą ludzi przeciętnych, albo i mniej niż przeciętnych? Kłamstwo! Pomawiać o to Sienkiewicza mogła tylko albo zła wola, albo rozpaczliwa nieudolność, zupełny brak zmysłu krytycznego: kto ma oczy, ten nawet bez okularów zobaczy, że Sienkiewicz wcale przeciętności nie apoteozuje, że jego osobisty stosunek do Połanieckiego, zarówno ideowy, jak uczuciowy, jest jednak krytyczny.

Nie, nazywać Sienkiewicza heroldem „przeciętności narodowej, niezdolnej do napinania uczuć, do wyższych wzlotów myślowych", mogą jedynie ci, którzy — jedno z dwojga — albo nie są wogóle zdolni do odczuwania wielkości ducha, albo też ci, dla których powieści historyczne Sienkiewicza są tylko...

„najpyszniejszemi bajkami, jakie literatura polska posiada". To trudno. Dla ogółu p o l s k i e g o, to znaczy dla tych, którzy czują naprawdę po polsku, powieści historyczne Sienkiewicza, jak nie były i nie są, tak nigdy nie będą bajkami, były zato, są i będą najpiękniejszą, najdroższą poezją, na jaką się literatura polska w drugiej połowie XIX wieku zdobyła.

* * *

Tak, poezją. Bo Sienkiewicz to nietylko wielki powieściopisarz, wielki prozaik, ale także poeta. Kto złożył do skarbca literatury tak cudowne perły, jak *Janko muzykant*, *Latarnik*, *Niewola tatarska*, *Bądź błogosławiona*, *Na Olimpie*, śmierć Podbipięty, pogrzeb Danusi, ten jest chyba poetą. I znowu pytamy: czy się chociaż jeden z powieściopisarzy naszych, dawniejszych czy dzisiejszych, może pod tym względem równać z Sienkiewiczem, jeżeli już nie wielkością, to przynajmniej różnorodnością wartości poetyckich? Jeżeli zczasem nasza krytyka głębiej i pilniej, niż dzisiaj, będzie badała w utworach literackich walory estetyczne, to zdumieje na widok ich nieprzebranego bogactwa w powieściach Sienkiewicza. Ten sam poeta, który stworzył postać Zagłoby i napisał *Tę trzecią*, ten sam, który jest obok Fredry największym humorystą polskim, stworzył cały szereg postaci i sytuacyj wzruszających do łez i tragicznych; w jego powieściach jest nie mniej wdzięku, jak wzniosłości, zarówno groźnej i ponurej, jak podniosłej, wlewającej w serca otuchę i wznoszącej je *ad astra*, nie mniej piękna plastycznego, zmysłowego, jak idealnego, uduchowionego, nie mniej poetycznego liryzmu radości życia, jak jego smutku.

* * *

Lecz nie życie współczesne było dla Sienkiewicza najpotężniejszem źródłem natchnienia poetyckiego, nie widział w niem bowiem tego pierwiastku, bez którego nie rozumiał wielkiej poezji: wielkości. Często przytaczał z Asnyka, który należał do najulubieńszych jego poetów, te strofy z wiersza *Poeci do publiczności:*

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Któryby porwał małoduszne zgraje?
Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki,
Młodzieńczej wiary, świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje,
I nie zostało nic z anielskich wizyj
Prócz niedowiarstwa albo hipokryzji.
. . . . . .

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem;
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem:
Więc, żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem,
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach,
By kruszyć kopje na spłoszonych owcach.

Otóż najwięcej poezji Sienkiewicz widział w tych właśnie rzeczach, „których niema"; całą potęgę swoich orlich skrzydeł uświadomił sobie dopiero wówczas, kiedy zaczął szybować nad przeszłością ojczyzny. A wtedy zagrał na strunach jej miłości i chwały tak wspaniale, jak nikt w Polsce od śmierci romantyków, i wtedy wskrzesił jej przeszłość tak poetycznie, jak nikt od śmierci Słowackiego.

I to jego największy czyn, największa ze wszystkich zasług. Za ten czyn właśnie ukochał go naród i będzie kochał zawsze, chyba że się sprzeniewierzy swemu duchowi polskiemu. Nie zapomni mu nigdy, że w czasach bardzo smutnych on wlewał w niego „nowe ducha siły", że w epoce, kiedy duszy narodowej groziło bardzo poważne niebezpieczeństwo, on jej bronił i — obronił.

Było zaś to niebezpieczeństwo dwojakie: jedno zewnątrz, drugie zzewnątrz, jedno, jakby powiedział Skarga, domowe, a drugie postronne.

Smutne były dusze polskie po roku 1863. Ogarnęło je zwątpienie już nietylko co do przyszłości, ale i co do przeszłości. Nie wierzono już dawnej odpowiedzi na bolesne pytanie: dlaczego?, które sobie głowy i serca polskie od końca XVIII wieku zadawały. Dawniej mówiono sobie: Polska upadła dlatego, że jest narodem wybranym, ofiarą dla odkupienia grzechów i podłości Europy, że zmartwychwstanie i całemu światu zaśpiewa pieśń szczęśliwą. Teraz ta wiara ustąpiła miejsca przekonaniu, że wszystko, co się stało, stało się z własnej winy. I chciano poznać te winy, żeby się z nich poprawić, żeby znaleźć drogę ratunku. Znajdowano ich tyle i tak strasznych, że serca aż zadrżały: jakto? więc ta dawna, święta, ukochana Polska nic nie warta? Oto pierwsze niebezpieczeństwo, domowe: gmach przyszłości można budować tylko na fundamencie przeszłości, na niczem więcej, więc jakże go budować, jeżeli w jego fundamencie niema ani jednej niezepsutej cegły? A do takiego właśnie wniosku doprowadzały nieraz badania historyczne po roku 1863. Nikt nie przeczy, że one przyniosły nam dużo, bardzo dużo pożytku, że uleczyły nas z przesadnego mniemania o naszej przeszłości; ale, że się posuwały zbyt daleko w jej krytyce, że w pogoni za cieniami nie widziały świateł, że tych sa-

mych cieniów, co u nas, nie widziały w innych krajach, to także nie ulega wątpliwości. Wiersz Asnyka na *Historyczną nową szkołę* jest paszkwilem, — ale nie jest paszkwilem to, co Asnyk mówi w innym utworze, napisanym dla uczczenia dwudziestej piątej rocznicy powstania 1863 roku, że za grzechy tego roku

Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono, jak jawnogrzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono, i plwano jej w lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka.

Jako charakterystyka nowej szkoły historycznej, są to słowa nazbyt silne: nikt z jej twórców nie znęcał się nad Polską, nikt nie plwał jej w lice; ale jako wyraz tego, co się we wrażliwych duszach polskich dziać musiało, kiedy je pojono jednostronną krytyką przeszłości narodowej, te słowa są prawdą. Prawdą także jest, że po roku 1863 przyszło nowe pokolenie, które,

W twardej nieszczęścia urobione szkole,
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodyczy;
Krępuje skrzydła młodości sokole,
W każdym porywie z siłami się liczy.
. . . . . .
Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste zdroje;
Gdyż pragnie świeżej doszukać się broni,
Z którąby mogło przyszłe staczać boje,
A w tej pogoni stopą nieoględną
Depce wawrzyny, co na grobach więdną.

Na ten widok oburzała się dusza Sienkiewicza, krwawiło mu się serce, a i myśl się buntowała przeciwko niedocenianiu przeszłości narodowej. I kiedy Włodzimierz Spasowicz nazwał jej kult kanonizowaniem jawnogrzesznicy, Sienkiewicz zaprotestował przeciwko temu z energją, na jaką mu tylko pozwoliła cenzura rosyjska w Warszawie: „Chrystusować przeszłość jest przesadą, —pisał — ale nazwać ją jawnogrzesznicą jest nie mniejszą, i choćbyśmy się zgodzili na to, że dzięki mesjanizmowi mieliśmy głowę w obłokach, to drugi kierunek może przez niebaczność wytrącić nam podstawę z pod nóg".

Ale tę podstawę z pod nóg wytrącali nam nadewszystko nasi wrogowie, a głównym środkiem tej szatańskiej roboty była obca szkoła. Szkołę rosyjską sam Sienkiewicz scharakteryzował w tych słowach: „Język polski uczyniono nieobowiązującym i zaczęto go wykładać narówni z innemi przedmiotami po rosyjsku; powprowadzano idjotyczne podręczniki, w których

można znaleźć takie np. wiadomości, że Wiedeń oswobodzili od najścia Turków Kozacy; poczęto karać za każde słowo polskie, wymówione w murach szkolnych, jak za przestępstwo; łżono przeszłość polskiego narodu, jego czyny i jego historję; urągano językowi; poniewierano wszystkiem, co mogło być polskiemu dziecku bliskiem i drogiem, i wypędzano ze szkół za najmniejszy protest przeciw tej codziennej ohydzie;... szkoła stała się wprost katownią i nieszczęściem społecznem, tragedją dla wychowańców". Wiemy wszyscy, i najkrytyczniejsza historja temu nie zaprzeczy, że w tych słowach niema ani źdźbełka przesady, z tym jeszcze dodatkiem, że tak samo było i w zaborze pruskim. Kiedy pierwotny tytuł swej noweli *Z pamiętnika warszawskiego nauczyciela* zamieniał Sienkiewicz dla uśpienia czujności cenzury w Warszawie na tytuł: *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*, to nie mijał się z prawdą; przecie i w szkole pruskiej, jak się później wyrazi Sienkiewicz, nauczyciel „nie jest przewodnikiem, który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką". Tak, na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej, z wyjątkiem jednej Galicji, przyświecało hasło: zniszczyć i zabić ducha polskiego. Oto drugie niebezpieczeństwo, od pierwszego stokroć straszniejsze.

W takiej to epoce Sienkiewicz, który dotychczas rozpraszał swój wielki talent na nowele i feljetony literackie, uczuł, jak sam wyznaje, „niesmak do nowelek, do bohaterów-liliputów, do rozczulania się na kwincie, za cienko brzmiącej". Powiedział sobie: dosyć tego — i postanowił uderzyć w inną strunę — bohaterską.

* * *

Miłość przeszłości wyniósł Sienkiewicz z domu rodzicielskiego, i od małego dziecka rycerska przeszłość Polski wywierała nań jakiś magiczny wpływ. Jak sam opowiada, był w pierwszej klasie gimnazjalnej, kiedy w katedrze św. Jana w Warszawie nie mógł oderwać wzroku od pomników, portretów, a zwłaszcza posągów rycerzy w zbrojach: „Sam nie wiem, czy od tych rozmaitych pamiątek, od tych portretów, od tych pomników, od tych marmurowych twarzy, nie wiał na mnie wówczas wiatr minionych wieków sławy, siły, wolności — i nie nanosił tych ziarn, które długo leżały mi w duszy, zanim wyrosły z nich moje powieści historyczne". Wyrosły nareszcie, a plon — to jest rzeczą pewną — przyśpieszyła jednostronna krytyka naszej przeszłości, podjęta przez grono historyków

polskich po roku 1863, ale nadewszystko obca szkoła, świadomie lekceważąca albo zohydzająca przeszłość Polski w oczach polskiej młodzieży. Jak w sercu Mickiewicza tęsknota za ziemią rodzinną rozżarzyła jej miłość, tak w sercu Sienkiewicza krzywda, wyrządzana przez swoich i obcych przeszłości narodowej, zwiększyła jej kult. Nie, powiedział sobie, nie wszystko jest tam takie złe, — nawet w tym XVII wieku, o którym mówicie, że tonie w mrokach prywaty i anarchji, są jasne, wspaniałe, wielkie światła obywatelskiej cnoty i heroizmu, które i w dzisiejszych mrocznych czasach mogą i powinny oświecać i ogrzewać serca. I powiedział sobie jeszcze ze Słowackim, że,

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu,
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać...

Więc stanął Sienkiewicz na mogiłach — po raz pierwszy w roku 1880, i sercem usłyszał „tych jęk z pod trawy", co, jak szlachcic niezłomny Aleksy Zdanoborski, nie padli w *Niewoli tatarskiej* na twarz przed chanem, nie dali się skusić podłemu argumentowi, którym nieraz wojowali z nami różni chanowie, nietylko tatarscy: „Jeśli, niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał". Niezłomny szlachcic był tak bezbożny i tak nielojalny, że odrzekł: „Ciało moje jest tylko w niewoli". A chan tatarski był rozumniejszy i uczciwszy od różnych nietatarskich chanów, skoro rzekł do swoich agów i czaukczów: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni!"

Lecz to był dopiero początek. Od tej chwili coraz to silniej zaczęli przemawiać Sienkiewiczowi do serca i wyobraźni „dawni ludzie" ze swoją „złotą wiarą" i „złotem sercem", i znów powiedział sobie ze Słowackim:

Dalej więc! mówcie mi znów, serca stare,
Usta, umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się, duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące.

Pokazały mu się żywe, jasne duchy, najprzód tych rycerzy, którzy obronili Rzeczpospolitą przed nawałą kozacką, potem tych, którzy ją ocalili tonącą w potopie najazdu szwedzkiego i domowej zdrady, później tych, co ją przed Księżycem zasłonili, a wreszcie tych, którzy na polach Grunwaldu uratowali na całe wieki narodowość polską, i państwo polskie, i chrześcijańską

kulturę polską od zalewu krzyżactwa; w roku 1884, t. j. w pół wieku po *Panu Tadeuszu*, wyszło *Ogniem i mieczem*, w 1886 *Potop*, w 1888 *Pan Wołodyjowski*, w 1900 *Krzyżacy*.

> Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
> Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
> I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła:
> Marsz triumfalny „Jeszcze Polska nie zginęła!"

To nie przesada: wszyscyśmy usłyszeli w *Trylogji*, a i w *Krzyżakach* Sienkiewicza — te cztery słowa, o których prawdę powiedział Witkiewicz, że są to największe słowa, jakie po utracie niepodległości usta polskie wymówiły. Łudził się wróg, a przynajmniej chciał wmówić w świat, że cudowna muzyka tych słów przestała już grać w sercach polskich, myśmy ją sami coraz dalszą i coraz cichszą słyszeli, już konającą „gdzieś na niebios progu", ale kiedy ją nam Sienkiewicz zagrał na sercach, one oddźwięky równie głośno, jak dawniej, tą samą wiarą, tą samą nadzieją, tą samą miłością, równie głęboką, ale bezporównania szerszą: bo dawniej tę pieśń śpiewała tylko cząstka narodu, ale *Trylogja* Sienkiewicza nauczyła ją śpiewać całe tysiące, a raczej całe miljony ust i serc polskich, które jej dawniej nie znały, a przynajmniej nie rozumiały i jeszcze nie kochały. Tak, jeżeli dzisiaj muzyka tej pieśni ukochanej gra już we wszystkich duszach polskich, jest to w ogromnej mierze zasługą Sienkiewicza. Przecie nigdy jeszcze żadna książka polska nie była tak poczytna, jak *Trylogja;* przecie nie Mickiewicz, tylko Sienkiewicz dożył tego szczęścia, że książki jego „zbłądziły pod strzechy"; przecie to nie bajka, tylko szczera prawda, że chłop polski dawał na mszę za duszę Podbipięty, że na Litwie i w Prusach, w Rosji i w Ameryce niejedna dusza polska, która w połowie już zatraciła swoją polskość, odzyskiwała ją w całej pełni — po przeczytaniu *Trylogji*.

Marzył Kołłątaj, żeby na całym obszarze Rzeczypospolitej była jednolita szkoła, któraby, wpajając w umysły uczniów jednakowe pojęcia, a w serca jednakowe uczucia, wytworzyła moralną jedność narodu polskiego. Marzenie to nie mogło się wówczas ziścić, najprzód wskutek arystokratycznego ustroju społeczeństwa i państwa polskiego, a potem wskutek utraty niepodległości. Wróg czuwał pilnie, żeby się nasze węzły jedności duchowej coraz bardziej rozluźniały i rwały, a główną bronią tej piekielnej polityki była znowu szkoła, świadomie zmierzająca do wytworzenia zupełnie innej jedności, niż ta, o której marzył Kołłątaj, jedności rozerwanych części z obcym organizmem, jedności nie z Boga, tylko z piekła rodem. W drobnej tylko mierze udała się ta robota, i dziś z dużo większem prawem, niż po

utracie niepodległości, możemy sobie zaświadczyć, że jesteśmy j e d n y m narodem. A jeżeli nim jesteśmy, zawdzięczamy to niemało naszej literaturze, która jednoczyła nas w naszych usiłowaniach i celach. Strach pomyśleć, czem bylibyśmy się stali, gdyby nie Woronicz i Niemcewicz, gdyby nie wielcy poeci romantyczni, gdyby nie Kraszewski. Ale strach pomyśleć także, czem bylibyśmy po roku 1863 bez Sienkiewicza, bez jego *Trylogji*. Ona nas ożywiła, ona naprawdę pokrzepiła nam serca, ona nietylko wlała w nasze piersi miłość dawnej, rycerskiej Polski, ale rozpaliła w nich nowe zarzewie buntu przeciwko niewoli.

Jak jeden Bóg tylko zliczył, ile ofiar i mąk poniosła, ile łez i krwi wylała Polska w swoich walkach o niepodległość, tak jednemu tylko Bogu wiadomo, ile dusz polskich ten człowiek Polsce przysporzył, ile ich dla polskości ocalił, ile ich wyratował z kałuży kosmopolityzmu i z martwego morza niewiary i obojętności, ile ich wyrwał z chciwej i nienasyconej paszczy wroga, który chciał połknąć nietylko ciało, ale i duszę Polski!

* * *

Ale czy to już wszystko? Jeszcze nie! W lat trzynaście po ostatniej części *Trylogji* ukazało się *Quo vadis*. Niebawem przełożono je na wszystkie języki europejskie, i już w roku 1900, kiedy na pamiętnym obchodzie jubileuszowym Uniwersytetu Jagiellońskiego stanęli przed jego senatem delegaci uniwersytetów amerykańskich, zaświadczyli głośno, że przybywają z kraju, którego każdy mieszkaniec ma w swem sercu Kościuszkę, a w swoim domu, prócz *Pisma Świętego*, także i *Quo vadis*. Z roku na rok wzrastała sława wszechświatowa Sienkiewicza, czarowi jego powieści nie oparła się nawet Francja, która, słusznie rozkochana w swojej własnej, wielkiej, wszechświatowej literaturze, niesłusznie z nieufnością i pogardą patrzy często na cudzoziemską. I wówczas to Sienkiewicz, z jednej strony widząc i czując, że we własnym kraju jest najpopularniejszym i najukochańszym już nie tylko pisarzem, ale i człowiekiem, a z drugiej strony wiedząc, że jest pisarzem głośnym na całym świecie, że jego nazwisko nie jest dla cudzoziemców tylko pustym dźwiękiem, jak nazwiska innych autorów naszych, nie wyłączając wielkich poetów, — wówczas stał się orędownikiem sprawy polskiej wobec zagranicy: przez jego usta cały naród polski, który go milcząco uznał za swego przedstawiciela, zaczął przypominać światu swoje nieprzedawnione prawa i wobec całej ludzkości piętnować dziejące się nad nim nikczemne bezprawia. Oto myśl przewodnia kilku odezw Sien-

kiewicza, czyto *Listu do baronowej Suttner*, czy *Listu otwartego Polaka do ministra rosyjskiego*, czy *Ankiety o wywłaszczeniu*, i jeszcze innych.

Te wszystkie odezwy w tej spuściźnie królewskiej, którą narodowi swojemu pozostawił Sienkiewicz, należą do najświetniejszych klejnotów, naprawdę królewskich. Drga w nich ból, ale słabości ducha, ale pęknięcia serca tam niema; jest zato majestatyczny spokój, jest nieskruszona moc ducha, niewzruszona świadomość sił moralnych narodu, jest królewskie poczucie godności i honoru narodu, skrzywdzonego, ale który nie żebrze litości, tylko domaga się swoich świętych praw, jest potężny protest przeciwko bezprawiu, nazywający zbrodnię po imieniu. „Bezduszne... i nieludzkie jest takie prawo, które, nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swoje legowisko, zabrania Polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową". „Ponieważ zbrodni potrzeba ciemności, więc przez długie i długie lata trzymano nasz lud jakby w podziemiu, z obawy, aby, ujrzawszy światło, nie ujrzał zarazem wszelkich popełnionych nad jego ojczyzną niegodziwości, hamowano oświatę, by łatwiej wszczepić nienawiść i by łatwiej powaśniony i ślepy naród przywieść do ostatecznego upadku i zniszczenia".

Lecz jest w tych odezwach jeden jeszcze rys, tak piękny, tak szlachetny, a tak nawskróś polski. Romantyzm utrwalił i pogłębił w sercach polskich religijną wiarę w najwyższość ideału chrześcijańskiego, w jego harmonję z ideałami narodowemi, w istnienie porządku moralnego na świecie, w ostateczny triumf sprawiedliwości, która

...wkońcu wygrywa na wieki.

Otóż wiara ta bardzo silnie dźwięczy w odezwach Sienkiewicza, który nietylko przez swoją bujną fantazję i gorące uczucie i talent poetycki jest prawowitym spadkobiercą wielkich romantyków, ale i przez swoją czystość moralną i podniosły idealizm. „Państwo ma prawo dążyć do potęgi, ale musi poczuwać się do obowiązków wszechludzkich". „Siła powinna mieć duszę, i to duszę wysoką i moralną". „Należy miłować Ojczyznę nadewszystko i należy myśleć przedewszystkiem o jej szczęściu; ale jednocześnie pierwszym obowiązkiem prawdziwego patrjoty jest czuwać nad tem, by idea jego Ojczyzny nietylko nie stanęła w przeciwieństwie do szczęścia ludzkości, lecz by się stała jedną z jego podstaw; tylko w tych warunkach istnienie i rozwój Ojczyzny staną się sprawą, na której całej ludzkości zależy; innemi słowy, hasłem wszystkich patrjotów powinno być: p r z e z O j c z y z n ę d o l u d z k o ś c i, nie

zaś dla Ojczyzny przeciw ludzkości". I jeszcze: „Wieki chrześcijańskiej kultury, nie mniej jak zdrowy rozum, mówią głośniej od bałwochwalców warcińskich, że ta kultura, którą żyje ludzkość od dwóch tysięcy lat, jest... siłą większą i bardziej nieprzepartą od bagnetów i że hetmanem nieprzeliczonych zastępów winna być sprawiedliwość". Czy na te słowa nie zadrżałyby z radości serca Mickiewicza i Krasińskiego? czy nie powiedziałyby mu: „Tyś z nas"?

* * *

Ale bo też on był z nich, był spadkobiercą ich ideałów nietylko narodowych, ale i ogólnoludzkich, ich miłości nietylko Orła Białego, ale i Krzyża. I dlatego on był powołany, on jeden jedyny, do tego, żeby po ich śmierci hetmanić duszom polskim; i dlatego, kiedy się rozległa wieść żałobna o jego śmierci, to serca polskie zajęczały podobnym jękiem, jaki się wyrwał z piersi poety XVII wieku na wieść o śmierci Chodkiewicza w obozie chocimskim:

Hetmanie mój złoty!
Przeczże, przecz zostawujesz zaczęte roboty?

Bo nie w słodkim odpoczynku, tylko przy ciężkiej robocie zastała Sienkiewicza śmierć, — przy jakiej, to wiemy wszyscy. On, który uratował tyle dusz polskich, zapragnął ratować życia polskie. Wyjechał do Szwajcarji i tutaj, korzystając ze swojej wszechświatowej sławy i mając zupełną świadomość, że on jeden jedyny w całej Polsce jest milczącą zgodą jej synów powołany do tego, żeby wobec świata być jej duchowym przedstawicielem, zorganizował i piórem swojem popierał pracę około zbierania funduszów dla zniszczonej przez wojnę Ojczyzny. I tej pracy oddał się całkowicie i niepodzielnie, pomimo że z różnych stron chciano go wciągnąć do roboty politycznej i namawiano, żeby powagą swego nazwiska poparł taki lub inny kierunek i uświęcił go w oczach narodu blaskiem swojej aureoli. On odmawiał — i nie mógł, a raczej nie powinien był nie odmawiać, — dlaczego, niech na to on sam odpowie. Oto co pisał na rok niespełna przed śmiercią do jednego ze swoich krewnych:

„Czytałem ciągle, a przynajmniej od czasu do czasu, w gazetach o rozmaitych moich orjentacjach. Czasem się to przykrzy. Wprawdzie i ja często „*timeo Danaos*", ale moje stanowisko jest proste. Uczuciowo jest przyjazne dla tych, którzy chcą i mogą zapewnić nam jak najwięcej samodzielności i rozwoju, a faktycznie, póki jestem prezesem Komitetu, który musi mieć dostęp do wszystkich dzielnic, jest ściśle neutralne. Przestrzegam tego tak dalece, że, gdy mnie rząd francuski zaprosił do zwiedzenia frontu, odmó-

wiłem... Nie brakło mi ochoty widzieć wojnę zbliska, tak jak ją oglądał zaproszony Rudyard Kipling. Ale ponieważ trzebaby było oświadczać się z sympatjami, widywać figury urzędowe, podlegać wywiadom dziennikarskim, więc wolałem się wstrzymać. Kosztowało mnie to dużo, ale trudno! Najpilniejszą obecnie rzeczą jest ratować zagrożone przez głód i nędzę życie polskie. To ważniejsze od wszelkich romantyzmów i realizmów politycznych".

Czy tego nie dosyć? A komu tego mało, niech sobie jeszcze przeczyta i dobrze rozważy jeden dwuwiersz Mickiewicza:

Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie,
Że on zawsze to tylko zwykł robić, co umie.

Sienkiewicz czuł się dość silnym i zobowiązanym, i uprawnionym, i powołanym do tego, żeby być duchowym przedstawicielem Polski wobec całego świata, żeby mu przypominać jej święte i niezaprzeczone prawa do życia i bronić jej honoru narodowego: z tego obowiązku i powołania wywiązywał się zawsze i wywiązał się w ostatnich latach swego życia nietylko ze spokojem i godnością, ale także z wielkim rozumem, z jasną świadomością granic możliwości, poza które ta broń duchowa, którą on władał, nie sięga. Gdyby te granice przekroczył, mógłby tylko zaszkodzić tej wielkiej sprawie, której służył. Rozumiał, że w tej służbie musi mieć zupełną wolność ruchów, że mu jej nie wolno krępować oświadczeniem się na tę lub ową stronę, za tem lub owem stronnictwem. A jak z tej wolności korzystał, to w całej pełni zczasem dopiero wyjdzie najaw. Dotychczas wiemy tylko, że dzięki jego przewodnictwu w Komitecie szwajcarskim i jego nazwisku napływały zewsząd fundusze dla Polski. Ale na tem on nie poprzestawał. Oto jeden szczegół, dotychczas nieznany, niby drobny, a tak bardzo wymowny:

„W Kanadzie — są słowa z listu Sienkiewicza (dnia 1 listopada 1915 r.) — traktowano Polaków, poddanych austrjackich i niemieckich, bardzo źle. Internowano ich, o ile nie byli obywatelami kanadyjskimi, nie dawano im pracy etc. Napisał do mnie o tem ksiądz Franciszkanin, prosząc o list tego rodzaju, żeby go można wydrukować w pismach. Napisałem,... i obecnie ten sam ksiądz donosi mi, jaki był skutek. Oto internowanych uwolniono, sympatje dla nich wzrosły, pracę dają im chętnie, a co więcej, we wszystkich szkołach, do których chodzą dzieci polskie, wyznaczono z pośród Polaków płatnych nauczycieli polskiego języka"...

Czy był wówczas w całej Polsce jaki drugi człowiek, któregoby słowa odniosły taki skutek? Nie, takim człowiekiem był on jeden jedyny, ukochany twórca *Trylogji*, pokrzepiciel serc polskich i hetman dusz polskich, Henryk Sienkiewicz!

* * *

Jest w *Prelekcjach paryskich* Mickiewicza jedna piękna i głęboka nauka — o „człowieku wiecznym". Mówi Mickiewicz, że wodzem duchowym swojego narodu może być tylko taki człowiek, który się czuje „członkiem swego Kościoła, synem swego narodu", który „całą przeszłość religijną i polityczną" umie „ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historji było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas, jako ziarno siewne, jako siła życiodajna". Mickiewicz ma słuszność. Jeżeli się historja narodu ma toczyć drogą prostą i prawą, a nie manowcami, trzeba, żeby jego wodzowie byli nie zaprzeczeniem, nie przeciwieństwem jego ducha i przeszłości, jak wielu samozwańczych i jednodniowych fałszywych proroków, ale, przeciwnie, syntezą jego ducha i jego przeszłości, żeby byli, chociaż wyżsi od niego i podnoszący go na swoje wyżyny, kością z jego kości i krwią z jego krwi. Takim człowiekiem wiecznym był dla Polski, a raczej jest i będzie, on sam, Mickiewicz, takim był, jest i będzie Sienkiewicz: on czuł się i był członkiem swego Kościoła i synem swego narodu, w jego sercu paliła się ściśnięta w jedno ognisko cała nasza przeszłość religijna i polityczna, przeszłość wielka, wolna, niepodległa, i promienie z tego serdecznego ogniska oświecały i ogrzewały i, da Bóg, zawsze oświecać i ogrzewać będą dusze polskie. Tak, nikt od czasu wielkich poetów romantycznych nie wpajał w nasze serca mocniej i głębiej miłości ojczyzny, i wiary, że się nasze marzenia ziścić muszą. I dlatego w historji narodu polskiego imię Sienkiewicza będzie nieśmiertelne;

Bo, gdy się losów zdrada na nas wściekła,
Gdy szatan piekłem osaczył nas wszędzie,
Wszelki czyn święty, dokonan śród piekła,
Na wieki wieków pamiętany będzie.

A czyn Sienkiewicza — śród piekła niewoli — był święty...

KALENDARZ OPOLSKI I SIENKIEWICZ NA ŚLĄSKU

Dnia 6 marca roku 1899 odbyła się w Opolu wielka uroczystość. Od godziny czwartej po południu zaczęły się gromadzić przed gmachem więziennym wielkie tłumy mieszkańców Opola i włościan, przybyłych z bliższych i dalszych stron; nie brakło i studentów uniwersytetu wrocławskiego; — wszyscy Polacy: Niemcy pochowali się w mieszkaniach i wyglądali tylko przez okna. Czekano na więźnia, który, po ośmiomiesięcznym pobycie w więzieniu, miał być wypuszczony na wolność. Lecz zgromadzone tłumy doznały przykrego zawodu: około godziny szóstej wypuszczono wprawdzie więźnia, ale nie tą stroną gmachu, po której tłumy stały, tylko przeciwną — przez główne drzwi sądu ziemiańskiego. Więzień wsiadł do dorożki i (temu władze pruskie przeszkodzić już nie mogły) pojechał prosto do pobliskiego lokalu w ogrodzie. Tam czekali go już dobrzy znajomi i koledzy i wprowadzili do wielkiej sali. Zebrało się kilkaset osób — na wieczornicę.

Uroczystość zaczęła się od wręczenia wypuszczonemu na wolność więźniowi bukietu i odśpiewania przez chór małych dziewcząt ujmującej swą naiwną prostotą pieśni, którą ułożył pewien włościanin z powiatu opolskiego. Jej druga strofa brzmiała tak:

Witajmy! Witajmy! Niech żyje nam drogi
Pan Bronisław Koraszewski! Niech zobaczą wrogi,
Jak my go wszyscy wiernie kochamy
I w żaden sposób wziąć sobie nie damy!

Naprawdę, było kogo kochać. W dwudziestym piątym roku życia osiedlił się na Śląsku Wielkopolskim Bronisław Koraszewski, urodzony w roku 1864, wychowaniec gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu, i już do końca życia (1924) służył wiernie ziemi śląskiej. Jeden to z owych cichych pracowników, których nazwiska przejdą do historji, jako tych, którzy z zaparciem się siebie bronili polskości swej ziemi przed germanizacją i niemało się przyczynili do tego, że część tej ziemi wróciła do Polski.

Od wczesnej młodości rwał się Koraszewski do pracy literackiej i oświatowej. Już jako uczeń gimnazjalny należał do tajnego kółka literackiego, na którego czele stał Kasprowicz; podczas wakacyj, spędzanych na wsi w domu rodzicielskim, uczył zbiegające się dzieci historji polskiej. Po osiedleniu się na Śląsku, do czego go skłoniły nie inne cele, tylko patrjotyczne, objął redakcję *Górnoślązaka*, które to pismo wychodziło wówczas w Królewskiej Hucie; na tem stanowisku zaprzyjaźnił się z tak zasłużonymi działaczami śląskimi, jak Juljusz Ligoń, Juljusz Szaflik, Ferdynand Kotula, Jan Muszkiet, Karol Okoński, i z wielu innymi członkami kółka patrjotycznego, którego działalność narodową zganił biskup (późniejszy kardynał) Kopp, kiedy przyjechał do Królewskiej Huty na bierzmowanie. Pochwalił zato działalność kółka Żyd Hamburger, właściciel ogrodu i gospody w Szopienicach: kiedy goście z Królewskiej Huty przybyli do niego na zabawę, ujrzeli nad wejściem do ogrodu taką poezję:

Witaj, polski narodzie,
U Hamburgera w gospodzie!

W roku 1889 przeniósł się Koraszewski do Bytomia, wstąpił do redakcji *Katolika* i wraz z Adamem Napieralskim krzewił oświatę i polskość. Lecz już w roku następnym osiadł w Opolu — dlaczego, on sam najlepiej wyjaśnił:

„Opole nie posiada dotychczas pisma polskiego; mimo że jest stolicą Śląska Górnego, że leży w powiecie prawie czysto polskim, że otoczone jest od południa i wschodu powiatami polskiemi, zadowolić ono musi duchowe potrzeby swoich mieszkańców gazetami, wychodzącemi bądź w Bytomiu, Piekarach, Królewskiej Hucie i Gliwicach, bądź też w zaodrzańskim Raciborzu".

Założył tedy Koraszewski w Opolu *Gazetę Opolską*: numer pierwszy ukazał się 10 września roku 1890 i zawierał w sobie zapowiedź, że gazeta „będzie broniła praw ludu polsko-katolickiego w sprawach Kościoła i Szkoły, w urzędzie i w życiu publicznem; będzie się starała prowadzić lud do poczciwego, moralnego życia, do oświaty, do dobrobytu, przez udzielanie rad w wypełnianiu obowiązków, a przez to wszystko — do Boga".

Tej zapowiedzi nigdy się *Gazeta Opolska* nie sprzeniewierzyła: nie dziw, że rząd pruski patrzał na nią nienawistnem okiem i szukał tylko pierwszej lepszej sposobności do zemsty na jej redaktorze.

Długo na tę chwilę czekał, ale się wreszcie doczekał. W końcu roku 1897 wyszedł w Opolu, pod redakcją Koraszewskiego, *Opolanin, kalendarz „Gazety Opolskiej" na rok 1898.* Treść wypełniają drobiazgi, prozą i wierszem, oraz większe

utwory. Wśród drobiazgów wierszowanych są poezje niezapomnianej pamięci księdza Konstantego Damrotha, autora pieśni patrjotycznej na cześć Śląska *(Znasz ty tę ziemię?)*, bardzo wśród Ślązaków popularnej, na nutę *Boże, coś Polskę*; śpiewali ją, pomiędzy innemi, na wieczornicach studenci-Ślązacy we Wrocławiu. Wśród drobiazgów prozą jest w Kalendarzu bardzo zabawna humoreska bezimienna p. t. *Noc Sylwestrowa, szczypta kłamstwa i dwa łuty blagi*; jest jeszcze inna humoreska, imienna, i to nie byle czyja, ale o tem później.

Lecz nie te i inne drobiazgi były solą w oku rządowi pruskiemu, tylko rzeczy większe. Jedna z nich wyszła z pod pióra samego redaktora: jest to piękne i zasłużone wspomnienie o przedwcześnie zmarłym księdzu Karolu Myśliwcu (z którym piszący te słowa miał zaszczyt kolegować w uniwersytecie wrocławskim). Ten szlachetny, mądry, cichy, czysty jak łza człowiek był, śmiało można powiedzieć, już w uniwersytecie, a cóż dopiero po wyświęceniu się na księdza, jednym z najgorliwszych apostołów polskości na Śląsku. Świadczy o tem wymownie zarówno jego działalność społeczna i duszpasterska, jak jego pisma, np. *Co każdy Ślązak z historji swego kraju wiedzieć powinien?; Jak Prusacy cywilizowali Śląsk?; O bogactwie i piękności języka polskiego Ślązaków*. A oto kilka słów z artykułu Myśliwca p. t. *Ojczyzna*.

„Cygan nie wie, gdzie jego ojczyzna, bo Cygan nie ma historji. Cygan nie wie, gdzie jego przodkowie walczyli, czem byli, czego szukali, co cierpieli i czem się radowali, i dlatego jest bez ojczyzny. Są tacy, którzy pragną wmówić w nasz lud, iż on nie ma ojczyzny, iż mamy tylko Ślązaków. Ale cóż to jest ten Śląsk? Jest to cząstka wielkiej ziemi, która pod różnemi znajduje się rządami, ale jest Polską — dawną, starą Polską. Śląsk — to Piastów dziedziczna ziemia. To lud od wieków polski, to przedmurze, na które niemieckie rycerstwo, niemieccy panowie przez długie wieki nacierali. Śląsk, Mazury, Kaszuby — to nazwy pewnych działów ziemi, która w swej całości polską zwie się ojczyzną. Ale wkońcu może kto powie: „Ojczyzna nie może mi nawet butów sprawić, więc czy warto być Polakiem?“ Na to odpowiadamy króciutko: „Przeklęty syn, przeklęta córka, która się od zubożałych odwraca rodziców. Polak, który się wyrzeka swej niegdyś bogatej i wspaniałej ojczyzny dlatego, że Polska dziś, jak wdowa uboga, w poszarpanych przez wrogów chodzi szatach i nie obiecuje synom swoim honorów, zaszczytów, chwały i korzyści, nie jest godzien być i zwać się Polakiem.“

Djabli musieli brać urzędników pruskich, kiedy czytali te słowa nieżyjącego już wówczas księdza Myśliwca, przytoczone w całości przez Koraszewskiego we wspomnieniu o nim.

Lecz była w *Opolaninie* rzecz jeszcze gorsza — pod tytułem *Kopciuszek śląski;* autor ukrył swoje nazwisko pod pseudonimem „Staropolanin“. (Dziś już wiemy, że tę powiastkę napisał ksiądz Euzebjusz Stateczny, gwardjan klasztoru Bernardynów

w Alwernji). Utwór to alegoryczny: ów Kopciuszek śląski, owa dzieweczka-sierota, która, żeby nie umrzeć z głodu, musiała służyć u Niemców w Olawie, owa „głupia Maryśka", jak ją oni w tem mieście nazywali, — to Śląsk! „Gdy jaką posługę źle spełniła, bito ją; gdy co źle inni zrobili, ona zrobiła; gdy co dobrze zrobiła, inni zrobili; chuda była i blada, bo praca przerastała jej siły, a Teutonowie nawet chleba ze solą jej skąpili". Stary Teuton, u którego służyła, bił ją po twarzy, kiedy, nie umiejąc jeszcze po niemiecku, odzywała się po polsku, i wrzeszczał: „Znajdku, jeszcze raz przemówisz tym obrzydłym językiem, to cię psami każę wyszczuć". A Maryśka, choć się jako-tako nauczyła po niemiecku, zwykle milczała; „zato, gdy sobie przypomniała, jak słodko polska mowa płynęła do jej serca z ust matki, płakała, coraz częściej i rzewniej płakała". Raz zaczął się do niej umizgać syn Teutonów, — Marysia „z całą siłą swej młodej i spracowanej rączki" dała mu w pysk — i uciekła z Olawy. Znalazła przytułek w wiosce Bukowy Grunt (w powiecie brzeskim), u rodziców Stasia Wolnego, którego poznała w Olawie i którego zaślubiła... we śnie. Sen się ziścił: Staś Wolny nietylko poślubił Maryśkę, ale kiedyś, na jej imieniny, przypadające na dzień Zwiastowania Matki Boskiej, wręczył swej ukochanej podarunek — jakieś pismo zapieczętowane. Maryśka zaczęła czytać, „lecz, doszedłszy do połowy, krzyknęła radośnie, i ze słowami: „Chałupka mojej matki i mojego ojca w Stanowicach jest odebrana Teutonom i zapisana w wieczne posiadanie na moje imię", — rzuciła się w objęcia kochanego Stasia".

Lecz na tem nie kończy się jeszcze powiastka o Kopciuszku śląskim: autor, bojąc się, czy ją czytelnicy zrozumieją, postanowił im włożyć łopatą w głowę, co miał na myśli: „Przez sześć lat cierpiała u Teutonów Maryśka, — przez sześć wieków cierpi Śląsk pod brzemieniem obcych narodowości. Stary Teuton wydarł majętność, potem wydzierał Maryśce wiarę katolicką i jej język polski...: a cóż czynią od tylu wieków aż do dnia dzisiejszego na ludności śląskiej obcy, z jednego pokolenia na drugie? To samo... Młody Teuton nastawał na cnotę Maryśki: a czyż Śląsk nie ugina się już od sześciu wieków pod obuchem ustawicznego wynaradawiania? Ale Maryśka wytrwała w cnocie i została wyzwolona własną dzielnością i przez Stasia Wolnego: i Śląsk zaczyna się z wiekowej martwoty podnosić, dochowawszy wierności tradycji przodków i budząc w ludzie swym poczucie pochodzenia polskiego, honoru, celu i łącząc swe rozproszone i ciemne masy w jedną śląską rodzinę polską, która nasze odrodzenie narodowe stanowi... Tylko stałości, tylko pracy, tylko zaparcia się, tylko miłości wzajemnej, bratniej, i jedności — a Bóg będzie z nami!"

Tego było już Prusakom za dużo! Koraszewskiemu, jako redaktorowi i wydawcy kalendarza, wytoczono, na rozkaz z Berlina, proces karny. Sprawa odbyła się w Opolu. Akt oskarżenia oparto na niemieckim przekładzie powiastki o Kopciuszku śląskim, i to na przekładzie sfałszowanym: tak np. wyraz „zaparcie się“ przetłumaczono nie „Selbstverleugnung“, tylko „Widerstand“, bo o to właśnie prokuratorowi chodziło — o „opór przeciwko władzy państwowej“ („Widerstand gegen die Staatsgewalt“); a z tem oskarżeniem połączono inne — o zakłócanie spokoju publicznego i podburzanie jednej warstwy społeczeństwa przeciwko drugiej. Warto jeszcze dodać, że sąd domagał się od Koraszewskiego, żeby wyjawił, kto jest autorem powiastki o Kopciuszku. Koraszewski odmówił. Za te wszystkie przestępstwa skazano go na sześć miesięcy więzienia. Apelacja do Najwyższego Trybunału w Lipsku nie odniosła skutku.

Niedosyć na tem. Zanim się wyrok uprawomocnił, popełnił Koraszewski nową zbrodnię: ogłosił w *Gazecie Opolskiej* (z dnia 7 stycznia 1898 r.) artykuł, w którym zapowiedział, że rok 1898 będzie historycznym dla wszystkich trzech zaborów, a to ze względu na setną rocznicę urodzin Mickiewicza. „Wielki ruch ludowy — czytamy w tym artykule — obudzony... Pomimo germanizacji, uprawianej pod wpływem pruskich ministrów, cała Polska na drodze wytrwałej pracy i wewnętrznej poprawy posuwa się stale do dalszego rozwoju kulturalnego i dąży do narodowego odrodzenia.

Zakuta w trumnę, ale dumna,
Bo jej nie może objąć trumna,

z niezachwianą wiarą w przyszłość idzie zwycięska, liczebnie zdwojona, duchowo pokrzepiona i odmłodzona ku przeznaczeniom dziejowym XX wieku“.

Za ten artykuł wytoczono Koraszewskiemu nową sprawę — o obrazę ministrów pruskich, i dodano mu jeszcze dwa miesiące więzienia.

Oto jedna karta, albo raczej jeden drobny szczegół z nowoczesnej historji Górnego Śląska pod butem „państwa sprawiedliwości i bojaźni Bożej“.

A teraz — owa druga humoreska [1].

---

[1] Przytaczamy ją w całości, ze względu, że, chociaż się ukazała jeszcze w r. 1875, w *Gazecie Polskiej* (nr. 140), a w 1903 r. przedrukowano ją w tomie LIX *Pism* Sienkiewicza, obejmującym część jego feljetonów, — nie wcielono jej do żadnego z dotychczasowych wydań jego *Nowel*.

ICEK PAPYCEK KUPUJE LAS.

Przez

Henryka Sienkiewicza

Był szlachcic — pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, ogromna fantazja; słowem wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał zagranicę.

W dobrach tych szczególniej cenne miał lasy: starodrzew! Sosny gubiły w niebie wierzchołki, a dęby, a buki, a wszelki rodzaj drzewa! Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych bowiem czasach jeszcze kamiennego węgla nie używano.

Otóż Icek Papycek postanowił sobie kupić te lasy. Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty, jak Krezus, siedzi zagranicą i ani myśli sprzedać. Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to napozór zdaje mu się, iż tego kupić poprostu niepodobna.

Wszelki rozum wobec takiego położenia poprzestaje działać.

Tak, wszelki, ale nie Icka Papycka.

Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku otwierają się drzwi pysznego numeru w „Grand Hôtel“ (Wielki Hotel) na bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Papycek.

Tak, tak, Icek Papycek w Paryżu, z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni.

Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak w całem znaczeniu tego wyrazu swojskiego! Któżby się nie uśmiał i nie ucieszył. Zerwał się magnat i zawołał:

— Icek, jak się masz?

— Padam do nóg Jasnego Pana.

— Co ty tu robisz?

— Ja za interesami. Ot, jak zwiczajny żyd.

I rozmowa potoczyła się żwawo; aż po niejakim czasie Icek mówi:

— Ja mam do Jasnego Pana wielką prośbę.

— Co takiego?

— Ja mam tu dwieście tysiąców franków, co odebrałem po żonie od jej krewnych. Tyle pieniędzy! ja się boję. Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech Jasny Pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok, przyjadę znowu i odbiorę.

Jasny pan nie chciał, wzdragał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował.

Icek Papycek wyjechał z Paryża, i wkrótce pan o nim zapomniał. W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III. Byli to panowie całą gębą, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali i polowali; jeździli na wyścigi. Grali nawet gracko.

Raz nasz rodak, skuszony może widokiem złota, może chcąc szczęścia spróbować, usiadł z nimi do gry. Przegrał. Przegrał 800.000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka. Na drugi czy trzeci dzień zjawia się Icek.

— Padam do nóg Jasnego Pana.

— A, to ty! Co powiesz?

— Chciałem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ach! co za geszeft! Jaki las! drugi raz mi się taki nie zdarzy! Miljony zarobię.

Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął.

— Co? co?

— Ach, Jaśnie Panie, co za słyczny las! ce, ce!

— Czego ty masz kupować u obcych! Kup u mnie.

— No, jeśli Jaśnie Pan tanio spseda...

Reszty domyślacie się, czytelnicy. Przemyślny Icek Papycek znał grunt, na którym budował, Icek Papycek był wielkim dyplomatą, wielkim w swoim małym rodzaju wodzem. Wygrał ogromną kampanję, zrobił ogromną fortunę i dziś cieszy się wielkiem uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania.

* * *

O współpracownictwo w Kalendarzu prosił Sienkiewicza nie kto inny, oczywiście, tylko Bronisław Koraszewski, który w odcinkach redagowanej przez siebie *Gazety Opolskiej* w roku 1899 drukował, za pozwoleniem autora — *Krzyżaków. Trylogję* Śląsk już znał, ale dopiero *Krzyżakom* zawdzięcza Sienkiewicz — nie swoją popularność, bo tę dała mu już *Trylogja,* — ale miłość serdeczną Ślązaków, której wymownym wyrazem był ich udział w warszawskich uroczystościach jubileuszowych w roku 1900. Oto co pisała *Gazeta Opolska:*

„I któż to jest ten Henryk Sienkiewicz, którego jubileusz miljony święcą? Przedewszystkiem jest on Polakiem — wiernym synem tej Matki-ziemi, do której i my, Ślązacy, jako jej dzieci, należymy. On pisze, myśli, cierpi i czuje w tej mowie, którą nam nasi praojcowie w puściźnie jak święty i boski spadek po sobie przekazali. Nie odszczepieniec i nie mason, ale wierny syn naszego świętego Kościoła... Zagłębiając się w przeszłości

naszego narodu, wydobył z niej najcenniejsze zalety, zdobiące naszych praojców, aby nas, potomków, cnotliwemi ich czynami, rycerstwem, szlachetnością, wytrwałością, dumą a pokorą, z letargu obudzić i do życia powołać. Tak, Sienkiewicz budzi do życia swojemi dziełami nietylko wyniosłych i dumnych panów, zamieszkałych w pałacach, ale budzi też do życia i maluczkich i prostaczków, mieszkających w chatach pod skromniutką strzechą".

Taż *Gazeta Opolska* (nr. 101 z 1900 r.) przytacza kilka „Listów od ludu" śląskiego, wysłanych do Warszawy na jubileusz Sienkiewicza. Oto np. grono rolników i robotników z gminy Chrościc oświadcza:

„Kwiaty Ci sypiemy pod nogi, a dzień Twego jubileuszu witamy z czcią i weselem. Najpiękniejszy jednak kwiat i najtrwalszy — ten kwitnie w piersiach naszych i całego narodu, a nazywa się: miłość i wdzięczność".

A Górnoślązak z powiatu prudnickiego, Jan Hupka, przewodniczący robotników śląskich, pracujących w Delmenhorst w Westfalji, pisał tak we własnem i współbraci imieniu:

„I ja tu, na obczyźnie, chociaż późno w noc po ukończonej pracy, chociaż oczy do snu zapadają, chwytam za pióro, aby serce zadowolić, które się rwie i wyskakuje z radości, że mu także jest wolno objawić swoje życzenie i miłość, jaką pała do naszego wielkiego bohatera, największego powieściopisarza tegoczesnego, Henryka Sienkiewicza... Oby Bóg wszechmogący raczył mu udzielić zdrowia i życia jak najdłuższego, ...aby jeszcze mógł jak najdłużej pracować na korzyść swoich braci, napajając nas nadzieją w lepszą przyszłość, wlewając w nas gorącą miłość do wszystkiego, co ojczyste, przodując nam z Krzyżem na barkach, z tym znakiem wiary, który zawsze zwycięża".

Oto jeden jeszcze list:

Kochany i wielce zasłużony Jubilacie, Henryku Sienkiewiczu! Wstępuję w grono rodaków z mojem, choć „niepraktycznem", powinszowaniem najprzód temi słowy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Dziękuję Ci najprzód za te Twoje prace i mozoły, któreś podjął, aby nam co zgotować, boć który już czytał Twoje dzieła, musiał powiedzieć: „Toć musi być prawa, szczera dusza, która się całkiem poświęciła, żeby swych rodaków objaśnić, pouczyć i przedstawić, jak to było w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i jak było w naszych okolicach, w naszych krajach i z naszym narodem". Za to składam Ci serdeczne „Bóg zapłać" i winszuję Tobie na ten dwudziestopięcioletni jubileusz, aby Cię Pan Bóg przy dobrem zdrowiu zachował, żeby Ci Duch Święty raczył Twój rozum i pojęcie oświecać nadal, żeby Twoje prace Pan Bóg raczył błogosławić i żeby jeszcze raczył Twój wiek przedłużyć, żebyś doczekał pięćdziesięcioletniego jubileuszu, żebyś dożył, iżby się nasz naród w jedno złączył, i żeby Cię Pan Bóg raczył obdarzyć i Twoją całą familją po śmierci Królestwem Niebieskiem.

Z szacunkiem
rodak z Górnego Śląska przy Opolu,
Wincenty Malik

* * *

Takich listów, tchnących czcią, miłością, uwielbieniem, wdzięcznością Ślązaków dla Sienkiewicza, możnaby jeszcze przytoczyć długi, długi szereg. Nie obejdzie się bez nich przyszły autor dzieła, poświęconego historji kultu Sienkiewicza w Polsce.

Przykro jednak pomyśleć, że w tem dziele będzie kilka bardzo smutnych kart, przynoszących wstyd nie Sienkiewiczowi oczywiście, tylko jego zoilom. Miał ich Sienkiewicz, jak każda wielkość, już za życia, ma ich i dzisiaj: są przecie tacy, którzy zapominają, czem był ten człowiek dla całej Polski, a szczególnie dla jej kresów, zarówno wschodnich, jak i zachodnich, i którzy pragną i usiłują jego kult podważyć. Mimowoli przypominają się słowa Żeromskiego: „Okrutne jest plemię polskie! Żaden mu inny naród na ziemi w niewdzięczności nie sprosta... Nie znosi człowiek nasz dla wielkości zachwytu". Zresztą Żeromski przesadził: nie całe plemię polskie jest okrutne i niewdzięczne, nie całe nie znosi dla wielkości zachwytu; dowodzi tego i pogrzeb Sienkiewicza w Warszawie, i niesłabnąca poczytność jego dzieł.

Nie, nie powiedzie się krecia robota potwarców i pomniejszycieli Sienkiewicza: ogół plemienia p o l s k i e g o zapomni o nich, ale nie zapomni nigdy o nieśmiertelnych zasługach narodowych tego, który napisał *Trylogję* i *Krzyżaków*, i przyzna mu tę ze wszystkich zasług największą, że się do odzyskania niepodległości przyczynił tak bardzo, jak żaden inny pisarz po śmierci Mickiewicza [1].

[1] „Gdyby nie Sienkiewicz, Śląsk nie byłby polskim Śląskiem, lecz czeskim *Slezskiem* lub niemieckim *Schlesien*". Temi słowy kończy Gustaw Morcinek swój śliczny artykuł p. t. *Sienkiewicz na Śląsku* (w miesięczniku *Tęcza*, 1935, marzec).

W DNIU POGRZEBU SIENKIEWICZA

Przemówienie podczas uroczystej Akademji żałobnej w sali posiedzeń Rady Miejskiej w Warszawie, dnia 26 października 1924 r.

W końcu XVIII wieku trzy państwa ościenne rozszarpały Polskę — „w imię Przenajświętszej Trójcy", popełniając za jednym zamachem niebywały w dziejach świata mord i niesłychane w historji rodzaju ludzkiego bluźnierstwo.

Jak na to odpowiedziała Polska? Na mord odpowiedziała przez usta Wybickiego:

Jeszcze Polska nie zginęła!

A na bluźnierstwo odpowiedziała przez usta Woronicza:

Ty żyjesz i żyć będziesz, chociaż świat upadnie!
Tyś policzył do włoska na tych głowach włosy!
Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie:
W Twoich się ręku rodzą i czasy, i losy.

Okazało się, że Wybicki i Woronicz mieli słuszność, że Polska nie zginęła i że światem władnie nie traf ślepy, tylko ręka boża.

* * *

Lecz jeżeli przez tyle lat niewoli Polska nie zginęła, tak, że ręka boża mogła jej na nowo dać to, bez czego naród po bożemu rozwijać się nie może — niepodległe państwo, to w znacznej, w bardzo znacznej mierze jest to dziełem polskich Królów-Duchów, którzy, sami wchłonąwszy w pierś swoją wszystko, co w duszy polskiej było i jest najlepszego, stali na straży tych skarbów, broniąc ich zarówno od naturalnej śmierci, jak i od nikczemnych, a chytrych wrogów, którzy je ukraść i zniszczyć chcieli.

Takim naszym Królem-Duchem był — w pierwszych latach niewoli, w epoce przed powstaniem listopadowem — Niemcewicz, „człowiek-Polska", dyktator moralny narodu, który

w pismach swoich uczył go kochać wielką przeszłość ojczyzny i język ojczysty, a całem swojem życiem stwierdzał tę prawdę, że paktować z takimi wrogami, jak ci, co rozszarpali Polskę, to nikczemność, albo głupota!

Takimi Królami-Duchami — w epoce po upadku powstania listopadowego — byli „trzej wieszcze": Mickiewicz, cudowny wykwit człowieczeństwa i zarazem najwyższe w XIX wieku wcielenie polskości, „człowiek wieczny" i Polak wieczny, którego życie i poezja były, są i będą świętemi *Księgami Narodu polskiego,* zwierciadłem nietylko tej Polski, która była i jest, ale i tej, która być powinna i która kiedyś będzie; Krasiński, „archanioł wiary" i nadziei, apostoł miłości i dobrej woli, który krzepił serca polskie ufnością, że

Jak Bóg w niebie — tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało;

Słowacki, „genjusz blasków, duch Tytana, serce wielkie, dumne" i — w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu — „wieczny duch rewolucjonista", który kazał „bezwładnym poruszać się bryłom", którego też pieśń „jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię".

* * *

Takim Królem-Duchem był — w epoce po upadku powstania styczniowego — i Ten, którego szczątki śmiertelne powróciły wczoraj „na ojczyzny łono", aby spocząć tam, gdzie o świętej zemście i wolności marzył Kordjan.

Wolności swemu narodowi On nie prorokował, jak romantycy, chociaż przez całe swoje życie święcie w nią wierzył. Ale zrobił więcej: On przywrócił nam wiarę w zmartwychwstanie, On serca nasze na nowo napełnił miłością wielkiej przeszłości, On nie pozwolił, żeby uleciał z nich duch polski.

* * *

Po upadku powstania roku 1863 nastała najstraszniejsza, najokropniejsza epoka, jaką zapisały dzieje narodu polskiego. Mniejsza już nawet o dziką zemstę, jaką wróg wywierał na uczestnikach powstania: o wiele gorszą była ta walka na śmierć i życie, jaką wróg zaprzysiągł całemu narodowi, jego ziemi, jego jedności, jego językowi, jego tradycji.

Naród stanął wprawdzie do walki, ale brakło mu już wiary w zwycięstwo...

Ale bo też jakich miał wodzów?...

Byli tacy, którzy wpajali w serca nie wiarę i odwagę, tylko rezygnację; byli tacy, którzy, w chwalebnej trosce o pomnożenie materjalnych i umysłowych zasobów narodu, dawniej, w epoce romantyzmu, niedocenianych, wpadali w drugą ostateczność i niedoceniali znaczenia zasobów uczuciowych; byli i tacy, którzy, w szlachetnym zamiarze uleczenia narodu z jego wad, wyciągali je na światło dzienne z mroków przeszłości, nie widząc, że są w niej także i jasne światła, czy też może

Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt, polskiemu uczuciu zadany;

byli jeszcze tacy, którzy, sami docna utraciwszy wiarę w możliwość odzyskania niepodległości, wszelkie myśli o niej poczytywali albo za szaleństwo, albo za zbrodnię, i którzy, już nawet nie pod przymusem, ale chętnem sercem stawali przy obcych panach i wywieszali sztandar, czyli raczej łachman trójlojalizmu, upatrując w nim zbawienie dla Polski, dla tej Polski, której w sercach swoich już nie mieli; byli wreszcie tacy, którzy, „utraciwszy rozum w mękach długich", tumanili siebie i innych nadzieją, że Polska odzyska niepodległość dzięki wszechświatowej rewolucji społecznej.

Cóż dziwnego, że naród, mając takich wodzów, był bliski — kapitulacji! Albowiem zasypiały w nim te uczucia, bez których naród żyć nie może: szacunek i miłość przeszłości, wiara we własne siły i w niepodległość, nienawiść niewoli, poczucie, że lojalność względem najeźdźcy to głupota, a nie mądrość, zbrodnia, a nie cnota.

„Ogrom leżał, a bez czucia!"...

Trzeba było „iskry z nieba... do rozkucia marzącego w śnie olbrzyma"; trzeba było — pod grozą już nie długiego snu, ale wręcz śmierci moralnej narodu, — aby serce jego ożywiła

Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako anioł Pana,
Silna — jako skra zapalna.

Kto zniósł tę iskrę z nieba?

Kto wlał w serca polskie tę siłę niewidzialną?

Kto tchnął w nie miłość rycerskiej, ofiarnej przeszłości i otuchę, że „niemasz takowych terminów, z którychby się viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można?

Kto ożywił je wiarą w odzyskanie wolności?

Kto się, jak wierny pies, położył na sztandarach polskich, aby strzec na nich całości Krzyża i czystości piór Orła Białego?

Kto mianem zdrajców napiętnował tych, którzy ślubują wierność obcym panom?

Kto w całej potwornej nagości obnażył — wobec całego świata — złodziejskie serce naszego najstraszniejszego wroga — Krzyżaka?

Wszystko to — On, ukochany Twórca *Trylogji* i *Krzyżaków*, prawy, nieodrodny, krew z krwi i kość z kości, syn tych rycerzów, którzy walczyli na skałach Kamieńca, na stokach Jasnej Góry, w okopach Zbaraża, na polach Grunwaldu, i prawy, nieodrodny, krew z krwi i kość z kości, syn tych poetów, którzy tak mocno wierzyli, że „jeszcze Polska nie zginęła", i że „nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie", tylko Ten, który „żyje i żyć będzie, chociaż świat upadnie".

* * *

A dlaczego mógł Sienkiewicz tego cudu dokonać? Czy może tylko dlatego, że był wielkim artystą? czy tylko dlatego, że otrzymał z n i e b a genjalny talent?

O! nie, ale i dlatego, że był wielkim poetą n a r o d o w y m, to znaczy, że z z i e m i, z polskiej ziemi, z jej piękności, z jej krwi i potu, z jej wiary, z jej miłości, z jej wiekowej kultury, wchłonął w pierś swoją wszystko, co w niej było najpiękniejszego, najlepszego, najżywotniejszego.

Jak Niemcewicz i Mickiewicz, tak i On był człowiekiem-narodem, człowiekiem-Polską, albowiem w sercu swojem złączył w jedno ognisko jej przeszłość, jej teraźniejszość i jej przyszłość, i dlatego właśnie był zdolny w zmartwiałą teraźniejszość tchnąć ducha wiecznie żywej przeszłości, ducha jej męstwa, jej poświęcenia, jej wiary w budowę przyszłości.

Oto dlaczego stał się, jak niegdyś Kochanowski, „kochaniem wieku swego"; oto dlaczego nie „śpiewał pustemu morza brzegowi": jego rapsod rycerski nie odbił się od serc polskich, ale wniknął w nie głęboko — i, daj Boże, na zawsze!

* * *

Póki Polska Polską, póty Mu ona nie zapomni, że w serca jej dzieci wlewał siłę, ze wszystkich — obok religji — najżywotniejszą i najświętszą: ducha narodowego.

* * *

Więc we wszystkich duszach polskich, we wszystkich miejscach i zakątkach ziemi polskiej, po wszystkie wieki życia i wielkości, potęgi i sławy państwa polskiego i narodu polskego — niech będzie ten człowiek błogosławiony!

BOLESŁAW PRUS

Ukazuje się — dzięki niezmordowanej, pełnej zapału i umiejętnej pracy Zygmunta Szweykowskiego — pierwsze krytyczne, bo ani nie okaleczone przez cenzurę rosyjską, ani nie zeszpecone przez niedopatrzenia dawnych wydawców, wydanie wszystkich utworów powieściowych Prusa. Ich aktualność jest dzisiaj, w lat przeszło dwadzieścia po jego śmierci — i pomimo że się, dzięki odzyskaniu niepodległości, warunki naszego bytu narodowego tak bardzo zmieniły — nie mniejsza, aniżeli była za życia ich autora.

Bo Prus to nietylko największy — obok Sienkiewicza — nasz powieściopisarz, nietylko talent genjalny: to także — przez wielki rozum, przez rozległą wiedzę, przez nadzwyczajne zdolności pedagogiczne, przez siłę i głębokość, czystość i szlachetność miłości bliźniego i narodu — wielki człowiek i, co za tem idzie, jeden z największych nauczycieli narodowych, jakich literatura polska wydała, a w epoce, w której żył i pisał, bodaj czy nie największy.

W jego duszy wiązały się w przedziwną harmonję różnorodne, jeśli nie zasadniczo sprzeczne, to jednak najczęściej rozbieżne pierwiastki.

Skłonność do mistycyzmu, płynąca nietylko z intuicyjnej pewności istnienia świata nadzmysłowego, ale i z żywiołowej ciekawości intelektualnej, nie osłabiała w nim ani dziwnie zdrowego rozsądku, ani niepospolitej ścisłości umysłu. Najszlachetniejsze ziarna romantyzmu, jakie w młodości padły na jego polskie serce, nie przeszkodziły jego umysłowi do wchłonięcia w siebie tego wszystkiego, co tylko było mądrego i dla narodu pożytecznego w pozytywizmie. Miłość i wdzięczność dla poezji romantycznej, która się tak walnie przyczyniła do ocalenia naszych sił narodowych w niewoli, nie przeszkodziła mu do tego, że zarówno w utworach powieściowych, jak w pismach publicystycznych i filozoficznych, był zawsze heroldem „pracy organicznej" wogóle, a w szczególności nauki, w tem przeświadczeniu, że, jak się wyraził w swoich *Najogólniejszych ideałach ży-*

ciowych, „stosunek literatury pięknej do naukowej, filozoficznej i społecznej u nas porównaćby można do gospodarki wielkiego pana, a zarazem bankruta, który nie posiada lasu, drzew owocowych, nawet jarzyn, lecz natomiast — ma pyszny ogród kwiatowy, pełen swojskich i przywiezionych okazów".

Wysoce rozwinięty zmysł rzeczywistości i olbrzymi talent realistyczny jej odtwarzania i przetwarzania łączył się w jego duszy z romantycznym idealizmem, a czasem nawet z marzycielstwem, albowiem bolesna świadomość istnienia złego na świecie nie zabiła w nim mocnej i radosnej wiary, że jednak to „złe jest w gruncie rzeczy dobrem", bo pobudza nas, a przynajmniej pobudzać powinno, do osiągnięcia dobra; tak rzadka u nas, którzy się w dziedzinie życia religijnego tak bardzo boimy ufać własnej myśli i własnemu sercu, „wolność w duchu" nie miała nic wspólnego z tanią, chełpliwą i teatralną wolnomyślnością, i była nie tamą, ale, przeciwnie, dźwignią jego głębokiej i w całem znaczeniu tego wyrazu w ł a s n e j religijności; miłość postępu i niezachwiana — od młodości do grobu — wierność jego sztandarowi łączyła się z szacunkiem dla tradycji, dla dokonanej w przeszłości pracy nad kulturą w stopniowym pochodzie dziejów ludzkich ku lepszemu; dlatego to postęp w pismach Prusa jest nie burzycielski, tylko twórczy; świadomość ujemnych stron społeczeństwa nie pociągała za sobą niechęci, a cóż dopiero nienawiści ku niemu; przeciwnie — jeszcze potęgowała jego miłość, która się w twórczości objawiała w h u m o r z e, często ironicznym, ale najczęściej pełnym łagodnego, choć nieraz smutnego, uśmiechu i wielkiej, iście filozoficznej pobłażliwości.

Gorący, a jednocześnie rozumny, bez źdźbła szowinizmu, patrjotyzm był w wielkiej duszy Prusa w tak cudownej zgodzie z humanitaryzmem, z miłością c z ł o w i e k a bez względu na jego narodowość, ród, stan, zajęcie, jak u żadnego ze współczesnych pisarzy. Naprawdę, że do słów Mickiewicza:

> ...ta miłość moja na świecie,
> Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku...
> Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku,
> Ja kocham — cały naród —

mógłby Prus, gdyby nie był tak cichy i skromny, jakim był, śmiało dodać: „...i wszystkich ludzi". Tak.

A cóż było tą cudowną siłą w jego duszy, która te wszystkie różnorodne pierwiastki łączyła w harmonję? Czy tylko głowa myśląca, czy tylko umysł filozoficzny? Ależ cudu tego nawet najpotężniejsza myśl, nawet genjusz myśli nie zdołałby dokonać bez pomocy tego genjuszu, który on w jednej ze swych

powieści nazwał „genjuszem uczucia". Ale bo też, może sam o tem nie wiedząc, on sam był tym genjuszem — genjuszem polskiego serca.

A kochało to serce nietylko wykołysane przez się ideały: miłość ideałów, to znaczy nierzeczywistości, to miłość bardzo łatwa. Lecz to serce ukochało i rzeczywistość: ukochało ludzi takich, jakimi oni są naprawdę, grzesznych, ułomnych i — nieszczęśliwych; ukochało nietylko ludzi dorosłych i starych, ale także maleństwa i... duże, obałamucone *Dzieci*; ukochało ojczyznę, nietylko przeszłą, opromienioną aureolą potęgi i chwały, i nietylko przyszłą, wyśnioną przez poetów, ale także ojczyznę, na którą patrzał, ojczyznę rozbitą, słabą, biedną, pełną win i grzechów politycznych, społecznych i „domowych".

Z tej to miłości Prusa płynęła jego bezstronność, wręcz w podziw wprawiająca, wręcz bezprzykładna — zwłaszcza u nas, którzy, jak się raz on sam wyraził, „zawsze kogoś musimy posądzać o szelmostwa".

W całym swoim blasku zajaśniała ta bezstronność w ostatnich latach jego życia, po wojnie rosyjsko-japońskiej, w epoce zrazu wielkich radości, a potem większych jeszcze zawodów i — bratnich kłótni, swarów, gniewów, żalów. Kto z nas nie unosił się wówczas stronniczością? kto z nas, jeśli nie złorzeczył, to przynajmniej nie miał żalu do tego lub owego stronnictwa? kto z nas nie grzeszył niesprawiedliwością uczucia czy sądu wobec inaczej myślących i postępujących? Kto pamięta te czasy (ach! jak bardzo przypominające dzień dzisiejszy), ten, jeśli położy rękę na sercu i jeśli ma w niem sumienie, odpowie sobie w cichości ducha: taki człowiek był wówczas tylko jeden — Bolesław Prus.

POETA NARODU

Przemówienie na uroczystej Akademji na cześć Stanisława Wyspiańskiego w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego dnia 25 listopada 1932 r.

Uniwersytet Jagielloński, pomimo że, dzięki inicjatywie swojej młodzieży, uczcił już raz — wmurowaniem tablicy pamiątkowej — dwudziestą piątą rocznicę śmierci Wyspiańskiego, czci ją raz jeszcze — tak zwaną Akademją, a to z dwóch powodów.

Nie będąc nigdy instytucją polityczną, Uniwersytet nasz był, jest i będzie instytucją narodową: a nie było u nas w epoce poromantycznej poety tak bardzo, tak nawskróś narodowego, jak Wyspiański, on, który powiedział, że

> Nas przecie Szekspir nie poruszy,
> Bo najmniejszego nie miał wcale
> Pojęcia naszej polskiej duszy.

Nie będzie przesadą, jeśli się powie, że w długim szeregu poetów, co byli u nas szermierzami narodowości, to znaczy w tym szeregu, który w XIX wieku otwiera Niemcewicz i Brodziński, a w którym stanęli później wielcy romantycy, Wyspiański był, po ich śmierci, — narówni z Sienkiewiczem — szermierzem najdzielniejszym.

Cała przecie jego poezja obraca się nietylko naokoło problemu wyzwolenia jednostki z pod brzemienia zła, z wielu tradycyjnych więzów i z pęt strasznej teraźniejszości, ale nadewszystko około problemu wyzwolenia całego narodu z jarzma niewoli politycznej i jej okropnych skutków moralnych. Tej walki o wyzwolenie Polska nie zapomni mu nigdy.

Lecz nad tem nie trzeba się długo rozwodzić, — to dzisiaj rozumieją i czują zarówno starzy, jak młodzi. A zresztą tyle już o tem mówiono w Krakowie podczas świeżych obchodów uroczystych rocznicy! Szkoda tylko, że, jak słychać, w niektórych przemówieniach było tyle kupczenia poezją Wyspiańskiego, tyle aluzyj do dnia dzisiejszego, że niejeden słuchacz ze zdziwie-

niem pytał w głębi duszy: czyje to święto obchodzimy, Wyspiańskiego, czy innej postaci?

Jest drugi jeszcze powód, dla którego Uniwersytet Jagielloński ma względem Wyspiańskiego obowiązek wdzięcznej pamięci. Nasz Uniwersytet jest przedewszystkiem instytucją naukową: a czy mieliśmy drugiego takiego poetę, któryby zupełną odrębnością i uderzającą nowością swej poezji tak mocno wstrząsnął nietylko sercami, ale i umysłami, pobudzając je, a nawet zmuszając do myślenia o zagadnieniach piękna, do rewizji dawnych na nie poglądów i, co za tem poszło, przyczyniając się do pogłębienia krytyki estetyczno-literackiej, zarówno impresjonistycznej, jak naukowej? Ani poezje młodzieńcze i *Sonety krymskie* Mickiewicza, ani *Marja* Malczewskiego, ani *Dumki* Zaleskiego, ani *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego nie zaskoczyły w tym stopniu polskiej krytyki literackiej, co *Wesele* Wyspiańskiego.

I jak owe pierwiosnki romantyzmu dały, rzec można, życie pierwszym znakomitym utworom naszej krytyki literackiej — Mochnackiego — ku oburzeniu starych klasyków, tak *Wesele* — ku wielkiemu zmartwieniu krytyków starego autoramentu — wywołało niejeden znakomity utwór nowoczesnej krytyki, żeby wymienić tylko krytykę Rudolfa Starzewskiego.

A jak późniejsza poezja romantyczna, mianowicie Słowackiego, pobudziła niektórych krytyków do zajęcia się problemami estetycznemi, zwłaszcza zagadnieniami „nowego piękna", w sposób już ściśle naukowy, czego dowodem jest dzieło Matuszewskiego *Słowacki i nowa sztuka*, — tak poezji Wyspiańskiego zawdzięcza nauka polska znaczne pogłębienie badań estetycznych, czego dowodem jest dzieło Kołaczkowskiego o tragizmie Wyspiańskiego.

Dzięki licznym studjom o poezji autora *Wesela* coraz lepiej rozumiemy to, co dla dzisiejszej estetyki naukowej jest pewnikiem, że piękno poezji, jak wszystkich wogóle sztuk, jest nietylko w swoich postaciach i odcieniach, ale i w swoich zasadniczych typach bardzo różnorodne. Minęły niepowrotnie czasy, kiedy za jedyne prawdziwe piękno uchodziło piękno typu klasycznego: rozbiły to mniemanie studja nad barokiem i romantyzmem, a dobiły studja nad neoromantyzmem czyli symbolizmem, którego Wyspiański był — obok Kasprowicza — najznakomitszym twórcą i przedstawicielem.

Mijają także czasy, kiedy estetyka uczyła, że piękno istnieje poza człowiekiem, poza duszą ludzką: nie, poza duszą ludzką istnieją tylko rzeczy i zjawiska, wywołujące w niej wrażenia piękna, to znaczy dzieła natury i utwory sztuki. Że te rzeczy i zjawiska nie we wszystkich duszach „tworzą piękno", że po-

ezja Wyspiańskiego nie we wszystkich duszach wywołuje wrażenia estetyczne, to trudno: dosyć, że — wbrew przewidywaniom starej krytyki — daje rozkosz estetyczną coraz liczniejszym duszom. To jest fakt psychologiczny, a dzisiejsza estetyka staje się, na szczęście, nauką psychologiczną *par excellence*.

Jedno jeszcze. Estetyka dzisiejsza stwierdza ten jeszcze fakt psychologiczny, że twórczość artysty, choćby nawet niewiedzieć jak genjalnego, płynie wcale nie zawsze z pobudek czysto estetycznych, to jest z miłości piękna, ale także ze źródeł poza-estetycznych, nie wyłączając niekiedy także względów praktycznych, a cóż dopiero z uczuć takich, jak religijne i patrjotyczne.

Otóż te właśnie dwa uczucia królowały w duszy Wyspiańskiego, i z nich to tryskała jego twórczość. Jeżeli zaś jej owoce są nietylko pełne tych dwóch uczuć, ale także „piękne", to znaczy „tworzące piękno" w duszach ludzkich, to dlatego, że twórca był natchnionym poetą, śpiewakiem z bożej łaski.

On sam wiedział o tem dobrze, skoro w usta Dawida włożył słowa, które mu, kiedy tworzył, grały w duszy:

Wyroczni Twojej słuchałem zamłodu,
Gdy Samuel mnie powołał,
Bym był śpiewakiem na służbie narodu,
Bym Boży tworzył chorał.

TRENY ŻEROMSKIEGO

Odczyt, wygłoszony na uroczystej Akademji ku czci Żeromskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim dnia 24 stycznia 1926 r.

Dnia 30 lipca roku 1918 umarł Żeromskiemu jedyny syn, Adam, uczeń gimnazjum w Zakopanem. W rok niespełna ukazała się książka p. t. *O Adamie Żeromskim wspomnienie przez jego ojca, jako rękopis w 55 egzemplarzach podane do druku, dla grona osób, które łaską miłości, przyjaźni i opieki darzyły zmarłego.* Książki tej, wytłoczonej w Drukarni Naukowej Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, nigdy nie było w obiegu księgarskim; to też nie dziw, że poza gronem tych niewielu osób, którym ją Żeromski ofiarował, — zna ją mało kto, a wielu zapewne nawet o niej nie słyszało. W wydaniu zbiorowem pism Żeromskiego, które się jeszcze za jego życia zaczęło ukazywać w Warszawie, ta książka, o sześćdziesięciu stronicach *in folio*, musi się znaleźć koniecznie, należy ona bowiem do najpiękniejszych jego utworów [1].

Miłość ojca do syna nieraz już przedtem przemówiła w jego twórczości, choćby np. w noweli *Doktór Piotr*, a później w noweli *Złe spojrzenie*. Najsilniej jednak i najbezpośredniej przemówiła we *Wspomnieniu* o własnym synu.

Wrażenie, jakie ono na czytelnika wywiera, jest tem większe, że pozornie bije z niego spokój: z epicką szczegółowością opowiada Żeromski o dzieciństwie swojego Adasia, o jego pobycie w Nałęczowie, w Warszawie, w Otwocku, w Zakopanem, o jego zabawach, o jego przygodach podczas podróży do Włoch, do Francji, do Anglji, o jego naukach w liceum paryskiem i w gimnazjach polskich, najprzód w Krakowie, potem w Zakopanem, o jego skautingu, o jego myślach, upodobaniach, uczuciach. Otóż czytelnik już w tej szczegółowości epickiej wyczuwa serce kochającego ojca, który, pomimo swojej fenomenalnej pa-

---

[1] Dopiero z końcem 1926 r. ukazało się *Wspomnienie* po raz drugi — w wydaniu dostępnem już dla wszystkich (Warszawa, Wydawnictwo Mortkowicza).

mięci, nigdyby może nie zapamiętał tych wszystkich, nieraz drobniutkich szczegółów, gdyby się jego wrażenia, doznane podczas obcowania z dzieckiem, nie skojarzyły z miłością ku niemu, bo przecie nic nie jest tak silną dźwignią pamięci, jak uczucie, a cóż dopiero tak potężne, jak miłość rodzicielska! I właśnie ta miłość rodzicielska, kiedy po śmierci dziecka jeszcze wzrosła, wydobywa ze składu pamięci takie nieraz szczegóły, które leżały w nim cicho i spokojnie, póki dziecko żyło, a które, kiedy dziecko żyć przestało, zaczęły się w sercu ojca upominać o życie.

Lecz w tym pozornym spokoju epickim, w tej ciszy opowiadania o życiu Adasia, raz po raz słychać głośne bicie serca.

Niekiedy są to uczucia pogodne i radosne. Jakaż głęboka radość i tkliwość bije z kart, poświęconych dzieciństwu Adasia, kiedy dziecko było jeszcze zdrowe i kiedy z takim zapałem garnęło się do świata i ludzi, do zabaw i pięknych widoków: „Małe nóżki... z dziwną rozkoszą wstępowały w nurty świdrowe, a stopy pląsały w zawody z najbystrzejszą falą; srebrzyste płotki i błękitne pręgowane okoniki mknęły zdala od tych nóżek, żeby się z niemi ścigać w głębinie...". „W zimowe poranki, kiedy ostry mróz lutego ubielił trawniki Pincio, obchodził z ojcem mury rzymskie, gapiąc się gapieniem wielkiem na niewysłowioną ich poezję...". „Jednego razu podpatrywał ryby w sadzawkach Frascati, pod cieniem cyprysów nieopisanej piękności, biegał wesoło po Tusculum Cycerona i ogrodach willi Mondragone, przeskakując cienie i światła w prastarej alei, jak istny motyl, w swej rozwiewnej pelerynie i bereciku".

A jakaż radość i szczęście i duma rodzicielska bije ze *Wspomnienia* tam, gdzie ojciec opowiada o młodzieńczej energji, o czystości moralnej, o inteligencji chłopca! „Była to istna rozkosz patrzeć, jak rozrastała się i mężniała, jak twardniała i stawała się hartowną dusza chłopca pod wpływem skautingu. Dawna delikatność i podatność przeistoczyła się na twardą siłę i wytrwały w dobrem upór. Adaś sam reparował swe buty, musiał cerować i zaszywać dziury w ubraniu, zaprasowywać je starannie, prać i prasować, obsługiwał „Łyskę", dźwigał dla niej siano, czyścił uprząż i siodło, dbał o swe rzeczy i każdą robotę wykonywał własnemi rękami. Szewcem był tak doskonałym, tak pomysłowym, że zawodowcy chwalili jego robotę, gdy do stanu użyteczności po dziesięćkroć wciąż doprowadzał swe „guziaki", potargane w pochodach i służbach, jeszcze je zmocowując gwoździami i rzemieniem. Ach, wszystko umiał wzorowo robić ten „Złoty Skaut"!... Umysł stał się otwarty, dusza niemal męska. Serce tylko zostało dziecięce. Posłuszeństwo, dobroć, łagodność i taka czystość obyczajów, że ten dorastający młodzieniec nigdy z własnej chęci nie był w kawiarni, nie miał w ustach

papierosa, nie znał smaku wódki, nigdy nie kłamał, w żadnej okoliczności życia".

A jak szczęśliwym czuł się Żeromski, że syn podzielał jego wiarę w zwycięstwo. Zwycięży Francja! „Od samego początku tej wojny wszyscy i wszystko dookoła twierdziło, iż Paryż będzie wzięty — („to trudno!") — Francja zgnieciona, zdeptana butami pruskiego zwycięzcy, że naród francuski, jak twierdził samodzierżca opinji galicyjskiej, pan Konstanty Srokowski, to „człowiek martwy"... Tak-że to strasznie miała się zawieść wiara dziecięca w broń, w artylerję, w mądrość wojenną, w żołnierza Francji? Serce Adasia dochowało wiary Fernandowi Paillet, tym wszystkim małym chłopczykom, kolegom z „ósmej", z panem Haranger pośrodku, których zbiorową fotografję stale trzymał koło swego posłania. Jak serca ich, tak samo jego serce drżało; jaką była wiara ich, taka też była jego wiara. Jego cichy i pokorny rozum, sam jeden, wbrew wszystkim „racjom stanu" nie wierzył w pogrom Francuzów. Nigdy, ani na jedną sekundę! Adaś zawsze wiedział napewno, że Francja nie zostanie pobita. Sarkastyczny uśmiech nie schodził mu z warg, gdy dyskutowano, dowodzono, wieszczono, lub śpiewano na cześć sojuszu Polski z państwami centralnemi. Dowcip, tak nieraz subtelny i zjadliwy, iż zastanowiłby najdojrzalszego i najprzebieglejszego dyplomatę, zbiegał z pomiędzy jego warg. Niektóre manifestacje — „Hołd zwycięzcom!" — „Nasza czwarta armja!" — przemówienia, odczyty, publikacje, akty i awantury polityczne miały w tym uczniu gimnazjalnym niepokonanego szydercę i ciętego krytyka. Różne bałwany, karjerowicze, ryfy i franty tej dziury zakopiańskiej, wyrastając w tym czasie na dygnitarzy lub mniemanych dobrodziejów narodu, były odtwarzane przezeń w sposób nieporównany. Były to istne strzały torreadora, rzucane niepostrzeżenie w kark głupiego byka, gdy się miotał po arenie, sam nie wiedząc, w którą biec stronę. Jakżem was kochał, wy chybkie strzały, ciskane subtelną ręką mego jedynego politycznego przyjaciela!"

A do tych radosnych i pogodnych uczuć względem dziecka przyłączają się jeszcze we *Wspomnieniu* uczucia głębokiej wdzięczności względem tych wszystkich, co je darzyli swą miłością, a choćby tylko życzliwością. „Adaś przypadł nadzwyczajnie do serca Henrykowi Sienkiewiczowi. Pasja do przygód, poszukiwanie niebezpieczeństw, marzenie o wielkich wyprawach podobały się w młodzieńczyku znakomitemu narratorowi, który wtedy właśnie na wyspie Ploumanach pisał swój świetny utwór dla młodzieży p. t. *W pustyni i w puszczy*. Bohater nowej powieści tak się zespalał w umyśle pisarza z żywym chłopcem, iż często żywego Adasia Henryk Sienkiewicz nazywał przez

pomyłkę — Stasiem". Wdzięczny jest żeromski i Jadwidze Sienkiewiczównie, i Tadeuszowi Korniłowiczowi, i Bronisławowi Piłsudskiemu, i Stanisławowi Witkiewiczowi, i kolegom Adasia, i lekarzom, którzy go pielęgnowali, i nawet „Łysce", na której Adaś jeździł, a którą podczas wojny trzeba było w Zakopanem sprzedać, bo nie stać było ojca Adasia na jej utrzymanie. Jest także wylew wdzięczności względem całego jednego kraju, w którym się dziecko uczyło, a który dał „samo dobro... czystej, młodej duszy": „O Francjo! Matko wolności, kolebko kultury, szkoło rozumu, nauczycielko towarzyskiego współżycia ludzi, — bądź pozdrowiona z głębi duszy, bądź pochwalona, bądź szczęśliwa na wieki za uszanowanie i przygarnięcie cichej, nieśmiałej, duszy polskiego dziecka!" [1].

Ale silniejsze jeszcze sprawiają wrażenie te ustępy książki żeromskiego o zmarłym synu, w których przepajające je uczucie przemawia nie wprost, tylko pośrednio, zasilając w swoisty sposób wyobraźnię twórczą autora. Czytamy np., że „Adaś,... ogarnięty przez nieznajomy świat drzew i roślin, owoców i kwiatów, zapachów i poszumów, przez pieśni ptasie i widok przestworu, pociągany z miejsca na miejsce przez nieświadome pragnienie dali i ruchu, stawał się nie samym sobą... Był li wietrzykiem, który składa i rozkłada liście na niedościgłym białodrzewie, raz białą, raz ciemną stronę, każdą sprawiedliwie wystawiając ku słońcu, — powiewem, nachylającym zboża i nosicielem daleko, daleko zapachów rezedy z rabat przed domem, — śpiewem skowronka w niebiesiech i wilgi w gałęziach gęstych czereśni, — obłoczkiem, co jak złoto-biały cherubin płynął ze złożonemi skrzydłami nad nałęczowskim cmentarzem, — wonią róży samotnej, róży ciemnej, róży jedynej, kwitnącej pod oknami...".

Aby coś podobnego napisać, mało być poetą, mało kochać naturę całą duszą swoją i wszystkiemi zmysłami swojemi, mało mieć bujną wyobraźnię: gdyby nie serce, gdyby nie miłość

[1] Dla liceum paryskiego nie ma żeromski dosyć słów uznania i wręcz zachwytu; natomiast to gimnazjum krakowskie, w którem się uczył przez krótki czas Adaś, maluje w czarnych barwach: „Koledzy — byli to przeważnie chłopcy starsi, ordynarni, zepsuci, łobuzy, a niektórzy istne chamy i draby. Nauczyciele używali w szkole wyrazów prostackich, nieraz wstrętnie haniebnych w ustach „pedagoga", np. — „ty....." (ten wyraz, *in extenso* wydrukowany przez Żeromskiego, pomijamy), „hieno wyborcza", „kundlu", „gnypie", „wałkoniu"! — nie mówiąc już o wszelkich metaforach, jak — „ośle, durniu, małpo!"... „Nie było... ani cienia współżycia nauczyciela z klasą, ...były to dwa wrogie, nienawidzące się obozy... Nauczyciel „odwalał" godzinę, kończył swój austrjacki „kawał", bez czego nie wypłaconoby mu miesięcznej pensji, — i szedł w swoją stronę. Uczniowie mniej lub więcej sprytnie nabierali belfra i szli w swoją stronę, rozmyślając nad tem, w jakiby sposób jutro nabrać go jeszcze lepiej, lub podejść jeszcze sprytniej".

dziecka, która po jego śmierci nieraz je wyanielała i przeistaczała w jakąś zjawę eteryczną, nie byłoby takiego klejnotu poezji, jak przytoczony urywek, jak nie byłoby całego *Wspomnienia*.

O wiele częściej jednak dźwięczą w niem — i czyż może być inaczej? — uczucia smutne i bolesne. Słychać je już we wspomnieniu o dzieciństwie Adasia, o jego zabawach w Nałęczowie.

Na szczycie „Góry Armatniej" budowano „chatę"; Adaś pilnie się przypatrywał, jak wznoszono podmurowanie, jak heblowano deski. „Łoskot siekier, ociosujących belki w ślad za „naostrzonym" sznurem, i stuk dłót, żłobiących otwory dla „tyblów"... Łaty i gonty, góry desek i góry heblowin... Życie i radość wśród desek i heblowin"... „Desek i heblowin..." powtarza Żeromski, przerzucając sercem późniejsze wypadki i uczucia — na widok trumny Adasia — w przeszłość.

Nierównie jeszcze silniej i boleśniej zgrzytnęła ta przerzutnia uczuciowa w opowieści o latach późniejszych, o pobycie Adasia w Quiberon.

„Wąskiemi przesmykami, na których w czasie przypływu fale się przelewają, błądzą cielska meduz i śliskie brzuchy ryb, zeszedł do wnętrza ciemnej, zielonej pieczary, zajrzał w olbrzymią wielopiętrową jaskinię, idącą głęboko w kamienne trzewia lądu, — wsłuchał się w infernalną symfonję oceanu, uderzającego w wydrążone mury, w ślepe i niedosięgłe pustki tej groty. Jęk i płacz, wzdychanie i straszne, nigdy już nie pocieszone zawodzenie ojca nad świeżym grobem ukochanego, jedynego syna, — krzyk matki, oszalałej z boleści, ryk przemocy nad bezsilnością, hejnał radosny ślepej i dzikiej przyrody, która miljony żywotów wytraca, aby miljon nowych, potomnych, na śmierć niedługą skazanych, powołać z uśmiechem i siłą, — i sam głuchy łoskot topora śmierci, — słychać było, gdy się przypływający ze swoich otchłani ocean ciskał wszechwładnie między pustki, schody i harfiane głębie groty..."

To nie Adaś dosłuchał się tego wszystkiego w „infernalnej symfonji oceanu", tylko jego ojciec nieszczęśliwy — już po jego śmierci.

Lecz i przed śmiercią syna dusza ojca nieraz mroczyła się smutkiem — na widok tego smutku, który się często wkradał do duszy dziecka, jako nieodłączny towarzysz choroby, po raz pierwszy — jeszcze w dzieciństwie.

„Wielkie cierpienie ledwie zdołało pomieścić się w organiźmie tak małym. Dokonał się rozrost smutku w tej duszy. Żałosny wzrok spoglądał na świat, niby z za krat więzienia, a krzyk dziecięcy stał się dziwny, własny język cierpienia, jakby pisk ptaka, postrzelonego przez zbójecki pocisk człowieczy"...

„O, wielki smutku dziecięcy, głęboki smutku Adasiowy, jakiż cię opis wysłowi!“

Lecz przychodziły smutki jeszcze większe, bo się choroba wzmagała. Adaś był skautem, „złotym skautem“, jak go w rozmowie z ojcem nazwał drużynowy. „Szacowny tytuł. Ach, gdybyż nie był nabyty kosztem rannego kaszlu i bolesnem zamgleniem oczu!“ Wybuchła wojna, którą Adaś przeczuł i której pragnął, bo wiedział równie napewno, jak jego ojciec, że nastąpi pogrom Niemców. O zaciągnięciu się do wojska nie było nawet mowy; trzeba było siedzieć w Zakopanem i chodzić do klasy. Ale dusza rwała się w góry.

„Na kamienistych ścieżkach, w przesmykach wśród głazów, w dziewiczych lasach Newcyrki, na perciach niedostrzegalnych, krążących ponad przepaścią, ziejącą w dole, w szczelinach niedosięgłych, wydźwignionych ku niebu krzesanic, serce jego stawało się lekkie i dziecięce znowu. Wyciekał z niego smutek rozmyślań i wszelaki żal — i było znowu sercem dzieciątka z Nałęczowa, które ścigało oczyma skowronka w niebie. Jakie tam dumy snuł, idący nad brzegiem jeziora tajemniczego, za czem tęsknił i czego pragnął, jakie modlitwy wymawiały jego czyste usta — ty jeden wiesz, o wietrze, wietrze... Lekarze zakazywali tych wycieczek, lecz nic na świecie nie mogło go odwieść od tej jedynej rozkoszy. Mówił, iż jedynie w górach czuje się przewybornie, je i śpi znakomicie. Wracał z tych karkołomnych wypraw ogorzały, silny, jakiś jakby rozrośnięty i wzmożony na siłach“...

Było to tylko złudzenie. Na początku lutego r. 1918 Adaś zachorował „nibyto na influenzę“... „Wychudnięcie raptowne, brak apetytu — i smutek. O, smutku, smutku tego czystego anioła, jakże cię wysłowi nędzne moje pióro! Jasne oczy zapatrzone w ziemię, przedziwny półuśmiech na ustach i nieustające, głębokie o czemś zamyślenie“... „Czytać tylko, wciąż czytać, a raczej słuchać czytania! Czasem niezrównane, sarkastyczne określenie utworu, który mu przeczytano. Najnowsza powieść sławnego autora, której wysłuchał, budzi refleksję ośmnastoletniego krytyka, której mógłby mu pozazdrościć „przenikliwy“ esteta: — „Ten sam to wciąż, piąty czy szósty zrzędu, tramwaj socjalistyczny, jadący do wiadomej zgóry remizy, tylko obecnie jest to tramwaj z kości słoniowej“... „Usiłował pisać pamiętnik, ale tylko jedno zdanie zapisane zostało w tej książeczce: „Dziś jest siedmdziesiąty dzień mojej choroby. Śniegi wciąż leżą i ja na werandzie. Och, cóż za smutek!“ „Jakiż głos smutniejszy był na ziemi od tej skargi młodzieńca, który czuje, że w nim coś z dnia na dzień gaśnie, z godziny na godzinę czegoś ubywa, z minuty na minutę coś ucieka!“

W czerwcu przewieziono Adasia do Nałęczowa. Ojciec już wiedział, że się zbliża śmierć... „Nato-żeście tak cudnie porosły bujne modrzewie, w jego oczach niegdyś sadzone, nato-żeś tak się rozwinął, świerku niebieski, ulubiony, — małe cisy i tuje, sosny i jodły, — żeby do was na krześle ruchomem przyjeżdżał w gościnę, jak starzec! Teraz, gdy można było wstąpić do wojska, przypasać pałasz i twardym krokiem iść w bój za zjednoczenie ojczyzny, nogi ustać nie mogą, ręka bezwładna opada, a żebra bolą, wisząc nad próżnią, nad wielką w płucach raną! Iści się wreszcie niepodległość ojczyzny, dziś jutro nadejść może radosna wieść o złamaniu pruskiej potęgi... Chyżo, chyżo przychodź, wieści! Taka to treść, taka treść zawierała się w tobie, szeleście liści topolowych!... Poto człowiek w trudzie, w mozole buduje dom, żeby pod jego dachem, u ściany głównej, syn boleść, żałość i zabicie duszy cierpiał“...

Odtąd — już tylko krótkie, urywane zdania, odtąd już nie płacz, tylko jęki... „Dnia 30 lipca o wpół do trzeciej nad ranem Jan Witkiewicz zastukał. Drżący stał u drzwi. W alejce ogrodu jakieś cienie. To Bolesław Miklaszewski i jego córki. W izbie ciemno. Poomacku dotknąłem czoła Adasia. Było zimne. We śnie, zaiste, zasnął w Bogu... Dłoń, którą niósł do głowy, czy do ust, zastygła skrzywiona w próżni. Oczy otwarte, usta maleńkie otwarte. Oczy mojego Adasia patrzą jeszcze, ale już nie widzą... Pamiętam, iż wciąż był wiatr i przelatywały deszcze. Dużo jest w człowieku siły zwierzęcia, czy siły drewna, jeżeli może takie dnie przetrzymać... Na drugi dzień przed wieczorem stałem pod wielkiem drzewem tej topoli, gdy rozruch się zrobił w ogrodzie. Spojrzałem w uliczkę: to sześciu ludzi niosło w górę po śliskiej ziemi ciężką trumnę. Trumnę nieśli dla mojego Adasia... Nazajutrz rano ostatnie sam na sam. Ostatnia spowiedź. Pod tę ciężką, bezwładną głowę włożyłem *Dumę o hetmanie*. Na sercu przypiąłem różę ponsową z krzaka przed domem, której pąk jedyny zakwitnął tego dnia. Różę czystą na serce bezgrzeszne, które nie miało żadnej winy na tej ziemi“...

A potem nabożeństwo żałobne, pogrzeb, i sosnowy krzyż nad mogiłą, na którym ojciec zawiesił wieniec z czerwonego berberysu, „symbol męczeńskiego żywota“. „W ulewny deszcz mijałem cmentarz w Nałęczowie. Kapały tam krople w wieko jego trumny... O, Boże! przytul do łona przeczystą duszę Adasia...“

To już koniec.

Ból rodzicielski po śmierci dziecka przemówił w Polsce — w sposób godny świętości i ogromu tego uczucia — już w XVI wieku, potem — dopiero w epoce romantyzmu. Obok *Trenów*, które „Jan Kochanowski, niefortunny ociec, swojej najmilszej dziewce z łzami napisał“, obok *Ojca zadżumionych*, w którego

rozpacz po stracie dzieci wczuł się sercem i wyobraźnią Słowacki, chociaż nigdy nie był ojcem, staje, jako trzeci pomnik rodzicielskiego bólu, *Wspomnienie* Żeromskiego o Adasiu. Napisał je „niefortunny“ ojciec tylko „dla grona osób, które łaską miłości, przyjaźni i opieki darzyły zmarłego“, nie zdając sobie może nawet sprawy, jaką perłę wkłada do skarbca poezji polskiej.

O innych utworach Żeromskiego były, są i niezawodnie długo jeszcze będą różne, często zupełnie sprzeczne sądy: ale o tych jego „Trenach“, podobnie jak o *Trenach* Kochanowskiego i o *Ojcu zadżumionych*, sprzecznych sądów być nie może.

APOTEOZA JAKÓBA SZELI

Pokusił się o apoteozę tego nędznika nie kto inny oczywiście, tylko bolszewik: pan Bruno Jasieński, w wytwornie wydanem (w Paryżu 1926 r.) *Słowie o Jakóbie Szeli*. Poprzedził je przedmową, w której pomstuje na „historję oficjalną", że, „grupując w sposób, odpowiadający jej koncepcji narodowej, pewne fakty, dotyczące Szeli, i konsekwentnie przemilczając inne, ulepiła z tego materjału odrażającą postać chłopa-prowokatora, konfidenta rządu zaborczego, zdrajcy interesów narodowych, zawsze niewspółmiernych i częstokroć sprzecznych z interesem klas upośledzonych". Do tych faktów, jakoby przemilczanych przez historję oficjalną, zalicza pan Jasieński „fakt", że kiedy się, już po rzezi, ukazał dekret cesarski, nakazujący „chłopom powrót na pańszczyznę", Szela odmówił „wykonania tego rozkazu".

Co pan Jasieński rozumie przez „historję oficjalną", tego czytelnikowi nie wyjawił, i bardzo słusznie; gdyby bowiem chciał to wyjawić, musiałby coś wspomnieć o studjum Bronisława Łozińskiego p. t.: *Dwa upiory historyczne*, opartem na materjale źródłowym, a gdyby o tem studjum wspomniał, toby nie mógł tumanić czytelnika kłamstwem, że Szela odmówił wykonania rozkazu cesarskiego, wiedziałby bowiem, że Szela słuchał rozkazów Breinla, — niedosyć na tem, że gmina Smarzowa pierwsza zaczęła na nowo odrabiać pańszczyznę; wiedziałby także pan Bruno Jasieński, gdyby znał (czy też gdyby nie udawał, że nie zna) studjum Łozińskiego, że Szela był to „pospolity opryszek".

Ale cóż na to poradzić, że od studjów naukowych pan Jasieński wolał legendę o Szeli, o której wspomina Ludwik Dębicki w swej gawędzie *(Z dawnych wspomnień)*. „Mamy szczegóły od tych, co go znali, — pisze Dębicki (i te słowa pan Jasieński przytacza) — i od tych, co go widzieli wśród krwawych czynów", że Szela „nie był to ich zdaniem pospolity zbrodniarz, nie działał, jak inni, w stanie opitym, z wściekłością dzikiego zwierza; trzeźwy i spokojny, miał na ustach słowa *Pisma św.*; gdy mor-

dował i pastwił się nad swojemi ofiarami, wtedy jeszcze występował jako moralista i mściciel; zdawał się być mistykiem i sekciarzem w siermiędze... Po dokonanych mordach miał ten herszt rzezi przemowę do dwóch wdów, po Stanisławie i Nikodemie Boguszach, z domu Stojowskich, którym wymordował także synów. Przemawiał jako wybawca od tyranów, jako wykonawca rozkazów nietylko cesarza, lecz Pana Boga... Imię Szeli było hasłem w całej okolicy Brzostku, Pilzna i Jasła".

Na podstawie tej legendy wytworzył sobie pan Jasieński koncepcję, że Szela był „świadomym i bezinteresownym obrońcą sprawy chłopskiej, głuchej na abstrakcyjną dla niej argumentację dobra ogólno-narodowego". Co więcej, mówi pan Jasieński, że, „gdyby nawet Szela historyczny nie istniał, to w interesie o cały świat świadomości klasowej wzbogaconej kultury polskiej należałoby go wymyślić". Boże miłosierny! o kulturę polską troszczy się kto? Pan Bruno Jasieński, ten sam, o którym słusznie pisał Żeromski (w *Snobizmie i postępie*), że „wszystko go łączy z poetami Rosji", ten sam, pod którego adresem równie słusznie pisał Żeromski: „Zdawałoby się, że po wydźwignięciu się Polski z pod cielska Rosji... odetchniemy i w piśmiennictwie od rosyjskiego wpływu; tymczasem — tak nie jest; najmłodsza poezja polska nie może się odessać, oderwać od piersi wielkiej „matuszki"; futuryzm, stary już i strudzony, przywędrował i do nas wreszcie z Rosji, a rodzimy snobizm podaje jako nowość ów najistotniejszy kacapizm".

Przy końcu swej przedmowy pisze pan Jasieński: „Gdyby Szela istniejący nie był bohaterem, to i wówczas, w imię męczeńskiej epopei krzywdy chłopskiej, należałoby go dźwignąć na wyżyny heroizmu. Tem bardziej, skoro istniał i skoro posiada wszystkie cechy bohaterstwa, obowiązkiem naszym jest go ożywić. Niechaj i tym razem uczyni to poezja, od wieków do tego powołana".

Widać jasno z tych słów, że intencją poetycką pana Jasieńskiego było stworzyć postać wielką, heroiczną, co więcej, dźwignąć ją nawet „na wyżyny heroizmu", i że poczytywał to sobie za obowiązek, jako poeta.

Otóż, nie pytając już nawet, jaka jest moralna wartość tej intencji i tego poczucia obowiązku, zapytajmy raczej, czy pan Jasieński tę swoją intencję i ten swój obowiązek spełnił, to znaczy, czy udało mu się bohatera swojego *Słowa o Jakóbie Szeli* wyposażyć w „cechy bohaterstwa" i dźwignąć go „na wyżyny heroizmu".

Ależ odrazu, od samego początku *Słowa* widać, że autor, tak buńczucznie zapowiadający w przedmowie wielkość swojego bohatera i, co za tem idzie, swoją własną wielkość, jako poety,

nie ufał jakoś tej swojej własnej wielkości, skoro postanowił zejść z hymnu do prostej piosenki, przybierając swój poemat o wyżynach heroizmu Szeli w szatę pieśni ludowej (niecałkiem polskiej, bo raz po raz słychać w niej echa „bylin" rosyjskich: tak, miał słuszność Żeromski, trudno było oderwać się panu Jasieńskiemu od piersi wielkiej „matuszki").

Przyznać zresztą trzeba, że w ton pieśni ludowych umiał pan Jasieński utrafić dobrze, a tu i owdzie wręcz doskonale. Często jednak szydło z worka wyłazi — pod postacią sztucznych, obcych poezji ludowej, rymów i innych sztuczek, znanych dobrze z dawniejszych poezyj pana Jasieńskiego. Takich zresztą sztuczek ortograficznych, jak w *Nożu w bżuchu*, już niema; owszem, jest nawet, jakby dla odkupienia „bżucha" — „korzuch" przez *rz* (sprostowany zresztą w omyłkach druku).

Jakże pan Jasieński „ożywił" Szelę, posiadającego „wszystkie cechy bohaterstwa"?

Tańcowała izba, stół,
cztery konie, piąty wół.
Tańcowały krowy z obór,
jak w tancerkach był niedobór —

to wesele Szeli, który „pochował już żony trzy", a teraz żeni się z Maryną. Wkrótce po ślubie Maryna zdradza męża z Wicusiem:

„Weź mię, Wicuś, sobą przykryj,
Lepszy dzień od nocy przykrej.
Taka mdli mię straszna lubość,
Jeno pójdź mię sobą ubość".

Na to Wicuś, znający widocznie i lubiący swoiste metafory pana Jasieńskiego:

— Daj mi, Maryś, daj mi zbliska
— twoich piersi kretowiska.
— Jak dwie skiby twoja kibić,
— dajże mi się pługiem wścibić.

Mąż dowiedział się o wszystkiem:

Jak uderzył Szela raz,
przykląkł Wicuś, zgiął się w pas.

Jak uderzył Szela drugi —
poszły nosem krwi dwie strugi.

Jak uderzył w skroń, nad brwią,
przysiadł Wicuś, charknął krwią.

Jak uderzył czwarty sprosta,
upadł Wicuś, tak już został.

Oto pierwsza „wyżyna heroizmu" „bohatera".

Druga — to przemowa do chłopów, zebranych w karczmie, i zapowiedź, że sam pójdzie; jakoż idzie — do Lwowa, do cesarskiego namiestnika.

Kazał Namiestnik chłopu siadać,
wszystko wysłuchał: jak i co już.
Długo coś prawił, jak w teatrze —
ręka na klapie: pasterz trzodom.
„Wszystko“ — powiada — „sam rozpatrzę,
Chybaj na pańskie nazad do dom“.

Kiedy wrócił, pan wtrącił go do więzienia:

Siódmy tydzień z pańskich lochów
niema o nim wieści.
. . . . . .

Siedzi, siedzi, wiosny czeka.
Dzień już za dniem brzydszy.
Zupę z pomyj jadł na wilję,
na święcone — wszy trzy.

Dopiero na Nowy Rok pan kazał go okuć w łańcuch i zaprowadzić „do kościoła na mszę“.

Stanął Szela w progu,
pchnął go Wicek-strażnik.
Sine oko miał pod szmatą,
nie poznał go w twarz nikt.

Jak na Podniesienie
ksiądz niósł w górę kielich,
nie opuścił się na płyty,
na zbutwiałą biel ich.

Jeno nad gromadą
sztywny stał jak fantom
i zadzwonił łańcuchami
w odgłos ministrantom.

To i trzecia „wyżyna heroizmu“.

Przyjechał do Smarzowy starosta tarnowski, przywiózł Szeli ukłony od namiestnika i rozkazał więźnia wypuścić na wolność:

„Żeby mi tu temu chłopu
nie spadł z głowy włosek!
Bo wam dwór ten z ziemią zoram
aż do samych pól den“. —
I w kosmatą czapkę Szeli
kapnął srebrny gulden“.

Po wyjściu z więzienia Szela idzie do Tarnowa; Breinl podmawia go do rzezi:

„Z tobą chłopy idą rzeszą.
Tyś do Lwowa chodził pieszo.
Tobie mówię, tak a tak —
Przyjdzie chwila — daj im znak.

„W waszych rękach teraz los wasz.
Com ci mówił, dobrze rozważ:
Komu ziemia — komu grób.
Co masz robić — idź i rób".

Powstał Szela, zbladł znienacka.
Mówił: „Rada — rzecz gromadzka.
Wieś odmierzy w garść jak w ćwierć,
komu wola, komu śmierć".

Oto czwarta „wyżyna heroizmu" „bohatera" — konszachty z Breinlem.

Wrócił Szela do domu, do Smarzowy, i tu, na ścieżce, spotkał się z nim Pan Jezus, który go pyta o drogę do Siedlisk, bo tam „ponoś chłopy panów biją, piłami ich krają". Na to Szela:

„Nie biegałeś, jak się naszych
krzywd przelała kwarta!
Widać garnca pańskiej kaszy
chłopska krew nie warta.
. . . . . .

„Nie ceniłeś ty krwi chłopskiej
za złamany szeląg! —
Czemużeś się, Panie Jezu,
tak o pańską przeląkł?
. . . . . .

„Poco ci to z chłopską nędzą
w twarz się spotkać twarzą?
Dziś tam z krwi tej, co ją pędzą,
tęgie piwo warzą.

„Nam ta swego raju nie raj, —
z łzyś go zlepił naszej!
Idź-że lepiej je pozbieraj
i na kubrak naszyj.

„Białe rączkiś przykrył komżą,
nie splamił-ś ich pracą.
Dzisiaj chłopcy takich wiążą,
tylko gdzie zobaczą".
. . . . . .

I zawrócił Szela na wieś,
a Jezus — do nieba.

Sąd o tym obrazie każdy zapewne sam dośpiewa sobie w duszy i sam zapewne odpowie sobie na pytanie, czy autor, przed-

stawiając Chrystusa w takiej roli, tworzy poezję „w interesie kultury polskiej"! Warto jednak i tutaj przypomnieć, co o tym budowniku kultury polskiej powiedział Żeromski: ...„wszystko go łączy z poetami Rosji: niweczenie ustalonej pisowni, lubowanie się w opisach jakiegoś „świata" pod ścianą, gdy „hymnem tętni nerw", — no, i ów Chrystus, tak nieodzowny w każdym utworze rosyjskim, przy rozstrzeliwaniach, morderstwach i tym podobnych rozkoszach majakowszczyzny".

Po tej „heroicznej" rozmowie z Panem Jezusem (wyżyna piąta), autor chowa swojego bohatera w kąt, żeby mu (autorowi) już nikt nie przeszkadzał do rozkoszy szczegółowej opowieści o „rozkoszach majakowszczyzny". Oto jedna z tych rozkoszy:

Hulaj, wychylaj głowy z za wnęk!
Byli — ubyli, jechał ich sęk!
Hola na pola orki się uczyć,
orać karbowym, rządcą nawłóczyć!

Hejże! a nuże! hala! a haj!
Wozy z dobytkiem do zagród pchaj!
Klamki złociste do wsi poznoścież!
Rygle otwarte — ziemia naoścież!

K—r—r—r—r—aj!

Jakże szczery i radosny ton serca pana Jasieńskiego bije z tego: „k—r—r—r—aj!"

Wyciąga autor swojego bohatera z kąta wtedy dopiero, kiedy skończył opowieść o rzezi: „przyjechali zabrać Szelę tarnowscy żandarmi". Szela żegna się smutno i żałośliwie ze swoją wsią, ale ma pewność, że „nie zapomni wieś-gęsiarka kołodzieja Szeli". To szósta i ostatnia wyżyna heroizmu, na którą się wdrapał ten bohater w *Słowie* pana Jasieńskiego.

Nie, nie spełnił autor swej dumnej zapowiedzi, że poezją swoją dźwignie Szelę na wyżyny heroizmu. P r a w d z i w i e wielki zbrodniarz może w poezji wywrzeć niewątpliwie wrażenie estetyczne, to mianowicie, które się nazywa „wzniosłością straszliwą": dowodem np. Makbet albo Ryszard Szekspira. Ale zbrodniarz-Szela w *Słowie* pana Jasieńskiego nie ma w sobie, wbrew intencji swojego twórcy, ani źdźbła, ani ździebełka wielkości, — i dlatego budzi jedynie w s t r ę t. I czyż mogło być inaczej? żeby w poezji były w y ż y n y (wszystko jedno: dobra, czy zła, cnoty, czy zbrodni), na to trzeba mieć wielki talent, a nie, jak pan Bruno Jasieński, mały talencik. Słusznie mówią stare przysłowia: „Iżeś to mały, nie bądź zuchwały"; „Kijem skrzypców nie wystroisz". Przypomina się jeszcze przy czytaniu *Słowa* pana Jasieńskiego inne przysłowie: „Mały jak pa-

lec, a zły jak padalec", — przecie sam autor nazywa swoją pieśń „złą":

W białe noce, od rżysk i gumien,
porośniętych i mchem, i mgłą,
pozbierałem tę pieśń, jak umiem,
i przynoszę skrwawioną i złą.

I mówi jeszcze:

W białe noce, z za kęp ostrężnic,
gdzie chowała się słońca rzyć,
wychodziła ta pieśń na księżyc
godzinami po psiemu wyć.

Szkoda, że na księżycu nie została, że przyszła na ziemię wyć po psiemu.

WIELKOTYGODNIOWY RACHUNEK SUMIENIA NARODOWEGO

Rachunek sumienia narodowego to jeden z najstarszych pierwiastków naszej literatury: jest już przecie w kronice u Długosza. A potem, w wieku XVI, każdy niemal moralista i polityk (wszystko jedno, duchowny, czy świecki) poczytywał sobie za obowiązek tego rachunku dokonać: koroną tych roztrząsań są *Kazania Sejmowe* Skargi i jego *Wzywanie do pokuty*.

Otóż literatura wieku XIX nie sprzeniewierzyła się tradycji; przeciwnie, wzbogaciła ją jeszcze i rozwinęła, biorąc pod uwagę nie same tylko uczynki narodu, ale także ich główne źródło, — to jest charakter narodowy. Zagadnienie to staje się popularnem już w pierwszej epoce naszej literatury porozbiorowej, to znaczy jeszcze przed powstaniem listopadowem: pisma Niemcewicza, Szaniawskiego, Adrjana Krzyżanowskiego, Lelewela, Brodzińskiego świadczą o tem wyraźnie i wymownie. Scharakteryzować je można krótko: światła mają nad cieniami stanowczą przewagę. Literatura po powstaniu, w najświetniejszej epoce swego rozkwitu, tej cechy, naogół biorąc, nie straciła. Jest wprawdzie *Grób Agamemnona*, są inne utwory Słowackiego, który tak często miotał pioruny na więzienie „duszy anielskiej“ w „czerepie rubasznym“; są *Księgi Pielgrzymstwa* Mickiewicza, uwydatniające niejedną ujemną cechę charakteru polskiego; są nadewszystko *Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej* Lelewela, który sprzeniewierzenie się szlachty polskiej charakterowi narodowemu poczytuje za główną przyczynę upadku Polski; — ale stanowczą przewagę nad rozumną, a czasem i namiętną krytyką ma w epoce romantyzmu już nietylko uwielbienie, ale wręcz apoteoza charakteru polskiego i wogóle wszystkiego, co polskie.

Otrzeźwienie następuje dopiero w czasach późniejszych, po roku 1863, zwłaszcza w publicystyce, która się cechami naszego charakteru narodowego coraz pilniej zajmuje. Do dziś dnia jednak nie zdobyła się na studjum wyczerpujące, a jedyną bodaj próbą syntezy (ale zato w wielkim stylu) jest studjum Wacława Sobieskiego, ogłoszone w *Myśli Narodowej*

w r. 1926, pod tytułem *Skrzydła i pęta ducha polskiego*. Znacznie wcześniej (jeszcze w roku 1888) ukazała się niewielka książka Juljana Kaliszewskiego (*Moi kochani rodacy*), ale jest ona raczej zbiorem luźnych uwag o charakterze polskim, niejednokrotnie bardzo trafnych (i niewesołych), aniżeli całością organiczną [1].

Ten brak ujęcia charakteru polskiego w jedną całość psychologiczną, ideową, historyczną, nie przeszkadza jednak stwierdzeniu faktu, że nietylko w epoce pozytywizmu, ale i później, są w naszej publicystyce nieprzebrane bogactwa myśli o charakterze polskim; zgodzi się na to chyba każdy, kto zna feljetony Świętochowskiego, kroniki Prusa, artykuły Ochorowicza, pisma polityczne Popławskiego, *Myśli nowoczesnego Polaka* — Dmowskiego, książki i artykuły Zygmunta Wasilewskiego, żeby wymienić te tylko badania i spostrzeżenia, które w duszę narodu wnikają najgłębiej.

W dziedzinie charakterologji polskiej ta publicystyka odgrywa dzisiaj tę samą rolę, jaką dawniej, zwłaszcza w XVI i XVII wieku, odgrywało kaznodziejstwo i wogóle literatura religijna. W wieku XVIII i XIX (a cóż dopiero dzisiaj) do bardzo rzadkich wyjątków należą kazania i pisma religijne, któreby, ucząc moralności chrześcijańskiej i przemawiając do sumień ludzkich, miały na widoku moralność i, co za tem idzie, duchowość nietylko ludzką wogóle, ale polską w szczególności.

Otóż do tych rzadkich wyjątków należą kazania i pisma autora *Sejmu Czteroletniego*, Walerjana Kalinki. Wartoby, żeby kto zadał sobie kiedy trud zebrania w jedną całość licznych uwag o naszym charakterze narodowym, rozproszonych po wszystkich niemal jego pismach historycznych, nie wyłączając *Sejmu Czteroletniego*. Oto np. co czytamy w zakończeniu tomu drugiego tego dzieła:

„Z całą pewnością twierdzić można, że ta piękna myśl, która mieszczaństwu polskiemu wrota do szlachectwa narozcież otwarła, nie z nad Sekwany do nas nadleciała; ona zrodziła się na gruncie polskim, na dnie polskiej duszy. Zrodziła się w jednej z tych rzadkich chwil, w których dane bywa Polakom chwytać z góry rzeczy niecodzienne, nieraz dziwne i niepojęte dla obcych, wznieść się nad pojęcia ogółu, przeczuć jakoby myśl Bożą, i tę myśl jakby bezwiednie, to jest bez wyrachowania i bez kombinacji, jeno siłą ducha i łaski Nieba, w życie wprowadzić, a przynajmniej stawić jako program do wykonania na czasy dalsze. W takich chwilach znikają u nas ciężkości i uprzedzenia, i przebywa się jednym pędem i bez trudu, co zdawało się nie do przebycia".

[1] Odczyt Tomasza Parczewskiego p. t. *Typ psychologiczny Polaka*, wygłoszony na plenarnem posiedzeniu naukowem Warszawskiego Towarzystwa Filozoficznego dnia 4 maja 1931 r., nie ukazał się jeszcze w druku; znamy go tylko ze streszczenia (w tomie XII *Ruchu Filozoficznego*).

Jakże znamienną cechą charakteru polskiego jest owo „bez wyrachowania i kombinacji“ i owo „jednym pędem i bez trudu“!

Drugi przykład. W artykule *Papież i Polska* tak mówi Kalinka o innej cesze charakteru polskiego, kto wie czy nie blisko spokrewnionej z tylko co przytoczoną:

Jakoś to będzie: to przecież nasz zwykły program polityczny, to nieuniknione rozwiązanie każdej u nas sprawy, gotowa odpowiedź większej części naszych polityków, to zdawkowa moneta, którą nasze długi Ojczyźnie spłacamy... Kiedy bez władzy był tron, bez odpowiedzialności ministrowie, bez trybu obmyślonego narady sejmowe, kiedy lada spór dwóch możnych trząsł całem państwem i obezwładniał jego organa, „nic to nie szkodzi — powtarzano, — w potrzebie wszystko się ułoży i — jakoś to będzie“.

I tak na każdym kroku i w każdej chwili.

Lecz nieśmiertelne stanowisko wpośród najznakomitszych prozaików polskich zapewniają Kalince nietylko pisma historyczne, ale i religijno-moralne. Ich zaś koroną jest niewielka książka, wydana już po śmierci autora, według jego kazań: *Rozmyślania o Męce Chrystusa Pana.* Ten klejnot naszej, aż wstyd powiedzieć, jak ubogiej (w porównaniu np. z francuską) literatury moralno-religijnej, nie jest ogółowi naszego społeczeństwa tak znany, jak sobie na to zasłużył blaskiem swojej mądrości, tętnem swojego serca i urokiem swojej piękności.

Co stanowi główną treść tej książki, to dostatecznie wyjaśnia nam tytuł. Nagłówki poszczególnych rozdziałów brzmią: „Męka Pańska szkołą cierpienia“, „Chrystus Pan w Ogrójcu“, „Chrystus Pan przed Kaifaszem“, Chrystus Pan w pałacu Heroda“, „Chrystus Pan w Pretorjum Piłata“, „Biczowanie“, „Korona cierniowa“, „Szymon Cyrenejczyk“, „Niewiasty Jerozolimskie“ i „Chrystus Pan na Krzyżu“. Myślą przewodnią *Rozmyślań* jest: „Bonum est orare, melius laborare, optimum autem pati“, to znaczy: „Dobrze jest modlić się, lepiej jest pracować, ale ze wszystkiego najlepsze cierpienie“. Innemi słowy, treścią książki jest ten sam problem, któremu przed laty piętnastu biskup niemiecki Paweł Wilhelm Keppler poświęcił niewielką, ale niezmiernie pouczającą książeczkę *Das Problem des Leidens (Zagadnienie cierpienia).* Wykazuje tutaj autor, że teorję moralną cierpienia wytworzyło dopiero chrześcijaństwo. Cierpienie to kara, ale zarazem zbawcza pokuta, wiodąca do zbawienia, to dar boży, środek łaski; cierpienie przestaje być dla duszy chrześcijańskiej nieszczęściem, a staje się środkiem do szczęścia; cierpienie dopiero rodzi miłość człowieka. Symbolem pojęcia o cierpieniu jest w starożytności Laokoon, pochłonięty całkowicie własną męką, nie widzący męki swoich dwóch synów; symbolem pojęcia o cierpie-

niu w chrześcijaństwie — jest Krzyż: męka własna nie zamyka Chrystusowi oczu na mękę ludzi, ale, wprost przeciwnie, otwiera Mu je na nią i potęguje miłość ku nim.

Otóż podobnie ujmuje problem cierpienia i Kalinka, ale nierównie prościej, bez rozważań historyczno-filozoficznych, znacznie przystępniej i daleko serdeczniej. Niedosyć na tem: raz po raz stosuje polski autor swoje *Rozmyślania o Męce Chrystusa* do właściwości duchowych swego własnego narodu, co musiało pociągnąć za sobą rozważania nad jego charakterem.

Oto np. w rodziale drugim, poświęconym modlitwie Chrystusa w Ogrójcu, zastanawia się Kalinka nad „najpospolitszą przeszkodą w modlitwie"; tą przeszkodą jest roztargnienie, często płynące z marzycielstwa. I to marzycielstwo poczytuje autor za jedną z głównych cech ujemnych charakteru polskiego, więc odbiega od właściwego przedmiotu, to jest od marzycielstwa jako przeszkody do modlitwy, i rozwodzi się nad polskiem marzycielstwem wogóle, np.:

„Że my, Polacy, doprawdy w marzeniach żyjemy bardzo często, to, aby się o tem przekonać, dość spojrzeć na nasze gospodarstwo domowe, na nasz stan majątkowy. Marząc, układamy nasz budżet, a że w marzeniu wszystko różowo się snuje, więc nowe wciąż odkrywamy źródła dochodów, a wydatki schodzą do niedostrzeżonej małości... Czem są nasze konspiracje i powstania, jeśli nie snem na jawie?... Kadry, pułki i baterje, broń, amunicja i skarb, żołnierze, oficerowie i wodze, wszystko jak we śnie układa się cudownie, nic i nigdy nie zawodzi, więc niezawodne i zwycięstwa. W marzeniach drobnieje i znika nieprzyjaciel, podobnie jak wydatki w budżecie marzyciela".

W tym samym rozdziale, mówiąc o świętym Piotrze p r z e d jego nawróceniem, dodaje Kalinka:

„Przyznajmy, żeśmy podobni do Piotra. Kiedy kogo ukochamy, o co nam chodzi? O to, żeby on szedł po naszej myśli. Czego Pan Bóg chce od niego, nie pytamy: myśmy to już za siebie i za Boga obmyślili, i tak być musi, jak my chcemy. A i w tych nagłych przemianach, w tych przeskokach ze sfer i natchnień niebieskich do ziemskiego pełzania, czyż niema między nami a Piotrem podobieństwa? Bo u nas, Polaków, schwycić myśl w zapale i z nią się związać do czasu, polecieć w sfery heroiczne, pokochać dobro publiczne jakby własne i więcej niż własne, dla niego palić swe życie, bez uznania, bez poklasku i, owszem, mimo prześladowań, — to dość częste, jakby naturalne... Ale cóż z tego, kiedy wnet potem u nas ostygnąć, zwątpić i zapomnieć o tem, co się przed chwilą wyznawało i kochało... zobojętnieć dla swego ideału, zmartwieć, zlodowacieć i najspokojniej, bez wyrzutu sumienia, prawie bez przyczyny, wrócić do dawnych lichych nałogów, do dawnej krętaniny, do dawnego błota — to także nic nadzwyczajnego, to także każdy z nas choćby raz jeden u Polaków widział".

I takich przykładów możnaby jeszcze kilka przytoczyć: — o dowcipkowaniu jedynie dlatego, żeby się swoim dowcipem po-

pisać, a bez względu na cudzą sławę, o obmowie, o swoistym indywidualizmie (który Trentowski i Ochorowicz nazywali osobnictwem), o przewadze czułostkowości nad uczuciowością, i t. d.

Lecz do najciekawszych ustępów, poświęconych charakterowi narodowemu, należy to, co w rozdziale dziesiątym mówi Kalinka o religijności polskiej. Oto kilka urywków:

„My, Polacy, choć wiele błądzimy, zerwać zupełnie z Bogiem nie mamy śmiałości. Słusznie powiedział pewien sekciarz wolnomularski: „Nie wierzę Polakowi, choćby najzapalczywiej odgrażał się na Kościół; gdybyś poszukał, znalazłbyś u niego na piersiach z pewnością jaki poświęcony medalik". I widziano też takich, co bluźnili straszliwie, przecząc bóstwu Zbawiciela, a z czcią dla Jego Matki Najświętszej nigdy rozstać się nie mogli. Szczęśliwy to brak logiki: on jeszcze nad przepaścią ratuje. Ale w innych wypadkach taż sama nielogika szkodzi nam bardzo: nie wykorzeniliśmy wprawdzie z duszy sumienia, aleśmy je nieco przytarli, a głównie niewiadomością i zaniedbaniem... Niewiadomość w rzeczach religijnych... jest u Polaków, na nieszczęście, dość ogólną wadą. Źle nas zamłodu katechizmu uczono, pobieżnie, niedbale; a później, w wieku dojrzalszym, chyba fanatyk, jak mówią, lub dewotka weźmie jakiś wykład religijny do ręki... Nietrudno byłoby mi dowieść, że ta nieznajomość religji jest przyczyną znacznej części naszych publicznych i narodowych nieszczęść. Brak jasnych, ustalonych zasad ...sprowadza w umyśle chwiejność i niepewność, w duszy zamęt i rozstrój, w całym człowieku brak zasad, brak charakteru, brak woli. Słyszymy ciągłe narzekania na niedostatek ludzi, i każde nasze wysilenie narodowe upadło, jak mówią, dlatego, że nie było człowieka; a jakże on może się znaleźć tam, gdzie niema zasad, gdzie niema woli, opartej na niepożytej skale wiary? Biada narodom, które swego wychowania nie opierają przedewszystkiem na katechizmie: muszą one stać się pastwą rewolucji; ale kiedy inne ratują się rozsądkiem, karnością,... to dla nas nieznajomość religji i, co za tą niewiadomością idzie, sumienia niepewne, wątpliwe, stokroć są niebezpieczniejsze, tem niebezpieczniejsze zaprawdę, im bardziej nami uczucie i rozgorączkowana fantazja wciąż, jak wicher balonem, miotają".

Tych przykładów chyba wystarczy, żeby *Rozmyślania* Kalinki nazwać wielkotygodniowym rachunkiem sumienia narodowego. O tem, że, pisząc i wygłaszając te swoje nauki, miał on na myśli nadewszystko swój własny naród, wyraźnie świadczy także ich zakończenie:

„Naród nasz, jak ów dobry łotr, od stu lat wisi na krzyżu, przybity za swoje winy ostremi gwoździami. Ileż to razy zrywał on się ze swego krzyża, chcąc się z pod gwoździ wydostać! Próżne wysilenie: po każdem krwawem szamotaniu znowu w długie omdlenie zapadał. Ach! gdyby on na wzór dobrego łotra przyjął był swój krzyż jako karę, od Boga zesłaną,... gdyby, nie oglądając się na tych, co z niego szydzą, z całą ufnością zwrócił się do Ukrzyżowanego: „O, Panie, wspomnij o mnie, chociażem niegodny", — jużby zmiękczył gniew Jego, jużby to uznanie własnych win wpośród katuszy rozbiło Jego sprawiedliwość, i ten raj, do którego wzdychamy, jużby nam był otwarty! Amen, Amen".

Minęło lat kilkadziesiąt od śmierci Kalinki; dzisiaj jesteśmy już zdjęci z krzyża, ale *Rozmyślania* o nim nie straciły ani źdźbła swej aktualności, i to nietylko dlatego, że się nasz charakter narodowy jeszcze nie poprawił, ale i dlatego nadewszystko, że cierpienie, którego Krzyż Chrystusowy jest najwznioślejszym symbolem, jak było, tak jest najpotężniejszą dźwignią postępu moralnego.

ZA CO POZNAŃ PRZYZNAŁ NAGRODĘ LITERACKĄ ROMANOWI DMOWSKIEMU?

Przyznanie „Nagrody Literackiej stołecznego miasta Poznania imienia Jana Kasprowicza“ Romanowi Dmowskiemu (w roku 1927) nietylko nie spotkało się z powszechnem uznaniem „opinji publicznej“, ale nawet wywołało protesty na łamach niektórych pism. Nie chcemy i nie mamy prawa odmawiać autorom tych protestów dobrej woli, a przynajmniej chcielibyśmy w nią uwierzyć, to znaczy chcielibyśmy wierzyć, że nie podyktowała ich ani gniewna zazdrość, ani zaciekła nienawiść stronnicza lub rasowa. Więc, przypuściwszy, że w to wierzymy, rozpatrzmy bezstronnie zarzuty, wytoczone przeciw „Komitetowi Nagrody Literackiej stołecznego miasta Poznania“ za to, że ją przyznał nie komu innemu, tylko Dmowskiemu.

Tych zarzutów jest dwa: po pierwsze, zasadniczy r o d z a j twórczości Dmowskiego nie nadaje się do nagrody; po drugie, Dmowski nie jest wybitnym p i s a r z e m. („Pan Dmowski pisze bezbarwnie, drewnianym stylem, mogącym zachwycić chyba tylko jakiego zapalonego stronnika politycznego apostoła egoizmu narodowego“ — tak dosłownie pisało pewne pismo wileńskie).

Co do pierwszego zarzutu, zbić go bardzo łatwo. Wystarczy przytoczyć kilka słów z paragrafu pierwszego Statutu „Nagrody Literackiej“, wydrukowanego w czasopiśmie *Orędownik Urzędowy Stoł. Miasta Poznania* (w numerze 15, z dnia 27 maja roku 1927): „Nagroda Literacka stołecznego miasta Poznania im. Jana Kasprowicza... przyznawana będzie, poczynając od r. 1927, co dwa lata jednemu z żyjących autorów polskich... za całokształt jego działalności na polu literatury (poezji, powieści, dramatu, studjów i krytyki literackiej, piśmiennictwa politycznego i społecznego)“... To jasne: do nagrody ma prawo także i ten, kto pracuje na polu „p i ś m i e n n i c t w a p o l i t y c z n e g o i s p o ł e c z n e g o“; a któż pracuje u nas w tej dziedzinie owocniej od Dmowskiego? *Przegląd Wszechpolski, Myśli nowoczesnego Polaka, Upadek myśli konserwatywnej w Polsce, Niemcy, Rosja i kwestja polska, Wewnętrzna polityka*

narodowa, Anglja powojenna i jej polityka, Polityka polska i odbudowanie państwa, Kwestja robotnicza wczoraj i dziś, Społeczeństwo Poznańskiego i Pomorza w odbudowanej Polsce, Zagadnienia rządu, Kościół, naród i państwo, — oto nie wszystkie wprawdzie, ale najważniejsze — do roku 1927 — owoce pracy Dmowskiego na polu piśmiennictwa politycznego i społecznego; zapewniają mu one bardzo wybitne stanowisko w historji naszej literatury politycznej, a niektóre z nich także w historji naszej literatury wogóle: bo czy można sobie wyobrazić historję literatury polskiej XX wieku bez *Myśli nowoczesnego Polaka* i bez *Polityki polskiej*? Historyk literatury polskiej, gdyby te pisma pominął, dopuściłby się grzechu równie śmiertelnego, jak gdyby pominął pisma Modrzewskiego, Konarskiego, Staszica, Kołłątaja.

A teraz — drugi zarzut: nagroda poznańska imienia Kasprowicza jest nagrodą literacką, a więc otrzymać ją może ten tylko, kto (bez względu na to, jaki dział piśmiennictwa uprawia) jest wybitnym pisarzem, kto ma talent pisarski. Otóż Dmowski ma talent pisarski — ogromny i dzięki temu jest nietylko wybitnym, ale jednym z najwybitniejszych prozaików polskich, których literatura polska posiada daleko mniej, niż wybitnych poetów (włączając do poetów także powieściopisarzów). Rzecz to bardzo znamienna nietylko dla umysłowości polskiej, ale i dla charakteru polskiego, a stwierdzona już przez Jana Śniadeckiego w jednem z jego „zagajeń sesyj publicznych" w Uniwersytecie wileńskim: „Liczymy w naszym narodzie znakomitych poetów, ale mało dobrych w prozie pisarzy, co dowodzi, że więcej dotąd pokazało się w kraju talentu, niż gruntownej nauki i oświecenia". Wprawdzie dzisiejsza estetyka, albo raczej psychologja twórczości, dawno zerwała z popłacającym w epoce romantyzmu poglądem, że wielka poezja jest owocem jedynie talentu, pojmowanego jako „natchnienie"; nie odrzucając „natchnienia", jako tej iskry bożej, bez której niema poezji, dzisiejsza psychologja twórczości już rozumie, że na to, aby przedmiotowi „natchnienia", to jest tak zwanej „wizji poetyckiej", dać poetyczny wyraz, trzeba jeszcze kierowanej przez rozum i wolę pracy artystycznej. Tylko że w twórczości poety ta praca jest o wiele mniej świadoma, niż w twórczości prozaika, wymaga dużo mniej ustawicznej kontroli myśli, rozumu, logiki i, co za tem idzie, dużo mniej wysiłku świadomej swoich celów woli. I dlatego to jest u nas do dziś dnia więcej wybitnych poetów, niż wybitnych prozaików — bo „talentu" w Polsce nigdy nie brakowało i nie brakuje, ale niedostawało i niedostaje „gruntownej nauki i oświecenia", rozważnej myśli, mocnej logiki, a nadewszystko — silnej woli.

Otóż Dmowski to wszystko posiada: ma nietylko „gruntowną naukę i oświecenie", ale i przyrodzony talent pisarski. Nie spuszcza się nań jednak lekkomyślnie, nie ma ślepej ani zarozumiałej wiary w „natchnienie": każdą „wizję" swoją (bo, ze stanowiska psychologji twórczości, wolno mówić o „natchnieniu" i o „wizji" nietylko u poetów, ale także u prozaików) przepuszcza przez pryzmat swojej jasnej, otwartej, myślącej głowy, czyniąc to z całą świadomością, a zapomocą swojej silnej i posłusznej rozumowi woli.

Owocem tej świadomej pracy jest przedewszystkiem klasyczna jasność, która znamionuje wszystkie wogóle jego pisma, a która — w przymierzu z mającą swoje źródło już nie w jego talencie, tylko w jego charakterze, prostotą — sprawia czytelnikowi rozkosz nietylko intelektualną, ale i estetyczną. Ma bowiem zupełną słuszność Jan Śniadecki, mówiąc, że „rozpływamy się wewnątrz z radości, czytając prosty i jasny opis rzeczy: pojęcie nasze, niczem nie zatamowane, trzyma jak przykutą do pisma uwagę; dlaczegóż? bo prawda bez trudu i mozołu zawsze jest umysłowi ludzkiemu przyjemna". Otóż to właśnie: prawda, zawarta w pismach Dmowskiego, choćby nawet najgłębsza, dzięki temu, że jej wyraz jest jasny i prosty, wnika w umysł czytelnika „bez trudu i mozołu", i dlatego to czytelnik nieraz (jeśli wolno ufać własnemu wrażeniu) „rozpływa się wewnątrz z radości". Trafiają się w pismach Dmowskiego długie okresy, ale są zbudowane tak przejrzyście, że się nigdy nie trzeba biedzić ani nad pochwyceniem ich myśli przewodniej, ani nad wyrozumieniem jej rozwinięcia i uzasadnienia.

A nietylko poszczególne okresy są jasne: jasne jest także ich następstwo logiczne. Styl Dmowskiego jest antytezą stylu „sentencjonalnego", jak Śniadecki nazywa styl pisarza, który „tłoczy zdanie po zdaniu", który „mówi, jak wyrocznia, nie wywodząc tych zdań w tym związku, świetle i szyku, jak po sobie w porządnie rozumującej głowie następują i jak jedne wynikają z drugich". „Uwaga podówczas — dodaje Śniadecki — bez przewodnika, bez osnowy i odpoczynku morduje się, nudzi i gubi". Przy czytaniu Dmowskiego uwaga nigdy się nie morduje, ani nie nudzi, ani nie gubi: przeciwnie, z wielką łatwością przyswaja sobie całość tego lub owego rozdziału — dzięki temu właśnie, że autor „wywodzi" zdania „w tym związku, świetle i szyku, jak po sobie w porządnie rozumującej głowie następują"...

Ale nietylko dzięki temu. Oprócz klasycznej jasności, ujmującej prostoty i żelaznej logiki, styl Dmowskiego posiada wręcz wyjątkową precyzję, i nietylko precyzję, ale nadto dobitność, płynącą, jeśli się nie mylimy, z pewnej cechy organi-

zacji fizyczno-duchowej autora: Dmowski to człowiek w całem znaczeniu tego wyrazu m o c n y — mocny nietylko fizycznie i umysłowo, ale także moralnie; stąd nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiej połowiczności uczucia czy myśli i do wszelkich półsłówek, do obwijania w bawełnę, a cóż dopiero do ukrywania tego, co myśli, co czuje, czego chce. Oto dlaczego nie cofa się nigdy przed w ł a ś c i w y m wyrazem, „rżnie — jak to mówią — prosto z mostu", czasem nie unikając nawet wyrazu brutalnego w swojej sile. Kto się chce o tem przekonać, niech przeczyta np. w *Polityce polskiej* charakterystykę Austrji, jako państwa, i jej demoralizującego wpływu na dusze polskie:

„Trup austrjacki, który, choć pokrajany, jeszcze się całkiem nie rozłożył, dotychczas zaraża nasze życie polityczne jadem cynizmu, dostarcza nam ludzi, którzy w głębi duszy uważają przywiązanie do ojczyzny, poczucie obowiązku względem niej, poświęcenie dla niej za wyraz naiwności, za przeżytek dawnych, pierwotniejszych czasów. Zrośli z państwem, które ojczyzną nie było, zatracili jej pojęcie, a ponieważ za jego granice nie wyglądali, są przekonani, że głębszy stosunek moralny do ojczyzny nie istnieje nigdzie. Wychowani w austrjackim chlewie, myślą, że cały świat jest chlewem".

Możnaby przytoczyć z pism Dmowskiego wiele równie silnych ustępów (zwłaszcza z *Myśli nowoczesnego Polaka* i z *Upadku myśli konserwatywnej w Polsce*); czytając je, człowiek mówi sobie: „To się nazywa myśleć i pisać jasno i uczciwie!"

„Ozdobnej gadatliwości", której tak niecierpiał Śniadecki, niecierpi i Dmowski: ale z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, żeby jego styl nie był tu i owdzie obrazowy, — tu i owdzie tylko, bo dla prozaika tego pokroju i tego zawodu, co Dmowski, obrazowość jest nie celem, lecz jedynie środkiem — do lepszego wyjaśnienia i uplastycznienia myśli.

„Wielkie... armaty, wytoczone przez stańczyków, strzelały w znacznej mierze w próżnię... Strzelający z nich w części to niebezpieczeństwo szczerze sobie imaginowali, w części zaś świadomie je fabrykowali, bo do twarzy im było z tą wielką rolą reformatorów narodowego ducha i narodowej polityki, z rolą historyczną, która im dawała urok i znaczenie w całej Polsce. Zbudowali sobie w Krakowie kazalnicę, z której gromili naród, nastrajali się na kamerton Skargi, przybierali pozę tak uroczystą i namaszczoną, że przypominali wodzów czerwonoskórych z powieści Coopera"...

„My jesteśmy tak mało uspołecznieni, tak mało ucywilizowani politycznie, iż, chcąc być d o b r y m i P o l a k a m i, musimy robić sobie z patrjotyzmu religję, a każda religja musi mieć swoje księgi święte: ale nawet najreligijniejsi ludzie umieją oświetlać kościoły elektrycznością, gdy my w swej świątyni narodowej palimy ciągle stare woskowe świece"...

„Nienawidzę duchownych, którzy, postawieni dla podnoszenia ludu moralnie i zaopatrzeni w tym celu w tak potężne środki, jak konfesjonał i kazalnica, używają ich na rzecz bieżących interesów politycznych. Postępowanie ich wszystkich poczytuję... za taką samą zbrodnię, jaką byłby czyn lekarza, który, wezwany do chorego, znalazłszy w nim swego osobistego lub politycznego przeciwnika, daje mu zamiast lekarstwa — truciznę".

Czy nie dosyć tych przykładów na dowód, że Dmowski, kiedy chce, kiedy mu tego potrzeba, umie być obrazowym?

Lecz niema pięknego stylu bez pierwiastków uczuciowych: ich braku nie zastąpi ani jasność, ani prostota, ani logiczność; nie wynagrodzi go nawet obrazowość, choćby płynęła z niewiedzieć jak bujnej i żywej wyobraźni. Uczucie jest duszą nietylko poezji, ale i pięknej prozy.

W pismach Dmowskiego, przy całem panowaniu nad sobą (stanowiącem jedną z najznamienniejszych cech jego charakteru moralnego i temperamentu pisarskiego), uczuciowość przemawia i często, i bardzo mocno, tylko że nie ma ona nic a nic wspólnego z czułostkowością, dla której w jego zdrowej, silnej, męskiej duszy niema choćby nawet maleńkiego kącika. Ale dla prawdziwej, żywej, gorącej uczuciowości, nie przeglądającej się w zwierciadle intelektu, nie pieszczonej przez fantazję, jest w duszy Dmowskiego miejsca dużo. Przy całej bowiem sile swego intelektu, która mu nieraz daje pozory intelektualisty, i przy całem panowaniu nad sobą, które mu nieraz daje pozory człowieka chłodnego, jest on bardzo podatny na to, co Höffding nazywa „ekspansją uczucia".

Uczuciem zaś dominującem w duszy Dmowskiego jest gorący patrjotyzm: z tego to źródła wypłynęła cała jego działalność nietylko na polu literatury, ale i w dziedzinie czynnej polityki, i to właśnie uczucie przenika jego pisma i niejednokrotnie wyciska tak silne piętno na ich stylu, że, kto wie, może on sam, troszcząc się przedewszystkiem o jasny i logiczny wyraz swoich myśli, nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale czytelnik to wyczuwa.

„Wszystko, co polskie, jest moje — pisze Dmowski w *Myślach nowoczesnego Polaka*, — niczego się wyrzec nie mogę; wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne".

Otóż z pism Dmowskiego nieraz bije duma z tego, co w Polsce było i jest wielkie, a częściej może jeszcze upokorzenie na myśl o tem, co w Polsce było i jest marne; tylko że to upokorzenie nie jest nigdy łzawe, lecz zawsze spokojne, zawsze otwarte, zawsze męskie, uzewnętrzniające się czasem pod postacią bolesnej ironji, a nawet gniewu.

Ale nierównie częściej, niż upokorzenie, wywołane jasną świadomością grzechów naszej przeszłości i teraźniejszości oraz wad naszego charakteru narodowego, przemawia w książkach, pismach i artykułach Dmowskiego jego mocna i niewzruszona wiara w przyszłość Polski, nie mająca nic a nic wspólnego ani z dawną wiarą naszych romantyków w boże miłosierdzie i bożą sprawiedliwość, ani z ich doktryną, że Polska to naród najlep-

szy ze wszystkich, powołany do stworzenia Królestwa Bożego na ziemi. Dmowski także wierzył, że Polska odzyska niepodległość, i to tak mocno, że niektórzy jego przeciwnicy nazywali go romantykiem (!!); dzisiaj, po odzyskaniu niepodległości, wiara w przyszłość Polski jeszcze w nim wzrosła, ale opiera się na wierze narodu w swoje własne siły i, co za tem idzie, łączy się z przekonaniem, że losy narodu są przedewszystkiem rezultatem świadomie podjętej i usilnej pracy nad charakterem narodowym. Nie było i niema u nas pisarza, któryby tę właśnie wiarę wypowiedział z większą siłą przekonania, niż Dmowski.

„Jestem Polakiem;... im więcej nim jestem, tem mniej z jej (Polski) życia jest mi obcem, i tem silniej c h c ę, żeby to, co w swem przekonaniu uważam za najwyższy wyraz życia, stało się własnością całego narodu". To właśnie c h c e n i e wybija na wszystkiem, co Dmowski pisze, swoiste piętno: jego słowo nietylko działa na umysł i uczucie, ale także p o b u d z a w o l ę — do czynu, do budowania Polski; z tego samego c h c e n i a wypływa także już nie tamta bolesna, lecz złośliwa, niekiedy zjadliwa ironja Dmowskiego względem tych, których przekonania są w jego oczach niskim albo i najniższym wyrazem życia i którzy chcą, żeby te przekonania stały się własnością całego narodu. Dla tych wszystkich umie Dmowski (i chce) być twardym i nieubłaganym, czego najlepszym dowodem jest *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce.* A i w *Polityce polskiej* nie braknie przykładów takiej zjadliwej ironji.

Lecz to samo dzieło świadczy także o czemś innem: oto Dmowski, ten twardy i mocny człowiek, niekiedy umie (może znowu sam o tem nie wiedząc) pisać tak, że człowieka w z r u s z a.

„W pierwszych miesiącach wojny, odwiedzając w Warszawie lazaret, w którym leżeli ranni jeńcy, usiadłem przy łóżku rodaka, żołnierza z armji pruskiej. Zapytałem go o jego ranę. „Mam kulę w żołądku — odpowiedział smutnie. — Doktór powiada, że tylko do jutra dożyję"... Wspomniał o żonie i dwojgu dzieci, zostawionych na wsi pod Gnieznem. „Panie — zapytał cichym głosem — niech mi pan powie, jak się ta wojna skończy? Kto zwycięży?..." „Niemcy napewno będą pobite — odpowiedziałem — i będzie Polska"... Oczy biedakowi zajaśniały, złożył ręce jak do modlitwy i szepnął: „Chwała Bogu!"... Myśmy w tej wojnie przeżyli największą tragedję: synowie naszej ziemi przymusowo walczyli w szeregach wroga, czując, że walczą przeciw sprawie własnej ojczyzny. Zjednoczenie i niepodległość Polski kupiliśmy śmiercią setek tysięcy Polaków, walczących w obcych szeregach, brat przeciw bratu. Nie była to ofiara dobrowolna, ale najboleśniejsza, jaką można sobie wyobrazić. Nam, którzy kosztem tej ofiary żyjemy we własnem państwie, nie wolno o tem ani na chwilę zapominać. Wtedy będziemy wiedzieli, jak wielki ciąży na nas obowiązek zabezpieczenia przyszłych pokoleń od przeżycia kiedykolwiek tego samego nieszczęścia, zapewnienia im, że, gdy Polak będzie zmuszony do walki, to tylko za swoją sprawę, za Polskę".

Czy ci, którym w piersi bije serce polskie, mogą te słowa, kończące pomnikową książkę Dmowskiego, czytać bez głębokiego wzruszenia? A ustęp ten jest, trzeba wiedzieć, typowym okazem stylu Dmowskiego — nietylko przez swoją prostotę, ale i przez siłę uczucia, które nie przemawia bezpośrednio, bo „się samo w sobie chowa", ale które „dymi niekiedy przez słowa".

I o takim stylu powiedziano, że jest drewniany! Powiedzieć to mógł albo taki, który się urodził drewnem, albo który zdrewniał na starość.

Nie, „Komitet Nagrody Literackiej stołecznego miasta Poznania imienia Jana Kasprowicza" nie minął się z poczuciem sprawiedliwości, przyznając tę nagrodę literacką Dmowskiemu.

Jedno jeszcze. Paragraf drugi Statutu Nagrody opiewa: „Nagroda przyznana będzie: 1) autorom, urodzonym lub mieszkającym na obszarze Zachodniej Polski, oraz 2) autorom, których utwory zawierają choćby częściowo odźwierciedlenie życia lub kultury Poznania, względnie Polski Zachodniej, w przeszłości lub w dobie współczesnej".

Któryż inny pisarz czyni zadosyć tym warunkom w tym stopniu, co Dmowski? Mniejsza o to, że po wojnie zamieszkał na obszarze Zachodniej Polski: idzie tutaj o coś stokroć ważniejszego.

Co było najgłębszą istotą życia, co było duszą kultury Poznania i wogóle Zachodniej Polski? Walka z nawałą niemiecką, wytrwała obrona polskości i niezachwiana wierność idei politycznej, że „głupia Polska bez Poznania". A czyż — po śmierci Popławskiego — był kto w Polsce, któryby tę ideę tak mocno ukochał, tak mocno wierzył, że się stanie ciałem, tak mądrze ją w mózgach i sercach polskich krzewił, jak Dmowski?

Poznań nie byłby godzien być Poznaniem, gdyby pierwszą swoją nagrodę literacką przysądził komu innemu, a nie Romanowi Dmowskiemu.

ROMAN DMOWSKI
W ŚWIETLE WŁASNEJ KSIĄŻKI

Z wydanej w roku 1931 książki Dmowskiego *Świat powojenny i Polska* oblicze duchowe autora wyłania się tak plastycznie, jak z żadnej jego dawnej książki — z wyjątkiem *Myśli nowoczesnego Polaka*, to znaczy z wyjątkiem dzieła, napisanego jeszcze przed wojną rosyjsko-japońską.

A przez ten czas w obliczu duchowem Dmowskiego zaszły wielkie zmiany, które nie uszły naturalnie uwagi człowieka, umiejącego tak, jak on, zagłębiać się w tajniki własnej duszy. Oto jego własne słowa:

„Aczkolwiek należę do pokolenia, któremu dane było widzieć wiele niezwykłych rzeczy, żadna z nich nie zrobiła na mnie tak potężnego wrażenia, jak wojna rosyjsko-japońska. I żaden z faktów, których byłem świadkiem, nie wywołał takiego przełomu w moich pojęciach. Zmieniła ona nietylko mój pogląd na układ sił politycznych świata, w szczególności zaś na położenie Rosji i nasze położenie w stosunku do niej, ale zdobyłem nowe pojęcia psychologiczne i moralne, zacząłem inaczej patrzeć na człowieka i społeczeństwo ludzkie".

Na czemże polega ten „przełom w pojęciach"?

Zanim odpowiemy na to pytanie, stwierdźmy tymczasem, że, w głównych swych rysach, oblicze duchowe Dmowskiego w jego książce jest to samo, co w pismach dawniejszych: to samo oko, patrzące na świat i na ludzi ze zdumiewającą trzeźwością, a bystre tak, że często widzi to, na co inni, choć mają oczy, są zupełnie ślepi; ten sam umysł — żywy, chciwy wiedzy, wzbogacający się nieprzestannie własnem i cudzem doświadczeniem, zarówno życiem, jak książką, a jednocześnie wyjątkowo ostrożny i krytyczny, niedostępny różnorodnym pokusom uczucia i fantazji, które tak często zamykają człowiekowi oczy na rzeczywistość i każą mu widzieć nie to, co jest, tylko to, czego sobie człowiek życzy; ta sama przenikliwość w wyprowadzaniu z obserwacji teraźniejszości wniosków, dotyczących przyszłości; ta sama, nietylko żelazna, ale i odważna logika, która się w rozumowaniu nie boi wniosków, choćby dla serca przykrych

i bolesnych; ta sama siła woli, która się nietylko nie poddaje smutnym wnioskom, ale szuka z nich wyjścia i zawsze je znajdzie w spokojnem, rozważnem myśleniu, pobudzanem przez potężny pęd życiowy, nie bojący się nawet najcięższej walki, ani z „przeciwnościami losu", ani ze złością i głupotą ludzką, i ufny w zwycięstwo; ten sam, krótko mówiąc, człowiek mądry i mocny.

Otóż te wszystkie rysy duchowości Dmowskiego, dawno już znamionujące jego pisma, występują w ostatniej jego książce jeszcze wyraźniej, jeszcze silniej, aniżeli przedtem.

Rozszerzył się jego horyzont umysłowy nietylko przez bystrą obserwację epokowych wypadków, których byliśmy świadkami, ale i przez studja nad historją kultury, studja bardzo rozległe, sięgające do pierwocin kultury greckiej, a obejmujące, prócz kultury duchowej i politycznej, także i materjalną:

„Po wojnie światowej stwierdziłem, że nie umiem sobie wytłumaczyć zbyt wielu faktów i zbyt często nie rozumiem motywów postępowania ludzi, kierujących sprawami europejskiemi; doszedłem rychło do przekonania, iż pochodzi to stąd, że nie rozumiem wcale powojennych stosunków gospodarczych. Zabrałem się tedy do studjów nad niemi".

Jakie to proste, a jak bardzo znamienne dla tego człowieka, liczącego sobie zgórą lat sześćdziesiąt! Czy wielu znajdzie się takich, którzyby w tym wieku zabrali się do studjów nad dziedziną, zupełnie sobie dawniej nieznaną? Że zaś te studja nie poszły na marne, dowodzi cała pierwsza część książki, zatytułowana: *Gospodarstwo*, świadcząca, że się teraz Dmowski doskonale orjentuje w powojennych stosunkach gospodarczych, skoro wszystkie jego przewidywania sprawdzają się w naszych oczach i... na naszej własnej skórze.

A jak nie osłabił wiek ani ciekawości intelektualnej Dmowskiego, ani fenomenalnej pojemności jego umysłu, tak nie nadwątlił, owszem, rozwinął trzeźwość i krytycyzm jego poglądów na rzeczywistość. Ten człowiek nigdy nie mydli sobie oczów, wszystko jedno, czy pisze o Polsce, czy Rosji, o kwestji żydowskiej, czy ukraińskiej. Nienawidzi kłamstw konwencjonalnych, a przedewszystkiem — bezmyślności i płynących z niej fantastycznych zamiarów i złudnych marzeń. Więc nie waha się nazwać naszych powstań niedorzecznością i szaleństwem, nie lęka się samemu uznać i innym bez ogródki powiedzieć, że „nasz stosunek do Rosji stawał się coraz bardziej bezmyślnym i coraz bardziej upokarzającym", że „najtrudniejszym dla myśli polskiej, ale napewno najważniejszym dla przyszłości polskiej" obowiązkiem naszego myślenia politycznego jest zdawać sobie jasno sprawę z położenia Rosji i jej światowej roli i dobrze wiedzieć, do czego dążymy w stosunku do Rosji, że więc „trzeba przedewszystkiem oczyścić nasz grunt umysłowy, uprzątnąć z niego

chwasty, które pozostały po dawnych, smutnych czasach i które dziś wysiewa bądź operujące na bezmyślności ludzkiej kondotjerstwo polityczne, bądź obce czynniki, wpływami swemi przenikające do naszego państwa".

A oto jeszcze kilka gorzkich prawd, płynących nie z czego innego, tylko z trzeźwego i odważnego patrzenia na rzeczywistość:

„Zachowujemy się często tak, jakby chodziło o to, żeby najgorętszym Polakom, najlepszym obywatelom państwo własne obrzydzić"... „My, Polacy, jesteśmy z nałogu konsumentami pojęć, które do nas gotowe przychodzą z Zachodu. Wypaczamy je często u siebie, ale czynimy to zazwyczaj nieświadomie: wiarę w nie daje nam przekonanie, że są nie nasze, że pochodzą od narodów, przodujących w cywilizacji. Mamy strach przed myśleniem na własną rękę i na własną odpowiedzialność"... „Nasi więksi wytwórcy rolni, nasze ziemiaństwo w głównej swej masie, opiera się rękami i nogami, gdy żądają od niego, żeby myślało o własnem jutrze i coś dla zapewnienia go sobie robiło: myśl o dniu dzisiejszym jest już zbyt ciężką dla niego pracą. Dlatego woli ono, jak stado, pędzić za swoim, w danej chwili uznanym baranem, chociażby ten skakał w ogień"... „Stworzyliśmy olbrzymią machinę państwową, z mnóstwem instytucyj, wzorowanych na instytucjach narodów najbogatszych, będąc narodem ubogim".

I jeszcze:

„Obowiązek rządzenia swem państwem ...pojęto u nas nietyle jako obowiązek, ile jako miły przywilej".

Oprócz takich gorzkich prawd niebrak w książce Dmowskiego smutnych przewidywań, jak to np., że panująca dzisiaj nad naszem życiem walka o władzę jeszcze „nie dziś i nie jutro wejdzie w ramy, nie dezorganizujące życia i pracy narodu"; albo, że ofiarą koniecznej operacji, „polegającej na likwidowaniu znacznej części tej „rozbudowy państwa", na którąśmy sobie lekkomyślnie pozwolili", „musi paść, niestety, warstwa, zwana inteligencją".

Te jednak przewidywania, z których drugie już się zaczyna sprawdzać, nie zabijają w duszy Dmowskiego jego niezachwianej wiary w szczęśliwą, a nawet świetną przyszłość Polski. I tutaj dopiero dochodzimy do odpowiedzi na zadane wyżej pytanie: na czem polega ów przełom w jego pojęciach, który on sam tak wyraźnie stwierdza, a który dokonał się w jego umysłowości podczas wojny rosyjsko-japońskiej i wskutek niej?

W młodości oddychał Dmowski atmosferą „epoki pozytywizmu". Epoka ta, wyklinana przez poetów, którzy przeżyli epokę romantyzmu, a potem, w epoce neoromantyzmu, przez powierzchownych krytyków i bezmyślnych entuzjastów, odegrała w życiu polskiem niezmiernie ważną, dobroczynną, wręcz błogosławioną rolę, nadewszystko przez swoje hasło walki z po-

lityką romantyczną i przez nieodłączne od niego hasło „pracy organicznej".

Lecz miał pozytywizm i swoje słabe strony, szkodliwe dla życia duchowego, żeby tylko wymienić przesadny, niemal bałwochwalczy kult kultury materjalnej, zbyt daleko posuniętą doktrynę determinizmu, oraz nieodłączną od niej negację wolnej woli, krótko mówiąc, niedocenianie potęgi ducha ludzkiego i moralnych czynników życia.

Dmowski nigdy nie był fanatykiem pozytywizmu: posiada bowiem umysł zbyt krytyczny, żeby ulec jakiemukolwiek sekciarstwu, a wolę zbyt mocną, żeby uwierzyć w skrajny determinizm. Z tem wszystkiem na potęgę ducha ludzkiego i na olbrzymie znaczenie czynników moralnych w życiu otworzyła mu szeroko oczy dopiero zwycięska wojna Japonji z Rosją: zrozumiał, że, jeżeli Japonja, wbrew zgodnemu chórowi krótkowzrocznych wróżbitów, pobiła Rosję, to zawdzięcza swoje zwycięstwo nadewszystko własnym moralnym wartościom, religijności, patrjotyzmowi, poczuciu odpowiedzialności jednostki wobec ojczyzny, wierze we własne siły. I właśnie na tem rozumieniu przyczyn zwycięstwa Japonji polega ów „przełom w pojęciach" Dmowskiego.

Jest on widoczny już w końcowym rozdziale trzeciego wydania *Myśli nowoczesnego Polaka*, a na książce *Świat powojenny i Polska* wycisnął tak wyraźne i mocne piętno, że możnaby śmiało położyć na niej te słowa jednego z naszych pisarzów XVI wieku, Hieronima Moskorzowskiego: „Jako ciało, duszę utraciwszy, jest sprośne, nikczemne i niepożyteczne, tak też każda Rzeczpospolita w niwecz się obraca, utraciwszy duszę swoją, za której mocą i siłą rozrost i życie swe miała".

W żadnem innem swojem dziele Dmowski nie potępia tak ostro materjalizmu, który poczytuje za śmierć dla społeczeństwa. „Europa — są jego słowa — stacza się po równi pochyłej", a za to odpowiada „nietyle propaganda bolszewizmu, ile stan moralny świata naszej cywilizacji, jego zmaterjalizowanie, bezideowość, brak wyższych aspiracyj. Dążenie dzisiejszych społeczeństw cywilizowanego Zachodu można streścić: zachowanie dzisiejszego dobrobytu, a z nim wygody i używania... Społeczeństwa naszej cywilizacji właśnie niczego nie chcą prócz tego, co dotychczas posiadały, tylko nieco więcej w dziedzinie materjalnej, a dużo mniej w moralnej. — I w tem tkwi największe dla nich niebezpieczeństwo. Bo gdy naród niczego nie chce, znajdują się zwykle inni, którzy chcą czegoś za niego, dla niego, a najczęściej od niego".

Za jedną zaś z najważniejszych przyczyn rozpanoszenia się materjalizmu, czyli, bo to jedno i to samo, upadku moralności,

poczytuje Dmowski zanik ducha religijnego, zwłaszcza w świecie protestanckim, które to zjawisko datuje się nie od wielkiej wojny dopiero, ale już oddawna. Dzisiejszy upadek gospodarczy Anglji nie gdzie indziej ma swoje źródło, tylko w jej upadku moralnym. Wspaniała technika, którą się ludzie nowocześni tak chełpią, nie uratuje narodu od zubożenia nietylko duchowego, ale i gospodarczego, i „nigdy bodaj w dziejach świata myśl gospodarcza narodów nie była w takim upadku, nie dochodziła do takich absurdów, jak dziś, właśnie w epoce niebywałego postępu techniki". Ale nie dziw: „Im maszyna mądrzejsza, tem człowiek głupszy!"

I takich poglądów możnaby dużo jeszcze przytoczyć z książki Dmowskiego, a wszystkie streszczają się w jednym, że nietylko o sile, ale wogóle o życiu narodów, społeczeństw i państw rozstrzygają czynniki nie materjalne, tylko moralne.

W tym właśnie poglądzie tkwi źródło mocnej wiary Dmowskiego w szczęśliwą przyszłość odrodzonej Polski. Zdaje on sobie sprawę — tak jasno, jak może nikt inny, — że „położenie nasze i wynikające z niego zadania są bardzo trudne"; ale położenia tego nie poczytuje bynajmniej za beznadziejne. A na czem tę nadzieję opiera? Na świadomości bogactwa duchowych sił narodu, coraz bardziej się wyzwalających z tych pęt, w które je zakuła długotrwała niewola, i rosnących tak szybko, że „najgorsza nawet polityka niezdolna jest zahamować ich działania w przygotowywaniu lepszego jutra Polski".

I ten optymizm, nie mający nic a nic wspólnego ani ze ślepą wiarą w Opatrzność, ani z naszem ulubionem „jakoś to będzie", bo oparty jedynie na wierze we własne siły, to jeden z najznamienniejszych rysów oblicza duchowego autora książki *Świat powojenny i Polska.*

WALKA O POMORZE

Pod tym tytułem wyszła w roku 1928 w Poznaniu, nakładem Księgarni św. Wojciecha, monografja historyczna Wacława Sobieskiego.

Prawdziwa to perła naszej historjografji, będąca nietylko znakomitem dziełem, i to zarówno naukowem, jak artystycznem, ale nadto, ze względu na żywotność swego przedmiotu, pełnym znaczenia i zasługi czynem narodowym.

Bo czy wiele było tak żywotnych zagadnień w naszej przeszłości, czy wiele jest tak żywotnych dzisiaj i czy wiele tak żywotnych będzie w naszej przyszłości, jak walka o Pomorze? „Dla nas, Polaków — pisze Sobieski zaraz na początku swego dzieła — walka o Pomorze nie jest walką tylko o kawał ziemi, ale o coś więcej. Wieki zapasów nauczyły nas, że zajęcie Pomorza przez Niemców to wyrok śmierci na Polskę, to początek jej agonji. Wszak rozbiór Polski zaczął się od zaboru Pomorza przez Fryderyka II! Ujście Wisły to amulet życia naszego narodu. Kto je Polsce zabiera, ten ją zabija". A dalej: „Pomorze jest zroszone i przesiąknięte krwią naszych ojców tak, jak żadna inna ziemia nasza — o ten kraj stoczyliśmy setki bitew i ową ze wszystkich największą — pod Grunwaldem". I jeszcze: „Polska jest dzisiaj jak taternik, co, wisząc na linie, wspina się, aby na szczycie zyskać nowe widnokręgi. Tym sznurem dzisiaj jest wąskie pasemko ziemi, które dotyka morza. Jeśli kto ten sznur przetnie, to Polska runie w przepaść".

Czem jest Pomorze dla Polski, to doskonale rozumiał Bismarck, który, nie mogąc się opędzić strasznej dla siebie i dla wszystkich Prusaków myśli, że Polska prędzej czy później zmartwychwstanie, tak mówił dnia 23 września 1894 r. w Warzynie, wobec deputacji Niemców z Prus Zachodnich: „Posiadanie Gdańska dla ewentualnego państwa polskiego ze stolicą w Warszawie byłoby jeszcze bardziej palącą potrzebą, aniżeli posiadanie Poznania: Poznań, tak będą sobie myśleli Polacy, nie ucieknie im, bo mają tam swojego arcybiskupa, ale na wybrzeżu morskiem pierwszem miastem, które musiałoby posiąść państwo

warszawskie, jest Gdańsk. Gdyby kiedykolwiek załamał się dzisiejszy stan polityczny Europy na naszą szkodę, to Polacy w Gdańsku byliby dla nas jeszcze niebezpieczniejsi aniżeli w Poznańskiem".

A dużo jeszcze wcześniej, dnia 18 marca 1867 r., w parlamencie berlińskim mówił Bismarck, że Polacy nie mają żadnego prawa do Prus Zachodnich, że polonizowali Prusy Królewskie nie kulturą, tylko „ogniem, mieczem i przymusem", że natomiast Niemcy zajęli Pomorze mocą jak najściślej prawnych układów *(durch die rechtmässigsten Verträge)*.

„Moi panowie — mówił Bismarck dalej, zwracając się do posłów poznańskich i pomorskich, — jak możecie w obliczu takich faktów, w obliczu tak oczywistej przemocy, jaką się wasi przodkowie zawsze posługiwali tam, gdzie mieli władzę, jak możecie powoływać się na historję, — tego ja naprawdę pojąć nie mogę. Wasze prawo do Prus Zachodnich dopóty miało jakąś wartość, dopóki szabla wasza, którąście je zdobyli, była mocna. Gdy osłabło wasze ramię, znika wasze prawo" [1]...

Cała książka Sobieskiego jest jedną wielką odpowiedzią na te niegodziwe kłamstwa i tę ohydną, iście pruską, logikę Bismarcka i poganianego przezeń, za życia i z za grobu, całego stada historyków pruskich. Na każdym kroku piętnuje i demaskuje autor wszystkie ich kłamstwa i oszczerstwa na Polskę; odsłania w całej nagości wszystkie gwałty i zbrodnie, jakich się przez wieki całe dopuszczali Niemcy na tubylczej ludności pomorskiej, jak np. zabójstwo Przemysława, uknute przez margrabiów brandenburskich, wymordowanie szlachty pomorskiej w Gdańsku w roku 1306, i t. d., nie mówiąc już o latach późniejszych — o nieszczęsnej doli Pomorza w czasach porozbiorowych.

Lecz myliłby się, ktoby sądził, że książka Sobieskiego ma charakter wybitnie polemiczny. Wprawdzie polemiki autor uniknąć nie chciał i nie mógł: przecie elementarnym obowiązkiem historyka jest poddać krytyce naukowej nietylko wszystkie możliwe źródła przedmiotu, ale także wszystkie jego dotychczasowe opracowania, zarówno naukowe, jak i nienaukowe. Ta jednak krytyka, ta polemika jest w książce jakby tylko dodatkiem; jej naczelnem zadaniem i, co za tem idzie, treścią główną jest nie obnażanie nieprawdy, tylko wyświetlanie prawdy.

I wyświetla ją autor ze wszystkiemi szczegółami — opowiada historję walki o Pomorze od najdawniejszych, dostępnych

[1] Tę swoistą „etykę" Bismarcka scharakteryzował kiedyś autor *Geschichte Polens*, Jakób Caro, temi słowy: „der grösste Ethiker der neuen Geschichte für alle diejenigen, die nicht Sittlichkeit mit Süsslichkeit verwechseln" (dosłownie; ob. *Zeitschrift für vergleichende Literaturgeschichte, Neue Folge*, tom XII, str. 492, w recenzji Arnolda *T. Kościuszko in der deutschen Literatur*).

badaniom naukowym czasów, aż do pokoju wersalskiego, który nie dał wprawdzie Polsce wszystkiego, co jej ukradziono, ale który, bądź co bądź, przyznając jej skrawek wybrzeża morskiego, umożliwił rozpoczęcie odbudowy utraconego państwa.

A z tej opowieści wyłania się przedewszystkiem ta, starannie ukrywana przez niektórych historyków niemieckich, niezbita prawda, że nie Niemcy, tylko Polska ma prawo do posiadania Pomorza, albowiem tylko Polska, nawracając pogański lud tej ziemi na chrześcijaństwo, wprowadziła go do cywilizacji europejskiej; Gdańsk nie stanowi tu wyjątku: pierwszy krzyż u ujścia Wisły postawili nie Niemcy, tylko Polacy, którzy przyszli tu „nie z krwawym orężem najeźdźcy, ale ze słowem, odzywającem się do dobrej woli braci Pomorzan gdańskich". A nietylko Bolesław Chrobry — „przez to, że krzyż postawił w Gdańsku,... wyrwał Niemcom tytuł pionierów kultury *(Kulturträger)*, ...ale tak samo i jego praprawnuk, Bolesław Krzywousty, — przez to, że nawrócił Pomorze nadodrzańskie: nietylko bowiem miecz polski wdzierał się w błota pomorskie, ale obok niego szli kapłani z krzyżem w ręku i hasłem miłości Chrystusowej".

Prawdą jest dalej, że później, w wieku XIII, książę szczeciński Mszczuj II szukał pomocy przeciwko chcącym opanować całe Pomorze Brandenburczykom nie gdzie indziej, tylko w Wielkopolsce — u Bolesława Pobożnego, a po jego śmierci — u jego bratanka Przemysława II, którego, jako sam bezdzietny, uznał za swego „ukochanego synaczka" i któremu na zjeździe w Kępnie r. 1282 p o d a r o w a ł całe Pomorze; „zjazd panów i szlachty pomorskiej zgodził się na to, czyli dokonał... d o b r o w o l n e j elekcji, składając Przemysławowi za życia Mszczuja hołd i zaprzysięgając mu wierność". Tym sposobem wracało Pomorze do Polski „nie drogą gwałtu, podboju, przymusu, ale drogą pokojowej, przyjaznej u n j i"; dokonali zaś tej unji Pomorzanie dlatego, że „się sami czuli Polakami" i „uważali za należących do królestwa polskiego".

A i to jest prawdą (której sami Niemcy zaprzeczyć nie mogą), że w wieku XV stany pruskie także d o b r o w o l n i e połączyły się z Polską.

Cóż dopiero mówić o tej prawdzie, że Fryderyk Wielki, nazywając rzecz po imieniu, u k r a d ł Polsce Pomorze, ale sam nie mógł nie przyznać, że jego mieszkańcy „przeważnie są narodowości polskiej" (*ipsissima verba* tego Wielkiego Łotra). I prawdą jest, że dzięki protestom Wybickiego i walkom konfederatów Polska nie dała wyrwać sobie Pomorza „bez drgnienia oporu", jak prawdą jest (wbrew kłamstwom historyków niemieckich), że Pomorze wzięło czynny udział w „pierwszych polskich wysiłkach wyzwoleńczych", co więcej, że „jednym z naj-

bardziej decydujących i zwrotnych momentów w dziejach insurekcji kościuszkowskiej to był ruch na Pomorzu w roku 1794", i że to powstanie, „a przedewszystkiem zajęcie Bydgoszczy, uratowało Warszawę i sprawiło, że król pruski, który ją oblegał, musiał się haniebnie z pod okopów polskiej stolicy wycofać i pędzić ku Prusom Zachodnim".

I prawdą jest, że w roku 1846, w roku rzezi galicyjskiej, najpierwszy poryw powstańczy ziem polskich wybuchł na Pomorzu, że w dwa lata później Pomorzanie usunęli się od wyborów do parlamentu frankfurckiego, na znak, że nie należą do Rzeszy niemieckiej.

I prawdą jest jeszcze, że, już za naszych czasów — podczas wielkiej wojny, w roku 1915, kiedy wojska niemieckie szukały miedzi na działa, Kaszubi w Sierakowicach nie dali sobie odebrać dzwonów kościelnych: zagrzebali je w ziemi, a odgrzebali dopiero po wojnie i zawiesili triumfalnie w kościele.

I prawdą jest wreszcie, że, kiedy pod koniec roku 1918 wybuchło powstanie w Poznańskiem, wzięli w niem udział i Kaszubi, zajmując wrogą postawę wobec wojska pruskiego, i że na początku stycznia 1919 r. Puck i Czersk zbuntowały się przeciwko władzom pruskim, a w Kościerzynie rozbrojono żołnierzy niemieckich.

Oto kilka ogniw z łańcucha prawdy dziejowej walki o Pomorze, prawdy, której nie zadają kłamu różne odchylenia od głównej linji jej rozwoju historycznego, jak to np., czego bynajmniej nie ukrywa Sobieski, że się Prusy Królewskie stanowczo opierały zjednoczeniu z Polską w XVI wieku.

Tę zaś prawdę wyłożył autor tak, jak z dzisiejszych naszych historyków on jeden tylko potrafi, to znaczy z bardzo niepospolitym talentem pisarskim i ze świadomym artyzmem. W jego stylu niema nic wyszukanego: jest prostota, nic zawikłanego: jest jasność — zarówno w budowie poszczególnych zdań, jak w układzie całości; szczegóły opowieści tego lub owego zdarzenia historycznego nie zaciemniają jego jądra, jego głównej linji rozwojowej.

Niedosyć na tem. Należy Sobieski do tej grupy bardzo u nas nielicznych historyków, którą Francuzi nazywają *école pittoresque*, a której praojcem jest Walter Scott: tym historykom nie wystarcza dać czytelnikowi pojęcie o wypadkach, — oni dają mu ich żywy o b r a z, ich wizję, którą sobie wytworzyli dzięki swej wyobraźni odtwórczej. U nas taką wyobraźnię miał do pewnego stopnia już Niemcewicz, później — w nierównie większym stopniu — Szajnocha, Kubala, Smolka, a dzisiaj — Sobieski: w jego dziełach, począwszy od *Nienawiści wyznaniowej tłumów za Zygmunta III*, przeszłość ż y j e; czytelnik nie-

tylko ją przyjmuje, ale ją widzi. Więcej jeszcze: on ją odczuwa, sam ją przeżywa. Dlaczego? Bo odczuwa ją i przeżywa sam autor.

Tak, Sobieski jest nietylko znakomitym uczonym i utalentowanym pisarzem, posiadającym tak rzadki wśród uczonych, a płynący z wyobraźni odtwórczej dar plastycznego widzenia i plastycznego słowa, ale nadto — żywym człowiekiem, który w odtwarzanych przez wyobraźnię wypadkach bierze udział całą swoją duszą, a więc i uczuciem. I to właśnie uczucie, to wczuwanie się w przeszłość jest główną tajemnicą żywości stylu Sobieskiego i tego uroku, jaki jego pisma historyczne wywierają na czytelników. A trzeba jeszcze dodać, że to uczucie jest zupełnie wolne od sentymentalizmu i że nie jest skażone żadną stronniczą namiętnością: patrjotyzm polski bije z nich mocno, ale nigdy i nigdzie nie krzywdzi prawdy historycznej, podobnie jak właściwy Sobieskiemu, przedziwny zmysł aktualności nigdy i nigdzie nie pociąga za sobą wystawiania przeszłości w fałszywem świetle. Rzecz to tem godniejsza uznania, że pierwotną pobudką, która skłoniła Sobieskiego do podjęcia pracy nad *Walką o Pomorze*, było nie co innego, tylko właśnie uczucie patrjotyczne i zmysł aktualności. Wycisnęła ta pobudka na książce silne piętno, ale nie sprawiła najmniejszej ujmy jej wartości naukowej. Oto dlaczego książka jest jednocześnie świetnem studjum naukowem i czynem narodowym.

Niejeden, kiedy ją przeczytał, pomyślał sobie: gdybyż to autor wydał swoje studjum w języku zrozumiałym dla cudzoziemców — niech wiedzą, że prawo do Pomorza dała Polsce nietylko etnografja i geografja, ale także historja! Na szczęście życzenie to było także życzeniem autora: jego *Walka o Pomorze* ukazała się (nakładem Instytutu Bałtyckiego) w przekładzie niemieckim [1].

Przekład nie jest dosłowny: poczynił w nim autor pewne drobne zmiany, a zwłaszcza dodał niektóre ważne uzupełnienia, będące wynikiem najnowszych studjów — bądź samego autora, bądź innych badaczów, starszych, jak Brückner i Kostrzewski, i młodszych, jak Bodniak, Jelonek, Kudasik, Lepszy, Piwarski, Pociecha; a ci młodsi — to uczniowie autora!

Pomijając różne drobne zmiany (w tytułach zarówno, jak w treści niektórych rozdziałów), warto zwrócić uwagę na jeden zupełnie nowy ustęp w opracowaniu niemieckiem — o strajku szkolnym dzieci kaszubskich w Swornegaciach

---

[1] *Der Kampf um die Ostsee von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart* (Bydgoszcz, „Bibljoteka Polska". In Kommission: Buchhandlung Markert und Petters, Leipzig 1933).

w r. 1905. Wiadomości o tem zdarzeniu udzielił autorowi jeden z uczestników strajku (obecnie kupiec, zamieszkały w Chojnicach) — w liście, który na tem miejscu przytaczamy (za zezwoleniem Sobieskiego) w całości i w dosłownem brzmieniu:

„W porze jesiennej roku 1905 doszła nas wiadomość o żądaniu ludności polskiej, by w szkołach powszechnych uczono po polsku dzieci narodowości polskiej. Jako uczeń trzynastoletni szkoły w Swornegaciach, idąc razem z szeregiem innych dzieci do szkoły, napotkaliśmy osoby z wioski, które zawiadomiły nas o panującym już strajku szkolnym w różnych miejscowościach. Przypominam sobie z tych następujące osoby: Augustyn Szyszka i Jan Szyszka, którzy z wioski udawali się do pracy w polu. Z pośród obecnych dzieci natychmiast postanowiłem strajkować, choćby sam jeden. Na skutek mej agitacji godził się mnie poprzeć współuczeń, Jan Masloch, obecnie urzędnik Dyrekcji P. K. P. w Gdańsku. Podczas pierwszej lekcji (z historji biblijnej) nauczyciel Rydzkowski stawiał mi pytania, na które nie dałem odpowiedzi. Dopiero na trzykrotne jego pytanie odpowiedziałem: „Ja chcę się po polsku uczyć". Na to nauczyciel, który zresztą znał język polski, wpadł w złość i wybił mnie mocno po twarzy i następnie wyrzucił za drzwi. Pozatem kazał mi wchodzić do klasy i pozdrawiać po niemiecku. Wchodząc, mówiłem po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Na to znowu mnie wypoliczkował i kazał ponownie wchodzić do klasy. Gdy znowu pozdrowiłem po polsku, jak poprzednio, nauczyciel, jak przedtem, wyrzucał mnie i policzkował, każąc wchodzić. To powtórzyło się mniej więcej cztery — pięć razy. Gdy wtedy jeszcze pozdrawiałem po polsku, zaniechał tego postępowania i, jeszcze raz wybiwszy mnie, odesłał z klasy pierwszej do klasy trzeciej. Tu postąpiłem, jak przedtem. Nauczyciel tejże klasy, pan Zuther, mnie wypoliczkował i po pięć razy także kazał wchodzić, żądając pozdrowienia po niemiecku. Gdy jednak zawsze uporczywie czyniłem to po polsku, wreszcie, po mocnem skatowaniu mnie, posadził na ostatniem miejscu w ławce. Następnie przez osiem dni powtarzało się to samo, i za każdym razem zostałem wypoliczkowany. Po ośmiu dniach nauczyciel przestał wprawdzie z karaniem, musiałem jednak przez sześć tygodni chodzić do klasy trzeciej, poczem nareszcie przekazano mnie znowu do klasy pierwszej. Na skutek strajku musiałem uczęszczać do szkoły do siedemnastego roku życia; jednak, na długie prośby ojca i wnioski kupca Tyborskiego w Przechlewie, u którego wstąpiłem w naukę, zostałem zwolniony ze szkoły po dziewięciomiesięcznem odroczeniu terminu zwolnienia. Nadmieniam, że do strajku przyłączyli się jeszcze: Franciszek Borzyszkowski, obecnie rolnik w powiecie starogardzkim, Jan Gaździewski z Drzewicza i, jako jedyna dziewczyna, Franciszka Drewek, obecnie w Banku Bydgoskim w Bydgoszczy. W czasie strajku przybył do szkoły inspektor szkolny Wolff z Brus, oraz niemal codzień przychodził żandarm Stange, żądając, pod grozą różnych kar, natychmiastowego zaprzestania strajku. Wskutek surowych gróźb ze strony władz niemieckich, oraz z obawy przed zapowiedzianemi karami, strajk nie mógł być nadal utrzymany. — Chojnice, 12 stycznia 1929 roku".

Jedno jeszcze. Sobieski, gorący miłośnik poezji polskiej, lubi niekiedy, w trosce o piękno swoich studjów naukowych, wplatać w wykład cytaty z utworów poetyckich. Nie pominął ich (oczywiście w przekładzie) w opracowaniu niemieckiem *Walki o Pomorze,* jest więc i tam piosenka, którą śpiewano w Polsce za Kazimierza Wielkiego:

Królu Kazimirze!
Nigdy nie żyj w mirze
Z Prusakami,
Aż odzyszczesz Gdańsk!

Są nadto, na początku i na końcu książki, cytaty, których w tekście polskim niema, — z Szekspira:

Hamlet. Czyje to wojska, rotmistrzu?

Rotmistrz. Norweskie.

Hamlet. Gdzie one idą?

Rotmistrz. Ku granicom Polski...

Hamlet. ...Czy pochód
Ich ma na celu podbój całej Polski,
Lub pewnej części tylko?

Rotmistrz. Prawdę mówiąc
I bez dodatków, idziemy zagarnąć
Marny kęs ziemi, z którego, krom sławy,
Żaden nam inny nie przyjdzie pożytek.
Za parę mendli dukatów nie chciałbym
Wziąć go w dzierżawę, i pewnieby więcej
Nie przyniósł ani nam, ani Polakom,
Gdyby był w czynsz puszczony.

Hamlet. W takim razie
Polacy pewnie bronić go nie będą?

Rotmistrz. I owszem, myślą o tem...

Ten „marny kęs ziemi", którego Polacy bronili i wiecznie bronić będą, to Pomorze, mianowicie ujście Wisły. Gorzką pigułkę dał Sobieski Niemcom, przypominając im, że Szekspir, którego Niemcy, jak się sami chwalą, znają lepiej od Anglików, wiedział doskonale, do kogo należy Pomorze.

Kończy się zaś książka niemiecka przestrogą Szekspira, że niebezpieczna to sprawa kusić się o zdobycie ujścia Wisły:

Woul't weep? woul't fight?
woul't fast? woul't tear thyself?
Woul't drink Eisel? Eat a crocodil?

(„Chcesz płakać? chcesz się bić? chcesz pościć? chcesz sam siebie rozedrzeć? chcesz wypić Wisłę? zjeść krokodyla?").

Oto nowa gorzka pigułka dla Niemców. A jest takich przysmaków dużo, dużo więcej, — na każdej niemal stronicy książki Sobieskiego.

Lecz nie przełknęli ich Niemcy, — oszczędził im tego rząd Hitlera: część nakładu, przesłaną przez Instytut Bałtycki do Lipska, skonfiskowano.

I jakżeby inaczej? Przecie „na złodzieju czapka gore"; przecie „prawda w oczy kole" i „kolką włazi w bok"! No, i krokodyla zjeść trudno, raczej krokodyl zje!

W innych jednak krajach tej książki nie skonfiskowano, więc Francuzi, Anglicy, Włosi będą wiedzieli, co myśleć o rewizji granic polskich: i to jest ogromną zasługą Sobieskiego.

Niechże i w Polsce jego wspaniałe dzieło zrobi swoje — niech wbija w polskie głowy i serca słowa owej piosenki:

Królu Kazimirze!
Nigdy nie żyj w mirze
Z Prusakami,
Aż odzyszczesz Gdańsk!

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

NOTATKA BIBLJOGRAFICZNA

Powyższe odczyty, przemówienia i szkice były drukowane:

Nasz Hymn Narodowy — w „Tygodniku Illustrowanym“ i osobno, Lwów 1922.

O literaturze polskiej — osobno, Kraków 1910.

Na szczytach kultury staropolskiej — w „Pamiętniku Zjazdu Naukowego im. Jana Kochanowskiego“, Kraków 1931.

Dlaczego Skarga wdawał się w politykę? — w „Głosie Narodu“ 1930, nr. 298.

Posiew Komisji Edukacyjnej — w „Bibljoteczce Uniwersytetów Ludowych i młodzieży szkolnej“, nr. 226.

Pisma pedagogiczne Staszica — w „Myśli Narodowej“ 1926, nr. 4, i jako przedmowa do „Pism pedagogicznych Staszica“, Lublin 1926.

Józef Wybicki w świetle własnych pamiętników — w „Kurjerze Poznańskim“ 1923, nr. 235.

Jan Śniadecki jako nauczyciel narodu — w „Roczniku Polskiej Akademji Umiejętności“, Kraków 1931.

Pochwała Niemcewicza — w „Sprawozdaniach Warszawskiego Towarzystwa Naukowego za rok 1927“.

Głos z za grobu — w „Kurjerze Warszawskim“ 1933, 15 kwietnia.

Romantyzm jako czynnik rozwoju idei narodowości w Polsce — w kwartalniku „Kultura i Wychowanie“ 1934.

Romantyzm polski wobec Konstytucji 3 Maja — w „Bibljoteczce Uniwersytetów Ludowych i młodzieży szkolnej“ 1925, nr. 224.

W sprawie romantyzmu i estetyzmu — w „Gazecie Warszawskiej“ 1934.

Geneza psychologiczna wiary w chrystusowość Polski — w „Księdze Pamiątkowej ku uczczeniu St. Dobrzyckiego“, Poznań 1928.

Na szczytach polskiej liryki religijnej — w „Pamiętniku Literackim“ XXXII, 1935.

Trwałe wartości „Ksiąg Pielgrzymstwa“ — w „Kurjerze Warszawskim“ 1929, 5 maja.

Wzniosłość w „Panu Tadeuszu“ — w „Pamiętniku Literackim“ XXXI, 1934.

Czy Jankiel Mickiewicza jest postacią typową? — w „Gazecie Warszawskiej“ 1926, 3 maja.

Książka jubileuszowa o „Panu Tadeuszu“ — w dodatku literackim do „ABC“, 1934, nr. 14.

„Grób Agamemnona“ — w „Tygodniku Illustrowanym“ 1924 i osobno w „Bibljoteczce Uniwersytetów Ludowych i młodzieży szkolnej“ 1925, nr. 186.

„Testament mój“ — w „Rzeczypospolitej“ 1923, 23 grudnia, i osobno w „Bibljoteczce Uniwersytetów Ludowych i młodzieży szkolnej“, nr. 186.

W przededniu złożenia prochów Słowackiego na Wawelu — osobno, Kraków 1927, i w „Myśli Narodowej“ 1927.

Po złożeniu prochów Słowackiego na Wawelu — osobno, Kraków 1927.
Poezja Krasińskiego — w „Pamiętniku Literackim" XXV, 1928.
Ostatnie rozdziały dzieła Cieszkowskiego — w „Przeglądzie Współczesnym" 1923, nr. 13.
„O wyjarzmieniu Ojczyzny" Trentowskiego — w „Przeglądzie Wszechpolskim" 1923.
Liryka Asnyka — w „Przeglądzie Współczesnym" 1926, nr. 45.
Kasa im. Mianowskiego — w „Głosie Narodu" 1932.
Henryk Sienkiewicz — w „Roku Polskim" 1917, i osobno, Kraków 1917, Lwów 1933.
Kalendarz Opolski i Sienkiewicz na Śląsku — w „Kurjerze Warszawskim" 1934, 1 stycznia.
W dniu pogrzebu Sienkiewicza — osobno, Kraków 1924.
Bolesław Prus — jako przedmowa do „Pism zbiorowych" Prusa, Warszawa 1935.
Poeta Narodu — w „Głosie Narodu" 1932, nr. 349.
Treny Żeromskiego — w „Kurjerze Poznańskim" 1926, nr. 51—52.
Apoteoza Jakóba Szeli — w „Głosie Narodu" 1926, 25 grudnia.
Wielkotygodniowy rachunek sumienia narodowego — w „Kurjerze Warszawskim" 1934, 30 marca.
Za co Poznań przyznał nagrodę literacką Romanowi Dmowskiemu?— w „Kurjerze Poznańskim" 1927, 5 i 6 grudnia.
Roman Dmowski w świetle własnej książki — w „Kurjerze Warszawskim" 1931, 15 sierpnia.
Walka o Pomorze — w „Myśli Narodowej" 1933, nr. 40.

SPIS RZECZY

	Str.
Nasz Hymn Narodowy	7
O literaturze polskiej	24
Na szczytach kultury staropolskiej	45
Dlaczego Skarga wdawał się w politykę?	54
Posiew Komisji Edukacyjnej	57
Przedmowa do pism pedagogicznych Staszica	70
Józef Wybicki w świetle własnych pamiętników	75
Jan Śniadecki jako nauczyciel narodu	83
Pochwała Niemcewicza	97
Głos z za grobu	109
Romantyzm jako czynnik rozwoju idei narodowości w Polsce	113
Romantyzm polski wobec Konstytucji 3 Maja	129
W sprawie romantyzmu i estetyzmu	147
Geneza psychologiczna wiary w chrystusowość Polski	151
Na szczytach polskiej liryki religijnej	157
Trwałe wartości „Ksiąg Pielgrzymstwa“	174
Wzniosłość w „Panu Tadeuszu“	181
Czy Jankiel Mickiewicza jest postacią typową?	199
Książka jubileuszowa o „Panu Tadeuszu“	203
„Grób Agamemnona“	207
„Testament mój“	228
W przededniu złożenia prochów Słowackiego na Wawelu	234
Po złożeniu prochów Słowackiego na Wawelu	241
Poezja Krasińskiego	244
Ostatnie rozdziały dzieła Cieszkowskiego	294
„O wyjarzmieniu Ojczyzny“ Trentowskiego	306
Liryka Asnyka	320
Kasa im. Mianowskiego i jej zasługi w dziedzinie humanistyki	339
Henryk Sienkiewicz	344
Kalendarz Opolski i Sienkiewicz na Śląsku	360
W dniu pogrzebu Sienkiewicza	369
Bolesław Prus	373

Str.

Poeta Narodu 376
Treny Żeromskiego 379
Apoteoza Jakóba Szeli 387
Wielkotygodniowy rachunek sumienia narodowego 394
Za co Poznań przyznał nagrodę literacką Romanowi Dmowskiemu? . 400
Roman Dmowski w świetle własnej książki 407
Walka o Pomorze 412
Notatka bibljograficzna 420